

CZARNOY JEZYK



KIEDY
NAJMNIEJSZY
BŁĄD
STAJE SIĘ
NAJWIĘKSZĄ
PRZYGODĄ

CHRISTOPHER BUEHLMAN

„A niech mnie, ta książka jest niesamowita”. — Nicholas Emes

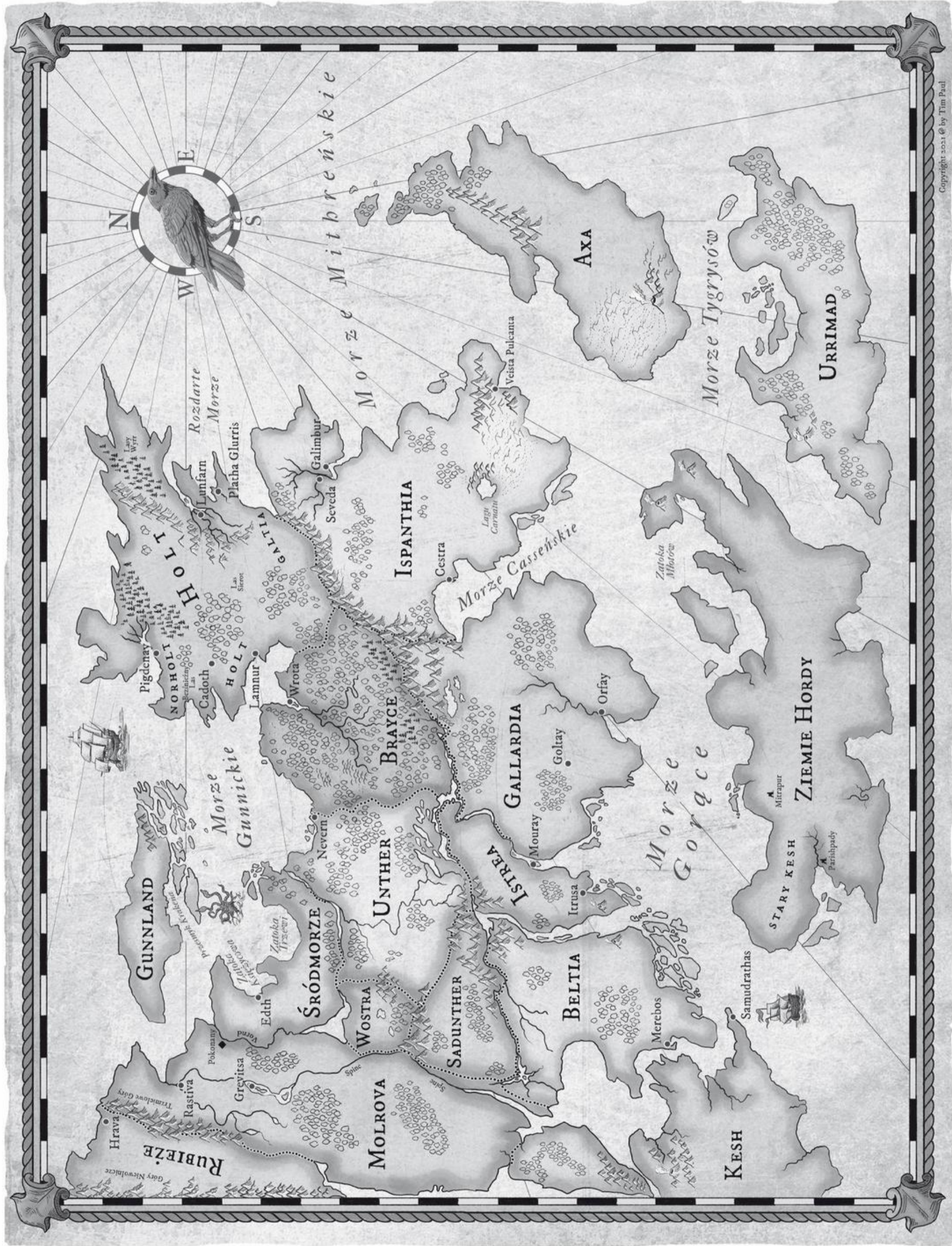
CHRISTOPHER BUEHLMAN

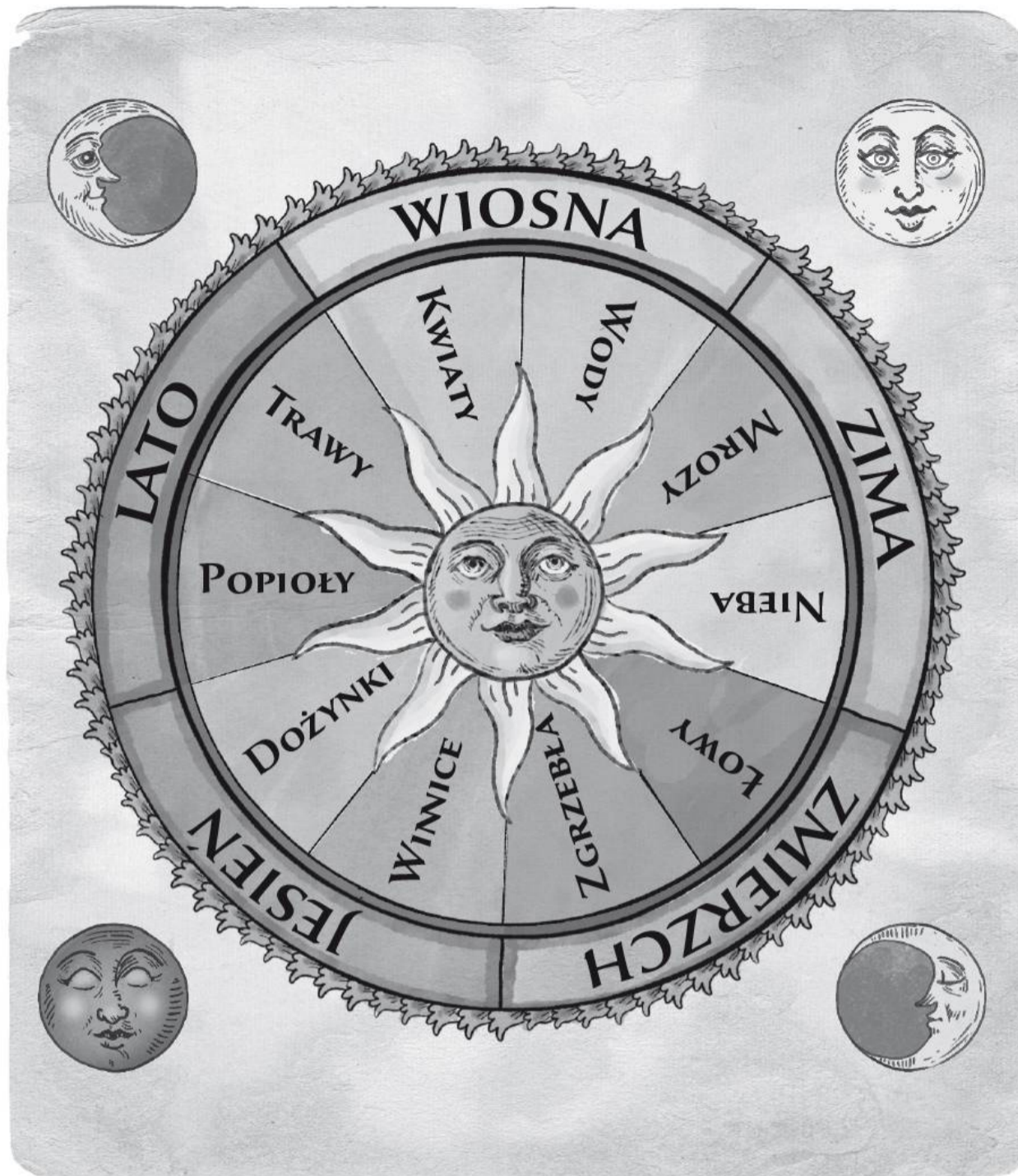
**CZARNY
JĘZYK**

Przełożył Robert Waliś

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2021

*Dla Jennifer,
w końcu,
pod tym i każdym księżycem*





DZIEŃ... KSIĘŻYCA	JELEŃ	WĘŻA	PIERŚCIENIA	ŚLUBÓW	BARANA	JĄGNIĘCIA	SŁABOŚCI	KOMPAŃÓW
1	2	3	4	5	6	7	8	9
10	11	12	13	14	15	16	17	18
19	20	21	22	23	24	25	26	27
28	29	30	31	32	33	34	35	36

1

Las Sierot

Za chwilę miałem umrzeć.

Co gorsza, miałem umrzeć pośród drani.

Nie, żebym bał się śmierci, ale być może to, z kim umieramy, ma znaczenie. W końcu to ważne, w którym towarzystwie przychodzimy na świat. Jeśli wszyscy są ubrani w czystą bieliznę oraz jedwabie i z uwagą patrzą, jak wijecie się w kołysce, zapewne czeka was zupełnie inne życie niż wtedy, gdy pierwszą rzeczą, którą zobaczycie po otwarciu oczu, jest kozioł. Popatrzyłem na Pagrana i stwierdziłem, że niepokojąco przypomina capa, gdyż miał pociągłą twarz, długą brodę i uroczy zwyczaj żucia, nawet gdy nie miał jedzenia w ustach. Pagran kiedyś pracował na roli. Frella, która stała u jego boku w zardzewiałej kolczudze, kiedyś była jego żoną.

Teraz oboje byli złodziejami, choć nie tak subtelnymi jak ja. Mnie szkolono w operowaniu wytrychem, wspinaniu się po ścianach, łagodzeniu upadków, snuciu kłamstw, bruchomówstwie, sporządzaniu i odnajdywaniu pułapek. Byłem także niezgorszym łuczniakiem, skrzypkami i nożownikiem. Do tego znałem kilkadziesiąt czarodziejskich sztuczek – drobnych, lecz użytecznych. Niestety, byłem winny Gildii Poborców tak dużo pieniędzy za swoje szkolenie, że musiałem koczować w Lesie Sierot razem z tymi durniami, licząc na to, że uda mi się kogoś obrabować w staroświecki sposób. No wiecie, grożąc mu śmiercią.

Bycie rozbójnikiem jest zaskakująco opłacalne. Dołączyłem do tej grupy ledwie miesiąc temu, a już udało nam się obrabować kilka zbyt słabo strzeżonych wozów, porwać kilku maruderów ze zbyt licznych grup, a nawet sprzedać syna jednego z kupców grupce nieuczciwych żołnierzy, którzy mieli nas ścigać. Zabijanie nigdy nie przychodziło mi z łatwością, lecz byłem gotów posłać kilka strzał, byle tylko wygrzebać się z gówna. Tak działa świat. Zebrałem ponad połowę raty, którą miałem zapłacić Gildii w Dożynki, by powstrzymać ich przed przerobieniem mojego tatuażu, który wyglądał już wystarczająco źle.

A zatem kuciałem w zasadzce i obserwowałem samotną kobietę, która szła w naszą stronę Białą Drogą. Miałem złe przeczucia względem tej potencjalnej ofiary, nie tylko dlatego, że kroczyła, jakby nikt nie mógł jej skrzywdzić, podczas gdy w koronach drzew wrzeszczały kruki. Liznąłem nieco magii, więc widziałem, że podróżna nią włada. Nie byłem pewien, jakiego rodzaju są to czary, ale wyczuwałem w powietrzu coś jakby chłód albo napięcie przed burzą, które wywołuje gęsią skórę. Poza tym cóż takiego mogła mieć przy sobie jedna kobieta, co byłoby cokolwiek warte po podzieleniu między siedem osób? A nie zapominajmy, że nasz przywódca zgarniał podwójną dolę, w praktyce zaś niemal połowę łupu.

Popatrzyłem na Pagrana i lekko pokręciłem głową. Odwzajemnił spojrzenie. Białka jego oczu były wyraźnie widoczne, ponieważ pokrył błotem całe swoje ciało, nie licząc dłoni, których potrzebował do komunikowania się gestami. Pagran używał żołnierskiego języka gestów, którego nauczył się podczas Goblińskich Wojen, o połowę uboższego niż złodziejski język, który poznałem w Niskiej Szkole. Brak dwóch palców nie ułatwiał mu sprawy. Kiedy pokręciłem głową, wykonał w moją stronę jakiś gest. Sądziłem, że każe mi naprawić sakiewkę, więc sprawdziłem, czy pieniądze z niej wypadają, ale po chwili uzmysłowiłem sobie, że pyta, czy wciąż mam jaja. No tak, dodawał mi odwagi.

Wskazałem na nieznaną i wykonałem gest oznaczający magiczkę, choć nie byłem pewien, czy Pagran go zna. Odpowiedział, że magiczka stoi za moimi plecami, a przynajmniej tak mi się wydawało w pierwszej chwili, ale tak naprawdę polecił, żebym wsadził ją sobie w dupę. Przeniósłem wzrok z drania, z którym za chwilę miałem umrzeć, na kobietę, która miała nas zabić.

Przynajmniej takie miałem przeczucie.

Żeby wędrować samotnie Białą Drogą przez Las Sierot nawet w przyjemnie ciepły dzień późnego lata w miesiącu Popiołów, trzeba być magikiem. Ewentualnie pijakiem, cudzoziemcem, samobójcą lub każdym z nich po trosze. Ta kobieta wyglądała na cudzoziemkę. Miała oliwkową karnację i czarną potarganą czuprynę typową dla Spanthian. Do tego charakterystyczne dla nich silnie zaznaczone kości policzkowe, prezent od sta-

rego imperium, które utrudniały oszacowanie jej wieku. Dość młoda. Koło trzydziestki? Drobna, ale krzepka. Te zaspane oczy mogły należeć do zabójczyni, a poza tym była ubrana do walki. Na plecach niosła okrągłą tarczę, ryngraf chronił jej gardło przed poderżnięciem i o ile się nie myliłem, pod koszulą nosiła lekką kolczugę.

Ostrze przy jej pasie było krótsze od większości spotykanych broni. Zapewne był to spadín, pogromca byków, co oznaczało, że musiała być Spanthianką. Tamtejsi rycerze kiedyś byli najlepszymi jeźdźcami na świecie, gdy jeszcze mieli konie. Teraz polegali na sztuce walki mieczem i tarczą pochodzącej ze Starego Keshu, zwanej Calar Bajat, której uczyli się od ósmego roku życia. Spanthianie nie lubią, gdy się im grozi, dlatego byłem pewien, że jeśli zaatakujemy, będziemy zmuszeni do walki na śmierć i życie. Czy Pagran uważał, że gra jest warta świeczki? Przy pasie nieznanym wisiały sakiewki z pieniędzmi, ale czy zamierzał dać sygnał do natarcia wyłącznie z tego powodu?

Nie.

Patrzył na tarczę.

Kiedy Spanthianka się zbliżyła, dostrzegłem różany blask na drewnianej krawędzi wystającej zza jej pleców, co świadczyło o tym, że tarcza jest wykonana z wiosennego drzewa. Wycinaliśmy je tak szybko podczas Goblińskich Wojen, że dziś były niemal wymarłe – ostatnie zagajniki znajdowały się w Ispanthii, gdzie czuwał nad nimi król, a każdy intruz kończył z pętlą na szyi, chyba że miał ze sobą piłę – wtedy gotowano go żywcem. Wiosenne drzewo ma to do siebie, że jeśli właściwie się o nie dba, może dalej żyć nawet po ścięciu i samo się uzdrowić. A dopóki żyje, trudno je spalić.

Pagran chciał zdobyć tę tarczę. Wciąż łudziłem się, że opuści miseczkę dłoni, jakby gasił świecę, ale wiedziałem, że za chwilę wyprostuje kciuk, dając sygnał do ataku. U jego boku stała trójka naznaczonych bliznami zawadiaków, a niedaleko mnie pośród liści poruszyła się para łuczników – przesądny gówniarz Naerfas, przezywany Nerwusem, który całował zawieszony na szyi brudny wisiołek przedstawiający lisa wyrzeźbionego z jeleniej kości, oraz jego blada siostra o wytrzeszczonych oczach. Nigdy mi się nie podobało, że czcimy tego samego boga, ale w końcu byli Gal-tami tak jak ja i urodzili się z czarnymi językami, które nas wyróżniają, a galtyjscy złodzieje służą panu lisów. Nie możemy się powstrzymać.

Wyjąłem z kolczanu strzałę z dziurawiącym grotem, idealną do przebijania kolczug, i założyłem ją na cięciwę.

Obserwowaliśmy swojego kapitana.

Obserwowaliśmy kobietę.

Kruki wrzeszczały.

Pagran wyprostował kciuk.

Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko.

Pierwszy zwolniłem strzałę, czując przyjemne rozluźnienie palców i uderzenie cięciwy o przedramię. Miałem to miłe uczucie, które pojawia się, gdy wiecie, że oddaliście celny strzał – jeśli nigdy nie strzelaliście z łuku, nie potrafię wam go opisać. Usłyszałem syk strzał moich kompanów, które podążyły za moją. Ale cel już był w ruchu – kobieta przykucnęła i obróciła się tak szybko, że niemal zniknęła za tarczą. Nie dość, że tarcza była duża, ona zdołała się za nią skulić.

Dwie strzały odbiły się od wiosennego drewna, a moja zniknęła mi z oczu. Wtedy zaatakowali Pagran i jego trójka zabijaków. Pagran wznosił nad głowę swoją potężną glewie, która wyglądała jak przerośnięty kuchenny nóż na kiju. Frella trzymała za plecami swój miecz gotowy do ciosu, a pozostała dwójka, którą nazwiemy po prostu Włócznią i Toporem, biegła za nimi. Spanthianka musiała się zatrzymać, żeby stawić im czoło, a wtedy zamierzałem przeszyć jej kolano.

Nagle wszystko się skomplikowało.

Dostrzegłem jakiś ruch między drzewami po drugiej stronie drogi.

W mojej głowie jednocześnie pojawiły się trzy myśli:

Jeden z kruków zrywa się do lotu.

Kruki umilkły.

Ten kruk jest za duży.

Kruk rozmiarów jelenia wypadł na drogę.

Z mojej krtani nieświadomie wyrwał się cichy dźwięk.

Nie da się zapomnieć pierwszego spotkania z bojowym krukami.

Zwłaszcza jeśli nie jest po waszej stronie.

Ptak podciął Włócznię i wyrócił ją na twarz, a następnie zaczął siekać jej plecy twardym dziobem. Otrząsnąłem się z otępienia i pomyślałem, że powinienem nałożyć na cięciwę kolejną strzałę, ale kruk już atakował Topora, który tak naprawdę miał na imię Jarril. Wspominam o tym nie dlatego, że będziecie mieli okazję lepiej go poznać. Po prostu to, co go spotkało, było tak paskudne, że jest mi głupio nazywać go Toporem.

Jarril wyczuł, że ptak zbliża się do niego od boku, przestał biec i odwrócił się w stronę wroga. Zdążył tylko unieść topór, zanim kruk wbił dziób w miejsce, którego przebicia wolałby uniknąć każdy mężczyzna. Gruba kolczuga sięgała Jarrilowi aż do kolan, ale te ptaki potrafią dziurawić czaszki, więc lepiej nie myśleć o tym, co pozostało z części ciała znajdującej się pod spodem. Mężczyzna padł na ziemię, zbyt mocno zraniony, by krzyżeć. Za to rozwrzeszczała się Frella. Zerknąłem w lewo i zobaczyłem pochylonego Pagrana, całego we krwi, choć myślę, że nie własnej, ponieważ Frella krwawiła za nich oboje, obryzgując ziemię czerwonym strumieniem tryskającym z głębokiej rany pod pachą, biegnącej od łokcia aż do cycka.

Kiedy Spanthianka zmieniła kierunek, dostrzegłem jej obnażony miecz, który bez wątpienia był spadínem. Wystarczająco ostrym, by dźgać, wystarczająco ciężkim, by siec. To dobre ostrze, być może najlepszy krótki miecz, jaki kiedykolwiek wykuto. A ona potrafiła się nim posługiwać. Poruszyła się błyskawicznie, minęła Frellę i odkopnęła jej miecz na bok.

Włócznia, która miała rozszarpane plecy, właśnie dźwigała się na czworaki, jak niemowlę próbujące chodzić. Obok mnie Nerwus krzyknął: „*Awain Baith*”, co po galtyjsku znaczy „ptak śmierci”, po czym upuścił łuk i rzucił się do ucieczki, a jego starsza siostra pobiegła za nim, pozostawiając mnie jako jedyne łuczniczki między drzewami. Nie mogłem stąd trafić Spanthianki, która zasłaniała się tarczą, jednocześnie odrąbując Włóczni dłoń. Zabawne, na czym skupia się nasz umysł – przyjrzałem się tarczy z bliska i zauważyłem, że jej stalowy szczyt wykuto w kształt dmuchającego obłoku z ludzką twarzą, podobnego do rysunków na skrajach map.

Pagran podniósł upuszczoną glewie i próbował opędzić się przed krążącym wokół niego ptakiem. Kruk dwukrotnie uderzył dziobem w ostrze broni, z łatwością unikając pchnięcia Pagrana i ignorując mój chybiony strzał – te istoty poruszają się w nieprzewidywalny sposób, a strzała wypuszczona z dwudziestu kroków nie trafia w cel w chwili zwolnienia cięciwy. Bojowy kruk chwycił ostrze glewii dziobem i wykręcił je w bok, tak że Pagran musiał obrócić się razem z nim, by nie stracić oręża. W tej samej chwili Spanthianka skoczyła naprzód, zwinnie jak pantera, i cięła go tuż ponad piętą. Nasz przywódca upadł i zwinął się w jęczący kłębek. Walka na drodze dobiegła końca.

Kurwa.

Wypuściłem kolejną strzałę w stronę Spanthianki, a wtedy ptak przeniósł na mnie wzrok.

Zrozumiałem, że łuk nie wystarczy. Z przodu pasa nosiłem doskonały nóż; podczas bójki w tawernie mógłbym wypatroszyć przeciwnika, ale ostrze byłoby bezużyteczne wobec kolczugi. Na plecach trzymałem paskudny sztylet tarczkowy, idealny do przebijania kolczug, ale w starciu z mieczem w dłoni kobiety, nie wspominając o tym jebanym ptaku, byłby równie użyteczny jak patyk.

Zbliżyli się.

Mogłem uciec Spanthiance, ale nie krukowi.

Przynaję bez wstydu, że lekko popuściłem w spodnie.

– Łuczniczku – odezwała się kobieta z charakterystycznym ispanthiańskim akcentem. – Wyjdź i pomóż swoim przyjaciołom.

Fakt, że tak naprawdę nie byli moimi przyjaciółmi, nie wystarczył, by zostawić ich okaleczonych i poobijanych na Białej Drodze, nawet jeśli na to zasługiwali. Spanthianka wyciągnęła strzałę z zakrwawionej koszuli pod swoją pachą i porównała pierzysko ze strzałami, które wciąż tkwiły w moim przybocznym kołczanie.

– Dobry strzał.

Zwróciła mi strzałę. Dała mi także łyk wina z bukłaka – dobrego, gęstego i czarnego wina, które zapewne również pochodziło z Ispanthii. Pagran, który z grymasem bólu wstał i oparł się o drzewo, niczego nie dostał. Frelła, która straciła tyle krwi, że była na skraju omdlenia, także obeszła się smakiem, mimo że z nadzieją patrzyła na Spanthiankę, gdy opatrywałem jej rękę za pomocą pończochy i kija. Wino było przeznaczone tylko dla mnie, ponieważ oddałem celny strzał. Tacy są Spanthianie. Najpewniejszym sposobem na zjednanie sobie ich łask jest zrobienie im krzywdy.

Jeśli chodzi o rannych, Jarril wciąż był nieprzytomny, z czego należało się cieszyć – niech śpi, żaden ogier nie chce się obudzić wałachem, tym bardziej jeśli jest na tyle młody, że dopiero dowiedział się, do czego służy to, co stracił. Włócznia podniosła odciętą dłoń i wbiegła do lasu, jakby znała jakiegoś przyszywacza kończyn, który niedługo zamykał zakład. Nie wiem, dokąd poleciał ptak, a przynajmniej wtedy tego nie wiedziałem. Wyglądało na to, że rozpułynał się w powietrzu. Co zaś się tyczy Spanthianki, to ruszyła w dalszą drogę, jakby nic się nie stało, nie licząc zadrapania i zakrwawionej koszuli. A jednak coś się stało.

Spotkanie z ispanthiańską ptaszniczką odmieniło mój los.

Pod Pszczołą i Monetą

Doprowadzenie Frelli i Pagrana z powrotem do naszego obozu nie było łatwe. Oddałem Paganowi jego glewie, żeby mógł się nią podpierać, a Frelli musiałem pozwolić wspierać się na moim ramieniu przez ponad milę wędrówki po nierównym terenie. Na szczęście była chuda – w sam raz na palisady, jak mawiają żołnierze – więc nie dawała mi się za bardzo we znaki. Moi mistrzowie w Niskiej Szkole skarciliby mnie za pomoc tej dwójce. Uznaliby lanie na Białej Drodze za koniec naszej niezbyt wesołej kompanii, a ucieczkę rodzeństwa łuczników za dowód na to, że byli lojalni wyłącznie wobec siebie nawzajem i zapewne już ruszyli w poszukiwaniu nowych przygód, wcześniej ogołociwszy nasze obozowisko.

Zostawiłem tam swoje skrzypce, solidny hełm, który miałem nadzieję sprzedać, oraz dzbanek galtyjskiej whiskey. Na hełmie niespecjalnie mi zależało, a na świecie nie brakowało ognistej wody, w której mogłem zanurzyć usta, ale te skrzypce coś dla mnie znaczyły. Chciałbym wam powiedzieć, że należały do mojego staruszka albo coś w tym rodzaju, ale mój ojciec był ponurym górnikiem i nie potrafił nawet zagrać fanfar dupskiem po zjedzeniu kwarty fasoli z kapustą. Ukradłem te skrzypce. Oddałem się z nimi, kiedy pewien gość spierał się z młodym muzykiem o to, czy śpiewał czysto w tawernie. Tak między nami, fałszował, za to skrzypce były pierwsza klasa, więc po całej akcji zapłaciłem gościowi połowę ich wartości, zamiast je sprzedawać. A teraz wyglądało na to, że zostaną sprzedane za bezcen, a dwójka gnojków, którzy je zabrali, zapewne była już tak daleko, że nie miałem szansy ich dogonić.

Cadoth było pierwszym miastem na zachód od Lasu Sierot i ostatnim w Holcie, za którym rozciągały się jeszcze bardziej posępne lasy i rozległe wyżyny Norholtu. Można zorientować się, jak duże jest miasto, po tym, ilu bogów ma w nim świątynie i jakich są one rozmiarów. Na przykład, w wiosce z jedną błotnistą drogą, jedną tawerną, która tak naprawdę jest zapleczem domu jakiegoś tłuściocha, oraz jednym zdychającym wołem, którego wszyscy pożyczają sobie do orki, zapewne znajdziemy kościół Wszechboga. Bez dachu, z belkami do siedzenia, łojowymi świecami na ołtarzu i wnęką, w której ustawia się posągi rozmaitych bogów, zależnie od święta. Posągi będą wyrzeźbione z jesionu albo orzesznika, boginie będą miały obfite biusty, a bogowie niewielkie przyrodzenia, nie licząc Harosa, który ma postać jelenia i odpowiednio okazałego fiuta, ponieważ wszyscy wiedzą, że każdego wieczora tak mocno rżnie księżyc, że ten musi schować się za wzgórze i odpocząć.

W nieco większym miasteczku, gdzie mieszka pełnoetatowa dziwka, która nie zajmuje się na boku warzeniem piwa ani cerowaniem koszul, znajdziemy kościół Wszechboga kryty strzechą i ozdobiony dyskiem z brązu wpisanym w kwadrat z ołowiu albo żelaza, a także porządną świątynię poświęconą jakiemuś miejscowemu bóstwu, które według ludzi jest najmniej skłonne nasrać im na pokornie pochylone głowy.

Cadoth było największym miasteczkiem, jakiego jeszcze nie można nazwać miastem. Jako punkt handlowy z prawdziwego zdarzenia, ulokowany na rozdrożach, miało kościół Wszechboga ukoronowany słońcem z brązu, potężną wieżę poświęconą Harosowi, zwieńczoną porożem jelenia oraz mniejsze świątynie, w których czczono tuzin innych bóstw. Brakowało wśród nich świątyni poświęconej Mithrenorowi, bogu morza, o którym mało kto myśli w głębi lądu, jak również Zakazanemu Bogu, z oczywistych względów.

W każdym miasteczku tej wielkości nie może zabraknąć porządnego Domu Wisielca, jak nazywa się siedzibę Gildii Poborców, a ja musiałem się tam udać, by porozmawiać o swoim długu. Moja współpraca z Paganem i jego bandą rębajłów tego lata była całkiem udana, dopóki Spanthianka i jej morderczy ptak nie skopali nam tyłków. Ale teraz Nerwus i Śnieżka, rodzeństwo łuczników, które uciekło, gdy kruk dołączył do potyczki, całkowicie mnie ogołociło. Potrzebowałem pieniędzy – i to szybko – a rozegranie kilku partyjek Wież wydawało się dobrym początkiem.

Wiedziałem, że gra z pewnością toczy się Pod Pszczołą i Monetą, ponieważ Pszczoła i Moneta to dwie z kart w talii Wież, obok samych Wież, Królów i Królowych, Żołnierzy, Łopat, Łuczników, Śmierci i Zdrajcy, a także, oczywiście, Złodziei, których w talii zazwyczaj oznacza się rysunkiem chwytającej dłoni.

Nie wszyscy w tawernie byli graczami. Stoliki na obrzeżach zajmowali pasterze owiec i hodowcy korzeni, wierni bogom skwaszonych min. Rozmawiali przyciszonymi głosami o deszczach i chrząszczach, a ich nigdy nieprana wełniana odzież po dziesięcioleciach wycierania w nią rąk była

pokryta warstwą zwierzęcego tłuszczu. Dwaj młodzi najemni zabijacy siedzący bliżej baru mieli przy pasach niewielkie miedziane kubeczki, których w grze w Wieże używano do zbierania monet. Mimo że byli uzbrojeni w miecze, wyglądało na to, że z dużą ostrożnością zerkają na trzy surowe starsze kobiety, które rznąły w Wieże przy zniszczonym przez korniki stole.

Ja też byłem ostrożny, ale chciałem zagrać.

– Potrzebujecie czwartego do gry? – odezwałem się do łysej zabójczynie tasującej karty.

Popatrzyła na mój tatuaż. Miała prawo dać mi po gębie z jego powodu, ale najwyraźniej nie miała na to ochoty. Pozostała dwójka bardziej niż piwa pragnęła szybkiego powrotu do gry, więc także nie skorzystała z okazji.

Łysa wskazała głową puste krzesło, więc usadziłem na nim tyłek.

– Talia Lamnur czy Mouray? – spytałem.

– A jak, kurwa, myślisz?

– Jasne. Lamnur.

Szlachcice i tym podobni używali talii Mouray. Miała ładniejsze wzory. Ale ludzie o permanentnie brudnych kołnierzach grywali talią Lamnur o prostszych rysunkach, z dwiema Królowymi zamiast trzech i bez karty Lekarza, który mógł was uratować w przypadku wyciągnięcia Śmierci. Osobiście wolałem talię Mouray, ale tak już mam, że lubię drugie szanse.

– Najpierw zapłać – odezwała się kobieta.

Wygrzebałem z sakiewki wystarczającą liczbę monet, żeby dorzucić się do puli.

Brzęk-brzęk!

Łysa rozdała karty.

Wygrałem dwie z trzech rund Turnieju i spasowałem w trzeciej, żeby nie pomyślały, że oszukuję, ale pula w rundzie Wojny była zbyt duża, żebym przepuścił okazję. Błada blondynka z blizną jak haczyk do łowienia ryb ostro licytowała, najwyraźniej przekonana, że ostatni Król w talii zapewnia jej nietykalność, ale zagrałem Zdrajcą, a potem Łucznikiem pozbyłem się Królowej, która mogła złapać Zdrajcę, zgarnąłem Króla i wygrałem. Ponownie. Nielichą sumkę.

– Jak to, kurwa, robisz, cwaniaczku? – rzuciła łysa z akcentem typowym dla holtyjskich ulicznych rzezimieszków.

„Cwaniaczek” to niezbyt miłe określenie, ale w końcu właśnie wyczyściłem ją z kasy.

– Szczęście mi sprzyja – odparłem, co nie było kłamstwem.

O szczęściu opowiem później.

Zastanawiała się, czy mnie dźgnąć, czy raczej dać mi po gębie, aż w końcu zdecydowała się na wygnanie.

– Wypierdalaj od stolika – warknęła, więc zebrałem wygraną w koszulę, schowałem monety do sakiewki na pasie i odszedłem z uśmiechem, ścigany przez kilka komentarzy dotyczących mojego ojca.

Miałem nadzieję, że żaden z nich nie był prawdą. Każda z kobiet miała ochotę mnie pobić, ale były zbyt pochłonięte grą. Zapewne pozostaną przy stoliku, aż dwie z nich będą splukane, a wtedy rzucą się na siebie nawzajem. Nic dziwnego, że kapłani tak wielu bogów pomstują na tę grę – zginęło przez nią więcej ludzi niż przez Morderczy Alfabet. Chciałem powiedzieć, że zabiła więcej ludzi niż gobliny, ale to byłaby zbyt duża przesada, nawet dla mnie.

Podszedłem do baru, a tam, tuż za potężnym jegomościem, który mógłby zaćmić słońce, o szorstki drewniany blat opierała się Spanthianka, którą spotkaliśmy na drodze. Niezręcznie skinęliśmy do siebie głowami. Miejsce obok niej, w którym zamierzałem stanąć, nagle zajęła jakaś męska dziwka o zbyt mocno umalowanych oczach. Oczy z uznaniem zlustrowały ptaszniczkę. Na swój sposób była ona bardzo urodziwą kobietą, o czarnych włosach i morskich oczach, ale jeszcze nie zdecydowałem, czy wyglądałaby lepiej, gdyby nie sprawiała wrażenia zaspanej, czy może opuszczone powieki dodawały jej swoistego uroku. Mężczyźni uwielbiają kobiety, które wyglądają na obojętne, jeżeli tylko nie brakuje im urody. Uwielbiamy także wesole kobiety, jeśli są piękne, jak również smutne ślicznotki i gniewne dziewczęta o ładnych buziach. Rozumiecie, jak to działa. A więc owszem, Spanthianka była urodziwa. Ale gdyby musiała się uśmiechnąć, by ugasić pożar, spłonęłoby pół miasta. Najwyraźniej nie zauważyła siedzącego obok niej kogucika, tylko skupiała się na swoim winie i wpatrywała się w dal. Smutna dziewczyna o silnych kościach. Chłopcy za tym przepadają.

Znalazłem inne miejsce przy barze.

Utalentowana galtyjska harfiarka śpiewała popularną piosenkę *Rozdarte Morze*. Miała niezły głos, więc nikt jeszcze nie cisnął w nią butelką.

*Nad Rozdartego Morza brzeg
Wybrałam się, gdzie pośród fal,
Jak rycerz z dumą przeżąc pierś,
Mąż wielce urodziwy stał.*

*Wnet ruszył ku dziewczynie tej,
Chłostanej przez nadmorski wiatr.
Powinnam odejść, dobrze wiem,
Lecz popłynęłam za nim w ślad.*

*Nie znałam świata grzesznych żądz
Przez prosty żywot i młody wiek,*

*Nie uwierzycie jednak w to,
Co kryło się na morza dnie.*

*Ujrzałam ogon i płetwy dwie
Zamiast splątanych czterech nóg.
Spytałam: „Co z ciebie za człek?“,
„Szlachetny“, odrzekł młody bóg.*

*„Dlatego odejść dam ci stąd,
Bo choć pozory człeka mam,
Nie da ci szczęścia morska toń,
Nie znajdziesz również męża tam”.*

*Łagodny był syreny głos,
Choć ucząc dziewczę, marszczył brew,
„Bez zwłoki powróćże na ląd
I chłopca znajdź, co nie ma płetw”.*

*Zatem wróciłam na piasek plaż
Mądrzejsza od dostojnych dam.
A co pojęłam tamtego dnia,
Dziś chętnie przekazuję wam.*

Zebrała kilka monet do kapelusza i zbyt skąpe oklaski, nawet wliczając mój aplauz, więc zabrała harfę i ruszyła do kolejnej tawerny, gdzie być może czekała na nią wdzięczniejsza publika.

Zobaczyłem, że w kącie izby sprzedawczyni zakłęb z Gildii Magików – z twarzą upudrowaną na biało i dwoma pierwszymi palcami oraz kciukiem lewej dłoni złączonymi w znak Gildii – zapaliła woskową świecę oplecioną kosmykiem swoich włosów, co oznaczało, że przyjmuje zamówienia. Po chwili jakaś młoda kobieta w grubo plecionym wełnianym ubraniu wręczyła wiedźmie monetę i zaczęła szeptać jej do ucha swoje pragnienia.

Ledwie zdążyłem skosztować niezłego czerwonego wina, które podawano Pod Pszczołą i Monetą, gdy podszedł do mnie jakiś paskudnie wyglądający drobny jegomość w nawoskowanym, zaplamionym skórzanym stroju i wbił wzrok w mój tatuaż. Przedstawiał on otwartą dłoń naznaczoną runami i znajdował się na prawym policzku. Dało się go zobaczyć tylko w blasku ognia, a nawet wtedy miał czerwono-brązowy odcień, trochę jak stara henna, więc nie rzucał się w oczy. Można było nie zwrócić na niego uwagi. Niestety, ten człowiek to zrobił.

– To Dłoń Dłużnika, ta?

Powiedział „ta” na modłę mieszkańców północnego Holtu. Wyglądało na to, że w tawernie są sami goście z północy. Nic dziwnego – w końcu znajdowaliśmy się niedaleko granicy prowincji.

Miałem obowiązek przyznać się do posiadania tatuażu, ale nie musiałem być przy tym miły.

– Taa – odpowiedziałem, tylko trochę przeciągając słowo, aby nie wiedział, czy z niego kpię, czy też jestem ćwokiem.

– Widzisz, barmanko?

– Widzę – odpowiedziała, nie oglądając się. Właśnie wspięła się na stołek i sięgała po ispanthiańskie wino z najwyższej półki.

– Ktoś już zgłosił prawo do daru Gildii? – dopytywał ćwok.

– Nie – odparła barmanka, kolejna mieszkanka Norholtu. – Nie dzisiaj.

Gość w skórach zmierzył mnie wzrokiem. Odchyliłem się do tyłu, by mógł się dobrze przyjrzeć ostrzu przy moim pasie, idealnemu do dźgania i cięcia. To był poważny nóż. Nóż nożownika. Nazwałem go Palthra, co po galtyjsku oznacza „płatek” – sztylet tarczowy z tyłu pasa nazywał się Angna, czyli „gwóźdz” – a jego skórzaną pochwę ozdobiłem dwiema inkrustowanymi różyczkami. Oczywiście gość mógł zobaczyć tylko pochwę i rękojeść. Zostałbym pozbawiony kciuka, gdybym dobył ostrza przeciwko komuś, kto spoliczkował mnie w imię Poborców, a gdybym tego kogoś zranił, Gildia zadałaby mi taką samą ranę.

Ale czy ten kerk to wiedział?

– W takim razie zgłaszam swoje prawo do daru Gildii. W imieniu Poborców musisz na to przystać.

Owszem, wiedział.

Obejrzał się na ładniejszą z dwóch dzierlatek, z którymi się migdalił, a potem, nie odrywając od niej wzroku, wymierzył mi szybki policzek. Oczywiście zabolalo, zwłaszcza że nosił sygnety, który rozbił mi wargę o ząb, ale ciosy w twarz bolą mniej od świadomości, że byle kretyń może okładać mnie po gębie, a ja nie mam prawa się sprzeciwić, a nawet odezwać do niego niepytany.

Barmanka nalała gościowi małe piwo, na koszt Gildii, z ogromną czapą piany, by domyślił się, co sądziła o ludziach, przez których mieszkańcy Norholtu wychodzą na tchórzy atakujących bezbronnych. Ćwok się napił, a następnie otarł rękawem pianę z pozbawionej zarostu górnej wargi.

– Mężczyzna powinien spłacać długi – oznajmił z przekonaniem typowym dla dwudziestolatka, bardziej do siebie niż do innych gości, ale to mi wystarczyło. Nie wolno mu było odzywać się do mnie po fakcie. Teraz mogłem mu odpowiedzieć.

– Mężczyzna powinien także mieć odciski na dłoniach. Twoje wyglądają jak pożyczone od dziecka.

Sprawił wrażenie zaskoczonego, że się odezwałem, ale starał się to ukryć i uniósł w moją stronę kufel, jakby chciał dać do zrozumienia, że już dostał to, czego chciał, i nie dba o moje słowa. Ale wiedziałem, że jest inaczej. Ktoś zachichotał po moim komentarzu, a to go ubodło, zwłaszcza w obecności jego panienek. Znałem takich ludzi. Rodzina miała trochę grosza, ale on był takim dupkiem, że zostawił rodzinną karczmę czy sklepik prowadzone przez jego umęczoną matkę, ponieważ nie mógł znieść, że ktoś mówi mu, co ma robić. Być może trafił na słomianą farmę Gildii, gdzie nauczył się beużytecznych sztuczek, chcąc uchodzić za złodzieja, ale nawet z tym sobie nie poradził i został wyrzucony, zanim narobił sobie długów. Odszedł na tyle dawno, że jego ciuchy śmierdziały, ale wciąż nie sprzedał ostatniego cennego sygnetu. Dzielił go jeden ciężki tydzień od stania się męską dziwką albo najemnikiem, ale nie był wystarczająco słodki na to pierwsze ani wystarczająco silny na to drugie.

Zaczyznałem drania żałować, ale twarz wciąż mnie piekła po zetknięciu z jego dłonią.

– Możesz mnie jeszcze raz spoliczkować, Gildia nie będzie miała nic przeciwko. Byłoby szkoda zmarnować pierwszą próbę na tak słabe uderzenie, ty żałosny kerku.

Jeśli nigdy nie byliście w Galtii ani Norholcie, śpieszę donieść, że „kerk” to mokre pierdnięcie. Myślicie, że będzie całkiem zwyczajne, a jednak okazuje się czymś innym, przynosząc wam wstyd i smutek. Właśnie dlatego Galtowie mówią: „Zamknij whisky”, a nie „zakorkuj”. „Kerk” wymawiamy niemal tak samo, a większość z nas nie ma nic przeciwko whiskey i nie chcielibyśmy jej zakerkować.

Kilkoro gości zareagowało na moje słowa, głównie kobiety z farm i pasterze, którzy nie wybaczą słabości. Młody nie mógł pozwolić, żeby to było ostatnie słowo w naszej rozmowie, w przeciwnym razie ktoś zapewne by się do niego przytrzymał po kilku głębszych. Każdy bystry dzieciak czym prędzej zabrałby dziewczęta i udał się do stodoły, w której zamierzali wymienić wszy łonowe. Ale nie miałem do czynienia z bystrzakiem.

– Nie próbowałem cię skrzywdzić, tylko miałem ochotę na piwo. Ale jeśli chcesz, to zrobię ci krzywdę, ty galtyjski knapie z gównem na ozorze.

Spanthianka otworzyła wino zębami i nałapała sobie porcję, z rozbawieniem i zaciekawieniem unosząc brew. Zapewne nie wiedziała, że „knap” to cyc, jak również nie zdawała sobie sprawy, że słowo, którego zamierzałem użyć, oznacza wyjątkowo uroczą kępkę włosów łonowych.

– Wątpię, kłaku – odrzekłem. – Czułem gorszy ból przy sikaniu, niż ty byłbyś w stanie mi zadać. Ale jeśli chcesz spróbować, moja twarz jest otwarta na twoje pięści. Może spróbujesz jeszcze raz, zanim twoje siostrzyczki uznają, że siedzą przy niewłaściwym stoliku.

Dotknąłem czarnym językiem czubka nosa i puściłem oko.

To wystarczyło.

Rzucił się przez salę i zamachnął na moją szczękę. Uniosłem jedno ramię i odchyliłem się, blokując jego cios. Nie będę was zanudzał szczegółową relacją, powiem tylko, że młócił łapami jak kociak, a po chwili wyładowaliśmy na posadzce, gdzie chwyciłem go za głowę, potem za rękę i znów za głowę. Cuchnął tygodniowym potem, a jego skórzany strój najwyraźniej kiedyś pokrył się pleśnią, której nigdy nie udało się do końca usunąć. Barmanka wołała: „Spokojnie, spokojnie!” oraz: „Dosyć, dosyć!”, aż w końcu rozdzieliła nas końcówką cepa, który wisiał nad miedzianym lustrem, zapewne tego samego, którym rozwalala łby goblinom podczas Wojny Córek.

Wstałem, trzymając się za rozkrwawioną wargę, najwidoczniej bardziej poturbowany niż śmierdziel, który odrzucił do tyłu długie włosy ruchem, jakiego nie powstydziliby się kogucik. Jako że to on zadał pierwszy cios, a poza tym był wyjątkowym fiutem, barmanka pchnęła go w stronę drzwi. Po drodze zabrał swoje panienki.

– Pozdrowienia dla Gildii – rzucił tak paskudnym tonem, że nabrałem pewności, iż Poborcy kiedyś go przeżuli i wypluli.

– Przykro mi, że nie dopiłeś piwa – rzuciłem w stronę jego oddalających się pleców.

Podniosłem wzrok na miejsce, w którym wcześniej stała Spanthianka, ale ona wymknęła się podczas zamieszania. Kobieta, która miała cel. Kobieta, która nie chciała zostać rozpoznana. Intrygujące. Zobaczyłem, że elegancik o umalowanych oczach patrzy na mnie obojętnie, jakbym był psem, który zabłąkał się do tawerny. Puściłem do niego oko. Uśmiechnął się kpiąco i odwrócił wzrok, na co liczyłem, ponieważ musiałem przelożyć coś ze swoich ust do sakiewki.

To był sygnet śmierdziela.

Goblińskie srebro.

Pewnie najcenniejsza rzecz, jaką posiadał.

Warto było w kontrolowany sposób przyjąć kilka nieudolnych ciosów. Zdejmując sygnet, mocno ścisnąłem młodego za palec, więc zapewne wciąż wydawało mu się, że biżuteria jest na miejscu. Jeśli będę miał szczęście, zauważy brak sygnetu dopiero, kiedy będzie się kładł.

A ja zazwyczaj miałem szczęście.

Mnóstwo szczęścia.

Pod wieloma względami jestem całkiem zwyczajny. Nieco niższy od większości mężczyzn, ale to typowe u Galtów. Chudy jak bezdomny pies. Praktycznie bez tyłka, więc muszę nosić pasek, żeby utrzymać spodnie na północ od Wielkiego Rowu. Nieźle gram na skrzypcach, jak już wspominałem, a gdybym zaśpiewał, nie próbowałibyście mnie udusić, chociaż raczej nie wynajęlibyście mnie na wesele. Kilku rzeczy nie potrafię. Na przykład powstrzymać się od śmiechu, gdy coś mnie rozbawi. Albo dodawać w myślach. Uprawiać roli. Podnosić dużych ciężarów. Ale kradzież? Do tego mam talent. A częścią tego talentu jest wrodzone szczęście i jego świadomość. Szczęście to pierwszy z moich dwóch największych przyrodzonych darów – o drugim opowiem później.

Szczęście naprawdę istnieje, a każdy, kto twierdzi inaczej, chce sobie przypisać pełnię zasług. Szczęście jest rzeką. Potrafię wyczuć, kiedy w niej jestem, a kiedy wychodzę na brzeg. Zastanówcie się nad tym przez chwilę. Większość osób podejmuje trudne wyzwania, nie wiedząc, czy im się uda. Ale nie ja. Kiedy czuję w piersi ciepło szczęścia, jestem pewien, że uda mi się zabrać tej kobiecie torebkę, a w środku kryje się brylant

albo trzy złote lwy. Wiem, że zdołam przeskoczyć na sąsiedni dach, a moja stopa ominie obluzowane dachówki. A kiedy siadam do gry w Wieże, wiem, że przeciwnika zasypią Pszczoły i Łopaty oraz odwiedzi go stara przyjaciółka Śmierć.

Granie w gry losowe wzbudza we mnie szczęście, które wkrótce wymyka się spod kontroli. Nie da się bez końca wygrywać w karty albo w kości, ponieważ w pewnym momencie pozostali są gotowi poderżnąć wam gardło. Poza tym jeśli zużyję swoje szczęście przy stole, zabraknie mi go wtedy, gdy najbardziej będę go potrzebował. Kiedy czuję pustkę i chłód wyczerpanego szczęścia, wiem, że po wejściu na oblodzoną ścieżkę złamię sobie kość ogonową. Chodzę z pochyloną głową, ponieważ mam duże szanse na spotkanie z mężczyzną, którego oszukałem przed rokiem, albo z dziewczyną, z którą rozstałem się w nieprzyjemnych okolicznościach.

To dzięki szczęściu przeniosłem się ze słomianej farmy do prawdziwej szkoły, gdy dołączyłem do Gildii Poborców. Zazwyczaj zapisują wszystkich kandydatów do Niskiej Szkoły, ale tylko trzy z dziewięciu placówek są prawdziwe. Na farmach naucza się podstaw operowania wytrychem, wspinaczki i walki na noże, ale niczego bardziej zaawansowanego. Żadnych zaklęć. Żadnego odnajdywania pułapek ani mowy zwierząt, sztuki podstępów ani odwracania uwagi. Samo warunkowanie. Kiedy kończycie słomianą farmę, jesteście silni, szybcy, twardzi, nieco wyszkoleni i toniecie po uszy w długach. Jeśli jakimś cudem jesteście w stanie spłacić ten dług, tym lepiej dla was. Ale w przeciwnym razie podpisujecie kontrakt. To oznacza, że Gildia ma na swoje zawołanie tysiące osiłków, prostytutek i robotników. Może zwołać motłoch, który sterroryzuje miasteczko, a następnie rozproszy się, zanim pojawią się włóczęgi barona.

Ja uczęszczałem do Prawdziwej Szkoły.

A przynajmniej tak sędzę.

Tak czy inaczej, jestem bardzo zadłużony, ponieważ właśnie na tym im zależy.

Zresztą sami przeczytajcie.

Do Wielce Szanownego Kincha Na Shannacka!

Trzeci rok nauk fizycznych,

Pierwszy rok nauk magicznych,

Dłużnika

Z wielkim smutkiem i niemniejszym rozczarowaniem, jako kwestorzy Akademii Rzadkich Sztuk w Pigdenay, podległej Gildii Poborców, informujemy, iż rozmiar Pańskiego długu wykracza poza Pańską zdolność do pracy i wkrótce może Pana przytłoczyć.

Jako że średnia wysokość ostatnich czterech płatności na naszą rzecz wyniosła ledwie dwie truncje, w tak leniwym tempie nie będzie Pan zdolny spłacić długu wynoszącego osiemdziesiąt pięć truncji złota, jedną złotą królowkę, jednego srebrnego rycerza i trzy srebrne walety (plus odsetki) przez najbliższe szesnaście lat. Nie musimy pytać aktuariuszy, by wiedzieć, że to więcej, niż wynosi Pańska oczekiwana długość życia, jak również okres przydatności w branży. Tylko dzięki argumentacji jednego z Pańskich byłych mistrzów uznaliśmy, że cały i zdrowy jest Pan dla nas wart więcej niż okaleczony bądź martwy.

Z tego powodu nakazujemy Panu, pod groźbą pozbawienia kciuków, zgłosić się do najbliższej zarejestrowanej siedziby Gildii, gdzie zostanie Pan zbadany i przesłuchany, co zapewne zaowocuje zawarciem surowszego kontraktu. Według naszych wywiadowców podróżuje Pan Białą Drogą, zatem sugerowana najbliższa siedziba Gildii znajduje się w Cadoth. Oczywiście uiszczenie wstępnej opłaty w sumie dwóch złotych lwów i pięciu srebrnych sówek bądź jednej truncji złota, dwóch złotych królowek i jednego srebrnego szylinga uczyni naszą rozmowę znacznie serdeczniejszą i przekona nas o Pańskich zamiarach dotrzymania zobowiązań. Nie musimy przypominać, iż zdolności, jakie przekazujemy za naszymi murami, umożliwiają większości uczniów swobodną spłatę długu w ciągu siedmiu, a nawet trzech lat, przy odrobinie wysiłku i szczęścia. Nałożone na Pana łagodne piętno otwartej dłoni nie wystarczy, jeżeli wkrótce nie wzmoże Pan wysiłków.

Z wyrazami życzliwości (na razie),

Pokorni Kwestorzy

Mistrzów Rzadkich i Pożądanych Sztuk

Sygnowane

pierwszego dnia księżyca w miesiącu Popiołów

roku 1233

Obecnie był dzień osiemnasty, dokładnie w połowie Popiołów. Zbliżały się Dożynki, a wraz z nimi termin kolejnej raty płatności na rzecz Gildii. Sygnet Śmierdziela stanowił dobry początek, ale musiałem dokonać kilku kradzieży w Cadoth.

Poza tym potrzebowałem kupca.

3

Zasraniec

– Goblińskie srebro, co? – spytała starsza kobieta.

Przypatrywała się sygnetowi przez lupę, chociaż nie trzeba było lupy, by dostrzec, że wyszedł spod goblińskiego młotka; goblińskie srebro lśni na zielono, a niektórzy uważają, że jego dziwaczne piękno zawstydza złoto.

Niektórzy, czyli ja.

W blasku świec wyraźnie było widać także mój tatuaż z otwartą dłonią.

– Naraziłeś się Poborcom. Szukasz pracy?

Tak naprawdę nie zamierzała mnie zatrudnić. Chciała się dowiedzieć, jak bardzo jestem głodny. Nie dorobiła się swojego sklepu pełnego drogich kradzionych przedmiotów, zatrudniając nieznanomych.

– Mam już pracę, ale dziękuję.

– Nie ma za co.

Rzeczywiście nie było.

– Więc dla kogo pracujesz? Dla Cobba?

– Dziesięć szylingów – odrzekłem. – Będę wdzięczny za jakiegokolwiek sówki.

Roześmiała się, ukazując brązowe guzki, które uchodziły za jej zęby.

– Mam sówki, ale nie dostaniesz dziesięciu. Raczej sześć.

– Oboje wiemy, że sygnet jest dla ciebie wart piętnaście i sprzedasz go za królowkę i złotą dziwkę. Mam zamiar podnosić cenę o jednego szylinga za każdym razem, gdy zaproponujesz mniej, niż chcę. Teraz cena wynosi jedenaście. Jeśli wolisz zapłacić dwanaście, zaproponuj siedem.

– Ty mały zasrańcu – rzuciła.

– Nie podniosę ceny za wyzwiska, bo je lubię. Ale jeśli chcesz zdobyć ten piękny kawałek zielonego srebra, będziesz musiała zapłacić jedenaście, najlepiej w...

– Tak, wiem, w sówkach, ty mały...

– Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie zasrańcem, cena wzrośnie do dwunastu. Lenistwo cenię tylko u siebie.

Zamknęła gębę i popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami.

Przez drewniany sufit dotarło do nas chrapanie.

Przestała mrużyć oczy.

– Tak, wiem, na twoją prośbę miał za mną wyjść i obdarzyć mnie kilkoma mocnymi uściskami w bocznej uliczce. Rzuciłem drobne zaklęcie usypiające, kiedy gapiałaś się na mój sygnet. Magiczna sztuczka. Pomniejsza magia. Złodziejskie czary. Nie podziałyby na kogoś o silnym umyśle, ale sądząc po odgłosach, ten osobnik za bardzo lubi piwo i ledwie się mieści w koszuli. Tłuszciochy chrapią w charakterystyczny sposób.

Jakby na zawołanie chrapanie urwało się, a następnie rozległo z jeszcze większą mocą.

– Zapłacę ci dziewięć, żebyś jak najszybciej się stąd zabrał ze swoją wschodnią gadką, ty galtyjski zasrańcu.

– Zapłacisz mi trzynaście, ponieważ zaniżyłaś cenę, a potem się powtórzyłaś.

Poruszyła się, jakby chciała się na mnie rzucić, ale po chwili się uspokoiła.

– Dziesięć, chociaż to rabunek w biały dzień.

– Czternaście. A jeśli znów się zawahasz, mogę zacząć się zastanawiać, czy na sygnet nie chcieliby rzucić okiem w sklepie przy Łuczniczej, tym pod dzwonnica. Nad wejściem widziałem symbol pająka – to sklep Cobba, prawda? Twojego rywala? Kiedyś byliście kochankami, kiedy jeszcze oboje mogliście zobaczyć, czym sikacie? Usłyszałem w twoim głosie odrobinę cierpkiego ciepła, kiedy wcześniej o nim wspomniałaś. To, że jeszcze mnie nie wyrzuciłaś, dowodzi, że chętnie zapłacisz mi piętnaście szylingów, ale jeśli będziesz szybka i cwana, wezmę czternaście, ponieważ jestem sentymentalny, a ty przypominasz mi pewną śmierzącą staruszkę, z którą straciłem dziewictwo.

Zacisnęła usta samą siłą woli, odliczyła czternaście szylingów, bez żadnych sówek, po czym pchnęła je w moją stronę i wsunęła sygnet do kieszeni. Schowałem pieniądze, zastanawiając się, czy wypuści mnie bez ostatniej riposty.

Nie wypuściła.

Wyszczała te słowa jak wąż z Urrimadu:

– Widzę, że uważasz się za spryciarza, i być może masz rację, ale w moich oczach jesteś tylko brudnym złodziejskim czarnym językiem i nigdy nie będziesz niczym więcej.

Uśmiechnąłem się przymilnie, skłoniłem głowę i wyszedłem tyłem ze sklepu, omijając stróżkę śliny, która skapywała z otworu w suficie.

Kiedy zamknąłem drzwi, usłyszałem, jak coś się o nie rozbija.

Kocham emocje związane z handlem.

Ruszyłem do siedziby Gildii Poborców, żeby sprawdzić, w jakim stopniu jestem w stanie wkupić się w ich skąpo rozdawane łaski.

Dom Wisielca

– Jak twarz?

Siedziałem przy stole w Domu Wisielca. Budynek stał na widoku niedaleko frontowej bramy. Zapewniał oficjalny sposób na skontaktowanie się z Gildią. Oczywiście Gildia znajduje się w najmniej oczekiwanych miejscach, ale można ich spotkać także tam, gdzie afiszują się ze swoją obecnością, dzięki czemu nie muszą się obawiać baronów ani książąt, a kiedyś otwarcie drwili nawet z króla. Żadna korona nie trzyma się na głowie tak mocno, by nie mógł jej zrzucić cios noża w ciemności.

Zauważyłem kwadratowy drewniany szyld z wisielcem trzymającym własną pętlę. To był dobry znak, inkrustowany różnobarwnym drewnem i ozdobiony obwódką ze złotych liści. Do wolnej ręki wisielca przybito złotą monetę, ponieważ nikt nie ośmieliłby się jej zabrać. Zauważyłem, że to gallardiański lew. Wspominałem już, że je uwielbiam?

Kobieta siedząca naprzeciwko, która czytała mój rejestr zapisany na arkuszu z owczej skóry, była niepokojąco śliczna. Wyglądała na około dziewiętnaście lat, ale włoski stojące dęba na moim karku podpowiadały mi, że została zaczarowana, więc mogła być starsza nawet od tej skąpej wiedźmy, od której przed chwilą wyszedłem.

– Jak dotąd nikt doszczętnie mi jej nie obił, więc nie narzekam.

Wydawało mi się, że dziewczyna uśmiechnęła się nieco szerzej, ale mogłem się mylić. Za jej plecami zawodowa skrytobójczyni, tak szczupła, że dało się policzyć wszystkie mięśnie kryjące się pod jej obcisłym i skromnym strojem z wełny i jedwabiu, leniwie opierała się o bar, jakby nie była wcieleniem niebezpieczeństwa. Trudno było na nią nie patrzeć. Po jej zaczernionych policzkach, szyi i przedramionach widać było, że niemal od stóp do głów pokrywają ją glify pozwalające jej zniknąć, pić truciznę oraz nią pluć. Kiedyś widziałem, jak jeden z mistrzów Niskiej Szkoły latał. Naprawdę latał. Na świecie była ich najwyżej setka. A może tylko dwudziestka. Ten, kto znał dokładną liczbę, nie zamierzał jej zdradzić. Przestałem czytać glify na skórze skrytobójczyni, zanim ktokolwiek mnie na tym przyłapał. Zastanawiałem się, do czego służy tatuaż w kształcie zegara na jej piersi.

Fałszywa dziewczyna porównała pieczęć na moim dokumencie z wzorem w leżącej przed nią ogromnej księdze, a potem na obu kartkach napisała 1T 1K 14s. Przesunęła monetą świadka, którą nosiła na nadgarstku, nad jedną truncją, jedną królowką i czternastoma szylingami leżącymi na stole, a następnie schowała je do skórzanej sakwy, którą rzuciła skrytobójczyni, ta zaś zaniósła ją za bar, gdzie najwyraźniej zeszła po schodach, chociaż równie dobrze mogła się po nich wspiąć.

– Zostaniesz na noc, Kpiarzu? – odezwała się być może młoda kobieta i wyraźnie szerzej się uśmiechnęła.

Kpiarz to najniższa ranga w złodziejskim fachu, ale już prawdziwy złodziej, w odróżnieniu od Stracha na Wróble, a to już coś. Zostałem mianowany Kpiarzem w Niskiej Szkole w Pigdenay. Jeżeli spłacę dług, ukończę kolejny rok edukacji lub dopuszczę się kilku zuchwałych przekrętów, zostanę awansowany na Poślańca. Potem, jeśli dalej będę się wyróżniał w niewłaściwym towarzystwie, mogę zasłużyć na tytuł Fauna. Faun w mitologii ma nogi jelenia i niełatwo go złapać. Brzmi niezłe, prawda? Jedną z silnych stron Gildii jest jej poetyckość – człowiek ma poczucie, że jest częścią czegoś nie tylko niepowstrzymanie silnego, ale także przebiegłego i cwanego.

Większości z nas wystarcza tytuł Fauna, ponieważ ostatni poziom jest zarezerwowany dla ascetów i ludzi na wpół obłąkanych.

Przedstawiciele ostatniej złodziejskiej kasty, zwanej Głodującymi, składają śluby głodu i obiecują za nic nie płacić. Kiedy nie mogą kraść, pozostali ich utrzymują, ale nawet najstarsi i najpowolniejsi utrzymują się za pomocą rozmaitych intryg, planowania akcji dla sprawniejszych kompanów oraz nauczania. Miałem okazję pobierać nauki od kilku Głodujących.

Przesłuchująca jeszcze nie zamknęła księgi.

– Napisano tutaj, że wolisz wysokie dziewczęta. Czy to prawda? – Kiedy mówiła te słowa, jej nogi się wydłużyły i nagle patrzyła na mnie z góry. Ogarnęło mnie przyjemne, ale zawstydzające uczucie, które zmusiło mnie do skrzyżowania nóg. – Dziś mamy noc nowego księżyca. Najbardziej sprzyjającą dla kochanków. Jedna złota królowka i będę twoja do północy.

– Gdybyś wiedziała, co musiałem zrobić, żeby zdobyć te pieniądze.

– Gdybyś wiedział, co mogę zrobić, żebyś o tym zapomniał.

– Kto przypilnuje interesu, kiedy będę kalał twoje łono i kradł twoje serce?

– Usunęłam jedno i drugie. A pilnowaniem zajmie się ona – dodała, wskazując głową starszą, ale wciąż uroczą kobietę, która pojawiła się za barem.

Kolejne spojrzenie pozwoliło mi się upewnić, że to ta sama dziewczyna, która siedziała naprzeciwko mnie, tylko dwadzieścia lat starsza. „Dziewczyna” zapewne nie była zwykłą sekretarką ani dziwką, lecz Troską (stróżem prawa), a rozkazy bezpośrednio wydawał jej Problem (ktoś w rodzaju burmistrza). Poczzerwieniałem od paskudnej, kipiącej zazdrości. Wiedziałem, że niezależnie od tego, w jaki sposób się powieliła: za pomocą przeszczepu, echa czy zakrzywienia czasu, nigdy nie będę władał tak silną magią. Nigdy.

– Nigdy – odezwałem się.

– Co nigdy? – spytała, przyciskając język do kącika ust, a następnie go chowając.

– Nigdy nie pozbędę się tego tatuażu, jeśli nie... – Urwałem, wpatrując się w miejsce, w którym zniknął język, rozkoszując się erotycznym zaklęciem, które wokół mnie snuła.

– ...spłacisz długu? – dokończyła.

– Tak.

– A gdybym powiedziała, że mam dla ciebie pracę?

– Kazałbym ci mówić dalej i nie mógłbym oderwać wzroku od twoich ust.

– Mam dla ciebie pracę.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, przycisnęła do mojej głowy monetę świadka i za pomocą magii przekazała obrazy do mojego umysłu.

Zobaczyłem.

Zobaczyłem.

Biegłem w zimnie o zachodzie słońca.

Byłem kobietą, młodą dziewczyną przyciskającą monetę świadka do swojej głowy i oglądającą się przez ramię.

Ktoś wrzeszczał do mnie w mowie Rubieży, w języku gunnickim, którym na co dzień się nie posługuję, i kazał mi nie patrzeć.

Zobaczyłem dwukolorową wieżę w ruinach, jej rozsypane kamienie. Zobaczyłem potężny posąg przewrócony na twarz. Straż królewska ustawiła się w szyku, kierując włócznie o rozwidlonych grotach w stronę cienia wyłaniającego się z pyłu. Maszerowali do tyłu w bardzo zdyscyplinowany sposób, pomimo odczuwanej grozy. Huczały olbrzymie bębny, wyły dziwaczne rogi, a wszyscy krzyczeli. Kamienie oraz strzały przeszywały powietrze. Barani róg żałośnie wzywał do odwrotu.

Za ruinami strażnicy widać było kolejne mroczne sylwetki, każda dwukrotnie wyższa od człowieka i masywna jak beczka. Istoty dzierżyły topory o ostrzach z brązu, wielkich jak dziecięce trumny, a także proce, które mogły wyrzucać kamienie, jakie człowiek mógł podnieść tylko oburącz. Niektóre stwory niosły pnie drzew przeznaczone do miotania. Jeden z nich cisnął pniem, który obrócił się w powietrzu i trafił w halabardzistów, zabijając ich i kalecząc. Reszta strażników uciekła.

Czyjaś dłoń chwyciła mnie i obróciła. Zionąca winem kobieta z wielkim szmaragdem na złotej obróżce nakazała mi uciekać, po prostu uciekać, a gdzieś w oddali krzyknęło dziecko. Wszystko pociemniało i nagle znalazłem się na skalistym wzgórzu, skąd obserwowałem strumień małych postaci, które w ostatnich promieniach słońca opuszczały zrujnowane miasto, oraz strumień większych sylwetek wlewający się za mury. W niebo wznosiły się czarne słupy skłębionego dymu, a płomienie pożarów odbijały się od powierzchni dużego, spokojnego jeziora albo zatoki. Wrony i mewy krążyły nad polem bitwy tuż za wyrwą w zachodnim murze. Było mi zimno.

Potem byłem jasnowłosą dziewczyną, która w drżącym blasku świecy patrzyła w lustro z monetą przyciśniętą do głowy, a krew z zadrapania na czole lśniła na mojej skórze. Miałem na szyi szmaragdową obróżkę. Zdawałem sobie sprawę ze sztyletu przy swoim lewym boku, sztyletu, którym potrafiłem doskonale się posługiwać. Wypowiedziałem swoje imię, które nie należało do mnie, a moje włosy stały się brązowe. Powiedziałem, po gunnicku, że spłaciłem swój dług. Popatrzyłem na różę wytatuowaną na moim policzku, ledwie widoczną w blasku świecy. „Usuńcie ją”, powtórzyłem, patrząc obojętnymi oczami, po czym zadrżałem. Wtedy wszystko pochłonęła ciemność.

Moneta świadka to potężna magia i, o ile mi wiadomo, zawsze pokazuje prawdziwe obrazy. Właśnie ujrzałem coś, o czym w Ludzkich Krainach nie słyszano od co najmniej siedmiuset lat. To była armia olbrzymów. Nawet pojedynczy olbrzym jest groźnym przeciwnikiem, ale powiadano, że olbrzymy mieszkają w niewielkich klanach za Górami Niewolniczymi, gdzie doją swoje ogromne górskie woły i biorą do niewoli ludzi, którzy są na tyle głupi, by zapuszczać się za daleko na zachód. Raczej nie widuje się grup złożonych z więcej niż pięciu czy dziesięciu osobników. Fakt, że zebrały się razem i przekroczyły te zdradzieckie góry w liczbie wystarczającej, by zburzyć mury miasta, zmiażdżyć obrońców i przegnać mieszkańców na pogórze, stanowił zatrważającą nowość dla współczesnych pokoleń.

Czyżbyśmy przetrwali trzydzieści lat zmagania z kłaczami tylko po to, by zdeptały nas wielkoludy? Oczywiście to nie oznaczało, że Holt i wschodnie królestwa wkrótce znajdą się w ich cieniu – Hrava, stolica Rubieży, była oddalona od Holtu o osiem tygodni ciężkiej podróży wozem

zaprzężonym w osły albo woły bądź miesiąc trudnej żeglugi szlakami morskimi. Dzieliło nas sześć królestw. Ale jak liczna była ta armia? Czego chciała? Czy królestwa były w stanie ją powstrzymać, gdyby postanowiła ruszyć na wschód aż do Morza Mithreńskiego?

Wyrwała mnie z zamyślenia, odebrała mi monetę świadka i uszczypnęła mnie nie bez sympatii.

– Uważamy, że pewna Spanthianka, którą spotkałeś na drodze, wybiera się na Rubieże, zapewne do Hrawy. Dołączysz do niej. Jeśli ci się uda, zdobądź jej zaufanie, a jeśli nie, podążaj za nią niezauważenie i czekaj na dalsze instrukcje – rzekła kobieta. – Atak olbrzymów na tamto królestwo wprowadził w ruch potężne koła, a Gildia jest zainteresowana tym, w jaki sposób będą się obracały. Lepiej, abyś na razie nie znał szczegółów swojej misji. Jeśli będziesz zmuszony powiedzieć innym, jaki jest cel twojej podróży, wyjaśnij, że zamierzasz odzyskać magiczne przedmioty znajdujące się w relikwiarzu króla Rubieży, między innymi keshycką różdżkę-strzałę, pierścień Kocięgo Upadku oraz naszyjnik Twardego Kamienia.

– Do czego służy ten ostatni? – spytałem. – Sprawia, że wiekowi mężczyźni sztywnieją jak młodzieńcy?

– Nie. Ale podoba mi się twój tok myślenia.

Sposób, w jaki musnęła językiem zęby, wypowiadając te słowa, sprawił, że znów nie mogłem oderwać wzroku od jej ust.

– Czas nie jest twoim sprzymierzeńcem, Kinchu – dodała. – Spanthianka nie będzie zwlekać, ale staraj się nakłaniać ją do pośpiechu, a sam nie opóźniaj podróży, w przeciwnym razie zapłacisz cenę wyższą niż pieniądze. Dzisiaj jest dziewiętnasty dzień Popiołów, a księżyc pokazuje ciemne oblicze, które my, istoty nocy, tak bardzo kochamy. Postaraj się dotrzeć do Hrawy przed pierwszym dniem Winnic, czyli za dwa jasne księżycy, chociaż tylko bogowie wiedzą, co do tego czasu stanie się z miastem, które teraz upadło.

– Ta cała gadka o księżycach rozpałała we mnie krew – odrzekłem. – Pół królowki? Za pół nocy?

Uśmiechnęła się, ukazując zgniłe zęby, gorsze niż u właścicielki lombardu.

– Dostaniesz to, za co zapłacisz – stwierdziła.

Praktycznie wybiegłem z budynku.

Lisi kompan

– Wybierasz się na Rubieże? – spytałem Spanthiankę.

Działo się to w starej tawernie Pod Dereszem, w której ją namierzyłem, pięknym drewnianym budynku, uwielbianym przez podróżnych, którzy nie lubili za dużo wydawać i nie bali się śmierci w płomieniach. Wypowiedziałem te słowa, kiedy siedziałem na krześle obok jej łóżka, a pytanie nie było zbyt uczciwe, ponieważ spała.

Szybko jak letnia błyskawica chwyciła mnie za piętę i wywiesiła za okno, które wcześniej otworzyłem. Nie wiedziała, że odezwałem się dopiero, gdy byłem gotowy ją obudzić – wcześniej rozejrzałem się po pokoju i przetrząsnąłem jej skromny dobytek. Nie znalazłem wanny, tylko miskę z mętną wodą, w której się umyła. Teraz moczyły się w niej zakrwawione Iniane bandaże, a na ręce, którą skaleczyła moja strzała, znajdował się świeży opatrunek. Tarcza stała oparta o ścianę. Obok Spanthianki na łóżku leżał śliczny spadín z obnażonym ostrzem – bardzo podobny do gunnickiego saksa, ale bardziej elegancki. Kanciasty miecz o ostrzu długim na niecałe dwie stopy i szerszym przy końcu klingi, z wytrzymałą krawędzią, zboczem i ostrym czubkiem, który kojarzył się z odłamanym kawałkiem szkła. Jak szybko zdołałaby wbić to ostrze w moje serce, gdybym pochylając się nad nią, wypuścił z ust choćby jeden niewłaściwy oddech!

Ale właśnie dlatego mój fach zapewnia tyle emocji.

Nietrudno było zajrzeć do jej sakiewek. Miała mniej pieniędzy, niż należałoby ze sobą zabrać w daleką podróż, przynajmniej przy pasie. Niczego nie wziąłem. Miała zbyt mało pieniędzy, by tego nie zauważyła, a ja chciałem mieć ją po swojej stronie. Niestety, trudno jest mi zostawić pełną sakwę. Jestem chorobliwie zainteresowany pieniędzmi i czuję do nich miłość, która ma niewiele wspólnego z handlem. Po prostu uwielbiam ich wygląd, dotyk i zapach. Mam nadzieję, że pewnego dnia zgromadzę ich tyle, że będę mógł stale mieć je w rękach i nie będę musiał ich wydawać.

Miała ispanthiańskie srebro – trzy lotusy i dwie królewskie głowy ozdobione wizerunkiem długowłosego i wąsatego króla Kalitha w swoim najbardziej wąsatym wydaniu, ale także holtyjskie szylingi, kilka miedzianych strużyn, a nawet jednego gallardiańskiego lwa, wartego tyle, co cała reszta razem wzięta. Powąchałem go, przesunąłem kciukiem po jego krawędziach, a nawet włożyłem go do ust, żeby rozkoszować się jego smakiem. Czyste złoto. Bez obaw, zanim wrzuciłem monetę do sakiewki, wytarłem ją koszulą, ale najpierw jeszcze raz się jej przyjrzałem. Uwielbiam to, że lew wygląda, jakby się uśmiechał. Uwielbiam trzy pionowe miecze i ukośny sztylet na rewersie.

Gallardianie znajdują się na pieniądzach i są najlepszymi grawerami i rzeźbiarzami na wschodzie, równie dobrymi jak ci w Starym Keshu przed Stuknięciem. Moją ulubioną monetą jest gallardiańska sówka, która nawet nie jest złota. To zwykłe srebro. Ale ktokolwiek stworzył zdobiący ją wzór, musiał kochać sowy, ponieważ ma się wrażenie, że ptaszysko zaraz zacznie hukać. Staram się nie wydawać sówek, gdy je zdobędę, ale ostatecznie muszę, ponieważ zawsze kończą mi się pieniądze. Cokolwiek znajdowało się w torbie kurierskiej, musiało pozostać tajemnicą, ponieważ kobieta na niej spała.

Torba tylko lekko obciążała łóżko, więc nie było w niej zbyt wielu monet, jeśli to były monety. Zapewne kwity z banku, klejnoty albo inna lekka waluta, ale nigdy nie wiadomo, co ludzie kryją w swoich najpilniej strzeżonych bagażach. Czasami zamiast pieniędzy znajdowałem kosmyki z końskiej grzywy, torbę piasku albo dziecięce zęby. Najdziwniejszym, na co natrafiłem, było wysuszone serce, niemal na pewno ludzkie. Cieszę się, że tamten skurwiol mnie nie przyłapał.

Ale w końcu jeszcze nikomu nie dałem się złapać.

O czym to ja mówiłem? No tak, wisiałem głową w dół. Nie wyobrażajcie sobie, że Spanthianka trzymała mnie jedną ręką za kostkę jak jakiś ćwierćolbrzym z Gór Niewolniczych. Nie, złapała mnie oburącz i opierała łokcie o parapet. Nie broniłem się, tylko skrzyżowałem ręce na piersi. Prawdę mówiąc, czułem się całkiem dobrze, gdyż cała krew napłynęła mi do głowy.

– Wybierasz się na Rubieże? – powtórzyłem. – No i gdzie się podział tamten ptak?

– Nie wspominaj o ptaku.

– Dobrze. Jak masz na imię?

– Nie dowiesz się.

– W porządku. Ale czy wybierasz się na Rubieże?

– Jesteś złodziejem z Gildii. Jesteś wyszkolony i znasz magię. Jeśli cię upuszczę, nic ci się nie stanie, prawda?

- Czy jeśli potwierdzę, znajdziesz inny sposób na zrobienie mi krzywdy?
- Być może.
- W takim razie upadek wyrządzi mi straszliwą krzywdę. Proszę, dzielna wojowniczo, nie upuszczaj mnie na łeb.

Upuściła mnie, ale nie mam jej tego za złe.

Byliśmy tylko na trzecim piętrze.

Wykorzystując ścianę do spowolnienia upadku, wylądowałem na nogach i przetoczyłem się po ziemi. Potem szybko wspiąłem się z powrotem do okna. Trzymała miecz w gotowości, ale nie kierowała go w stronę mojej twarzy. Wiedziała, że mogłem ją zabić we śnie. Oczywiście nie była nieostrożna i szczelnie zamknęła okna, ale mnie trudno jest powstrzymać. A jeszcze trudniej zabić. Jeśli mówicie po galtyjsku i znacie moje imię, zapewne już się o tym przekonaliście.

W naszym czarnym, słonawym języku *kinch* to pętla na linie albo stryczek. Może także oznaczać supeł lub niespodziewany problem, a ja z pewnością byłem nim dla mojej matki, skoro przyszedłem na świat zaledwie trzy miesiące po ślubie rodziców. Myślę, że „niespodziewany kłopot” to znakomity opis większości Galtów, o czym przekonali się nasi najeźdźcy z Holtu. Potrzebowali pięćdziesięciu lat, by podporządkować sobie nasze ziemie, a potem żalowali tego przez kolejne trzy stulecia. Czarne języki nie lubią, gdy się im rozkazuje. Nigdy nikogo nie podbijemy, ale jesteśmy piekielnie niebezpieczni na własnej ziemi. Galtowie to urodzeni łucznicy i celnie rzucają wszystkim: od kamieni, przez włócznie po zgniłe kabaczki. Jesteśmy także dobrymi muzykami i doskonale radziliśmy sobie w siodle, gdy nasze konie jeszcze biegały po równinach.

Tak było, zanim przyszły gobliny.

Powiadają, że Galtowie wywodzą się od elfów, gdyż mamy delikatnie spiczaste uszy i drobne kości. Moje włosy mają miedziany kolor, prawie czerwony w świetle słońca, a broda, jeśli można tak nazwać mój skromny zarost, jest ruda. Kwestia pokrewieństwa z elfami nie została potwierdzona – większość uniwersyteckich dupków mówi, że to nieprawda, niektórzy twierdzą, że to niewykluczone, ale w każdej wiosce położonej niedaleko torfowisk opowiada się legendy o jakimś starym hodowcy bulw, który wyłowił z bagna niewielką, przypominającą człowieka istotę o poczerńiałej skórze i zaostrzonych uszach, przystrojoną najcudowniejszą biżuterią, jaką widziały oczy. Oczywiście nikt osobiście nie zna tego szczęściarza, a biżuteria już dawno została skradziona bądź sprzedana. Ale co ja mogę wiedzieć?

Znam tylko swoje imię.

- Jestem Kinch albo Kinch Na Shannack, albo jebany Kinch, jeśli wolisz. Nieraz tak się do mnie zwracano – oznajmiłem.

Stęknęła.

Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na parapecie, spoglądając na Spanthiankę swoimi dużymi, oszałamiająco uwodzicielskimi zielonymi oczami. Mówiono mi, że są jasne jak zachodni jadeit.

- Ruszymy razem na zachód?

Przez chwilę mi się przyglądała.

- Co możesz dla mnie zrobić?

- Raczej co możemy zrobić dla siebie nawzajem.

- Słucham.

- Będę trzymał wartę, kiedy zaśniesz. Będę cię okłamywał w nieistotnych, ale także ważnych sprawach. Jeśli pozwolisz, bym mówił w twoim imieniu, zadbam o to, żebyś nie trafiała na palantów ze świadem pyty i zawsze dostawała najlepsze wino z kupieckiej beczki. Już nigdy nie napotkasz drzwi, których nie będziesz mogła otworzyć, ani ściany, za którą nie będziesz mogła zajrzeć. Potrzebuję twoich rąk, ale ty potrzebujesz mojego nosa. Jeżeli weźmiesz na siebie większość walki, postaram się dać ci znać, skąd nadchodzą wrogowie, i pozbędę się najślabszych z nich. Nie będę twoim psem, ale jeśli jesteś choć w połowie taką wilczycą, za jaką cię mam, to właśnie znalazłaś lisiego kompana.

- Spytaj mnie ponownie jutro – odparła, po czym zasnęła, odwrócona do mnie plecami.

Podrzucona śliwka

Następnego dnia do Cadoth przybyli odziani w żółte koszule nastoletni posłańcy Gildii Gońców, a kiedy baron złamał pieczęcie na ich listach, miejscy heroldzi wspięli się na skrzynki, by odczytać pośpiesznie przygotowane odezwy. Pierwszym heroldem, którego zobaczyłem, była pulchna dziewczyna o głębokich płucach. Kiedy zaczerpnęła powietrza, miałem wrażenie, że słyszę smoka szykującego się do zionięcia ogniem.

– Słuchajcie wszyscy! Słuchajcie wszyscy! Do wielce szlachetnego i łagodnego barona Anselma z Cadoth i Jego Wysokości króla Conmarra z Holtu dotarły wieści, że kraina zwana Rubieżami! Została podstępnie napadnięta! Przez wojska przybyłe zza Gór Niewolniczych!

Dziewczyna była głośna, jej krzyki odbijały się od szyb i kamiennych murów, a usta otwierały się tak szeroko, że widziałem jej wszystkie zęby.

– Stolica, Hrava, upadła! A król być może nie żyje! Jeden z kupców z Molrovy, mężczyzna dobrze znany baronowi, wczoraj wieczorem przysłał posłańca! Zapewnia nas, że na mury jego królestwa, Wołowe Mury, położone nieco na wschód od Rubieży, wciąż nie padł cień! I że nie da się ich sforsować!

– Czy to były gobliny? – zawołała jakaś kobieta. Mówiła z silnym akcentem z Untheru i miała na sobie przypominający suknię tradycyjny płaszcz, spod którego wзираł równie tradycyjny dla mieszkańców Untheru bebecz.

Lecz status cudzoziemki nie czynił jej wyjętą spod prawa barona, więc heroldka wskazała ją pałką, a wtedy dwaj strażnicy, których dotychczas nikt nie zauważył, podbiegli do kobiety i zaczęli nią potrząsać, dopóki nie wyjęła z sakiewki srebrnej monety. W Cadoth nie wolno zakłócać obwieszczeń.

Wszyscy wiedzieli, że Góry Niewolnicze stanowią granicę Ludzkich Krain, więc każdy, kto przybywa zza nich na wschód, nie jest człowiekiem. Ale gobliny nie mieszkały na zachodzie, prawie nie spotykano ich także na północy. Gobliny nie lubią śniegu, przynajmniej tak słyszałem. Mieszkają na Ziemiach Hordy na południu, na olbrzymiej wyspie znanej także jako Stary Kesh, za Morzem Gorącym.

Tam je przepędziliśmy.

Na jakiś czas.

Ci ludzie nie widzieli trudnej prawdy, którą objawiła mi moneta świadka. Jeszcze nie wiedzieli, że olbrzymy ruszyły na wschód. Ale niektórzy zaczęli się tego domyślać, a reszta wkrótce miała pójść w ich ślady.

– Baron stoi u boku króla Conmarra i wie, że wy także go wspieracie: każdy mężczyzna, kobieta i dziecko. Nikt nie dorównuje wiernością mieszkańcom Cadoth! Ani dzielnością! Za sokoła Cadoth! Harrala!

Tłum „zaharralował”. Heroldka zeszła na ziemię i pośpiesznie udała się na kolejny plac, niosąc w ręku skrzynkę, a strażnicy potruchtali za nią. Poturbowana cudzoziemka z Untheru oparła się o dawno nieużywany kamień do przywiązywania koni i ostrożnie czknęła, sprawdzając, czy z jej ust nie wypłynie coś bardziej materialnego.

Tłum pogrążył się w rozmowach.

Słyszałem ich urywki.

– Jak dla mnie to początek wiecie czego.

– Mobilizacji? Naprawdę sądzisz, że ogłoszą mobilizację?

– ...ćwiczyłam strzelanie z łuku od dziecka. Niby po co, jeśli nie na taką okazję?

– Wciąż jesteś dzieckiem, dziewczyno, a mądry człowiek nie miele tak ozorem. Nie musiałabyś ćwiczyć strzelania z łuku, gdyby dwadzieścia lat temu nie posłali wszystkich młodzieńców na śmierć przeciwko goblinom. Szli setkami tysięcy z pól i sklepów, próbując stłamsić kłaczki samą swoją liczbą. A potem padali martwi na polach kukurydzy, trawach i piaskach. Padali na błocie i kamieniu, chorowali w obozach, a później przywlekali do domu chłostnicę albo jeszcze gorsze choroby.

– Ale potem pozwolono kobietom walczyć w Wojnie Córek, a kobiety są lepsze.

– Ani lepsze, ani gorsze. W Wojnie Córek miałyście do dyspozycji ptaki. No i byłyście wyszkolone. Poza tym mężczyźni walczyli u waszego boku.

– Jestem wyszkolona. Potrafię przeszyć sztyletem podrzuconą śliwkę.

– To tylko pokazuje, jaka jesteś miękka, skoro chcesz zabijać śliwki.

Stary miał rację. Podczas Wojny Młocarzy zabrakło rąk do zbierania plonów i większość mieszkańców Ludzkich Krain cierpiała głód. W Galtii mieliśmy więcej szczęścia dzięki lasom pełnym zwierzyny i rybom w rzekach.

- Zabiję goblina – przechwalała się dziewczyna.
- Wszyscy tak mówili i skończyli w kryptach z robakami.
- To nie gobliny – odezwał się inny staruszek.
- Właśnie, to coś gorszego.
- Nie ma niczego gorszego.
- Owszem, jest.
- Jak to? – zdziwiła się dziewczyna.
- Na gobliny możesz patrzeć z góry... ale to, co mieszka za Górą Niewolniczymi, zawsze góruje nad tobą.

Te ostatnie słowa wypowiedział jednonogi dziadek z podwiniętą nogawką spodni. Podpierał się kulą, zaciskając na niej dłoń, której brakowało kilku palców. A więc zabójca goblinów. To był ślad po goblinich zębach.

Tylko że ja nie zmierzałem w stronę goblinów, co wzbudzało we mnie dziwną ulgę.

Chociaż nigdy nie widziałem na oczy żywych goblinów, wiedziałem, że kiedyś upichciły zarazy, które wpędziły nas w choroby i zabiły nasze konie. Wiedziałem, że druga wojna, zwana Wojną Młocarzy, potoczyła się tak źle, że dziś trudno było znaleźć żywych mężczyzn między trzydziestym a sześćdziesiątym rokiem życia, a Wojna Córek zmusiła do wojaczki tak wiele kobiet, że na świecie niemal nie było dzieci w wieku od ośmiu do piętnastu lat.

Olbrzymy, które widziałem dzięki monecie świadka, niewątpliwie były straszne, ale ludzie i gobliny zostali stworzeni do tego, by zabijać się nawzajem.

Narzeczona Chuderlaczki

Około południa siedziałem samotnie w tawernie Pod Jeleniem i Cichym Bębem, szanowanym lokalu o pochyłych kamiennych ścianach podpartych prostymi słupami z białej sosny. Podobało mi się, że chociaż właściciel starał się, by jego przybytek dobrze wyglądał z zewnątrz, poddasze było pełne nieużywanych gratów, pośród których urządziłem sobie poślanie po rozstaniu ze Spanthianką.

Jako że pokoje okazały się nieco zbyt wyszukane, nie ze względu na ich jakość, ale na zawartość mojej sakiewki, zakradłem się do środka przez jedno z wysoko położonych okien i znalazłem drabinę prowadzącą na stryszek. Bawiło mnie niezmiernie, że wykradam się z ich poddasza, a następnie wracam, by płacić za piwo. Byłem już nieźle wstawiony i jak zwykle w takich chwilach tak mocno zatopiłem się w myślach, że straciłem ostrość widzenia i wyglądałem na półgłówka. Czasami nawet oddychałem ustami. Kiedy zachowuję się tak na ulicy, ludzie dają mi jałmużnę. Próbowali mnie tego oduczyć w Niskiej Szkole, ale w końcu dali za wygraną. Jeden z mistrzów przekonywał, że to oznaka inteligencji, podczas gdy inny twierdził, że raczej objaw idiotyzmu. Ten pierwszy, jeden z Magów Przełożonych, uwielbiał mnie za mój talent do języków, a drugi, Skrytobójca od Sznura, potępiał moją bezpośredniość oraz swobodę, przez którą miałem „szybko pożegnać się z życiem”.

Nie da się zadowolić wszystkich.

A zatem siedziałem, wpatrując się w dal i niemal tocząc ślinę z ust, podczas gdy ściany Bębna trzęsły się od galtyjskiej przyśpiewki napisanej w dawnej holtyjskiej mowie. Była to absurdalna piosenka o zaczarowanym kocie Byczku, a ja nie miałem ochoty tłumaczyć, że tam, skąd pochodzi, śpiewa się ją galtyjskim dzieciom, aby uczyć je języka holtyjskiego, którym mają obowiązek się posługiwać.

Ale tutaj, w samym sercu Holtu, wszystkie kerki z piwem ciekącym po brodzie łączą siły w chóralnym śpiewie za każdym razem, gdy słyszą tę melodię, wykrzykując wszystkie zapamiętane zwrotki piosenki, której w Galtii nie śpiewa nikt, kto wyrósł z krótkich spodenek. Chociaż trzeba przyznać, że ta rymowanka idealnie sprawdza się jako pijacka przyśpiewka.

Rozmyślałem o olbrzymach.

Jak już wspomniałem, pochodzę z Galtii, najdalej wysuniętego na wschód spośród trzech królestw tworzących Holt.

A mówiąc konkretnie, z Platha Glurris, co oznacza „Lśniącą Rzekę” w języku Galtów, pierwszego ludu, który władał Holtem, chociaż prawdziwa rzeka znajduje się pod ziemią i jest zbudowana ze srebra.

Mój tata wydobywał srebro, podobnie jak ojciec mojego najlepszego przyjaciela, dopóki nie zginął z rąk goblinów podczas jednej z bitew Wojny Córek w 1222 roku, gdy miałem dwanaście lat. Mój tata wrócił z tej samej bitwy i od tamtej pory rzadko odzywał się więcej niż jednym zdaniem, a i to nie zdarzało się często. Oczywiście patrzyłem na jego cierpienie zaledwie przez rok z kawałkiem, ponieważ w wieku czternastu lat wstąpiłem do Niskiej Szkoły, a on zapewne nawet nie zauważył mojego odejścia. Nigdy nie pracowałem w kopalni i, jeśli bogowie pozwolą, nigdy nie będę tego robił. Górnicy harowali jak muły w ciemności pod ślicznymi wzgórzami przez osiem z dziewięciu dni tworzących tydzień, ale ostatniego dnia, w dzień kompanów, wybierali się do kościoła i śpiewali pieśni. Potem pili ciemne chmielowe piwo, aż oni i ich żony byli zbyt zamroczeni, by na czas się powstrzymać, i w ten sposób zwiększali liczebność ludzkiej rasy.

Do jakiego boga śpiewał mój ojciec? Nie do galtyjskich relikwów, jeleniogłowego Harosa albo Fothannona o lisim pysku. Nie do Mithrenora, dawnego holtyjskiego boga morza. Nic z tych rzeczy, mój ojciec czcił Wszechboga, reprezentowanego przez dysk z brązu wpisany w drewniany kwadrat albo, w przypadku ludzi bardzo zamożnych, przez złoty dysk wpisany w kwadrat z żelaza bądź ołowiu.

Wszechbóg, zwany także Sathem albo Ojcem Słońce, był oficjalnym bóstwem Holtu i jego królestw. Moim zdaniem Wszechbóg to bóstwo kompromisu i miernoty, cenione przez szlachtę za pochwałę pracy, posłuszeństwa i zarabiania tylko tyle, by przeżyć do następnej wypłaty.

Prostak, który wymyślił takiego boga, wykazał się szokującym brakiem wyobraźni. Wyszedł z domu i postanowił oddawać cześć pierwszemu obiektowi, który zmusił go do zmrużenia oczu. To bóstwo bardzo odmienne od rozczochranych, rozmiłowanych w kazirodztwie bogów Galtów. Przeciwieństwo Zakazanego Boga, zwanego także Odwróconym Bogiem, o którym w Ludzkich Krainach nie wolno mówić publicznie, jeśli nie chce się skończyć z rozplatanym językiem. Powiada się, że stary dobry Odwrócony jest prawdziwym bogiem Gildii Poborców, ale znają tę tajemnicę tylko członkowie wewnętrznych kręgów władzy.

Niewykluczone, że ten bóg istnieje, skoro drażni tak wielu ludzi, ale Wszechbóg to na pewno bzdura. Do takiego bóstwa ludzie modlą się o to, by woda była mokra, a ogień gorący, albo żeby olbrzymy nie pojawiły się na terenach, na których nikt nie widział ich od tysiąca lat. Jest specjali-

- Kim ty jesteś? - spytałem. - To znaczy poza imieniem. Galva, zgadza się?

- Galva.

- No tak.

- Nie musisz znać dalszego ciągu mojego imienia.

- Bardzo tajemniczo. Jesteś sławna?

- Każdy jest sławny dla kogoś.

- Czyli tak.

Czekałem, aż powie coś więcej, ale ona tylko patrzyła na mnie ponad krawędzią kieliszka, jakby czekała, aż to ja coś powiem, więc powiedziałem.

- Czym zastynęłaś, Galvo Spanthianko? Jesteś znaną zabójczynią?

- Nie widziałeś, żebym kogokolwiek zabiła.

Rzeczywiście, miała rację.

- To dobry początek. Dlaczego ich nie zabiłaś? Chodzi mi o pozostałych rozbójników. No i mnie? Jesteś Galwą Miłosierną?

- Tamtego dnia tak.

- Okaleczyłaś ich, żeby spowolnić resztę. Troszczyłaś się o nich.

Lekko uniosła kieliszek, jakby wznosiła toast za moją przenikliwość.

- Jeszcze nigdy nie wiedziałem, żeby ktoś walczył tak jak ty. Nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kogo chciałbym mieć przy swoim boku, gdybym wpadł w tarapaty. Do tego ten wielki, wredny, imponujący bojowy kruk. A gdzie on właściwie jest?

- Ona. Nie pytaj mnie o ptaka.

- Wiem, że korzystanie z nich nie jest całkowicie legalne, ale to nie moja dziedzina niepraworządności. Co grozi w Ispanthii za posiadanie bojowego ptaka?

Popatrzyła mi w oczy i wypita łyk, zanim odpowiedziała:

- Wyciągają flaki hakiem i karmią nimi ptasich padlinożerców.

- To wydaje się właściwe.

- Nasz ukochany król Kalith ma smykałkę do karania.

- Tutaj w Holcie wszystko załatwia się prościej. Nie byłbym zdziwiony, gdyby po prostu cię powiesili.

- Nie, tu odwracają cię nogami do góry i przepiłowują wzdłuż.

Wykonała prawą dłonią gest piłowania, jednocześnie udając, że trzyma jakiegoś niewidzialnego złoczyńcę za kostkę. Zastanawiałem się, czy wyobrazony mieszkaniec Holtu był do niej skierowany twarzą, czy plecami.

- Myślałem, że to kara za zdradę - odrzekłem. - No i kazirodztwo. Nie lubimy tutaj kazirodców od czasu rządów Thamrina Bez Szyi.

- Wiesz, co spotkało większość z tych kruków?

- Nie wiem. Pewnie trafiły do wielkich klatek w Ispanthii i Gallardii?

- Tak wmawiają ludziom. Ale ptaki zostały zabite. Było ich siedem tysięcy. Mądry i Groźny Kalith uznał, że są zbyt niebezpieczne, by je przetrzymywać w takiej liczbie. Dlatego na oczach tych, którzy nauczyli się je kochać i ufać im na polu bitwy, nakarmił je zatrutym mięsem, a następnie spalił. Właśnie tak potraktował kruki, które pomogły nam odeprzeć gobliny. Nieliczni z nas się sprzeciwiali. Inni na jakiś czas zaginęli, by ukryć swoich pierzastych kompanów, a następnie przekazali wieści o ich śmierci.

- Gdzie można ukryć takie zwierzę? Przecież one rzucają się w oczy.

Nie odpowiedziała.

Zacząłem rozdawać karty do partyjki Wież, ale odepchnęła je, więc zwinnie złożyłem i schowałem talię.

- Jak ona ma na imię? - spytałem. - Twoja kruczycza.

- Dalgatha.

- Co to znaczy?

- Chuderlaczka.

- To wasza bogini śmierci, prawda? Szkielet ze skrzydłami i pięknymi włosami.

Ponownie na mnie popatrzyła. Jej oczy wwierały się w głęb czaszki.

- To także wasza bogini.

- Osobiście wolę bardziej kształtne.

- Nieważne, co wolisz. To ona prosi do tańca.

Nie miałem na to odpowiedzi, więc przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, dopóki Galva nie przerwała ciszy.

- Powiedziałeś, że nigdy nie spotkałeś kogoś, kto tak dobrze walczy jak ja, ale nie widziałeś wojowników, których ja widziałam. Poza tym miałam nieco praktyki.

- Wojny Goblinów?

- Tak.

- Orfay?

- Nie, Goltay.

Stłumiłem dreszcz. Bitwa pod Goltay była naszą ostatnią wielką porażką. Miała miejsce dziewięć lat temu, w 1224 roku. Nazywano ją także Zagładą Królestw. Wszyscy kojarzyli tę nazwę. Każdy znał kogoś, kto w niej walczył. Mało kto znał kogoś, kto wrócił.

- Było tak źle, jak mówią? - Od razu pożałowałem tego pytania. Żałowałem, że nie mogę wepchnąć go sobie z powrotem do ust.

– Nie – odpowiedziała z niepokojącym spokojem. – Przypominało zbieranie kwiatów na łące. Było tak pięknie, że większość moich przyjaciół oraz moi dwaj bracia postanowili zostać.

Nie byłem w stanie ocenić, czy przemawia przez nią wściekłość, sarkazm czy nauki Chuderlaczki. Jej wyznawcy nie powinni źle mówić o śmierci.

Odwróciła oczy. Przyglądałem się jej bliznom, szukając śladów ugryzień, ale przestałem, kiedy znów przeniosła na mnie wzrok.

– Moja kolej – odezwała się. – Gildia złodziei.

– Poborców.

– Było warto? Chodzi mi o szkolenie, które odebrałeś. To właśnie tak działa, prawda? Zmieniają cię w złodzieja albo zabójcę...

– W moim przypadku złodzieja.

– Nie przerywaj.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

Otworzyłem i zamknąłem usta.

– Zmieniają cię w złodzieja, a ty masz wobec nich dług do końca życia, a wszyscy mogą bić cię po twarzy, żeby dostać wino.

– Zazwyczaj piwo; tylko Spanthianie oraz Gallardianie barwią sobie języki na fioletowo. Nie do końca życia, chyba że wkrótce umrę. Poza tym naznaczają otwartą dłoń tylko tych, którzy zalegają z płatnościami.

– Dobra inicjatywa.

– Każdego dnia coraz skuteczniejsza.

– Zmuszają cię do robienia różnych rzeczy – dodała.

– To jeden ze sposobów na spłatę długu. Akt Dłużny.

– Gorsze rzeczy niż napadanie na nieznajomych?

– Mam nadzieję, że nie gorsze niż napaść na ciebie.

– Więc dlaczego po prostu czegoś dla nich nie zrobisz i nie spłacisz zobowiązań?

– Zabawne, że to mówisz. Właśnie z nimi rozmawiałem. Przyjąłem zlecenie. Posyłają mnie na zachód.

– Na Rubieże.

Pokiwałem głową.

– Dokładnie do Hrawy. Zapewne. Ale owszem, na Rubieże.

– W jakim celu?

– Mam zachować dyskrecję, a nie o wszystkim ci opowiadać. Możemy udać, że cię okłamałem?

– Nie. Okłamał mnie.

– Dobrze. Wybieram się tam, żeby ukraść kilka magicznych przedmiotów.

– Dobrze. Ja mam odnaleźć zaginioną księżniczkę.

– Idealnie.

– Dobrze.

– Może pomogę ci ją odszukać.

– Może będę ci wdzięczna.

– Zgoda.

– Dobrze. – Napiła się wina.

– A odpowiadając na twoje pytanie, było warto. Poborcy. Niska Szkoła.

– Co potrafisz?

– Niezwykłe rzeczy.

– Słyszałam o rozmawianiu ze zwierzętami. Umiesz to robić? – spytała, nieco unosząc ciemne brwi.

– Znam mowę zwierząt, ale nie chodzi o rozmawianie ze zwierzętami, tylko wydawanie zwierzęcych odgłosów.

– Szczekanie jak pies?

Wydałem z siebie idealny skowyt wystraszonego psa, a następnie płynnie przeszedłem w wiarygodnie brzmiące warczenie.

– *Bolnu* – odezwała się, ważąc coś niewidzialnego, ale przyjemnego w odwróconej dłoni. Bardzo ispanthiański gest. – Czy to czary?

– Nie, tylko wyuczona umiejętność.

– Znasz się na magii? – spytała.

– Tylko odrobinę.

– Ja też trochę się na niej znam. Ale nie za dobrze.

– Nie sądziłem, że ten ptak wypadł ci z tyłka.

Napiła się wina i posłała mi bardzo poważne spojrzenie.

– To byłaby bardzo mroczna magia – stwierdziłem.

Zmrużyła oczy, zastanawiając się, do czego zmierzam, ale nie wyglądała na zachwyconą.

– Ale nie czarna.

Czekała.

– Brązowa – dodałem.

Zastanawiała się, czy „brązowa magia” może mieć jakieś inne znaczenie poza niedojrzałym kloacznym żartem. Nie znalazła go, więc zamknęła oczy i z rozczarowaniem pokręciła głową.

Nie po raz ostatni.

Byczek

Galva powiedziała, że ma plan i powinienem spotkać się z nią obok wieży Harosa następnego dnia o świcie. Niestety, niecałą godzinę po wyjściu z tawerny Pod Jeleniem i Cichym Bębniem zostałem aresztowany.

To nie była moja wina.

Kiedy tylko zostawiłem łuk i tobołek na poddaszu tawerny, żeby móc się wygodniej przemieszczać, ruszyłem na miejski rynek, gdzie heroldka oznajmiła nadejście olbrzymów z Rubieży. Teraz wydierał się tam ktoś inny. Grupka komediantów przyjechała wozem obwieszonym dzwonkami, poszarpanymi sztandarami i kawałkami poplamionego lub kradzionego jedwabiu. Otworzyli jedną ze ścian wozu i oparli ją na nóżkach, tworząc niewielką scenę wznoszącą się jard nad ziemię. Na wozie widniał napis DAMY LAMNURU, a w składzie trupy rzeczywiście nie było ani jednego mężczyzny.

Wokół zgromadziło się kilkudziesięciu gapiów, ale tylko jedna trzecia z nich usiadła na przygotowanych ławkach – większość trzymała się na obrzeżach, zapewniając sobie swobodę wyboru, gdyby znudzili się i zechcieli odejść. Oni byli najłatwiejszymi ofiarami.

Trupa wystawiała jedną ze Sztuk Koronacyjnych. Były to krótkie farsy, trwające pół godziny, które miały nie tylko rozbawić widownię, ale także nauczyć ją imion zagranicznych królów i królowych. Aktorzy mogli do woli kpić z cudzoziemców, ale wątpiłem, aby na deskach pojawiła się postać szlachetnego króla Conmarra z Holtu.

Rzeczywiście, tematem dzisiejszego przedstawienia była Szalona Księżniczka, ispanthiańska infantka Mireya, którą grała ładna dziewczyna w czerwonej sukience. Towarzyszyła jej tresowana małpka, podobnie jak prawdziwej Mireyi, która później utrzymywała, że zwierzak z nią rozmawiał i przepowiadał jej przyszłość. Rola małpki przypadła karlicy, która miała talent do wydawania małpich odgłosów i energicznie fikała koziołki.

MIREYA: Powiedz, małpko, co się stanie!

MAŁPKA: Wujek twój nadchodzi, pani,
Strzeż się, gdyż jest podłym draniem.

MIREYA: Powiedz, małpko, co to znaczy!

MAŁPKA: Wujek, kiedy go zobaczy,
Twego ojca otruć raczy!

W tym momencie na scenę wkroczyła aktorka w za dużej masce króla Kalitha, ozdobionej długimi na stopę wąsami. Niosła ogromny kielich, w którym chlupotało wino. Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy Spanthianka ogląda tę kpinę z jej ojczystego dworu, ale jej nie zauważyłem. Kalith ochlapał winem króla i królową, którzy tańczyli nieświadomi tuż obok sceny. Oboje zakrztusili się i upadli, a Kalith wziął dużą pomalowaną koronę i włożył ją sobie na głowę.

MIREYA: Powiedz, Wujku, co się stanie!

KALITH: Powstrzymałem głupców taniec,
Królem Spanthian dziś zostanę!

Mireya wykrzyknęła, a jej małpka wywinęła koziołka.

MIREYA: Powiedz, Wujku, o swych planach!

KALITH: Jeśli wiedzieć chcesz, kochana,

Nie dożyjesz nawet rana!

MAŁPKA: Gwałtu, rety, co się dzieje,

Drań zabije nam Mireyę.

Niektórzy widzowie zachichotali. Pulchna kobieta, której torebkę rozciąłem nożykiem, z pewnością dobrze się bawiła. Kiedy Kalith rzucił się na księżniczkę, Mireya podniosła małpkę i stwierdziła, że ta przestrzegła ją przed jego zdradą. Wtedy komediant grający martwego ispanthiańskiego króla, ojca Mireyi, na chwilę wstał, by przemówić. Ostrzegł swojego brata, Kalitha, że bogowie zawsze mszczą się na tych, którzy krzywdzą szaleńców, a nikt przy zdrowych zmysłach nie rozmawia z małpami. Kiedy Mireya to usłyszała, zaczęła fikać kozły nie gorzej od małpki, a nawet udawała, że ciska odchodami w publikę. Większość widzów wyła z uciechy, wliczając młodą damę, którą potrafiłem, udając napad śmiechu, i pozbałem srebrnego kolczyka.

Z perspektywy czasu cieszę się, że Spanthianka nie widziała, jak infantka z jej ojczyzny rzuca kupą – zapewne pobiłaby komediantów płazem spadłina i wywołała awanturę. Nigdy wcześniej nie słyszałem o Damach Lamnuru, ale nie były takie złe. Nie obejrzałem sztuki do końca, ponieważ po ukradzeniu wszystkiego, co się da, lepiej się oddalić, dlatego przenieśliśmy się w inne okolice. Zresztą znałem dalszy ciąg przedstawienia.

Mireya, która uszła z życiem dzięki udawanemu obłądowi, wyszła za mąż za króla Gallardii, daleko od ojczyzny i zdradzieckiego wuja, który chciał ją skrzywdzić. Król został pożarty przez gobliny podczas Zagłady Królestw. Na koniec farsy wszyscy aktorzy brali w ręce rekwizyty w kształcie goblinich głów i udawali, że gryzą króla Gallardii. Dopiero od około roku komedianty odważali się odgrywać gobliny na scenie, a ja uznałem to za oznakę powracającej siły.

Nie można robić sobie żartów z czegoś, czego wszyscy wciąż panicznie się boją.

Rany mieszkańców Ludzkich Krain zaczynały się goić.

Komedianty zapewne całkiem dobrze zarabiali na kpinach z przywar naszych sąsiadów na południu i wschodzie. Później usłyszałem, że karlica połykała wszystkie srebrne i złote monety, które otrzymywała. Ciekawe, czy pozostali puszczali ją samą do wygódki.

Następnie wybrałem się do Iskier, starej dzielnicy kowalskiej w pobliżu doków, i wstąpiłem na targ. Obok stoiska z węgorzami zauważyłem bandę kotów, które, typowo po kociemu, kręciły się przy rybach, ale jeden z nich wyraźnie się wyróżniał. Był to wychudzony, szaro-brązowy przegowany kocur, który poruszał się wolniej od reszty i nigdy nie skakał, tylko ocierał się wąsami o ściany przy moście i trzymał z daleka od otwartych przestrzeni. Kiedy stara handlarka odrąbywała głowę świeżemu węgorzowi, rzucała ją do rynsztoka, a wtedy inne kocury zaczynały o nią walczyć, ale ten nigdy do nich nie dołączał. Tylko kiwał łbem, szukając zapachu, a potem nieśpiesznie podchodził i zadowalał się lizaniem miejsca, w którym wylądowała głowa następnie zabrana przez jego kompanów.

Był ślepy.

Nagle pojawili się łapacze kotów.

Kilkanaście lat temu, podczas jednej z zaraz zesłanych przez gobliny, jakiś stary pryk z gallardiańskiego uniwersytetu stwierdził, że jedną z chorób, chłostnicę, przenoszą koty, więc zaczęto topić, zabijać pałkami i na wszelkie inne sposoby eliminować wszystko, co miało spiczaste uszy i zawiadziły wyraz pyszczka. Zaraza w końcu dobiegła końca, jak wszystkie inne goblinie plag, i ludzie przestali wyłapywać koty. Nie licząc barona Cadoth, którego syn zmarł na skutek zakażenia po ugryzieniu kota. Powiadano, że chłopak robił zwierzakowi coś okrutnego i dziwnego – nie to, o czym myślicie, coś jeszcze dziwniejszego – i nikt bardziej niż on nie zasługiwał na pechową śmierć. Ale bogaci pielęgnują urazy, na które biedni nie mogą sobie pozwolić, więc baron nie cofnął rozporządzenia. Na szczęście dla kotów za sprawą inflacji nagroda tak bardzo straciła na wartości, że nikt już nie kłopotał się ich odławianiem, a baron nie miał ochoty jej podnosić, więc koty powróciły.

Za dwie miedziane strużyny, jakie płacono za skórkę, nie można wiele kupić, ale taka suma wystarczy na bochenek chleba. Albo na haczyk do łowienia ryb. Albo na trzy jabłka. Za trzy ustrzelone koty można zjeść kolację. Łapanie kotów nie przysporzy wam przyjaciół, ale może was uchronić przed śmiercią głodową. Pojawiła się dwójka najbrudniejszych nastoletnich dupków, jakich widzieliście, z workami na plecach, sandałami owiniętymi szmatą i tanimi, ale paskudnie wyglądającymi kuszami. Ledwie zdążyłem się domyślić, kim są, a już obaj wystrzelili.

Jeden bełt uderzył o kamień i skrzesał iskrę, ale drugi trafił rudzielca o długim futrze między żebra. Wszystkie koty czmychnęły oprócz ślepego, który próbował uciec, ale zderzył się ze ścianą, potem bezskutecznie próbował odbiec w dwóch różnych kierunkach, aż wreszcie skulił się pod ścianą, dygocząc na całym ciele. Jeden z uzbrojonych gnojek schował do worka truchło rudzielca, a drugi charknął i splunął, przeładowując kuszę zardzewiałym bełtem, który wyciągnął z kieszeni. Ślepy kocur siedział bez ruchu, kierując w naszą stronę szeroko otwarte, bezużyteczne żółto-zielone ślepia. Większość przechodniów odwróciła wzrok, ale dwójka gówniarzy zawyła z uciechy. Gnojek z kuszą wycelował.

– Zaczekaj – odezwałem się i przysięgam, że stanąłem pomiędzy nim a kotem.

– Czego, knapie? – spytał uroczy Holtyjczyk.

– Zapłacę ci dwie strużyny, jeśli nie zastrzelisz Byczka.

– Jasne, jasne – odpowiedział, opuszczając kuszę.

Miałem paskudne przecucie, że zastrzeli kota, gdy tylko dostanie pieniądze, ale nie miałem prawa go osądzać. W końcu nie zamierzałem dawać mu dwóch strużyn.

Kiedy się do niego zbliżyłem, wyjąłem zza paska mały, ale bardzo ostry nożyk i, szybko jak wąż, przeciągnąłem ostrzem kolejno po obu jego zarośniętych policzkach, w górę i w dół, jednocześnie z trzaskiem strącając jego kuszę na ziemię. Podciąłem drugiego z młodziaków – Niska Szkoła szkoli specjalistów od wszelkich rodzajów podcinania, oślepienia i wywracania – a kiedy runął na bruk, podbiegłem do kota. Chwyciłem go za skórę na karku i rzuciłem się do ucieczki, podczas gdy zwierzak wymachiwał tylnymi łapami w powietrzu.

– Mój kot! – wrzasnął zabójca rudzielca za moimi plecami. – Ten galtyjski kutas ukradł mi kota i mnie zaatakował!

Naprawdę nie wiem, skąd się tam wzięła strażniczka, ale wciąż byłem nieco pijany po wizycie Pod Bębniem, a ona była wielka, szybka i twarda. Miałem ręce zajęte kotem i nie mogłem nic zrobić. Zanim zorientowałem się, co się dzieje, zobaczyłem w jej napierśniku odbicie swoich zielonych oczu i szeroko otwartych ust oraz ulicznego kocura wijącego się w mojej lewej dłoni. W świetle dnia nie widziała mojego tatuażu, ale nie spędziliśmy zbyt wiele czasu na świeżym powietrzu.

– Gildia, co? – spytał urzędnik w drżącym blasku więziennej świecy.

O ścianę w głębi opierali się jego pomagierzy.

– Tak, proszę pana.

– Dobre maniery ci nie pomogą, podobnie jak twoja Gildia, czarny języku. Wiesz, co mówią o złodziejach, którzy dali się złapać?

– Nie jestem złodziejem.

– Tak, a ja chętnie dam im cynk. Obaj wiemy, jak to działa. Co twoi mistrzowie mówią o złapanych złodziejach, chłopcze? Chyba wspominają coś o gałęziach.

– Przycięte gałęzie karmią drzewo.

– Mm-hmm.

– O co jestem oskarżony? Niczego nie ukradłem.

– Tamten człowiek twierdzi, że to jego kot.

– Dotknąłem go pierwszy, czy to nie oznacza, że jest moim kotem?

– Tak mówi prawo.

– Więc mogę odejść?

– Mógłbyś, gdybyś nie dobył noża przeciwko mieszczaninowi, choć używam tego określenia z głębokim poczuciem ironii.

– Jest pan zbyt bystry do tej roboty.

– Mógłbym to samo powiedzieć o tobie, koci złodziejaszku, rozpruwaczu torebek. Żartowniś z ciebie. Zaprzeczasz, że przewróciłeś jednego, a drugiego zaatakowałeś nożem?

– To nie był duży nóż.

– Po co to zrobiłeś?

– Kot jest ślepy. To nie było uczciwe.

– He. Uczciwe. Takie słowa zazwyczaj słyszy się tylko z ust bogaczy. Jesteś bogaty, koci złodziejaszku?

– Wyglądam, jakbym był?

– Wyglądasz na zmęczonego i brudnego, ale nie jesteś nędzarzem. Twoje złodziejskie buty o rozwidlonych czubkach są dobrej jakości, a ostrza, jakie masz przy boku, nie widuje się u biedaków.

– A zatem jestem bogaczem. Mam sto złotych lwów i tysiąc srebrnych sówek, które czekają na moim okręcie na Morzu Gorącym. Znajdę syrenę, która lubi stare śliwki i nosi w piczce fortunę w czarnych perłach, i ją panu odeślę.

– Syreny nie mają piczek. Pod tym względem są jak życie. Do połowy ciepłe i przyjazne, a potem zimne, twarde i cuchnące. Ale dziękuję, że mnie nie zanudzasz. Mam już dosyć wysłuchiwanie błagań. „Proszę mnie oszczędzić, jestem niewinny, klnę się na bogów”. Postanowiłem, że powieszę następnego mieszczanina, który powie, że jest niewinny, zwłaszcza jeśli będzie miał rację.

– Mogę zatrzymać kota?

– Możesz go nawet ugotować i zjeść. Strażniczko!

Kobieta, która mnie zatrzymała, zbliżyła się ze spokojnym kotem w dłoni. Blask pół tuzina świec zatańczył na jej zbroi.

– Oddaj mu jego pupila. A potem zaprowadź ich obu do celi trzeciej zachodniej.

Nawet nie odebrali mi noży.

Skrzypce i głód

Siedziałem w brudzie i kałużach gnoju w mojej celi, rozmyślając o swoich szansach na odnalezienie Spanthianki, zanim ta wyruszy w dalszą drogę.

Chociaż starała się nie rzucać w oczy, odróżniała się od innych akcentem, zamiłowaniem do wina, nawet samym strojem. Robiła wrażenie kogoś ważnego. Kogoś, czyj kciuk pewnego dnia dociąży szalę.

A ja? Byłem kolejnym Galtem w holtyjskim lochu. Patrzyłem na kota, który przesuwiał się w stronę wysoko położonego zakratowanego okna, przez które wpadały ostatnie promienie słońca. Przemieszczał się od jednego suchego fragmentu kamiennej posadzki do następnego. Nasz współwięzień siedział z kolanami przy piersi i wbijał wzrok w przeciwległą ścianę, zalany jak ryba w marynacie, kościsty w sposób typowy dla starców, jakby zamierzał zostać szkieletem.

– Koty radzą sobie znacznie lepiej od nas, kiedy są ślepe – odezwałem się. – To dzięki wąsom.

Mój współwięzień beknął i pomasował się żylastą pięścią po mostku pokrytym cienkimi żyłkami, nie przestając wpatrywać się w ścianę.

– Bez obrazy, jeśli też jesteś ślepy – dodałem, a on w odpowiedzi ponownie beknął, tym razem przeciągle i świszcząco. – Chociaż tak nie uważam.

Miał długawe paznokcie, równie mocne jak brudne, które rywalizowały z zębami i białkami oczu o miano najbardziej żółtej części ciała.

– Nie trafiłeś do lochu za zagadanie kogoś na śmierć, prawda? – spytałem.

Wyprostował trzy palce i pomachał nimi w moim kierunku w sposób, który mógłby wyglądać bardziej obscenicznie tylko wtedy, gdyby użył dwóch.

Dalej wpatrywał się w ścianę, jakby ta mogła na niego runąć, gdyby spuścił ją z oczu.

Również popatrzyłem na ścianę. To nie był pierwszy więzienny mur, jaki widziałem. Zdobiły go zaskakująco kosmopolityczne napisy, niemal równie zróżnicowane jak w miastach portowych, takich jak Pigdenay. Większość z nich wydrapano lub wycięto w holtyjskiej mowie, którą się teraz posługuję, ale pojawiał się także mój ojczysty galtyjski. Dostrzegłem niemal cały akapit zapisany językiem Untheru, ze ścieśnionymi słowami o długości zdań, a także kilka uwag skreślonych w dumnej ispanthiańskiej mowie, którą najlepiej się posługiwać z ustami pełnymi czosnku i ostrych papryczek. Ispanthia i Unther były sąsiadami Holtu, więc nie mogło dziwić, że wędrowcy z tych obu krain, położonych na wschodzie i zachodzie, mieli okazję narazić się strażnikom w uroczym miasteczku Cadoth.

Jedynym egzotycznym językiem pośród tej bazgraniny był keshycki, którym posługiwano się w dawnym ośrodku władzy starego imperium, i który używa odmiennego alfabetu. Mimo wszystko potrafiłem go odczytać i zrozumieć. Napis głosił: „Pieprzyć Cadoth we włochatą dupę. Co za gówniane miasto pełne gównianych kobiet gorszych od goblinów. Pieprzyć pieprzyć pieprzyć całe Cadoth największym słoniowym fiutem”. Nie mogłem winić autora za szczerłość. Udało mi się odczytać posiekane i powykręcane znaki nie dlatego, że kiedyś odwiedziłem upalny, podbity przez gobliny Kesh, lecz dzięki mojemu drugiemu przyrodzonemu darowi, o którym wspominałem.

Jestem, jak to mówią, Szyfrem.

Szyfr to oczywiście rodzaj kodu, ale kiedy określa się tym mianem człowieka, oznacza to, że jest on w stanie bez niczyjej pomocy czytać i rozumieć wszelkie języki. Ta zdolność często zaskakuje rodziców wybrańca, a moja mama nie była wyjątkiem. Kiedy miałem pięć lat, znalazłem na targu porzuconą ulotkę, podeptaną i ubłoconą, i zapytałem matkę, czy to prawda, że Zakazany Bóg jest jedynym prawdziwym bogiem i chce, żebyśmy robili sobie dobrze. Dopiero po chwili zrozumiała, że moje pytanie dotyczy treści karteczki, którą trzymałem w brudnej dłoni.

– Przeczytałeś to, chłopcze? – spytała. Nie uczyła mnie czytać, sama ledwie sobie z tym radziła.

– Tak, mam – odpowiedziałem.

Mocno mnie spoliczkowała, aż łzy napłynęły mi do oczu.

– Zrobiłam to, żebyś zapamiętał – powiedziała. – Nigdy nie mów nikomu poza mną, że umiesz czytać, a szczególnie swojemu ojcu. Przynajmniej dopóki mieszkasz pod jego dachem.

Wtedy nie rozumiałem dlaczego, ale ukrywanie daru mi się opłacało. Kiedyś spotkałem inną osobę, która była Szyfrem. To była kobieta, którą wskazano mi w Niskiej Szkole. Podobno trzymano ją w wygodnym pomieszczeniu pod ziemią, a czasami nawet wypuszczano do miasta z opieku-

nem. Ale przez większość czasu łamała kody, tłumaczyła teksty albo wymyślała własne szyfry na potrzeby Gildii. Była tłusta jak krowa i blada jak ryba. Nie brakowało jej niczego poza wolnością. Widziałem, że miała o jedno pragnienie za dużo.

Dorastałem w górniczym miasteczku, więc myśl o życiu w zamknięciu przyprawiała mnie o dreszcze, zresztą nadal tak jest. Szyfr jest niezwykle cenny dla Gildii, a także groźny – powiada się, że potrafi odczytać Morderczy Alfabet, język, w którym korespondują najpotężniejsi członkowie Gildii i którym zapisuje się prawdziwą historię oraz najsilniejsze zaklęcia, ale nie dam za to głowy.

Gildia od zawsze poszukuje Szyfrów. Pamiętam, że kiedyś w jednej z tawern w Niskiej Szkole zobaczyłem szyld z napisem: „Dziś pierwsze piwo za darmo. Wystarczy poprosić!“. Już miałem skorzystać, gdy nagle uświadomiłem sobie, że tekst zapisano językiem, którego nigdy nie widziałem, zapewne jednym z wymarłych. Ugryzłem się w język. Od tamtej pory uważałem na takie pułapki.

Kilkakrotnie zerknąłem na napisy na ścianie lochu, ale nie dałem po sobie poznać, że je rozumiem, chociaż niemal parsknąłem śmiechem na myśl o miasteczku Cadoth zerżniętym przez keshyckie słonie. Kot dostał się na parapet pod zakratowanym oknem i z nadzieją uniósł pyszczek, wyczuwając powiew wiatru. Za oknem przemknęła para ubłoconych butów. Rozważałem ściśnięcie swojego ciała za pomocą czarodziejskiej sztuczki, żeby przedostać się między prętami, ale kraty były wykute z żelaza, a bezpieczne rzucenie zaklęcia tak blisko nich wymagało potężniejszej magii niż moja. Zaklęcie mogłoby niespodziewanie wygasnąć, a wtedy kraty zmiażdżyłyby mi mostek.

Żelazo działa na wolną magię jak zimna woda i śmiech na męskie podniecenie. Wolna magia to zaklęcia. Zamknięta magia – tatuaże, zaczarowane przedmioty – nie lęka się żelaza, które jednak może zmniejszyć skuteczność takich obiektów. Stal działa niemal równie niekorzystnie, ale trochę słabiej – można rzucać zaklęcia, gdy ma się przy sobie miecz albo nóż, ale kiedy założy się kolczugę? Tylko Fulvir lub Stukwark byłiby w stanie skorzystać choćby z prostej magicznej sztuczki, nosząc na sobie stalową zbroję. A nawet ta dwójka stałaby się bezsilna, gdybyśmy zamknęli ich w żelaznej skrzyni. Umysł i magia mogą wywierać wpływ na żelazo, ale mają problemy z jego przeniknięciem lub ominięciem. Dlatego można obrócić broń, którą rycerz trzyma w dłoni, ale nie da się zatrzymać serca wroga przez napierśnik. Z kolei barwne metale nie szkodzą magii, a miedź nawet ją wspomaga. Podobnie jak niegdyś ożywiona materia, taka jak drewno czy skóra. Jeśli zobaczycie, że biegnie w waszą stronę jakiś skurwiel w miedzianym naszyjniku albo obręczy, miejcie się na baczności, bo to pewnie magik. Ja sam używam czarodziejskich sztuczek, więc chodzę w skórzanej kurcie oraz trzymam Palthre i Angnę w miedzianych pochwach owiniętych skórą. Groty strzał, które przy sobie noszę, nie mają większego znaczenia.

– Chcesz wyjść? – spytałem Byczka. Wyglądało na to, że kot mógłby swobodnie się wydostać, ale na razie wolał zostać. Podejrzewałem, że jeśli ktoś wkrótce nie przyniesie nam jedzenia, pójdzie sobie, a ja nie będę próbował go zatrzymać. – Możesz zostać, jeśli chcesz – powiedziałem do małego ślepego kocura. Siedział na parapecie i kiwał głową, tęsknie chwytając woń odpadków docierającą od ulicy.

Zapachy przyzywały kota, a mnie wkrótce zwabiła muzyka. Ktoś grał na skrzypcach, niezbyt dobrze, w innej celi, której stąd nie widziałem. Nie zaciekał mnie wåtpliwy talent muzyka, ale fakt, że przesuwiał smyczkiem po moich skrzypcach.

Przyłożyłem ucho do grubych, okutych żelazem drzwi celi i moje podejrzania się potwierdziły – skrzypce nie tylko charakteryzowały się takim samym niskim i słodkim brzmieniem jak mój instrument, ale ktoś grał na nich starą galtyjską piosenkę miłosną o dwóch mężczyznach zakochanych w tej samej pasterce kóz, którzy zamierzali rozstrzygnąć spór za pomocą noży, ale dziewczyna oznajmiła im, że chce albo ich obu, albo żadnego. Oto typowa kobieta z ludu czarnych języków – wybiera melodię, a my tańczymy. Nie zamierzałem nigdy się ożenić, a gdybym jednak się zdecydował, to na pewno nie z Galtyjką. Jesteśmy wystarczająco trudni w pojedynkę. Męża kobiety z naszego ludu czeka nie mniejsza przeprawa niż żonę czarnego języka. Najlepiej wziąć galtyjską dziewczynę za żonę na miesięczny okres próbny i sprawdzić, czy w tym czasie się nie pozabijacie.

Chciałem zobaczyć, kto psuje moje skrzypce. Wyjąłem wytrychy ukryte w skórzanym pasie i w ciągu kilku uderzeń serca otworzyłem zamek. Mój kościsty współwięzień popatrzył na mnie i beknął. Zamknąłem drzwi i zamek, a następnie wspiąłem się pod sufit i wsparłem o strop i ścianę, tak jak mnie szkolono, trzymając się w cieniu.

Podążyłem za muzyką. Doprowadziła mnie do większej otwartej celi, której kraty wychodziły na korytarz. Była to raczej strefa zatrzymań, słabiej strzeżona. Nie miałem ze sobą szkiełka oszustw – zostawiłem to podręczne rozkładane lustro na kiju na poddaszu tawerny Pod Jeleniem i Cichym Bębniem, gdzie spoczywało w mojej torbie razem z gliną do robienia odcisków kluczy, piłką do żelaza oraz innymi narzędziami – ale cienie były wystarczająco ciemne, żebym mógł pozostać niezauważony. Zobaczyłem grupkę ponurych postaci, które siedziały na ziemi i przysłuchiwały się, jak młody mężczyzna gra na skrzypcach, a dziewczyna o nieobecnych spojrzeniu śpiewa po galtyjsku. Oczywiście było to rodzeństwo łuczników, z którym bawiłem się w rozbójników w Lesie Sierot i które ukradło moje rzeczy pozostawione w obozowisku po tym, jak Spanthianka i jej ptak sprawili nam lanie. Opierali się plecami o kraty.

Chłopak ze skrzypcami, Naerfas, poruszał się na boki w rytm pieśni, raz w lewo, raz w prawo, ściskając instrument między podbródkiem a ramieniem. Kiedy przesuwiał się w lewo, zbliżał się do krat. Podkradłem się tak wolno, jak rozchodzi się dym z fajki w zamkniętym pomieszczeniu, wiedząc, że pokonując ostatni jard, znajdę się w zasięgu blasku pochodni. Gdyby udało mi się dobrze wymierzyć ruch, mógłbym wcielić swój plan w życie, ale czekało mnie trudne zadanie. Zajrzałem w głąb siebie, sprawdzając swój poziom szczęścia, i poczułem, że mi ono dopisuje. No dobrze, pomyślałem, i pozwoliłem, by intuicja podpowiedziała mi, kiedy i jak mam się poruszyć. Skoczyłem naprzód i opadłem na podłogę. Kilku innych więźniów wstrzymało oddech, gdy mroczny kształt runął spod sufitu, ale młody Nerwus był powolny. Zaczepiłem stopą o jego kostkę i go podciąłem. Upadł, wciąż trzymając skrzypce, ale upuścił smyczek. Mocno pociągnąłem go za nogę, aż połaskotał jajami pręty, a potem objąłem ją swoimi nogami i odchyliłem się, wyginając ją pod paskudnym kątem. Zajęczał.

– Nazywam się Kinch Na Shannack – oznajmiłem współwięźniom Naerfasa. – Jestem poprzednim właścicielem tych skrzypiec. – Zauważcie, że nie powiedziałem „prawowitym”, ponieważ to słowo nic nie znaczy dla Gildii. – Odmówisz mi tego prawa?

Chłopak tego nie zrobił. Jego siostra próbowała mnie chwycić, ale odchyliłem się jeszcze bardziej i Naerfas zawył.

– Nie myśl, że jej nie złamię, Śnieżko – powiedziałem, ponieważ siostra miała bladą skórę, a imię Śnieżka łatwiej wymówić mieszkańcom Holtu niż jej galtyjskie imię, Snochshaeia. Dała za wygraną. – A teraz podaj mi skrzypce.

Posłuchała.

– Oraz smyczek.

Nie zrobiła tego, ponieważ go nie miała. Uprzedziła ją krępa kobieta z wolem.

– Mi za niego dasz? – spytała, pomijając słowo „co”, jak mają w zwyczaju ludzie z północy.

– Ja ci niczego nie dam – odezwała się Galtyjka stojąca u jej boku i zdzieliła ją zrogowaciałą pięścią w ucho.

Kobieta z wolem upuściła smyczek, a ktoś inny popchnął go w moją stronę. Puściłem Naerfasa, skinąłem głową do niego i jego siostry, a oni odwzajemnili gest. Wszystko odbyło się oficjalnie i nikt nie miał do nikogo pretensji. Oparłem podbródek na skrzypcach i sprawdziłem, jak smyczek sunie po strunach, a następnie dokończyłem pieśń, znacznie lepiej niż pieprzony Naerfas. Śnieżka zaśpiewała ostatnie zwrotki, które w tłumaczeniu brzmią mniej więcej tak:

*Więc nasza trójka baraszkowała
Przez jesień całą i zmierzch.
A gdy zimowa zabrzała pieśń,
Pasterce urósł brzuch.*

*W przyszłe Dożynki, w czasie żniwiarzy,
Kiedy na targach serów fura,
W głos zakrzyknęła pasterki córka,
Ojców silnych mam dwóch.*

Pieprzcie się, po galtyjsku się rymuje.

Kiedy wróciłem do swojej celi, Chudzielec wciąż wpatrywał się w ścianę.

– Kot ci poszedł.

– Spodziewałem się.

– Mogłem uwiązać.

– Po co?

– Nie twój?

– Niezupełnie.

– No to szkoda, żem nie zjadł.

– To nie byłoby grzeczne.

Pomachał do mnie trzema palcami.

Kiedy wspomniał o jedzeniu, poczułem nieprzyjemne, ale znajome ssanie w żołądku. Tego dnia nie miałem w ustach niczego poza zimną kiełbaską o podejrzanym zawartości i piwem, które zamówiłem w tawernie.

– Karmią nas tutaj? – spytałem.

Znów zobaczyłem trzy palce, które tym razem poruszyły się w górę i w dół.

– Nie będę ci więcej zwracał głowy. Widzę, że próbujesz wywiercić dziurę w ścianie siłą spojrzenia.

Nagle usłyszałem potrójny dźwięk dzwonka.

Kościotrup ponownie pokazał mi trzy palce i otarł usta gruzłowatym nadgarstkiem. Na dole drzwi otworzyły się mniejsze drzwiczki i wsunął się przez nie kawałek czerstwego, wydrążonego chleba, do którego nałożono jakiś rodzaj zupy fasolowej. Kościste Dupsko poderwał się z zaskakującą szybkością i zgarnął jedzenie. Ja również wstałem, chcąc zgłosić swoje prawa do połowy posiłku, ale on czym prędzej nakichał na jedzenie, więc tylko opadłem na posadzkę, kręcąc głową. Rozważałem spuszczenie mu łomotu, ale gdyby zadrapał mnie tymi zapaskudzonymi paznokciami, mógłbym dostać zakażenia.

– Gdybyś miał nieco więcej godności, kojarzyłbyś mi się ze szczurem – stwierdziłem.

Zasłonił swoją zdobycz i zjadł wszystko, a potem starannie pozbierał okruchy z siebie i podłogi.

– Naprawdę miałem nadzieję, że przegapisz okruch, który spadł ci na włosy na piersi. Mógłbym go zabrać, kiedy zaśniesz.

Wytarł dłonie o brudne spodnie, a potem po raz pierwszy na mnie popatrzył.

– Ja tu nie śpię, takiego wała – odpowiedział, przechodząc z prymitywnego ulicznego cadothiańskiego slangu na śliczny galtyjski akcent

– dopiero teraz zauważyłem jego czarny język. Nagle wskoczył na parapet, wyjął dwa pręty i precyzyjnie się na zewnątrz tyłkiem naprzód. Upewnił się, że nikt go nie widzi, a następnie umieścił pręty na swoim miejscu.

– To sala Gildii, prawda? – spytałem.

– Jesteś tępy, Kpiarzu? A niby dlaczego pozwolili ci zatrzymać nóż? Cały ten pieprzony loch należy do Gildii. – Potem dodał po galtyjsku: – *Hrai syrft ni'ilenna*.

– *Tift se fal coumoch* – dokończyłem.

Potem obaj powiedzieliśmy:

– *Lic faod kiri dou coumoch!*

„Ten, kto skacze do księżyca

Spada w krowie łajno.

Chwała krowiemu łajnu!”

To święte słowa.

– Dobra robota ze skrzypcami. A teraz ruszaj w dalszą drogę. Wykonujesz zlecenie dopiero od dwóch dni i już dałeś się złapać. Nie dogonisz tej ispanthiańskiej zabójczynie, jeśli będziesz siedział na dupie w więzieniu. Włóż pręty na miejsce, kiedy wyjdiesz.

Potem zniknął w mroku młodej nocy.

Galt, tak jak ja.

Kapłan Fothannona Lisiej Łapy.

A jeśli się nie myliłem, złodziej jednej z najwyższych kategorii – Głodujący.

Konik

Kot odnalazł mnie wkrótce po tym, jak znalazłem Galwę.

Wyprowadziła się z tawerny, w której przepytywałem ją poprzedniego wieczora, a ja przegapiłem nasze spotkanie przy wieży Harosa. Byłem pewien, że nie ruszy w dalszą drogę przed następnym porankiem – Spanthianie lubią robić wszystko we właściwy sposób, a świt to najlepsza pora na pierwsze kroki podróży.

Wstąpiłem na poddasze tawerny po swoje rzeczy, a następnie przekradłem się do głównej sali, gdzie łakomie i niechlujnie pochłonałem ciasto z węgorkiem, porem i grzybami w czosnkowym piwnym sosie, popijając je mocnym czerwonym piwem. Patrzenie, jak holtyjski srebrny szyling, zwany waletem, zmienia się w cztery marki, inaczej panny, i dwie miedziane strużyny, było bolesne, ale przynajmniej nie musiałem rozmieniać sówki. Gallardiańska sówka ma taką samą wartość jak holtyjski walet, ale na tej drugiej monecie widnieje jakiś tłusty skurwiol na ośle trzymający w dłoni snop zboża, zupełnie jakby chciał się nim podetrzeć. To znacznie gorsza moneta, która zasługuje na rozmienienie.

Żując węgorka i mocząc ciasto w piwie, zastanawiałem się, dokąd poszła Spanthianka. Przypominałem sobie, że na targu znajdują się trzy ispanthiańskie stragany, z których jeden sprzedaje oliwę i suszone ryby, a pozostałe dwa wino. Na jednym z nich oferowano także skóry i nigdy nie było tam kolejek, więc wino zapewne przypominało smakiem ocet, a czymś takim Galva by się nie zadowoliła. Druga handlarka była tak popularna, że nie miała kiedy usiąść, a w czasie gdy obserwowałem jej klientów, próbując zdecydować, komu podwędzić torebkę, zdążyła opróżnić całą beczkę. Chociaż w nocy targ nie działał, po wyczyszczeniu talerza, beknięciu i krótkim spacerze mój pełny brzuch i ja stanęliśmy przed zamkniętym straganem, a chłodna wieczorna bryza rozwiewała mi włosy.

Wyobraziłem sobie, że jestem Spanthianinem i gawędzę z innym mieszkańcem ciepłych, brązowych wzgórz. Chwyciłem niewidzialną butelkę wina i ruszyłem przed siebie sprężystym krokiem szermierza, pozwalając, by moje stopy zaniósły mnie tam, gdzie ona mogła się udać. Zaprowadziły mnie na ulicę Rozwidlonego Mostu, a następnie na sam most, kamienną budowlę w kształcie litery Y, która łączyła brzegi szerokiej rzeki. Most miał dwieście lat i był architektoniczną dumą Cadoth, bardziej ze względu na wytrzymałość niż piękno. Stały na nim sklepiki sprzedające kamień i drewno, tawerny, stragany z książkami, posągi, a nawet fontanna, w której woda tryskała z ust zachwyconej męskiej syreny. Miało się wrażenie, że most za chwilę dostojnie zapadnie się w pełne węgorzy mętne wody Caddow.

Mój wzrok przyciągnęła pozbawiona nazwy dwupiętrowa tawerna kryta zielonymi dachówkami, z granitowymi ścianami i małutkimi oknami, które wyglądały, jakby można je było zaryglować. Kiedy zobaczyłem drewniany szyld w oknie na dole z wypalonym napisem KĄPIELE I NOCLEGI, pokiwałem głową jak Spanthianin i powiedziałem: „*Bolnu, bolnu*”, ponieważ rzeczywiście miło byłoby się wykapać, a kiedy dysponuje się skromnym budżetem, w niektóre noce bierze się kąpiel w takich tawernach, a w inne nocuje za darmo albo pół darmo w innych przybytkach.

Spanthianie słynęli z niezwykłej czystości, a w odróżnieniu od większości podróżnych Galva nie cuchnęła jak wnętrze przepoconego buta. Czułem, że to dobry trop. Moje szczęście mnie rozgrzewało. Ona się tutaj zatrzymała. Od strony rzeki czy ulicy? Oczywiście tam, gdzie mieli miejsce, ale od strony ulicy można łatwiej obserwować okolicę. Usiadłem w uliczce i patrzyłem na dwa okna, w których tańczyło światło świec. Nie śpieszyłem się. Po godzinie zobaczyłem, że szyba w lewym oknie częściowo zaszła parą, i postanowiłem zajrzeć do środka.

Wspiąłem się po rynnie, uważając na łuk, torbę i skrzypce, a potem zwiesiłem się z krawędzi dachu, trzymając w dłoni rozkładany kij z lustrem, i zobaczyłem ją w kąpielu, zwróconą w stronę okna, jak przystało na ostrożnego gościa, ale nieświadomą mojego szkiełka oszustwa.

Wtedy zauważyłem, że w ogóle nie ma piersi. Nie chodziło o to, że były małe, w końcu dla mnie to nie pierwszozna, prawda? Jej piersi całkowicie zniknęły, razem z sutkami, a na ich miejscu znajdowały się kunsztowne tatuaże. Czy została poparzona? Urodziła się bez nich? Zmasakrowano ją na polu bitwy?

Niezależnie od tego, w jaki sposób straciła cycki, potem ktoś fachowo ją wytatuował. Na jej pokrytej bliznami, umięśnionej klatce piersiowej narysowano tatuaż z krukiem, znak ptaszników, dłoń szkieletu na mostku głosiła miłość do Dalgathy, a miecz na ręku oplatały trzy kwiaty, po jednym na każdy rok nauki u mistrza. Właśnie takich tatuaży należało się spodziewać u ispanthiańskiej ptaszniczki czczącej boginię śmierci.

Zauważyłem ponadto, że promieniująca od niej magiczna aura była silniejsza, gdy nie blokowały jej kolczuga i ryngraf.

Ale cóż to?

Spanthianka nagle zawołała kogoś, kto stał za drzwiami. Do pomieszczenia weszła dziewczyna z winem – oczywiście – oraz dzbankiem wrzątku, który zaoferowała się dolać do wanny, gdyby Galva zechciała podgrzać kąpiel. Ta skorzystała z propozycji. Wspiąłem się na dach i prze-

dostałem na drugą stronę budynku, gdzie znalazłem pusty pokój. Przeszedłem przez niego na korytarz i w ciągu czterdziestu uderzeń serca znalazłem się przed otwartymi drzwiami pokoju Galvy. Zaczekałem, aż Spanthianka skupi się na starannym napełnianiu kielicha winem, i wślizgnąłem się do środka, po czym ukryłem się za tarczą opartą o ścianę. Nie była wystarczająco duża, by całkowicie mnie zasłonić, ale da się ustawić ciało w taki sposób, by jego kształt oszukiwał oko.

Trudno było nie zareagować śmiechem na kolejną scenę – nazwijmy ją zderzeniem kultur. Pokojówka za pomocą gestów zaproponowała Galvie seks za pieniądze. Wojowniczką wyraźnie nie rozumiała, więc prostytutka/pokojówka postanowiła być bardziej bezpośrednia, co samo w sobie było zabawne, ponieważ pochodziła z Untheru, a tamtejsze ludy mówią szorstkim językiem i dużo przy tym plują. Kiedy Galva w końcu zrozumiała, odmówiła tak grzecznie, że dziewczyna pomyślała, iż Spanthianka jest zainteresowana seksem, tylko z kimś innym, więc spytała, czy szanowna dama chciałaby się zobaczyć z konikiem, co w tutejszym slangu oznaczało męską dziwkę. Galva podniosła głowę, być może sądząc, że zaraz pojawi się żywy koń, co pokojówka uznała za zgodę, więc zadzwoniła małym dzwonkiem. Wtedy Galva upewniła się, że chodzi o klacz, gdyż magiczna zaraza goblinów zabiła wszystkie ogiery, klacze zaś zniosły ją lepiej, a te, które się ożrebiły, były na nią całkowicie odporne i kilka sztuk wciąż żyło.

Galvie rzecz jasna chodziło o prawdziwą klacz. Spanthianie kochają konie bardziej niż wszystkie inne królestwa razem wzięte, ale dziewczyna była przekonana, że klientka wciąż używa szyfru – w krainie Prostytucji klacz to dziwka, która rodziła dzieci. Pokojówka odrzekła, że sądziła, iż Galva nie lubi osobniczek tej samej płci, ale Galva upierała się, że od lat nie tknęła ogiera, za to chętnie zapłaci za zobaczenie klaczy. Pokojówka uznała, że Galvy nie stać na męskie prostytutki – znacznie droższe ze względu na ogólny niedobór mężczyzn – ale będzie w stanie zapłacić za nieco starszą kobietę. Spanthianka zrozumiała, że zaszło jakieś nieporozumienie, i próbowała wszystko wyjaśnić, zapewniając, że chodziło jej o prawdziwego konia, ponieważ je uwielbia, i rankiem dobrze zapłaci za możliwość jego zobaczenia.

Pokojówka zapewne nie rozumiała słowa „rankiem”, ponieważ po chwili usłyszałem szelest opadającej na podłogę prostej szaty oraz odgłos kolan i dłoni uderzających o drewnianą posadzkę. Wyjrzałem zza tarczy – też byście to zrobili – i zobaczyłem, jak pokojówka z włosami koloru owsa, zwisającymi knapami i bladą, piegowaną untheriańską skórą udaje, że jest koniem. Kiedy zarżała, Galva parsknęła śmiechem, a ja jej zawtórowałem. Wtedy Galva mnie usłyszała, więc próbowałem przestać się śmiać, ale nie mogłem. Spanthianka wyskoczyła z wanny, ociekając wodą, odtrąciła tarczę na bok, podniosła mnie bolesnym chwytem za jądra i kark, po czym wrzuciła do wanny, wychlapując z niej połowę wody. Nie była wściekła, że zobaczyłem ją nago – żołnierski żywot pozbawia damy w jej wieku wszelkiego wstydu – ale i tak pobiła mnie tarczą, chociaż niezbyt dotkliwie. Uderzała głównie w ramiona. Wciąż nie mogłem przestać się śmiać.

– Co cię tak bawi? – spytała z silnym akcentem.

– Najpierw załóż spodnie, jeśli zamierzasz mnie bić! Nie szukam klaczy.

– Ani ja konika! – odparła.

– Na pewno? – odrzekłem i zarżałem.

Pokojówka z Untheru również zarżała.

Galva znów parsknęła śmiechem.

Odstawiła tarczę i założyła spodnie.

Otworzyłem okno, żeby wypuścić parę, i wtedy to usłyszałem.

Mrau. Mrrau.

Popatrzyłem w dół na brukowaną ulicę.

Ślepy kocur za mną poszedł.

Kołysał łebkiem i węszył w stronę okna.

Pani Sourbrine

Nazajutrz, dwudziestego pierwszego dnia Popiołów, wyruszyliśmy na zachód z Cadoth. Przed odejściem porozmawiałem z kotem.

– Chyba nie zamierzasz mnie przekonywać, że nie jesteś zaczarowany? Potrafisz mówić? Nie, raczej nie chciałbyś od razu zdradzać mi wszystkich swoich sztuczek, nawet jeśli jesteśmy sobie bliscy. Z psami i kotami łączą nas szczególne więzi – nie jesteście naszymi krewnymi ani przyjaciółmi, ale czymś pomiędzy. Jeśli cię ze sobą zabiorę, staniesz się dla mnie kimś w rodzaju włochatego siostrzeńca-przyjaciela-podopiecznego i zawrzemy umowę. Zatrzymam cię, pod warunkiem że będziesz cicho; jedno mruknięcie w niewłaściwej chwili może oznaczać mój koniec, zresztą twój także, więc jeśli okażesz się gadułą, puszcę cię wolno, żebyś głosił swoje kazania komuś innemu. Jasne? Dobrze, nie odpowiadaj, właśnie taki mi się podobasz. Aha, jeszcze jedno, w kwestii srania. Będę cię karmił, kiedy dam radę, i wiem, że wszystko, co wchodzi z jednej strony kota, wychodzi z drugiej w niezbyt przyjemnej formie. Co kilka godzin będę cię wypuszczał z torby, żebyś nawoził pola albo zdobił bruk, ale nie będę tolerował srania w obozie, pod dachem ani na meblach. Jedno gówienko w niewłaściwym miejscu i czeka nas rozwód. Nie wiem, czy jesteś kocim chłopakiem, czy dziewczyną, ale będę cię nazywał Byczkiem, dopóki się nie sprzeciwisz, ponieważ banda pijanych kretynów ryczała tę piosenkę, kiedy się poznaliśmy. Jestem jednym z tych ludzi, którzy widzą bogów w zbiegach okoliczności. Naoliwiłem torbę podróżną, żebyś nie zamókł. Skończyłem zakupy, mam tuzin nowych strzał, nową osetkę, słoik miodu, miedzianą butelkę whiskey i kwartę piwa. Trochę solonych śledzi, z których możesz dostać najmniejszego i najbardziej ościstego. Wyruszymy, kiedy dama tak zdecyduje – dodałem, wskazując nożykiem Galwę, która siedziała na łóżku, trzymała jedną rękę zanurzoną po łokieć w bucie, a drugą polerowała go przy pomocy natłuszczonej szmatki. Spojrzała na mnie ze zmarszczonym czołem i spokojem kogoś, kto widzi idiotę radośnie moczącego spodnie. – Ruszamy na zachód – powiedziałem Byczkowi. – Założę się, że zawsze chciałeś zobaczyć zachód. A przynajmniej poczuć jego zapach. Brązownicy z Molrovy. Bezkresne lasy Brayce, złote, pszeniczne pola Rubieży. Tawerny i kanały Śródmorza.

Galva wbiła we mnie wzrok i lekko pokręciła głową.

– Co się stało? – spytałem, przysuwając ucho do kociego pyszczka. – Cieszysz się, że wędrujemy na zachód, ponieważ nie chcesz oglądać Ispanthii?

– Uważaj – ostrzegła Spanthianka, nieco mocniej pucując nosek buta.

– Mówisz, że kobiety na wschodzie mają wąsy? I włochate pachy?

– *Baes pu palitru*.

Wywiesiła pierwszy z butów za okno, żeby słabe słońce ogrzało skórę i pozwoliło jej wchłonąć olej. Potem przestawiła tarczę z wiosennego drzewa, którą natarła wodą, tak żeby promienie słońca wpadające przez okno padały na drewno i odbijały się od szczytu zdobionego wizerunkiem dmuchającej twarzy. Drewno wyglądało jak nowe, nie nosiło żadnych śladów po strzałach, które wbiły się w nie w Lesie Sierot. Rzeczywiście potrafiło samo się uzdrowić. Bogowie, za tę tarczę można było kupić posiadłość.

Kim, u diabła, była ta Spanthianka, skoro nosiła przy sobie taki przedmiot?

– *Baes pu palitro* – powtórzyłem. – Jeśli dobrze pamiętam ispanthiańską mowę, powiedziała, że igrasz z niebezpieczeństwem, Byczku.

– Chodziło mi o ciebie, nie o tego *chodadu* kota.

– Czy właśnie powiedziałaś „pieprzonego”?

– To nie ja gadam z kotami.

– *Chodadu* oznacza „pieprzony”, prawda?

– Wypieprzony.

– Wypieprzony?

– Tak. Zresztą na razie nie kierujemy się na zachód. Najpierw na północ – rzekła Galva, nakładając więcej oleju na szmatkę i zabierając się za polerowanie drugiego buta.

Zauważyłem, że buty były dosyć grube, a pod skórę wszyto kościane albo brązowe płytki chroniące nogi. Wszyscy wojownicy walczący z goblinami zwracali dużą uwagę na ochronę nóg.

– Naprawdę? Po co miałyby nas zabierać na północ, Byczku?

– Jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie przez kota, obedrę go ze skóry.

- Po co wybieramy się na północ, Galvo?
- Zboczymy z trasy, żeby spotkać się z wiedźmą.
- Czy to słynna zabójczyni, taka jak ty?
- To wielka przyjaciółka Dalgathy i nakarmiła jej królestwo wieloma duszami. Nazywają ją Pernalas Mourtas.
- Martwe Nogi! Słyszałem o niej! Powiadają, że zagryza swoich kochanków. Ale chwileczkę, ona mieszka aż w Norholcie.
- Zgadza się.
- To potężna przyjaciółka. Bo się przyjaźnicie, prawda?
- Nigdy jej nie spotkałam.
- Skąd wiesz, że będzie chciała się z tobą zobaczyć?
- Mam list.
- Dlaczego uważasz, że dopuści cię na tyle blisko, żebyś mogła dać jej ten list?

Galva przewróciła oczami.

- Porozmawiaj ze swoim *chodadu* kotem.

Naostrzyłem nóż – lubię, kiedy Palthra jest na tyle ostra, by zgolić czarną jak smoła beltiańską brodę albo nakreślić granicę między poirytowaniem a rozwścieczeniem Spanthianki – a potem naoliwiłem buty, tak samo jak Galva.

Okazało się, że naoliwienie skór było doskonałym pomysłem. Padało jak skurwysyn, kiedy ruszyliśmy północną drogą w stronę Norholtu. Taki deszcz błyskawicznie moczy człowieka, aż nie pozostaje w nim nic suchego. Taki deszcz sprawia, że człowiek czuje się jak kawałek gnoju, który bogowie próbują zmyć z drogi. Schowałem smyczek do sakwy, którą niosłem na szyi, ale tam też zamókł.

Kot kilka razy zamiauczał, ale mu wybaczyłem, ponieważ woda przedostawała się do worka. W końcu ulewa zelżała do zwykłego silnego deszczu, a my nie przestawaliśmy maszerować. Zmiana kursu mnie nie zmartwiła. Zbliżała się jesień, więc mogliśmy przyśpieszyć podróż, wsiadając na statek w Pigdenay, dużym mieście portowym Norholtu, i kierując się ku krańcom Śródmorza albo nawet Molrovy, gdyby ktoś zgodził się nas tam zabrać.

Molrova była zakątkiem wschodu. Najbardziej chciwym i skorumpowanym królestwem w całych Ludzkich Krainach i jedyną nadmorską krainą, której władcy nie pozwalali piratom panoszyć się na jej wodach, ponieważ duża część z tych władców także była piratami.

Molrovianie ponadto handlowali z Hordą. Goblińskie okręty pływały rzeką Spine, dostarczając herbatę i tygrysie skóry z Urrimadu oraz cynamon, pieprz i tytoń, które ludzcy niewolnicy uprawiali dla nich na farmach na Ziemiach Hordy na grobach Starego Keshu.

A co jeszcze trudniejsze do wybaczenia, w czasach wojny Molrova pozostawała neutralna. Potężne wojskowe królestwo nie wypuszczało swoich toporników ani kawalerii za granice przez trzydzieści lat niewyobrażalnej rzezi, nazywając goblińską inwazję na Gallardię, Ispanthię, Beltię, Istreę i Kesh „problemem południa”. Co prawda kęsać początkowo nie dotarli także na wschód, ale Holt, Brayce i Archipelag Gunnicki wysyłały swoich żołnierzy i statki na zatracenie, dlatego panowało powszechne przekonanie, że Molrova może się nażreć rzadkiego gówna.

Wojny oczywiście w końcu dotarły na wschód.

Kiedy Horda upichciła swoje niegodziwe czary, konie w Mol-rovie również zapadły na chwiejnicę. Molrovskie siwki, kuce stepowe i rosłe rastańskie ogiery puchły i zdychały tak samo jak konie na wschodzie, ale Panowie Zakłamanych Krain zbyt dobrze zarabiali na swojej neutralności. Molrova pozostała silna, podczas gdy południowe królestwa upadały, a wschodnie wykrywawiały się do cna.

Podczas gdy robaki i sępy napełniały brzuchy dzięki Wojnie Młocarzy, zakerkowani Molrovianie odebrali dwa miasta Beltii, zajęli Cynowe Wzgórze należące do Wostry, a także rozległe tereny Sadunther nad rzeką Spine. Molrovscy bardowie napisali równie wiele smutnych pieśni o śmierci koni co Spanthianie czy Gallardianie, ale nikt poza granicami Molrovy nie chciał ich słuchać. Ale dosyć o tych fiutach w futrach z fok. Wystarczy powiedzieć, że są draniami, a przedostanie się przez ich lodowatą, zdradziecką krainę to nie lada wyzwanie.

Oczywiście nasza obecna podróż z Holtu do Norholtu również nie zapowiadała się łatwo. Trwały Popioły, drugi i ostatni miesiąc krótkiego norholtyjskiego lata, zazwyczaj ciepły, ale nie w tym tygodniu. Daruję wam opisy kilkudniowych ulew, nietypowego zimna, biegunek, głodu, rozmów przy ognisku, zresztą wyjątkowo małym i wąłym. Minęliśmy kilka osad, podjechaliśmy kawałek na wozie z warzywami zaprzężonym w kozy, brodziliśmy w powodziowym błocie, cierpieliśmy grad i dwukrotnie prawie zostaliśmy trafieni piorunem. Galva każdego dnia budziła się przed świtem, żeby dotykać uszami wyprostowanych nóg, podciągać się na gałęzi drzewa tyle razy, ile była w stanie, ćwiczyć układy szermiercze i pchnięcia oraz skakać w przysiadzie. Nawet kiedy padało. Gdybyście uszczypnęli tę kobietę, uszkodzilibyście sobie palce.

Mój wkład podczas tych ponurych dni ograniczył się do jednego przypadku, gdy wszedłem przez okno do domu jakiegoś zamożnego właściciela ziemskiego i ukradłem pieczonego kurczaka z patelni. Oczywiście Pani Podciągalska skrytykowała mnie za to, że nie zabrałem także rzepy.

Kot miauczał, srał i sikał, chociaż zawsze o odpowiedniej porze i w akceptowalnych miejscach.

Najjaśniejszym punktem naszej podróży na północ było minięcie niewielkiej armii, która miała w swoich szeregach prawdziwe cudo – baronową jadącą na starej chudej klaczy. Towarzyszyła jej co najmniej setka włóczniczek i tuzin nastoletnich siepaczy w połatanych skórach, którzy byli potrzebni do ochrony takiego skarbu, zwłaszcza że klacz wciąż była w stanie nieść opancerzonego jeźdźcę. Zwierzak nie mógł mieć więcej niż trzy lata, gdy nadeszła chwiejnica i zabiła wszystkie ogiery oraz klacze, które nie nosiły w brzuchu skazanego na martwe narodziny źrebięcia.

Kobieta na koniu – Seldra Piękna, baronowa Sourbrine – kazała nas zatrzymać, a jej ludzie zagrozili nam bronią, którą szybko schowali, gdy okazało się, że wykonujemy zlecenie dla Gildii.

Nie przeszkadzało mi, że ktoś mnie przesłuchuje, dopóki mogłem napełnić nozdrza egzotyczną wonią końskiego potu – słoną, ostrą i prawdziwą. One wciąż istniały. Co najmniej dziesięciokrotnie zaciągnąłem się tym aromatem, wypalając w pamięci wspomnienie jej szarych jak sadza boków i pęcín, zachowując je na wątpliwą starość. Jej każde rzenie było pieśnią, za którą chętnie zapłaciłbym sówkę, ale to ptaszniczka zdobyła główną nagrodę dnia. Baronowa rozpoznała w Galvie zabójczynię goblinów i Spanthiankę, więc pozwoliła jej wziąć garść owsa i podać klaczy do zjedzenia na gołej dłoni. Śmierć koni nikogo nie doświadczyła tak mocno jak Spanthian. Galva ucałowała knykcie baronowej, odwróciła twarz i samotnie odeszła pośród deszczu.

Zanim ją dogoniłem, porozmawiałem z młodą kobietą w hełmie z kłami dzika, uzbrojoną w dziwaczny rogowy łuk.

– Co robicie, patrolujecie granicę?

– Można tak powiedzieć – odrzekła. – Szukamy Rogogłowego i jego bandy. Radzę wam udać się do miasta i tam zostać, dopóki go nie złapiemy albo nie opuści baronatu.

– Czym jest ten „Rogogłowy”?

– Nie jesteście stąd, niee? – spytała, przeciągając ostatni dźwięk.

– Nieee – odrzekłem, ale nie po to, żeby z niej kpić. Mam wrodzony talent do naśladowania.

– Rogogłowy to mieszaniec.

To zwróciło moją uwagę. Mieszkańców można stworzyć tylko dzięki potężnej magii, zakazanej, dopóki nielicznym nie udzielono licencji na jej używanie podczas wojen. Takie czary nazywa się także „magią stwarzania” lub „magią kości”. Najwybitniejszym z magów kości był Stukwark, galtyjski mag, który podróżował po świecie w poszukiwaniu egzotycznych zwierząt, które mógłby skazić. Magia kości, stwarzanie, mieszanie, właśnie tak powstały bojowe kruki. To było dzieło Stukwarka, który zmieszał zwykłe kruki z dorównującymi wielkością człowiekowi biegającymi ptakami z równin Axy i wtłoczył w nie krew olbrzymów. Większość mieszkańców umiera, ale kiedy uda się stworzyć jednego, który przetrwa, można go wytrzebić bądź rozmnożyć.

Mieszanie stało się jedną z wysokich sztuk, lecz nawet magom posiadającym licencję na tworzenie potworów przeznaczonych do walki z goblin-skimi hordami, nie wolno było tworzyć mieszkańców z istot ludzkich. Ale Fothannon jeden wie, że nie ma prawa, którego ktoś nie nagnie, Stukwark zaś był zbyt potężny, by słuchać nakazów i zakazów byle królów. Powiadano, że w bibliotece jego partnera Fulvira znajdowały się księgi zaklęć z zaginionych królestw; od pochłoniętego przez góry miasta Bhayn po zatopione miasto Adripur w Starym Keshu.

A teraz jeden z mieszkańców szalał w Norholcie.

– Ma w sobie wystarczająco dużo z byka, by nosić rogi na głowie, ale nie aż tyle, żeby nie mieć rozumu. Ma siłę dwóch mężczyzn i jest wściekły za dziesięciu. Podobno chroni go magia, ma wytatuowane zaklęcie, które osłania go w walce.

– Wspomniałaś o jego „bandzie”. Ma towarzyszy?

– Jakieś pół tuzina.

– I ta cała armia ich szuka?

Dziewczyna się roześmiała.

Uniosłem brew.

– Przyjacielu – odrzekła. – Nie widziałeś go.

Odwrócona wieża

Chociaż trwały Popioły, wyglądało na to, że możemy napotkać śnieg, gdy droga, którą wędrowaliśmy, zaprowadziła nas do Bezśnieżnego Lasu. Znajdował się on dziesięć mil na zachód od miasteczka Maeth, zapyziałej dziury znanej z wieszania przestępców. Powiadano, że właśnie tam po raz pierwszy powieszono człowieka. Według mnie to tylko przechwałki – wieszanie jest równie stare jak sznury i szyje, a wątpię, by te dupki wymyśliły jedno albo drugie – ale fakt, że tamtejsi mieszkańcy chlubilili się zaciskaniem pętli, mówi o nich wszystko, co warto wiedzieć. Poza tym Gildia jest tam nieobecna, bardziej z braku zainteresowania niż ze strachu. Zresztą w miasteczku prawie nie ma czego kraść. Jeszcze jedno – w Maeth mieszka wielu mężczyzn w wieku poborowym. Najwyraźniej unikanie mobilizacji nie zasługuje na karę powieszenia.

– Już widziałem to drzewo – odezwałem się.

– Jakie drzewo? O co ci chodzi?

Popatrzyłem ponownie i upewniłem się, że rzeczywiście po raz kolejny mijamy to samo drzewo. Rozpoznawałem jego rozwidloną koronę ze świeżymi pędami, która wyglądała jak przystrzyżona, oraz poziomą gałąź, która byłaby idealna do wieszania, gdyby rośla wyżej, choć zapewne mogła się nadawać dla dziecka. Oczywiście dzieci rzadko się wieszają, nawet w Maeth.

Wskazałem drzewo, o którym mówiłem.

– Uważasz, że kręcimy się w kółko? – spytała Galva.

– Nie. Kiedy ostatnio je widziałem, stało w połowie na słońcu, niedaleko świeżo skoszonego pola jęczmienia. A teraz rośnie w gęstym lesie.

– Może nas śledzi.

– Ha.

Czułem się rozdarty między wątpliwościami w swoją zdolność odróżniania drzew a zazdrością o magiczną potęgę wymaganą do zmuszenia drzewa, by za kimś podążało. Poczułem, że moja torba się porusza, i domyśliłem się, że Byczek wystawił głowę, żeby posłuchać. Uznałem, że to dobry pomysł, więc również wyteżyłem słuch. Kilka razy wydawało mi się, że słyszę śpiew, ale później okazywało się, że to pobliski strumyk albo ptaki. Potem zobaczyłem kolejne dziwaczne drzewo, skamieniałe bez żadnego powodu, zupełnie jakby jakiś magik poczuł, że jeden z wiązków go obraża, i postanowił zmienić go w posąg, do ostatniego listka i żyłki. Było to zarazem przerażające i piękne. Wkrótce ścieżka skończyła się przed kolczastym żywopłotem, który wyglądał, jakby mógł nas rozszarpać na strzępy.

– W lewo czy w prawo? – spytałem. Podczas jednej z naszych niemal-rozmów przy ognisku Galva powiedziała, że zapamiętała trasę dzięki pomocy pewnej wiedźmy.

– Od tej pory zawsze w lewo – odrzekła.

– Nie będziemy przez to krążyć w kółko?

– Nie tutaj.

Po godzinie niezdarnej wędrowki po skalistym terenie gęsto porośniętym brzozaami znaleźliśmy ścieżkę. Bogowie raczą wiedzieć, skąd się wzięła, w każdym razie skręciliśmy w lewo. Szliśmy nią tyle, ile trwa dłuższe posiedzenie w wychodku, gdy nagle dogoniliśmy jakiegoś zgarbionego drobnego jegomościa ciągnącego wózek, którego koła chrzęściły na luźnych kamyczkach. Na wózku leżały rozmaite narzędzia, wszystkie z tą samą usterką – zgięciem albo pęknięciem obok miejsca, w którym żelazo stykało się z drewnem. Zobaczyliśmy wygiętą piłę, motykę o rozszczipionym trzonku, co najmniej dwie sztuki wykrzywionych wideł. Zdyszany człowieczek o głowie przypominającej dynię nie popatrzył na nas, kiedy go wyprzedzaliśmy, ale tak mocno sapał, że nie sposób było mieć do niego pretensji. Po prostu starał się nie umrzeć.

– Lepiej zjedź na bok i chwilę posiedź na wozie, człowieku. Odpocznij trochę – powiedziałem, gdy go mijaliśmy.

Zignorował nas i parł dalej z szeroko otwartymi ustami, obwisłymi jak u wszystkich ludzi, którzy stracili większość zębów.

– Zapewniam cię, człowieku, że nikt nie czeka na te popsute narzędzia. Odsapnij chwilę. Wyglądasz, jakbyś miał za chwilę wykorkować, i wcale nie żartuję.

Nawet nie mrugnął.

– No cóż, przynajmniej będą mieli czym cię odwieźć.

Możliwe, że lekko się uśmiechnął, ale niekoniecznie.

Tak czy inaczej, wkrótce zostawiliśmy go w tyle, a droga doprowadziła nas do polany za wzgórzem, na którym wznosiła się wieża, wyjątkowo dziwna, ponieważ jej ściany niemal całkowicie pokrywały pnącza, które wyglądały, jakby próbowały powalić budowlę. Rzeczywiście, mieliśmy wrażenie, że wieżę może przewrócić nawet ostre słowo. Wyglądała na solidnie nawiedzoną.

Idealnie pasowała do wiedźmy o imieniu Martwe Nogi.

Po chwili zauważyłem drzwi, które znajdowały się poza ludzkim zasięgiem. Wieża miała tylko jedno widoczne wejście, silne drewniane drzwi, zapewne dębowe, ale trudno było to stwierdzić, ponieważ znajdowały się na szczycie budowli, która dorównywała wysokością tuzinowi mężczyzn. Nigdzie nie było schodów.

W tej chwili Byczek wyslizgnął się z torby i rzucił do ucieczki. Wpadł na drzewo, uderzył się w łepiek z głośnym stuknięciem, położył łapkę na głowie jak staruszek z migreną i wydał z siebie miauknięcie, które brzmiało jak „auuu”. Potem przypomniał sobie, że dokądś biegł, i stanął na łapkach.

Galva patrzyła, jak kot umyka i zderza się z kolejnymi drzewami, po czym znika nam z oczu. Przeniosła wzrok na mnie.

– Wróci? – spytała.

– Nie mam pojęcia.

– Ten kot jest zaczarowany – stwierdziła.

– Tak sądzisz?

– To sarkazm, prawda?

– Niiieee – odpowiedziałem sarkastycznie.

– Nie przepadam za sarkazmem.

– A zatem powiem ci, bez sarkazmu, że ta wieża wygląda jak bardzo wysoki grób.

– Masz więcej racji, niż ci się wydaje.

– Chyba nie jesteśmy tu mile widziani. Jesteś pewna, że nas oczekują?

– Wieże z założenia nie powinny wyglądać zachęcająco.

Racja.

Nagle rozległ się krzyk kruka, tak ostry, że zdrapał farbę z mojej duszy.

– Zostaliśmy zaproszeni – zapewniła Galva, ruszając naprzód.

Deptałem jej po piętach, aż w końcu stanęliśmy pod strażnicą wiedźmy. Gdybym liczył na to, że na murze znajdę sprytnie zamaskowane otwory do wspinaczki, byłbym rozczarowany.

– Co teraz? – spytałem.

Kruk ponownie krzyknął.

– Teraz będziemy się wspinać – odrzekła.

– Nie wiedziałem, że masz talent do wspinaczki.

– Niepotrzebnie użyłam liczby mnogiej.

– Aha.

Nie mogłem się powstrzymać przed ponownym zerknięciem w stronę linii drzew, gdzie zniknął Byczek. Czyżby odszedł na dobre? Miałem nadzieję, że nie. Nagle zrobiło mi się bardzo smutno, gdy tak stałem pośród zimnej mgły w towarzystwie nerwowej Spanthianki i szykowałem się do wspinaczki, bez zaproszenia ani zapłaty, na wieżę wiedźmy, która słynęła z zagryzania ludzi. Z jakiegoś nielogicznego powodu tylko obecność ślepego kota w mojej torbie mogłaby zaprowadzić w moim życiu nieco równowagi.

– Nie myśl o tym *chodadu* kocie, włącz na górę.

Podszedłem do drzew i ukryłem torbę oraz skrzypce pod krzakiem. Następnie zdjąłem twarde podkładki ze swojego miękkiego skózanego obuwia, zyskując czucie w podeszwach stóp, a potem wsunąłem duże palce w osobne przegródki na czubkach rozwidlonych butów. Nawet z podkładkami z wygotowanej skóry byłem zdolny do wspinaczki na nieskomplikowane budowle, ale teraz czekało mnie niełatwe zadanie. Wróciłem do wieży i pociągnąłem jedno z pnączy, sprawdzając, czy utrzyma mój ciężar. Wydawało się, że tak, więc podciągnąłem się, chwyciłem kolejne pnącze, odepchnąłem się nogami i byłem w połowie wysokości wieży, zanim zdążyłem zanucić gallardiańską przyśpiewkę. Mimo wszystko czułem, że te pnącza są zdradliwe, i byłem gotowy na to, że zrobią coś nieprzyjemnego. Nie musiałem długo czekać. Wszystkie pnącza na murach wieży nagle bezwładnie obwisły. Runąłem w dół, kurczowo zaciskając dłonie na swoim pnączu, licząc, że mnie utrzyma, ale oczywiście się zerwało. Otarłem sobie stopy i dłonie do żywego mięsa, próbując wyhamować na ścianie – nie próbujcie tego sami, to ściśle strzeżona umiejętność – a po wylądowaniu na ziemi przetoczyłem się i stanąłem na poparzonych stopach. Twardy skórzany kołczan boleśnie wbił mi się w tyłek.

– Zaraza na te złośliwe pnącza – zakląłem.

- Potrzebujesz ich?
- Jeśli chcę się wspiąć szybko.
- Więc wspinaj się powoli.

Posłałem jej spojrzenie człowieka zmęczonego życiem, a ona odwzajemniła się spojrzeniem zaspanej zabójczynie, więc podszedłem do ściany i spróbowałem stać się jak najbardziej płaski, lekki i twardoręki. Tym razem starałem się unikać pnączy i wbijałem palce w przerwy między nimi. Zimne kamienie zapewniały mi wystarczająco mocny chwyt, więc nie musiałem uciekać się do magii, ale przegrałbym wyścig na górę z byle zde-terminowaną mrówką.

Na chwilę się zatrzymałem.

- Co robisz? - spytała Galva.

- Przypominam sobie, dlaczego to robię - odpowiedziałem, i nie było to kłamstwo. Powinienem wspinać się na ścianę domu jakiejś bogaczki, żeby ukraść jej złoto i goblinie srebro oraz napełnić kieszenie koralikami z kości słoniowej rodem z Keshu, ale wtedy musiałbym oddać to wszystko Gildii, prawda? W przeciwnym razie wytatuowałiby na moim policzku pięść zamiast otwartej dłoni. Albo, niech bogowie mają mnie w opiece, różę. Wolałbym mieć pętlę na szyi niż różę na policzku.

Zerknąłem na Spanthiankę, która machnęła dłonią do góry w typowo ispanthiańskim geście zniecierpliwienia i władczości, a to tak mnie rozgniewało, że zacząłem się wspinać bardziej zaciekle, a co za tym idzie szybciej, o co zapewne jej chodziło.

Byłem już prawie na szczycie, gdy pnącza postanowiły mi przeszkodzić.

- Złośliwe pnącza! - warknąłem, kiedy zaczęły mnie chłostać.

Jedno uderzyło mnie niczym soczysta pięść i zacząłem spadać, ale wtedy to samo pnącze chwyciło mnie za kostkę. Początkowo sądziłem, że chce mnie uratować, ale zamiast tego odsunęło mnie od ściany, żebym tym razem nie mógł jej użyć do wyhamowania. Runąłem z tak dużej wysokości, że byłem zmuszony do wypowiedzenia jednego z zaledwie dwóch pozostałych mi zaklęć łagodzących upadek: „*Kanst-ma na'haap!*”, ale wieża była tak wysoka, że i tak rozpląszczyłem się na ziemi jak żaba, boleśnie obitem sobie kość ogonową, a następnie potoczyłem się do tyłu, uderzyłem w głowę i znieruchomiałem na brzuchu.

Spanthianka wypowiedziała ispanthiańskie słowo oznaczające powitanie, w taki sam sposób, w jaki mężczyzna z Holtu odezwałby się do ładnej dziewczyny.

- *Saaaaa-la*.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem uroczą dziewczynę, która stała na progu drzwi i patrzyła na nas z góry. Miała twarz białą jak księżyc i brązowe włosy, ale największe wrażenie zrobiła na mnie jej długa, blada ręka opierająca się o ciemne drewno drzwi. To ciekawe, co najbardziej na nas działa. Nie zawsze są to oczy albo kobiece kształty; czasami wystarczy łuk zgrabnej ręki na tle ciemnego dębu.

- Mówi, że już możesz wejść na górę - odezwała się dziewczyna, a jej słowa, które spłynęły do moich uszu wraz z wilgotnym powietrzem, zabrzmiały słodko i znajomo.

Galtyjka tak daleko na zachodzie i północy? Nagle zatęskniłem za ojczyzną.

- To ty jesteś wiedźmą? - zawołałem.

Mrugnęła do mnie okiem i uśmiechnęła się, a potem zniknęła w ciemności, ale zostawiła drzwi uchylone. Podstępne pnącza nagle splotły się w najwygodniejszą drabinę, jakiej można zapragnąć. Wstałem i otrzepałem kurz z pleców.

Spanthianka popatrzyła na mnie z kpiącym uśmiechem. Uroczyście gestem wskazała drabinę, a ja miałem ochotę powiedzieć jej, w jaki południowy otwór może sobie ją wsadzić i że powinna pójść przodem, ale tylko żałośnie się uśmiechnąłem i ruszyłem na górę, chociaż oczywiście zachekałem na mniej więcej ósmym szczeblu, upewniając się, że podąża tuż za mną. Nie upierałem się, żeby poszła jako pierwsza tylko dlatego, że w razie czego zamierzałem na nią spaść. W Niskiej Szkole uczyli nas, w jaki sposób wykorzystać drugiego człowieka do złagodzenia upadku. Czasami brakuje mi tych drani.

Tylko czasami.

Martwe Nogi

Kiedy dotarłem do drzwi, które pozostały uchylone, dziewczyny już nie było. To były nie lada drzwi. Dębowe, jak już wspomniałem, i stare. Miedziane ćwieki zamiast żelaza i miedziane obicia w kształcie ustawionego bokiem drzewa, wszystkie pokryte niebieskawozieloną patyną. Pchnąłem drzwi na oścież, stanąłem na progu i zobaczyłem długi spadek z coraz niżej położonymi półkami. Na samym dole, dużo niżej, migotało niewyraźne, ciepłe światło świec albo lamp. Zanim zorientowałem się, co robię, uniosłem dłoń do tatuażu na swoim policzku. Włoski na moim karku i przedramionach stanęły dęba.

- No i co? – zawołała Galva z dołu.
- Wygląda na pułapkę. Bije stamtąd magia.
- W wieży więdźmy? Kto by się spodziewał?
- Wiesz, że to sarkazm, prawda?
- Pomyślałam, że powinnam choć raz spróbować.

Po przeciwległej stronie wieży znajdowały się odwrócone schody prowadzące w dół, które miały swój początek na dachu, ale były skierowane w niewłaściwą stronę, więc musielibyśmy iść po nich do góry nogami. A zatem półki, które wcześniej widziałem, były spodnią stroną schodów biegnących w dół. Podniosłem wzrok na dach wieży, który nagle zaczął przypominać podłogę.

- Skacz – odezwała się Galtyjka głosem pełnym radości.

Ponownie popatrzyłem w górę-dół, ale nie potrafiłem tego przyswoić.

Chciałem rzucić miedzianą strużynę i nasłuchiwać jej brzęku, ale nie mogę się zdobyć na marnowanie monet.

- Skacz, mój drogi. Gdyby chciała cię zabić, nie pozwoliłaby ci uszkodzić tych ślicznych nóg.

Nie byłem pewien, czy podoba mi się to, co słyszę, ale skoczyłem, zamierzając w razie potrzeby skorzystać z ostatniego zakłączenia łagodzącego upadek, ale nie zdążyłem, ponieważ spadłem o zaledwie dwie stopy. Prosto w górę. Uderzyłem się przy tym w głowę. Potrafię upadać, pod warunkiem że lecę w dół.

- *Hoa!* – krzyknęła Galva.

Obejrzałem się na nią i zobaczyłem, że wisi za drzwiami i wytrzeszcza na mnie oczy. Podniosłem wzrok na schody wiodące na szczyt (dno?) wieży, gdzieś rozświetlanej świecami ustawionymi w niszach.

- Uważaj na swój pierwszy krok – ostrzegłem.

Chciałem jej pomóc, ale zrezygnowałem i nieco się cofnąłem. Odwrócona Galva zeszła z półki i skoczyła. Wiedząc, czego się spodziewać, zrobiła salto, po czym wylądowała obok mnie. Wyraźnie powstrzymywała uśmiech.

- Podobało ci się? – spytałem.

Tylko nieznacznie kiwnęła głową, ale to zrobiła. Następnie podeszła do schodów i szybko ruszyła w górę (dół?). Podążyłem za nią. Robiło się coraz zimniej, a na pierwszym piętrze natrafiłem na niszę pełną migoczącego światła. Ale zamiast świeczki, której się tam spodziewałem, znalazłem leżącą cegłę z jakąś płonąca płamą. Okazało się, że to osa, zwęglona i całkiem pokaźnych rozmiarów. Chociaż cicho skwierczała w płomieniach, te jej nie pochłaniały. Miedziana płytka, nowa i starannie wypolerowana, odbijała niewielkie światło. Przyjrzałem się dokładniej, zafascynowany. Po chwili o mało nie wyskoczyłem ze skóry, gdy stworzonko obróciło się w moją stronę, jak osy mają w zwyczaju, gdy decydują, czy powinny cię użądlić. Ominąłem owada i przeskakując po dwa stopnie naraz, dogoniłem Galwę.

Na szczycie schodów znajdował się ziemny skarbiec, olbrzymi jak główna sala w posiadłości jakiegoś pomniejszego lorda. Usłyszałem niskie warczenie, a ogromny szary wilk, który leżał obok paleniska po naszej prawej stronie, obnażył kły. Zatrzymaliśmy się. Dłoń Galwy spoczęła na

rękojeści miecza. Wilk przestał warczeć i popatrzył w głąb pomieszczenia, gdzie na czymś w rodzaju tronu siedziała mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta o cienkich, siwo-brązowych włosach i pulchnych policzkach, która opychała się wołowiną. Machnięciem ręki uspokoiła wilka, a ten natychmiast opuścił łeb i oblizał pysk.

Za kobietą płonęły dwie odwrócone pochodnie, a dym opadał i zbierał się na podłodze. Świece wykonane z zielonkawej miedzi, podobnie jak okucia drzwi. Nie licząc dziwnego narzędzia, w pomieszczeniu znajdowało się bardzo niewiele ciemnego lub srebrnego metalu. Nawet główki gwoździ w meblach były mosiężne.

Martwe Nogi wyglądały jak nieco sfatygowana królowa, gdyby nie to, że miała podwiniętą spódnicę, spod której wзираły gołe nogi i stopy, które wyglądały, jakby należały do dwudziestolatki, jednej z tych, dla których zalotnicy przeszywają się nawzajem sztyletami, by wywalczyć prawo do kolejnego tańca. Kiedy podeszliśmy bliżej, skrzyżowała te nogi i zaczęła kołysać wyżej położoną stopą, najwyraźniej w rytm naszych kroków.

– Kto staje przed obliczem Guendry Na Galbraeth, Księżnej Bezśnieżnego Lasu, Pani Odwróconej Wieży, Marszałek Rycerzy Zielonego Lasu i Asystentki Szubienicy? – odezwała się z przyjemnym akcentem dziewczyna, którą spotkaliśmy przy drzwiach, a jej fioletowo-czarny język zatańczył za zębami.

Stała po lewej stronie wiedźmy, podpierając się brzoźową laską. A więc Martwe Nogi również była Galtyjką? Wyglądało na to, że na zachód dotarło całkiem sporo moich ludzi, wliczając Głodującego, którego spotkałem w lochu Gildii, oraz te dwie czarownice. Czarne języki mają talent do zajmowania wysokich stanowisk w podłych miejscach.

– Galva z Ispanthii, rycerz kruka, służebnica Dalgathy i poddana infantki Mireyi.

Twarz starej wiedźmy nieco się rozluźniła na wspomnienie o Mireyi. Usiadła wygodniej na tronie, ponownie skrzyżowała oszałamiające nogi i zakołysała palcami drugiej stopy.

– Witajcie – odezwała się. Jej głos nie był szczególnie wysoki i pobrzmiwała w nim bezbarwna nuta charakterystyczna dla starszych ludzi, którzy już nie starają się przypodobać kochankom, tylko chcą działać skutecznie, ale mimo wszystko odbijał się echem od mojego napierśnika, jakby chciała mi pokazać, że jestem pusty w środku. – Usiądziecie?

– Nie – odrzekła Galva.

– Nalegam, macie za sobą daleką wędrówkę.

Nagle dwie postacie, które wyglądały jak zbudowane z pyłu, oddzieliły się od ziemnych ścian i ruszyły w naszą stronę. Minęły nas, a następnie z drzeniem przemieniły się w dwa proste drewniane krzesła. Kiedy skończyły, rozsypany pył poleciał do góry i połączył się z sufitem. Nie miałem ochoty siadać na tych meblach, ale jeszcze bardziej obawiałem się urazić ich stwórczynię, więc usiadłem, podobnie jak Galva. Skórzana rękawica trzymająca dwa gliniane kubki nadleciała do nas nie wiadomo skąd, a wkrótce po niej pojawiła się kolejna rękawica niosąca dzban. Przyjęliśmy naczynia, a wtedy z dzbaną popłynęło ciemne wino dla Galvy i bursztynowe piwo dla mnie.

– Skąd wziąć coś takiego? – odezwałem się, wskazując głową zaczarowane naczynie.

Galva skarciła mnie wzrokiem, ale wiedźmie najwyraźniej spodobała się moja werwa i uśmiechnęła się, ukazując bardzo ciemne zęby.

– Jeśli zostaniesz moim niewolnikiem na siedem lat, a ja będę zadowolona z twojej służby, być może podaruję ci taki dzban, a także wiele innych prezentów.

– A jeśli nie będziesz zadowolona?

– Wtedy zmienię cię w pyłową istotę i umieszczę w ziemi, do czasu aż któryś z moich gości będzie potrzebował siedziska.

Nie miałem żadnej odpowiedzi, więc tylko uśmiechnąłem się i napiłem, a piwo było na tyle dobre, że zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście nie potrzebowała służącego.

Zwróciłem uwagę na jej naszyjnik.

Miedź i zielony bursztyn, ale jeśli się nie myliłem, środkową ozdobę wykonano z wypolerowanej i rzeźbionej rzepki kolanowej.

– Wiem, po co tutaj przyszłaś – odezwała się wiedźma do Galvy.

– Tak.

– Czy możemy rozmawiać na poważnie w jego obecności? – spytała, wskazując mnie głową.

– Chyba jeszcze nie.

Starłem się nie okazywać rozczarowania, ale z pewnością mi się nie udało.

– Więc będziemy rozmawiać grzecznie, dopóki nie będę gotowa go odesłać. Skąd pochodzisz, chłopcze?

Nogi ponownie się skrzyżowały, a palce stopy zaczęły się kołysać. Ten ruch wyglądał dziwnie, zbyt podobnie do poprzedniego.

– Platha Glurris – odpowiedziałem.

– Słyszałam o tym miejscu, pomiędzy Lśniącą Rzeką a Rozdartym Morzem. Niedaleko Wyspy Kruków. Kiedyś miałam szansę się tam wybrać, ale nie skorzystałam. Czy rzeka naprawdę łśni?

– Jak każda inna, kiedy pada na nią światło słońca. Ale ludzie muszą mieć poczucie, że mieszkają w wyjątkowym miejscu, prawda?

– Owszem.

– A ty skąd pochodzisz? – spytałem.

Nagle za nami rozległ się jakiś odgłos, a kiedy się odwróciliśmy, zobaczyliśmy znajomego jegomościa o głowie jak dynia, który z trudem wciągnął wózek na ostatni stopień i chwiejnym krokiem wszedł do sali. Wilk obok paleniska zachował spokój pomimo hałasu i patrzył znudzony, jak Dyniowaty zrzuca na posadzkę zepsute, powyginane narzędzia, które nie zagrzechotały, tylko upadły z odgłosem przypominającym uderzenie ciała o ziemię. A to dlatego, że ciało rzeczywiście uderzyło o ziemię. Narzędzia zniknęły, a ja zrozumiałem, że powykrzywiane sprzęty były ciałem. Nie było żadnych narzędzi. Na cegły upadł mężczyzna o włochatych przedramionach i nogach. Głowę, na szczęście, miał osłoniętą kapturem, na którym wciąż zaciskała się pętla. Owoc słynnych szubienic w Maeth. Sługa wiedźmy wyjął z torby na plecach małą piłę z brązu, a ja próbowałem się nie krzywić, kiedy zdjął trupowi spodnie i przyłożył piłę do miejsca, w którym noga łączy się z biodrem.

– Ja? Pochodzę ze ślicznej doliny otoczonej kwiatami w miesiącu Traw oraz dębami i klonami, które żółkną podczas Dożynek i Winnic, ale to nie jest zwykła żółć. Ten kolor jest tak piękny, że przyprawia o łzy. Kiedy słońce podświetla żółte liście, mogą się one równać z najpiękniejszymi witrażami.

Odwrociłem wzrok od paskudnych wysiłków Dyniowatego, ale „zum, zum, zum” jego piły przebijało się przez słowa.

– Owce, które bawiły się w dolinie, miały wełnę o niezrównanej miękkości, nie licząc stad wypasanych przez bogów, a kozy dawały mleko, którego nie trzeba było dosładzać miodem.

Zum, zum, zum.

– Było tam jezioro, pełne wodnych lilii, a kiedy na jego powierzchnię świeciło zachodzące słońce, woda tak wiernie odbijała jego barwy, że nie było mężczyzny ani dziewczycy, którzy nie pocałowaliby się i nie zgodzili pobrać na sam widok tej niezwykłej harmonii niebios i wód.

Zum, zum, tum (uff, uff, puff).

– A ryby? – ciągnęła, podczas gdy mnie zamykały się oczy.

Zum, zum.

– Wystarczyło postawić kosz na brzegu, a pstrągi walczyły ze sobą o zaszczyt wskoczenia do środka, a kiedy kroilo się je przed przyrządzeniem, okazywało się, że nie mają ości ani wnętrzości, ale są czystymi, słodkimi filedami gotowymi do panierowania i usmażenia na maśle.

Zum, zum, zum.

– Nie chciałbyś przyjść na świat w takim miejscu?

Pokiwałem głową, bliski zapadnięcia w drzemkę.

Zum... zum.

– Kochaneczek chyba się zmęczył.

ZUM, tum.

Ostatnim, co zobaczyłem przed zaśnięciem, był widok, jaki łatwo pomylić ze snem. Guendra Na Galbraeth odcepiła się od podwiniętej spódnicy i nóg nimfy, które miarowo krzyżowały się i prostowały bez jej udziału. Wlokąc za sobą beznogie biodra, przemieściła się za pomocą muskularnych, zbyt długich rąk, niczym u górskiej małpy z Urrimadu, i zbliżyła do miejsca, w którym dziewczyna ułożyła odcięte nogi mężczyzny. Sługa zniknął, a na jego miejscu leżała niewielka sterta wczesnojesiennych tykw i melonów, które wysypały się z jego ubrania, gdy wreszcie spełnił swoje zadanie i przerwał czar.

– A więc do dzieła – odezwała się wiedźma.

Zapadłem w sen, w którym ssałem miód prosto z wymienia kozy i sprawiało mi to wielką radość.

Wiedźmiątko

Obudziłem się na podartym i spalonym pościeliu, prawdopodobnie starej derce z czasów, gdy żyły konie, pod którą leżała sterta słomy – nie byłem jeszcze w tak kiepskiej sytuacji, żeby nazwać to łóżkiem. Jedyne źródło światła stanowił niewielki płomień, który poruszał się wokół mnie, więc początkowo pomyślałem, że to jakieś dziecko okrąża mnie ze świeczką w dłoni, ale kiedy nieco doszedłem do siebie, zauważyłem, że to kolejna ze świecących os, podobna do tej, którą widziałem na schodach. Cóż za zmyślne czary! Niska Szkoła posiadała lampy, które za sprawą magii płonęły jaśniej, a jednocześnie były dziwnie zimne (aby ochronić cenne księgi, które czytaliśmy), ale do ich stworzenia użyto prostej magicznej sztuczki, a poza tym wciąż wymagały napełniania tranem, jak zwykłe lampy. Ale osy? Zastanawiałem się, czy przylatują na zawołanie. W ciągu pięćdziesięciu uderzeń serca odkryłem, że reagują na galtyjski, a ignorują holtyjski, i solidnie się sparzyłem, gdy przywołałem jedną z nich do siebie, zanim nauczyłem się je odsyłać.

Nagle osa przestała mnie słuchać i zaczęła uderzać o drzwi, pozostawiając na nich czarne dymiące punkciki. Chciała się wydostać. Wypuściłem ją, a ona odleciała korytarzem, ale po chwili zatrzymała się, wyraźnie na mnie czekając. Byłem wzywany.

Poprowadziła mnie jeszcze węższymi ziemnymi tunelami, a potem w dół drabiny, na której końcu znajdował się właz. Zaczęła o niego uderzać, a ja uniosłem klapę. Z otworu wylało się słabe światło, a stworzenie poleciało na dół. Za włazem znajdował się długi spadek prowadzący w ciemnoszare niebo naznaczone dziurami dalekiej, jaśniejszej szarości. Zaryzykowałem i opuściłem nogę, a potem drugą, aż w końcu zawisłem na dolnym szczeblu drabiny. Na poziomie wzroku miałem sufit porośnięty odwróconą trawą, na której stała odwrócona wiewiórka. Zwierzak zapiszczał na mnie i zbiegł po drzewie. Usłyszałem śmiech i poczułem zapach jedzenia.

– Puść drabinę, słabeuszu. Boisz się, że spadniesz na słońce? W Norholcie go nie ma.

Puściłem się, ale tym razem byłem gotowy na to, że cały świat wywinie koziołka, i wylądowałem na nogach. Usłyszałem śmiech Galvy, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że siedzi okrakiem na czymś w rodzaju wierzchowca zbudowanego z wikliny i poskręcane drewna, na którego jednym końcu znajdowała się rzeźbiona głowa konia – być może pochodząca z dziobu jakiegoś okrętu – o namalowanych białą farbą zbyt dużych oczach, jakby rozszerzonych w bitewnym szale.

Wiedźma stała w pobliżu i trzymała wodze sztucznego wierzchowca. Była wysoka dzięki zasłoniętym spódnicą pożyczonym nogom trupa, które mogły ją nosić przez kilka dni, dopóki smród nie skłoni jej do rezygnacji. Podejrzywałem, że jeszcze nie odkryła, w jaki sposób powstrzymać je przed gniciem. Uśmiechała się szeroko jak ropucha, widząc zadowolenie Spanthianki. Chociaż ta była nie tylko zadowolona. Kontakt ze sztucznym koniem tak podobnym do prawdziwego z pewnością napełnił ją entuzjazmem i zarazem żalem, które ja także poczułem na widok na wpół zapomnianego obrazu, który kiedyś uznawaliśmy za oczywistość – kobiety na koniu. Na uszy Fothannona, ta rzecz nawet poruszała się jak żywy koń. Chciałem jej dotknąć, ale jednocześnie wiedziałem, że dotyk suchych trzcin zamiast spoconej skóry złamie mi serce.

Wiedźma puściła wodze i koń ruszył galopem. Galva uniosła się w siodle, żeby przeskoczyć niewielką przeszkodę, a potem przytuliła się do szyi konia, uchylając się przed niskimi gałęziami. Wszystkie ptaki na drzewach zaświergotały, wyrażając swoje niezadowolenie tym zamieszaniem. Zaprzagnąłem usiąść na grzbiecie tej rzeczy i pomknąć przed siebie. Właśnie to odebrały nam gobliny, naszą szybkość. Naszą piękną, szlachetną, śmiercionośną szybkość.

Obecnie jedynym sposobem na poruszanie się równie szybko jak konno była żegluga morska albo upadek z dużej wysokości, a oba musiały zakończyć się płaczem. Już wtedy znienawidziłem gobliny, chociaż nie widziałem żadnego z nich na własne oczy. Nienawidziłem tego, co nam zrobiły, a wszystko, co my im zrobiliśmy, wydawało się zbyt małą karą za tę wielką czworonożną lukę, która w nas pozostała. Dopiero kiedy rój komarów wpadł mi do ust, uświadomiłem sobie, że stoję z otwartą gębą i dziecinnym uśmiechem. Otarłem język o rękaw i splunąłem, a kiedy podniosłem wzrok, nadjechała Galva, objęła mnie w pasie i wrzuciła na miejsce za sobą.

Pędziliśmy po polanie, zataczając obszerne koła, i śmialiśmy się w głos, dopóki nie odezwała się Martwe Nogi:

– Wystarczy. Macie do dyspozycji tylko godzinę jazdy, a już wyczerpaliście jedną dwunastą mocy. Być może więcej, ponieważ twoja kolczuga niewątpliwie wysysa energię.

Spanthianka ściągnęła wodze mechanicznego zwierzęcia, które przeszło do klusa, a w końcu się zatrzymało. Kiedy tylko zsunęliśmy się z jego grzbietu, zadrżało i zmieniło się w jesionową laskę z małym końskim łbem na szczycie i trzonkiem okrytym dereszowatą końską skórą.

– Nie ma wątpliwości, że jeździsz jak Spanthianka – pochwaliła Martwe Nogi. – Wszyscy chyba macie w żyłach kroplę końskiej krwi.

- Cały mój lud za nimi tęskni. A to... - Galva z podziwem popatrzyła na laskę. - Każda generał wiele by zdziałała, gdyby miała do dyspozycji setkę rycerzy na takich wierzchowcach. Mogłaby odwrócić losy bitwy.
- Owszem. A wytwarzając je, mogłaby zabić pół setki wiedźm o mojej potędze. Ale problem w tym, że na świecie nie została nawet dziesiątka, która potrafi to robić, a miesiąc pracy zapewnia tylko godzinę jazdy. Zaledwie godzinę. Dobrze ją wykorzystaj.
- Galva pokiwała głową i odwróciła się, ale Martwe Nogi jeszcze z nią nie skończyła.
- Dobrze wykorzystaj także moją prasiostrzenicę, w przeciwnym razie o wszystkim się dowiem, a jako że jesteś naszą dobrą przyjaciółką, obie będziemy ze smutkiem wspominać ten dzień.

Zanim odeszliśmy z Bezsnieżnego Lasu i Odwróconej Wieży, usiedliśmy w zagajniku przy stołach nakrytych białymi obrusami i dzikimi kwiatami, gdzie raczyliśmy się jagodami, chlebem i dziczyzną. Przy stole wiedźmy ucztowało też kilkoro ludzi, których nie znałem, a którzy wyglądali na rolników. Życzyli jej zdrowia i chwalili jej kuchnię, której nigdzie nie było widać. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób Martwe Nogi przygotowała posiłek, ale byłbym zaskoczony, gdyby użyła do tego pieca i garnków. Wiedźma zużywała tak wiele magii na ożywianie służących i utrzymywanie swojej odwróconej wieży, że byłoby czymś wyjątkowym, gdyby pozostało jej wystarczająco dużo mocy do walki. Ale ona niewątpliwie była wyjątkowa.

Zastanawiałem się, do czego mogłaby być zdolna, gdyby porzuciła to wszystko i po prostu ruszyła na wojnę. Byłoby mi żal króla lub legionu, który stanąłby jej na drodze. Martwe Nogi była jedną z wybitnych założycielek Gildii Magików i należała do tej samej kategorii co Stukwark, nieślawny twórca bojowych kruków i innych mieszańców, Fulvir i może jeszcze sześć lub siedem osób podobnego kalibru. W porównaniu z nią Mistrzowie Sztuk z Niskiej Szkoły oraz ich bardziej pretensjonalni kuzyni z Gildii Magików wyglądali jak portowi kuglarze. Przynajmniej ci, których poznałem.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem coś tak smacznego. Asystentka wiedźmy, Norrigal, powiedziała, że to drzewa schwytały dla nas zwierzyne - głównie króliki, wiewiórki i gołębie, ale także jednego młodego koziołka.

- Koziołek nie zostałby schwytany, ale zatrzymał się i zaszczekał na jedno z drzew, a jemu się to nie spodobało, więc przebiło go gałęzią. Był za ciężki, żeby drzewa mogły go sobie przekazywać z gałęzi na gałąź, więc dyniowaty musiał go przywieźć, kiedy już odpoczął. Teraz leży na stole, przyprawiony pieprzem i solą, z chrupiącą skórką natartą czosnkiem. Haros nie lubi marnować jeleniego mięsa.

- To się zgadza - przyznałem, czując, że moje słowa zabrzmiały lubieżnie, choć nie miałem takiego zamiaru.

Obraz Harosa z jelenim porożem i bezustannie sztywnym jelenim fiutem podsuwał mi rozmaite myśli.

Norrigal powoli zamruwała, a ja nie wiedziałem, co to oznacza, ale zdążyłem zobaczyć, że ma tatuaże na powiekach, czerwono-brązowe i wyblakłe, tak jak moje. Tatuaże przedstawiające oczy. Dziewczyna potrafiła używać magicznego wzroku, być może do widzenia na odległość, w ciemności lub do rozpoznawania kłamstw. Oto kolejny powód, by czuć się nerwowo w jej obecności, jakby było ich mało. Nic, co mówiłem do Norrigal, nie brzmiało tak, jak zamierzałem. Podczas gdy ona kojarzyła mi się z idealną białą ręką na tle ciemnych drzwi, ja byłem dla niej jak pies sikający na drzewo, przynajmniej kiedy otwierałem usta. No cóż, nawet jeśli zabrzmiałem lubieżnie, to ona wplątała w to Harosa.

- Koziołki paskudnie szczekają. Brzmia jak wydzierający się starzec - powiedziałem, próbując zmienić temat.

Po uczcie Martwe Nogi podeszła do nas na kończynach pożyczonych od wisielca. Już czułem ich woń - w tym tempie po upływie kolejnego dnia nie da się ich używać, niezależnie od tego, czym je nasmaruje, by zwiększyć ich trwałość. Przyprawianie sobie trupich nóg nie było praktycznym rozwiązaniem, ale wzbudzało podziw i temu miało służyć. Chłopi z Norholtu, których nakarmiła, patrzyli na nią jak na półboginię, a ja nie byłem pewien, czy rzeczywiście nią nie jest.

Popatrzyła mi prosto w oczy i podała ostry, zakrzywiony nóż z kościaną rączką i złotymi runami wygrawerowanymi na miedzianym ostrzu, które obiecywały, że wszelka krew, która na nie padnie, zostanie przekazana bezpośrednio do bogów. Zauważyła, że się im przyglądam.

- Wierzysz w to?

Runy zapisano w dawnym galtyjskim języku, którego nie powinienem znać, więc ugryzłem się w język.

- Myślisz, że nie wiem, czym jesteś? - spytała. - Że masz dar czytania? Powiedz mi, czy wierzysz w ofiary?

- Wierzę.

Norrigal do nas dołączyła.

- W takim razie ofiarujesz coś Solgrannonowi - dodała wiedźma. Miała na myśli Solgrannona wilka o zakrwawionym pysku, galtyjskiego boga wojny i męskości.

Rozejrzałem się i zauważyłem w zagajniku kilka posągów przedstawiających galtyjskich bogów, nawet Fothannona Lisa. Kiedy tylko zatrzymałem wzrok na kamiennym ołtarzu, obok którego stała drewniana rzeźba wilka, Martwe Nogi zacisnęła silną, starą dłoń na moim ramieniu i pokierowała moimi krokami.

- Musisz się nauczyć czegoś, czego nie mogę ci przekazać słowami. - Wykonała gest kciukiem, a wtedy młody królik wyskoczył z trawy i wylądował jej na dłoni. Chwyła go za tylne łapy i przytrzymała nad kamieniem, spoglądając na mnie.

- Nauczyć? - zdziwiłem się. - Już wcześniej zabijałem króliki.

- Przestań gadać. Pomyśl o wilku i ofiaruj tego samca królika w intencji pokonania nadchodzących trudności. Wiem, że wolisz służyć panu lisów, pierdząc w masło albo coś w tym rodzaju, ale on już wystarczająco cię lubi. Przydadzą ci się żelazo i zęby zakrwawionego wilka.

Nie jestem przewrażliwiony, a jeśli nawet bywam sentymentalny, to nie na tyle, żebym nie mógł zabić zwierzęcia dla jedzenia lub magii. Ale mimo wszystko, kiedy popatrzyłem na królika, zawahałem się. Wyglądał na inteligentniejszego niż powinien. Obrócił się w pozycji do góry nogami i popatrzył na mnie, marszcząc nos. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu stuknął przednią łapą w moją dłoń trzymającą nóż. Rozchyliłem usta, a on zrobił to ponownie. Chciał, żebym go zabił.

– Kinchu na Shannacku, zwróć swoje myśli ku Solgrannonowi i poderżnij gardło temu słodkiemu królikowi, zanim spadnie na nas nieszczęście. Zrobiłem to.

Chwyliłem maleństwo za uszy i je rozprostowałem, podczas gdy wiedźma trzymała zwierzątko za tylne nogi. Potem poderżnąłem mu gardło. Położyliśmy drżącego i krwawiącego królika na ołtarzu, a wtedy to się stało. Królik coraz mocniej drgał, aż w końcu zmienił się w wilka, wielkiego szarego wilka, którego widzieliśmy przy palenisku.

Wilki otrząsnął się jak mokry pies i polizał mnie po czole, a ja przysięgam, że jego potężny, gorący język prawie mnie przewrócił.

– Niech cię błogosławi Solgrannon – odezwała się wiedźma. – Jestem prawie pewna, że będziesz go potrzebował. – Pomazała mi czoło krwią, a potem zrobiła to samo sobie i do kompletu także Norrigal.

Galva dołączyła do nas po ofierze. Wszyscy czworo szliśmy i rozmawialiśmy, a ja cieszyłem się, że mogę im towarzyszyć. Dowiedziałem się, że Norrigal wybiera się z nami na zachód. Cokolwiek Galva zamierzała robić w krainie olbrzymów, te wiedźmy w pełni to popierały. Starsza wiedźma odwróciła się w moją stronę i zachwiała, gdy ugięło się pod nią kolano trupa.

– Zajrzałam do twojej głowy – oznajmiła. – Nie mam wątpliwości, że Gildia powierzyła ci jakieś zadanie, które masz dla nich wykonać na Rubieżach.

– Zgadza się.

Nagle przeciął nam drogę królik. Byłem pewien, że to ten sam, któremu właśnie poderżnąłem gardło, i zrozumiałem coś ważnego w kwestii rzuconego zaklęcia.

– Widziałam także, że na swój sposób jesteś lojalny wobec mojej ispanthiańskiej przyjaciółki. Zrobisz, co w twojej mocy, by zadbać o bezpieczeństwo Galvy, jeśli tylko ona zrobi to samo dla ciebie.

Pokiwałem głową, czując się niezręcznie. Co jeszcze widziała? Czy zdawała sobie sprawę, jak bardzo podoba mi się Norrigal?

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – odezwała się, chociaż o nic jej nie pytałem, po czym do mnie mrugnęła. – Ale to jej sprawa.

– Ejże, to niezbyt grzecznie grzebać mi w myślach – zaprotestowałem.

– To konieczność.

– Już znalazłaś to, czego szukałaś, więc się wycofaj.

– Zmuś mnie.

– Racja.

– Wiedz jedno, Kinchu Na Shannacku. Chociaż nie mam nóg, żeby z wami pójść, moja ręka jest wystarczająco długa, żebym was dosięgła.

Twoja Gildia jest gorsza, niż przypuszczasz. Woda napędza koło. Dlatego my, którzy podłączamy się do głębokich źródeł magii, żyjemy na obrzeżach, żeby się im nie kłaniać. Magicy z Gildii są głównie warci, to wszystko tylko dym, upudrowane twarze i nędzne płomyki. Nie mogą się równać z tymi, którzy mieszają kości i wprawiają kamiennych ludzi w ruch. Ich Gildia, tak samo jak twoja banda drobnych złodziejek i zabójców, to kanciarze wpędzający chłopców i dziewczęta w długie. Owszem, mają kilkoro silnych magików, ale to średnia półka. Najlepszych z nich mogłabym wykorzystać w charakterze łyżki do zupy.

Otworzyłem i zamknąłem usta. Podejrzewałem, że Gildią Magików dowodzi Gildia Poborców, ale nigdy nie słyszałem tego z ust kogoś tak dobrze poinformowanego. A skoro moi złodziejscy mistrzowie wodzili Gildię Magików za nos, to czy kontrolowali też innych? Czy ubrani na żółto nastolatki z Gildii Gońców albo ciemnorękie kobiety przy kadziach Farbiarzy również odpowiadali przed moją ukochaną/znienawidzoną Gildią? Jeśli tak, to zakres ich władzy przyprawiał o zawrót głowy.

– A co z tobą? – spytała ta najprawdziwsza wiedźma, patrząc na mnie tak intensywnie, że jej wzrok palił mnie lodowatym ogniem. – Pewnie wciąż cię oceniają. Jeszcze nie mają cię całkowicie w garści. Kryje się w tobie więcej, niż podejrzewają, znacznie więcej, i mam nadzieję, że odwrócisz się od nich, a wtedy staniesz się cierniem w ich boku. Ale nie miej wątpliwości. Jeśli za sprawą Gildii kiedykolwiek zwrócisz się przeciwko tej dwójce, rozprawię się z tobą, jakbym nigdy cię nie znała.

– Jeśli nasze drogi się rozejdą, odejdę w swoją stronę w pokoju i przyjaźni – odrzekłem.

– Wierzę, że tak zrobisz... jeśli będziesz w stanie. Dlatego dzisiaj zachowaj swoją śliczną skórę i zabierz w drogę moje błogosławieństwo.

Miałem wrażenie, że te ostatnie słowa pochodziły z jakiegoś starego poematu recytowanego przez bardów z Brayce, ale nie pamiętałem, z którego, ani czy dobrze się skończył.

Większość z nich kończy się źle.

Węglarze

Norrigal wyszła z Bezśnieżnego Lasu razem z nami, dźwigając torbę, która wydawała się dla niej za duża, ale nie narzekała z tego powodu. Minęliśmy część lasu, w której kępa młodych drzew rosta niedaleko drogi, a ja zauważyłem obok wielu z nich stare miecze z brązu, powbijane w ziemię i pozieleniałe.

W pierwszej chwili pomyślałem, że miecze, nawet stare, zapewne wkrótce zostaną skradzione, zwłaszcza w biednej krainie, gdzie większość ludzi broni swoich stad owiec za pomocą siekier i wideł. Potem przypomniałem sobie rolnika przy stole i zrozumiałem, że wiedźma jest tutaj kimś w rodzaju księżnej albo hrabiny – panią na wzgórzu, królową Odwróconej Wieży. Ludzie ją znali; niektórzy bali się jej i ją kochali, inni niewątpliwie bali się i jej nienawidzili, ale z pewnością nie zabraliby starego miecza z tego lasu, tak jak ludzie w Cadoth nie ukradliby złotego lwa z szyldu Gildii Poborców. Istnieją rzeczy gorsze i bardziej czujne niż światowa sprawiedliwość.

– Czy to groby? – spytałem Norrigal.

– Być może. Ale nie dla kogoś, kto już nie żyje.

Włoski na moim karku tak często stawały dęba, że już tego nie zauważałem. Wyczuwałem tutaj potężną magię. Najsilniejszą, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia.

Galva przez cały ten czas milczała. Myślę, że miało to coś wspólnego z dziewczyną – Spanthianie bardzo późno zaczęli uznawać kobiecie prawo własności i zezwalać kobietom na naukę walki. Ci prawdziwi mężczyźni, którzy ujeżdżali konie oraz władali niewolnikami i winnicami na dumnych brązowych wzgórzach, nie lubili się dzielić. Ale kiedy konie odeszły, a bitwy zmieniły się w rzezie, okazało się, że jedynym sposobem na powstrzymanie marszu goblinńskiej Hordy na stolicę jest wyhodowanie bojowych kruków i nauczanie dziewcząt posługiwania się mieczem.

Kobiety w wieku Galvy nie miały łatwo. Najpierw musiały udowodnić swoją wartość nauczycielom szermierki, potem białobrodym starym władcom koni, a w końcu sprawdzić się w błocie Gallardii przeciwko kłusaczom, jak nazywano gobliny. A oto pojawiła się dwudziestolatka, która uznawała za swoje prawo dołączenie do naszej wyprawy, a chociaż dźwigała torbę, która była tylko o połowę od niej mniejsza, szła tak szybko, że z trudem dotrzymywaliśmy jej kroku. Norrigal wręcz cuchnęła pewnością siebie i uprzywilejowaniem. Podejrzywałem, że Galva nie ma nic przeciwko niej, ale prawdopodobnie nie wiedziała, jak z nią rozmawiać, więc się nie odzywała.

Nie ulegało wątpliwości, że w Norrigal kryło się coś więcej, ale to samo dotyczyło nas wszystkich. Wiedząc, do czego jest zdolna końska laska Galvy, zastanawiałem się, co potrafi kawałek brzoźowego drewna, który niosła Norrigal, ale wątpiłem, by zechciała zdradzić mi tę tajemnicę na tak wczesnym etapie znajomości.

Wiedziałem tylko, że byliśmy prawdziwą bandą milczków, kiedy dotarliśmy do sławnego szlaku zwanego Łososiową Droga. Prowadził on przez zimne sosnowe lasy i kilka nadrzecznych osad słynących z doskonałych łososi, a potem łączył się z odnogą Białej Drogi, która wiodła do Pigdenay, wielkiego portu w północno-zachodnim zakątku Holtu.

Pod koniec pierwszego dnia wędrówki znaleźliśmy ciała.

Zobaczyliśmy tablicę, która powiedziała nam, że zbliżamy się do wioski, więc zeszliśmy z drogi i zaczęliśmy szukać jakiegoś miejsca nad rzeką, w którym moglibyśmy przenocować, a rankiem być może złowić rybę. Ujrzelśmy dym unoszący się z pobliskiego zagajnika, gdzie mieliśmy nadzieję rozbić obóz, więc Galva wysłała mnie na przeszpiegi. Trzymałem się długich cieni i kroczyłem bezgłośnie, ale okazało się, że nie muszę się skradać.

Chłopak i dwie kobiety przy ognisku nie mogli usłyszeć niczego poza dudami Samnyra Na Gurtha, boga prowadzącego dusze do lodowatego lasu. Chłopak miał głowę odwróconą w niewłaściwą stronę, a kobiety otrzymały pocałunki od mieczy lub toporów. Wyglądało to paskudnie. Nie siedzieli przy zwykłym ognisku, ale przy kopcu usypanym z węgla drzewnego, i patrzyli, jak ten się pali, co mogło potrwać nawet trzy dni. Kopiec dorównywał mi wzrostem i wciąż mocno dymił. Obok niego żarzyło się mniejsze palenisko, ale zgaśło co najmniej przed godziną. Jedna z kobiet trzymała kurczowo wiekową poszarzałą drewnianą miskę. Obok buta nieboszczyka leżał kawałek chleba, zbyt ubłocony, by go zjeść.

Próbowali spożyć w spokoju kolację, a ktoś zabił ich, żeby zdobyć jedzenie, co było bardzo nie w porządku w lesie pełnym ryb, dzikiej zwierzyny i jagód.

Obok chłopaka z odwróconą głową zobaczyłem mieszaninę odcisków stóp, z których niektóre były długie jak moja dłoń i przedramię razem wzięte. Pokazałem je swoim towarzyszkom.

– Myślisz o tym samym, co ja? – zagadnąłem Galwę.

Zacisnęła pięść i wyprostowała dwa zewnętrzne palce w geście przypominającym rogi.

Owszem, myślała o tym samym.

– Czyli o czym? – spytała Norrigal.

Opowiedziałem jej o baronowej na klaczy, jej setce włóczniczek i misji, którą wykonywały.

– Rogogłowy – powtórzyła, gdy podałem jego imię. – Podejrzewam, że ten, kto go schwyta, otrzyma nielichą nagrodę.

– Całkiem słusznie – odrzekłem, spoglądając na kark skręcony łatwo jak u wróbla.

– A jeśli to on? – odezwała się Galva.

Pomyślałem o wielkim brzęczącym worku monet, który zapewne byśmy dostali, gdybyśmy ścięli temu mieszkańcowi łeb, po czym sprawdziłem swój poziom szczęścia. Miałem wrażenie, że moje serce jest skąpane w ciepłej wodzie. Nie miałem szczególnej ochoty na walkę z bestią i jej kompanami, ale wyglądało na to, że mają w zwyczaju zabijać niewinnych, a poza tym niemal widziałem na horyzoncie blask pieniędzy i czułem w dłoniach złote królowki i srebrnych waletów. Te pieniądze nie musiałyby trafić do Gildii, ponieważ spłacałem dług swoimi usługami. Mógłbym zachować dla siebie swoją dolę nagrody. Kilka takich łupów i mógłbym zbudować ładny dom na urwisku i wypełnić go książkami oraz pieniędzmi.

– To Rogogłowy – stwierdziłem. – Myślę, że możemy powalić tego byka.

Tropienie bandy początkowo było łatwe, ponieważ każdy krok tego drania pozostawiał w ziemi otwór wielkości dziecięcego grobu, ale, tak jak się spodziewałem, po jakimś czasie ślady zniknęły. Użyli magii do ich ukrycia, tak subtelnej, że nie potrafiłem jej wyczuć, ale nie miała z tym kłopotu Norrigal, która wydobyla z głębi torby coś w rodzaju sztucznego drewnianego nosa i przymocowała go do twarzy za pomocą skórzanego paska. Wyglądała absurdalnie, ale przedmiot działał.

– Ta magia pachnie jak sól i skóra, z której szyje się buty. Założę się, że ma na nogach zakłute sandały, które nie pozostawiają śladów, dopóki delikatnie stawia stopy. Delikatnie jak na niego.

– Wyglądasz jak pierdolony żuraw – stwierdziłem, powstrzymując śmiech. Udało mi się także powstrzymać wrzask, kiedy mnie uszczypnęła.

Szliśmy za nimi przez pół nocy. Trzymali się na zachód od Łososiowej Drogi i kierowali w stronę portu w Pigdenay, które było drugim największym miastem w Holcie, ale leżało nad głębszą zatoką niż stolica, Lamnur. Cieszyłem się, że zmierzamy do tego samego celu, ale wątpiłem, żeby Rogogłowy chciał się pokazywać w jakimkolwiek mieście. Podejrzewałem, że w końcu zawróci albo odbije na zachód, żeby urządzić zasadzkę na szlaku.

Pod koniec dnia byliśmy wyczerpani, więc rozbiliśmy obóz. Wybraliśmy nierówne wzgórze, bardziej zalesione na czubku niż u podnóża, i tam się zatrzymaliśmy. Galva obserwowała małe żółte ptaki, być może zięby, które latały w koronach drzew. Już dawno nie widziałem na jej twarzy czegoś, co tak bardzo przypominałoby uśmiech.

Nie rozpaliliśmy ognia. Nie znałem żadnych zaklęć ogrzewających, ale Norrigal owszem. Wyjęła żołędzia z jednej ze swoich oszałamiająco licznych sakiewek, chuchnęła na niego i go potarła, wypowiadając słowa, których nie rozpoznałem, a on po chwili wyraźnie się rozgrzał. Wkrótce przypominał rozżarzony węgiel, a potem cały koksownik, chociaż promieniował tylko słabym blaskiem.

– Nieźle – szepnąłem, ale dziewczyna nie zareagowała.

Po chwili położyliśmy się całą trójką obok ognistego żołędzia, który Norrigal umieściła na skale.

– Stanę pierwsza na warcie, a potem cię obudzę – powiedziała Galva.

Zgadywałem, że zgłosiła się na ochotniczkę, ponieważ musiała racjonować wino i miała kłopoty z zaśnięciem. Co prawda ja również nie mogłem beztrudnie zasnąć, skoro po okolicy krążył skręcający karki złodziej zupy, ale zbliżała się moja warta i musiałem spróbować.

Leżałem i liczyłem w myślach dziewczęta, które całowałem, ale to nie potrwało długo i tylko wprowadziło mnie w niekomfortowy stan, któremu nie mogłem zaradzić w towarzystwie. Zacząłem katalogować wszystkie dziewczęta, które chciałbym pocałować, i doszedłem do ponurego wniosku, że gdyby stanęły do walki z tymi, którym skradłem całusa, zmiażdżyłyby je w upokarzający sposób. Częściowo także dlatego, że te, które

mnie odrzuciły, miały lepsze mniemanie o sobie, z jednym albo dwoma wyjątkami, a pewność siebie jest bardzo ważna podczas walki. Te myśli nieco złagodziły wspomniany niewygodny stan, który całkowicie ustąpił, gdy uświadomiłem sobie, że mój koc płonie.

– Kurwannon! – szepnąłem chrapliwie, syjąc piach na płomień, ale te były zaklęte i nie chciały tak łatwo zgasnąć.

Galva próbowała mi pomóc i zdeptać pożar, ale bezskutecznie. Po chwili obudziła się Norrigal i zaczęła wołać: „Zaraza! Zaraza!”, widząc, jak bardzo pokpiła sprawę. Rozpaczliwie szukała w swoich sakiewkach jakiegoś remedium. Mój biedny koc zmienił się w pochodnię, a płomień już prawie sięgał okolicznych drzew, ale Norrigal w końcu znalazła torbę mroźnego piasku i rozsypała dwie szczypty, tłumiąc ogień. Jednocześnie obniżyła temperaturę na wzgórzu do jeszcze niższej niż poprzedniego wieczora, gdy usiedliśmy tutaj, drżąc z zimna. Galva popatrzyła na wiedźmiątko i pokręciła głową. Speszona Norrigal usiadła i spojrzała na swoje dłonie, które spoczywały na jej kolanach jak martwe ptaki.

– Mogło być gorzej – stwierdziłem. Teraz obie na mnie popatrzyły, wiedźma z nadzieją, a wojowniczką ze znużeniem. – Moglibyśmy być na okręcie. Przewożącym ładunek siana.

– Siana nie wozi się na okrętach – odparła Galva zniesmaczonym tonem.

– Owszem, jeśli na pokładzie jest bydło.

– W takim wypadku mówi się, że okręt przewozi zwierzęta. Siano jest... – Przez chwilę szukała właściwego słowa. – Przy okazji. Żaden okręt nie wozi tylko siana.

– Ciekawe, co jadają krowy w beziennych krainach – powiedziałem, a dziewczyna się roześmiała, co było moim celem. Do diabła z ispanthiańskimi ponurakami.

Galva opamiętała się i przypomniała sobie, gdzie jest.

– Natychmiast opuszczamy to wzgórze – oznajmiła, a jej zazwyczaj solidny holtyjski ugiął się pod naporem gniewu – skoro ta *pruxilta* zmieniła je w *fadoran*.

– Wiedźma, latarnię morską – przetłumaczyłem.

– Zrozumiałam ją – odparła Norrigal.

Zebraliśmy nasze rzeczy i zeszliśmy ze wzgórza w całkowitej ciemności.

Godzinę później znaleźliśmy nasz cel.

A raczej to nasz cel nas znalazł.

Szliśmy na północ i zachód, podążając za odgłosami rzeki, wzdłuż której wiała się Łososiowa Droga, a nawet dwukrotnie przekroczyliśmy trakt. Spytałem Norrigal, czy mogę skorzystać z magicznego sztucznego nosa, a ona miała dosyć uwierającego ją rzemienia, więc teraz to ja miałem na sobie to paskudztwo. Zapach soli, skóry i byka, któremu towarzyszyła jakaś delikatna ziołowa nuta, nagle zniknął. Rozejrzałem się za śladami, ale niczego nie zobaczyłem.

– Psiakrew – zakląłem. – Wiedzą o nas. Musieli cofnąć się po swoich śladach.

– Więc teraz są za nami? – odrzekła Galva. – Jak daleko?

– Skąd mam wiedzieć?

– Ilu ich jest?

– Być może dwóch. Albo więcej, jeśli potrafią się przemieszczać po lesie. A chyba potrafią.

Nagle zauważyłem, że Norrigal rysuje coś na swojej dłoni kawałkiem czarnej woskowej substancji. Podeszedłem, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Co to, kurwa, jest? – wyszeptalem.

– Ucho. A teraz cicho. Jeszcze nigdy nie używałam tego zaklęcia. Przynajmniej nie w poważnej sytuacji.

Wyszeptala kilka słów do wnętrza dłoni, a potem szeroko otworzyła oczy. Chwyła nas oboje za koszule i zatrzymała w miejscu. Wskazała na prawo i wyprostowała jeden palec. Wskazała do tyłu i wyprostowała trzy palce, pokręciła głową, pokazała czwarty palec, a potem wzruszyła ramionami, jakby nie była pewna. Przekrzywiła głowę, nasłuchując. Potem zaczęła do nas szeptać, przykładając złożoną dłoń do ucha i lekko się krzywiąc:

– Osoba po prawej jest szybka. Nie przeszkadza jej ciemność, prawie biegnie, wyprzedza nas. Ci z tyłu są wolniejsi. Nasz byk jest za nami, jedna albo dwie osoby są pokaźnych rozmiarów.

– Skąd wiesz?

– Przestań krzyczeć.

– Wcale nie krzyczę.

Galva wskazała w lewo, w stronę rzeki, i ruszyliśmy w tamtą stronę. Rzeka blokowała nam drogę, ale przynajmniej nie mogli nas otoczyć. Wyjąłem łuk, ale było tak ciemno, że nie byłem pewien, czy na coś się przyda. Strzelę raz, a potem może go odłożę i wyjmę Palthrę. Wspominałem już, że dobrze sobie radzę z nożem? Kiedy dotarliśmy do rzeki i odwróciliśmy się do niej plecami, Galva zdjęła tarczę i torbę, a następnie koszulę i kolczugę.

Popatrzyłem na nią, jakbym podejrzewał ją o obłąd, ale nie mogła mnie zobaczyć w ciemności. Podniosła tarczę i oparła dłoń na rękojeści spadina.

– Ta szybka jest niedaleko – wyszeptala Norrigal, wskazując głową drzewa po naszej lewej stronie. – Teraz idzie.

Schowałem się za młodą gruzłowatą sosną i usmarowałem sobie rękaw koszuli żywicą, gdy zdejmowałem z pleców skrzypce i nakładałem strzałę na cięciwę. Przypomniałem sobie zamordowanych węglarzy leżących na ziemi.

- Ktoś zaraz skłamię – odezwała się Norrigal z obłudą w oczach.
- Przyjaciele – rozległ się piskliwy głos w ciemnościach za drzewami.

Wiedźma skrzywiła się, gdy go usłyszała.

W milczeniu patrzyliśmy na chudą, brudną, jasnowłosą kobietę ubraną w jelenie skóry i uzbrojoną w topór przytwierdzony do pasa, która pojawiła się przed nami, jakby zrodzona z samej nocy. Księżyc i gwiazdy oświetlały ją na tyle, że widziałem jej uśmiech. Wciąż zerkałem w prawo, skąd mogli nadejść pozostali – ona miała odwrócić naszą uwagę. Wykorzystałbym ją w taki sam sposób; umiała się uśmiechać.

- Macie przy sobie jakieś jedzenie? – spytała Jelenie Spodnie.

Przypomniałem sobie miskę po zupie w dłoni zabitej kobiety i zadrzałem. To byli zabójcy, nie miałem najmniejszych wątpliwości. Zerknąłem na Galwę, ale ona tylko klęczała z tarczą w gotowości.

- Mamy jedzenie tylko dla siebie – odrzekłem. – A teraz w imię pokoju idź swoją drogą.
- Pokoju? – spytała. – Ten, kto mówi o pokoju, myśli o walce. Masz wobec mnie złe zamiary?

Zbliżała się. Przypomniałem sobie słowa wiedźmy, która ostrzegała, że kobieta jest bardzo szybka, i lekko zmieniłem pozycję, aby moja pierwsza strzała poleciała w jej kierunku.

- Nie mam – skłamałem.

Biedna Norrigal aż zazgrzytała zębami, słysząc moje hałaśliwe słowa; odgłosy, które wydawaliśmy, tłukły o jej mózg.

Obserwowałem blondynkę z toporem i drapieżnym uśmiechem.

- Nie zamierzam cię skrzywdzić, ale nie chcę, żebyś podchodziła bliżej – dodałem. – Zatrzymaj się.

Nie posłuchała.

- Tak bardzo się boisz samotnej dziewczyny w lesie?

- Wiele opowieści tak się zaczyna, a kończy rozlewem krwi – odparłem. – Poza tym nie jesteś sama. A teraz się zatrzymaj.

- Już się zatrzymuję – odpowiedziała, ale tego nie zrobiła.

- Stój, kurwa.

- Przecież stoję. Czego tak się boicie? To wy weszliście nam w drogę. Śledziliście nas.

Nie zatrzymała się. Szła dalej, jakby podkradała się do śpiącego dziecka.

Wiedziałem, że będę musiał przeszyć ją strzałą. Nie chciałem tego, mimo że właśnie po to tutaj przyszliśmy, a ona zdawała sobie z tego sprawę i wykorzystywała to przeciwko mnie. Potrafiłem walczyć, ale miałem problemy z rozpoczęciem potyczek. Gildia próbowała oduczyć mnie tego siłą i prawie im się udało.

Prawie.

Jeszcze jeden krok i to zrobię.

Zrobię to.

Fothannonie, ukradnij dla mnie nieco odwagi.

Norrigal, która wciąż zgrzytała zębami, wskazała drzewa po prawej stronie.

Wszystko wydarzyło się jednocześnie.

Rogogłowy

Strzeliłem w Jelenie Spodnie. Jeśli wychowaliście się za murami zamku, zapewne wolelibyście usłyszeć, że zaatakowała mnie pierwsza, ale jeżeli dorastaliście w prawdziwym świecie, to wiecie, że wtedy byłoby już za późno. Prawdziwe natarcie nadchodziło z prawej strony, a ja nie mogłem dopuścić, żeby zaatakowała nas z lewej swoim toporkiem.

Musiałem ją powalić.

Więc wypuściłem strzałę.

To był dobry strzał, w sam środek jej ciała. Posługiwałem się wygiętym drewnem od tak dawna, że nie musiałem celować. Wystarczyło podnieść łuk i strzelić. Ale ona była szybsza. Strzała minęła ją o długość gallardiańskiego nosa, a blondynka puściła się biegiem, żeby zająć nas od boku. Jednocześnie po prawej stronie rozległ się potężny hałas, a kiedy tam zerknąłem, dostrzegłem włócznie wielkości młodego drzewa, która leciała w kierunku mojej głowy, kołysząc się po odbiciu od tarczy Spanthianki.

Uchyliłem się i założyłem kolejną strzałę, po czym wypuściłem ją w stronę sylwetek wyłaniających się spomiędzy drzew, a potem odrzuciłem łuk i odwróciłem się w stronę Jelenich Spodni, wysuwając Palthrę zza paska i wybijając się z lewej nogi.

Norrigal krzyknęła z bólu pod wpływem odgłosu włóczni trafiającej w tarczę i wyrzuciła swoją laskę w powietrze, a ta przemknęła przede mną, jakby była żywa i strąciła na ziemię lecący toporek, którego nie zauważyłem w ciemności. Blondynka była za szybka dla mnie, ale nie dla cudownej laski. Pobiegła w moją stronę, wyciągając zza pasa kolejny toporek, podczas gdy pierwszy zniknął w nurcie rzeki. Przykucnąłem z Palthrą w dłoni, gotowy na starcie, choć nie do końca przekonany, czy wyjdę z niego cało, ale wtedy laska ruszyła naprzód i trzasnęła kobietę prosto w usta. Jelenie Spodnie zawyła i runęła na czworaki, z jękiem wypluwając ząb i upuszczając broń, a laska zaczęła ją okładać.

Obejrzałem się, ale nie byłem w stanie od razu zrozumieć wszystkiego, co się wydarzyło. Zobaczyłem mieszańca, Rogogłowego, olbrzymiego mężczyznę o płaskim, byczym nosie i guzkowatych rogach po bokach głowy, który nacierał na Galwę, wywijając nad głowę brązowym buzdyganem, którego zapewne nie zdołałbym podnieść oburącz. Zamiast zbroi nosił tylko skórzaną uprząż, ale jego tatuaże pulsowały magią.

Rozpoznałem swoją strzałę, która sterczała z podstawy jednego z rogów i najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzała. Kolejna dwójka rozbójników, krępy mężczyzna z toporem bojowym, ubrany w mosiężną kolczugę, oraz kobieta z krótkim mieczem w jednej i cepem w drugiej dłoni, walczyli o życie z tym samym bojowym krukiem, który rozszarpał moich dawnych kompanów w Lesie Sierot. Skąd on się tu wziął, do kurwy nędzy? Kobieta z mieczem i cepem, nazwijmy ją Cep, zamachnęła się na ptaka, ale ten zatrzepotał skrzydłami i odbił cios. Następnie uderzył dziobem i oderwał kobiecie nos i część policzka, a Cep z wrzaskiem upadła na ziemię.

Rogogłowy tymczasem chwycił tarczę Spanthianki i jednocześnie miotał nią oraz próbował trafić ją buzdyganem. Zapewne mógłby za jego pomocą rozbić tarczę, ale chciał zdobyć to cacko z żyjącego, niepalnego drewna. Każdy pragnął tej tarczy. Galwa cięła go po nogach krótkim mieczem i chociaż wyglądało na to, że ostrze zetknęło się ze skórą, nie pozostawiło żadnego śladu.

Podkradłem się do Rogogłowego od tyłu i spróbowałem podciąć mu ścięgno, ale bestia mnie zauważyła i kopnęła w pierś, tak mocno, że straciłem oddech i wyleciałem w powietrze. Tylko dlatego nie upuściłem noża, że wpoła mi to Gildia – w Niskiej Szkole nie wolno wypuszczać noża z rąk. Wylądowałem w samym środku drugiej potyczki.

Mężczyzna uzbrojony w topór, nazwijmy go Toporem, zasłonił się tarczą przed dziobem kruka, okręcił i podstępnie zamachnął na moją głowę. Potoczyłem się po ziemi, schowałem Palthrę do pochwy i podniosłem swój łuk. Wtedy pojawiła się Jelenie Spodnie, znów gotowa do walki. Zgubiła toporek, ale chwyciła łuk, który właśnie podniosłem, i zaczęła go szarpać z całej siły, której jej nie brakowało.

Norrigal leżała nieprzytomna, a laska spoczywała nieruchomo obok niej. Wiedźma miała magicznie wyostrzony słuch, więc wrzask kobiety z cepem zapewne ją ogłuszył. Mogłem tylko mieć nadzieję, że Jelenie Nogi dodatkowo nie dźgnęła jej nożem.

Szarpnąłem łuk, ale Jelenie Nogi ciągnęła mocniej i czułem, że za chwilę mi go odbierze. Nagle wypuściłem łuk z rąk, a ona przewróciła się na bok na piasek. Gdybym dobył sztyletu, straciłbym cenny czas, ale na szczęście obok mnie leżała pęknięta strzała, więc chwyciłem ją i zwinnie jak wąż wbiłem grot w bok kobiety. Niestety, nie na tyle głęboko, by ją zabić. Kurwa, co za twardzielka.

Kopnęła mnie w bok głowy, tak mocno, że zrobiło mi się ciemno przed oczami, a potem usiadła na mnie okrakiem, żebym nie mógł dosięgnąć noży. Krew ciekąca z jej rozbitych ust skapywała mi na twarz. Dobyła zapasowego nożyka do oprawiania zwierzyny i próbowała dźgnąć mnie w szyję, ale wykręciłem się pod nią i zgarbiłem, tak że trafiła mnie w ramię. Potyczka opancerzonego mężczyzny z ptakiem toczyła się coraz bli-

żej nas i nagle kruk chwycił Jelenie Nogi za włosy i zerwał ją ze mnie. Nie zdążył zrobić niczego więcej, zanim Topór znów go dopadł, ale to wystarczyło.

Zerwałem się i wyciągnąłem Palthrę. Jelenie Nogi i ja zaczęliśmy się okrażać. Za jej plecami dostrzegłem Rogogłowego, który wciąż walczył ze Spanthianką, a Galva nadal nie chciała oddać tarczy. Wróg nie trafił jej buzdyganem, ale była coraz bardziej zmęczona. Widziałem, że nie wytrzyma dużo dłużej. Cięta Rogogłowego na odlew w rękę, lecz jej paskudnie ostry miecz nic mu nie zrobił. Ale teraz już znałem powód – tatuaż na ręku bestii rozjarzył się jak węgle w palenisku. To było zaklęcie, które chroniło stwora.

Musiałem się zbliżyć i je odczytać.

Oderwałem się od Jelenich Spodni, podejrzewając, że będzie wolniejsza z moją strzałą w boku, i pobiegłem w stronę Rogogłowego. Musiał zginąć. Ci złodzieje walczyli z nami na śmierć i życie tylko dlatego, że bali się go bardziej niż nas. Dopóki on będzie w grze, dopóty oni będą stali przy jego boku, ale kiedy polegnie, zapewne uciekną. Powinien był się wycofać, kiedy zobaczył, że dorównujemy im siłą, ale był zbyt dumny. Powinien był rozbić tę tarczę i trzymając ją rękę, ale był zbyt chciwy.

Poza tym wierzył, że magia go ochroni.

Biegając w jego stronę, odczytałem tatuaż.

Alfabet ze Starego Keshu.

Odbicie Prawdziwej Ręki.

A obok piktogram przedstawiający tarczę.

Jeszcze go nie rozumiałem.

– Marrus! – wrzasnęła Jelenie Spodnie, żeby ostrzec Rogogłowego.

Cep, która szlochała na czworakach, oślepiona własną krwią, znajdowała się w idealnym miejscu, żebym mógł wybić się z jej grzbietu i skoczyć w stronę Galvy. Zgadywałem, że Rogogłowy za chwilę przesunie się razem z nią o kolejne ćwierć obrotu. Miałem rację. Mieszaniec nagle stanął do mnie bokiem. Chciałem trafić go w szyję, ale nie mogłem jej dosięgnąć z tego kąta, więc ciąłem nożem od kącika jego oka aż do tyłu głowy, nieco poniżej jednego z paskudnych rogów.

Zamachnął się na mnie, a ja straciłem równowagę i musiałem podeprzeć się ręką, ale i tak zdołałem odbiec. Obejrzałem się przez ramię, żeby sprawdzić, co mu zrobiłem, ale okazało się, że ostrze nawet go nie zadrapało. Kurwa! Taki efektowny ruch poszedł na marne – miałem wrażenie, że mój nóż zderzył się z gęstym powietrzem i ciął pod niewłaściwym kątem.

Odbicie Prawdziwej Ręki.

Już rozumiałem.

– Galva ! – krzyknąłem. – Tnij go drugą ręką!

Człowiek-byk, który nie przejął się tym, że ciąłem go nożem przez głowę, teraz popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, a Galva zrozumiała. Puściła tarczę i uchyliła się przed ciosem buzdygana, który nigdy nie nadszedł, jednocześnie przerzucając ostrze do drugiej ręki, a potem skoczyła naprzód i wbiła pogromcę byków w kolczugę bestii, zgodnie z jego przeznaczeniem.

– Nie! – wrzasnęła Jelenie Spodnie, ale zatrzymała się, kiedy Spanthianka odwróciła się w jej stronę.

Kruk powalił rozbójnika z toporem na plecy. Mężczyzna upuścił broń i zakrywał twarz opancerzonymi rękami, ale ptak rozrywał go na kawałki potężnymi dziobnięciami. Z ust nieszczęśnika już wydobywały się wilgotne przedśmiertne kaszlnięcia, a także słowa „Caelm!” i „Bretha!”. Sądziłem, że woła coś w obcym języku, ale domyśliłem się, że to imiona, gdy po chwili zawołał po holtyjsku: „Proszę” i „Pomocy”. Zrozumiałem, że pomimo zbroi nie był rycerzem, ponieważ oni nie używają takich słów.

Zaszedłem od tyłu Rogogłowego, albo Marrusa, który jęczał na kolanach ze strzałą sterczącą z kościstej głowy jak pióropusz. Dzięki temu, że klęczał, mogłem dosięgnąć jego potężnej szyi, więc przełożyłem Palthrę do prawej dłoni i poderżnąłem mu gardło, z którego trysnęła rzeka krwi. Kiedy to robiłem, ani na chwilę nie oderwał dłoni od krocza. Usłyszałem jakiś zwierzęcy odgłos, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem Jelenie Spodnie z wyszczerzonymi zębami. Chciała rzucić się w moją stronę, ale wiedziała, że nie zdoła ominąć Galvy. Znała się na walce. Żałowałem, że nie jest po naszej stronie, ale pozwoliła, aby człowiek-byk sprowadził ją na złą ścieżkę. Wszyscy odpowiadamy za swoje decyzje.

Wrzasnęła, oszalała z nienawiści, a potem chwiejnym krokiem zniknęła w ciemności. Ptak popatrzył na Spanthiankę, ale Galva pokręciła głową. Puściła Jelenie Spodnie wolno, co było błędem – jej poczucie honoru, jeżeli właśnie ono ją powstrzymało, mogło ją kosztować życie. Z drugiej strony takie samo uczciwe podejście skłoniło ją do darowania mi życia, kiedy próbowałem ją obrabować w Lesie Sierot, więc nie powinienem narzekać.

Nie mogłem się powstrzymać przed wykrzyknięciem odpowiedniego pożegnania w ślad za uciekającą rozbójniczką:

– Mam nadzieję, że smakował ci rosół, ty mordercza suko!

Zauważyłem coś dziwnego, kiedy Galva pokuśtykała w stronę Norrigal, a jej obnażona, płaska pierś i muskularne ramiona parowały na chłodnym powietrzu.

Jeden z dwóch wytatuowanych kruków zniknął, a w jego miejscu znajdowała się krwawa rana.

Nie tylko Rogogłowy używał podczas walki zaklętych tatuaży.

Ten piękny, zabójczy ptak był „śpiącym”, zaczarowanym tatuażem. Kolczuga, którą nosiła Galva, tłumiała go, więc był trudniejszy do wykrycia. Oznaczało to także, że Spanthianka musiała zdjąć zbroję, by uwolnić ptaka albo go schować. Na wszystkich sędziwych, skurwionych bogów, Spanthianka ukrywała bojowego kruka na własnej piersi.

Wojenne łupy

Spędziłem kolejne kilka chwil na pluciu na koszulę i ścieraniu symbolu ucha z dłoni Norrigal.

Wciąż oddychała, a kiedy się ocknęła, odezwał się do niej cichym głosem. Początkowo nie pamiętała, co się stało, ale szybko doszła do siebie.

– Jestem taka głupia. Pani zawsze mi powtarza, że próbuję robić za dużo, za bardzo się śpieszę i kiedyś przez to zginę.

– Trudno się nie zgodzić. O mało nas nie spaliłaś, a potem sama się ogłuszyłaś. Ale gdyby twoja laska nie wybiła zębów tamtej kobiecie z toporkami, rozplatałaby mi głowę, a potem trafiła ptaszniczkę w plecy. Gdybyś nie zadziałała, to nie ta trójka, ale my wszyscy trafilibyśmy do komnat robaków. Walka była zacięta, a ty odegrałaś swoją rolę. Podejrzewam, że kryjesz w rękawie jeszcze więcej niespodzianek.

Uścisnęła moją dłoń.

– Być może – odrzekła w sposób, który mógł oznaczać cokolwiek.

Nie chciałem robić sobie nadziei, ale zdałem sobie sprawę, że już się we mnie rozbudziły. Przez chwilę czułem się nieswojo z tym, że w ogóle myślę o czymś takim na polu bitwy, ale jak brzmi tamta piosenka?

*Gdy jeden Samnyra żałobne słyszy granie,
Drugi bękart płodzi na sianie.*

Samnyr jeszcze nie skończył grać. Galva właśnie dobijała okaleczoną kobietę z cepem. Ale najpierw postanowiła z nią porozmawiać.

– Ucałuj jej dłoń i podziękuj za tę przysługę. Tylko ci, których najbardziej ukochała, odchodzą w walce.

– Nie, proszę!

– Nie mogę odmówić ci tego daru.

– Zaczekaj! Zaczekaj!

– Bądź cicho.

Wtedy poczułem ból w przebitym ramieniu, chociaż zdawałem sobie sprawę, że to nic w porównaniu z tym, co poczuję następnego dnia – bywałem ranny tyle razy, że znałem kalendarz bólu. Kiedy Norrigal doszła do siebie, opatrzyła moją ranę, przykładając do niej krwawnik i smarując jej krawędzie maścią. Nie licząc siniaków i dziury po ptaku w klatce piersiowej Spanthianka była cała i zdrowa, co wydawało się absurdalne.

– Nawet nie przygryzłaś sobie wargi, co?

Pokręciła głową.

– Nie powinnaś mieć tyle szczęścia – stwierdziłem. – Kradniesz je pozostałym.

– A ty nie powinienesz być taki powolny. Bogowie sprzyjają szybkim.

– Powolny? Widziałaś, jak ta suka się poruszała?

– Widziałam to lepiej niż ty.

Nie miałem żadnej riposty, więc zmieniłem temat.

– Myślałaś kiedyś o sprzedaniu tej tarczy? Wiosenne drzewo jest warte dwukrotność swojej wagi w złocie. Poza tym niektórzy są gotowi nas dla niego pozabijać – dodałem, przypominając sobie, że to pragnienie Pagrań, by zdobyć tarczę, wpakowało mnie w te kłopoty.

– To była tarcza mojego dziadka. A złoto jeszcze nigdy nie powstrzymało strzały.

– No cóż, tarcza nigdy nie uchroniła nikogo przed śmiercią głodową, nie zapłaciła za przeprawę łodzią, nie zwabiła kochanki ani nie napełniła bukłaka winem, a złoto przyciąga złodziei tylko wtedy, gdy nosi się je na wierzchu. Tej tarczy nie sposób schować.

– Kiedy masz strzałę w sercu, nie głodujesz i wyrzucają cię za burtę łodzi...

– Kurwa mać – rzuciłem, ale ona jeszcze nie skończyła.

– ...kochanka poślubia twojego brata, a wino wycieka przez dziurę w twoim brzuchu.

Młoda wiedźma pokręciła głową.

– To najbardziej niedorzeczna kłótnia, jaką słyszałam – powiedziała, ale nie mogła powstrzymać śmiechu, a skoro już skończyła zatykać i smarować moją ranę, oddałem się swojej ulubionej czynności po każdej bitwie, czyli przetrząsaniu sakiewek poległych.

Ale okazało się, że zginęło więcej osób, niż podejrzewałem.

– A one skąd się wzięły, na kolczaste diabły? – odezwałem się.

Kolejna dwójka z bandy Rogogłowego nie dotarła na miejsce walki, krępa kobieta w napierśniku, uzbrojona w szeroki miecz, oraz dziewczę z łukiem, który mógłby odwrócić bieg starcia. Psiakrew, mogłoby to zrobić nawet kichnięcie, tak wyrównane były siły. Krępa kobieta miała fioletową twarz, wytrzeszczone oczy i język na wierzchu – wyraźnie została uduszona. Dziewczyna z łukiem umarła, trzymając się za klatkę piersiową, ale nie dostrzegłem u niej żadnej rany. Możliwe, że pękło jej serce, takie rzeczy się zdarzały, choć jej młody wiek na to nie wskazywał. Bardziej prawdopodobna wydawała się trucizna.

– Hej, wiedźmo! – zawołałem.

– Tak – odrzekła Norrigal.

– To ty zabiłaś te dwie? – spytałem, kiedy się zbliżyła.

– Wiesz, że nie.

– Niczego nie wiem. A już na pewno, kto załatwił Siepaczkę i Łuczniczkę. Jeśli zabójca chciał nam wyświadczyć przysługę, to dlaczego zabił tę dwójkę, a nie tamten strumień byczych szczyn?

– Może chciał wyrównać szanse, a nie wręczać nam zwycięstwo na tacy.

– No tak, i może właśnie teraz nas słucha.

– Niewykluczone.

– Hej! – odezwałem się głośniejszym głosem. – Chcę tylko podziękować. To wszystko.

Spodziewałem się braku odpowiedzi i moje oczekiwania się spełniły. Oczywiście to o niczym nie przesądzało.

Kiedy nasłuchujecie zagrożenia, nigdy nie mylcie ciszy z bezpieczeństwem.

Najciekawsze po walce było zachowanie Dalgathy i jej relacja ze Spanthianką. Kobietę z kruczyką łączyła więź przypominająca tę z koniem albo psem, ale zarazem całkowicie odmienna. Ptak wykonywał polecenia wojowniczką, podobnie jak wspomniane zwierzęta, i był bardzo zdyscyplinowany. Słyszałem, że bojowym krukowi nie wolno jeść ludzkiego mięsa, ponieważ nie byłoby mądrze je do tego przyzwyczajając, dlatego Dalgatha trzymała się z dala od zwłok, chociaż szła obok Galvy i powtarzała ispanthiańskie słowo oznaczające pożywienie, *nourid*.

Galva dała ptakowi resztkę pieczonego mięsa, które zabraliśmy z uczty w Odwróconej Wieży, w tym udziec koziołka, na który miałem ochotę, chociaż wciąż mieliśmy wędzoną wiewiórkę i królika. Po posiłku wielki śmiercionośny ptak wytarzał się na polu niedaleko trupów, wyciągając nogi ku niebu, zupełnie jak pies albo koń tarzające się w trawie. Galva uklękła obok Dalgathy i zaczęła ją drapać po piórach na kołnierzu oraz masować szczyt paskudnie ostrego dzioba. Kruczyca nawet rozłożyła skrzydła, żeby kobieta podrapała ją po lotkach, a potem dla zabawy udała, że okłada Galwę skrzydłami i przytuliła głowę do jej policzka, klaskając z zadowoleniem i mrugając wielkimi czarnymi ślepiami.

Pierdolone ptaszysko uwielbiało Spanthiankę.

A ja uwielbiam swoje ptaki.

Człowiek-byk miał w sztywnej od krwi sakiewce trzy srebrne sówki, a także holtyjską księżną – całkiem ładną monetę z wizerunkiem smukłej damy, która trzyma dłoń przy ustach, jakby posyłała całusa albo powstrzymywała wymioty – oraz spory zapas srebrnych rycerzy, waletów i panien. Wszystkie trafiły do mojej sakiewki, po tym jak dokładnie powąchałem każdą z nich. Było zbyt ciemno, żeby obejrzeć je w pełnej krasie, ale srebro i złoto mają swoisty aromat, którym się napawałem, mimo że nieco go tłumił smród skóry.

Istota zwana Marrusem miała przy sobie także inne ciekawe drobiazgi – guziki z kości słoniowej, kamienie runiczne, igłę i nitkę – choć nie wyobrażałem sobie, jak mógłby nawlec igłę tymi grubymi paluchami – cynowe szpilki do kapelusza oraz gwizdek z jeleniej kości. Również je zatrzymałem. Nigdy nie wiadomo. Nie wiedziałem także, czy brudna szmaciana lalka, którą nosił przy sobie, to pamiątka z czasów, gdy sam był kwilącym cielakiem, czy trofeum zabrane jakiemuś zamordowanemu wiejskiemu dziecku. Nie ma nic bardziej zagadkowego niż serce nieznanego.

A także cięższego niż łeb tego drania. Podniosłem go za jeden z rogów, dwukrotnie szerszych od samej głowy, i oceniłem, że w środku znajdują się głównie kości. Przygotowałem nóż i przez chwilę zastanawiałem się, czy ponownie nie użyć słabszej ręki, ale zrezygnowałem. Większość magicznych tatuaży przestaje działać po śmierci właściciela, a ta bestia z pewnością nie żyła. Podwinąłem rękaw.

– Ejże! – zawołała Galva. – Co robisz, złodzieju?

- Postanowiłem go ogolić, żeby matka nie wstydziła się podczas pogrzebu.
 - Na chwilę zamilkła, niepewna, czy nie mówię poważnie.
 - Nie odcinaj mu głowy – powiedziała w końcu.
 - Powiesz mi, w jaki sposób mamy dostać nagrodę, jeśli tego nie zrobię?
 - Zabierz róg.
 - Powiedzą, że odciąłem go utopionej krowie.
 - Nie, jeśli to ja go przyniosę.
 - Dlaczego? Ponieważ pochodzisz ze świętej ziemi prawdomównych skurwieli? Zarzucą ci kłamstwo i ktoś inny przyniesie głowę.
 - Zamyśliła się.
 - *Bolnu*, w takim razie zbudujemy, jak to się nazywa, coś jak zaprzęg?
 - Zaprzęg.
 - Sanie – odezwała się Norrigal, która znajdowała się gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku.
 - Naprawdę proponujesz, żebyśmy wlekli tę ciężką, martwą krowę aż do Pigdenay? Odetniemy mu łeb.
 - Jestem przeciwna.
 - Dlaczego, do kurwy nędzy?
 - Odcinanie głów to rozrywka goblinów. Nawet mają grę, w którą gra się za pomocą głów i włóczni. Jesteś goblinem?
 - Mówisz tak, dlatego że jestem niski.
 - Nie, *jilnaedu*, dlatego, że zamierzasz odciąć głowę wojownika.
 - Co to znaczy *jilnaedu*?
 - To idiota, tylko złośliwy. Zwykły idiota nad sobą nie panuje.
 - Podoba mi się.
 - Oddaj nóż.
 - Więc mógłbym powiedzieć *jilnaedu chodadu*, czyli „pieprzony złośliwy idiota”?
 - Odwróć kolejność słów.
 - Myślałem, że wy Spanthianie już to robicie.
 - W większości przypadków, ale nie przy rozkazach i wyzwiskach.
 - Czyli *chodadu jilnaedu*.
 - Tak. Idealnie.
- Zabrała mi Palthrę i się oddaliła.
- Hej, wracaj.
- Nie zatrzymała się.
- Kiedy ją dogoniłem, mocno wbiła nóż w drzewo i poszła dalej.
- Ejże, był dobrze naostrzony! – zaprotestowałem.
- Cieszyłem się, że się nie obejrzała. Nie chciałem, aby widziała, że musiałem użyć obu rąk, a nawet zaprzeć się nogą, by wyciągnąć ostrze z drzewa. Obserwował mnie tylko ptak. To przerażające, jak cicho potrafią się zachowywać. Pokiwał łbem, a ja nie mogłem pozbyć się myśli, że one w ten sposób się śmieją.
- Kiedy oczyściłem nóż z żywicy i wróciłem do Marrusa, Norrigal była czerwona aż po łokcie i trzymała worek z głową, w którym wycięła otwory na rogi. Galva pokręciła głową, ale Norrigal nie dała Spanthiance satysfakcji i nawet się na nią nie obejrzała. Za to popatrzyła na mnie.
- Mężczyźni tacy jak ty zawsze znajdują jakiś powód do kłótni, gdy czeka ich paskudna robota.
 - To nie w porządku – sprzeciwiłem się. – Zamierzałem...
 - Zamknij jadaczkę – przerwała mi, odgarniając włosy z oczu i pozostawiając na czole krwawą smugę.

Wędrowaliśmy wzdłuż rzeki. Kiedy rozbiliśmy obóz, wystawiliśmy warty, na wypadek gdyby dziewczyna w jelenich skórkach wróciła, a ja, naostrzywszy nóż, położyłem się spać. Nie miałem problemów z zaśnięciem, głównie za sprawą zmęczenia, ale także dlatego, że pomściliśmy śmierć węglarzy. Wiem, że złodziej, którego cieszy wymierzenie sprawiedliwości, to żalosna istota. Zwłaszcza taki, który ma trudności z rozpoczęciem walki.

Kiedy spałem, to samo musiała robić Dalgatha, ponieważ rano Spanthianka najwidoczniej znów miała na ciele swój tatuaż, zasłonięty koszulą i kolczugą, a my nie słyszeliśmy skrzeczenia i kłaskania kruczycy. Przyznaję to niechętnie, ale prawie za nią tęskniłem. Wiedziałem, że w jej towarzystwie byliśmy groźną bandą, a bez niej mieliśmy do dyspozycji jeden miecz, jeden nóż i potężną, ale niedoświadczoną młodą wiedźmę, która równie dobrze mogła wyrządzić krzywdę przyjacielom, jak wrogom.

Byczek znów mnie odnalazł. Można było pomyśleć, że to ja go znalazłem, ponieważ kiedy go zobaczyłem, przeraźliwie miauczał na środku gruntowej drogi obok sklepu z rybami w ostatniej osadzie przed stolicą Norholtu i właśnie miał dostać po głowie miotłą od żony sprzedawcy. Od tamtej pory znów tylko leniwie ziewał i ze spokojem lizał się po tyłku, zupełnie jakbyśmy od czasu, gdy mnie porzucił, nie spotkali wiedźmy, która chodziła na nogach trupów, i nie walczyli o życie z półbykiem.

- Proszę, powiedz mi, że to nie jest ten sam kot – odezwała się Galva.
- To nie jest ten sam kot – odpowiedziałem i wepchnąłem go do torby.

Pigdenay

Pigdenay, miasto wojennych okrętów, miasto zbrojmistrzów, miasto, w którym pierwsze chore konie zesły na brzeg, pozwól, że uplotę dla Ciebie girlandę życzeń.

O miasto szaro-brązowych cegieł i błotnistych łabędzi, miasto zielonych okienek i wyglądających przez nie złośliwych szarych oczu, niech twoje przeżarte solą gnijące drewniane ściany postoją jeszcze jeden rok, niech kowadła w setce twoich kuźni bez końca brzęczą w dręczonych kacem czaszkach pijanych wódką, uganijających się za młodzieńcami żeglarzy króla Conmarra. Niech tłuste ciastka z rybą, z których słyniesz, nigdy nie ostygną na tyle, by dało się wyczuć nadzieję z mielonych dżdżownic, a w Twoich lochach nie zabraknie galtyjskich bardów kpiących z Twojego potężnego, tłustego księcia.

Pigdenay, miasto deszczu i popiołu, Pigdenay, miasto dziwek i wysypek, stolico porwań i ambry, kolebko połowy sadzy na świecie, wychwalam Twoją brukowaną promenadę, gdzie smaży się i sprzedaje wielorybi tłuszcz oraz macki krakena naprzeciwko sali zaginionych żeglarzy, z których większość zabiły wieloryby i krakeny.

Śpiewam o sercu, bez którego się urodziłaś, i o dwukrotnie za dużym brzuchu, który dostałaś w zamian. Jesteś zimnym miastem, Pigdenay, ale wybaczę Ci wszelkie wady, tak jak Ty mi je wybaczasz, ponieważ Twoje piwo nigdy nie jest ciepłe i nigdy nie brakuje mi kradzionych strużyn, by je kupić.

– Daj nam okręt na tyle mocny, by nas uniósł, i kapitana na tyle głupiego, by zabrał nas na zachód, gdyż moje stopy zmęczyły się chodzeniem i pragnę spłacić swoje długi.

To ostatnie zdanie wypowiedziałem na głos, niczym modlitwę do Wszechboga, gdy miasto pojawiło się na horyzoncie.

– Niech tak się stanie – odrzekła Norrigal, a Byczek zawtórował „mrau” ze swojej torby, ponieważ ten mały drań czuł się tutaj jak w domu.

Cała nasza trójka – albo czwórka, jeśli liczyć kota, albo piątka, jeśli liczyć zabójczego ptaka śpiącego na pokrytej bliznami piersi Spanthianki – popatrzyła na zachód wzdłuż ulicy Kłopotliwej, która prowadziła do wschodniej bramy miasta.

– Najpierw do portu, żeby znaleźć tawernę – zarządziła Galva. – Muszę się wykapać. – Zatem weszliśmy przez główną bramę i nikt nas nie niepokoił, podobnie jak innych, którzy płacili myto.

Przepychaliśmy się między wozami zaprzężonymi w woły i osły, mijaliśmy służących, pośpiesznie załatwiających sprawy swoich panów, i żebraków porównujących zyski, a także niemal wpadliśmy na procesję ku czci boga morza. Rozczochrany mężczyzna w lustrzanej masce z brodą z wodorostów i z batem w dłoni szedł tanecznym krokiem, oczyszczając trasę, tłukąc w bębenek przypasany na biodrze, który huczał jak grzmot, chłuszcząc niebo jak błyskawice, wzbudzając w dzieciach śmiech albo płacz, jak prawdziwa burza. Jego śladem szło pół tuzina wyprostowanych jak struna kapłanów Mithrenora niosących na głowach srebrne miski z morską wodą, której nie śmieli rozlać. Na rogach ulic stali wózkarze, którzy proponowali, że pociągną swoje dwukołowe krzykliwe powozy na wybrzeże, na uniwersytet albo na kryty targ, najlepszy obok tego w Gallardii.

Dobrze znałem to miasto. Uczyłem się tutaj przez trzy lata w Niskiej Szkole, która była jedną z Prawdziwych Szkół Gildii Poborców, a nie słowianą farmą. A przynajmniej tak sądzę.

Minęliśmy Bibliotekę Greenglassa, prywatną bibliotekę, która wypożyczała książki do kopiowania lub czytania, i gdzie uczeni bazgrali pośpieszne notatki pod presją klepsydry. Znajdował się tutaj najlepszy księgozbiór w Holcie, o czym wiedziałem między innymi dlatego, że jednego roku ukradłem im dziewięć książek, dwie z domów mieszczan w Pigdenay, pięć z innych miasteczek i dwie z okrętów przybywających w odwiedziny.

Kiedyś przyszła po mnie skrytobójczyni, co miało stanowić test dla nas obojga. Dopadłaby mnie, ale zatrąła moje piwo, a ja dałem je bezdomnemu psu, ponieważ Fothannon twierdzi, że podawanie zwierzętom trunków to szelmostwo, równoznaczne z pojeniem jego samego alkoholem. Ja sam tylko bym się rozchorował, ale biedny, mały piesek zdechł na moich oczach. Aż drzę na myśl, jak mistrzowie z Gildii Zabójców ukarali skrytobójczynię za niepowodzenie, ale tamtej nocy znalazłem w swoim łóżku srebrną sówkę na szczęście. Niska Szkoła lubi szczęście, więc mnie też polubiła, dopóki nie popadłem w nietaskę.

Chociaż dobrze się wtedy spisałem, panicznie boję się skrytobójców, a wy też byście się wystraszyli, gdybyście jakiegoś spotkali. W Skrzydle Zabójców w Niskiej Szkole zajmują cały budynek, gdzie chichoczą nad tojadem, trującymi grzybami i rycyną, warzą całe kadzie bezruchu serca

i złodziejskiej rosy, ćwiczą techniki duszenia, sztyletowania i wykrwawiania w wannie, uczą się pływać pod wodą bez powietrza, rzucają nożami i strzelają strzałkami z dmuchawek, poznają zaklęcia niewidzialności i ciszy oraz tajniki fałszowania tożsamości.

To ważne, ponieważ właśnie miałem ponownie spotkać się ze skrytobójcą, tylko że ten nie został wysłany, by mnie zabić.

Przynajmniej na razie.

Norrigal nie udało się sprzedać łba Rogogłowego ludziom księcia, którzy prawie o nim nie słyszeli i nie przepadali za handlarzami głów. Ale w mieście rozstawiło się wesołe miasteczko, a ludzie w takich miejscach zawsze rozglądają się za osobliwościami. Poza tym są lepiej poinformowani od żołnierzy. Nie mają innego wyjścia.

Kiedy głowa została sprzedana, a pieniądze odebrane, Norrigal, Galva i ja podjęliśmy się jeszcze bardziej wymagającego zadania. Zamierzaliśmy znaleźć tani okręt płynący na zachód, którego załoga nie zechciałaby nas porwać, ograbić, zgwałcić, sprzedać goblinom na mięso lub zrobić kilku powyższych rzeczy naraz.

Pod Kranikiem i Pętłą

Pod Kranikiem nie było tak niebezpiecznie, jak można by się spodziewać po najruchliwszej portowej tawernie w mieście wielorybników. Było jeszcze gorzej. Zobaczyłem dwie kobiety, które wdały się w wyjątkowo paskudną bójkę, a kiedy pewien jegomość próbował je rozdzielić, jedna z nich wydlubała mu kciukiem oko. Nieszczęśnik z wrzaskiem podszedł do wypolerowanego mosiężnego lustra wiszącego na ścianie i próbował wepchnąć oko z powrotem.

Mężczyźnie, który siedział przy pobliskim stoliku, nie spodobały się te wrzaski, więc zaczął uderzać głową krzykacza o lustro, aż ten stracił przytomność, a całe ustrojstwo na niego spadło. Kobiety walczyły dalej. W końcu jedna z nich się poddała, kiedy rywalka pobiła ją do krwi jakimś żelaznym przedmiotem, chyba jednym z przyborów kominkowych, sądząc po paskach sadzy na skórze. Przegrana została wywleczona za włosy z lokalu, raz za razem wołając: „Suko! Suko! Suko!”, co mogło jej tylko zaszkodzić, gdy zwyciężczyni wreszcie wyrzuciła ją na zewnątrz. Tak się składa, że uliczkę nazywano Aleją Nożowników i, w odróżnieniu od większości ulic w mieście, pochodzenie tej nazwy nie pozostawiało wątpliwości. Zresztą, kto pije w takim miejscu, nie licząc ludzi, którzy chcą załatwić dawne porachunki lub rozpocząć nowe konflikty? Żeglarze, ot co. Piraci, wielorybnicy, wilki morskie. Łysiejący, starzy tropiciele goblinów, którzy bez słowa skargi noszą swoje oparzenia.

Znaleźliśmy się tam, ponieważ wszystkie w miarę przyzwoite okręty były pełne, a te prawdziwie przyzwoite nie pływały do Molrovy. Znaleźliśmy się tam, ponieważ mieliśmy pecha.

Kiedy szliśmy po szarych, podziurawionych przez korniki deskach – niewątpliwie wyrwanych z jakiegoś statku, który pływał po cieplejszych wodach – zanurzając się w ludzkiej ciżbie Pod Kranikiem, pożałowałem, że nie urodziłem się o kilka cali wyższy. Ciężko było się rozglądać. Na północy ludzie rosną na potęgę, więc tutaj w Pigdenay nawet Spanthianka głównie przyglądała się ich nosom, a Norrigal i mnie pozostała cała galeria pach i owłosionych torsów. Przepisaliśmy się do prawie-narożnika po przeciwnej stronie tawerny. Właściwy narożnik zajmował ogorzały mężczyzna o malutkich oczkach z pasem pełnym noży do rzucania i tatuażem piczki na czole, a żadne z nas nie miało ochoty prosić go, żeby się przesunął. Popijał z wysokiej szklanki coś, co śmierdziało jak środek do zmywania farby, i wpatrywał się w dal, od czasu do czasu poruszając ustami, jakby rzucał zaklęcia. Nie był magiem, tylko zwykłym popapranym wariatem.

Przy stoliku po naszej lewej stronie siedziała grupka Sornianek, które można było rozpoznać po metalowych naszyjnikach w kształcie winorośli. Sornia była beltiańską boginią, którą zawsze przedstawiano jako połączone bliźniaczki, z których jedna nalewała wino z dzbana do kielicha trzymanego przez drugą. Była pomniejszą boginią wina w Beltii przed Gobliskimi Wojnami, ale po śmierci mężczyzny i koni została wywyższona jako symbol kobiet kochających inne kobiety. Jej zwolenniczki można było znaleźć w całych Ludzkich Krainach, od Holtu po granice Keshu.

Sornianki słynęły z agresywnego sprzeciwu wobec królewskich dekretów nakazujących kobietom wychodzić za mąż i rodzić dzieci – takie dekryty były popularne po Wojnie Młocarzy. Można by pomyśleć, że podobny ruch łatwo stłumić, ale wśród jego zwolenniczek nie brakowało ptaszniczek i innych wojowniczek, które potrafiły walczyć, zarówno pojedynczo, jak i w formacji. Jedna z sorniańskich poetek została aresztowana w Untherze, ale strażnicy nie dotarli z nią do lochu, ponieważ zostali zatłuczeni przez falangę jej sióstr, które użyły masztów namiotowych jako pik. Grupa siedząca obok nas miała na rękach i karkach tatuaże ze słowami „Jak Chcemy” zapisanymi po beltiańsku i była uzbrojona w krótkie miecze oraz pałki.

Po przeciwnych stronach stolika Sornianek dwaj młodzieńcy obserwowali salę, przygotowując się do kradzieży. Używali schematu krzyżowego, zbliżali się do siebie, a potem rozdzielali, co nie przynosiło im żadnej korzyści, a jedynie ostrzegało zawodowych złodziei, że w lokalu są amatorzy. Biedacy, którzy wymienili finansowe powodzenie na cyrkowe sztuczki nauczone na słomianej farmie. Jeden zauważył mój tatuaż. Pokręciłem głową. Nawet o tym nie myśl. Musiał odgadnąć, że jestem co najmniej Kpiarzem, i wyraźnie bał się, że wkrótce sam będzie nosił taki tatuaż. Nie spróbowali odebrać kufla od Gildii – uprzedziła ich najemniczka z Untheru w jaskrawych pasiastych pończochach. Byłem tak uprzejmy, że nawet nie musiała się pochylać, a kiedy odebrała piwo i podzieliła się nim z kapitanem okrętu, na którego miała oko, grzecznie uchyliła jasnoczerwonego kapelusza.

Można było rozpoznać kapitanów po medalach dowódców wydawanych przez Gildię Żeglarzy. Medale różniły się w poszczególnych krainach, ale zazwyczaj zdobita je perła w przypadku kupców i zęb rekina u korsarzy. Nosili je na szyi, na kapeluszu, a nawet w klapie, kiedy szli się napić, aby podchodzili do nich ludzie tacy jak my, którzy pragnęli pozbyć się pieniędzy.

Pierwszym kapitanem, z którym rozmawialiśmy – a mówiąc „my”, mam na myśli „ja” – była czarnoskóra kobieta z Axy – niezrzeszonego wyspiarskiego królestwa, które jakimś cudem zdołało szybko i samotnie odeprzeć goblina. Nie zdradzili nikomu tajników swojej kampanii, chociaż powiadano, że na urwiskach niedaleko stolicy wzniesli ścianę luster, które mogły spalić okręt, tak jak bachor z lupą pali mrówki. Chętnie obejrzałbym axeńskiego ścigacza, którym dysponowała pani kapitan – w wielu miejscach nieudolnie kopiowano zmyślny axeński takielunek – ale szybko stało się jasne, że mniej bym się zmęczył na galerach, niż próbując nakłonić ją do rozmowy.

Kolejną dowódczyni, kobieta z Istrei, kapitan smukłego kupieckiego żaglowca, szukała eleganckich mężczyzn, którzy zabawialiby jej załogę. Poznałem, że pochodzi z Istrei, nie tylko po tym, że miała zwyczaj mrużyć „mmm”, żeby zyskać na czasie, gdy szukała w myślach właściwego holtyjskiego słowa, ale także po osłonie przeciwko muchom, którą nosiła przy pasie. Muchy w gorącej, bagnistej Istrei przenosiły groźną Uśmiechniętą Zarazę, a choroba zbierała coraz większe żniwo. W letnich miesiącach mieszkańcy Istrei zakrywali się welonami i rozwieszali drobne siatki wokół łóżek.

Rozmawiałem z nią dłużej, niż powinienem tylko dlatego, że zahipnotyzowały mnie jej błyszczące brązowe oczy i kapitański wisiołek z koralowym delfinem trzymającym w pysku perłę w kształcie ły. Nigdy nie mówiłem, że nie mam wyszukanego gustu. Spytałem, dokąd płyną, jakimi dysponują kwaterami i tak dalej, przez jakiś czas intensywnie się w nią wpatrując. To głupie, ale nie mogłem się powstrzymać. Kiedy zobaczyła moją powściągliwość, nachyliła się bliżej i odezwała z galopującym, dziwacznie melodyjnym akcentem i uśmiechem na twarzy:

– Mój czas jest cenny, a ty go kradniesz. Jeśli fiut nie służy ci do zabawy, użyję go jako, mmm, przynęty.

Zerwałem się ze stołka jak z rozpalonego pieca, a wtedy jej ochroniarka, kobieta w kapeluszu ze skór morskich węży, uzbrojona w krótkiego, paskudnego pogromcę byków, podobnie jak moja ochroniarka, na odchodnym kopnęła mnie w goleń kanciastym butem. Nie mówię tego po to, żeby się skarżyć. Większość cierpienia w moim życiu jest zasłużona.

W końcu zaokrętowaliśmy się na statku wielorybniczym. Wolałem tego uniknąć, ponieważ takie jednostki stawiają na wielkość, nie szybkość, a ja musiałem czym prędzej przewieźć nas na zachód – minęło już piętnaście z pięćdziesięciu dni, które Gildia dała mi na dotarcie na Rubieże.

Spytałem, czy załoga będzie polować w drodze do Molrovy, a kapitan, który stamtąd pochodził i nosił na szyi duży jak pięść dziób młodziutkiego krakena, postarał się, żebym poczuł się głupio z powodu mojego pytania. Zlizął piwną pianę z nawoskowanych, zabójczych wąsików.

– Nie. Jak najszybciej pokonamy Morze Gunnickie, a jeśli zauważymy obok siebie czerwonego bądź cętkowanego tuczniaka lub kanciastołba, powiemy mu: „*Nim*, wielorybie. Płyn w swoją stronę. Mamy ważnych pasażerów, którzy płacą niecałą setną część twojej wartości i nie chcą wachać twojego topionego tłuszczu”.

– Ale my nie będziemy brali udziału w polowaniu. Jesteśmy tylko pasażerami. Czy to jasne?

– Jak słońce. Będziecie wypoczywać w swoim kącie ładowni, susi i najedzeni.

Tak powiedział.

Dobrze wiedziałem, że Molrovianie kłamią i się tym szczycą. Galt może skłamać dla potrzeb poezji, ale Molrovianin widzi poezję w kłamstwie. Postanowiłem mu uwierzyć, ponieważ nie oszukiwał mnie w kwestii polowania po drodze, a przynajmniej kłamał w taki sposób, że mówił prawdę. Zaufałem jego słowom, ponieważ chciałem. Byłem współwinnym kłamstwa, gdyż tak było wygodniej. Żeby dogadać się z Molrovianinem, trzeba rozumieć jego kulturę. Kiedy para z tego ludu bierze ślub, mówi: „Nigdy nikogo nie kochałem przed tobą i nie pokocham nikogo po tobie”, a ich obrączki są zrobione z drewna. Pierwszą rzeczą, jaką tamtejsze położne mówią dzieciom jest: „Będziesz żyć wiecznie!”. To nie jest błogosławieństwo ani życzenie. To kłamstwo, a położna śmieje się po tych słowach.

Zanim wypłynęliśmy, postanowiłem dołożyć nieco srebra do swojej sakiewki, więc udałem się na publiczne wieszanie na Plac Marspur, zwany także Placem Pętli, gdzie wymierza się sprawiedliwość w imię księcia.

Dzień był zimny i padała drobna mżawka, z gatunku tych, które nie śpieszą się z przemoczeniem was do suchej nitki, ponieważ wiedzą, że nigdzie się nie wybieracie. Żebracy zgromadzili się obok nowej fontanny przedstawiającej Cassę, boginię miłosierdzia, która zapewne rozpaczała nad tym, że znalazła się w miejscu tak wyzutym z miłosierdzia jak Marspur. Rozpoznałem ten posąg – Cassa bardzo przypominała młodą tancerkę, która zeszłego lata złamała serce miasta swoją przedwczesną śmiercią. Ja również ją znałem, kiedy tutaj studiowałem, i muszę przyznać, że była słodka jak letni dzionek. Rzeźbiarz wyraźnie o niej myślał, kiedy złapał za dłuto. To były jej kości policzkowe, jej drobny nos, jej piękne nogi, teraz oddane w marmurze, odsłonięte przez krótką spódniczkę norholtyjskiej tancerki. Niestety, na zawsze odeszły jej niebieskie oczy, które lśniły jak słońce przeświecające przez lód.

Dwaj żebracy opierający się o fontannę dzielili się tłustym brezentem, który chronił ich przed wiatrem i deszczem, a jeden z nich żuł kawałek twardego chleba. Niełatwo im było utrzymać brezent, ponieważ nie mieli ani jednego kciuka. To raczej nie byli weterani Gobliskich Wojen, ale nieudani złodzieje, którzy narazili się Gildii i zostali okaleczeni. Siedzieli na czymś w rodzaju zdeptanej i przemoczonej sterty dzikich kwiatów, które ofiarowano Cassie albo kobiecie, do której była podobna. Patrzyłem, jak jakaś bogata dama wrzuca kwiatek do wody, szepcze modlitwę i odchodzi w swoją stronę, najwyraźniej speszona obecnością żebraków. Oto człowieczeństwo w pigułce – zawsze znajdziemy miedziaka dla kamiennego posagu, ale nie dla nędzarza siedzącego w jego cieniu.

Wcale nie jestem lepszy.

Nie otrzymali ode mnie niczego poza odrobiną zainteresowania, a za to nikt nie kupił ciastek.

Szubienice były świeżo zbudowane, a białawe sosnowe drewno wyraźnie odznaczało się na tle czerwono-brązowych cegieł. Plac był wypełniony tylko w połowie, co mi odpowiadało, ponieważ mogłem swobodnie się poruszać. Wieszali troje skazańców: złodzieja, który okradł posłańca z Gildii Gońców, zabójczynię oraz bardkę, która napisała zjadliwą odę do przyrodzenia księcia, w której sugerowała, że nie osiągnęło ono normalnych rozmiarów, ponieważ nic dobrze nie rośnie w cieniu. Kobieta już wcześniej obrażała księcia i została za to wychłostana, ale niczego się nie nauczyła. Zastanawiałem się, czy jest Galtyjką, ponieważ takie zachowanie jest w naszym stylu. Sam Drannigat siedział na podeście na ogromnym krześle z czarnego drewna, blady i pulchny. Obserwował egzekucję, ponieważ nie mógł sobie odmówić zemsty. W pierwszej kolejności wieszano prześmiewczynię kpiącą z książęcej pałki, chcąc dać do zrozumienia, że jest mniej ważna od złodzieja.

Młoda żona Drannigata siedziała obok niego na mniejszym tronie i obserwowała przebieg wydarzeń z grubą, upierścienioną dłonią księcia na kolanach i uśmiechem, który nie docierał do oczu. Wyglądała doskonale w szaro-zielonej jedwabnej sukni i diademie z księżycowego kamienia. Podszedłem na tyle blisko, żeby się do niej uśmiechnąć, ale ona na mnie nie popatrzyła. Zastanawiałem się, jaka byłaby w łóżku. Zastanawiałem się, ile bym dostał za ten diadem. Uświadomiłem sobie, że również mnie by powieszono, gdybym wypowiedział chociaż połowę tych rzeczy na głos. Miałem nadzieję, że biedna dziewczyna na szubienicy przynajmniej dobrze kogoś rozbawiła wierszykiem, za który właśnie płaciła szyją. Umysł to cudowne królestwo, a my jesteśmy jego imperatorami. W myślach można wychędożyć żonę księcia, a jego samego udusić. Kaleka może wyobrazić sobie, że jest tancerzem, a idiota udawać mędrca. Kiedy jakiś magik na zlecenie drażliwego księcia albo króla zajrzy do głów prostych ludzi, stanie się nieszczęście. Wtedy ludzie o spracowanych dłoniach powstaną, ponieważ nikt nie będzie harować w kopalni, jeśli nie pozwoli mu się marzyć o słonecznych polach, i nikt nie zegnije kolana przed tyranem, jeśli nie będzie mógł poderżnąć mu gardła w zamkniętym teatrze swojej pochylonej głowy.

Kiedy krytyczka książęcego sprzętu przeproszała, by ratować swoją rodzinę, jednocześnie starając się, niech bogowie ją błogosławią, by brzmiało to jak najmniej szczerze, zwinąłem sfatygowaną skórzaną torebkę jakiejś strażniczce.

Prawdę mówiąc, okradanie tych prostaków było zbyt łatwe – gapili się jak cielęta na dusze opuszczające ciała. Dlatego postanowiłem podjąć się trudniejszego wyzwania. Zacząłem śledzić eleganckiego syna kupca, który nosił na kostce złoty łańcuszek, zastanawiając się, w jaki sposób mogę niezauważenie przykleknąć, ale wtedy wprowadzono na szubienicę zabójczynię, a ja wstrzymałem oddech.

To była Jelenie Spodnie, z którą walczyłem w lesie, jasnowłosa suka, która prawie załatwiła mnie toporkiem. Stałem na tyle blisko platformy, że zobaczyłem kamienny wisiołek z wyrzeźbionym lisem na jej szyi, tuż poniżej pętli – gdyby wykonano go z kości słoniowej, strażnik by go zabrał. Kiedy zapytano ją, czy chce coś powiedzieć, pokręciła głową. Wątpiłem, czy byłaby w stanie mówić z tak opuchniętymi ustami i powybijanymi zębami po cięgach, jakie zebrała od magicznej laski Norrigal.

Spytali, czy chce założyć kaptur, a ona zamierzała przytaknąć, gdy nagle mnie zauważyła. Roześmiała się i odrzuciła kaptur. Kat zacisnął pętlę i właśnie miał wytrącić jej stojak spod stóp, gdy wbiła we mnie wzrok. Powinienem był odwrócić oczy, ale tego nie zrobiłem. W jej spojrzeniu nie było nienawiści. Wiem, że przesadzam, ale miałem wrażenie, że jej oczy mówią mi wiele rzeczy jednocześnie – przebaczyła mi to, że ją dźgnąłem; przebaczyła mi zabicie jej człowieka-byka; nie mogła uwierzyć, że jej niezbyt długie życie dobiega końca w tym deszczowym miejscu; miała ochotę na jeszcze jeden kufel piwa; gdyby mogła, wypiłaby je razem ze mną; miała nadzieję, że następne życie będzie lepsze od tego, a jeśli nie, to wolałaby, żeby w ogóle go nie było. W ogóle. Patrzyła na mnie, jakby prosiła, abym nie odwracał wzroku, ponieważ mogłem pomóc jej bardziej niż jakiś mamroczący kapłan Wszechboga, wymachujący brązowym słońcem na patyku, a nawet bardziej niż jej rodacy, którzy wstydziłiby się tego, czym się stała. Dlatego z nią zostałem, kolejny głupiec służący lisiemu bóstwu, na którego też gdzieś czeka pętla.

Podniosłem rękę w geście braterstwa, a wtedy jej łokieć się poruszył, więc myślę, że także pokazałaby mi dłoń, gdyby nie była skuta. Kiedy wytrącono jej stojak spod stóp, zdążyła jeszcze westchnąć, zanim pękł jej kark, a to westchnienie było najprawdziwszym, co słyszałem z czyichkolwiek ust. Jej głos wyrażony w tej pojedynczej sylabie był idealny. To nie był pomruk, którym oszukiwała nas przed walką, ani rozdzierający krzyk na polu bitwy, ale jej esencja: jako zabójczyni, kochanki, złodziejki i córki, a wszystko to z domieszką boskości. Kochałem ją za to westchnienie. Chciałem odejść, ale czułem, że muszę coś dla niej zrobić, więc usunąłem podkładki z butów i palcami stóp zdjąłem łańcuszek z kostki tego pieprzonego elegancika, zupełnie jakby Jelenie Spodnie wciąż na mnie patrzyła, a nie dam głowy, że tak nie było.

Ale jeszcze nie skończyłem pracy na placu – pozostał mi do wypełnienia ostatni świąty obowiązek. Zaczekałem, aż młoda żona księcia solidnie pociągnie miód z kielicha, a wtedy za pomocą magicznej sztuczki wywołałem u niej soczyste, zasmarkane kichnięcie skierowane prosto na Drannigata. Och, jakże się wściekał, prawie rozerwał swój pas z krowiej skóry, kipiał gniewem, gdy służący go wycierał. Zanim wpadł na pomysł, by rozkazać magikowi poszukać osoby, która rzuciła zaklęcie, oddaliłem się uliczką prowadzącą w stronę morza.

Nóż w ustach

Statek wielorybiczny nazywał się Suepka Buryey, czyli „Świńska Dama Burzy” albo po prostu „Burzowa Locha”. *Suepka* to uniwersalne słowo, które oznacza „lochę”, ale także „bękartkę” albo praktycznie wszystko, czego nie lubicie, a co ma cycki. Ale, podobnie jak wielu najlepszych obelg, można go używać jako wyrazu uznania. Na przykład, ta kobieta bije się na noże jak prawdziwa *suepka*. Nie znam zbyt dobrze molrowskiego, ale, jak być może zauważyliście, kolekcjonuję wulgaryzmy.

Przyjrzelśmy się statkowi, który kołysał się na cumach i rzucał cień na mniejszą jednostkę wiosłową stojącą obok. Suepka nie używała wiosła, była na to zbyt duża, ale za to miała dwa ogromne grotmaszty oraz mniejszy bezanmaszt na kanciastym płaskim kasztelu rufowym. Przy jej burtach wisiały dwie łodzie wiosłowe, gotowe do spuszczenia na wodę podczas pościgu za wielorybem, a trzy balisty na kasztelu dziobowym pokazywały, że statek jest gotowy obronić się przed wszystkim, czym mogło go próbować zaskoczyć spienione morze. Drewno kadłuba było tak ciemne, że niemal czarne, a kształtem okręt przypominał świnie. Spod linii wody wyzierała warstwa rozmaitych egzotycznych skorupiaków. Wokół statku unosiła się woń starego wielorybiego tłuszczu, niczym perfumy wokół sukni dziwki.

Dwie utłuszczone członkinie załogi, wyraźnie niezadowolone, że musiały zostać na pokładzie, podczas gdy pozostali prostowali nogi na lądzie, patrzyły na nas nieprzychylnie, więc spuściłem wzrok na skorupiaki, ale wcześniej zobaczyłem, że jedna z nich, pękata brązowoskóra kobieta o zaczesanych do tyłu włosach wyblakłych od słońca, wsadziła do ust mały palec. Kiedy zastanawiałem się, czy to był obraźliwy gest, propozycja, a może jedno i drugie, usłyszałem głos Galvy:

– Chyba znajdziesz żonę na tej łajbie.

Norrigal parsknęła.

Odwróciłem wzrok. Przyszło mi do głowy, że pokonanie kilkuset mil dzielących mnie od Molrovy pieszo mogło być lepszym pomysłem niż wpakowanie się na tę okrągłą spalarnię tłuszczu, gdzie czekały na mnie pieszczoty kobiety ssającej palec oraz olej i brud, ale gdybym nie dotarł odpowiednio szybko na Rubieże, musiałbym odpowiadać przed Gildią, a oni przerażali mnie bardziej niż morze. A przynajmniej tak uważałem.

Jeszcze nigdy nie byłem na morzu.

Po raz ostatni udałem się do tawerny, żeby spakować się i przygotować do podróży.

Musiałem się z kimś pożegnać.

Spanthianka poszła na rynek, żeby kupić wino – była zbyt dumna, by pozwolić mi się targować w jej imieniu – a Norrigal szukała pieprzu i innych składników potrzebnych do zaklęcia chroniącego przed chorobą morską, które zamierzała rzucić na tych spośród nas, którzy tego potrzebowali.

Patrzyłem, jak Byczek spaceruje tam i z powrotem po naszym pokoju w Reszce i zastanawiałem się, jak sobie poradzi w Pigdenay beze mnie. Pewnie tak samo jak w Cadoth, dopóki będzie mu dopisywało szczęście. Podobnie jak my wszyscy.

– Chodź tutaj, ty mały chwaście – rzuciłem i podniosłem go za skórę na karku. Wyciągnął przed siebie łapy, jak koty mają w zwyczaju, a ja przemówiłem prosto do jego pyszczka, patrząc mu w bezużyteczne, śliczne ślepia: – Byczku, przyszedł czas rozstania. Nie ma dla ciebie miejsca na statku.

Zamiauczał.

– Wiem. To smutne, ale świat składa się ze smutku, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś. Zbudowano go z potężnych szarych cegieł smutku, połączonych zaprawą bólu i obowiązku. Przynajmniej w przypadku ludzi. Ty nie masz żadnych obowiązków, kiciu. Nie masz także zbyt wielkiego wyboru, ale nikt niczego od ciebie nie oczekuje, a to nie byle co. Życzę ci niezliczonych misek mleka, trochę sera i rybek oraz mniejszej liczby kopniaków, niż na to zasłużysz, i wiem, że ty życzysz mi tego samego. Rozstajemy się jako przyjaciele.

Postawiłem go na łóżku i pogłaskałem po grzbiecie, a on napał na moją rękę i zwinął ogon, ale nie zamruczał, jak miał w zwyczaju. Sięgnąłem do swojej torby i dałem mu ostatni ościsty kawałek solonego śledzia, ale go nie przyjął.

– Co się dzieje, źle to znosisz? Jedz, psiakrew, jesteś za chudy – powiedziałem, dotykając rybą jego nosa, ale mnie zignorował. – Jak sobie chcesz.

Rzuciłem śledzia na podłogę i położyłem się na słomianym materacu, żeby chwilę odpocząć. Przyszło mi do głowy, że przez niezliczone miesiące nie będę miał do dyspozycji tak wygodnego pośłania, więc powinienem się nim nacieszyć. Byczek wszedł pod łóżko, nie zwracając uwagi na rybę, i zaczął krztusić się i kaszleć, jakby chciał wypluć na podłogę jedną ze swoich uroczych kulek sierści.

– Wiesz, że wzbudzanie we mnie poczucia winy nic nie da. Powiedziałem, że odchodzę, i tak zrobię, jutro o świcie. Możesz sobie kaszleć, to koniec.

Poczułem, że włosy stają mi dęba na karku.

Błędnie wziąłem to uczucie za smutek spowodowany utratą Byczka, który miał śliczny pyszczek i był całkiem niezgorszym kotem, a zanim uświadomiłem sobie, że to magia, było już za późno.

Byczek wybiegł spod łóżka, mocno uderzył łebkiem o ścianę i usiadł, ciężko dysząc i kierując niewidzące oczy w miejsce, z którego uciekł, gdzie poruszało się coś znacznie cięższego i szybszego od kota.

Właśnie sięgałem po nóż, kiedy pokryta tatuażami noga wysunęła się spod łóżka, a za nią podążyła naga kobieta. W tej samej chwili, gdy dobytek Palthry, kobieta chwyciła mnie za rękę i skoczyła w stronę ściany, szarpiąc mnie z taką siłą, że obróciłem się i spadłem z pośłania. Gdybym nie był szybkim draniem, zwichnąłbym ramię, ale podążyłem za jej ruchem i uratowałem staw. Przewidziała, że to zrobię, i kiedy spadliśmy na posadzkę, wylądowała na mnie, szeroko rozkładając nogi, abym nie mógł jej zrzucić, i przycisnęła do ziemi moją rękę z nożem.

Następnie błyskawicznie wykręciła moją rękę do tyłu i na chwilę niemal usiadła mi na twarzy. Zobaczyłem przed sobą jej intymne miejsca, ale prawdę mówiąc, w tej chwili nie mogłbym być nimi mniej zainteresowany. A przynajmniej tak mi się wydawało, bo kiedy wbiła kolano w mój biceps, zainteresowałem się nimi jeszcze mniej. Zaparłem się o podłogę i spróbowałem zrzucić napastniczkę z siebie kolanem, ale nie zdołałem jej nawet rozdrażnić. Wykręciła mój nadgarstek, niemal go łamiąc, a ja wypuściłem nóż. Już po mnie, pomyślałem. To była zawodowa skrytobójczyni, jedna z najlepszych w Gildii, a ja miałem z nią równie duże szanse jak ślepy kociak.

Mój nóż spoczął pod moim nosem jak najbardziej niepożądany wąż na świetle. Żałowałem, że tak go naostrzyłem.

– Otwórz usta – odezwała się, nieco głośniejszym głosem od szeptu.

Kiedy się zawahałem, przycisnęła ostrze do mojego ciała, dając mi do zrozumienia, że mogłaby bez trudu odciąć mi nos i sprawić, by moja twarz stała się płaska jak talerz. Dlatego otworzyłem usta, ale tylko trochę.

– Szerzej – powiedziała, nieco zwiększając nacisk, a ja poczułem, jak skóra pomiędzy ustami a nosem zaczyna się rozszczeplać. Nieco bardziej rozwarłem szczękę. Włożyła mi nóż do ust i przycisnęła płaską powierzchnię ostrza do języka. – Teraz się nie ruszaj. Chciałam się upewnić, że będziesz słuchał, zamiast gadać. Wysłała mnie Gildia i mam dla ciebie instrukcje. Nie kiwaj głową. Dwukrotnie mrugnij oczami.

Zrezygnowałem z kiwnięcia głową, co nie jest mądrym gestem, gdy ma się nóż w ustach, i zamrugalem. Przypomniałem sobie, że widziałem tę kobietę w Cadoth. To ona zabrała moje pieniądze w sali Gildii Poborców. Cała była wytatuowana. Nieco się uspokoiłem i rozluźniłem, bo chociaż wiedziałem, że mogę zginąć, byłem tak bezbronny i bezsilny, że poczułem się wyzwolony.

– Kinchu Na Shannacku, pomogę ci uregulować dług wobec Gildii. Twoja prawdziwa misja nie polega na zdobyciu magicznych przedmiotów, ale na doprowadzeniu mnie na Rubieże w towarzystwie tej ponurej Spanthianki. Kiedy tam dotrzemy, powiem ci, co masz robić dalej. W czymś mi pomożesz, ale na razie nie musisz wiedzieć więcej. Powiem ci tylko, że polecenie pochodzi od Pełnego Cienia Holtu, który zarządził, że twój sukces bądź porażka przyniosą ci odpowiednio wdzięczność i bogactwo albo ból i śmierć. Zamrugaj, jeśli zrozumiałeś.

W Gildii było tylko jedenastu Pełnych Cieni, którzy władali swoimi tajemnymi krainami niczym odwrócenie monarchowie. Pełny Cień Holtu to w praktyce ukryty król Holtu.

Zamrugalem.

– Dobrze. Musiałam ci się przedstawić, żebyś nie zostawił kota. Jeśli on zostanie, ja również zostanę. Jeśli on utonie, ja też utonę. Jeśli umrę, Kinchu Na Shannacku, Gildia natychmiast się o tym dowie, a ty zginiesz w taki sposób, że mi pozazdrościsz. Teraz wyjmę nóż. Jeśli masz jakieś pytania, zadaj je, ale miej świadomość, że nie lubię pytać.

– Mam jedno – odezwałem się, kiedy nóż się cofnął, pozostawiając metaliczny smak na moim języku. Skrytobójczyni tylko na mnie popatrzyła.

– Czy to zwykły kot?

– Tak, to zwykły kot, ale kiedy chcę, używam jego oczu i uszu oraz nim kieruję.

– Myślałem, że jest ślepy.

– Owszem. Ale ja nie.

– Więc widziałaś mnie w chwilach, gdy myślałem, że nie ma ze mną nikogo oprócz ślepego kota.

– Zgadza się.

– Postaram się zbyt długo o tym nie myśleć.

– Ja również.

Wstała, w całej swojej runicznej chwale, i podrzuciła nóż, który wbił się w sufit.

– Jesteś przerażającą kobietą.

– Nie masz pojęcia jak bardzo.

Przyjrzałem się jej tatuażom. Jak już zauważyłem w Domu Wisielca, ręce miała zabarwione na czarno, od opuszków palców po ramiona, a ja nie miałem pojęcia, z jaką magią się to wiązało, podobnie jak tarcza zegara wytatuowana na jej mostku. Zobaczyłem kilka słów w różnych językach, z których większości nie potrafiłem zidentyfikować, chociaż je rozumiałem. „W Górę”. „Kopnięcie Konia”. „Butla Oddechu”. Dostrzegalem je

kątem oka, nie śmiałem przypatrywać się im dłużej, aby nie domyśliła się, że jestem Szyfrem. Nikt nie mógł tego odkryć, w przeciwnym razie resztę życia spędziłbym w wyłożonej poduchami celi, mrużąc oczy i tyjąc na potęgę.

– Napatrzyłeś się? – spytała, sądząc, że intryguje mnie jej nagość. Pozwoliłem, by tak myślała.

– Tak. Całkiem niezłe.

– Niezłe? Nigdy nie tkniesz takiego ciała, Kpiarzu.

– Jak masz na imię?

– Zamordowałam je.

– Jak mam cię nazywać?

– Sesta.

– „Sześć” po istreańsku?

– Musisz być z siebie bardzo dumny. Tyle miałam lat, kiedy po raz pierwszy zabiłam.

– Co, robaka?

– Swoją siostrę.

– Mama musiała to bardzo przeżyć.

– Znów mam ochotę uciąć ci nos. Masz coś jeszcze do powiedzenia?

Pokręciłem głową.

– Dobrze.

Wsadziła sobie palec do gardła i zwymiotowała skórzany pakunek. Wyjęła z niego ubrania i je założyła.

– Masz coś do jedzenia? – spytała.

Pokazałem jej, gdzie trzymam zapasy, a ona zjadła wszystko, nie przestając na mnie patrzeć. Zjadła nawet porcje Galvy i Norrigal. Potem zabrała mi pieniądze na zakup kolejnych zapasów i poszła na targ. Najwyraźniej bycie kotem przez miesiąc pobudza apetyt.

Kiedy wyszła, bezgłośnie i płynnie jak cień chmury, popatrzyłem na Byczka. Ziewnął, zawijając język. Potem podszedł bliżej i zjadł uschnięty kawałek śledzia z podłogi.

– Wielkie, kurwa, dzięki, że sprowadziłeś coś takiego do mojego życia.

Starzy znajomi

Wyłynęliśmy z Pigdenay przy spokojnym morzu, a chłodne szare niebo nad nami było pełne mew, które krążyły, drażniły się z nami i nurkowały. Suepka Buryey była niewzruszona jak stały ląd, kiedy wciąż byliśmy w zatoce, więc pozwoliłem sobie na myśl, że podróż nie będzie zbyt uciążliwa. Kapitan, Yevar Boltch, tylko skinął nam głową na powitanie, kiedy weszliśmy na pokład. Stał na kasztelu rufowym i naradzał się z pierwszym oficerem, Molrovianką imieniem Korkalą, groźnie wyglądającą damą, która ostrzygła swoje szare jak żelazo włosy tak blisko skóry, że widzieliśmy mapę blizn na jej czaszce. To ona brała na siebie wszystkie obowiązki na pokładzie Suepki.

Tuż przed wypłynięciem z portu zobaczyłem, jak płaci członkowi Gildii Żeglarzy, chudemu pyszałkowi w brudnym wełnianym ubraniu. Korkala ponadto dbała o utrzymanie dyscypliny na pokładzie i wkrótce przekonałem się, że lubi swoją pracę. Nosiła pałkę z brązową pięścią na końcu, nie tak dużą, by można ją nazwać buzdyganem, ale nie na tyle małą, by szybko zapomnieć jej cios, pomimo natłuszczonych skór i futer, które nosili żeglarze na północy.

Kiedy wypłynęliśmy z zatoki i Pigdenay zmieniała się w pokaźną i całkiem urodziwą stertę cegieł w oddali, kapitan zauważył naszą trójkę na pokładzie i skinął głową na Korkalę.

Podeszła do nas i odezwała się w ledwo zrozumiałej holtyjskiej mowie:

– Nie możemy was pilnować na pokładzie. Liny się poruszają, belki się poruszają, uderzają chłopców, fale porywają lądowe szczury pod wodę, bardzo zimną. Na dole, razem z innymi, jest lepiej, tak? Tak. Na razie wszystko dobrze, pożegnajcie się z miastem, póki jesteśmy w zatoce, ale kiedy miasto zniknie pod morzem, zejdzicie pod pokład, razem z resztą. Na pokładzie niebezpiecznie. Pamiętajcie, że ostrzegałam.

– Dziękujemy – odrzekła Spanthianka. – Będziemy na siebie bardzo uważać. Nie będziemy wchodzić wam w drogę.

Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby mówiła tak łagodnie. W porównaniu z uzbrojoną w pałkę zachodnią zabójczynią wielorybów brzmiała jak holtyjska uczona. Korkala pokiwała głową do Galvy, do mnie i Norrigal, a wtedy kapitan odezwał się do nas po raz pierwszy od chwili, gdy opuściliśmy tawernę.

– Ty tam – powiedział do mnie. – Z której części Galtii pochodzisz, czarny języku?

– Platha Glurris.

Stęknął i skinął głową, puszczając do mnie oko, jakby już kiedyś słyszał tę nazwę, chociaż uznałem, że udaje, tak jak wtedy, gdy mówimy „aha” do spytanego o drogę cudzoziemca, który w odpowiedzi mamrocze kilka niemożliwych do wymówienia sylab.

Kapitan przyjrzał się całej naszej grupie.

– Gotowi na morską podróż? – spytał, lekko się uśmiechając, jakby już cieszył się na myśl, że niektórzy z nas będą opróżniać żołądki za burtę przy pierwszym uderzeniu gorszej pogody.

– Spakowani i chętni wypłynąć na głębię – odpowiedziałem.

– Doskonale! – wszedł mi w słowo, klepiąc mnie w ramię, po czym odszedł. Kerkał na to i wcale tego nie ukrywał.

Ale może nie będzie tak źle.

Mieliśmy dotrzeć do Molrovy za dwa do czterech tygodni, w zależności od przebiegu połowu wielorybów. Nie zwracałem uwagi na zimne uczucie w żołądku, które ostrzegało, że moje szczęście jest na wyczerpaniu. Nie miałem innego wyboru, jak to przetrwać. Już wcześniej miewałem okresy pecha, prawda?

Udostępniono nam niewielką przegrodę w ładowni, niedaleko wielkich pustych beczek, w których potem miał chlupotać wytopiony wielorybi tłuszcz oraz olbrot, gdybyśmy upolowali kanciastołba lub czerwonego walenia. Mieliśmy hamaki do spania, wspólny kufer na swoje rzeczy, a także stół z szarego drewna, przy którym mogliśmy grać w Wieże lub kości. Inni członkowie załogi spali we własnych hamakach we wspólnej części ładowni, praktycznie jeden na drugim, nie licząc pierwszej oficer i kapitana, którzy mieli swoje kajuty. Właśnie zaczynałem myśleć, że mogę to wytrzymać przez miesiąc, gdy usłyszałem znajomy głos:

– Czy ktoś powiedział Platha Glurris?

O zaraza, pomyślałem, początkowo nie wiedząc, dlaczego ten głos zwiastował takie kłopoty. W normalnej sytuacji spuściłbym głowę i na wszelki wypadek się oddalił, ale tutaj nie miałem dokąd uciec. Podniosłem wzrok i popatrzyłem w oczy silnemu mężczyźnie około trzydziestki, który nie miał dwóch palców, a na twarzy nosił bliznę w kształcie półksiężyca, niewątpliwie pozostawioną przez zęby goblina. Smarował paskudnie

ostrzy, ząbkowany grot harpuna. Uśmiechnął się, kiedy mnie zobaczył, a ktoś nieznajomy mógłby uznać ten uśmiech za przyjacielski, chyba że widziałby kiedyś węża szykującego się do pożarcia myszy. One właśnie tak się uśmiechają. Mężczyzna trzymał czarny jak smoła galtyjski język za zębami.

Znał mnie.

Znał mnie przez całe moje życie.

I mnie nienawidził.

Szczęście ślepego kota

Latem 1224 roku, kiedy koronowane głowy Ludzkich Krain karmiły ludźmi gobliny podczas Zagłady Królestw niedaleko Goltay, przygotowywano do szkolenia ostatnią falę młodzieńców. Przez cały ciężki rok mieli stawiać ściany z tarcz, walczyć włóczniami, strzelać z łuku i szybko maszerować.

Druga wojna z goblinami – Wojna Młocarzy – nauczyła ludzi, że Horda bez trudu zabija niedoświadczonych chłopów uzbrojonych w pałki i widły, niezależnie od tego, jak są liczni. Podczas Wojny Młocarzy, która trwała od 1210 do 1217 roku, straciliśmy dziewięciu na dziesięciu żołnierzy.

Przyszedłem na świat w pierwszym roku tej katastrofy.

Miałem czternaście lat, kiedy pobór dotarł do Platha Glurris.

Szalejący wtedy konflikt nazywano Wojną Córek, ponieważ do walki mogły już stanąć głównie córki. Chłopcy w moim wieku byli ostatnią tak liczną grupą i ostatecznie dołączyli do swoich siostr, matek i ciotek, tworząc potężne armie zjednoczone przeciwko goblinińskiej Hordzie. Najnowsza grupa, złożona z mieszkańców Untheru, Holtu, Brayce, Gallardii, Ispanthii, Gunnlandu, Śródmorza, Wostry oraz wysłanników Dalekich Miast w Istrei oraz Beltii, nazywała się Chwalebna Liga, a bogowie nienawidzą takich rzeczy. Chcą sami decydować, komu należy się chwała, i właśnie tak zrobili. Chwała przypadła robakom.

Nawet ostatnia fala, która, dzięki pomocy bojowych kruków i odpornych na ogień okrętów z wiosennego drzewa, w końcu przegnała gobliny do ich ojczyzny, w większości nie wróciła. Gobliny podczas walki używały trucizny. Używały potężnych ghalli, ślepych jak krety i białych jak księżyc, w których zmieniały ludzkich niewolników trzymany pod ziemią, a także oszalałych od bólu dzików o rozmiarach kuców, ubranych w zbroje z kolcami zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz. Używały palisad na kołach i deszczu bełtów.

Walczyły za pomocą choroby.

Walczyły za pomocą strachu.

Król Conmarr z Holtu wysłał listy oznaczone swoją pieczęcią do wszystkich miasteczek w podległych mu trzech krainach: właściwym Holcie (zwanym Holtem Zachodnim), Norholcie i Galtii. Platha Glurris również otrzymała taki list, który upoważniał księcia do wysłania urzędników rekrutujących, a jeśli ci was wytypowali, odmowa służby była równoznaczna ze zdradą. Gdybyście uciekli z miasteczka, urzędnik zapłaciłby grzywnę. Nigdy nie był to arystokrata, tylko jeden z mieszkańców, dobrze znany i lubiany, na przykład członek rady gminnej. Ktoś na tyle bogaty, by mieć coś do stracenia, ale nie na tyle bogaty, by grzywna go nie zabolęła.

Miesiąc przed ostatnim zaciągiem Gildia Poborców wysłała do Platha Glurris własnego urzędnika. Nazywał się Cavanmeer i stanowił ucieleśnienie chciwości, nielojalności i dezercji. Oto, w jaki sposób mnie nagabywał:

„Ta wojna nie jest dla ciebie, Kinch, nie dla ciebie. To nie tak, że nie chcę, abyśmy pokonali tych podłych drani, w końcu też jestem człowiekiem, prawda? Ale bogowie każdemu z nas ofiarowali jakieś dary, które nie są takie same. Weźmy za przykład Zimne Stopy, śmietankę galtyjskiej piechoty. Są tacy twardzi, że nie noszą butów, nawet na oszronionych skałach. Najlepsi włócznicy w Ludzkich Krainach, czyż nie? Oto ich dar, siła i biegłość w wojennym rzemiośle. Już w łonie matki zostali przygotowani do dzierżenia włóczni, a ich płuca są stworzone do wilczego wycia ku czci Solgrannona Krwawego Pyska, waszego boga wojny. Ale ty jesteś sługą Lisiej Łapy, prawda? Fothannon powołał cię do bardziej delikatnych zadań? Tak myślałem. Wiem, że twój brat trafił do mennic za kradzież i czeka go tam ogłuszenie oraz okaleczenie. Co takiego ukradł? Nie mów mi, już wiem. Wszyscy to wiemy. Okaleczenie za kradzież kawałka farbowanej tkaniny to los, jaki czeka każdego ubogiego chłopca, jeśli tylko do tego dopuści. A teraz wyrusza na wojnę. Ale ty nie musisz się na to godzić.

Nie musisz odpowiadać na wezwanie i jechać do jakiegoś Goltay czy Orfay, gdzie umrzesz, zapomniany i nieznający smaku piczki, w imieniu króla Conmarra, który ma równie różowy język jak ja. Tylko popatrz na siebie, galtyjski cudzie. Mówią, że płynie w was krew martwych elfów, jeśli ktoś wierzy w elfy. Ja nie wierzę, ale gdyby tak było, powiedziałbym, że zasadzili swoje nasienie w Galtii. Masz palce lutnika albo skrzypka, kurewsko zręczne. Stworzone do otwierania zamków w drzwiach i skrzyniach oraz do rozplatania warkoczy dziewic, a nie do tego, żeby odgryźć je jakiś goblin o rybim pysku. Urodziłeś się, żeby wspinać się na ściany banków i kraść sztabki srebra, a nie kulić się za gównianą, ciężką tarczą i próbować utrzymać ją drżącymi rękami, podczas gdy, tylko to sobie wyobraź, opancerzony bojowy dzik, zobacz go w myślach, niesie ku tobie ćwierć tony żywej wagi, a gobliny dziurawią twoje śliczne nogi potrójnymi włóczyniami. To obraza dla samych bogów, by zmarnować taki skarb jak ty i zmienić cię w kolejnego martwego żołnierza wdeptanego w błoto, spod którego wystaje tylko smutna, pozbawiona życia twarz zmoczona deszczem. Albo mogą odwieźć cię wozem do rzeźniczego dołu w Ziemi Hordy, gdzie posolą twoje uda i ogryzą je do kości, zakąszając tymi ohydnyimi grzybami, które pomagają im śnić o ich bezkształtnym rozmytym jak dym bogu. A potem wysrają cię do rowu. Czy tego pragnęłaby twoja matka? Żeby jakiś goblin wysrał cię w dalekiej Gallardii? Co Gallardia kiedykolwiek dla ciebie zrobiła? No właśnie. Nic. A teraz spytaj, co mogą dla ciebie zrobić twoi wujkowie i ciotki z Gildii? Ile masz lat, siedemnaście? Tylko czternaście! Jesteś duży jak na swój wiek. Nie bardzo duży, ale wyrosnięty jak na takiego młokosa, sprytnego czternastoletniego młokosa. Chciałbyś dostać miedzianą strużynę? Proszę bardzo, nie zależy mi, wszystkim nam nie zależy, jesteśmy bogaci jak Stary Kesh, czyż nie? Pełni złota, tak jak Adripur jest pełen starców. Widzę, że lubisz monety. Widziałeś kiedyś truncję? Cała ze złota, przyjrzyj się, trzy uncje rajy, popatrz sobie. Ooo! Jakim cudem znalazła się za twoim uchem? To sztuczka szybkich dłoni, bez obaw, nauczymy cię jej pierwszego dnia. Niech Zimne Stopy dźgają wrogów włóczyniami, a rolnicy młóć ich cepami, w końcu ćwiczili na pszenicy. Ty będziesz służył w inny sposób, to pewne jak to, że dzień ślubów przychodzi po dniu pierścienia, a poprzedza dzień barana. Ale taki cwany chłopak na pewno zna się na kalendarzu. Chyba wiesz, że wojsko korzysta z naszych skrytobójców i złodziei, prawda? Pomagamy, jak możemy, oczywiście nie za darmo, ale władcy mają czym płacić. Być może właśnie to cię czeka, będziesz strzelał z daleka do goblinów wódzów lub zakradał się do ich obozowisk i uwalniał naszych dzielnych jeńców. Pewnego dnia, później, gdy zdobędziesz umiejętności, które pozwolą ci pozostać przy życiu i być użytecznym. Kto wie? Znasz tego chłopaka Fullena z sąsiedniej wioski? On ze mną idzie. Już poszedł, w przeciwnym razie bym ci nie mówił. Będzie bogaty, gwarantuję. Dokonał wyboru, przed którym ty też stoisz – za miesiąc wsiąść na wóz z żołnierzami i zginąć paskudną śmiercią albo już w tym tygodniu odejść ze mną i mieć dobre życie. Widzę w twoich oczach, że wiesz, kim jesteś. Nie jestem pewien, czy zabierzemy cię do Lamnuru czy Pigdenay, bo mamy szkoły w obu, ale tak czy inaczej znajdziesz się nad morzem. Gdzie rzeka wpada do morza, tam każdy człowiek zdąża. Spotkajmy się jutro i porozmawiajmy. Jeśli wspomnisz komukolwiek o mojej wizycie, rozpląnę się jak dym pośród liści. Ale przecież jesteś na to zbyt bystry! O tej porze za rok obaj będziemy złodziejami”.

Po naszej rozmowie pokonałem pieszo kilka mil dzielących mnie od Rozdartego Morza i pożyczyłem łódź wiosłową, którą popłynąłem na Wyspę Kruków, nazywaną tak ze względu na kolonie potężnych, dzielnych ptaków, które budują gniazda na tamtejszych chorych od soli drzewach. Nie da się tam uprawiać ziemi, wszędzie są tylko skały i mokradła. Idealne miejsce, żeby spotkać się z dziewczyną albo ukryć z kompanami. Idealne miejsce na podjęcie decyzji mogącej zaważyć na całym życiu.

Co wtedy myślałem o złodziejach?

Mówiąc szczerze, najbardziej chciałem zostać magikiem. We wszystkich nadrzecznych miasteczkach, takich jak Platha Glurris czy Brith Minnon, opowiadano historie o tym, jak Fulvir Wiążący Błyskawice i Stukwark Galt przybyli na tę wyspę, by znaleźć ptaki, z których później wyhodowali bojowe kruki. Powiadano, że zaklinali płoty, które ożywały i ucierały nosa poborcom podatkowym; albo że zabarwiali księżyc na zielono, by uczcić Świt Lata; albo że zmusili dwie mewy do śpiewania, jedną po galtyjsku, drugą po molrovsku, a piękna kobieta o kręconych włosach oceniała, który ptak śpiewa piękniej. W tych opowieściach czarownicy byli przedstawiani niemal jak półbogowie, którzy z polotem i radością naginali naturę i materię do swojej woli, więc chciałem być taki jak oni. Ale wiedziałem, że magia pochodzi z ksiąg, a chociaż potrafiłem odczytać wszystko, co mi podsunęto, nie było mnie stać na takie luksusy.

Poza tym nigdy nie widziałem tych magów na własne oczy.

A złodziei owszem.

Mój najstarszy brat, Pettrec – tak naprawdę tylko przyrodni brat, ponieważ byłem najstarszym dzieckiem mojej mamy – był kimś w rodzaju złodzieja, ale nie miał do tego talentu. Nigdy nie podążył ścieżką Gildii. W jednej z osad dał się przyłapać na kradzieży koszuli ze sznura i został solidnie obity przez sąsiadów – ludzie w małych miasteczkach dbają o siebie nawzajem.

Na tym powinna się zakończyć jego kariera, ale to była ładna śliwkowa koszula należąca do jakiegoś urzędnika, który złożył skargę do swojego pana i Pettrec został skazany na przymusową pracę w królewskiej mennicy. Wydaje się, że to głupi pomysł, umieścić złodzieja obok takich ilości srebra. Ale karą za kradzież z mennicy była śmierć, więc nikt tego nie próbował. Poza tym wyroki były krótkie. Brat dostał tylko trzy miesiące, ale okazało się, że lepiej by wyszedł na spędzeniu roku w lochu.

Prawdziwą karą nie jest zamknięcie, ale praca. Wasale trzymają krążek monety nieruchomo, a młotkowy wybija wzór. Jeśli trafi się wam dobry młotkowy, tylko ogłuchniecie. Stanie się to po około tygodniu. Chyba że zatkacie sobie uszy woskiem, ale nie wolno przynosić własnych zatyczek – strażnicy sprawdzają uszy. Trzeba je kupować za trzy strużyny za sztukę. Za taką cenę można by nabyć dobrej jakości świecę. Trzeba kupować nowe zatyczki każdego dnia. Rozumiecie, jak to wygląda. Biedacy głuchną.

Poza tym trzeba zapłacić za możliwość wyboru młotkowego. Starsi i pewniejsi kosztują dwie strużyny za dzień. Nowi są dostępni za darmo, dopóki nie spudłują i nie zmiażdżą wam dłoni. Wtedy trzeba za nich zapłacić palcami. Pech, prawda? Nie powinien być zostawać złodziejem,

prawda? Ale ja tak na to nie patrzyłem. Widząc okaleczone palce Pettreca i słuchając głośnych rozmów, zrozumiałem, że ludzie sprawujący władzę są złodziejami, i nauczyłem się, że nie wolno dać się złapać. Dlatego warto związać się z Gildią.

Pettrec dołączył do grupy poborowych, w której ja również bym się znalazł, i walczył z goblinami. Zginął na jakiejś błotnistej równinie w Gallardii, zapewne cały czas krzycząc „Co?!“.

Wyspa wyglądała ślicznie tamtego popołudnia, powietrze było chłodne, drzewa pełne chrapliwego krakania kruków. Na jednej z gałęzi znalazłem dumnego, czarnego jak noc drania, na którego piórach tańczyły niebieskie refleksy, i zapytałem go, czy powinienem wykręcić się od poboru, ale nie miał na ten temat żadnej opinii, nie licząc przeciągłego „kraaa”, które mogłem interpretować zgodnie z uznaniem. Dlatego usiadłem na zimnym, skalistym brzegu i patrzyłem na rozbijające się fale, które robiły to samo przed czasami złodziei i żołnierzy.

Jakie to wszystko ma znaczenie? – myślałem. Chłopiec robi to, co mu każą, mężczyzna robi to, co zechce. Żołnierzom stawia się piwo. Martwi żołnierze niczego nie dostają.

Próbowałem modlić się do Fothannona, po raz pierwszy w życiu, i poprosiłem, aby pokazał mi, czy chce, żebym był jego sługą, czy raczej chwycił włócznie.

Kiedy wróciłem na ląd, rybak, którego łódkę pożyczyłem, zwyzywał mnie i nazwał złodziejem. Zobaczyłem, że na jednej dłoni miał tylko kciuk i jeden palec, a także brakowało mu ucha. Na słomianym kapeluszu nosił królewską wstążkę, która świadczyła o tym, że był żołnierzem. A jednak wyciągał z wody zimne dorsze na łódce wymagającej odmalowania i miał szczypce zamiast dłoni.

Tamtego wieczora ulepiłem małego lisa z rzecznej gliny i ogłosiłem się jego sługą.

Dwa dni później opuściłem miasteczko razem z Cavanmeerem i udałem się do Pigdenay, a urzędnik, który mnie wskazał, zapłacił grzywnę. Był to Coel Na Brannyck, ojciec Malka Na Brannycka. Obaj służyli w Zimnych Stopach i byli błogosławieństwem dla swoich przyjaciół oraz przekleństwem dla wrogów. Ojciec zginął w Orfay w Gallardii, posiekany i zagryziony przez gobliny, a syn widział to na własne oczy.

Teraz zaś stał przede mną w ładowni statku, który miał się stać moim domem.

Malk Na Brannyck.

Starszy, pokąsany przez gobliny i ogorzały od słońca – jak się wydawało, jeden z najtwardszych marynarzy na pokładzie Suepki Buryey.

– Witaj, Kinch, ty chuju. Witaj, kurwa, na moim statku.

„Dziękuję, Malk, ty chuju. Postaram się, kurwa, jak najlepiej z tego skorzystać”. Tak powinienem był odpowiedzieć, ale z moich ust wydobyło się tylko słabe stęknienie. Chociaż Malk był nie byle kim, to nie strach mnie sparaliżował, tylko wstyd. Nikt nie może nas uciszyć tak skutecznie, jak ktoś, kto zna nas z najgorszej strony. Oczywiście nie jestem pewien, czy w młodości byłem gorszym człowiekiem. Być może z etycznego punktu widzenia teraz byłem na dnie, ale potrafiłem udawać lepszego. Zazwyczaj nie umiemy tego, kiedy jesteśmy młodzi, więc w pełni pokazujemy wszystkie nasze najgorsze cechy. Jednym z wielu powodów, by nie ufać włóczędze, jest fakt, że być może nie chcą go ludzie, którzy znają go najlepiej.

– Ale lepiej nie mówmy za wiele – dodał. – Później będziemy mieli czas, żeby porozmawiać. Nie wierzę w swoje szczęście, widząc cię tutaj. – Także w tym przypadku trzeba było wyraźnie się przyjrzeć, by dostrzec nienawiść na jego twarzy i zrozumieć, że pozorne ciepło w jego spojrzeniu to tak naprawdę pałący mróz. Na koniec rzucił po galtyjsku: – *Ec sa imfalth margas beidh*.

Mądrze jest mieć psa.

To galtyjski sposób na powiedzenie: „Miej się na baczności”. Można na to odpowiedzieć: „*Me saf math margas fleyn*”, czyli „Sam jestem swoim psem”, co oznacza: „Nie zaskoczysz mnie we śnie i umiem gryźć”. Oczywiście zamiast tego odrzekłem:

– *Me edgh bein i catet tull*.

Mam szczęście ślepego kota.

Kiedy te chrapliwe słowa wydobyły się z moich ust, miały być stwierdzeniem faktu, ale z perspektywy czasu widzę, że zabrzmiały dziwacznie, niejednoznacznie i odpychająco, więc sprawdziły się idealnie. A przynajmniej równie dobrze jak każdy inny komentarz, ponieważ to, co powiedziałem, nie miało żadnego znaczenia dla Malka. Moje szanse na śmierć podczas tej podróży właśnie zwiększyły się z niezłych na doskonałe.

Bóg dnia dzisiejszego

Pierwsze kilka dni nie było takie złe. Popioły spaliły się na popiół. Nadeszły Dożynki, a wraz z nimi jesień. Jasny księżyc w pełni sunął wysoko nad morzem, a Norrigal śpiewała mu ponad relingiem.

Załoga przeważnie zostawiała nas w spokoju, tylko od czasu do czasu proponowali nam resztki z garnka z owsianką i próbowali sprzedać nam wódkę. Spanthianka popijała ze swojej beczki z winem i spoglądała morderczym wzrokiem na każdego, kto jej się przyglądał, skutecznie zniechęcając gapiów. Marynarze szorowali pokład wokół nas i pokrzykiwali ponad naszymi głowami. Drugiego dnia Dożynek zerwał się wiatr i Suepka zaczęła podskakiwać na falach, kołysać się, a czasami nawet płynąć bokiem, przez co Norrigal i ja tak mocno chorowaliśmy, że bolały nas żołądki. Jęczyliśmy jak na łożu śmierci i kurczowo ściskaliśmy w dłoniach wszelkie naczynia, które mogły przyjąć nasze dary. Ja miałem tylko kapelusz. Kiedy Norrigal niemal napełniła dzban spożytymi godzinę wcześniej owsianką i wódką, otarła nadgarstkiem załamane oczy i popatrzyła na mnie.

- Twoje zaklęcie chroniące przed chorobą morską nie działa – poskarżyłem się.
- Bardzo jesteś spostrzegawczy – odparła, wypluwając własne wilgotne włosy. – Nie mogłam znaleźć jednego ze składników.
- Którego?
- Kurkumy.
- Co to, kurwa, jest?
- Keshycka przyprawa – wyjaśniła. – Jest... żółta.

Na szczęście nigdy jej nie próbowałem, ponieważ podejrzewam, że to sama myśl o niej sprawiła, że Norrigal znów zwymiotowała do dzbana. Przyjrzałem się kapeluszowi leżącemu na moich kolanach, zastanawiając się, ile mam czasu, zanim przesiąknie, i czy znajdę w sobie siłę, by opróżnić go do wiadra.

Nie znalazłem.

- Pieprzyć tę gównianą, zakerkaną wyprawę – powiedziałem i zwymiotowałem na sucho. Prawie się popłakałem, ale tego nie zrobiłem, a nawet gdybym to zrobił, to bym się nie przyznał.

Ale to był najgorszy z pierwszych czterech dni.

Pozostałe były znośne.

Byczek spacerował po dolnej ładowni, ale wiedział – on sam albo to, co kryło się w jego wnętrzu – że powinien trzymać się blisko mnie. Na szczęście był na tyle grzeczny, że załatwiał się zawsze w tym samym miejscu, dzięki czemu mogłem po nim sprzątać, zanim ktokolwiek zdążył się poskarżyć.

Malk Na Brannyck każdej nocy schodził do ładowni, żeby przespać sześć godzin na swoim hamaku. Wiem o tym, ponieważ sypiałem w dzień, a w nocy udawałem, że śpię, i go obserwowałem. Był jak deszcz w Pigdenay; wiedziałem, że się go nie pozbędę. Rozważałem powiedzenie o nim Galvie, ale to by oznaczało przyznanie się do ucieczki przed poborem, a tego nie mogłem zrobić. Po prostu nie mogłem.

Za to w tych pierwszych dniach kilka razy rozmawiałem z Norrigal.

- Jakich bogów czcisz? – spytałem pewnego popołudnia, kiedy byliśmy na tyle blisko jakiejś wyspy, by zwabić mewy.
- Wszystkich – odpowiedziała, patrząc na migoczące morze i czyszcząc zęby drzazgą z relingu Suepki.
- Ale których konkretnie?
- „Który pasuje do mego losu...”.
- „Lub mnie zachowa od piekła ciosu” – dodałem, cytując Kellana Na Faltha, galtyjskiego barda słynącego z prostych rymów.

Dokończyliśmy razem:

*Ten będzie bogiem dnia dzisiejszego,
Wczoraj zaś chwaliłem innego.*

Co ciekawe, *Pieśń dla Wszechboga* odmalowuje czarne języki jako bezbożne. Rzadko jakikolwiek mieszkaniec Holtu zastanawia się nad tym, że wiersz rymuje się w jego mowie; to nie jest tłumaczenie. W języku galtyjskim strofy mają podobny rytm i wychwalają poszczególnych galtyjskich bogów, a w szczególności lisa. Holtyjska wersja to stek bzdur, którymi odpowiadamy Holtyjczykom, gdy każą nam mrużyć oczy przed słońcem i nazywać je naszym panem. Galtyjski tytuł nie brzmi *Pieśń dla Wszechboga*, ale *Tren dla Wszechboga*.

Kellan Na Falth został powieszony w Lamnurze podczas Wojen Parweniuszy, a jego dzieła uległy zapomnieniu poza Galtią. Już dawno przydałaby nam się kolejna rebelia, ale nie doczekamy się jej, dopóki wszyscy musimy wspólnie nienawidzić goblina.

– Jasny Księżyc – odpowiedziała po galtyjsku, a jej czarny język zatańczył za zębami. – Ona jest moją panią.

Cael Ilenna.

– To pasuje do wiedzy – przyznałem.

– Tak jak lis do ciebie. Dlaczego spodziewasz się, że rzeczy będą inne, niż na to wyglądają, lub masz je za mniejsze, niż są w istocie? Czy ten świat istnieje tylko po to, by cię bawić lub wzbudzać twoją pogardę?

– Owszem – odparłem, oglądając się na nią i podpierając się na łokciach jak stary hulaka.

– W takim razie to powinno cię zadowolić. – Rzuciła we mnie drzazgą i odeszła.

Szkoda, że nie widziała skutków swojego rzutu. Wykałaczką powinna była spudłować albo odbić się od mojej koszuli, ale zamiast tego trafiła mnie w czoło i się w nie wbiła.

– Dzięki – mruknąłem, bardziej do Fothannona niż do niej, ale on miał w zanadru jeszcze sporo figli.

Piątego dnia podróży, czwartego dnia Dożynek, usłyszałem, jak załoga krzyczy: „*Keleet, keleet!*”.

Założę się, że wiecie, co to oznacza.

Wieloryb był niewielki, ale należał do czerwonych waleni, które są spokrewnione z kanciastołbymi kaszalotami i czarno-białymi orkami. Pod względem rozmiarów plasują się pomiędzy tymi dwoma gatunkami, ale są dwukrotnie bardziej złośliwe niż kanciastołby. Nie mają aż tak dużo obrotu, ale i tak warto na nie zapolować, zwłaszcza że w ich wnętrznościach dwukrotnie częściej niż u innych odmian można znaleźć ambre. Dopadnięcie czerwonego walenia wymaga udziału większej liczby ludzi i w ten oto sposób Galva i ja zostaliśmy wielorybnikami.

Korkala przyszła do naszej przegrody i powiedziała:

– Goście na Suepka Buryey. Przyszedł czas łowów na wieloryba. Jeśli zostanieie tutaj, zapłacicie podwójną stawkę. Jeśli zapolujecie, dostaniecie trochę pieniędzy, lepsze jedzenie, darujemy życie kotu. Część załogi, ci ze stepów Albyedu, chcą zjeść kota. Powiedziałam, że nie, bo to przyjaciel naszych gości, ale ludzie z Albyedu uwielbiają kocie mięso, *lya*? Ale zgodnie z zasadami wielorybnicy mogą trzymać... jak się nazywa małe zwierzę, z którego nie ma pożytku, tylko trzeba je karmić i sprzątać po nim gównem?

– Zwierzątko domowe.

– *Lya*, domowe. Zapolujecie na wieloryba, nie odmówicie, i zgodnie z prawem będziecie mieli zwierzątko domowe. Ale jak odmówicie...

Wzruszyła ramionami, jakby nic jej nie obchodziło, że doprowadzi do podejrzenia gardła kotu, w którym kryje się skrytobójczyni, której śmierć sprowadzi mi na głowę kolejną skrytobójczynię, która zabije mnie w paskudny sposób oraz, co całkiem możliwe, wytruje całą moją rodzinę w Platha Glurris. Zerknąłem na Byczka, który siedział i nie spuszczał ze mnie wzroku. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby kot się uśmiechał, ale ten wyraźnie to robił, chociaż chyba próbował szczerzyć zęby. Myślę, że trudno jest kierować od wewnątrz wyrazem kociego pyska, i mam nadzieję, że nigdy nie będę miał okazji się o tym przekonać.

– Kapitan powiedział... – zaczęła Spanthianka, ale wszedłem jej w słowo:

– Zgoda! Pójdę.

– Dobrze – odrzekła molrovska harpia.

– On może sobie iść, jeśli tak mu zależy na tym *chodadu* kocie, ale ja nigdzie nie pójdę.

– Owszem, pójdzie – zapewniłem.

Galva popatrzyła na mnie jak byk, który widzi, że przekładasz nogę przez jego ogrodzenie.

– Nie – warknęła. – Zapłaciliśmy za transport. Nie zgodziliśmy się pomagać wam w polowaniu na wieloryby. Wasz kapitan powiedział nam wprost, że to nie nasze zajęcie. Mamy ważne sprawy do załatwienia na zachodzie i nie zajmiemy się nimi, jeśli utoniemy, uganiając się za waszym *chodadu* waleniem.

– Ach – odezwała się Korkala. – Wybaczenie, nie wiedziałam, że mamy na pokładzie ispanthiańską księżniczkę. Przepraszam, księżniczko, że nie mamy jedwabnej pościeli ani kadzidła, by stłumić smród pracującej załogi.

Galva stęknęła. Jak zapewne pamiętacie, Spanthianie nie lubią sarkazmu. Ani kłamstw. Gdyby Molrovy nie oddzielało od Ispanthii siedem królestw, ich mieszkańcy powybijaliby się nawzajem wieki temu.

– A czy kapitan wspominał o zasadach dotyczących przewozu wódki, wina i innych trunków? – ciągnęła Korkala.

Spojrzenie Galvy stało się jeszcze surowsze.

– Zgodnie z zasadami przewozu kapitan kontroluje cały ładunek alkoholu. Ma to na celu zapobieżenie buntowi. To nieczęsto się zdarza, ale kapitan, chcąc zadbać o równość i przyjazną atmosferę, może zakazać marynarzom posiadania własnego dobrego wina, gdy pozostali piją brudną wodę. Może jeśli księżniczka nie pomoże przy polowaniu, kiedy dzielna załoga powróci, kapitan uczci ich sukces, dając im drogie wino księżniczki, *lya*?

Dłoń Galvy powoli przesunęła się do pasa. Nie dotknęła miecza, ale umieściła dłoń tak blisko rękojeści, że znaczenie tego gestu było jasne. Na Korkali nie zrobiło to wrażenia.

– Jeśli będziesz bronić wina, okrętowy truciciel może coś do niego dodać, żebyś się pochorowała. Albo gorzej. Księżniczka wygląda na wojowniczkę, może zna się na Calar Bajat. To dobrze! Ispanthiańscy szermierze budzą szacunek. Ale... – Zawiesiła głos i zatrzymała palce niemal za blisko nosa Galvy. – Nawet jeśli księżniczka zabije całą załogę i ocali wino dla siebie... to kto pokieruje okrętem?

Wieloryb

Siedzieliśmy w pierwszej z dwóch łodzi.

Galva dostała wiosło naprzeciwko mojego, na samym przedzie. Mieliśmy za zadanie wiosłować, podczas gdy trójka harpunników zajmowała się krwawą robotą. Dowodził nimi Malk, strażnik z Zimnych Stóp. Oto moje przeklęte szczęście. „Raz!... Raz!... Raz!”, wołał, prawie na mnie plując, a ja ledwo byłem w stanie utrzymać tempo.

– Sterniczka, wyrównaj kurs! Dlaczego prawa strona zostaje w tyle? Aha, już widzę, przy przednim wiosle pracuje jakiś mięczak. Ciągnij mocniej, chłopcze! Jakbyś dzięki temu mógł uniknąć służby!

Galva zerknęła na mnie, ale tylko przewróciłem oczami, jakbym chciał powiedzieć: „Nie słuchaj go”. Zaczepiłem wiosłem o wiosło kobiety siedzącej przede mną, która tak naprawdę siedziała za mną, jeśli brać pod uwagę kierunek płynięcia łodzi, a ona posłała mi untheryjskie przekleństwo. Według niej byłem czymś, co można znaleźć we własnym gównie, a czego się nie zjadło. W Untherze mają na to nazwę.

Szybko zapomnieliśmy o szczepionych wiosłach, kiedy podpłynęliśmy do wieloryba. Byliśmy tak blisko, że widziałem fontannę wody. Stworzenie właśnie zaczynało się orientować, że dzieje się coś nieprzyjemnego, i zapewne zastanawiało się, czy powinno zanurkować, czy walczyć. Czerwone walenie często wybierają walkę. Wieloryb podniósł ogon, ogromną połąć czerwonych mięśni ociekających wodą, ostrzegając karzełki, które chciały rzucić mu wyzwanie, by dwa razy się zastanowiły. Na mnie to podziałało. Zastanowiłem się nawet trzy razy. Zaczęliśmy okrażać stwora. Starłem się utrzymać wiosło, chociaż moje dłonie były pokryte krwawymi odciskami. Zrogowacenia powstałe od strzelania z łuku i wspinaczki nie na wiele się zdały podczas godzinnej walki z wiosłem.

– Fothannonie Lisia Łapo, pomóż swemu dziecku snuć intrygi – mruknąłem pod nosem, choć wiem, jak niebezpieczne jest bezpośrednie zwracanie się do Lisiej Łapy, który zawsze stara się pomagać jak najmniej, a potem wypacza wyniki. Ale patrząc na nieopisanie ciężkiego wieloryba, który za chwilę miał wpaść w szal, byłem gotowy zaryzykować. Prawdziwym bogiem morza jest Mithrenor i miałem nadzieję, że go nie rozgniewam, ale ledwie się znaliśmy, więc mógł mi okazać wyrozumiałość.

Już widziałem oko wieloryba. Nie spodobało mi się to, jak inteligentnie patrzył. Zupełnie jakby mówił: „Nie róbmy tego. Wszyscy będziemy żałować”. To źle zwiastuje, kiedy mamy więcej wspólnego z rybą niż z resztą załogi. Wieloryb szykował się do zanurkowania i miałem nadzieję, że zrobi to szybko.

Nagle jeden z wiosłarzy, pomniejszy mag z Gildii Magików, rzucił na wieloryba jakieś zaklęcie, a ten powoli zamknął wielkie czarne oko. Czar senności, podobny do tego, którego użyłem na tłustym osiłku w lombardzie w Cadoth. Zaraza, ten waleń nigdzie się nie wybiera. Zdrzemnie się i obudzi w samym środku walki.

A była to nie lada walka. Nie jestem w stanie opowiedzieć zbyt wiele o tym, co się działo po pierwszym ciosie, który zadał Malk, próbując przeciąć ciało wieloryba za płetwą i przebić jego serce o rozmiarach owcy. Nie jestem pewien, czy mu się udało, ponieważ te stwory nie zawsze szybko umierają i tak było również tym razem. Po chwili rozpętał się chaos, z którego pamiętam bryzgającą morską wodę, splątane wiosła, wirującą łódź, bolesne uderzenie w głowę, jeszcze więcej wody oraz nieziemski, wściekły ryk bestii, która uświadomiła sobie, że nie ocali życia, ale może pomóc swoim pobratymcom, zatapiając łódź pełną zabójców.

Potwór ruszył na nas jak szarżujący dzik. Zdołał wywrócić drugą łódź i wyrzucić z niej marynarzy, którzy unosili się na wodzie z twarzami różowymi od jego krwi. Jedna z ponurych molrovskich harpunniczek z naszej łodzi także wypadła i zakwiczała jak świnia, gdy wieloryb zmiażdżył jej nogi, po czym zniknęła pod powierzchnią, gdzie zabiły ją ból, utrata krwi i morska woda. A potem, niczym zgaszona świeca, bestia opadła z sił. Zwiotczała i bezwładnie unosiła się na falach. Walka dobiegła końca, a ja wciąż nie jestem pewien, czy wygrał lepszy.

Kraken

Przede wszystkim musieliśmy podnieść wywróconą łódź, co udało nam się zrobić za pomocą lin, haków i kolejnego zaklęcia rzuconego przez maga-marynarza, którego czary, musiałem to przyznać, chyba były nieco potężniejsze od moich. Ale facet łysiał, więc przynajmniej w tej dziedzinie miałem nad nim przewagę.

Teraz czekało nas trudne i żmudne zadanie doholowania martwego wieloryba do Suepki, która płynęła nam na spotkanie pod wiatr. Ale mieliśmy szczęście, a zarazem pecha, o co postarał się mój podstępny bóg, ponieważ okazało się, że wcale nie musimy dociągać walenia do samego statku. Za chwilę do gry miał dołączyć kolejny uczestnik.

– Raz!... Raz!... Raz! – wołał Malk Na Brannyck, głównie do mnie, jeszcze bardziej wściekły niż na początku, z powodu śmierci harpunniczki, a przecież kiedy wyruszyliśmy, już kipiał gniewem.

Okręt był coraz bliżej, dym bijący z palenisk pod kotłami do wytapiania tłuszczu jeszcze bardziej czernił żagle na bezanmaszcie. Nagle dziób naszej łodzi się uniósł i stanęliśmy – martwy wieloryb nas hamował.

Malk Na Brannyck zawołał:

– *Moch!*

I nie bez powodu.

– Patrzcie! Patrzcie! – powtarzał, mając nadzieję, że jego podejrzenia nie okażą się prawdą. Musiał wykrzyknąć pewne słowo, ale nie mógł wywołać fałszywego alarmu. Musiał mieć pewność. – Patrzcie, marynarze, patrzcie!

Wszyscy umilkli i słyhać było tylko wodę, która uderzała o burty i bulgotała.

– Macka! – zawołała kobieta z drugiej łodzi, wskazując na czarny, błyszczący walec pokryty przyssawkami, który owinał się wokół ogona czerwonego walenia.

Macka szarpnęła go, a my poleciliśmy do tyłu, choć i tak wszyscy byliśmy już zwrócenii w tę stronę.

– *Moch!* – powiedziałem, po czym dodałem, zupełnie jakby moi kompani przy wiosłach potrzebowali tłumaczenia: – Zaraza! Zaraza! Co to takiego, do tuzina kurewskich kurew?

Ale znałem odpowiedź.

Malk właśnie ją wykrzyczał swoim dźwięcznym galtyjskim barytonem:

– Kraken!

Stwór właśnie się nam ukazał, wynurzając się z morza i kierując na nas pojedyncze dziwaczne oko wielkości talerza.

Zrobił to, żeby nas przestraszyć.

Udało mu się.

Jeśli nigdy nie mieliście przyjemności spotkać krakena, to mogę was poinformować, że nie jest on kałamarnicą, co może być mylące, ponieważ większość ludzi nazywa obie te bestie krakenami. Kraken dla kałamarnicy jest tym, czym człowiek dla małpy. Jest większy od niemal wszystkich kałamarnic, mądrzejszy od nich, i zjada kałamarnice na kolację. Mówiąc w skrócie, to władca morza, a gdybyśmy spotkali dojrzałego osobnika, a nie młodzika, nigdy nie poznalibyście mojego imienia.

Kiedy uświadomiłem sobie, że zesrałem się w spodnie, na chwilę zrobiło mi się szkoda Malka. Jasne, to czystej wody drań, ale teraz stanął przed paskudnym wyborem. Czy powinien wypuścić z rąk wieloryba o łbie pełnym białego tłustego złota i uratować swoich marynarzy? A może walczyć z tą zmyślną bestią i rozlewać naszą krew w obronie fortuny, którą holowaliśmy, a za którą każdy kapitan oddałby rękę albo trzy? Malk kochał swoją załogę. Był lojalny. Między innymi dlatego tak mnie nienawidził, ponieważ widział, jak jego przyjaciele giną zamiast mnie. Poza tym

się bał. Wiedziałem, że Malk nie lęka się żadnego człowieka ani wieloryba i radził sobie z goblinami, ale kraken? Niewątpliwie wzbudzi waszą pogardę, że zabrudziłem spodnie, ale dopóki nie zobaczycie jednego z tych stworów z małej łódki na środku morza, lepiej wstrzymajcie się z osądem.

Spanthianka nachyliła się do starej Holtyjki siedzącej przed nią.

- Jak się walczy z krakenem? – spytała.
- Przebija się mózg, żeby go zabić, odcina kończyny, żeby go odpędzić. Żadna z tych rzeczy nie jest łatwa.
- Trudniej go zabić niż wieloryba?
- Zdecydowanie. A on znacznie łatwiej może zabić nas.

Malk obejrzał się w stronę Suepki Buryey, licząc na zgodę na zwolnienie wieloryba, ale kapitan tylko wskazał palcem wielkie czerwone truchło, jasno dając do zrozumienia, że chce je dostać, nawet jeśli zapłacimy za to życiem.

– Podpłynijmy bliżej! – zawołał Malk, a my, niech bogowie mają nas w opiece, chwyciliśmy za wiosła i zbliżyliśmy się do wieloryba oraz istoty, która chciała nam go odebrać. – Ostrza! – rozkazał. – Uważajcie na macki, będą uderzać ze wszystkich stron!

To powiedziawszy, dobył marynarskiej szabli i mocno ciął mackę otaczającą ogon wieloryba. Otworzyła się na niej wielka rana, a potwór puścił wieloryba i cofnął mackę w głąb morza.

Łeb krakena, widoczny tuż pod powierzchnią, wynurzył się gwałtownie i bestia rzuciła się do wody obok naszej łodzi, ciągnąc za sobą ramiona. Były dłuższe od jej ciała i wydawało się, że nie mają końca, gdy kraken pośpiesznie przemieszczał się na nasze tyły, odgradzając nas od okrętu. Mieliśmy wrażenie, że morze się zagotowało, gdy trzy, cztery, pięć macek wspięło się pod niebo, ociekając wodą.

– Trzymajcie się! – ostrzegł Malk.

Nie musiał mi tego mówić. Ścisnąłem wiosło, aż pobiełały mi dłonie.

Macki opadły jak bicze, a my w łodzi krzyknęliśmy jednym głosem. Łódź nie pękła, ale było blisko. Krzyk zmienił się w mieszaninę skowytów i wrzasków, gdy kilkoro wiosłarzy zostało zmasakrowanych przez wielkie kończyny, których sam ciężar łamał kości nóg i karki. Wśród ofiar był tysięcący magik, który uśpił wieloryba. Mieszkanka Untheru, która siedziała niedaleko mnie, wpadła pod jedną z czarnych macek przypominających drzewa i chociaż nie została zmiażdżona, przyssawki przywarły do jej skóry, po czym wyrwały w niej potężne otwory. Wrzasnęła i zerwała się z ławki, łądując na moich nogach i przygniatając mnie swoim rozwrzeszczonym, krwawiącym ciałem. Spanthianka i Malk stanęli ramię w ramię i zaczęli siec opadające ramiona. Udało im się odciąć jedno z nich, ale pozostałe dalej masakrowały wiosłarzy, którzy siedzieli zbyt blisko siebie, by móc wymachiwać bronią, której i tak mieli za mało.

Ogromna macka zaciemniła niebo, opadając w moją stronę, a ja schowałem się pod kobietę z Untheru, która przestała wrzeszczeć. Zakwiczalem, kiedy przyssawki chwyciły jej ciało, podniosły je, a następnie na mnie upuściły. Przez jedną dziwną chwilę przestało mi być zimno, ale to dlatego, że biedna, na wpół oskórowana kobieta wykrwawiła się na mnie. Dobyłem Palthry i czekałem, aż ramię ponownie opadnie. Kiedy to zrobiło, sięgnąłem spod zwłok i zadałem trzy mocne, głębokie cięcia, ale nie mogłem odpędzić myśli, że jestem jak kociak bijący łapą wilka.

Kobieta została porwana w powietrze, a potem ponownie na mnie opadła, pozbawiając mnie tchu. Odgłosy wydawane przez rannych i umierających były potworne. Podobnie jak smród. Ale najgorsza była bezsilność, więc kiedy tylko udało mi się zaczerpnąć powietrza, opuściłem schronienie i spróbowałem stanąć w śliskiej od krwi łodzi.

Walka się przeniosła. Druga łódź podpłynęła do boku morskiej bestii, a harpunnicy próbowali przeszyc jej mózg. Wzięli zamach i trafili w cel, ale harpuny wbiły się za płytko. Stwór pozbył się ich i zaatakował łódź, traktując ją tak samo jak naszą. Suepka Buryey była już na tyle blisko, że załoga mogła skorzystać z balist i tak zrobiła. Wielkie ostre pociski wzbily się w niebo i opadły, rozwijając za sobą liny. Jeden całkowicie spudłował, kolejny wbił się głęboko w potworną rybę i zaczepił się o nią kolcami, a ostatni z chrzęstem przeszył burtę łodzi, wywołując wrzask jakiegoś nieszczęśnika. Kraken był ranny, a Suepka właśnie miała skorzystać z najokrutniejszej broni.

W niebo wyleciał gliniany dzban wielkości ludzkiej głowy i spadł do wody obok stwora, gdzie otworzył się przy wtórze trzasku i rozbłysku, tak jasnego, jakby kawałek słońca znalazł się w morzu. Sądziłem, że kraken zanurkuje i oddali się od ognia, który rozlewał się po powierzchni i już docierał do jego cielska, ale bestia przesunęła macką wzdłuż rozżarzonej liny przywiązanej do harpuna balisty, wyczuwając, skąd nadchodzi zagrożenie. Kraken jeszcze raz zdzielił drugą łódź, a potem sapnął i pomknął pod powierzchnią morza w stronę statku. Rozległy się okrzyki po molrovsku. Potwór szybko zmniejszał dystans. Słyszałem opowieści o krakenach, które potrafiły opleść mackami i wciągnąć w głębinę całe okręty, ale ten osobnik nie miał na to szans; był ponad pięciokrotnie mniejszy od pękatego statku wielorybniczego.

Zamiast tego użył macek i wspiął się na sterburtę, po czym usadowił się na pokładzie, gdzie zmienił się w tajfun chłoszczących ramion, którymi chwycił marynarzy i zrzucił ich do wody. Trudno było zobaczyć, co się dokładnie dzieje, ale jednego nigdy nie zapomnę. Kraken wyrzucił jeden z kotłów do wytapiania tłuszczu i zasypał wrogów rozpalonymi węglami, jakby chciał powiedzieć: „Chcecie mnie spalić, małe syny? Posmakujcie własnego lekarstwa”.

Przeładowano potężne balisty; jedna z nich wystrzeliła, a harpun otarł się o potwora, rozcinając jego skórę, po czym przyspilił niską dziewczynę do bezanmasztu. Lubiłem ją. Nie znała ani słowa po holtyjsku, ale w ładowni opowiadała molrovskie żarty, rozśmieszając innych przed snem. Zanim pozostałe balisty zdążyły wystrzelić, kraken najwyraźniej uznał, że nie zamierza dalej kusić losu.

Potworną macką chwycił największego marynarza, a potem potoczył się jak koło po pokładzie i zanurkował do morza, znikając mi z oczu. Baliśta strzeliła na oślep, marynarze zakrzyknęli coś i zwolnili strzały z łuków, a ludzie wokół mnie jęczeli i wili się na pokładzie.

– Wszyscy, którzy wciąż mogą wiosłować, do mnie! – zawołał Malk.

Druga łódź właśnie tonęła, przedziurawiona przez strzał z balisty i zmiażdżona przez straszliwą rybę. Wypchnęliśmy poległych za burtę, żeby zrobić miejsce dla żywych z drugiej łodzi i ruszyliśmy w stronę Suepki. Galva, pochylona przy swoim wiosle, zobaczyła pokrywającą mnie krew kobiety z Untheru.

– Jesteś ranny? – spytała.

– Nie. Chyba nie.

Jej głos zmienił się w syk.

– Więc gdzie byłeś, kiedy walczyliśmy z tą istotą? Ukryłeś się?

– Nie – odrzekłem. – Po prostu... – Ale nie miałem nic więcej do powiedzenia i czułem gniew kipiący pod jej skórą.

Nasza morska podróż szybko zmieniła się w katastrofę. Kapitan podszedł do relingu i popatrzył w dół na Malka, który zaczerpnął powietrza i odezwał się, nie kryjąc goryczy:

– No dobrze, załoga, dostarczymy kapitanowi jego czerwonego walenia.

Polowanie na Damę

Spośród osiemdziesięciu osób tworzących załogę Suepki jedną zabił wieloryb, a szesnaście kraken. Kolejne dziesięć odniosło zbyt ciężkie rany, by od razu podjąć swoje obowiązki, więc wkrótce zabrakło nam rąk do pracy. Zgłosił się do mnie w tej sprawie sam kapitan.

- Nasz pokładowy magik powiedział, że możesz znać się na czarach. Albo dziewczyna. Czy to prawda?
- Owszem, ale tylko odrobinę – odrzekłem.
- A ona?
- Jeszcze mniej – skłamałem.
- Oto, jak wygląda sytuacja. Jeśli zajmiecie się czarami, będziecie pracowali jak załoga, dostaniecie osobne kwatery i zatrzymacie wino oraz kota.
- Czyli mamy płacić za przywilej pracy, podczas gdy załoga dostaje za nią zapłatę.
- Nie. Płacicie za przywilej podróży na statku w osobnej kajucie, ale teraz musicie także pracować, ponieważ brakuje nam ludzi. Zapłacę wam tyle samo co reszcie załogi, jeśli dobrze się spiszecie. Będziesz dla mnie czarował, kiedy to będę potrzebne?
- Tak.
- Dobrze! W pierwszej kolejności wejdź do łba wieloryba i nabierz wielorybiego wosku do wiadra.
- Zaraz, dlaczego ja?
- Ponieważ kraken zabił tę zabawną dziewczynę, która się tym zajmowała. – Tak naprawdę zabiła ją balista, ale to nie był właściwy moment.
- Poza tym jesteście mały. To dobrze płatna i bardzo przyjemna robota. Będziesz pachniał jak najlepsze perfumy najlepszych kurew w Gallardii.

Nigdy nie byłem w Gallardii, ale wachałem tamtejsze perfumy na dziwkach w Pigdenay i mogę wam powiedzieć, że o ile olbrot nie cuchnie tak bardzo jak inne substancje wydobywane z wieloryba, to nigdy więcej nie chcę mieć z nim do czynienia. Nie po tym, jak byłem nim pokryty od stóp do głów. Zszedłem na cielsko wieloryba przywiązane przy burcie statku i za pomocą wiadra zacząłem wybierać białą gęstą maź z łba bestii, wpełzając do kościstej części walenia, która była za twarda, żeby ją przepiłować, dlatego do środka posyłano drobnych ludzi albo dzieci. Załoga liczyła, że sprzeda olbrot w Molrovie, gdyż nie ma lepszego smaru do kół zębatach, a także, po odpowiednim uperfumowaniu, do sztuk miłosnych. Podczas pracy usłyszałem wiwaty ekipy zbierającej tłuszcz, ponieważ jedna z kobiet znalazła w trzewiach wieloryba wielką czarną bryłę ambry, która jest warta dziesięć sówek za uncję. Dzięki olbrotowi i ambrze z jednego wieloryba kapitan mógł zatrudnić nowych członków załogi na miejsce tych, których zabił kraken.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Kiedy wciągnięto na pokład długie pasy tłuszczu, trzeba było go pociąć, czym zajęły się Spanthianka i Norrigal, wykorzystując do tego duże łopaty w kształcie półksiężyców i starając się nie stracić przy tym palców u nóg. Cięży olbrzymie zwały tłuszczu na kawałki nadające się do obróbki. Potem zabrano się za wytapianie, a zawartość miedzianych kotłów bulgotała całymi dniami. Okręt pokrywała warstwa najbardziej cuchnącego tłuszczu, jaki można sobie wyobrazić.

Po pierwszym dniu usiadłem obok Norrigal, która wyciskała olej z włosów z miną, którą zapewne ja też miałem.

Byłem pewien, że już po mnie, a samo wspomnienie krakena nadal wywołuje u mnie dreszcze pomimo wszystkiego, co przeżyłem później.

Wciąż czuję słony smród władcy kałamarnic i nigdy go nie zapomnę, podobnie jak widoku tryskających wodą przyssawek na spodzie grubych jak pień drzewa macek ani krzyków marynarzy, którzy wzywali swoje kochanki i matki, podczas gdy potwór zdierał skórę z ich pleców i ciskał ich do słonej wody. Ta jedna przygoda niemal kosztowała mnie życie, i to w imię czego? Wszystko po to, abym mógł podążać za ponurą Spanthianką w głąb krain olbrzymów i dopiero na miejscu dowiedzieć się w jakim celu? Żebym kiedyś mógł kotysać wnuki na kolanach i opowiadać im: „Wiedziecie, że dziadek kiedyś widział krakena? Właśnie tak! Kurwa mać, trzymajcie się stałego lądu”.

Zastanawiałem się, jak by to wyglądało, gdybym podczas kolejnej wizyty w porcie po prostu wskoczył na pokład jakiegoś szybkiego okrętu płynącego bogowie-wiedzą-dokąd i zostawił za sobą cały ten bałagan. Mógłbym udać się tam, gdzie Gildia ma słabsze wpływy. Rubieże były jedynym królestwem na tyle oddalonym, że w ogóle nie wpuszczały do siebie jej przedstawicieli, a powiadano także, że Gildia nie zadomowiła się na rozległej wyspie Axa, która sama się rządziła.

W Dalekich Miastach na południu, ślicznej Istrei i skalistej Beltii, było tak wielu złodziei, że niektórzy z miejscowych Prawych zachowali niezależność. Czy upadły Kpiarz mógłby tam znaleźć zajęcie i przetrwać, nie wzbudzając zainteresowania Problemów, Trosk i Cieni, którzy kiedyś przyprawiali go o drżenie?

Wiedziałem, że to tylko fantazje. Ręce Gildii były tak długie, że nie dało się przed nimi uciec, ani morzem, ani lądem, a poza tym miałem rodzinę.

Ponadto Beltię, podobnie jak sąsiadującą z nią Istreę, obecnie trawiła Uśmiechnięta Zaraza, a tej lepiej unikać.

Popatrzyłem na Norrigal.

Zawsze wyglądała, jakby miała za chwilę się roześmiać, i to mi się w niej podobało. Miałem wrażenie, że kryją się w niej niezliczone tajemnice i pokłady radości, jakby była słodką cebulą o wielu warstwach.

– Masz rodzinę, więdźmo? – spytałem. – Nie licząc twojej słynnej babki ciotecznej?

– Nikogo, o kim chciałabym wspomnieć – odpowiedziała. – Jest kilka osób, w których żyłach płynie ta sama krew, ale żadna nie oddałaby za mnie nawet kropli. Dlaczego pytasz?

– Sam nie wiem. Chyba po prostu chcę usłyszeć coś poza skrzypieniem statku.

– Są gorsze rzeczy od skrzypienia statku – odrzekła, jakby chciała zasugerować, że ja jestem jedną z nich, ale powiedziała to z uśmiechem i wcale tak nie myślała, ponieważ rozmawialiśmy jeszcze przez godzinę.

Opowiedziała mi o łani, z którą się zaprzyjaźniła i którą nauczyła kilku słów, a także o miejscu w Bezśnieżnym Lesie, gdzie mgły wywoływały ciszę, której nie dało się zakłócić nawet krzykiem. Powiedziała mi, że jej pani, Martwe Nogi, zarzekała się, że nienawidzi dzieci, a jednak zaczarowała wełniany kocyk, by pocieszał płaczących malców, i podarowała go młodej żonie w Maeth, która zawsze podczas nowiu zostawiała dla niej kwiaty. Norrigal zdradziła, że nie może się doczekać, kiedy znów podejmie naukę u więdźmy, dla której odłożyła nieco ambry z łupu Suepki. Okazało się, że ambra jest bardzo cenionym składnikiem zaklęć. Jak na ironię musieliśmy przerwać naszą pogawędkę, ponieważ kapitan wezwał mnie, żeby porozmawiać o magii.

Staralem się nie wyglądać na rozczarowanego, że muszę zamienić kształtną buzię Norrigal na wąsatą, ogorzałą od słońca gębę Yevara Boltcha o wielkim nochalu i kanciastej szczęce. Sprowadził mnie przed swoje oblicze, żeby ocenić moją wartość jako magika, skoro jego człowiek utonął.

– Co potrafisz, mały magiku? – spytał. – Czy umiesz zapewniać szczęście myśliwym?

– Tak.

– Wzbudzać wiatr?

– Nie.

– Postawić wywróconą łódź?

– Nie.

– Potrafisz przytwierdzić maszt okrętu do kadłuba? Na razie mamy to załatwione i żaden wiatr ani kamień nie złamie masztu, ale zaklęcie trzeba odnawiać co miesiąc albo dwa.

– On naprawdę to potrafił? To wielkie czary. Jesteś pewien, że to robił?

– A więc... nie?

– Nie.

Otarł dłonią brodę, jakby znajdowało się w niej coś obrzydliwego, i zapewne tak było.

– Jesteś pewien, jeśli chodzi o zapewnianie szczęścia?

Pokiwałem głową. Wiedział, że kłamię, ale nie miał mi tego za złe, a nawet wydawało się, że dzięki temu bardziej mu się spodobałem.

Po kolejnych kilku chwilach rozmowy wreszcie odkrył we mnie coś, co go zaniepokoiło. Miałem skrzypce i potrafiłem nieźle grać. Jedynym skrzypkiem na pokładzie był molrovski harpunnik, który został przegryziony na pół przez wieloryba. A więc zacząłem grać, zwrócony twarzą w stronę kąta kajuty, podczas gdy Yevar Boltch i Korkala oddawali się hałaśliwym seksualnym zapasom. Liznałem nieco molrovskiej mowy, więc zrozumiałem, że ona robiła mu coś nieprzyzwoitego za pomocą swojej pałki z brązową końcówką, a mogłoby to być dla niego znacznie bardziej nieprzyjemne, gdybyśmy nie wieźli ogromnego zapasu światowej sławy środka smarującego.

Kiedy ja spędzałem wieczory na pogrywaniu na skrzypkach przy wtórze najpaskudniejszych stęknień, przekleństw i rozkazów, jakie można usłyszeć na wschód od Molrovy, starając się udawać, że znajduję się w eleganckim domu pełnym magicznych ksiąg i sówek, Spanthianka i Malk Na Brannyck coraz bardziej się ze sobą zaprzyjaźniali. Łączyło ich zamiłowanie do Polowania na Dame, gry karcianej bardzo popularnej wśród żołnierzy, którzy byli zbyt biedni lub sprytni, by grać w Wieże, grę kosztującą wiele pieniędzy, a ostatecznie także krwi. Wspólnie popijali wino Galvy, chociaż ona nie chciała pić jego whiskey. Powiedziała mi – podobnie jak mnie, gdy chciałem ją poczęstować trunkiem z mojej miedzianej piersiówki – że od tego staje się zła. Roześmiała się i odrzekła: „Właśnie o to, kurwa, chodzi”.

Ona też się roześmiała.

Niemal nigdy tego nie robiła.

Rozmawiali o goblinach i koniach, wielkich ślepych ghallach i sposobach na ich zabijanie, a także, czy wam się to podoba, czy nie, o tym, jakim żalosnym tchórzem jest Kinch Na Shannack.

Następne kilka dni było niemal w całości do dupy. Powiedziałbym, że harowałem jak wół, tylko że na polu jest znacznie czystiej i przyjemniej niż na statku wielorybniczym. Chociaż nienawidziłem tej pracy, bałem się jej końca, ponieważ wiedziałem, że wtedy Malk zaatakuje, jeśli miał taki zamiar. Na razie brakowało ludzi i dopóki harowałem razem ze wszystkimi, byłem zbyt cenny, by mnie skrzywdzić. Dlatego się nie obijałem.

Jedynymi jasnymi punktami podróży były chwile spędzane z Norrigal. Kiedy już roztopiono połacie wielorybiego tłuszczu, ona i ja mieliśmy przyjemność pomagać przy szorowaniu pokładu drażniącą nos i oczy mieszanką popiołu i ludzkiego moczu – owszem, sraliśmy na własny rachunek, ale szczaliśmy dla Suepki Buryey – co wymagało wspólnego trudzenia się na kolanach. Może to wariactwo, ale nawet dziś, gdy niespodziewanie poczuję smród starego moczu, ogarnia mnie nostalgiczna tęsknota za tamtą kaleczącą kolana i męczącą plecy robotą, a wszystko dzięki Norrigal. Oczywiście wiedźma była cała ubrudzona tłuszczem i cuchnęła, ale to mi nie przeszkadzało, ponieważ wątpiłem, by jakakolwiek kobieta zadarła spódnicę, gdybym sam pokazał się jej pokryty brudem i bliski płaczu z obrzydzenia.

Opowiadała mi o swoim domu, osadzie niedaleko górskiej doliny w galtyjskim Estholcie, o przeganianiu braci za pomocą zaklęć, które brzmiały jak wycie wilków, albo czarów przyzywających ziemne osy, które żądliły ich po tyłkach. Powiedziała, że w ten sposób próbowała powstrzymać braci przed biciem jej i przewracaniem na ziemię, co przez jakiś czas okazywało się skuteczne, dopóki dranie nie donieśli na nią do strażników barona i Norrigal musiała wyrzec się magii przed mieszkańcami trzech wiosek.

– Nigdy tego nie zapomnę – powiedziała. – Była jesień, drzewa miały jaskrawożółty kolor, a wszyscy, których kiedykolwiek znałam i kochałam, stali naprzeciwko mnie, razem z tłumem nieznanym, i patrzyli na mnie, jakbym była chora, a ich oddechy kłębiły się w powietrzu. Kruki krakały na drzewach. Wtedy zrozumiałam, że kocham magię bardziej niż swoją rodzinę, a magia też kocha mnie bardziej niż oni. „Norrigal Na Galbraeth”, odezwał się holtyjski kapłan Wszechboga, „zostałaś oskarżona o podstępne czary, a jako że nie mamy podstaw, by wątpić w te oskarżenia, musisz porzucić tajemne sztuki do czasu osiągnięcia dorosłości. Czy podporządkujesz się temu wyrokowi, zgodnie z wolą swojej rodziny, zasadami obowiązującymi w wiosce, postanowieniem barona oraz życzeniem króla i odwrócisz się, aż do dziewiętnastego roku swojego życia, od fałszywych korzyści, jakie płyną z nienaturalnych uwarunkowań?”. Magia zawsze wydawała mi się najlepszym sposobem radzenia sobie w tym świecie, a oni domagali się, żebym z niej zrezygnowała – w przeciwnym razie odeślą mnie do kopalni niedaleko miasteczka i nałożą na mojego ojca grzywnę, wpędzając go w jeszcze większą nędzę. Był pasterzem i miał za mało owiec. Dlatego robiłam to, co zawsze robili ludzie obdarzeni talentem do „nienaturalnych uwarunkowań”. Skłamałam. Pozwoliłam, żeby założyli mi żelazne kajdany blokujące magię, ale wkrótce udałam się do miasteczka i zostałam kochanką kowala, który uwolnił mnie z więzów. Kiedy tylko to zrobił, spędziłam z nim obiecaną noc, a następnie udałam się prosto do starego magika, który kiedyś mnie szkolił, i pokornie poprosiłam o możliwość kontynuowania nauki. Staruszek mieszkał nad jeziorem i na co dzień zajmował się rybactwem oraz poskramianiem niedźwiedzi. Śpiewaniem wabił ryby na brzeg i zdradzał podstarzałym mężom zaklęcia usztywniające konar. A chociaż nauczył mnie podstaw magicznych sztuk, brakowało mu odwagi, by przeciwstawić się baronowi i położyć na szali własną licencję. Dlatego w ukryciu ćwiczyłam czary, które już znałam, aż do siedemnastych urodzin, gdy odeszłam z miasteczka i odnalazłam Martwe Nogi.

– To nie mogło być dawno temu.

– Całkiem dawno, ty niewierny pochlebco.

I tak dalej.

Spaliśmy na tyle blisko siebie, że w nocy słyszeliśmy nawzajem swoje oddechy, a Byczek bardzo ją polubił. Energicznie mruczał, kiedy się pojawiała, a kiedyś nawet zeskoczył z mojego hamaka i wspiął się na jej pośladki, gdzie pocieszała go w ciemności. Chociaż nie wiedziałem, co mówi, cieszyła mnie jej czułość. Zupełnie nieświadomie wyobraziłem sobie, że Norrigal przyciska do piersi dziecko, moje dziecko, i do niego przemawia, a wtedy szeroko otworzyłem oczy w ciemności. Myśl o włożeniu orzeszka do łupiny zawsze napełniała mnie grozą, a teraz z zadowoleniem rozmyślałem o tej nieustającej służbie.

– Co się ze mną dzieje, na Lisią, kurwa, łapę? – wyszeptałem w ciemności.

– Słucham? – odezwała się Norrigal.

– Nieważne, nakarm kota.

– Co takiego?

– To znaczy pogłaszcz go. On to lubi.

– Wariat z ciebie – odrzekła i umilkła.

Usłyszałem, jak kot zeskakuje na podłogę i się oddala. Czar przysł.

Pizda tej suki śmierci

Następny dzień był dniem spłacania długów.

Znajdowałem się na pokładzie, a kwatermistrz wręczył mi twarde ciastko, które, jak wszystko na statku, lśniło od wielorybiego tłuszczu. Właśnie się w nie wgrzyłem, mając nadzieję, że tego dnia jeszcze nie stracę przedniego zęba, gdy zobaczyłem, że Malk wbija we mnie wzrok. Galva opierała się o reling i ze zmarszczonym czołem gryzła swoje ciastko, popijając je winem z bukłaka, by nieco zmiękczyć okruchy, które udało jej się odłupać. Widziałem po jej minie, że trunek zaczął kwaśnieć – kupiec, który sprzedał jej beczkę w Pigdenay, skłamał co do świeżości wina, co nie mogło dziwić. Żeglarze, którzy mieli szansę wrócić, dostawali świeże wino, podczas gdy nieznajomi podróżni i osoby odwiedzające miasto przejazdem mogły liczyć na trunek bliski skwaśnienia. Gdyby poprosiła, abym targował się w jej imieniu, zdobyłbym dla niej najśłodszą beczkę, jaką kupiec miał na stanie, i to za okazijną cenę, ale ona uparła się, że załatwi to sama, ponieważ, jako Spanthianka, oczywiście wiedziała wszystko o winie. W każdym razie nie zauważyła, kiedy Malk wykonał ruch.

Spodziewałem się tego.

Kapitan i Korkala zaczęli się sobą nudzić i już nie potrzebowali skrzypka. Wielorybi tłuszcz trafił do beczek, z zębów wyrzeźbiono ozdoby, niemal posprzątało pozostałości po rzezi i wytopie tłuszczu. Wiatr ustał i staliśmy beczynnie z opuszczoną kotwicą, by nie rozbić się o skały niedaleko jałowej wyspy przy południowym skraju Wysp Gunnickich. To była idealna chwila, by pretensje załogi wyszły na jaw, a Malk miał ich sporo.

Kiedy zorientował się, że nie reaguję na jego surowe spojrzenia, odezwał się:

– Gapisz się na mnie, Kinchu Na Shannacku?

– Nie – odrzekłem. – Zastaniasz mi coś, na co się gapię. Mógłbyś się przesunąć?

Kilku marynarzy się roześmiało, co oczywiście nie poprawiło nastroju Malkowi, ale jestem religijnym człowiekiem, a mój mały rudy bóg domaga się niecznych uczynków.

– Zabawny jesteś. Takiego cię pamiętam. Pamiętam, jak sobie z nas zażartowałeś, kiedy zostałeś powołany do wojska, ale to inni poszli na wojnę za ciebie.

– No cóż, wygraliście, prawda? Myślisz, że moje żalosne próby wywijania cepem by wam pomogły?

– Przyznaję, że nie jesteś osiłkiem, ale widziałem, jak silniejsi ode mnie giną, a słabsi od ciebie uchodzą z życiem.

Niski, czarnowłosa Spanthianin o wściekłych oczach, który stał obok niego, ubrany w skórę borsuka, podniósł podbródek, jakby chciał powiedzieć: „Zgadza się z moim przyjacielem, że możesz iść się jebać”. Spanthianie mają talent do niewerbalnej agresji, a ten gość wyglądał na takiego, z którym lepiej nie zadzierać – skóra zapewne oznaczała, że kiedyś sam był Borsukiem, jednym z biednych, szalonych drani, których posyłano do opuszczonych goblinich uli, aby upewnili się, że te rzeczywiście są opuszczone.

– Poza tym twój łuk mógłby mi oszczędzić tego. – Malk pokazał kikut palca. – Albo tego. – Wskazał bliźnię po ugryzieniu na przedramieniu. – Albo nawet mógłbyś uchronić mojego ojca przed podstępem Samnyra Na Gurtha.

– Wtedy jeszcze nie umiałem strzelać z łuku. Trafiłbym twojego tatę przez pomyłkę – odparłem, choć zdawałem sobie sprawę, że to słaba riposta.

Wiedziałem, do czego to zmierza. Rzuciłem okiem na kodeks obowiązujący na pokładzie. Każdy żeglarz mógł wyzwać innego na pojedynek, jeśli był gotów przejąć jego obowiązki w wypadku śmierci. Jeżeli wyzywający sam ginął, jego cały dobytek przechodził na własność kapitana. Gdybym zaczekał, aż Malk mnie wyzwie, mógłbym wybrać broń, ale już nie mogłem znieść jego prowokacji. Obie strony musiały się zgodzić na walkę do pierwszej krwi, w przeciwnym razie toczono walkę na śmierć i życie. Śmierć specjalnie mnie nie przerażała. Poza tym doszedłem do wniosku, że gdyby Malk mnie zabił, nie musiałbym już nigdy więcej mieć do czynienia z Gildią Poborców.

– Może tak, a może nie – rzekł Malk. – Nigdy się nie dowiemy, prawda? Tak jak nie dowiemy się, jak wielu ludzi wpadło w pizdę tej suki śmierci tylko dlatego, że zabrakło jednego żołnierza w naszych szeregach. Widziałem tatuaż na twoim policzku. Uciekłeś do szkoły złodziei, ale nie potrafiłeś dotrzymać słowa nawet tym żmijom, prawda? Teraz byle kmiot w każdym królestwie świata może cię obić po pysku jak zwykłą dziwkę, którą zresztą jesteś, a ty nie możesz podnieść ręki.

Wtedy Byczek, który niespodziewanie pojawił się na pokładzie, zamiauczał i znów niepokojąco się uśmiechnął. Malk go zignorował. Przygotowywał się. Nieważne, co sądzicie o Galtach, nie można nam zarzucić, że ukrywamy uczucia.

– Zwykły złodziej. Włazi przez okna i sztyletuje pod osłoną nocy. Na lądzie tacy jak ty mogą liczyć na ochronę skurwieli z tej strasznej Gildii... – Byczek ponownie zamiauczał – ...ale tutaj władza Mithrenor o rozdwojonym ogonie, a on lubi siłę.

Zobaczyłem, że Galva zaczęła przyglądać się Malkowi z kamienną twarzą. Malk czekał. Chciał, żeby go wyzwiał, aby mógł wybrać broń. Wiedział, że „tacy jak ja” często zabójczo skutecznie posługują się małymi ostrzami, więc nie chciał niepotrzebnie dawać mi przewagi. Mogłem wybrać nóż przeciwko jego włóczni albo szabli, ale tylko głupiec dawałby wyszkolonemu wojownikowi taką przewagę zasięgu. Co on by wybrał? Oczywiście włócznię, jak przystało na członka Zimnych Stóp – od dzieciństwa pod okiem ojca ćwiczył walkę drągami i zaostrzonymi kijami. Gdyby nie chciał sprawiać wrażenia, że ma zbyt dużą przewagę – w końcu pojedynki to teatr, a jakość przedstawienia wpływa na reputację – mógłby puścić oko do swoich nowych kompanów i wybrać marynarską szablę, zamierzając zdominować mnie siłą mięśni. Ale najpierw musiał mnie jeszcze bardziej sprowokować, abym go wyzwiał lub zaatakował. Dlatego szukał drażliwych punktów.

– Co by powiedział twój ojciec, gdyby zobaczył, jak nisko upadłeś? Jeżeli rzeczywiście był twoim ojcem, ponieważ sprawiał wrażenie honorowego człowieka.

– Był honorowy – odrzekłem. – Ale twój komentarz sugeruje coś przeciwnego wobec mojej matki. Chciałbyś wiedzieć, co by powiedział mój tata? Powiedziałyby: „Jakikolwiek błędy popełniłeś, synu, nie pozwól, by ktokolwiek nazywał cię tchórzem”. Powiedziałyby jeszcze: „Jakkolwiek nędzną kolację stawiasz na stole, nie pozwól, by ktokolwiek obrażał twoją rodzinę”. Zrobiłeś jedno i drugie, Malku Na Brannycku i zapłacisz za to krwią.

Byłem lepszym wojownikiem, niż podejrzewał Malk, ale nie byłem pewien, czy zdołałbym wygrać z nim pojedynek na szable – to broń dla silnych i wysokich mężczyzn, a ja do takich nie należę. A gdyby wybrał włócznię, równie dobrze mógłbym od razu się na nią nadziać i zaoszczędzić wszystkim kłopotu.

Ale.

Patrzyłem na Galwę, ponieważ jej wyraz twarzy uległ zmianie.

Kąciki jej ust powędrowały do dołu, a brwi uniosły się z uznaniem, co już wielokrotnie u niej widziałem. Nawet lekko pokiwała głową, oceniając mnie nie jako wojownika, ale jako mężczyznę.

– Czy to oficjalne wyzwanie? – spytał Malk.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Spanthianka weszła mi w słowo.

– Oficjalnie wyzywam cię na pojedynek, Malku Na Brannycku. Walczmy na śmierć i życie bronią twojego wyboru.

Niemal parsknąłem śmiechem. Nie mogłem sobie na to pozwolić, ponieważ ludzie pomyśleliby, że śmieję się z radości, gdyż ocaliłem skórę, ale tak naprawdę rozbawiło mnie to, że Spanthianie w ogóle nie potrafią wymawiać galtyjskich imion. „Malluk Na Branik” sprawiał wrażenie bardzo zbitego z tropu tym, że sprawy tak się skomplikowały. Nie mógł mnie wyzwąć, nie odpowiadając Galvie. Ale najpierw miał prawo poprosić o wyjaśnienie.

– Jak to? – spytał. – Jakie masz do mnie pretensje?

– Z dumą dzielę pokład z kimś, kto również walczył na południu, i lubię grać z tobą w karty, ale ten człowiek jest moim kompanem i czeka nas ważne zadanie, ważniejsze niż moja sympatia dla ciebie. Nie chciałabym mu pomagać, gdyby był tchórzem, nad czym zaczynałam się zastanawiać, ale jego gotowość do walki na śmierć i życie z silniejszym przeciwnikiem mnie przekonała.

– Ten mały fiut wiedział, że mu pomożesz.

– Nie, nie wiedział, ale i tak postąpił właściwie. Należy zapłacić krwią za obrażenie czyjejś rodziny, a ty, niestety, to zrobiłeś. Ale nawet gdybym nie znała tego człowieka, i tak bym cię wyzwiała, ponieważ obraziłeś Śmierć, która jest moją najpiękniejszą i najbardziej pogodną panią.

Praktyczne zastosowanie trucizn

Zdecydowali się na włócznię Malka przeciwko pogromcy byków Spanthianki – można wybrać mniejszą broń niż wyzwana strona, ale nie większą – a ja byłem autentycznie zaintrygowany, kto wygra. Zimne Stopy potrafiły wywijać włóczniami z osłepiającą szybkością, na zmianę tłukąc drzewcem, podcinając i dźgając w wątrobę. Malk był potężniejszy i silniejszy, ale czy mógł się mierzyć z ispanthiańską ptaszniczką od dzieciństwa szkoloną w sztuce Calar Bajat? Zgodnie z kodeksem najwcześniejszym możliwym terminem pojedynku był kolejny poranek, dzięki czemu obie strony mogły przemyśleć swoją głupotę, a ja byłem pewien, że nikt z nas nie zmruży oka, może oprócz Galvy.

Miałem rację.

Kilkoro przyjaźniejszych członków załogi podeszło do Galvy, gdy piła wino na pokładzie, patrząc na księżyc. Kilka osób życzyło jej szczęścia. Kilka przyznało się do niechęci wobec Malka. Spanthianin w skórze borsuka nawet zaśpiewał razem z Galwą pieśń do Dalgathy, Chuderlaczki, Pani Śmierci. Potem razem wzniesli toast za zdrowie infantki Mireyi, a z perspektywy czasu jestem pewien, że to ten zdradziecki drań ją otruił.

Kiedy nasza Spanthianka dołączyła do mnie i Norrigal, trzymała się za głowę.

– Boli cię głowa? – spytałem.

Wzruszyła ramionami, co w języku Galvy oznaczało: „Tak, bardzo”. Powinienem być mieć ją na oku, nie tylko ze względu na nią, ale także dlatego, że zależało od niej życie moje i zapewne także Norrigal.

Natychmiast domyśliłem się, co się stało, ale odkrycie, co znalazło się w jej ciele i jak możemy jej pomóc, nie było takie proste. Norrigal dysponowała niemałym arsenałem mikstur i ziół, ale brakowało jej praktyki z truciznami. Posadziłem Galwę na podłodze, usiadłem przy jej boku, a Norrigal zajęła miejsce po przeciwnej stronie i otworzyła swoją torbę, żeby sprawdzić, czy ma w niej coś, co mogłoby pomóc Spanthiance.

Byczek usiadł za nią, tak że ledwie go widziałem, i próbował wyglądać nonszalancko, liżąc łapę. Norrigal poprosiła Galwę, żeby powiedziała, co dokładnie czuje – rozdzierający ból głowy i senność – a ja spytałem, kto się do niej zbliżał. Trucizna została podana niedawno i wyglądało na to, że nie należy do silnych, co działało na naszą korzyść.

– Myślisz, że powinniśmy ją zmusić do wymiotów? – spytałem Norrigal.

– Skąd mam wiedzieć, u diabła?

Kot pokiwał łebkiem.

– Zmusimy ją do wymiotów – postanowiłem.

Za pomocą jakiegoś paskudnie cuchnącego zioła, które Norrigal dała Galvie do żucia, udało nam się zmusić Spanthiankę do zwymiotowania do jednego z wiader, które pozostało na pokładzie po naszych strasznych pierwszych dniach na morzu. Poczuliśmy ostrą winną woń, a Galva sflaczała w ramionach wiedźmy.

– Zaraza, ona umiera. Czy ona umiera? – spytałem.

– Nie wiem! – odparła Norrigal, z szeroko otwartymi oczami przeszukując swoją skrzynkę z miksturami.

Kot pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Nie umiera”.

Zapewne udało nam się wydobyć z niej wystarczającą część trucizny.

– Więc co się dzieje?

Kot złożył łapki na podłodze, ziewnął i oparł na nich głowę.

– Chyba po prostu śpi – powiedziałem. – Ciekawe, jak długo to potrwa.

– Dopóki nie umrzesz. Na pewno właśnie o to chodzi.

Kot podrapał się po szyi.

Wpatrywałem się w niego bez zrozumienia.

Norrigal obejrzała się, żeby sprawdzić, na co patrzę, a wtedy kot odwrócił głowę.

– Co jest takiego ciekawego w tym kocie, że patrzysz na niego, a nie na swoją otrutą przyjaciółkę?

– Nic – odrzekłem.

Kot nieco się przybliżył i ponownie podrapał po szyi, tym razem przesadnie powoli, dzięki czemu zrozumiałem, że liczy.

– Dwanaście.

– Co dwanaście?

– Godzin?

Kot stanowczo przytaknął.

– Godzin – powtórzyłem. – Będzie spała przez dwanaście godzin. Słyszałem o tej truciznie.

– Jak się nazywa?

Popatrzyłem na kota, a on posłał mi spojrzenie, które mogło oznaczać: „Co mam zrobić, przeliterować?”.

Norrigal położyła Spanthiankę i wsunęła jej pod głowę zwinięty wełniany koc. Kot się oddalił, powąchał torbę Norrigal, a potem położył łapkę na fiolce z mlecznym białym płynem. Natychmiast ją cofnął, gdy dziewczyna się obejrzała.

– Kocie, wynoś się stamtąd! – zawołała i odpędziła go, a on na nią syknął – jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby syczał – po czym się wycofał.

Odszedł nieco dalej i usiadł zwrócony do nas plecami, zupełnie jak kot.

– Spróbuj tego – powiedziałem, biorąc do ręki wskazaną fiolkę.

– Księżycowe ziele? Jesteś pewien? To na kobiece bóle.

– Dobrze. Daj jej dużą dawkę.

Tak zrobiła, a potem otarła kącik ust Galvy swoją spódnicą.

– To ją obudzi? – spytała.

Byczek pokręcił głową, wciąż odwrócony do nas tyłem.

– Nie.

– A jak na nią wpłynie?

Kot polizał się po intymnych częściach ciała.

– Spraw, że poczuje się lepiej.

– Ale jej nie obudzi?

– Nie.

– Więc co zrobisz?

Byczek położył się na ziemi z wyprostowanymi łapami, udając martwego.

– Dokładnie to, czego chcą bogowie. Będę miał przejebane.

– *Chodadu* – mruknęła Spanthianka przez sen i zachrapała.

– Na to wygląda – przyznała Norrigal.

Godzinę później Malk zszedł po schodach do ładowni z niewielkim tłumem gapiów i oficjalnie wyzwał mnie na pojedynek. Nie chciał przegapić okazji. Sądził, że wybiorę sztylet, ale postanowiłem, że zmierzymy się rozebrani od pasa w górę i nieuzbrojeni.

– Naprawdę? – zdziwił się.

– Naprawdę.

– To zaskakujące ze strony takiego drobnego człowieka jak ty – stwierdził. – Wiesz, że nie będziemy tylko boksować. Walczymy na śmierć i życie, tak?

Ispanthiański Borsuk stał w uradowanym tłumie za plecami Malka. Ispanthiański wioślarz, który śpiewał z Galwą pieśń ku czci Dalgathy. Z pewnością to on ją otruł.

– Nie powinno cię to dziwić – odparłem. – Walka na sztylety skończyłaby się zbyt szybko. W ten sposób dodatkowo będę mógł cię wydymać.

Pokiwał głową.

– Proszę bardzo, ciesz się swoimi sprośnościami. To już nie potrwa długo.

Zaczął odchodzić, ale obejrzał się, jak mają w zwyczaju bardzo rozgniewani ludzie, którzy postanawiają powiedzieć jeszcze jedną paskudną rzecz lub wyrzucić jeszcze jedną krzywdę. Zanim Byczek zdążył zareagować, Malk chwycił go za kark i wspiał się po schodach. Kot zaczął się krztusić, ale pod moim łóżkiem potrzebne było kilka kaszlnięć, by ze zwierzaka wyszła skrytobójczyni, więc tym razem wątpiłem, czy uda jej się to zrobić. Ruszyłem za Malkiem, po drodze chwytając Palthre, ale tuzin marynarzy dobył mieczy oraz toporów i zagroził mi drogę. Wielu się uśmiechało. Mieli nadzieję, że to zrobię. Norrigal chwyciła mnie za rękę.

– Daj spokój, Kinch! To tylko kot!

– Wcale nie – odparłem, ale przestałem się szarpać.

Zresztą od początku robiłem to na pół gwizdka. Sytuacja była beznadziejna. Dranie wyszli na pokład.

Z góry dobiegły mnie wiwaty.

– Pływaj, pływaj! – skandowali ludzie.

Położyłem się i wbiłem wzrok w sufit ładowni, próbując skupiać się na poszczególnych gwoździach, żałując, że ładownia okrętu będzie moim ostatnim domem. Chociaż mógłbym spędzić ostatnie godziny w gorszym towarzystwie.

Norrigal wzięła mnie za rękę i ją ścisnęła, podczas gdy na pokładzie znów rozległy się śmiechy i ktoś zaczął grać na bębnie i flecie.

– Zaraza, ale jesteś brzydka – powiedziałem, mając na myśli coś przeciwnego.

– Tak, ty też – odrzekła.

Potem mnie pocałowała.

Ząb winorośli

Świt nie był zbyt efektowny, głównie przez chmury. Nie dało się wskazać, kiedy tak naprawdę weszło słońce. Podjęcie decyzji o walce bez koszuli przyszło mi łatwo, kiedy byłem podniecony i ubrany w skóry, ale teraz widziałem, że w tym zapomnianym przez bogów miejscu jest tak zimno, że cały będę dygotał. Skoro miałem umrzeć, a trudno było temu zaradzić, nie chciałem, by stało się to w sposób, który potwierdzi legendy o moim tchórzostwie.

– Norrigal – odezwał się, a ona zwróciła w moją stronę twarz, tę samą, którą przez całą noc zasypywałem gorącymi, wilgotnymi pocałunkami, skoro i tak nie mogliśmy zasnąć. – Nie masz jakiegoś środka powstrzymującego dygotanie?

– Mam, ale on by cię spowolnił.

– W takim razie dziękuję.

Malk bez koszuli wcale nie wyglądał bardziej zachęcająco, niż Malk w koszuli napchanej mięśniami. Wciąż wierzyłem, że Spanthianka pokonałaby go w pojedynku z użyciem broni, ale podejrzewałem, że w walce wręcz nie poradziłaby sobie lepiej ode mnie. Niech szybkość będzie ze mną. Niech szczęście będzie ze mną. Pozwól mi okpić tego drania. Owinąłem pięści paskami skóry, żeby utrzymać kości na miejscu, ale uznałbym się za prawdziwego szczęściarza, gdyby to starcie wytrzymały kości w mojej głowie.

– Co powiesz, kłaku? – odezwał się Malk, radosny jak każdy mężczyzna, który za chwilę ma spróbować sił w swojej ulubionej dyscyplinie. – Możemy uznać, że już nastał świt?

– Skoro prędzej zobaczymy księżyc niż słońce, to tak. Świt. Bierzmy się do roboty.

Pożegnałem się ze Spanthianką, która skinęła głową i poruszyła ustami, chociaż nie miałem pojęcia, czy mówi na jawie, czy we śnie. Tak czy inaczej, miała stanąć na nogi dopiero za kilka godzin, kiedy z pewnością będzie po wszystkim.

Puściłem oko do Norrigal, a ona pomachała mi ze smutkiem. Pokłady niedaleko grotmasztu opustoszały, a załoga stała ponad nami na dziobowym i rufowym kasztelu. Kapitan Boltch siedział na czymś w rodzaju tronu z Korkalą u boku. Cała ta sprawa nie interesowała go w najmniejszym stopniu z punktu widzenia dyscypliny, ale najwyraźniej traktował ją jako doskonałą rozrywkę. Robił zakłady, tak jak reszta załogi. Nieliczne osoby stawiały na mnie, skuszone korzystnym kursem, który wynosił bodajże dwanaście do jednego. Moim zdaniem nie stałem na aż tak straconej pozycji, ale z pewnością nie nazwałbym tego wyrównaną walką.

Kapitan wziął z rąk Korkali małą pięść z brązu – zmarszczyłem nos na myśl o tym, jakie przygody miał ten przedmiot, gdy przygrywałem na skrzypcach – i ją uniósł. Kiedy pięść opadnie, rozpocznie się bicie i duszenie. Chwila, gdy pałka znajdowała się w górze, była całkiem przyjemna. Szczęśliwy człowiek, który potrafi rozbić namiot i żyć w dolinie o szerokości trzech uderzeń serca. Usłyszałem krzyk mewy oraz chlupot i szum wody uderzającej o burtę. Ta chwila nie była taka zła.

Pałka opadła.

Pół godziny później wciąż żyłem, ale byłem w piekle, targany wyczerpaniem i mdłościami. Trzymałem Malka od tyłu, obejmując go nogami w pasie, i przyciskałem się tak do niego przez niemal całe długie, nużące starcie. Ten styl walki nazywał się *li denchēct di ljan*, czyli ząb winorośli, albo po prostu winorośl, i pochodził z Gallardii. Znają tam najskuteczniejsze sztuki walki wręcz na świecie, a ząb winorośli był najbardziej użyteczny. Co prawda nie wyglądał zbyt efektownie. Żadnych pięknych kopnięć ani zapierających dech w piersi rzutów. Tylko skrupulatne poszukiwanie tego, z czym ciało najgorzej sobie radzi, a potem zmuszenie do tego ciała przeciwnika.

Oczywiście uczą ząb winorośli w Niskiej Szkole – złodzieje przepadają za tą sztuką walki, tak jak żołnierze za boksem, a marynarze za dymaniem w tyłek. To najlepszy sposób dla drobnego chłopaka albo dziewczyny, by nie dać się zabić komuś potężniejszemu, a złodzieje często są drobni. A zatem zmagaliśmy się z przyływami gorąca i zimna, oblewałem się lodowatym potem, miałem opuchnięte lewe oko, obluzowany ząb

i zapewne złamane żebro, ale wciąż żyłem, a mój rywal zaczynał się męczyć. Wielokrotnie wymierzał mi niecelne kopniaki, trafiał mnie pięścią bez zamachu i uderzał głową pod nieodpowiednim kątem, ale zrobił mi krzywdę tylko dwukrotnie, i to nie pięściami. Dwa razy zdołał wstać ze mną na plecach i rzucił się na pokład, a ja przyjąłem na siebie całą siłę uderzenia. Ja z kolei złamałem mu mały palec u ręki, obitem uszy otwartymi dłońmi i kilka razy dźgnąłem go w oczy kciukiem. A jednak wciąż walczyliśmy, choć czułem ogień w mięśniach i ostrza w płucach, szlachetne drzewo i tchórzliwa gówniana winorośl. Nadal nie było zwycięzcy. Załodze to się nie podobało.

- Będziesz z nim walczył czy spółkował?
- Walcz jak mężczyzna!
- Kapitanie, przerwij to, rozdziel ich!
- To czary, dobrze wiecie, że on zna magię!
- Tchórz!
- Tchórz!
- Krętacz!

Takie okrzyki rozlegały się w holtyjskiej mowie. Obelgi po molrowsku, untheryjsku i ispanthiańsku były gorsze. Ale buczenie nie ma narodowości. Niezadowolony tłum marynarzy buczał, wył i szemrał, chociaż muszę przyznać, że na początku reakcje były ostrzejsze, a teraz ludzie przywykli do mojej taktyki. Jeszcze niedawno rzucali we mnie różnymi przedmiotami, co mnie niepokoiło. Jak dotąd były to tylko korki od butelek i kawałki wielorybiej kości oraz czyjaś brudna pończocha. Ale wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, zanim coś drewnianego albo metalowego trafi mnie na tyle mocno, że mnie ogłuszy i zmusi do poluzowania chwytu.

Malk ponownie próbował wstać, śliniąc się na moją rękę i dysząc, jakby potrzebował położnej. Wywijałem nogami i w miarę możliwości objąłem mu kolanami nerki, ponieważ wiedziałem, że kiedy wstanie, rzuci się z całych sił plecami na twarde pokład. Dźwignął się już na jedno kolano i jedną dłoń szarpał moją rękę, a drugą bronił swojej szyi przed duszeniem. Chociaż jego podbródek tkwił, mam nadzieję, że boleśnie, pod moją rękę, był w stanie mówić. Sam nie wiem, jak udawało mu się zaczerpnąć tchu, w każdym razie zaczął mnie obrażać.

- Powinienem być... wiedzieć... że będziesz tak walczył... Jak goblin... bez honoru... nigdy go nie miałeś.
- Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej – odparłem.
- Tchórz.

Winny.

- Krętacz.

W końcu wykręciłem się od poboru. Winny.

- Pieprzony kłacz.

To oznaczało goblina. Wiedziałem, co miał na myśli, ale byłem obolały, zmęczony i wściekły, ponieważ nie skorzystałem z wielu okazji, by go ugryźć. Wielokrotnie mogłem pozbawić go nosa, ucha albo kawałka szyi. Więc uznałem, że sobie na to zasłużył, i go ugryzłem. Z całych sił. Wrzasnął, jeszcze bardziej mnie obślinił i w odpowiedzi również wbił zęby w moją rękę.

Z szarości wyleciał kołek do mocowania lin i trafił mnie w kącik oka. Nie miałem pretensji do tego, kto go rzucił. Zachowywaliśmy się niegodnie. Popatrzyłem w tamtym kierunku, sprawdzając, czy nie nadlatują kolejne pociski, ale miałem opuchnięte oko i niczego nie widziałem. Zerknąłem w przeciwnym kierunku i zobaczyłem Norrigal. U jej boku stała zamroczona, ledwo trzymająca się na nogach Spanthianka, zaciskając ręce na lasce z końskim łbem, którą dostała od wiedźmy. Powinienem być wiedzieć, że wybranka Chuderlaczki szybko dojdzie do siebie – Śmierć nie chciała, by miecz Galvy przestał karmić jej królestwo. Ale Spanthianka nie mogła wtrącić się do naszej walki, zresztą wcale tego nie chciałem. Straciłaby honor, a załoga ugotowałaby nas i pożarła.

Kiedy ugryzłem Malka po raz trzeci, powinien był mi podziękować, ponieważ przyptyw bólu dał mu siłę, by wstać. Wsparł się na chwiejnej nodze i rzucił mnie ze swoich pleców, a ja upadłem na pokład i potoczyłem się w bok jak konar drzewa. Nagle on także runął i przeturlał się po ziemi, a ktoś inny z wrzaskiem spadł z kasztelu. Wszyscy zaczęli krzyczeć. Wydawało się, że morze jest nachylone pod niewłaściwym kątem. A potem ją zobaczyłem. Mackę.

Kraken wrócił.

Świnia w kąpeli

To ciekawe, jak atak potwora morskiego nagle odwraca uwagę wszystkich od pojedynku. Ja z pewnością straciłem entuzjazm. Chwyliłem Norrigal za łokieć i razem pokuśtykaliśmy na skraj głównego pokładu, jak najdalej od miejsca, w którym stwór wspinał się ku dziobowemu kasztelowi, gdzie znajdowały się balisty i szalupa. Kapitan Boltch zaczął pokrzykiwać po molrowsku; prawdopodobnie kazał strzelać do potwora, a także obrażał pewnego spanikowanego marynarza, który pobiegł w stronę palenisk.

Kraken dostał się na statek przy wtórze odgłosu przypominającego uderzenie ton wilgotnych mięśni o drewno. Wrzucił naszą kotwicę z powrotem na pokład. Kiedy to zobaczyłem, uświadomiłem sobie, że brzeg znajduje się dalej niż wcześniej – bestia po cichu nas od niego odciągnęła, żeby łatwiej jej było zatopić okręt. Słyszałem, że krakeny są mściwe, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że stwór, którego poparzyliśmy i podziurawiliśmy harpunami, może za nami podążać, żeby zemścić się za doznany ból oraz odebranie wieloryba.

Byłem pewien, że to ten sam osobnik – miał identyczny rozmiar i kolor oraz brakowało mu kawałków tych samych trzech macek, które stracił podczas walki z nami. Ale najbardziej niepokojący nie był jego wygląd, ale spryt i to, jak bardzo nas przypominał inteligentnym podejściem do dzieła zniszczenia. Tym razem nie próbował rozrywać na kawałki dźgających i siekających go ludzików, ale chwycił potężnymi długimi ramionami bom na grotmaszcie i wspiał się jak na drzewo. Balisty wystrzeliły, ale dwie spudłowały, a trzecia trafiła tylko w mackę, przyszpilając ją do masztu.

Kraken odrzucił mackę i zostawił ją na maszcie, po czym wspiał się jeszcze wyżej. Malk stał obok mnie, równie przerażony i oszołomiony jak ja, zapomniawszy, że przed chwilą próbowaliśmy się pozabijać. Kraken był już niemal na szczycie grotmasztu. Malk jeszcze szerzej otworzył oczy, gdy zamiary stwora stały się dla niego jasne. Ja jeszcze nie załapałem. Zszedłem pod pokład, żeby sprawdzić, dokąd poszła Galva, i zobaczyłem, że próbuje przypiąć tarczę do pleców.

– Pomóż mi – poprosiła, a ja to zrobiłem.

Potem pośpiesznie zapiąłem także jej pas z mieczem. Zabrałem torbę ze swoim skromnym dobytkiem, zarzuciłem ją sobie na plecy obok łuku i kołczana, przez chwilę rozważałem zabranie skrzypiec, ale zamiast tego chwyciłem torbę z miksturami należącą do Norrigal.

Jakby na potwierdzenie naszego niewypowiedzianego przekonania, że okręt jest zgubiony, pokład się zakołysał i oszołomiona Spanthianka upadła. Sam również z trudem utrzymałem się na nogach, ponieważ całe ciało miałem potwornie zmęczone. Kiedy wynieśliśmy nasze rzeczy na powierzchnię, statek przechylił się na drugą stronę. Marynarze wrzeszczeli i pokazywali palcami; strzelali z łuków i rzucali włóczniami, ale na próżno. Część strzał zwiślała bezwładnie z żagla, obok miejsc, w których czarniawa krew bestii zaplamiła materiał. Potwór znajdował się już na szczycie grotmasztu i poruszał się na boki, kołysząc okrętem, najpierw łagodnie, żeby nie złamać masztu i nie spaść do morza. Krakeny to straszne istoty. Śledził nas, rozmyślał, w jaki sposób zatopić taki duży statek, i w końcu znalazł rozwiązanie.

Chciał nas wyrzucić.

Wiedziałem, że mu się uda.

Teraz już tylko kapitan i garstka optymistów próbowali strzelać do krakena, który kołysał statkiem ze szczytu masztu. Nazywam ich „optymistami”, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że kapitan wciąż wierzył w możliwość ocalenia swojej pokrytej skorupiakami świnki. Korkała, która nie miała sentymentu do starej łajby, z długim brązowym nożem w dłoni prowadziła trójkę realistów, której udało się przeciąć jedną z grubych lin podtrzymujących maszt, w nadziei że nawet pomimo wzmacniającego zaklęcia starego magika maszt złamie się albo przewróci pod naporem krakena. Lepiej stracić maszt albo dwa, niż się wyrzucić – gdyby cała załoga przeszła na ten koniec pokładu, być może by przeżyli – ale, niestety, potwór zauważył ich, zanim zdążyli przeciąć liny. Złowrogi czarny stwór odłamał kawałek salingu i spuścił go na Korkalę, rozbijając jej głowę

i rozrzucając jej kompanów. Potem wyciągnął macki także w stronę bezanmasztu, nie chcąc, by grotmaszt pękł pod jego pełnym ciężarem, po czym zawisł między nimi, ociekając wodą, jak najpaskudniejsze pranie świata.

Większość członków załogi, którzy byli do tego zdolni, przepchnęła się do ostatniej ocalałej szalupy, w nadziei że zdołają spuścić ją na wodę, zanim Suepka się wywróci, ale byli zbyt zajęci walką między sobą, by cokolwiek zrobić. Nagle Galva, wciąż chora od trucizny, zrobiła coś niespodziewanego i diabelnie sprytnego. Wiedziała, że jest za słaba, by przedrzeć się do szalupy, więc postanowiła skorzystać z innego źródła siły. Stuknęła o pokład laską Martwych Stóp, a ta zmieniła się w ożywionego drewnianego konia, którego dosiadaliśmy przed domem wiedźmy. Wskoczyła na grzbiet wierzchowca, a chociaż ten ślizgał się po rozkołysanym pokładzie, udało jej się dotrzeć zygakiem do tłumu otaczającego łódź, a ja podążyłem za nią, chociaż ledwo trzymałem się na nogach.

Kraken próbujący wyrzucić okręt był najbardziej nieoczekiwanym widokiem, jaki mogła zobaczyć załoga, ale na drugim miejscu z pewnością znajdowała się szarża kawalerii, z którą teraz musieli się zmierzyć marynarze zabijający się nawzajem o dostęp do szalupy. Galva spadła na nich pośród lawiny kamiennych kopyt i drewnianych nóg. Szkap wiedźmy nawet ich kąsała i wkrótce tłum się rozproszył, dzięki czemu Norrigal i ja mogliśmy przepchnąć się do przodu. Galva zsiadła z konia, zmieniła go z powrotem w laskę i dobyte spadła.

Okręt zachwiał się i wszyscy pojechaliśmy po pokładzie jak kufle piwa po barze, oddalając się od szalupy. Chwyliłem żelazny pierścień w połowie długości pokładu i zatrzymałem się, a kiedy okręt przechylił się w drugą stronę, zsunąłem się na tyłku ku łodzi. Wsiadłem do niej w tej samej chwili co dwie inne osoby – Malk oraz Spanthianin, który zapewne otrul Galwę. Ten drugi rzucił się na mnie z nożem, ale zamiast z nim walczyć, powiedziałem:

– Pomóż mi spuścić to cholerstwo na wodę, potem będziesz mógł mnie zabić.

Przemykająca obok nas macka prawie skróciła go o głowę, a kolejne przechylenie statku, które niemal położyło nas na boku i załało pokład wodą, ostatecznie go przekonało. Galva i Norrigal również dotarli do szalupy, razem z jednym z harpunników. Odczepiliśmy naszą łódź i spadliśmy na wodę, podczas gdy Suepka Buryey, choć była silna jak świnia, z kwikiem zanurzyła się w morzu, a jej maszt w końcu pękł. Marynarze zaczęli wrzeszczeć, a paskudny czarny księżę kałamarnic zsunął się do wody razem z nami.

– Do wiosła! Raz! – zawołał Malk, co nas nie zaskoczyło, ponieważ były to jego ulubione słowa, a my zabraliśmy się do wiosłowania.

Przed nami kapitan Boltch, który przytrzymał się kawałka liny, rozpiął kłamrę nasiąkniętej peleryny z futra białego lisa, która próbowała wciągnąć go pod wodę, puścił linę i popłynął w naszą stronę. Harpunnik pomógł mu się wspiąć do łodzi, gdzie Boltch zaczął parskać i kłąć, ale Malk spoliczkował go i rozkazał:

– Bierz wiosło! – A kapitan usłuchał.

Wiosłowaliśmy z całych sił. Mieliśmy wrażenie, że od skalistej wyspy dzieli nas lato, jesień i zmierzch drogi, ale to była nasza jedyna nadzieja. Obejrzałem się na potwora w wodzie, ale nie powinienem był tego robić, ponieważ pod wpływem tego, co zobaczyłem, prawie zsiadłem się w spodnie. No dobrze, skłamałem. Naprawdę się zsiadłem. Kraken unosił się niemalże spokojnie pośród szczątków okrętu i zagarniał moich byłych kompanów w stronę paskudnego pyska przypominającego dziób, gdzie powstało coś w rodzaju bulgoczącego krwawego wiru. Nie sądziłem, że zostało mi choć trochę siły, a jednak ją znalazłem i zacząłem wiosłować jeszcze mocniej.

– Mam pomysł – odezwała się Norrigal i odłożyła wiosło, by sięgnąć do swojej torby z miksturami.

– Wiosłuj, dziewczyno! – wrzasnął Malk. – Myślisz, że gdzie ty jesteś, głupia krowo? Wiosłuj!

– Sam jesteś krową – odrzekłem. – To wiedźma, i to potężna. Daj jej pracować!

Nie wiedziałem, jak potężna jest Norrigal, ale jakaś częśćka mnie miała nadzieję, że mówię prawdę.

Krakenowi skończyli się marynarze do jedzenia i, zwróciwszy w naszą stronę ogromne, zbyt rozumnie patrzące oko, zaczął ku nam płynąć.

– Do kurwy nędzy – mruknąłem, żałując, że nie mogę jeszcze bardziej zsikać się w spodnie.

Potwór dotarł do łodzi. Trzy macki uniosły się w niebo, ociekając wodą.

– Do bronii! – krzyknął Malk, ale sam żadnej nie miał.

Dobyłem sztyletu, czując, że równie dobrze mógłbym wywijać swoim przyrodzeniem, oczywiście gdyby się nie skurczyło do granic możliwości. Galva wyjęła miecz, a Norrigal grzebała wśród butelek. Stwór patrzył na nas jak grubas zastanawiający się, którą wisienkę najpierw wrzucić do ust, ale oko w końcu spoczęło na Yevarze Boltchu.

Kapitan dobył noża z brązu i obnażył zęby, a ja zobaczyłem, że oko krakena zmieniło kolor z żółtego na wściekle pomarańczowy. Potwór skupił wzrok na naszym kapitanie. Oczywiście.

Boltch nosił na szyi oprawiony w srebro dziób.

Dziób młodego krakena.

A potwór wiedział, na co patrzy.

Gdyby mógł wrzasnąć, pewnie by to zrobił, ale zamiast tego wściekle zamachał ramionami, wszystkimi poza trzema, które trzymał w powietrzu, a woda wokół nas zagotowała się i zbielała. Uniesione macki, którymi mógł nas kolejno wyłapać albo strzaskać łódź, tak jak po walce z wielorybem, wyciągnęły się w stronę kapitana. Jedna chwyciła go za rękę, druga za głowę, a ostatnia podniosła go za nogi, po czym kraken rozerwał wrzeszczącego Boltcha na strzępy, odrzucił jego głowę jak piłkę i zaczął uderzać o wodę pozostałymi kawałkami.

Staliśmy z szeroko otwartymi ustami, zahipnotyzowani mocą i wściekłością potwora oraz paskudnym końcem Yevara Boltcha. Wszyscy poza Norrigal. Kiedy kraken odrzucił szczątki kapitana, ponownie skupił na nas ogniste spojrzenie i przygotował macki do ataku. Norrigal wyciągnęła

zębami korek z jednej z butelek i rzuciła ją w powietrze. Butelka obróciła się i posypał się z niej srebrzysty proszek. Wiedziałem, co to jest, i zasłoniłem ręką oczy.

– Zasłońcie oczy! – zawołała Norrigal ponieważ, za późno dla pozostałych.

Usłyszałem, jak potwór znów zaczyna się miotać. Tym razem zanurkował z taką siłą, że fala niemal nas pozabijała, rzucając nas na siebie nawzajem. Pozostali jęczeli i klęli, jedno po galtyjsku, dwoje po ispanthiańsku, a ja po chwili zorientowałem się, co ich tak zdenerwowało.

Oślepli.

– Ha! – zawołała Norrigal, wciąż patrząc w miejsce, w którym zabójcza ryba zniknęła w głębinach. – Ha!

– Dobra robota! – powiedziałem. – Genialnie!

– Ha! – powtórzyła.

– Żebyś wiedziała! A teraz wiosłuj, wspaniała wiedźmo! Wy też, ślepe gnojki!

Chwycili za wiosła.

Ale wtedy uznałem, że poradzimy sobie bez jednego wiosłarza.

Norrigal wytrzeszczyła oczy, kiedy zatkałem usta ispanthiańskiemu Borsukowi i dźgnąłem go osiem albo dziewięć razy sztyletem w pierś, zanim zdążył się odezwać. Potem chwyciłem go za podrygujące nogi i wyrzuciłem za burtę. Norrigal zacisnęła usta i pokiwała głową, akceptując surową sprawiedliwość mojego czynu – w końcu ten zdradziecki kutas otruł moją przyjaciółkę, a swoją własną krajankę. Rozważałem także zabicie Malka, ale nie mogłem się na to zdobyć. Mój rodak wiosłował z całych sił, ślepy i lojalny. Jak przez całe swoje życie. Nie wiedziałem, czy ktokolwiek z nas dotrze żywy do nędznej sterty kamieni majaczącej w oddali, ale nie chciałem, żeby moim ostatnim czynem w życiu było bezceremonialne zasztyletowanie człowieka, którego dopiero co przez pół godziny starałem się zabić gołymi rękami.

Nie potrafię tego wyjaśnić, ale wtedy miało to dla mnie sens.

Galtyjska pieśń miłosna

Wyspa, do której dopłynęliśmy, jeśli w ogóle zasługiwała na takie miano, była zwykłą stertą kamieni porośniętych zielonym mchem, na której roiło się od morskiego ptactwa. Na przemierzenie jej pieszko wszere i wzdłuż wystarczyłyby odpowiednio kwadrans i pół godziny, chociaż warto byłoby w tym celu założyć najgorsze buty, ponieważ niemal każdy fragment wyspy był zasrany przez gniazdujące tam ptaki. Niektóre podchodziły i na nas wrzeszczały, inne nas ignorowały i odlatywały, gdy zbyt blisko się zbliżyliśmy, a kilka udawało, że na nas pikuje, gdy mijaliśmy ich gniazda, ale, jak się później okazało, starczyło im odwagi tylko na wydzieranie się, kiedy podkradliśmy im jajka i waliśmy je sobie do gardeł.

Najliczniejsze były maskonury, które mieszkańcy Galtii i Norholtu nazywają „skalnymi kurczakami”. To zabawne, tłuste czarno-białe ptaki o pomarańczowych dziobach i malutkich smutnych oczach. Na wyspie musiało ich być ze dwa tysiące, ale mieszkały tam także rybołówki, mewy i inne ptaki, których nazw nie znam. Fakt, że tak wiele różnych gatunków w zgodzie dzieliło te chłostane wiatrem skały, wskazywał na to, że jesteśmy daleko od lądu i znajdujemy się w jedynym miejscu w zasięgu wielu mil, gdzie można postawić stopę. Pokieroszowana przez macki szalupa, którą schowaliśmy w cieniu pomiędzy dwiema skałami, nie nadawała się do długiej podróży. Innymi słowy, mieliśmy zdrowo przejebane.

Zwłaszcza ja. Przypomniał mi się stary wiersz o kochankach rozdzielonych przez wojnę. Ona pyta, on odpowiada.

*Conath bit tua caeums abaeun?
Jakże powrócisz w rodzinne strony?*

*Sthi clae, sthi ešca, sthi tann nar braeun.
Ziemią, wodą, ogniem lub na skrzydłach wrony.*

Czyli wcale. Pochowają mnie w grobie, wyrzucą za burtę łodzi, spalą na stosie albo zostawią dla padlinożerców. Pasowało to do mojej obecnej sytuacji, choć nie miałem w domu żadnej kochanki, która mogłaby mnie o to pytać. A tutaj nie było wron, które mogłyby mnie zjeść. Tylko pieprzone maskonury.

Powinienem być pójść na wojnę. Gobliny by mnie zabiły, pewnie, ale przynajmniej nie pojechałyby do Platha Glurris, żeby ukarać moich bliskich. Kot utonął, podobnie jak zabójczyni, którą w sobie nosił, a wraz z nimi wszystkie moje nadzieje.

Minęło już jedenaście dni Dożynek, a powinienem dotrzeć do Hrawy przed pierwszym dniem Winnic – czyli za niecałe trzy tygodnie – a tymczasem utknąłem na tej zasranej wyspie na środku nawiedzanego przez krakeny Morza Gunnickiego.

– Pomóż mi, Fothannonie – mruknąłem z ponurą miną, zanim zdołałem się powstrzymać.

Poczułem coś na swojej piersi, a kiedy opuściłem wzrok, zobaczyłem cieką strużkę gówna mewy spływającą od sutka do biodra.

Sam byłem sobie winien – tego drania o nic się nie prosi z ponurą miną.

Kiedy Galva i harpunnik, starzec z Pigdenay imieniem Gormalin, odzyskali wzrok, od razu wdali się w ożywioną dyskusję na temat tego, czy już powinniśmy zacząć pić własne szczyny.

– Nie obchodzi mnie, co zrobi reszta z was – stwierdził Gormalin. – Nie będę czekał, aż zmienię się w szkielet, bo wtedy będzie za późno i równie dobrze mógłbym pić morską wodę i od tego umrzeć. Jeśli zaczniemy od razu pić szczyny, dość długo utrzymamy się przy życiu.

– Życie nie jest aż tyle warte, by płacić za nie każdą cenę – odparła Galva. – Picie własnych szczyn to za wysoka cena.

– Teraz tak mówisz, kobieto. Nadejdzie chwila, gdy pożałujesz swojej dumy.

– Taka chwila nigdy nie nadejdzie.

Minęło pięć uderzeń serca.

– Mogę pożyczyć twój kubek?

– Nie!

– Potem wypłuczę go morską wodą.

– W morzu jest za mało wody.

– Bądź rozsądna.

– Nie mów mi więcej o tej obrzydliwości.

– Jak chcesz.

– Jeśli tkniesz mój kubek, zabiję cię.

– Sama się zabijasz swoją dumą. – Harpunnik wstał i oddalił się o kilka kroków, po czym zdjął jeden z butów.

– Jeśli zamierzasz zachować się jak zwierzę, proszę zrób to poza zasięgiem mojego wzroku.

Gormalin mruknął coś pod nosem i odszedł dalej, chowając się za skupiskiem skał o wysokości dorosłego człowieka.

– Nawet nie sprawdziliśmy, czy na wyspie nie ma słodkiej wody – odezwała się Norrigal.

– Niektórzy ludzie tylko szukają wymówki, żeby postępować ohydnie – odrzekła Galva, wyraźnie zniesmaczona propozycją zhańbienia jej naczynia na wino.

Zacząłem się zastanawiać, czy harpunnik już kiedyś był rozbitkiem i czy zmieniło go to w kanibala. Wiedziałem, że to daleko idący wniosek, ale takie miałem przeczucie. Skoro już mowa o kanibalach, przyjrzałem się śladom zębów, które pozostawiłem na ciele Malka. Nie okaleczyłem go; nie miałem serca do gryzienia kogokolwiek. Wyglądało na to, że Malk właśnie odzyskuje wzrok. Chciałem wstać, ponieważ nie zamierzałem być pierwszym, co zobaczy, ale byłem zbyt zmęczony. Zmrużył oczy i potarł je kciukami, potrząsnął głową i popatrzył na mnie z wysiłkiem. Obojętnie odwzajemniłem jego spojrzenie.

– Zabiłeś Menriga, prawda?

– On był trucicielem?

– Chyba można go tak nazwać.

– W takim razie chyba można powiedzieć, że go zabiłem.

– A dlaczego nie mnie?

– Uznałem, że się przydasz.

Pokiwał głową i przez chwilę na mnie patrzył, a jego błękitne tęczęwki pływały w morzu wściekłego, urażonego rózu.

– Co teraz zrobimy? – spytałem.

– Dobrze wiesz, co należy zrobić.

– Moim zdaniem kodeks okrętu Suepka Buryey został unieważniony. Nie jesteśmy już zobowiązani do stoczenia pojedynku.

– To niczego nie rozwiązuje.

– Nie twierdzą, że jest inaczej. Po prostu proponuję, żebyśmy wstrzymali się z wrogimi działaniami, dopóki nie zejdziemy na ląd w jakimś porządnym kraju.

– Nasz spór nie został zakończony.

– Nasz też – odrzekła Galva, celując palcem w Malka.

– Wal się, ty ispanthiańska... wariatko.

Galva nie musiała opierać dłoni na rękojęści, by pokazać, jak niewiele brakowało. Widać to było na jej twarzy. Malk zapewne ocalał życie, w ostatniej chwili wybierając „wariatkę”, zamiast „suki”, którą miał na końcu języka.

– Wszyscy zachowujecie się jak banda osłów – powiedziała Norrigal. – Kłóćcie się o to, kto kogo zabije, podczas gdy wszyscy możemy umrzeć z głodu i pragnienia. Możemy spędzić rok na tej skale.

– Ona ma rację – zauważyłem, ale zostałem zignorowany.

– Jeśli chcesz zakończenia naszego konfliktu, musisz obiecać, że nie skrzywdzisz mojego towarzysza. No i przeprosić.

– Nigdy nie przeproszam, ani mężczyzn, ani kobiet – odparł Malk.

– I-aa, i-aa – zaryczała Norrigal.

– To nie ja potrzebuję przeprosin – odrzekła Galva.

– O czym ty mówisz, do diabła?

– Proponuję ogłosić starego kapitanem – powiedziała Norrigal. – Potem nasikajcie sobie do butów i wypijcie. To będzie miało więcej sensu niż ta błazenada.

– Malku Na Brannycku, powinienesz przeprosić Śmierć – stwierdziła Galva.

W jej ustach jego nazwisko zabrzmiało „Maluk Na Branik”, a jeśli wiecie, jak się z tego nie śmiać, to dajcie mi znać, bo właśnie chichoczę w kułak.

Malk szerzej otworzył jedno oko.

– Przeprosić pieprzoną Śmierć? Mówisz poważnie?

– Jeszcze nigdy nie byłem tak poważna.

Każdy zabójca potrafi rozpoznać, kiedy rozmawia z innym zabójcą, a także kiedy zanosi się na czyjąś śmierć.

– Dobrze, zwariowane ispanthiańskie ścierwo. Przepraszam, jeśli obraziłem Śmierć, ale ty możesz iść się jebać.

– Może być – oceniła Galva.

Imponujący pokaz wielorybicznej dyplomacji; mój rodak zrobił to, czego od niego wymagała Spanthianka, a jednocześnie zachował twarz. W ten oto sposób zawarliśmy wulgarny rozejm, zamiast zabić Malka, którego ręce mogły nam się jeszcze przydać, gdyby okazało się, że łódź jest naszą jedyną szansą, na co się zanosilo. W taki sposób kręcą się koła cywilizacji. Wtedy pojawił się staruszek, który wymachiwał śmierdzącym butem i ocierał usta rękawem, jakby chciał nam pokazać, że jest od nas mądrzejszy, i być może miał rację.

Rzeczywiście znaleźliśmy słodką wodę; w skalnej misie niedaleko sękatego drzewa zbierała się deszczówka. Była nieco błotnista, czego nie omieszkaliśmy wskazać zażenowany harpunnik, ale Norrigal zapewniła nas, że wystarczy, jeśli ją w czymś zagotujemy. Nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem: „Oczywiście ci spośród nas, którzy wolą pić mocz, nie muszą zmieniać przyzwyczajień”, co sprawiło, że stary Gormalin popatrzył na mnie spode łba, ale wesołe parsknięcie Norrigal wynagrodziło mi to z nawiązką.

Nasze kolejne odkrycie było dziwaczne. Norrigal i ja wyruszyliśmy na zwiady w stronę słońca. Na skałach, w szparze pomiędzy dwoma zielonkawo-szarymi głazami, które zapewniały częściową ochronę przed wiatrem, zauważyłem coś, co wyglądało jak kawałek starego zardzewiałego metalu. Gdyby blade słońce nie oświetliło szczeliny pod odpowiednim kątem, w ogóle bym go nie zauważył. Na czworakach wszedłem między głazy i znalazłem się w niewielkiej jaskini, gdzie zacząłem oczyszczać metal z chwastów i mniejszych kamieni.

Wkrótce moim oczom ukazał się hełm tkwiący na głowie trupa. Tych nam co prawda nie brakowało – od czasu zatonięcia statku morze wyrzuciło na brzeg trzech członków załogi, wśród nich zdradzieckiego Menriga – ale ten człowiek umarł dawno temu. To był brodaty szkielet, tu i ówdzie przystrojony strzałami.

Te wody należały do Gunnlandu, a chociaż dzicy rozbójnicy z północy wciąż byli na tyle liczni, że niepokoiли statki handlowe, dysponowali ledwie cieniem swojej dawnej potęgi. Czytałem, że dawni Gunnijczycy uwielbiali spirale, a ten zapleśniały trup nosił na sobie aż trzy, wytrawione na zardzewiałym stalowym napierśniku. Powinien był zainwestować te pieniądze raczej w dodatkowe trzy cale pancerza, ponieważ strzała, która go trafiła, minęła zbroję o szerokość palca. Nie wiedziałem, czy chciał się tutaj ukryć, czy umrzeć, w każdym razie zrobił jedno i drugie. W sakiewce wciąż miał nieco srebra, od którego go uwolniłem. Zastanawiałem się, kto do niego strzelał. Zapewne inni Gunnijczycy.

Raz na jakiś czas klany północy jednoczyły się pod wodzą jakiegoś wielkiego króla i ruszały na południe, tak jak w czasach, gdy podbiły późniejsze Rubieże, zamieszkaną przez olbrzymów krainę, ku której obecnie się kierowaliśmy. Ale powiadano, że nigdy nie walczyli z ludami południa z taką zaciętością i pasją, z jaką zwracali się przeciwko sobie nawzajem. Każdy, kto chciał rządzić Gunnlandem, najpierw musiał zabić oszałamiającą liczbę pomniejszych władców. Tak naprawdę tytuł gunnickiego króla nie był wielkim wyróżnieniem. Ten brodaty kostuch zapewne był trzecim świętym królem wyspy skalnych kurczaków, niech bogowie opiekują się jego duszą. Ale jedno trzeba było przyznać Gunnijczykom – wystali przeciwko goblinom wszystkie swoje okręty, poważnie nadwerężając przy tym swoją potęgę. Obecnie to Molrova dysponowała najliczniejszą flotą na północy, chociaż Holt szybko rósł w siłę.

– Dzięki za srebro – powiedziałem.

Norrigal zajrzała do jaskini, a jej oczy lśniły w słońcu.

– Kim jest twój przyjaciel? – spytała.

– To mój brat – odpowiedziałem. – Nic dziwnego, że nie pisał. Chcesz go poznać?

– Próbujesz mi skraść całusa – odrzekła, a ja uśmiechnąłem się na wspomnienie naszych gorących pocałunków w ciemności przed moim pojedynkiem.

– Pewnie, że tak – przyznałem. – Może nawet coś więcej.

– Na jego oczach? – spytała, wskazując głową martwego jegomościa.

Zdjąłem koszulę i zarzuciłem ją na głowę truposza, a następnie położyłem się i poślałem Norrigal najśrodszy uśmiech pogromcy dziewic, jaki miałem w swoim arsenale.

Roześmiała się.

– Ale z ciebie cham. Udaje ci się pomimo twoich paskudnych manier, a nie dzięki nim. Liczy się tylko ta słodka głowa, którą nosisz na karku.

– Nie tylko ona – odrzekłem, doskonale wiedząc, co wzbudziło w niej pragnienie. – Chodź tutaj do nas.

– Cham – powtórzyła ze śmiechem. – Możesz dostać najwyżej całusa, i to nie teraz.

– Jeśli znasz jakąś tawernę na plaży, chętnie zapłacę.

– Znam pewną plażę.

Umówiliśmy się na nocne spotkanie na plaży położonej najdalej od obozu, po tym jak harpunnik zacznie chrapać. Zawsze zasypiał jako ostatni, ale chrapał z największym zapalem. Galva mało sypiała, ale nie dbała o to, co robię z dziewczyną. Wbijiała wzrok w ogień i rozmyślała o goblinach, a może wyobrażała sobie, że w końcu umiera i biegnie razem z Chuderlaczką na dalekie plaże zalewane falami czarnego ispanthiańskiego wina.

Czekał mnie długi dzień wypełniony oczekiwaniem na noc i obiecane mi usta Norrigal oraz jej przyjemny oddech. Dziewczyna była sprytna, zapewne nawet bardziej, niż się wydawało. Byłem prawie pewien, że przejrzała moją zawiadłą nonszalancję. Tak naprawdę coraz bardziej lubi-

łem to niedoświadczony wiedźmiątko, a gdyby znała się na rzeczy, błyskawicznie mogłaby owinać mnie sobie wokół dowolnego palca. Im bardziej starałem się z tego nie cieszyć, tym bardziej się cieszyłem.

Skoro już znaleźliśmy wodę, okazało się, że napełnienie żołądka nie jest takie trudne. Zanim znalazłem szczelinę z truposzem, żywiliśmy się surowymi mewimi jajkami, ale teraz mogłem usmażyć je nad ogniskiem na napierśniku człowieka z północy, którego zwięzający się hełm idealnie nadawał się do gotowania wody. Galva nie była przekonana, czy powinniśmy hańbić narzędzia wojny tak przyziemnym traktowaniem, ale zauważyłem, że zajadała się gorącymi jajkami jak my wszyscy.

Kiedy nastał nasz drugi wieczór na wyspie, przez chwilę słuchałem okrzyków ptaków, szumu fal oraz rozmowy Malka z harpunnikiem w ich małym szałasie zbudowanym z drewna wyrzuconego na brzeg. Gawędzili o pewnym portowym mieście, zaśmiewając się szorstko w sposób typowy dla żołnierzy i marynarzy. Wspólnymi siłami złapali na płyciźnie dużą srebrzystą rybę, którą wypatroszyli, oczyścili i pokroili, a następnie ułożyli nad ogniskiem, gdzie miała się powoli piec przez całą noc. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy zjemy ją na śniadanie. Chmury się rozwiały, odstawiając gwiazdy, jasne i zimne jak okruchy lodu pośród czerni. Nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że byłoby wspaniale zagrać jakąś wolną, słodką melodię na moich zatopionych skrzypcach. Stary Gormalin najwyraźniej poczuł, że brakuje mi muzyki, ponieważ podszedł do nas i niespodziewanie wypalił:

– Hej, mała, może zaśpiewasz nam galtyjską piosenkę o miłości?

Malk również się do nas przysiadł. Galva usiadła nieco dalej, ale w zasięgu słuchu.

– Och, więc jestem tutaj po to, by śpiewać piosenki o miłości?

– Lepiej, żebyś ty to zrobiła niż ja. Dama śpiewająca o miłości rozwesela człowieka. Gdy robi to starzec, wszyscy płaczą.

– Na bogów, przekonaliście mnie. Oto najweselsza pieśń, jaką ta dama kiedykolwiek wam zaśpiewa.

Odchrząknęła z namaszczeniem, a potem zaczęła śpiewać słodkim, wysokim głosem.

*Pięciu mam synów, dzielni są i dzicy,
Jeden w grobie, drugi zaś na szubienicy,
Dwaj to więźniowie, lecz nie niewolnicy.*

– Tfu – odezwał się Gormalin. – To pieśń wojenna!

*Piąty na wzgórzach, daleko od braci,
Choć jeszcze młody, kiedyś cię straci,
Gdyż już niedługo długi swoje splacisz.*

– Ta pieśń jest zakazana! – zaprotestował i miał rację. Właśnie za tę pieśń zawisł Kellan na Falth. – Od czasu Gobliskich Wojen nie wolno śpiewać o ludziach zabijających ludzi! A zwłaszcza pieśni przeciwko królowi Holtu, nawet jeśli jest stary i nieudolny!

Oczywiście czym prędzej dołączyłem do chóru.

*Moi synowie razem przeciw tobie,
Czarne ich języki, polegaj na ich słowie,
Przed nimi wkrótce za wszystko odpowiesz!*

Żaden członek Zimnych Stóp nie mógł sobie darować zaśpiewania nielegalnej galtyjskiej buntowniczej pieśni, więc Malt wsparł nas przy kolejnej zwrotce, a jego silny, pewny siebie baryton uczynił całe powstanie wiarygodnym.

*Spada już z głowy kochana korona,
Twarde łoża w zamku zdobytym w obcych stronach,
Chociaż jestem stara, zobaczę, jak konasz.
Setki masz żołnierzy z długimi mieczami,*

*Lecz ich żony twymi są nałożnicami,
Nie umrą za ciebie, nie władasz ich sercami.
Porzuć swoją wieżę, nie zamykaj wrót,*

*Nie ocalą cię żołdacy, próżny trud,
Jeśli stracę swoich chłopców, synów u nas w bród.*

*Tysiące synów razem przeciw tobie,
Czarne ich języki, polegaj na ich słowie,
Nadchodzą, nadchodzą, co na to odpowiesz?*

Ciszę, która potem zapadła, przerwał dopiero głos Galvy:

– To dobra piosenka.

Minęła kolejna godzina, zanim obóz pogrążył się we śnie. Kiedy wreszcie zobaczyłem, że Malk zwija się w kłębek plecami do nas i usłyszałem, jak ciężki oddech harpunnika zmienia się w tłuste chrapanie, zerknąłem na Galwę. Nie wystawiliśmy wart, ponieważ zazwyczaj to ona czuwała w nocy, a potem kawałek po kawałku odsypiała w dzień, dlatego byłem nieco zaskoczony, gdy zobaczyłem, że oparła brodę na piersi. Dźgnąłem Norrigal patykiem, chcąc pokazać jej śpiącą Spanthiankę, ale wiedźma spała tak samo jak reszta. Wyglądało na to, że w tę zimną noc nie będę służył bogu łajdactw Fothannonowi ani bogu rui Harosowi. Westchnąłem i ułożyłem się do snu, za który także byłem wdzięczny.

Obudził mnie chrzęst.

Pajaki ze sznurka

Chrzęściły skorupki jajek.

Jakaś istota deptała stertę skorupiek leżącą obok naszego obozu, a ja nie miałem pojęcia, co to może być. W pierwszej chwili pomyślałem o psie, ale na wyspie nie widziałem nawet szczura – oprócz nas największymi zwierzętami spacerującymi po plaży były ptaki i kraby, chociaż gdy widywaliśmy je jednocześnie, kraby zazwyczaj bardzo się śpieszyły. Usiadłem i zobaczyłem jakiś mały ciemny kształt na stercie skorupiek. Istota podniosła głowę, jakby węszyła w powietrzu, a potem cicho zamiauczała. Ledwie zdążyłem pomyśleć: „To kot”, a zaraz potem: „Czy to Byczek?”, gdy moje podejrzenia się potwierdziły za sprawą silnych palców morderczej pasażerki Byczka zaciskających się na mojej krtani.

Wiedziałem, że nie powinienem się odzywać. Rozejrzałem się i zobaczyłem mroczną sylwetkę, zupełnie jakby ktoś wyciął muskularny kobiecy kształt w rozgwieżdżonym niebie, chcąc pokazać kryjącą się za nim czerń. Kiedy moje oczy przywykły do mroku, ujrzałem bladą skórę przypominającą mapę z dziwną siatką czarnych tatuaży, glifów i zaklęć ochronnych.

Sesta.

Moja skrytobójczyni.

Gestem nakazała mi, żebym poszedł za nią i zabrał kota, więc zarzuciłem sobie sierściucha na kark jak stułę i wspiąłem się w ślad za mroczną kobietą na skaliste wzgórze, idąc w stronę gwiazdozbioru przypominającego dalekie świece, które może zdmuchnąć wiatr.

– Zabijesz mnie? – spytałem.

Usiedliśmy w jaskini utworzonej przez skalną szczelinę, obok mojego gunnickiego towarzysza, który wyglądał znacznie delikatniej bez swojego hełmu i napierśnika.

– To nie twoja wina, że kot wylądował za burta, więc będziesz żył – odrzekła. – Moje gratulacje.

– Dzięki. Chcesz mój kocyk z plaży? – spytałem.

Była naga jak panna młoda, a ja dygotałem w ubraniu ze skóry i włókien konopi. Delikatnie pokręciła głowę, a potem uniosła rękę i wskazała lśniąca runę wytatuowaną niedaleko żeber. Oznaczała „palenisko” w jakimś języku, którego nie rozpoznawałem. Zauważyłem, że to ona jest jedynym źródłem ciepła w naszej małej grocie. Bił od niej żar jak od świeżo zgaszonego ogniska.

– To tak przeżyłaś w wodzie. Dzięki temu uratowałaś także kota.

Tylko na mnie popatrzyła.

– Czyli kręcenie głową oznacza „nie”, a refleksyjne milczenie to „tak”? – Wciąż na mnie patrzyła. – Jasne, rozumiem.

– Opowiedz mi wszystko, co robiłeś i widziałeś od chwili, gdy mnie wyrzucili – poprosiła, a ja przedstawiłem jej najkrótszą wersję wydarzeń, jaką mogła zaakceptować.

Przez większość mojej opowieści nie zdradzała żadnych emocji, ale jej oczy rozbłysły, gdy doszedłem do zaszytowania ispanthiańskiego truciela. Kiedy skończyłem, dalej się we mnie wpatrywała, siedząc równie nieruchomo jak opancerzony sztywniak obok niej.

– Jaki mamy plan? – spytałem.

– To zależy od tego, jak się wydostaniesz z wyspy, ale w sumie nie masz zbyt wielu możliwości. Jeżeli ktoś cię znajdzie, zabierzesz kota. Jeśli nikt się nie pojawi w ciągu kolejnych kilku dni, użyjesz łodzi. W takim wypadku również weźmiesz go ze sobą. Dalej będę improwizowała. Przede wszystkim nie opóźniaj podróży na Rubieże.

– Nie mam takiego zamiaru – odrzekłem.

– Poza tym wymyśl jakieś wyjaśnienie powrotu kota i pamiętaj, że będę musiała zabić każdego, komu o mnie powiesz.

– Nie będę musiał nikomu o tobie mówić. Nadal będę się cieszył kocim towarzystwem.

– Dobrze.

Byczek zamiauczał.

Przez chwilę siedzieliśmy w niezręcznej ciszy.

Potem zabójczynie przekrzywiła głowę jak nasłuchujący pies.

Zastanowiłem się, co się stało, ale nie miałem czasu zapytać, ponieważ Sesta cofnęła się i przywarła do skał. Nie powiem, że zniknęła, ale na pewno trudno było ją zobaczyć. Nie wiem, który z magicznych symboli jej to umożliwił, ale ta umiejętność robiła wrażenie. Ledwie zdążyłem pomyśleć: „Ktoś nadchodzi, mam nadzieję, że to nie Norrigal”, gdy głowa Norrigal pojawiła się na tle gwiazd.

– Zapomniałeś o mnie? – spytała. – Myślałam, że byliśmy umówieni.

Czułem na sobie wzrok niewidzialnej skrytobójczynie.

– Nie! – zapewniłem.

– Nie?

– Po prostu zasnęłaś i ja też. Oboje zasnęliśmy.

– Nigdy wcześniej nie budziłeś dziewczyny?

– Nie bez konsekwencji.

Fothannon splątał mi figła i myśl o obudzeniu Norrigal zadziałała na mnie podniecająco. Ona też to zauważyła.

– Może wolisz zostać sam.

– Nie, nic z tych rzeczy.

– Nie musisz się krępować, rozumiem. Miałam braci.

Uznałem, że walenie konia to równie dobra wymówka jak każda inna.

– Nie chciałem ci robić kłopotu.

Zerknęła w lewo, a ja podążyłem za jej spojrzeniem, które spoczęło na kocie. Byczek nie patrzył na nic konkretnego, jak to ślepe koty, ale wyraźnie udawał niewiniątko.

Norrigal uniosła brew.

– Mam co najmniej trzy pytania, ale boję się je zadać.

– Kot nie utonął, ponieważ jest zaczarowany.

– Zostały jeszcze dwa.

– To ja go zaczarowałem zaklęciem ochronnym.

– Teraz to dziwaczne pytanie.

– Szukałem odosobnienia, a on za mną poszedł. Dopiero co go zauważyłem. To nie ma z nim nic wspólnego.

– Co za ulga.

Skinąłem głową w stronę szkieletu.

– Ani z nim.

Uśmiechnęła się.

– Chcesz mi powiedzieć, że to wszystko dla mnie?

Również się uśmiechnąłem, jakbym chciał potwierdzić, ale zabrakło mi śmiałości. Nagle Norrigal zaczęła schodzić w głąb szczeliny.

– Zaczekaj! – zawołałem.

– Na co?

Nie przychodził mi do głowy żaden przekonujący powód.

– Chcesz zostać sam ze swoim kotem i trupem?

– Strasznie tu brudno.

– Może nie zauważyłeś, ale całą wyspę pokrywa gówno. – Nie zatrzymywała się. – Poza tym tu jest zimno i nie pozwolę ci zająć jedyne go schronienia przed wiatrem. Na dole jest prawie ciepło.

Już do mnie zeszła i właśnie miała rozsiaść się w miejscu, w którym schowała się skrytobójczynie.

– Nie ruszaj się! – powiedziałem.

– Co się stało? – spytała z irytacją.

Skrytobójczynie się przemieściła, tak że wisiała nade mną głową w dół, trzymając się skały jak owad.

– Myślałem, że widzę pająka, ale to był tylko cień.

– Nie wiem, z jakimi dziewczynami miałaś do czynienia, ale wiemy nie boją się pajaków. Potrafię je robić ze sznurka.

Usiadła, tak blisko Sesty, że ta mogłaby wyciągnąć rękę i trącić ją w nos. Tak blisko mnie, że czułem dotyk jej ciepłej nogi. Wyczuwałem, że skrytobójczynie nie jest zadowolona z pojawienia się intruza i z tego, że na to pozwoliłem. Z kolei ja miałem jej za złe, że rujnowała coś, co mogłoby być nocą prawdziwej rozkoszy po miesiącach trudów i niebezpieczeństw. Roztropność powinna skłonić mnie do odprawienia Norrigal, ale nie służę bogu roztropności. Mój bóg ma w sobie tyle samo lisa co człowieka i sprzyja odważnym oraz sprytnym. Nie chce, by oddawać mu cześć, tylko go zabawiać, a powiadają, że jeśli wasza śmierć go rozśmieszy, w zaświatach wpuści was do swojego świętego lasu, gdzie będziecie biegać nago, spółkować i podkradać miód, dopóki wam się nie znudzi. Co się wtedy dzieje, nie wiadomo, ale na pewno coś zabawnego – Fothannon jest szczodry dla wszystkich poza ostrożnymi.

– Pająki ze sznurka, tak? – odezwałem się. – Czegóż więcej mężczyzna może chcieć od kobiety?

Nie znam się zbyt dobrze na kobietach, ale wiem, że bez powodu nie wchodzi za chłopcami, których lubią, do brudnych jaskiń o północy. To nie znaczy, że są gotowe na wszystko, ale zazwyczaj można liczyć na buziaka.

Nachyliłem się, żeby ją pocałować, a ona również nachyliła się w moją stronę, ale tylko musnąłem jej usta. Niedoczekanie, żebym robił to na oczach najbardziej śmiertelnośnego futrzaka na świecie.

- Nie tutaj – powiedziałem. – Chodźmy na plażę po drugiej stronie wyspy.
- Na tamtą lodowatą, z daleka od ognia?
- Ja cię ogrzeję.
- Dlaczego nie tutaj? – spytała.

Wskazałem głową gunnickiego wojownika.

- Aha, czyli możesz sobie przy nim trzepać, ale przytulanie dziewczyny to oznaka braku szacunku?

Logiczny argument.

- Nie, po prostu nie chcę się tobą dzielić. Dziś w nocy będziemy się całować jak kochankowie. Nie musimy się śpieszyć. Zamierzam to zapamiętać na długo i nie chcę, żeby patrzyła na mnie jakaś poczwara.

- Taka odpowiedź mi się podoba. – Wstała z ziemi.
- Idź przodem, zaraz cię dogonię.
- Jak chcesz – odrzekła i posłała mi uśmiech, jakiego każdemu życzę, a potem odeszła.

Byczek podążył za nią.

Kiedy zniknęli, poczułem kamienną dłoń zaciskającą się na moich włosach.

- Poczwara, tak? To było niegrzeczne – odezwała się zwisająca ze stropu skrytobójczyni.

- No cóż. Chciałem, żebyś wiedziała, że jestem kowalem swojego losu. Wykonam zadanie dla Gildii i zrobię to najlepiej, jak będę umiał.

Możesz ciągnąć mnie za włosy, jeśli cię to podnieca, ale jeśli mnie naznaczysz, pozostali się zorientują, jeśli mnie skrzywdzisz, pozostali się dowiedzą, a jeśli nawet nie potrzebujesz mojej pomocy na zachodzie, to Gildia chce mnie tam widzieć, a ty służysz im tak samo jak ja. Więc zabij mnie, jeśli chcesz, ale raczej nie będą z tego zadowoleni, jeśli nie masz ważnego powodu.

Dłoń puściła moje włosy.

Nawet na nią nie popatrzyłem.

- Jeszcze jedno. Jeśli cokolwiek złego spotka wiedźmę, z którą zaraz będę się całował, ostrzegam, że chociaż darzę sympatią tego kociaka, skręcę mu kark i wrzucę go do najgorętszego ognia, jaki znajdę, a ciebie razem z nim.

Od strony skał nade mną dobiegł niski, chrapliwy chichot.

- Wiesz, naprawdę zaczynasz mi się podobać.
- Może pewnego dnia będę mógł powiedzieć to samo o tobie.
- Zasłużyłeś na nagrodę. Idź na plażę i zerznij tę dziewczynę.
- Jeszcze nie dzisiaj – odparłem. – Na niektóre rzeczy warto poczekać.

Chciałbym powiedzieć, że na tym się skończyło, ale do zabójczyni należało ostatnie słowo. Owszem, spędziłem radosną, podniecającą, kuszącą noc, drżąc z zimna na lodowatej plaży razem z Norrigal, całując jej pełne usta i smakując jej czarny język, aż w końcu słońce przebiło się przez chmury, a my ruszyliśmy w drogę powrotną i przestaliśmy trzymać się za ręce dopiero, kiedy wyszliśmy z urwiska, za którym znajdował się nasz obóz. Pozostała trójka rozbitków patrzyła na nas spode łba, ale nie dlatego, że ze sobą flirtowaliśmy. Okazało się, że ta wytatuowana suka zjadła rybę Malka i Gormalina. Do ostatniego kawałeczka. Potem zostawiła ości przy naszych posłaniach.

Jak można się domyślić, wynikły z tego kłótnie i pretensje. Ale ostatecznie nie było to aż takie ważne.

Dwa dni później pojawiły się gobliny.

Kurewsko zła partia

Być może jeszcze nikt wam tego nie powiedział, a sami żadnego nie widzieliście, ale gobliny są brzydkie. Nie tak jak wasz daleki kuzyn, który ma za dużo piegów, krótką szyję i palce jak serdelki; to zwykły brak urody. Jeśli będzie umiał pchać pług lub warzyć piwo, ktoś weźmie go za męża. Ale gobliny to kurewsko zła partia. Coś w naszym wnętrzu wie, że są wrogami naszej rasy, i brzydzi się ich widokiem, jak w przypadku rekina albo pijawki. Nie są jak małpy, na które można patrzeć z myślą, że nie różnią się aż tak bardzo od człowieka. Gobliny są czymś zupełnie innym. Nikt nie wie, skąd pochodzą. Nie ma o nich żadnych wzmianek przed Stuknięciem, a większość uczonych uważa, że to właśnie ten kataklizm sprowadził je do nas z jakiegoś gorszego świata albo spod ziemi. Wyglądają, jakby stamtąd pochodziły.

Tym razem po raz pierwszy zobaczyłem jednego z bliska. Tak naprawdę było ich aż osiemnaście na statku, który przybił do naszej wysepki. Lubią liczby podzielne przez dziewięć. To dlatego, że mają dziewięć palców. Zamiast jednego z palców na ich słabszej ręce znajduje się hak, który mogą chować jak koci pazur. Lubią wbijać go w ciało, zawisać na swojej ofierze, podcinać ją i gryźć. Niektóre mają hak na prawej, ale większość na lewej ręce. Ci pierwsi cieszą się większym szacunkiem, jako wybrańcy ich dziwaczного boga, który na ich tablicach modlitewnych wygląda jak rozmazana smuga.

Wróćmy do haka. Dłoń, na której się znajduje, jest mniejsza i słabsza, a cała ręka nieco krótsza i być może dlatego gobliny nie lubią symetrii. Jeden z naszych generałów powiedział, że zrywają narożniki budynków w ludzkich miastach i burzą części domów, ponieważ linie proste przyprawiają je o mdłości. Uznają nasze najpiękniejsze pomniki za odpychające i prymitywne, a matematyczne proporcje i kąty proste za obrazę natury. Budowle goblinów są równie oszałamiające dla nas, podobnie jak ich statki.

Właśnie polowałem z łuku na skalne kurczaki, po tym, jak nie udało mi się złapać dla Malka nowej ryby w miejsce tej, do której zjedzenia musiałem się przyznać, chociaż nie skosztowałem nawet płetwy. Byłem świadomy, że tradycyjna metoda polowania na maskonury polega na zwieszaniu się z urwiska i chwytaniu ich w locie za pomocą siatki umieszczonej na długiej żerdzi, ale skoro nie miałem siatki, żerdzi ani ochoty dyndać w powietrzu, skorzystałem z prostszych środków. Miałem już przy pasie dwa ptaki i byłem pokryty guanem, którym obrzucił mnie silny wiatr. Akurat klóciłem się z samicą maskonura, która widziała, jak zastrzeliłem jej partnera, gdy zobaczyłem żagiel. Zielony gobliniński żagiel na bardzo niebieskiej wodzie blisko linii horyzontu. Pióropusz szarego dymu ciągnął się za okrętem, niemal białym na tle ciemnych, szybko poruszających się chmur.

Porzuciłem swoje skalne kurczaki i uciekłem, kryjąc się za skałami i kierując się w stronę plaży, na której rozbiliśmy obóz. Z rozmów z żołnierzami wiedziałem, że gestem oznaczającym gobliny jest pięść z dwoma najmniejszymi palcami ułożonymi w kształt haka, więc go wykonałem. Galva zaczęła ściągać ubranie, zapewne w celu uwolnienia bojowego kruka. Malk wziął do ręki szablę.

– Chwileczkę – odezwał się harpunnik. – Jakiego koloru był żagiel? Zielony?

Pokiwałem głową. Był zielony, a właściwie szaro-zielony, jak szatwia.

– To dobrze – stwierdził mężczyzna. – W takim razie honorują postanowienia traktatu. To kolor ich krwi. Czerwony oznacza naszą krew i polowanie.

– One zawsze polują – odparł Malk. – Pokazują nam czerwień tylko wtedy, gdy mają przewagę liczebną i chcą nas wystraszyć.

– Co się dzieje? – spytała Norrigal.

Powiedziałem jej.

– Zaraza – syknęła, wytrzeszczając oczy. – Zaraza, zaraza.

– Tak, to właściwe słowo – przyznał Malk.

– Więc walczymy? – upewniłem się.

– Walczymy – odrzekła Galva w tym samym momencie, gdy Gormalin powiedział:

– To zależy, ile ich jest.

Spanthianka popatrzyła na harpunnika.

– Możliwe, że w ogóle nie zejda na ląd – zauważył Malk.

Galva się zawahała. Gdyby uwolniła wrzeszczącego ptaka ze swojej piersi, nie moglibyśmy się ukryć.

– Chodź, Spanthianko, pomóż mi rozebrać szatłas.

Norrigal zasypała piaskiem nasze ognisko i zamiotła wszystko liściastą gałęzią z jedyne drzewa rosnącego na wyspie. Rozpyliła w powietrzu proszek, który wzmocnił smród gnijącej ryby, by zamaskować naszą woń. Malk wspiał się na skałę, żeby popatrzeć, a ja za nim podążyłem.

– Co one robią tak daleko na północy? – odezwałem się. – Podobno nienawidzą zimna.

– Owszem – przyznał Malk. – Ale przyptywają południową odnogą rzeki Spine, a potem Wysokim Kanałem Keshyckim docierają do właściwej części rzeki, żeby polować na foki i handlować. Lubią foki niemal tak bardzo jak ludzi. Ze względu na tłuszcz. Zabierają też futra młodych osobników.

Dołączyłem do niego na szczycie skały.

– Widzisz tamten dym? – spytał, a ja pokiwałem głową. – To kotły parowe. Pod pokładem spalają węgiel i obryzgują go wodą, dzięki czemu robi się tam gorąco i wilgotno jak na ich wyspach. Solgrannonie, wiem, że lubisz krew, ale nie pozwól im zejść na ląd.

– Dlaczego nie mieliby tego zrobić? – spytałem nieco podniesionym głosem, by przekrzyczeć wrzeszczące mewy krążące nam nad głowami.

– Nienawidzą ptaków – wyjaśniła Galva.

Zupełnie o tym zapomniałem. Nagle perspektywa użycia przeciwko nim kruka nabrała nowego znaczenia. Zabiliście nasze konie. No dobrze, oto stado olbrzymich zabójczych ptaków, które rozerwą połowę z was na strzępy, wy małe kutasy, a reszcie zapewnią koszmary w waszych ulach.

– Pewnie zobaczyły wrak Suepki. Jeżeli uznają, że to sprawka krakena, nie będą się spodziewały, że ktoś ocalał, więc tylko przeczeszą plażę w poszukiwaniu cennych przedmiotów. Jeśli ukryjemy się na skałach... Och, do kurwy nędzy.

– Co się stało?

– Ciąta.

Biegiem wróciliśmy do trzech ciał, które morze wyrzuciło poprzedniego dnia. Zakryliśmy je wodorostami, ale postanowiliśmy, że ich nie spalimy, ponieważ szkoda nam było drewna. Wcześniej równo je ułożyliśmy, jak to ludzie mają w zwyczaju. Morze nigdy nie wyrzuciłoby ich w takim stanie.

– Co się dzieje? – spytał harpunnik.

– Ukryjcie je! – zawołał Malk, wskazując zwłoki.

– Gdzie? – spytała Norrigal.

– Na skałach.

Rozpoczął się rozpaczliwy wyścig z czasem. Wlekliśmy i dźwigaliśmy trzy paskudne, nasiąknięte wodą trupy wielorybników po luźnych kamieniach, chcąc schować je w skalnych szczelinach. Mieliśmy niecały kwadrans, ponieważ statek mógł zakreślić i znaleźć się na wysokości plaży. Właśnie wciągnęliśmy ostatnie ciało – cuchnące szczątki ciemnoskórej, krępej kobiety, która pierwszego dnia podróży patrzyła na mnie podejrzliwie z pokładu – na coś w rodzaju skalnego siodła i przysypaliśmy je mniejszymi kamieniami oraz ptasimi gniazdami, a Norrigal zatarała ślady, gdy nagle przypomniała sobie o swojej torbie z fiolkami i miksturami.

– Zostaw ją! – warknąłem.

– Jeśli nas znajda, będzie nam potrzebna! – syknęła, a ja puściłem jej rękę.

Nie powinienem był tego robić. Owszem, zdążyła zabrać torbę i rozpląszczyć się obok mnie na skałę, ale znajdowała się w niewłaściwym miejscu. Było jej niewygodnie. Musiała podpierać się na nienaturalnie wykrzywionej nodze. Żagle statku goblinów właśnie ukazały się naszym oczom, gdy zaczęła drżeć. Oboje wiedzieliśmy, że jeśli upadnie, może wywołać potężną lawinę kamieni.

– Trzymaj się – powiedziałem.

– Trzymam się – odrzekła.

– Jesteś lekka jak winorośl – dodałem.

– A ty tępy jak but. Zostaw mnie w spokoju, poradzę sobie.

– Wiem, że tak.

– Zamknij jadaczkę.

– Oboje się zamknijcie – syknął Malk.

Gobliński statek był coraz bliżej. Obserwowałem go zza zasłony gałązek. Na swój sposób był piękny w swoim dziwactwie. Grotmaszt był wystarczająco prosty, by spełniać swoje zadanie, ale pozostawiono na nim sęki i wydawał się skręcony. Czy gobliny specjalnie hodowały takie udreńczone drzewa, żeby dogodzić swoim gustom? Żagiel łaciński pełnił podobną funkcję jak na ludzkich okrętach, ale był trapezem, nie trójkątem i pokrywała go szachownica łat w różnych odcieniach zieleni, które dodatkowo zaburzały jego kształt. Na dziobie statku, tam, gdzie ludzie umieszczali wizerunki skrzydlatych bogiń, węży albo wilków, znajdowała się goblińska dłoń wykonana z pozieleniałej miedzi z wyprostowanymi trzema palcami i kciukiem przytrzymującym mały palec. Wiatr wzdymał żagiel, szybko pchając okręt po wodzie.

Dostrzegłem jednego z nich, tuż za dziobem. Mój pierwszy goblin. Nie widziałem go dokładnie, ale już wiedziałem, że rzeczywiście jest brzydki jak noc.

Gobliny oczywiście zeszły na ląd, początkowo w szóstkę. Dwa niosły pochodnie, którymi zapalczywie machały, jeśli zbliżał się do nich jakiś ptak. Kiedy mocno zmrużyło się oczy, przypominały przygarbione szare dzieci ubrane w futra i skóry i rzeczywiście lepiej było patrzeć na nie w ten sposób. W przeciwnym razie zauważało się, że nie mają nosów ani podbródków, a ich łokcie znajdują się w niewłaściwym miejscu.

Nie tyle szły, co biegły susami, a na głowach miały szaro-brązowe włosy splecione w skomplikowane warkocze, które świadczyły o ich pozycji. Docierały do mnie fragmenty ich mowy. Była pełna chrapliwych i syczących dźwięków, które ludziom trudno było naśladować. Gobliny miały co najmniej dwie spółgłoski i jedną samogłoskę, których ludzie nie byli w stanie dokładnie wymówić, częściowo dlatego, że języki goblinów były osłonięte pancerzem chroniącym przed ostrymi zębami, które kojarzyły się z uzębieniem rzecznej ryby. Przez chwilę słuchaliśmy chrypienia, grzechotania i irytujących gardłowych gwizdów. Nie był to język stworzony do poezji, przynajmniej takiej, w jakiej gustuję. Popatrzyłem na Galwę, która najwyraźniej starała się coś zrozumieć.

– Znasz ten bełkot? – wyszeptałem.

Pomachała głową na boki, co u Spanthian oznacza „być może” albo, w tym przypadku, „trochę”. Potem przyłożyła dwa palce do ust, wskazała stwory, pokazała na swoje ucho, a następnie wykonała dłonią gest ważenia, jakiego używała, gdy widziała piękną kobietę, kosztowała dobrego jedzenia lub słyszała wyjątkowo przyjemną muzykę. No tak. „Zamknij się. One... dobrze... słyszą”. Żołnierski język gestów czasami nie różnił się od tego nauczanego w Gildii.

Kąsacze czuły się nieswojo pośród ptaków, a ich gównno wywoływało w nich obrzydzenie, dzięki czemu nie nabraly podejrzeń, przechodząc przez miejsce, w którym znajdował się nasz obóz, i nie dotarły do plaży, na której ukryliśmy szalupę. Sprawy wyglądały nie najgorzej. Potem przez pełną napięcia chwilę wydawało się, że jeden z goblinów chce wspiąć się na nasze wzgórze, a Galva już zaczęła zsuwać kolczugę, ale drugi z kąsaczy odwiódł swojego kompana od tego pomysłu. Postanowiłem przy okazji postawić mu drinka, gdybyśmy kiedyś znaleźli się w tawernie gotowej obsłużyć nas obu.

Dyskusja nieco się uspokoiła i cała banda wkrótce popędziła do swojej dziwacznej łodzi wiosłowej, którą popłynęła do równie dziwacznej większej jednostki. Biedna Norrigal trzy albo cztery razy zmieniała ułożenie ciała, a raz zrzuciła ze zbocza kilka drobnych kamyczków, tak że wszyscy z nerwów zacisnęliśmy pośladki – może nie powinienem mówić za innych, ale wiem, że swoimi mógłbym łupać orzechy. Teraz trzęsła się jak mokry pies, próbując utrzymać się nad ziemią, a ja chwyciłem ją za pas i lekko pociągnąłem, by odciążyć jej niezręcznie wygiętą nogę. Stwory już dotarły do statku, podniosły kotwicę i złapały wiatr w żagle.

„Dziękuję, dziękuję, dziękuję”, wyszeptałem do Fothannona, dupek zaś odpowiedział: „Nie ma za co”, a uczynił to w następujący sposób: kichnąłem. Solidnie. Aż podskoczyło całe moje ciało. A wtedy moja stopa ześlizgnęła się ze skały, o którą się opierałem, i kopnąłem Norrigal. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, by wypuściła z rąk torbę z miksturami. Trzy buteleczki, a razem z nimi nieco mchu i innej roślinności, spadły z brzękiem na niemal płaską skałę pod nami. Wiedźma wstrzymała oddech, a potem westchnęła z ulgą, ponieważ zawartość buteleczek się nie zmieszała, co najwyraźniej było niewskazane. Ale pamiętajcie, że skała była niemal płaska? No właśnie. Małe strużki płynów zaczęły spływać po jej powierzchni, zmierzając sobie na spotkanie.

– Och!

A potem oddalając się od siebie.

– Ach.

Następnie gwałtownie skręcając ku sobie.

– Zaraza! Zaraza! – syczała Norrigal, a po chwili kolejny syk dobiegł z miejsca, w którym kropla brązowego płynu skapnęła do strużki perłowej przejrzystej mazi.

– Zaraza! – zawtórowałem. – Mam odwrócić wzrok?

– To bez znaczenia, zasmarkany nosie – odparła, a w tej samej chwili na skale zaskwierczały płomienie, z których uniósł się gęsty pióropusz białego dymu.

– Może nie zauważą? – powiedziałem.

Nikt inny się nie odzywał.

– Może pomyślą, że to... czy ja wiem... gejzer?

Galva mruknęła pod nosem.

– Albo wulkan – dodałem.

Gobliński okręt zawrócił.

Przygotowaliśmy się do walki.

Drżenie jej skrzydeł

Godzinę później, na morzu, miałem szansę wielokrotnie analizować bitwę i nie dostrzegałem dla nas żadnej szansy na zwycięstwo, zwłaszcza że mieli czarownika. Gobliny także posługują się magią, odmienną od naszej, ale równie potężną.

– Mógłbyś przesunąć stopę? Wyjmij ją spod mojej pachy i oprzyj na moim ramieniu. Pomogę ci. Dziękuję.

Malk przełożył stopę na moje ramię. Był ranny, ale nie tak ciężko jak harpunnik, który z kolei był mniej ranny od Galvy. Norrigal była tylko nieco podrapana po tym, jak wleczono ją po ziemi. Została także trafiona zatrutą strzałą, ale potrójny grot nie był przeznaczony do przebijania zbroi. Ja sam miałem ranę ciętą od sutka do biodra, o której wiedziałem, że wkrótce zacznę się paprać. Właśnie w tym miejscu dotykała mnie stopa Malka, z każdym drgnięciem przeszywając mnie błyskawicą bólu. Nie było mu łatwo przełożyć nogę, zważywszy na rozmiary klatki dla ludzi, do której nas wepchnięto.

Nasza strategia była genialna, a przynajmniej tak uważałem. Norrigal przywołała wiatr, który miał utrudnić wrogom strzelanie z łuków i kusz, a pozostali zaatakowali, gdy tylko gobliny zeszyły na ląd, nie pozwalając im wykorzystać swojej szybkości. Wszystko szło dobrze. Ta sama szóstka wysiadła z łodzi, trójka z kuszami, a reszta z paskudnymi włóczyniami. Główny statek zbliżył się na tyle, na ile to było możliwe, a na pokładzie od strony wyspy zaroilo się od kuszników. Norrigal zaatakowała podmuchami wiatru i łódka zaczęła cofać się w stronę okrętu. Wtedy gobliny wyskoczyły za burtę i popłynęły do brzegu. Kusznicy trzymali broń ponad wodą, wiosłując tylko jedną ręką, przez co prawie się potopili.

Kiedy byli jeszcze zbyt daleko, by bez trudu dotrzeć do brzegu, i za blisko, by zawrócić, Galva zawołała: „Teraz!” i pobiegliśmy w ich stronę. Ich łucznicy do nas strzelali, ale wiatr poniósł strzały beznadziejnie wysoko lub żałośnie daleko od celu i ani jedna w nas nie trafiła. Gobliny zaczęły wydawać paniczne odgłosy przypominające mieszankę szczeknięć i małych okrzyków, a wszystko dlatego, że zobaczyły kruka. Wielkiego, pięknego, straszliwego kruka.

Płynący na jego widok stracili odwagę i zawrócili w stronę statku, ale dla jednego z nich było za późno. Kruk, młócąc skrzydłami nad wodą, chwycił goblina za nogę i cisnął go na plażę. Nie marnował na niego czasu, tylko rzucił go Galvie, która bez trudu posiekała go na kawałki. Gobliny nie nosiły zbroi, tylko lekki strój przeznaczony do zejścia na ląd.

Miałem tylko łuk i noże, więc zatrzymałem się na brzegu i spróbowałem trafić jednego z goblinów na statku. Strzała, niesiona wiatrem wezwany przez Norrigal, poleciała daleko, ale zbczyła w lewo. Wycelowałem ponownie i tym razem trafiłem jednego ze stworów w rękę, zmuszając go do upuszczenia broni. Potem zastrzeliłem jednego z pływaków. Dostał prosto między łopatki, wygiął się i zniknął w spienionej wodzie.

Wtedy spod pokładu wyszedł ten zakerkany czarownik. Nic dziwnego, że wieźli go na statku. Trudno dołączyć go do piechoty, ponieważ taka ilość metalu i żelaznych zbroi zgromadzona w jednym miejscu tłumi wolną magię, ale marynarze nie noszą zbroi, ponieważ by przez nie tonęli. Te potwory miały na sobie pancerze ze skóry i rogu, które nie przeszkadzały w czarowaniu.

Magik był niższy od pozostałych i stary, ale fryzura dodawała mu wzrostu. Białe, cienkie włosy upiął w coś w rodzaju wieży z warkoczyków, którą żałośnie zrujnowały poddmuchy wiatru zesłane przez Norrigal. Na jego gardle lśniła obroża z czystej błyszczącej miedzi. To była pierwsza wskazówka co do jego tożsamości, a Galva wkrótce dostarczyła kolejnej. Podniosła odciętą goblinią nogę, wskazała nią starca i wrzasnęła po ispanthiańsku „*Tirau sul magauru!*”, czyli oczywiście: „Zastrzel maga”, co uświadomiłem sobie dopiero po fakcie, podobnie jak to, że widok kłosa czy cofnął Galwę z powrotem do czasów Wojny Córek, gdy brodziła we krwi wraz ze swoimi rodakami. Ale wtedy tego nie rozumiałem, tak jak ona nie rozumiała, że woła po ispanthiańsku do Galta z Holtu. Wykrzyczała to dwukrotnie. Wtedy ostatni dwaj pływacy zdążyli już wrócić na statek, a ich bełty były coraz celniejsze, gdy nauczyli się brać poprawkę na wiatr, więc postanowiliśmy się przegrupować. Stary goblin zaczął wywijać nad głową jakimś kamieniem na sznurku, który wył tak głośno, że słyszałem go pomimo wichru. Wtedy domyśliłem się, z kim mamy do czynienia, i co mówiła Galva. Nałożyłem na cięciwę kolejną strzałę, strzeliłem i spudłowałem. Wycelowałem ponownie, gdy dotarliśmy do brzegu, ale było już za późno.

Wiatr zmienił kierunek.

W ładowni było piekielnie gorąco.

Jakiś podstarzały goblin pilnował paleniska, co jakiś czas polewając węgle morską wodą i wykrzykując chrapliwe polecenia do kilku członków załogi, którzy drzemali lub grzali się przy ogniu, nie pozwalając im poczuć się zbyt wygodnie w parnych trzewiach statku. Pomieszczenie pełniło także funkcję kantyny, co było wygodne, ponieważ znajdowaliśmy się w spiżarni. Jeszcze nie zaszlachtowali nikogo z nas, ale było to tylko kwestią czasu – przez chwilę podszczypywali nas i wachali, a potem jeden z goblinów wskazał harpunnika, którego następnie przeniesiono do drugiej klatki, obmyto morską wodą i ubrano w pieluchę z foczej skóry, żeby się cały nie zasrał. Trzeba mu oddać honor, ponieważ kiedy akurat nie płakał, krzyczał do goblinów, żeby się pierdoliły.

– Gdybym tylko mogła zdobyć swoją torbę z miksturami – odezwała się Norrigal. – Albo to, co z niej zostało.

Mówiła dziwnym głosem, ponieważ przyciskała policzek do płaskich prętów klatki, a także wciąż była otępiała po trafieniu zatrutym bełtem, ale i tak ją rozumiałem. Sam też byłem nieco oszołomiony. Cały nasz doczesny dobytek spoczywał w długiej niecce przy sterburcie, a końska laska Galvy oraz bijąca laska Norrigal leżały oparte o ścianę ładowni. Gobliny nawet nie zadały sobie trudu przejrzenia naszych rzeczy. Malk powiedział, że sprzedadzą wszystko, co się da, kiedy zawiną do jakiegoś ludzkiego portu albo ukrytej goblinńskiej kolonii.

– Mają takie? – spytałem. – Tutaj?

– Owszem, mają – potwierdził.

– Gdzie?

– Są ukryte, prawda? Ale słyszałem, że gobliny zajmują wysepki takie jak ta, którą właśnie opuściliśmy, i kopią pod nimi tunele, tak jak w swoich ulach w archipelagu albo na Urrimadzie. Ale odkąd król Molrovy jest ich najlepszym przyjacielem, radzą sobie całkiem nieźle w tamtejszych miastach. Grevitsa i Rastiva przygotowały dla nich całe dzielnice, chociaż większość zamożniejszych ludzi wyjechała z Grevitsy. Teraz mieszkają tam tylko gobliny, złodzieje i wielorybnicy. No i kilku producentów koronek.

– Co ma z tego król?

– A jak sądzisz?

– Goblinińskie srebro.

– No właśnie.

– Pokój na południowej granicy.

– To też – przytaknął Malk. – A oprócz tego stały dopływ kozłów ofiarnych dla każdego bezceństwa, którego się dopuszcza. Ludzie to znoszą, ponieważ wiedzą, jakim piętnem odcisnęły się na nas wojny Młocarzy i Córek. Wybrali niegodny pokój zamiast krwawej wojny. Poza tym się bogacą. Wiesz, ile kosztuje herbata.

– Zatem znajdują się pod okupacją.

– Nie, król jest silny. Nie wpuszcza aż tylu kłusaczy, żeby w razie czego nie mógł ich wybić. Ale jeśli do tego dojdzie, kłusacze zrobią to samo z ludźmi z Molrovy, którzy handlują na Ziemiach Hordy. Chociaż według mnie śmierć jest właściwą zapłatą dla tych, którzy mieszkają wśród tych skurwieli. Ale jeśli znów rozpoczną się rzezie, Molrova nie będzie mogła handlować pieprzem, cynamonem i tygrysimi skórami, a Horda straci dostęp do foczego mięsa, taniej rudy żelaza oraz ambry. Te kutasy ją uwielbiają. Używają jej jak złota. No i jest jeszcze ludzkie mięso, które kradną na morzu.

Chciałem spytać, skąd je biorą, ale odpowiedź wydawała się oczywista.

– Czy nasz król o tym wie? – spytałem. – Conmarr nie przepada za goblinami.

– Jasne, ale niby co ma zrobić? Połączyć siły z Ispanthią i tym dupkiem królem Kalithem? Bez obrzydzenia.

Galva jęknęła, a potem wyszeptała:

– Nic nie szkodzi.

– Conmarr nie ma ochoty znów posyłać naszych synów i matek na śmierć – ciągnął Malk. – Unther ma jeszcze mniej środków niż my, a Gallardia udaje, że nic się nie dzieje, sprzedaje śliczne obrazy i uczy wszystkich tańczyć. Ale nie miej złudzeń. Wojna znów nadchodzi. To tylko kwestia tego, która strona jako pierwsza poczuje, że odzyskała siły po poprzedniej rundzie. Pewnie oni – szybciej się mnożą. Nie wiadomo, czy Molrova tym razem pozostanie neutralna, czy sprzymierzy się z goblinami.

Malk opowiedział mi więcej o Molrovianach i goblinach. O tym, że ci pierwsi przeprowadzają się na Ziemię Hordy, gdzie nazywa się ich „czarnymi dłońmi”, ponieważ tatuują sobie jedną dłoń na czarno, żeby gobliny wiedziały, że nie mogą ich tknąć. Posyłają tam dobrych wojowników, aby kłusacze myśleli, że wszyscy Molrovianie są tacy twardzi. Słyszałem o Grevitsie, niesławnym molrovskim mieście na wyspie. Było to miejsce słynące z porwań, zabójstw na zlecenie i, co ciekawe, koronek. W spokojniejszych czasach było stolicą koronkarstwa i nawet dziś mieszkańcy miasta noszą na mankietach lub kołnierzach kawałki koronki, by dać innym znać, skąd pochodzą i że nie warto z nimi zadzierać.

– No cóż, miejmy nadzieję, że zawiniemy do Rastivy, a nie do kolonii kłusaczy – powiedziałem.

– Nadziejemy? – parsknął Malk. – Nie zawiną do ludzkiego miasta z nami w ładowni. Rozłożą tę klatkę na kawałki i ją schowają albo będą udawali, że używają jej do przetrzymywania młodych fok lub kóz. Możesz się domyślić, gdzie już wtedy będziemy.

– Skoro nie ma nadziei, to po co mi to wszystko mówisz?

– Ja? Tak tylko gadam, żeby powstrzymać się przed myśleniem, a ciebie przed płaczem.

– Wcale nie płaczę – odparłem.

- Będiesz.
- Nie płakałem od dnia, w którym twoja matka odeszła z burdelu w Platha Glurris.
- Platha jest za mała, żeby mieć burdel – stwierdził Malk.
- Wiem, że ty tak go nie nazywałeś. Mówiłeś o nim „dom”.

Zachichotał chrapliwie.

- Nie rozumiem, dlaczego wy w Holcie tak lubicie żarty o matkach i ojcach – wtrąciła się Galva. – Nie kochacie swoich matek?
- Przede wszystkim jesteśmy Galtami – zaznaczył Malk.
- I kochamy nawzajem swoje matki – dodałem. – Oraz ojców.

Galva mruknęła pod nosem, a Norriganal szepnęła w stronę kraty:

- Wasi ojcowie mieli większe jagody niż gałązki. A matki zbyt zachowawczo podchodziły do dzieciobójstwa.

Roześmiała się ze swojego żartu. Jej falujący brzuch poruszył głowę Galvy, która także się roześmiała, co zmusiło do chichotu Malka oraz mnie. Biedny harpunnik również zaczął się śmiać, chociaż wiedział, że będzie kolejnym cielakiem na rzeźniczym stole. Nie przestałem się śmiać, nawet gdy zobaczyłem strużkę krwi płynącą po podłodze, ponieważ nie wiedziałem, czyja to krew. Miałem wrażenie, że w tle słyszę popiskiwanie lisa.

Kiedy czarownik zaczął wywijać swoim magicznym kamieniem, przejął kontrolę nad wiatrem wezwanym przez Norriganal i zmusił go do poniesienia goblinich bełtów. Znajdowaliśmy się wtedy na brzegu i bieглиśmy w stronę skał, w nadziei że uzyskamy przewagę wysokości. Gdyby Norriganal pozostała przy życiu, mogłaby użyć kolejnej sztuczki, by unieszkodliwić kusze – w przeciwnym razie nie mieliśmy wystarczająco mocnych pancery, a problem w walce łuku z kuszą polega na tym, że łuk co prawda jest w stanie szybciej wypuścić drugą strzałę, ale nie sprawdza się tak dobrze podczas kluczenia między skałami. Trzeba naciągnąć cięciwę i ją zwolnić, co za długo trwa, by móc strzelać zza zasłony. Kusza jest lepszą bronią oblężniczą; wystarczy pociągnąć dźwignię, a cała zmagazynowana siła zostaje wyzwolona. Co więcej, kusze goblinów są potężniejsze, niż się można spodziewać, ponieważ każdy strzelec ma hak na pasie, o który po przykucnięciu zaczepia strzemię i błyskawicznie naciąga cięciwę, wykorzystując siłę nóg. Mieliśmy przerąbane. Miałem chwilę na zastanowienie, dokąd poszedł mój kot, ale nigdzie go nie widziałem. W tej sytuacji nie byłbym zaskoczony, gdyby skrytobójczyni ukryła zwierzaka do czasu, gdy gobliny zabiorą nas z wyspy, a potem zaczęła na lepszą okazję.

Kąsacze zaatakowały kruka. Próbowaly go zestrzelić, ale Galva odbiła od skał i zasłoniła ptaka tarczą. Ten trzepotał skrzydłami – taktyka zwana „drzeniem” – dzięki czemu trafiło w nie kilka strzał, ale żadna nie zagroziła jego życiu. Gobliny musiały podejść bliżej. Nie chciały tego robić i czarownik zadbał o to, by nie musiały. Zakręcił kamieniem pod innym kątem i wiatr ucichł. Do brzegu dotarło już dziewięć goblinów, cztery z kuszami i pięć z włóczniami. Stary czarownik znajdował się na statku, w odległości dobrych osiemdziesięciu jardów. Nie mogłem go trafić ze skał, ale być może udałoby mi się tego dokonać z plaży, a wiedziałem, jak tam dotrzeć niezauważonym, więc puściłem się biegiem.

Kiedy dotarłem na miejsce, Malk i harpunnik już dołączyli do Galvy. Malk był uzbrojony w swoją marynarską szablę, a Gormalin wywijał nad głowę wiekowym i zardzewiałym gunnickim mieczem, zupełnie jakby nie miał pojęcia, jak się nim posługiwać. W jego nodze tkwił bełt, którego zapewne jeszcze nie zauważył, a Malka również kilkakrotnie skaleczyły groty. Galva starała się ich osłonić, ale płaciła za to wysoką cenę – była ranna w ramię, a jej ptaka także trafiło kilka strzał. Nie wiedziałem, co robi czarownik na goblinim statku. Nie wiedziałem, co robi Norriganal. Po prostu biegłem. Zdołałem dotrzeć do linii wody, zanim mnie zauważono – później dowiedziałem się, że Norriganal zapewniała mi magiczną osłonę. Wiedziała najlepiej z nas wszystkich, że zastrzelenie czarownika było naszą jedyną nadzieją, a ja miałem szansę go trafić z siedemdziesięciu jardów, które dzieliły mnie od statku. To daleko jak na strzał z łuku, ale mogłem tego dokonać. Żeby zmniejszyć dystans, wszedłem głębiej do wody, aż sięgnęła mi do ud.

- Nie spudłuj! – wrzasnęła Norriganal.

Ale moje szczęście się wyczerpało. W piersi czułem pustkę, która była jak nagana kochanki.

Spudłowałem.

Wciąż brałem poprawkę na wiatr, który ucichł, więc strzała zboczyła w lewo. Nie powinienem był się tak pomylić, ale podczas walki na śmierć i życie nie myśli się jasno, a przynajmniej ja tego nie potrafię. Jeśli umiecie zachować idealny spokój i rozsądek, gdy pędzą na was kąsacze, to gratuluję, ale ja nie byłem i nie jestem do tego zdolny. Podczas walki popełnia się błędy i trzeba tylko mieć nadzieję, że żaden z nich nie będzie tym ostatnim. Na szczęście czarownik nie zauważył mojej strzały, która przemknęła nad jego stertą warkoczy. Właśnie kończył rzucać zaklęcie; chwycił magiczny kamień, którym dotychczas wywijał, i dwukrotnie nim potrząsnął. Fragment urwiska nad Galwą i pozostałymi oderwał się i runął z donośnym hukiem. Założyłem strzałę na cięciwę. Gobliny pędziły w moją stronę, rozchlapując wodę. Goblini bełt wystrzelony z plaży poślaskował mnie w tył głowy. Strzeliłem w starego piernika na statku. Zaraz po zwolnieniu drugiej strzały wyciągnąłem trzecią i obejrzałem się przez ramię na plażę. Kąsacz, który do mnie strzelał, zatrzymał się przy rozbijających się falach i właśnie zaczynał naciągać kuszę, w czym bardzo przeszkadzały mu mokry piasek, żwir oraz odgłosy pobudzonych mew.

Za jego plecami Galva, Malk i kruczycza Dalgatha zabili dwa gobliny, lecz kolejne już ich otaczały. Ale to nie miało znaczenia. Głaz wielkości krowy zmiażdżył Dalgathę. Zerknąłem w prawo i zobaczyłem, że czarownik zgiął się wpół, trafiony w brzuch moją strzałą, a inny goblin mu pomaga. Założyłem kolejną strzałę na cięciwę i strzeliłem kutasowi z kuszą prosto w pysk, zanim zdążył ją przeładować. Galva pochyliła się i chwyciła jedno pióro potężnego, straszliwego kruka, który dygotał na piasku.

Wiedziała, że to bardzo ważne, by chwycić to pióro, zanim ptak umrze. Tak ważne, że odwróciła się plecami do napastników, chociaż do niej strzelali i rzucali włóczniami. Odłamała pióro, a ptak zapłonął pod kamieniem i w niebo wzniósł się czarny dym.

Jej pierś także dymiła i Galva krzyknęła – prawie nigdy tego nie robiła – po czym padła na kolana.

Dwa gobliny pobiegły w moją stronę, więc uciekłem w stronę skał, gdzie Norrigal leżała na ziemi, skulona wokół bełtu, który tkwił w jej brzuchu. Strzał jednego z kłaczów drasnął mnie w ramię, a na grocie było tyle trucizny, bym wkrótce się przewrócił. Gobliny tłukły Galwę i Malka drzewcami poskręcanych, mrocznych włóczni, a harpunnik leżał obok nich nieprzytomny. Gobliny chciały ich schwytać żywcem. Chciały nas schwytać żywcem. W ten sposób wpadliśmy w ich ręce.

– Umarł? – spytałem starego kłacza, który polewał morską wodą węgle. – Wasz stetryczały kruszący skały czarownik. Poszedł się spotkać z tym rozmazanym kerkiem w niebie... czy raczej pod ziemią.. którego czcicie, kutasy?

Jeśli nawet mnie zrozumiał, to nie dał tego po sobie poznać, tylko poruszył szarawymi ustami wokół rybich zębów i wywołał kolejny obłok pary. Norrigal znów zasnęła; po trafieniu w brzuch miała w ciele więcej trucizny niż ja po dwóch draśnięciach.

Oczywiście gdyby wiedzieli, że poniosą takie straty, zapewne by nas nie atakowali – z drugiej strony, być może warto było stracić siedmiu marynarzy i czarownika, by uśmiercić kruka i zjeść dwóch zaprawionych w bojach zabójców kłaczów. Gobliny nienawidziły kruków bardziej niż nas i nie można się im było dziwić. Potężne czarne ptaki odwróciły losy wojny, na równi z okrętami z wiosennego drewna.

Wiosenne drewno się skończyło, ale dzięki takim ludziom jak Stukwark Mieszacz Kości i Fulvir Wiążący Błyskawice opanowaliśmy sztukę tworzenia bojowych kruków. W normalnych okolicznościach czułbym się winny, podpisując się pod sukcesami armii Ludzkich Krain, ale teraz także byłem zabójcą goblinów. Nie byłem na wojnach, ale też walczyłem, nawet jeśli poniewczasie. Zabicie goblinińskiego czarownika, jeśli rzeczywiście mi się udało, to nie lada wyczyn. Jeśli miałem zostać pokrojony i zjedzony, przebaczenie Malka niewiele mogło mi pomóc, ale w tej chwili, gdy tak leżałem w klatce z jego stopą na swojej twarzy i obaj na siebie krwawiliśmy, zdołałem przekonać samego siebie, że to ważne.

– Hej, Spanthianko – odezwałem się.

Przekręciła głowę, żeby pokazać, że słucha, ale prawie nie otworzyła oczu.

– Możesz nam powiedzieć, po co naprawdę wybieramy się na Rubieże. Zabiorę ten sekret do grobu.

– I to już niedługo – dodała Norrigal.

– Ty mu powiedz, *pruxilta*. Ja... nie mam ochoty mówić.

– Chwileczkę – zachnąłem się. – Kurwa, powiedziałaś jej, a mnie nie?

– Należysz do Gildii, prawda? – odrzekła Norrigal. – Ale być może jesteś kimś jeszcze.

– To znaczy kim? – spytałem.

– Przekąską dla kłacza – wtrącił się Malk.

– Martwe Nogi uważa, że twoje imię doskonale cię określa. Kinch. Węzeł w sieci Poborców – wyjaśniła Norrigal. – Ale nie chcę zaprzętać ci głowy sprawami, które nie muszą być prawdą. Jedziemy na Rubieże, żeby posadzić wiedźmę na tronie.

Odrobina światła w grobie

Dawno, dawno temu, ponieważ właśnie tak zaczynają się bajki, było sobie królestwo nad morzem. Było pełne przystojnych, dzielnych mężczyzn i pięknych, bystrych kobiet. Kraina ta nazywała się Ispanthia. Oczywiście w każdym królestwie żyje pełno dzielnych i pięknych ludzi, jeśli spyta się kogoś pochodzącego z danego miejsca. Nikt nie mówi: „Moja ojczyzna jest pełna tchórzliwych kerków i cuchnących starych bab”, przynajmniej nie w bajce.

Ale pewnego razu powróciły gobliny i połowa dzielnych wojowników Ispanthii wyruszyła na południe, by z nimi walczyć. Niestety, wierzchowce, które niegdyś pomogły im wygrać Wojnę Rycerzy, pozdychały od chwiejnicy, a żołnierze nie walczyli tak dobrze pieszo jak w siodłach.

Dlatego gobliny ich pożarły.

A potem podeszły bliżej.

Powiedziały: „Jesteśmy głodne”.

Zatem królestwo posłało pozostałą połowę dzielnych wojowników, a wraz z nimi rolników, pasterzy i górników, a nawet młodego handlarza starzyzną, który nie miał zębów i zabawiał się ze sobą publicznie.

Ale ich gobliny także pożarły.

A potem podeszły bliżej.

I tam się zatrzymały.

Królestwem Ispanthii władał dobry i dzielny król, który ruszył na wojnę i walczył. Ale od walki z goblinami popsuła mu się głowa i spaskudziły sny, tak że już nie chciał rządzić. Pragnął tylko tańczyć. Nie miał ochoty zajmować się swoją córką, małą śliczną Mireyą, więc kupił jej menażerię pełną zwierząt. A potem tańczył, tańczył, tańczył i rozdawał swoje ziemie.

Ale korona ma to do siebie, że jeśli na zbyt długo ją zaniedbacie, ktoś inny po nią sięgnie.

Na przykład wasz brat.

A zatem brat, przebiegły i przystojny drań imieniem Kalith, spytał szlachciców, czy według nich król oszalał, ale oni zaprzeczyli, ponieważ król rozdawał ziemie i tytuły na lewo i prawo. Dlatego Kalith otruił króla oraz królową i zrzucił winę na swojego głupiego brata. Próbował otruć także córkę, ale jej małpka ostrzegła ją, by tamtego wieczora nie jadła zupy. Tak więc głupca spalono żywcem, a dziewczynka płakała.

Wujek głaskał ją po głowie i z uśmiechem powtarzał: „Już dobrze”.

Była następna w kolejce do tronu.

Kalith stale się do niej uśmiechał.

Małpka powiedziała Mireyi, że wujek zabije ją przed koronacją, a jej jedyną szansą jest przekonanie go, że jest niegroźna.

Dlatego, jako wyjątkowo sprytnie dziecko, Mireya zaczęła rozmawiać z małpką publicznie.

Przestała się myć.

Wyła do gwiazd i księżyca.

Wtedy szlachcice ogłosili, że jest obłąkana.

W tym królestwie wariatów uznaje się za ulubieńców bogów, więc nawet wujek nie śmiał jej skrzywdzić, gdyż naraziłby się na gniew ludu. Ten co prawda był gotowy przymknąć oko na zabójstwo króla, który tańczył, gdy kraj popadał w ruinę, ale kochał infantkę Mireyę i współczuł jej z powodu popadnięcia w obłąd.

Szaleńcy nie mogą rządzić, ale mogą zawierać małżeństwa, dlatego wujek, teraz już król, odesłał swoją bratanicę do Gallardii, by wyszła za jednego z tamtejszych lordów. Nie był to przystojny człowiek – nazywano go Ropuszym Hrabią Orfay – ale odważny i dobry dla swojej szalonej pani, Mireyi, która po opuszczeniu Ispanthii wyzbyła się obłąd.

A potem gobliny podeszły bliżej.

Powiedziały: „Jesteśmy głodne”.

Zatem królestwa zgromadziły wszystkich pozostałych dzielnych mężczyzn, ale to nie wystarczyło. Dlatego także sprytnie kobiety zostały wojowniczkami, ale to również nie wystarczyło.

Mireya nie była szalona, ale była niebezpieczna. Okazało się, że potrafi rozmawiać ze zwierzętami. A także przywoływać deszcz. Oraz sprawiać, by woda płynęła w górę zbocza. Kiedy jej mąż, król, wyruszył na wojnę z goblinami i nie wrócił, mieszkańcy Gallardii uznali, że nie chcą u siebie wiedźmy i odesłali Mireyę na dalekie Rubieże, by wyszła za tamtejszego władcę.

Tam Mireya pozostała.

Królestwa Ispanthii i Gallardii zaczęły hodować potężne bojowe kruki i posłały je do walki razem z resztkami mężczyzn i pozostałą połową kobiet.

Okazało się, że gobliny boją się ptaków.

Kruki odrywały im nogi, a córki odrąbywały ręce.

Dlatego gobliny stwierdziły: „Pieprzyć te ptaki, już nie jesteśmy głodne” i wróciły do domu, do swoich zasranych tuneli, ludzkich hodowli i grzybowych ogrodów.

Kiedy losy wojny się odwróciły, Mireya, teraz królowa Rubieży, postanowiła posprzątać w swoim domu. Król ją kochał i spełniał jej wszystkie pragnienia, więc wygnała Gildię Poborców. Gildia wysyłała skrytobójców, by się jej pozbyć, ale Mireya zawsze wiedziała, kiedy się zbliżają, ponieważ ostrzegały ją zwierzęta. Gildia musiała zejść do podziemia. Ale królowa zużyła tak dużo magii na jej pokonanie, że nie usłyszała głosów zwierząt, gdy te ostrzegały ją przed nadejściem olbrzymów. Ludzkie Krainy miały pecha, ponieważ zaraz po tym, jak wyniszczyła je wojna z goblinami, nadeszły olbrzymy i zajęły miasto położone najdalej na zachodzie.

Zimne miasto w dolinie między dwoma górskimi pasmami.

Nikt nie wiedział, dokąd odeszła królowa.

Ale jej dawna przyjaciółka wyruszyła, by ją odnaleźć.

Wojowniczką, która walczyła u boku ptaków i przegnała gobliny.

Ona wiedziała, jak przywrócić Mireyę na tron Ispanthii.

Z pomocą dwóch wiedźm.

Oraz być może strażnika z Zimnych Stóp.

A także złodzieja, który nienawidził swojej Gildii.

Taką historię opowiedziała mi Norrigal, choć w nieco skróconej formie.

Po jej wysłuchaniu prawie zasnąłem.

Wkrótce miałem umrzeć, ale nie pośród drani i podczas nieudanej, lecz godnej misji.

Czy naprawdę byłbym gotów zdradzić Gildię i działać wbrew jej interesom?

Nie wiedziałem.

Ale światłem w grobie było to, że skoro tkwiliśmy w klatce i mieliśmy skończyć w żołądkach goblinów, nie musiałem się o tym przekonywać. Musiałem tylko umrzeć.

Uwolniony od takiego brzemienia, zdołałem zachować spokój i godność, nawet kiedy staruch polewający palenisko wodą podszedł do mnie i pokazał mi jakiś mały przedmiot z korbką. Bogowie, ależ cuchnął. Ale powstrzymałem wymioty, nawet kiedy podniósł dłoń z pazurem i pokazał mi korbkę. Zachęcił mnie, żebym nią zakręcił. Kiedy nie zareagowałem, chwycił moją dłoń i mnie zmusił. Patrzyłem, jak z jednej strony urządzenie wysypują się drobne białe kryształki. Rozsypał je na mojej ręce i polizał paskudnym, opancerzonym jęzorem, który przypominał połączenie kociego języka z wyprawioną skórą. Jeden z jego zębów mnie skaleczył, a wtedy goblin wtarł palcem ziarenka soli w zakrwawione miejsce i wrócił do swojej pracy, oblizując ten palec, jakby na świecie nie było niczego bardziej smakowitego. Pieprzyć go, pieprzyć wszystkie gobliny i pieprzyć wszystkich, którzy zawierają z nimi pokój. Jeśli nie rozumiecie dlaczego, posłuchajcie, co było dalej. Posłuchajcie i uwierzcie, że to prawda.

Śmierć mew

– Po prostu patrz na mnie – powiedziałem do Norrigal nieco później.

Może o godzinę, może o pół dnia. Czas traci sens, gdy jest wam niewygodnie i czekacie na śmierć.

Dziwaczne latarnie płonęły na ścianach ładowni, więc mogła być noc. Wiedźma popatrzyła mi w oczy. Zamierzali zaszlachtować harpunnika tuż przed naszą klatką. Goblin, który wyglądał na kapitana, porozmawiał z goblinem przy palenisku i obaj wzięli tasaki oraz linę i ruszyli w stronę klatki harpunnika.

Nie chciałem, żeby śniło mi się to po nocach, jeśli jeszcze kiedykolwiek będę miał okazję spać, więc odwróciłem wzrok i pomyślałem, że Norrigal może zechcieć zrobić to samo. Miałem rację.

Staruszek zaczął jęczeć; nie mógł się powstrzymać, a ja nie miałem mu tego za złe. To był paskudny dźwięk, więc zacząłem śpiewać piosenkę, której nauczyłem się podczas pobytu w Pigdenay, a która nosi tytuł *Śliczna i wesola*, choć jest znana także jako *Kanon z Pigdenay*, ponieważ w taki sposób często się ją śpiewa. Zaśpiewałem swoim najlepszym tenorem, sprzeciwiając się w ten sposób niegodziwości, która miała się dokonać. Śpiewałem głośno. Być może nigdy w życiu nie śpiewałem lepiej, ponieważ chciałem, żeby biedak odszedł z tego świata, słysząc piosenkę ze swojego rodzinnego miasta, i zamierzałem wykonać ją porządnie.

*O jakżeś śliczna i wesola,
A chociaż myślisz, że nie zdołasz
Trosk znosić z podniesioną głową,
Znikną, gdy dzień wstanie na nowo.*

Malk również znał tę piosenkę i zaczął mi wtórować donośnym barytonem:

*Dopókiś młoda, ciesz się chwilą,
Zanim dobre czasy przeminą,*

Przyłączyła się Norrigal, wysokim nosowym altem, dając z siebie wszystko, choć miała twarz przyciśniętą do krat:

*A twych przyjaciół, moja złota,
Dopadną starość i brzydota.*

Harpunnik zaczął śpiewać razem z nami, ale goblinom to się nie spodobało, więc uderzyły go w głowę i chyba zabiły, co byłoby błogostawieństwem. Potem zabrały się za niego na poważnie, ale my nie przestawaliśmy śpiewać.

*Ale to nadal pieśń przyszłości,
Więc wolna bądź od smutku, złości.
Dziś świat cię po imieniu woła,
Bo jesteś śliczna i wesoła.*

*Oko me nigdy nie widziało
Na polach, w miastach ni na skałach,
Od lat młodzieńczych aż do dzisiaj,
Uśmiechu tak pełnego życia.*

*Zatem uśmiechem daj mi znak,
Że zrozumiałaś, co i jak,
A smutek porwać cię nie zdoła,
Bo jesteś śliczna i wesoła.*

Odśpiewaliśmy całość jeszcze trzykrotnie, zanim gobliny skończyły, i żadne z nas ani razu nie spojrzało w tamtą stronę. Nawet wtedy, gdy załoga zesłała na positek. Wtedy już nie śpiewaliśmy i nie zagłuszciliśmy odgłosów krojenia ani zgrzytu solniczki. Nie wiem, czy zemdlałem od swoich obrażeń, czy z przerażenia. Wiem, że nie byłem jedyny, ponieważ kiedy ocknąłem się w parnej ciemności ładowni, tylko ja byłem przytomny.

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, było ciepło pod mostkiem – powróciło moje szczęście. Potem zauważyłem, że stary goblin zniknął. Następnie zwróciłem uwagę na to, że na statku panuje cisza. Zamiast szczekania i gardłowego pogwizdywania załogi obsługującej żagle i ster słyszałem tylko krzyki mew. Wydało mi się to dziwne, ponieważ gobliny nienawidziły mew i rybołówek i przeganiały je biczami oraz ogniem. Krzyki mew do dzisiaj mnie uspokajają. Zauważyłem, że kołyszemy się bardziej niż zwykle, a goblinie statki mocno się kołyszają, ponieważ mają niewielki kil, który umożliwia im pływanie po płycznach. Podczas jednego z silniejszych ruchów zauważyłem solniczkę, która potoczyła się po podłodze i zatrzymała na stopie leżącego opiekuna paleniska.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie wiedziałem co. Byłem oszołomiony. Dotknąłem drzwi klatki i odkryłem, że mogę je otworzyć. Zrobiłem to powoli. Obejrzałem się i upewniłem, że Norrigal, Malk i Galva są nieprzytomni. Ranna Galva chrapała niemal tak głośno jak biedny Gormalin.

Wyszedłem z klatki i zbliżyłem się do skrzyni, w której trzymano nasz dobytek, obserwując trap prowadzący na pokład oraz nieruchomego strażnika, który leżał obok sterty własnych wymiocin. Znalazłem swoje noże i pas. Zabrałem także łuk i kołczan z kilkoma pozostałymi strzałami. Trąciłem Malka, ale się nie obudził. Wyglądał bardzo blado. Norrigal zaczęła się poruszać. Zakryłem jej usta dłonią. Wytrzeszczyła oczy, gdy przypomniała sobie, kim jest i gdzie się znajduje. Pomogłem jej stanąć na drżących nogach i podejść do skrzyni, w której znalazła swoją laskę roztrzaskującą głowy. Poprosiłem, żeby spróbowała obudzić pozostałych, podczas gdy sam zamierzałem wyjść na pokład i sprawdzić, co się dzieje.

Przekradłem się w górę trapu, trzymając strzałę w pogotowiu, i moim oczom ukazały się skutki wielkiej rzezi. Gobliny leżały powykrzywiane cierpieniem na pokładzie pokrytym krwawymi wymiocinami. Jeden wciąż żył, trzymał się burty i hałaśliwie opróżniał żołądek do morza. To był czarownik. Podniósł na mnie wzrok, tocząc ślinę z ust wypełnionych ostrymi zębami.

– Sprytnie – rzekł. – Wiecie, że najpierw zjadamy najsłabszego. Sprytnie. Gratuluję...

Jedną z rzeczy, które wiem o czarownikach, jest to, że nie wolno pozwolić im mówić. Chociaż byłem pod wrażeniem jego znajomości holtyjskiego i ciekawiło mnie, co może mieć do powiedzenia, nie chciałem, by rzucił na mnie urok, uśpił mnie albo sprawił, żeby przygniotło mnie drzewce masztu, więc go zastrzeliłem. Strzeliłem kutasowi prosto w głowę, doprawiłem mu róg, nazwijcie to, jak chcecie, w każdym razie już nigdy nie będzie odwracał wiatrów, zrzucał głazów na bojowe kruki, wymachiwał swoim kamieniem na sznurku, a kiedy zaprosicie go na wspólne pałaszowanie nogi harpunnika, będzie musiał grzecznie odmówić. Obnażył ostre zęby z bólu i chwycił strzałę, a potem krew popłynęła mu z jednego oka i z dziur, które znajdowały się w miejscu nosa, zrobił trzy chwiejne kroki, usiadł i skonał.

Nie było mi go ani trochę żal.

Znacznie łatwiej jest zabić goblina niż człowieka.

Mewy krążyły po niebie. Jedna z nich podeszła do gobliniego trupa na pokładzie rufowym, żeby go dziobnąć. Dwie kolejne walczyły na maszcie; tłusta i hałaśliwa odpędzała rywalkę kpiącymi krzykami. Całe stado posilało się stertą świeżych wymiocin. Jedna z mew, cętkowana i brązowawa, leżała martwa obok innej sterty wymiocin, a wiatr lekko poruszał jej piórami.

„Gratuluję”.

Trucizna.

Gobliny zostały otrute.

Statek zakołysał się pod moimi stopami. W górze rozległ się odgłos grzmotu. Zbliżał się sztorm, a ja byłem na okręcie pełnym martwych kłaczek i nie miałem pojęcia, jak nim sterować.

– Fothannonie, Panie Intryg, to twój dzień! – zawołałem do wzmagającego się wiatru. – Wychwalam twój udział w tych wydarzeniach i dokładnie go dostrzegam. Nie daję ci w ofierze łez, ponieważ ich nienawidzisz. Nie proszę o błogosławieństwo, ponieważ gardzisz prośbami i zawsze bierzysz więcej, niż ofiarowujesz. Zamiast tego daję ci dźwięk, który jest najbliższy twojemu i mojemu sercu, ty niepoprawny staruchu. Gratuluję.

Popatrzyłem na otaczający mnie chaos, wsłuchałem się w wiatr oraz krzyki otrutych mew i zacząłem się śmiać.

Śmiałem się, aż łzy pociekły mi po policzkach.

Śmiałem się, dopóki Norrigal nie zawołała mnie pod pokład.

– Co tu robi ten kot, do jasnej kurwy? – spytała.

Byczek siedział obok martwego opiekuna paleniska i lizał łapę, jakby niczym się nie przejmował. Norrigal trzymała się za dłoń.

– Nie wiem – odrzekłem. – Co ci się stało w rękę?

– Drań mnie drapnął.

– Próbowłaś dotknąć solniczki?

– Skąd o tym wiesz?

– Nie dotykaj solniczki. Jest pełna trucizny.

Nie zazdrościłem temu, kto będzie musiał wyjaśnić obecność kota na statku Malkowi i Galvie, zwłaszcza gdy przypomniałem sobie, że to ja będę musiał to zrobić. Powiedziałem, co zobaczyłem na pokładzie.

– Nie wiem, czy zrozumiałaś wszystko, co widziałaś, służąc swojej podziemnej wiedźmie, ale mnie duża część tych rzeczy wydawała się tajemnicza i cudowna. Czy możemy po prostu uznać, że nareszcie przydarzyło się nam coś tajemniczego i cudownego? Czy możemy po prostu powiedzieć, że cieszymy się, że kot tutaj jest? Bez zaglądanego mu do gardła?

Przez chwilę patrzyła na mnie i na kota.

– Możemy – odrzekła w końcu.

– I czy możemy po prostu powiedzieć, że wydostałaś się i otrułaś ich wszystkich, a Byczek schował się w mojej torbie i w ten sposób pozostał niezauważony, zarówno przez nas, jak i przez naszych miłych gospodarzy?

– Możemy – odpowiedziała, świdrując mnie wzrokiem.

Byczek wskoczył do torby i zamknął ją za sobą.

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz – powiedziała Norrigal.

Malk nie był w najlepszej formie, ale pozostało z niego wystarczająco dużo, by pokierować statkiem, gdy nadeszła burza. Wreszcie dopisało nam szczęście i burza tylko nas zahaczyła, po czym z rykiem pomknęła na zachód, niosąc kołczan pełen błyskawic dla okrętów Molrovy. Drugiego dnia Galva już chciała nam pomagać, ale zmusiliśmy ją, żeby się położyła. W trójkę utrzymywaliśmy gobliną jednostkę na powierzchni, a w ciągu dnia nawet udawało nam się sterować nią na południe. Naszym największym problemem była woda. Gobliność mogą pić morską wodę. Do jedynej beczki ze słodką wodą, którą trzymały na pokładzie, by nas poić, z wymiotował jakiś konający goblin pozbawiony poczucia powściągliwości. Szkoda, że nie przyszło nam do głowy, by wystawić jakieś naczynia podczas burzy, ale mieliśmy inne sprawy na głowie. Już pierwszej nocy haniebnie wychłptaliśmy całą deszczówkę, jaką udało nam się wycisnąć z żagla.

Norrigal i ja mieliśmy zbyt obolałe gardła, by swobodnie rozmawiać, ale siedzieliśmy przytuleni, żeby dodać sobie otuchy, i patrzyliśmy na niezliczone gwiazdy. Nic nie może się równać z widokiem gwiazd na otwartym morzu, gdzie żadna pochodnia ani latarnia nie zakłóca ich majestatu. Odważyliśmy się na kilka suchych pocałunków, ale na nic więcej. Nasz statek wciąż bardziej przypominał barkę pogrzebową niż okręt wycieczkowy, a chociaż nieco przywykliśmy do smrodu goblinów, trudno go nazwać afrodyzjakiem.

– Martwe Nogi mogłyby nas ochronić przed zabraniem na statek – wychrypięła Norrigal.

– Nie możesz tego wiedzieć – odrzekłem, a mój głos był cieniem samego siebie.

– Owszem, mogę.

– W takim razie nie wiesz, czy to by nam pomogło. Wciąż bylibyśmy na wyspie. Zresztą staruszka nie mogła wybrać się w podróż. Dlatego posłała ciebie.

Norrigal ze smutkiem pokiwała głową.

– Nie byłam gotowa. Może po kolejnych trzech latach nauki. Ale na razie tyle samo zaszkodziłam, co pomogłam.

– Nieprawda, po prostu jesteś Galtyjką – odparłem. – Żaden język nie mówi o sobie tak ostro jak czarny język.

Patrzyłem w jej ładne szare oczy, które były tak blisko, że widziałem odbijające się w nich niebo. Nie uwierzycie, ale nagle dostrzegłem odbicie spadającej gwiazdy. Jej oko otworzyło się szerzej.

– Widziałaś? – spytałem.

Lekko skinęła głową.

Uśmiechnęła się, kiedy zrozumiała, że zobaczyłem gwiazdę w jej oku.

Jego krawędź lekko zwilgotniała, ale Norrigal była zbyt odwodniona na ły.

Drugiego dnia wszyscy byliśmy na prostej drodze do postradania zmysłów z pragnienia.

Na szczęście wtedy zobaczyliśmy żagle.

– Czyj to okręt? – spytałem Malka, którego bolała głowa od patrzenia przez goblinską lunetę. – Molrovy?

– Nie – odrzekł. – Mają na żaglach trzy białe smoki Śródmorza.

– Więc mamy szczęście! – zakrzyknęła Norrigal.

Śródmorze było najbliższym sojusznikiem Holtu, wyrosłym z holtyjskich podbojów pół wieku wcześniej, gdy Holt i jego rycerze kontrolowali wszystkie ziemie na północnej połowce kontynentu, od Ispanthii po Molrovę. Podobnie jak w królestwie Bryce, mieszkańcy Śródmorza znają holtyjską mowę niemal równie dobrze jak my, ale brak wspólnej granicy uczynił nasze stosunki bardziej serdecznymi. Śródmorze było dziwnym, równinnym krajem w kształcie podkowy, otaczającym Zatokę Trzewi. Słynęło z zimnolubnych kwiatów, piwa i okrętów wojennych.

– W normalnych okolicznościach śródmorski ognisty okręt oznaczałby dla nas dobrą wiadomość – przyznał Malk. – Gdybyśmy płynęli pod banderą Holtu, mielibyśmy szczęście. Ale oni sądzą, że jesteśmy goblinami.

– Nie obowiązuje ich traktat pokojowy?

– Oczywiście, że tak. Podobnie jak tych kutasów, które znalazły nas na wyspie. Znacie powiedzenie: „Fale nie mają uszu ani języka”.

– Prawdę mówiąc, nigdy go nie słyszałem.

– To, co dzieje się na morzu, zostaje na morzu – wytłumaczył. – O psiakrew.

– Proszę, nie mów tak. „O psiakrew” co?

– Widzicie ten dym?

– To ty masz lunetę. Ale chyba tak. Czy to oznacza...?

– Tak.

Przygotowywali ogniste strzały.

Olać traktat pokojowy.

Byliśmy goblinami.

A nasi serdeczni przyjaciele ze Śródmorza zamierzali nas spalić.

Czwarta Kobieta

Ognisty okręt zbliżył się do nas pod pełnymi żaglami, otoczony rozbryzgami białej piany. Smoki na żaglach także były białe i słabo widoczne na tle wyblakłego na słońcu błękitnego płótna; wyglądały jak duchy. To był solidny stary okręt, który niewątpliwie brał udział w walkach na Morzu Gorącym. Był uzbrojony w jedną balistę strzelającą do przodu i właśnie z niej skorzystała załoga. Pierwszy pocisk wzniósł się w powietrze, ciągnąc za sobą spiralę dymu. Wyglądałby pięknie ze swoim garnuszkiem gęstego oleju, płonącym knotem z próchna i pierzyskiem z piór mewy, gdyby nie był tak śmiercionośny. Zgasł niegroźnie w morzu.

Nasi nieświadomi sojusznicy przygotowali kolejny pocisk, by spróbować odebrać nam życie. Widziałem, jak krzątają się po pokładzie w białych śródziemnych tunikach i czapach z lisiego futra. Machałem do nich rozpaczliwie, ale mnie zignorowali – mogliśmy być molrowskimi sługusami kęśaczy, a marynarski strój Malka miał w sobie elementy typowe dla Molrovy. Krzyczałem do nich, ale byli za daleko.

Druga strzała również spudłowała, ale trzecia wbiła się głęboko w drewno, a gliniany garnuszek pękł, wychlapując oleistą galaretę na płonącą hubkę i tworząc niemożliwe do ugaszenia kałuże ognia na pokładzie. W ten sposób nasze floty zdołały wygrać bitwę w Zatoce Młotów, co otworzyło nam drogę do Ziem Hordy. Powiadano, że w tamtej skalistej zatoce spaliliśmy tyle goblińskich statków, że z powodu dymu zachodzące słońce przez trzy dni miało czerwony kolor. Zawsze się zastanawiałem, jak naprawdę wygląda walka na morzu, a teraz moja ciekawość wreszcie została zaspokojona.

Nie miałem ochoty umierać, nawet w historycznych okolicznościach, więc ucieszyłem się, widząc, jak Norrigal używa laski przeciwko ostatniemu, celnemu pociskowi. Niech będzie błogosławiona ta laska oraz Martwe Stopy za to, że ją stworzyła, jeśli tak było w istocie. Norrigal cisnęła nią jak włócznią, a laska w ostatniej chwili zawirowała i strąciła pocisk za burtę, po czym zawisała w powietrzu, czekając na kolejne wyzwanie. Nie było łatwo utrzymać ją w powietrzu, ponieważ statek kołysał się na falach, a przyjazna wroga jednostka płynęła prosto na nas. Pomimo rozbryzgów lodowatej wody Norrigal miała uroczą spoconą twarz, gdy za pomocą laski odbijała następny pocisk.

Trafiła strzałę w najgorsze możliwe miejsce, rozbijając garnuszek z axeńskim olejem, który oblał i podpalił laskę. Ta musiała być obdarzona świadomością, ponieważ wpadła w szal, gdy ogarnęły ją płomienie. Zawirowała wściekle, próbując pozbyć się paskudnej galarety, ale bezskutecznie. Potem zanurkowała w morzu, ale wiedziała, że to nie zadziała – axeński olej płonął pod wodą równie gorąco jak na powierzchni. Było mi jej niemal szkoda, dopóki nie obryzgała nas płonącą mazią, trafiając Malka w ramię i wznecając kilka małych pożarów na pokładzie, na którym, na szczęście, było zbyt mało drewna, by zajął się ogniem.

Potem wzbiła się w powietrze i rozdzieliła na kilka fragmentów, efektownie kończąc istnienie. A przy okazji sprowadzając koniec na nas. Śródziemski statek skręcił i przygotował się do zwrócenia ku nam burtą, gdzie czekała większość jego balist.

– Padnijcie! – wrzasnął Malk i rzucił się na pokład, a Norrigal i Galva poszły w jego ślady.

Na razie pozostałem na nogach, gdyż intuicja podpowiadała mi, że padnięcie na ziemię nie wystarczy. Kiedy ognisty okręt skręcił, zobaczyłem baterię sześciu załadowanych i dymiących balist. Zobaczyłem pierwszą oficer z wzniesioną buławą, gotową opuścić ją i zmienić nas w kulę ognia. Wrzasnąłem, nie wiedząc, co powiedzieć. Chciałbym donieść, że krzyknąłem coś w rodzaju: „My, synowie Holtu, pozdrawiamy trzech królów Śródmorza, niech bogowie obdarzą ich długim życiem i niech nasze kraje zdepczą goblińską Horde! Patrzcie, jaki dar wam przynosimy ku czci naszego dobrego i szlachetnego króla Conmarra!”.

Ale tak naprawdę zawołałem:

– Zaraza, nie! Jestem z Holtu! Wstrzymajcie ogień, kurwa, jestem przyjacielem! Przyjacielem! Niech bogowie ocala Śródmorze, jesteśmy waszymi przyjaciółmi! Kurwa! Nie!

Okazało się, że to podziałało. Mniej więcej. Zobaczyłem, jak pierwsza oficer zaczyna opuszczać rękę z buławą, ale nagle się zatrzymała, jak wartownik, który zasypia, lecz w ostatniej chwili dochodzi do siebie. Marynarze przy jednej z balist nie wytrzymali i pociągnęli za spust. Patrzyłem na nadlatującą strzałę, która stawała się coraz większa, jak to zazwyczaj się dzieje z pociskami wycelowanymi dokładnie w nas, a moje serce biło tak szybko, że czas zwolnił. Podczas gdy mój umysł zastanawiał się, czy powinienem uskoczyć, czy rzucić się za burtę, moje ciało zadziało samodzielnie i wykonało potężny sus. Poczułem, że moje ręce wyciągają się w stronę drzewca masztu nad moją głową i chwytają poskręcane drewno i konopny sznur. Moje nogi się rozchyliły, a stopy wierzgnęły na boki. Strzała, długa na sześć stóp, ze skwierczeniem przeleciała pod mną. Miałem wrażenie, że porusza się tak wolno, iż widzę, jak się kołysze, chociaż w istocie leciała równie szybko jak każda inna strzała.

Usłyszałem, jak Norrigal wstrzymuje oddech, Malk woła: „Ach”, a Galva: „Aj”, a potem moje nogi znów się złączyły i zawisłem na maszcie. Oczy zapiekły mnie od dymu, który ciągnął się za pociskiem, i pewnie zaczęłyby łzawić, gdybym miał w ciele wystarczająco dużo wilgoci.

Minęła pełna oszołomienia chwila, a potem na śródmorskim statku rozległy się wiwaty. Zanim się zorientowałem, marynarze weszli na nasz pokład, unieśli mnie nad głowy i zaczęli mną obracać, jakbym był ich ulubionym zwierzątkiem, a ja byłem tak szczęśliwy, że nie utonąłem, nie spłonąłem ani nie zostałem zjedzony, że znośłem to ze śmiechem. Oni również się śmiali, ale potem mój śmiech zmienił się w kaszel, więc postawili mnie na pokładzie i napoili, a ja spytałem:

– Ile pocisków muszę przeskoczyć, żeby dostać trochę whiskey?

Wtedy znów zanieśli się śmiechem, a ja musiałem uznać, że to jednak był dobry dzień.

Pierwsza córka

Trzecia najważniejsza kobieta w portowym mieście Edth siedziała przed nami na bardzo dużym krześle w bardzo dużej sali na trzecim poziomie wieży, która lekko pochylała się nad zatoką, jakby nasłuchiwała. Chłodny wiatr wpadał przez otwarte okno, które miało usprawiedliwić ogień trzaskający w otwartym palenisku na środku pomieszczenia. Nasza czwórka siedziała na stołkach obitych wołową skórą, piła dobre śródmorskie jasne piwo i słuchała. Kobieta była kierowniczką portu i przedstawiała nam nasze możliwości. Cały czas miałem wrażenie, że nie jesteśmy pierwszymi, którzy słuchają jakiejś wersji tych słów.

– Słyszałam część tego, co powiedzieliście kapitanowi Czwartej Kobiety, okrętu, który niemal was spalił. Podejrzewam, że częściowo majaczyliście.

Śródmorski holtyjski nieco różnił się od podstawowej odmiany tego języka, ale można było go łatwo zrozumieć. Kobieta mówiła do nas w naszym dialekcie, w przeciwnym razie jej słowa brzmiałyby mniej więcej tak: „Suyszaam czaeść taego, coo poowijaedziaelijście kaapijtaanowij” i tak dalej. W każdym razie była sprytną starą suką i wiedziała, co robi.

Do tego było gruba i ubrana w dobrej jakości gallardiańskie jedwabie. Jej złoty urzędowy łańcuch zdobiły wizerunki smoków ścigających gwiazdy, które wykonano z brylantów. Prawdziwe gwiazdy zapewne były nieco za drogie nawet dla śródmorskiego skarbcza.

– Mamy sporo wątpliwości, a wy możecie je uznać za osie, na których mogą się obracać potężne koła. – To ostatnie słowo wypowiedziała w sposób zarazem smakowity i groźny, nieśpiesznie, jakby wyciągała nóż z pieczeni. – Gdyby gobliny rzeczywiście zaatakowały was na wyspie, jak nam powiedzieliście, być może omyłkowo, oznaczałoby to, że pogwałciły postanowienia traktatu. Byłaby to sprawa niezwyklej wagi. Będziecie zmuszeni udowodnić, że załoga statku zaatakowała was, uwięziła i jadła ludzkie mięso. Zeznając przed obliczem przynajmniej trzech suwerenów Ludzkich Krain, będziecie próbowali przekonać ich, że wasza opowieść jest prawdziwa, pamiętając o tym, jak bardzo zależy im na utrzymaniu pokoju. Jednocześnie będziecie musieli pozostać przy życiu, podróżując pomiędzy poszczególnymi królestwami, w nadziei, że nikt w Ludzkich Krainach lub poza nimi nie uzna waszej opowieści za wystarczająco niewygodną, by wynająć nocnych zabójców. Należy zaznaczyć, że w tym roku wyruszyły już dwie wyprawy w celu udowodnienia goblinińskiej agresji na północnych morzach. Jedna dotarła do Brayce, gdzie runęła do rzeki razem z mostem i utonęła. Druga zaginęła w Gallardii, tak dawno temu, że boimy się ich odnaleźć.

Na chwilę umilkła, żebyśmy mogli przyswoić sobie jej słowa, a jej podbródek mógł przestać dygotać. Wypiła łyk miodu. Piła miód. My dostaliśmy piwo. Co prawda wolę piwo, ale pierdolona o tym nie wiedziała.

– Jeżeli uda wam się złożyć zeznania w trzech sądach, gobliniscy ambasadorzy mogą dowieść, że gobliny tylko badały wyspę, a wy je zaatakowaliście.

– One... – zaczął Malk, ale kierowniczka portu mu przerwała, używając mięśni brzucha tak jak aktorzy i miejscy heroldzi, by przemówić głośniejsz bez krzyczenia.

– Proszę nie mówić niczego, czego nie chcę usłyszeć, i czego tak naprawdę nie chcecie mi powiedzieć. Czy mogę kontynuować?

Malk pokiwał głową.

– Niektóre koronowane głowy w Ludzkich Krainach są chętne podtrzymać kruche pokojowe stosunki z naszym wrogiem, więc szanse na to, że przyjmą wersję goblinów, wcale nie są małe. W takim wypadku zostaniecie uznani za zdrajców pokoju i publicznie powieszani w Śródmorzu, za co ja będę odpowiedzialna. Albo co gorsza, jako że jest pośród was Spanthianka, zostaniecie wydani ispanthiańskiej armii, która niedawno tędy przechodziła i która będzie was torturowała aż do śmierci jako fałszywych świadków w sprawie dotyczącej wojny.

Kolejno popatrzyła nam w oczy.

– Jeśli uda wam się przetrwać trudy podróży i przekonać niechętnych monarchów do waszej opowieści, Liga będzie zmuszona oskarżyć Hordę o złamanie postanowień traktatu. Jeżeli królowie Hordy wyrzekną się martwej załogi, uznając ją za działających niezależnie zdrajców pokoju, sprawa będzie zamknięta. Ale gobliny nigdy nie przyznają się do winy, a w ich języku jest jeszcze mniej słów wyrażających skruchę niż w ispanthiańskim. Tak naprawdę dobrze wiedzą, że zatapiają ich statki na północy, tak samo jak oni zatapiają nasze na południu. Horda będzie urażona, że po prostu nie spaliliśmy ich okrętu i nie pozwoliliśmy mu zatonać, pozbywając się dowodów jego istnienia, co uznaliby za sprawiedliwe i uczciwe. Kapitan Czwartej Kobiety zamierzała to zrobić, dopóki nie zauważyła na pokładzie obywateli Ludzkich Krain. Być może nie powinno jej

to powstrzymać. Skutkiem publicznego oskarżenia może być ponowny wybuch wojny, w której dwoje z was zapewne nie brało udziału z racji na młody wiek, ale o której pozostała dwójka może wam opowiedzieć.

Skrzyżowała ręce na stole, tak że zobaczyliśmy, że straciła dwa palce u lewej dłoni. Na drugiej nosiła ciężkie złote pierścienie.

– Pozostaje jeszcze kwestia samego statku – dodała. Chociaż używała słów z naszego języka, nie potrafiła ukryć swojego akcentu. Jeśli kiedyś spotkaliście mieszkańców Śródmorza, to pewnie zauważyliście, że niemiłosiernie przeciągają wszystkie słowa, jakby chcieli w nich upchnąć dodatkowe samogłoski. „Kwaestijaa saamaegoo staatku”. – Jeśli będziecie utrzymywać, że gobliny was zaatakowały, a wy zabiliście je w obronie własnej, to statek zostanie zatrzymany przez koronę jako dowód w sprawie.

– A jeśli zmienimy zdanie? – spytałem.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

– Jeśli na przykład popłynęliście na statek swoją łódką i znaleźliście na pokładzie martwe gobliny, a potem zostaliście zatrzymani, gdy żeglowaliście do Edth, by wręczyć okręt w prezencie władcom Śródmorza, to zasłużyliście na drobny dowód wdzięczności. Po kilka złotych księżnych na głowę, może nawet ćwierć truncji. Chyba że któreś z was należy do szlachty – dodała ze śmiechem. – Wtedy należałoby się wam dziesięć procent wartości gobliniego statku. Ale... – Zawiesiła głos i lekceważąco machnęła okaleczoną dłonią, jednocześnie popijając miód. – Więc co wybieracie? Procesy, śmierć i być może wojnę? Czy tydzień w puchowej pościeli? – Popatrzyła na Spanthiankę. – Oraz gorące kąpiele?

Odpowiedziałem, zanim Malk zdążył rozpętać pieprzoną wojnę:

– Wy płynęliśmy swoją łódką i znaleźliśmy tych biedaków bez życia. Długo płakaliśmy nad ich tragiczną śmiercią, a potem postanowiliśmy doprowadzić statek do waszego pięknego portu.

– Doskonale – odrzekła kobieta, dając sygnał służącemu, by przyniósł nam więcej piwa, a jej kolejną porcję miodu oraz pióro i papier.

– Będziecie musieli podpisać oświadczenia, zakładając, że umiecie pisać. Jeśli nie, postawcie dowolny znak. Napijemy się zimnego piwa i utrzymamy pokój. A każde z was otrzyma... tak, myślę, że Jego Królewska Wysokość pozwoli mi na taką szczodrość... po ćwierć truncji śródmorskiego złota oraz podziękowania od naszego króla za okazany rozsądek.

Podpisałem.

Norrigal parsknęła i podpisała.

Malk pokręcił głową i podpisał.

Galva nie podpisała, tylko popatrzyła na kierowniczkę portu, jakby podejmowała jakąś decyzję.

– Nie – rzekła w końcu.

– Jak to nie? – spytała kierowniczka znużonym tonem.

Galva odsunęła od siebie kubek.

– Nie chcę piwa, napiję się wina. Dobrego wina.

Kobieta przez chwilę się jej przyglądała, a potem westchnęła i skinęła głową na służącego, który wcześniej przyniósł jej butelkę miodu.

– Poza tym nie wezmę ćwierć truncji za przekazanie wam gobliniego statku.

– Nie jesteśmy w domu aukcyjnym, moja ispanthiańska przyjaciółko, a ja już powiedziałam, jaką sumę proponuje król.

– Owszem, i dotrzymasz słowa.

– Dotrzymam – potwierdziła kierowniczka. – Ćwierć truncji i ani strużyny więcej.

– Nie. – Galva wstała z miejsca.

Halabardziści stojący przy drzwiach zbliżyli się do nas. Opuścili broń, ale Galva, choć chuda, zmęczona i ranna, wcale nie żartowała.

Powoli sięgnęła do sakiewki, którą nosiła na pasku pod pachą, i wyjęła z niej złotą pieczęć w skórzanym opakowaniu. Pieczęć Ispanthii.

– Jestem pierwszą córką księcia Bragi – oznajmiła po holtyjsku. – Możecie sobie zatrzymać puchową pościel, ale chętnie skorzystam z kąpiele, a także wezmę dziesięć procent wartości gobliniego statku, które ułatwią mi podróż na Rubieże.

Dalsza część krótkiej rozmowy odbyła się po ispanthiańsku.

Księżycowa żona

– No cóż, jaśnie Pani, niestety nie wiedziałem, że podróżuję w towarzystwie ispanthiańskiej, kurwa, szlachty. Czy jaśnie Pani zamierzała mi powiedzieć, że jest wysoko urodzona? – odezwałem się do Galvy, kiedy wróciliśmy do tawerny.

Galva właśnie się wykapała i mógłbym przysiąc, że urosła o cal, odkąd wyjawiała, że jest córką księcia, i to całkiem sławnego, znanego poza granicami swojego kraju. Nawet ja wiedziałem, że Rodricu Braga stracił połowę swojej fortuny na martwych koniach, ale wciąż był bogatszy od wszystkich poza królewską rodziną. Braga posiadał najlepsze pastwiska w Ispanthii, a zatem najlepsze w całych Ludzkich Krainach, a jego przodkowie od pięciuset lat byli konnymi rycerzami. Herb Bragi, jak być może wiecie, przedstawia konia stojącego dęba nad szkieletem. Cóż za ironia. To niezwykle smutne, że księżę stracił swoje konie i wszystkich swoich synów, a jego córka i dziedziczka pokochała śmierć. Trubadur mógłby zaśpiewać o tym pieśń w ciepły dzień kompanów w miesiącu Kwiatów, a jakaś dziewczyna oparłaby głowę na jego kolanach.

Fakt, że Gildia dołączyła mnie do Spanthianki, nabierał nowego znaczenia. Galva szukała rzekomo obłąkanej infantki, ispanthiańskiej księżniczki, która wyszła za króla Rubieży. Wspominała, że zamierza uratować księżniczkę, a ja, jako urodzony łgarz, uznałem, że to kłamstwo. Ale teraz jej słowa się potwierdziły. Co Gildia chciała zrobić z Mireyą, która doprowadziła do wyklęcia Gildii na Rubieżach? Zabić ją? To miałyby sens, ale Gildia jest chciwa, a królowa wiele warta. Zabić ptaszniczkę i porwać Mireyę? To wydawało się bardziej logiczne. Ale z tymi skurwielami nigdy nie wiadomo. Kręciło mi się w głowie.

– Dlaczego miałabym ci powiedzieć, kim jestem? – spytała Galva.

– Rzadziej dłubałbym w nosie i szczał dalej od obozu.

– Nie. Kpiłbyś z mojej rodziny, a ja musiałabym zrobić ci krzywdę. To, że moi bracia zginęli i pozostawili mnie jako dziedziczkę tytułu ojca, nie powinno być tematem twoich żartów, ale i tak byś z tego żartował. Nie potrafisz się powstrzymać. Twoje usta są jak pęcherz starca.

– Jesteś okrutna. Nie masz ku temu żadnego powodu.

Mruknęła i nalała sobie wina.

– Jest środek popołudnia. Umrzesz od tego na żółtą śmierć – zauważyłem, wskazując kielich.

– Moja śmierć będzie czerwona jak moje wino, a przynajmniej o to się modłę. A teraz powiedz mi, co naprawdę wiesz o tym *chodadu* kocie.

– Poza tym, że przynosi szczęście?

– Nie wykręcaj się.

– Co chcesz, żebyś powiedział?

– Powiedz, dlaczego próbuje otworzyć moją torbę.

– Trzymasz tam ser? On go uwielbia.

– W moim bagażu nie ma żadnego *chodadu* sera. O co mu chodzi? Bo wyraźnie czegoś chce.

– Pewnie miłości.

– W moich torbach jej nie znajdzie.

– Może myśli, że tam wpadło twoje serce. Patrzysz na niego tak surowo. Może podrapiesz go za uszami i się z nim zaprzyjaźnisz?

Wydała odgłos obrzydzenia i wyszła z pokoju, pozostawiając mnie samego z Byczkiem. Malk kręcił się po nadmorskich tawernach, szukając innego statku albo bójki, albo jednego i drugiego. Norrigal udała się do dzielnicy magicznej, żeby spróbować uzupełnić utracone zapasy.

Popatrzyłem na Byczka.

– Po diabła grzebiesz w jej rzeczach? Chcesz, żeby skręciła ci kark?

Byczek zamiauczał jak zwykły kot, zwracając ku mnie trzy czwarte pyszczka.

– W ogóle tam jesteś? – spytałem. – Hej, zabójczyni, jesteś tam?

Kot siedział nieruchomo. Nie wiedziałem, czy Sesta z niego wyszła, czy po prostu spała – jeśli w ogóle to robiła, nie wiedziałem zbyt wiele o ukrywaniu się w cudzych ciałach. Ale byłem niemal pewien, że jej tu nie ma, tylko włóczy się po mieście Edth i wypełnia olbrzymią pustkę w brzuchu. Dlatego podniosłem Byczka za skórę na karku, posadziłem go sobie na kolanach i podrapałem za uszami, a on zamknął oczy i zamruczał głośno jak pęknięty miech.

– W takim razie to tylko dla ciebie – powiedziałem. – Tylko między nami.

Edth to piękne miasto. Trzystuletnie kanały z zielonkawą wodą przecinają ulice z białoszarej cegły, a na skrzyżowaniach wznoszą się kamienne piramidy z tarasami, które porastają zimowe róże, tulipany i jałowiec, niedźwiedzi oddech, śliwkowa latorośl i złote jagody. Granice dzielnic wyznaczają zaczarowane Drzewa Królowej, na których w nocy odrastają zerwane owoce. Każdy mieszkaniec miasta może zerwać jedną gruszkę lub jabłko, ale za zabranie dwóch grozi poturbowanie przez Królewskie Pałki, które pilnują porządku w Edth, podobnie jak strażniczki w Holcie.

Tutejsze mocne, jasne piwo oraz słodki jak miód cydr transportuje się do Brayce i Holtu, a nawet daleko na południe do Beltii. Zwrot „sprzedać piwo w Untherze” oznaczał dokonanie czegoś niezwykle trudnego, a miastu Edth właśnie to się udało. Powiadano, że ludzie w Untherze pili wyłącznie piwa ze swojej ojczyzny i z Edth, a resztę uznawali za szczyzny. Mieszkańcy Edth również pili piwo z Untheru, a także wina z Gallardii i Ispanthii, miód i cydr z Brayce oraz grappę z Istrei i whiskey z Norholtu i Galtii – każdy marynarz cieszył się na wieść, że jego okręt zawinie do portu w Edth, ponieważ w mieście było więcej tawern niż kościołów.

Te tawerny miały także najlepsze nazwy – Pod Zapijaczonym Niedźwiedziem, Pod Wierszem Kochanka, Pod Hakiem i Ościeniem, Pod Pasem Ojca, Pod Poćwiartowanym Słońcem, Pod Pierzastą Jędzą. Ta ostatnia zawdzięczała nazwę śródziemnomorskiej królowej, która skarciła parlamentarzystów, twierdząc, że osły są stworzone do ciągnięcia ciężarów, a nie do siedzenia i ryczenia. Pięciu z tych starców pochwyliło ją i pokryło klejem oraz piórami, mówiąc, że kury są stworzone do składania jajek, a nie do śpiewania. Królowa została później kochanką słynnego generała, przeciągnęła na swoją stronę rycerzy i rozwiązała parlament. Powiedziała starym piernikom, których wymanewrowała, że kury poszły na wojnę z osłami i wygrały. Taverna Pod Kurą i Osłem znajduje się przy ulicy Wodnej. Potem królowa zaprzęła do wozu pięciu mężczyzn, którzy pokryli ją pierzem, i kazała wozić się po całym Edth. Taverna Pod Zaprzęzoną Piątką znajduje się przy ulicy Zamkowej i właśnie tam umówiłem się z Norrigal na kolację.

– Tak sobie pomyślałam – odezwała się, patrząc na mnie znad kubka cydru oraz talerza z przepiórką w śliwkach i rozmarynowym chlebem, a jej oczy jeszcze nigdy nie były tak wesołe – że na razie będziesz odpowiedni.

– Do czego? – spytałem.

– Dla mnie.

Nie miałem w zwyczaju się rumienić, ale moja twarz z pewnością nabrała kolorów.

Wyjąłem królicze udko z gulaszu i spiłem z niego sos, starając się sprawiać wrażenie, jakbym myślał tylko o sosie.

– Moglibyśmy złożyć księżycowe śluby, ale tylko jeśli przystaniesz na pewne warunki.

Oderwała skrzydełko pieczonego ptaka i usunęła z niego mięso zębami, wysysając kość w sposób, który wydawał się bardziej naturalny niż nieprzyzwoity, choć oczywiście oznaczał to, co oznaczał.

Kochankowie na miesiąc. Na jeden miesiąc mogłem zostać kimś w rodzaju jej męża. To był stary galtyjski zwyczaj wyznawców Harosa, starszy niż Holt, Biała Droga i Stuknięcie. Krew szybciej popłynęła mi w żyłach, nie tylko dlatego, że byłem młody i bardzo jej pragnąłem.

– Słucham uważnie – odrzekłem, posyłając jej swój najlepszy półuśmiech.

– Nie wątpię, kochasiu. Najpierw posmaruj sobie tym policzek. Tamten policzek – powiedziała, wskazując mój tatuaż i podając mi pięciokątną buteleczkę z jakimś miedzianym mazidłem. – Jeśli spytasz, co to jest, zabiorę butelkę.

Pokiwałem głową. Wmasowałem nieco substancji w skórę i stwierdziłem, że jest ciepła. Miałem nadzieję, że nie usunie tatuażu – gdyby zauważono mnie bez karnego znaku, choć nie spłaciłem długu, wpadłbym w tarapaty. Gildia zmieniłaby symbol otwartej dłoni na pięść. Być może uciąliby mi jeden kciuk. Ale ufałem tej dziewczynie. Niech Fothannon ma mnie w opiece, ufałem Norrigal Na Galbraeth.

– Znasz się na magicznych tatuażach?

– Całkiem nieźle.

– Potrafisz je wykonywać?

– Potrafię.

– To naprawdę silna magia. Nigdy nie mówiłaś, że jesteś do tego zdolna. – Odgryzłem kawałek błękitnej marchewki i cebuli, które wyłowilem z gulaszu.

– A kiedy mnie o to pytałeś? Chcesz poznać moje warunki czy mam znaleźć kogoś innego? Dzisiaj mamy nów.

Wiedziałem o tym, ale nie ze względu na sztuki magiczne. Wiedza o tym, jak ciemna będzie najbliższa noc, bardzo przydaje się złodziejowi.

Dotknąłem swojego ucha.

Słucham.

– Po pierwsze, zrobisz, co ci każę, by nie nadmuchać mi brzucha. Nie zamierzam wychowywać bachorów. Służę swojej sztuce i swoim ludziom, a nie będę mogła tego robić ze szczeniakiem przy cycku. Nie wspominając o tym, że ten świat nie nadaje się do życia.

Przypomniałem sobie, jak na statku marzyłem o spółczeniu z nią dzieci, i pożegnałem się z tymi fantazjami. Dopiero kiedy zobaczyła, że to zrobiłem, zaczęła mówić dalej.

– Po drugie, nie będziemy zdradzać sobie nawzajem swoich tajemnic, którymi nie chcemy się dzielić. Spędzimy razem miesiąc, a nie całe życie, a nawet żony-aż-do-śmierci mają w sercu kilka szczelnie zamkniętych drzwi.

– Zgoda – odrzekłem, wdzięczny za to, że nie naciskała na mnie w kwestii kota.

– A co najważniejsze, nie zmienisz swojego podejścia do mnie – dodała. – Zawsze byłeś moim przyjacielem i to się nie zmieni, gdy zaczniemy dzielić łożę, w przeciwnym razie tego pożałuję. Jeśli spojrzysz na mnie jakiś mężczyzna, nawet bardzo przystojny, możesz mieć pewność, że będzie musiał czekać miesiąc, a być może wiecznie. To samo dotyczy ciebie i dziewcząt.

– Zgoda.

– Aha, jeszcze jedno.

– Słucham?

– Nie robię tej rzeczy.

Rozejrzałem się, upewniając się, że nikt nas nie podsłuchuje, i ściszyłem głos.

– To znaczy jakiej?

– Dobrze wiesz.

– Nie mam pojęcia. Jest mnóstwo różnych rzeczy. Niektórzy nie robią części z nich, a inni nie mają z tym problemu. Ale za to rzeczy, które robią ci pierwi, mogą zaszokować tych drugich, którzy lubią tamte rzeczy.

– No tak, zapomniałam, jakim jesteś ekspertem. Ale wiem, że wiesz, o czym mówię, ty kerku.

– O zabijaniu pcheł łożonowych naftą z lampy? – wyszeptałem.

Zakryła usta dłonią i zachichotała. Teraz to ona się zarumieniała.

– A więc. – Znów popatrzyła na mnie ponad kubkiem. – Zechcesz mnie? Staniesz ze mną dzisiaj pod ślepym księżycem i wypowiesz słowa ślubowania?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, kątem oka zauważyłem jakiś kształt zbliżający się z prawej strony. Zapijaczony kształt.

– Barmanka! – odezwał się.

Zaraza, zaczyna się. Do tego pijak. Pijani byli najgorsi, nie tylko dlatego, że w połowie przypadków pudłowali i uderzali w ucho, ale także dlatego, że to o wiele bardziej irytujące, gdy bije was ktoś, kogo moglibyście bez trudu sponiewierać. Moje szczęście ostygło. Zapowiadało się nieciekawie. Szybko dojadłem królika.

– Barmanka! – powtórzył mężczyzna, a barmanka tym razem podniosła wzrok. – Czy ktoś już zgłosił się po jego znak?

Żułem pośpiesznie.

– On zajmuje się swoimi sprawami, Johash – odpowiedziała. – Może ty zajmiesz się swoimi? Zresztą już dosyć wypiełeś.

Goście przy barze roześmiali się serdecznie. Czy już wspominałem, że lubię Śródmorze? Może to fakt, że otaczają je więksi i niebezpieczni sąsiedzi, sprawia, że jego mieszkańcy są mądrzejsi i miłsi. Oczywiście nie licząc tego fiuta, Johasha. Najwyżej dziewiętnaście lat, wielki jak sto- doła i głupi jak but.

– W takim razie ja się zgłaszam.

Ugryźć.

Przeżuć przeżuć przeżuć przeżuć.

Zbliżył się chwiejnym krokiem.

Przełknąć.

– Wstaniesz czy chcesz na siedząco? – spytał, jakby proponował, że wypoleruje mi buty. Z obrzydzeniem zauważyłem, że jego skąpy wąs jest wilgotny.

– Miejmy to już za sobą – odrzekłem, zażenowany, że ten gnojek zakłóca naszą rozmowę z Norrigal. Miałem ochotę nabrać gulaszu do ust i pluć mu w twarz, kiedy mnie uderzy, ale Gildii to by się nie spodobało. Postawiłoby ich to w złym świetle. Musiałem to znieść – wiedziałem, że ryzykuję, przychodząc do tawerny.

Ale dostać po gębie od takiego buca.

Z namaszczeniem podwinął rękaw. Skinął głową do Norrigal – dżentelmen do końca – a ona puściła do niego oko, wtedy jeszcze nie wiedziałem dlaczego. Zamachnął się na mnie mięsistą dłonią i zadał cios, od którego zapiekła mnie twarz i zadzwoniło mi w uchu. Kawał ciężkiego *coumoch* z tego Johasha.

Ale on wcale nie miał zamiaru na tym poprzestać. Dłoń, która mnie trafiła, poleciała dalej i Johash uderzył w policzek siebie, jeszcze mocniej niż mnie.

Parsknąłem śmiechem, zanim zdążyłem się powstrzymać.

– Uch! – jęknął, zbyt pijany, by zrozumieć, co się stało. Po chwili zdzielił się także na odlew i powiedział „au”, ciszej, niż powinien po takim ciosie.

Popatrzyłem na Norrigal.

Wzruszyła ramionami.

– Ha! – zawołała dziewczyna siedząca niedaleko, rozbawiona tym spektaklem.

Dłoń Johasha natychmiast ją spoliczkowała, chociaż nawet nie patrzył w jej stronę.

Towarzyszka dziewczyny położyła rękę na ramieniu Johasha.

– Chwileczkę – odezwała się, a dłoń Johasha wymierzyła również jej potężny cios, a chłopak aż zawirował. Chyba uszkodził sobie ramię, ponieważ znów jęknął z bólu.

Pierwsza z kobiet uderzyła go pięścią, a on ją kopnął, potem jego dłoń spoliczkowała kolejną kobietę, która zdzieliła go łokciem, mocno jak żołnierz, a Johash się zatoczył. Po chwili klęczał na podłodze, okładany i kopany bez litości.

Norrigal chwyciła mnie za podbródek i obróciła moją twarz w swoją stronę.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Tak. Oczywiście, że tak.

– Dobrze. Najpierw załóż to – powiedziała, zawieszając mi na szyi rzemień.

Wisiąca na nim połówka ładnego perłowego kamienia, który ktoś rozłupał. Wisiorek był mały jak pół pestki śliwki. Drugą połówkę zawiesiła na własnej szyi.

– Co to jest? – spytałem.

– Rozszczepiony kamień.

Wyglądał wspaniale. Został rozłupany w miejscu, w którym widniała brązowa skaza przypominająca mrugające oko. Jej połówka również miała na sobie taką plamkę.

– Wydaje się, że jest w nim magia.

– Bo jest.

– Jak działa?

– Pozwala nam przywoływać się nawzajem.

Ale nie zdążyła mi tego pokazać.

– Johash został zaczarowany! – wrzasnął jakiś mężczyzna. – To ona go zaczarowała! – Wskazał Norrigal.

Spoczęły na nas surowe spojrzenia.

– Zgadza się, zaczarowałam go – powiedziała Norrigal, wstając. – Jestem służącą Guendry Na Galbraeth z Galtii, Królowej Bezśnieżnego Lasu, zwanej Martwymi Nogami, więdźmy z Odwróconej Wieży. Jestem pod jej ochroną, tak jak ten mężczyzna jest chroniony przeze mnie.

Tłum znieruchomiał, ale barmanka się zirytowała.

– Ona mieszka w Holcie – odparła, wychodząc zza baru z pałką w ręku. – A to jest moja tawerna. Wynocha. – Wycelowała w nas pałką.

Chwyciłem resztkę gulaszu.

– Zostaw miskę.

Przechyliłem ją i wypłem tyle sosu, ile zdołałem, oraz chwyciłem pozostałość króliczego udka. Zapłaciłem za posiłek dwie śliczne śródmorskie panny, ładniejsze od marek bitych w Holcie, i nie zamierzałem stracić całej kolacji tylko dlatego, że ten zakerkany Johash zapragnął napić się piwa za darmo.

Norrigal odwróciła się z godnością i powoli ruszyła w stronę drzwi. Odstawiłem miskę, otarłem usta rękawem i podążyłem za nią, ale nie odwracałem się, ponieważ podejrzewałem, całkiem słusznie, że tłum jest przeciwko nam. Kilka osób podeszło do nas, ale nie po to, by zrobić nam krzywdę, tylko pomóc nam szybciej wyjść. Chwycili nas i zaczęli popychać, mnie mocniej niż Norrigal, ponieważ uważali się za džentelmenów, a także bali się więdźmy. Wkrótce upadliśmy na twarz w pełne błota koleiny przed tawerną Pod Pięcioma Zaprzężonymi. Królicze udko także upadło w błoto, a jakiś bezdomny pies odważył się je porwać i uciec.

– Lepiej on niż ten chłopak o niewyparzonej gębie – powiedziałem ze śmiechem, a Norrigal też się roześmiała.

Usiedliśmy jak dzieci lepiące ciastka z błota i spleśliśmy się palcami, patrząc na czarne, bezchmurne niebo, w stronę szaro-czarnego krążka oślepiętego księżyca.

Ujęła moją twarz w dłonie, a ja odwzajemniłem ten gest, jak nakazywał zwyczaj.

– Kinchu Na Shannacku, niech nowy księżyc będzie mi świadkiem, czy bierzesz mnie za księżycową żonę i przez miesiąc będziesz mnie zadowalał w łóżku i poza nim?

– Tak. Norrigal Na Galbraeth, czy zrobisz to samo dla mnie?

– Wiesz, że tak.

Siedzieliśmy w błocie, zasypując się brudnymi, zimnymi, beztroskimi pocałunkami. Moje usta smakowały piwem i królikiem, a jej śliwkami i cydrem. W końcu nadjechał wóz zaprzężony w woły, więc oboje wstaliśmy. Norrigal pobiegła przodem, a potem odwróciła się w moją stronę, wkładając rozłupany kamień w usta.

– Co to jest, gwizdek? – spytałem.

– „Fyfo afefaj” – powiedziała, co znaczyło „Tylko zaczekaj”.

Jedną z oznak tego, że kogoś kochacie, musi być zdolność rozumienia go, gdy ma pełne usta.

– Na co?

– „Mufe fe ofghać”. – „Muszę się rozgrzać”.

Cały czas szła tyłem, nie spuszczając ze mnie wzroku. Po chwili moja połówka kamienia uniosła się i delikatnie szarpnęła mnie do przodu, jak kawałek żelaza przyciągany przez magnes.

– Nie ruszaj się – poleciła Norrigal.

Posłuchałem jej. Obiegła mnie z prawej strony, a kamień za nią podążył. Okrążyła mnie, po czym wypluła wisiorek. Po chwili mój kamień powoli zaczął opadać, pulsując niczym fiut po skończonej zabawie.

Co nie było dalekie od tego, o czym myślałem, gdy ją całowałem i patrzyłem, jak wkłada kamień do ust.

– Będzie robił to samo, jeśli włożysz go gdzieś indziej?

Uśmiechnęła się z otwartymi ustami.

– Wszędzie, gdzie jest dostatecznie ciepło.

Puściliśmy się biegiem do publicznej łaźni.

Łaźnie Edth

Norrigal. Norrigal. Słodko-gorzka Norrigal. Norrigal krucha i potężna, pachnąca goździkami i woskiem, pachnąca jak płocha łania. Przyzywam cię, abyś ukazała mi się ponownie taką, jaką byłaś w Edth, choćby na chwilę, nim przebrzmia te nazbyt krótkie słowa.

Przyzywam biały, idealny łuk twojej ręki, który ujrzałem z daleka, gdy wychyliłaś się z wieży wiedźmy i wytrawiłaś we mnie swoje imię, tak że już nigdy go nie usunę. Wzywam ciebie i twoje miodowe włosy, abyś stanęła na dwóch zdrowych nogach w słonecznym blasku wspomnień. Zachęcam cię do śpiewu, a jeśli nie chcesz, tylko mów. Przemawiaj do mnie jak w łaźniach Edth, gdzie echo podwajało twój głos, a kapanie wody go zdobiło. Szepcz mi do ucha, które z nietrwałych małżeńskich obowiązków chcesz mi podarować, i żądaj takich darów ode mnie, ponieważ w tej chwili znów jesteś moja, tak jak byłaś moja w Edth, a twoja skóra jest monetą, która lśni w blasku księżyca i pod świecami, monetą, którą mogę wydać, lecz nie zachować.

Inny mężczyzna także mógłby zaspokoić twój głód i ugasić twoje pragnienie, ale Haros splótł właśnie nasze drogi, tak że twoje oczy, dłonie i śmiech spoczęły na mnie. Będę pamiętał aż do dnia, gdy uśmiechnę się w grobie, jak mnie ukoronowałaś, a zarazem zubożyłaś, i nigdy nie nazwę nikogo lepszym.

Kamienne łaźnie w Edth były cudem architektury i inżynierii, celem pielgrzymek ze wszystkich Ludzkich Krain. Zasilały je gorące strumienie, więc nigdy nie potrzebowały podgrzewania. Woda lała się do ogromnych kamiennych zbiorników wyposażonych w rzeźbione ławy i nisze, o ścianach wyłożonych zmyślnymi mozaikami, które przedstawiały drzewa i ryby, a także wizerunek hipogryfa. Świetlik w dachu zdobił najkunsztowniej wykonany witraż, jaki można było znaleźć poza Gallardią. Miał rozmiary okrętu i przedstawiał Satha, słońce, w kolorze bursztynu, na tle błękitnego nieba i obramowanego liśćmi i gałązkami. Skalne ściany ożywiały rząd posągów wysokich na dziesięć stóp; splecionych ciał kochanków, których plecy i pośladki oraz naznaczone rozkoszą twarze wylaniały się z szorstkiej ściany, jakby były niedokończone. Na podłodze basenu, widoczna pod przejrzystą, zielonkawą wodą, pyszniła się mozaika przedstawiająca samego Mithrenora z rozdwojonym rybim ogonem. Prawą ręką wzywał sztorm, a na lewej wisiła nimfa. Baseny były dostępne dla każdego i kąpali się w nich bez wstydu mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Kapłanki Mithrenora podtrzymywały płomień dwustu olejnych lamp, a przez świetliki wpadały włócznie słonecznych promieni przeszywające obłoki pary. Ci, którzy nie chcieli mieszać się z tłumem, mogli podążyć za rynienkami prowadzącymi wodę obok rogatych herm i kariatyd z wizerunkami starożytnego Harosa do sieci prywatnych wapiennych cel, w których podobno poczyna się połowa bękartów w Edth.

Kąpielowicze zazwyczaj mieli na sobie tylko sakiewkę na monety zawieszoną na szyi. Lutnicy do wynajęcia spacerowali po łaźniach, równie chętnie przygrywając kochankom kryjącym się po kątach i śpiewając znane ballady przy wspólnych basenach. Za miedzianą strużynę służące przystrajały powierzchnię wody dzikimi kwiatami. Handlarze sprzedawali schłodzony miód, dożynkowe wino i cydr, a także orzechy laskowe i małe torebki gotowanych ślimaków. Grupa Sornianek, ubranych tylko w naszyjniki, siedziała stłoczona jak winogrona w kiści, całkowicie bezbronna. Bankierzy, którzy mieszkali w ogromnych domach w Hellernock, finansowej stolicy Ludzkich Krain, siedzieli nago obok sprzedawczyń ostryg i pasterzy kóz; rycerze dzielili ławki z oszustami karcianymi i sklepikarzami. Wody zrównywały ludzi. Zapewniały bezpieczeństwo.

Norrigal właśnie zostawiła mnie samego po tym, jak kochaliśmy się po raz czwarty pod niewielkim, niemal nieznośnie gorącym wodospadem. Unosiłem się w ciepłej wodzie na głębokim krańcu największego basenu. Moją skórę pokrywały zadrapania i ślady ugryzień – Norrigal była specjalistką od kłusowania w chwilach największej rozkoszy, dzięki czemu ból przychodził dopiero później. Gorąca woda łagodziła go i rozluźniała rzadko używane mięśnie, które naciągnąłem lub nadwerężyłem podczas miłosnych igraszek.

Nie zwróciłem uwagi na mężczyznę w średnim wieku, który podpłynął do mnie żabką, otwierając i zamykając żabie usta; każde wierzgnięcie nóg przybliżało jego podbródek o kilka cali i wysyłało przodem niewielkie fale. W końcu dotarł do wyłożonej kafelkami ławki i usiadł obok mnie.

– Przyjemnie tu i ciepło, prawda? – zagadnął.

W normalnych okolicznościach nie miałbym nic przeciwko takim frazesom, ale burzyły mój miłosny nastrój, więc w odpowiedzi tylko mruknąłem pod nosem, dając do zrozumienia, że słyszałem jego komentarz, ale nie interesuje mnie kolejny.

A jednak ten się pojawił.

– Słyszałem, że w tym roku zdarzyło się tutaj morderstwo.

Teraz musiałem zwrócić na niego uwagę, psiakrew. Kiedy nieznajomi opowiadają o śmierci, lepiej tego nie ignorować.

– Gdzie, w łaźni?

– Tak, w tym basenie.

– To pan był zabójcą?

– Nie, nie ja – odrzekł.

– Na pewno?

– Tak.

– Więc po co mi pan o tym mówi?

– Staram się być życzliwy.

– Życzliwe może być zdradzenie, gdzie sprzedają najlepszą zupę rybną, albo w której tawernie rozładniają wino. Ale rzucanie anegdotki o morderstwie, gdy wspominam chwilę ziemskiej rozkoszy, nie ma nic wspólnego z życzliwością. To w najlepszym wypadku makabryczne, a w najgorszym zakrawa na groźbę.

– Skąd mogłem wiedzieć, o czym pan myśli?

– Nie mógł pan. Równie dobrze mogłem spać. Ale i tak pan do mnie podpłynął, żeby trąbić mi do ucha.

– Pomyślałem sobie, że chciałby pan wiedzieć...

– Nie chciałbym, więc cokolwiek pan zamierza, proszę sobie odpuścić.

– Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć...

– Kurwa mać, człowieku. – Zamknąłem oczy, licząc na to, że sobie pójdzie.

– Że będziesz dalej podążał za Spanthianką.

Otworzyłem oczy, ponieważ głos się zmienił. Już nie należał do człowieka o żabim wyglądzie. To był głos skrytobójczynie w kocie. Sesty.

Stała przede mną, wytatuowana i śmiercionośna, a jej oczy były beznamienne i martwe w porównaniu z wesołymi i pełnymi rozkoszy oczami Norrigal. Wydęła dolną wargę pokrytą czarnym tatuażem i trzymała się krawędzi basenu rękami czarnymi jak roztopione żelazo.

– Dlaczego miałbym za nią nie podążać?

– Ponieważ się, kurwa, ożeniłeś, prawda?

– Tylko na miesiąc.

– To o miesiąc za długo.

– Co to obchodzi Gildię? – spytałem, chociaż znałem odpowiedź. Nawiązywanie więzi uczuciowych było wielce podejrzane. Gildii zdarzało się zabijać osoby, które jej agenci obdarzali zbyt silnymi uczuciami, jeśli odciągało ich to od wykonywanych zadań lub podważało ich lojalność. Gildia Poborców nie przepadała za potężnymi niezależnymi magikami takimi jak Martwe Nogi, Stukwark, Fulvir i inni, którzy nie chcieli klęknąć przed Gildią Magików, blisko związaną z Poborcami.

Pozwoliła, aby cisza odpowiedziała za nią.

– Żeby tylko nie przyszła ci do głowy romantyczna ucieczka. Podążysz za Spanthianką, kropka. Zachowasz koncentrację, mały Kinchu, i będziesz pamiętał, gdzie jest twoje miejsce. Wierzmy, że Spanthianka poszukuje infantki Mireyi, bratanicy króla Ispanthii. Mieliśmy ją w garści, ale nam się wymknęła, lecz sądzimy, że ptaszniczka może być zdolna ją odnaleźć. Jesteś kleszczem na jej tyłku, a jeśli spadniesz, ktoś może cię rozdeptać.

– Więc kot jest pchłą na tym kleszczu. A ty jesteś gównem wewnątrz pchły.

Parsknęła śmiechem, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Sprytne. Ale zanim staniesz się zbyt cwany, popatrz na to.

Wskazała jeden z tatuaży obok swojej piersi, nieco na lewo od zegara: tatuaż przedstawiający serce z keshyckim napisem: „Serce, Bęben” oraz słowem, które oznaczało zarazem „wezwanie” i „doniesienie”.

– Nie przestawaj na niego patrzeć.

Po chwili zorientowałem się, że serce bije, a także bardzo delikatnie łśni pomimo czerni tuszu.

– Co ono robi? – spytałem.

– Utrzymuje cię przy życiu. Ponieważ oznacza, że ja żyję. Jeżeli umrę, a ono zgaśnie, to samo spotka identyczny tatuaż w Pigdenay. Wtedy wyślą waszym tropem kogoś, kto popsuje wam zabawę. Wiem, że już ci to mówiłam, ale chciałam, abyś zobaczył, że to prawda. Musimy mieć pewność, że należysz do nas. Zastanów się nad tym, zanim odnowisz swoje pogańskie galtyjskie księżycowe śluby, oczywiście jeśli przeżyjecie ten miesiąc.

W tej chwili ją znenawidziłem. Znenawidziłem Gildię. Żałowałem, że nie poszedłem na wojnę, nawet gdybym miał tam umrzeć albo stracić obie dłonie.

– Zazdrościsz mi – odrzekłem.

– Czego?

– Szczęścia – wypaliłem, a ona zamarła. Chociaż szybko doszła do siebie, widziałem, że trafiłem w czuły punkt.

– Co ty możesz o tym wiedzieć, Kpiarzu? To, co nazywasz szczęściem, jest tylko podmuchem, jaki czujesz, spadając z urwiska. Ja jestem tutaj po to, by cię złapać. Teraz to sprawa Gildii. Naraziłeś tę dziewczynę na niebezpieczeństwo swoimi miłosnymi przysięgami, a miałam nadzieję, że będziesz mądrzejszy.

- Powiedziałem, co zrobię, jeśli będziesz jej groziła.
- No tak. Zabijesz kota, kiedy będę w jego wnętrzu. Skręcisz mu kark i tak dalej.
- Uważasz, że tego nie zrobię?
- Uważam, że przestałeś myśleć. Ziemia usunęła ci się spod stóp, a ty jesteś zbyt rozproszony, by to zauważyć.
- Jeśli ją skrzywdzisz...
- Zamknij jadaczkę i słuchaj, Kinchu á Glurris Na Filleen.

Kiedy usłyszałem swoje prawdziwe nazwisko, natychmiast się zamknąłem. Kinch znad rzeki, z rodu Filleena.

Sesta mówiła dalej:

- Twój dom rodzinny w Platha Glurris stoi u podnóża wzgórza niedaleko brzegów Lśniącej Rzeki. Kiedy twoja matka pracuje przy maselnicy, patrzy na wodę i śpiewa. Najczęściej piosenkę o dziewczynie, która utonęła i powróciła jako żaba, by śpiewać pod oknem kochanka. Znasz tekst?

Próbowałem spalić ją swoim spojrzeniem, ale bezskutecznie.

- Tak myślałam. Tak czy inaczej, co dziewięć dni wybiera się do oddalonego o dwie godziny marszu sąsiedniego miasteczka, żeby odwiedzić swoją siostrę i jej dzieci. Twoja siostrzenica zaczęła się jąkać. Nie wiesz tego, ale ja owszem. Pomyśl o tym, zanim zaczniesz oszukiwać samego siebie.

Otworzyłem i zamknąłem usta.

- Wiem. Jesteś wściekły. Ale nie powinniśmy się kłócić, skoro oboje jesteśmy lojalnymi sługami Gildii. Może się pocałujemy i pogodzimy?

Wydęła dolną, wytatuowaną wargę, która z pewnością była pełna trucizny.

- Wolałbym zerznąć borsuka – odparłem.

- Dobrze wiedzieć. Wiem, gdzie mogę ci jakiegoś znaleźć – odrzekła z uśmiechem.

Potem jej uśmiech zniknął, ciało obwisło, włosy posiwiały i cofnęły się w górę czaszki. Znów zmieniła się w podobnego do żaby mężczyznę i odpłynęła żabką, rozkoszując się tym, że w swojej bezsilności mogę tylko odprowadzić ją wzrokiem.

Pod Poćwiartowanym Słońcem

Następnego dnia nasza czwórka ze Suepki spotkała się w tawernie Pod Poćwiartowanym Słońcem, słynącej z gallardiańskiego wina. Oczywiście to był pomysł Galvy, która zasiadła w kącie – ubrana w świeżą burgundową koszulę, w której wyglądała na młodą i pełną siły, a nawet urodziwą – na tle ceglanej ściany pokrytej łuszczącą się farbą w kolorze szaławii i ochoczo zabrała się do opróżniania karafki rubinowego gallardiańskiego trunku z dożynekowych winorośli. Zapewne mogła dostać swoje ulubione czarne wino w tawernie Pod Kłótnią Spanthianką, ale była zbyt dumna, żeby się tam wybrać.

Kiedy do niej dołączyliśmy, czym prędzej napełniliśmy kielichy i wznieśliśmy toast.

– Za śmierć – zawołała Galva.

– Za poległych towarzyszy – rzekł Malk.

– Za tego szlachetnego drania Gormalina – powiedziała Norrigal, wspominając biednego starego harpunnika, którego gobliny pożarły na swoim piekielnym statku.

– Niech jego kielich stale się napełnia – dodał Malk.

– Ale tylko piwem – powiedziałem, zanim zdążyłem się powstrzymać.

Wojownicza i marynarz zmierzili mnie wzrokiem, a Norrigal stłumiła śmiech. W końcu Malk i Galva również się uśmiechnęli.

– *Jilnaedu* – rzekła Galva, uniosła kielich w moją stronę, osuszyła go i ponownie napełniła. – Sprowadziłam was tutaj, by oficjalnie zaproponować wam dalszą wspólną podróż – oznajmiła. – Zamierzam przeciąć Molrovę i dotrzeć do Rubieży, gdzie zatroszczę się o bezpieczeństwo Mireyi, infantki Ispanthii. Rubieże padły łupem olbrzymów, a tamtejszy król zginął, ale królowa podobno żyje i przebywa w ukryciu.

Ta deklaracja przeniosła mnie z powrotem do parnej ładowni gobliniego statku. Podczas gdy Malk krwawił na mnie, a ja myślałem, że skończymy w żołądkach kłaczki, Norrigal opowiedziała mi tę historię. To, co zamierzała zrobić Galva, było nie do pomyślenia poza baśniami. Chciała posadzić wiedźmę na tronie Ispanthii. Takie szczere zaproszenie oznaczało, że zapewne zasłużyliśmy na jej zaufanie, a zaufanie Spanthianki to bezcenna waluta.

– Pójdę przodem, żeby spotkać się z armią mojego kraju, która właśnie maszeruje, by pomóc Rubieżom w walce z olbrzymami – ciągnęła.

– Jedna z osób obozujących z tą armią do mnie dołączy. To moja instruktorka szermierki, która uczyła mnie przez trzy lata i którą bardzo chcę zobaczyć.

– Skoro armia kieruje się na Rubieże, to po co my mamy to robić? – spytałem.

– Aby podbić królestwo, nie wystarczy tysiąc żołnierzy, ale dziesiątka to za dużo, by uwolnić jeńca – wyjaśniła Galva. – Armia idzie walczyć z olbrzymami i zepchnąć ich za góry. My znajdziemy infantkę i odeślemy ją do domu. Czeka nas trudna podróż, ponieważ będziemy maszerowali szybko i rzadko odpoczywali. Przez zatopienie okrętu straciliśmy wiele dni i już nie możemy zwlekać. Wyruszymy rano i od tej pory nie będziemy się zatrzymywać w jednym miejscu na dłużej niż jedną noc. Wszyscy, którzy pomogą mi w tym przedsięwzięciu, mogą liczyć na sówite nagrody oraz wdzięczność korony Ispanthii.

– Nie powiedziałaś, że chodzi o Kalitha – zauważyłem, mrugając okiem.

– Ciszej – syknęła Norrigal.

– Niedopatrzenie – odparła Galva, lekko się uśmiechając, i lekceważąco machnęła ręką. – Korona Ispanthii jest szczodra, a powrót infantki na jej prawowite miejsce przysłuży się Ispanthii i wszystkim Ludzkim Krainom.

– Jeśli można na tym zarobić, to w to wchodzę – rzekł Malk.

Kiedy służyliśmy na statku, nie wyglądał na najemnika – babraliśmy się w krwi i tłuszczu, więc nie było sensu nosić eleganckich ubrań – ale kiedy tylko dostał swoją dolę goblinich pieniędzy, wyposażył się w najlepsze ubrania dostępne w Edth. Jego skórzany kaftan wyszywany pierścieniami z brązu mógł zatrzymać ostrze noża i większość mieczy. Kupił sobie także długi miecz, o ile się nie mylę z istreańskiej stali, o wiele lepszy od poobijanej szabli, która służyła mu na pokładzie Suepki. Wyglądał jak człowiek, z którym trzeba się liczyć, i nawet znalazł galtyjski naszyjnik wykuty ze złota, dzięki któremu wyglądał jak syn księcia, a nie dzieciak żołnierza z Platha Glurris. Ostrzygł włosy, zgolił zarost i niewątpliwie oglądała się za nim połowa córek Edth, gdy szedł do tawerny.

Jeszcze jedno – kiedy Norrigal i ja bawiliśmy się w księżycowe małżeństwo, Malk i Galva odbudowali swoją przyjaźń, którą na chwilę zakłócił spór o to, czy należy mnie zamordować. Zastanawiałem się, czy robili razem zakupy, jak dwie plotkary na targu. Być może Galva chwaliła się swojemu kompanowi swoją elegancką burgundową koszulą, a Malk pytał: „Który naszyjnik bardziej podkreśla kształt mojej szczęki?”.

Zachichotałem.

– O co chodzi? – spytała Galva.

– O nic – odrzekłem. – Po prostu... podziwiałem twoją koszulę.

– Dlaczego ciągle się śmiejesz? – zirytowała się Galva. – Śmiejesz się, kiedy powinieneś milczeć, mówisz, kiedy powinieneś słuchać. A tę koszulę uszył słynny ispanthiański krawiec i nie należy z niej kpić.

– Mój bóg tego ode mnie wymaga. Chcesz, żebym pomógł ci odszukać infantkę?

Zamrugła dwukrotnie, zapewne powstrzymując się przed powiedzeniem tego, co miała na końcu języka.

– Tak.

– Dobrze! Czy to spotkanie na granicy odbędzie się w pobliżu Grevitsy?

– Dlaczego wspominasz o Grevitsie?

– To molrowskie miasto.

– Wiem o tym. Dlaczego o nim wspominasz?

– Bez powodu. Słyszałem, że mają świetne koronki.

– Koronki?

– W Grevitsie.

– Po co ci koronki?

– Pomyślałem, że mogą ci się przydać. Do twojej eleganckiej koszuli.

Wyciągnęła rękę ponad stołem i mnie spoliczkowała, ale to jeszcze bardziej mnie rozbawiło.

– Zasłużyłem sobie – przyznałem ze śmiechem i wstałem od stołu. – Nie ruszaj się. Przyniosę ci następną karafkę wina. Na koszt Gildii.

Bogini drugich szans

Tej nocy zostawiłem Byczka w pokoju i zabrałem Norrigal do najstarszej części Edth, niedaleko zatoki i niskiej, okrągłej fortecy, którą nazywają Syrenią Wieżą. Zwiesiliśmy stopy z falochronu i słuchaliśmy trzeszczenia i głuchych stuknięć statków, bulgotu wody oraz krzyków nocnych ptaków.

Olbrzymi posąg Cassy, bogini miłosierdzia i żony Mithrenora, stał z jedną dłonią zwróconą w błagalnym geście ku morzu, a drugą przyciśniętą do piersi. To do niej kierowano wszystkie modlitwy za zaginionych marynarzy. Pozostawała wierna Mithrenorowi, niezależnie od tego, z iloma nimfami i ludzkimi córkami spłodził bękartów, a w zamian żądała jedynie, aby czasami, tylko czasami, okazywał łaskę i łagodność. Była skłonna nawet go przechytryć. „Utopisz ciało z własnego ciała?”, pytała, chwytając go za dłoń dzierżącą bicz, gdy właśnie miał wyrzucić jakiś uszkodzony statek. „Cóż to za sztuczki?”, pytał. „Moje boskie ciało nie może utonąć”. Na to ona odpowiadała: „Nie pamiętasz tamtej czarnowłosej dziewczyny, która pokochała cię na tym brzegu niecałe trzydzieści lat temu? Jej potomek został marynarzem i właśnie walczy o życie na tym statku”. Mithrenor pytał: „Który to? Pokaż mi, a go ocalę i utopię resztę”. Na co mądra Cassa odpowiadała: „To ten najprzystojniejszy, najbardziej podobny do ciebie”. Podczas gdy Mithrenor przyglądał się załodze, próbując ustalić, który z marynarzy najbardziej go przypomina, Cassa uspokajała wiatr i fale, a jej mąż, nie mogąc dostrzec swojego odbicia w żadnym z ludzkich obliczy, a zarazem dostrzegając cząstkę siebie w każdym z nich, pozwalał jednostce odpłynąć. Przynajmniej tak głoszą mity, ale dobrze wiecie, jak się zachowują bogowie, gdy ich potrzebujecie.

Jeśli dokładniej przyjrzą się posągowi Cassy, zauważycie, że jej śliczne stopy są podziurawione w miejscach, w których zrozpaczone żony, synowie i matki tłukli w nie młotkami, dłutami lub kamieniami, gdy bogini nie uratowała ich bliskich. Jej stopy były też poplamione, ponieważ niektórzy nacinali sobie kciuki i w ramach protestu brudzili posąg krwią. Warto zauważyć, że atakowali boginię drugich szans, ponieważ w ten sposób mogli bezpiecznie dać upust swojej rozpacz – Cassa nigdy się nie mściła. Co innego Mithrenor, którego posąg stał po drugiej stronie fortecy. Każdy boi się tego drania. Jego rozdwójona płetwa ogonowa była nieskazitelnie czysta, mimo że to on dzierżył bicz. To on zabijał statki. Ludzie tak naprawdę nie wierzą, że pośle olbrzymią falę, by zatopić miasto, jeśli ktoś zbezczęści jego posąg, ale lepiej dmuchać na zimne. Słodka Cassa musi znosić ciosy dłutem i zakrwawione kciuki, podczas gdy Mithrenor robi, co zechce. Widzicie? Naprawdę można się czegoś nauczyć od bogów.

Rozejrzałem się i upewniłem, że nikt nas nie słyszy.

Casso, pomyślałem z całych sił, nie pozwól, by Norrigal mnie zasztyletowała, przeklęła albo oślepiła magicznym proszkiem, gdy powiem jej to, co muszę. Jeżeli będzie musiała mnie uderzyć, niech tak będzie, byle nie w czułe miejsca albo w krtań, no i nie kamieniem większym, niż z łatwością zmieści się w jej dłoni.

– W moim kocie jest skrytobójczyni – powiedziałem.

– Co takiego?

– Słyszałaś. I to nie taka zwyczajna, ale mistrzyni skrytobójstwa.

– Kto to taki? Najgorszy możliwy rodzaj skrytobójcy?

– Tak. Ma około setkę magicznych tatuaży, a jeden z nich przedstawia bicie jej serca, dzięki czemu Gildia dowie się o jej śmierci. Ma na imię Sesta. Jest straszna. Nie byłem pewien, czy powinienem zdradzać ci jej imię, ale ona zna twoje, więc wydaje się to uczciwe. Zwłaszcza że wątpię, czy naprawdę się tak nazywa; to pewnie tylko przydomek zabójczyni, ponieważ tyle miała lat, kiedy odebrała komuś życie. To znaczy po raz pierwszy. *Sesta* oznacza „sześć”. Po istreańsku. Więc podejrzewam, że pochodzi z Istrei. Co prawda nie mówi z akcentem, ale w Gildii ich tego oduczają.

Norrigal trzepnęła mnie ręką w czuprynę, całkiem mocno. Ale tylko raz. Potem polizała dłoń i przyglądała włosy, które stanęły mi dęba po jej ciosie.

Nie było tak źle. Dziękuję, Casso. Jesteś słodka.

– Kiedy się denerwujesz, bełkoczesz jak stary dziad, wiesz o tym?

– Tak, ale nauczyłem się nad tym panować. Nie wychodzi mi tylko w twojej obecności.

– Straszny z ciebie palant.

– Nienawidzisz mnie?

– A niby za co? Wszyscy służymy swoim panom. Natomiast cała ta sytuacja mi się nie podoba. Wpakowali twoją marchewkę kozie do pyska.

– Nigdy nie słyszałem tego powiedzenia.

– Wymyśliłam je.

Westchnąłem i popatrzyłem na Zatokę Trzewi, w której odbijały się światła latarni płonących na ścianach olbrzymiej, okrągłej Syreniej Wieży.

– Nawet gdybym mógł, nie chcę zabijać kota – stwierdziłem.

– Twoje miękkie serce kiedyś cię zgubi. Czasami trzeba poderżnąć komuś gardło.

Przypomniałem sobie człowieka-byka w lesie i zadrżałem. Miałem ochotę poderżnąć tylko jedno gardło, ale za to porządnie.

– Wiem, ale zabicie kota nie wchodzi w grę – odparłem.

– Nie byłoby to roztropne. Runa życia, którą ci pokazała, to potężna magia. Niekoniecznie efektowna, ale pewna.

– Więc kot nie może umrzeć.

– Nie.

– A skrytobójczyni i tak mnie odnajdzie, nawet jeśli spróbuję ją zgubić, a do tego doniesie na mnie do Gildii.

– Hmm.

– Znam to „hmm”. Masz jakiś pomysł, prawda?

Wstała i dźwignęła mnie na nogi. Stała za mną i wyciągnęła moją rękę w stronę morza, w takim samym geście, jaki robiła Cassa. Moją drugą rękę położyła na mojej piersi, a następnie przytrzymała mnie od tyłu i wyszeptała mi do ucha:

– Dzisiaj w nocy zapal świeczkę dla słodkiej Cassy. Pomysł, który mi podsunęła, może uchronić cię od zguby.

Żeby stworzyć dobry magiczny tatuaż, trzeba znać się na ludzkim ciele, ale także znać ciało konkretnej tatuowanej osoby. Istnieje wiele rodzajów takich tatuaży. Skrytobójczyni Sesta nosiła na skórze runy i glify, z których każdy krył w sobie zaklęcie albo czar ochronny. Była chodzącą księgą czarów. Dysponowała mocą niemal dorównującą potędze magików, ale pożyczała ją od innych – nie musiała jej tworzyć, jedynie nauczyła się z niej korzystać – co pozwoliło jej wytrenować swoje ciało do tak groźnej postaci.

Mój tatuaż, karny symbol, jest widoczny tylko w blasku ognia. Takie znaki łatwo się tworzy. Tatuowała mnie moja była kochanka, dzięki czemu wszystko poszło sprawnie.

Tatuażem, z którego słynęła Gildia, były mówiące usta. Niektóre przekazywały wiadomości i znikwały po ich ogłoszeniu. Inne tłumaczyły obce języki, choć były trudne do stworzenia i słynęły ze złośliwości – powiadano, że jeden rozmyślnie doprowadził do wybuchu wojny. Ale najbardziej pożądanym rodzajem tatuażu jest tak zwany skarżypyta: usta połączone z okiem i uchem, które donoszą o wszystkim, co robicie i mówicie, oraz z kim spędzacie czas.

Oczywiście hasło zabezpieczające jest tajne, ale zdolny czarownik potrafi zmusić usta do mówienia, więc Gildia nigdy nie umieszcza takich tatuaży na ciałach swoich członków. Niejedna zazdrosna stara prukwa doprowadziła się do ruiny, gdy okazało się, że jej ślubny jest szpiegiem, świadomym bądź nieświadomym, a tatuaż, który miał ją zapewniać o jego wierności, wyśpiewywał tajemnice bankowe albo zdradzał sekrety umożliwiające zastosowanie szantażu lub stworzenie kopii przez mimika.

Ze wszystkich naszych przywar bogowie najbardziej nienawidzą zazdrości, ponieważ ona nas do nich upodabnia.

Najtrudniejszymi tatuażami do wykonania byli śpiący i właśnie takie wzory nosiła Galva. Kruk, który wyskakiwał z jej piersi, gdy go potrzebowała, istniał w czymś w rodzaju uspionego czasu, gdzie się nie starzał, ale czerpał pewną ilość energii życiowej od noszącej go osoby. Przywoływanie go sprawiało jej ból, podobnie jak jego wchłanianie. Jeśli odniósł rany, mogła go uzdrowić, odsyłając go na miejsce, chociaż odczuwała część jego bólu, co prawie ją zabiło, gdy na goblińskim statku musiała wziąć na siebie część cierpienia zmiażdżonego ptaka. Nie znałem się zbyt dobrze na tej sztuce, ale byłem pod wrażeniem tego, że Norrigal prawie ją opanowała. Chociaż czasami zdarzały jej się partactwa, imponująco dobrze posługiwała się magią jak na osobę w tak młodym wieku. Nie wątpiłem, że dorówna Martwym Nogom, jeżeli pożyje równie długo.

Podkradliśmy się do kota, który chyba drzemał, chociaż trudno było to stwierdzić z całą pewnością, ponieważ drań zawsze spał z otwartymi ślepiami. Norrigal wzięła okrągły kawałek skóry i wypisała na nim uroki; ściągnęła go sznurkiem, tworząc kaptur, który następnie spięła żelazem. Miałem podejść do kota i wyjąć kaptur dopiero, gdy będę gotowy. Wróciliśmy do domu blisko północy. Malk i Galva śmiali się pijackimi głosami w sąsiednim pokoju. Kot siedział pod stołem w pokoju, który dzieliłem z Norrigal, i sprawiał wrażenie czujnego. Gdyby był zwykłym kotem, nie mógłby niczego zobaczyć, ale skąd mogłem to wiedzieć? Skrytobójczyni musiała być w środku, aby nasz plan zadziałał. Najlepiej poddać go próbie.

Norrigal położyła się na łóżku, udając wyczerpanie, a ja podszedłem do zwierzaka.

– Witaj, Byczku.

Wyjąłem ładnego, tłustego śródmorskiego ślimaka, którego dla niego zachowałem, i pozwoliłem mu go powąchać. Zamiauczał z zainteresowaniem i dał się wywabić spod stołu. Gdybym rzucił smakołyk pod przeciwległą ścianę, kot odwróciłby się do mnie tyłem, ale jeśli ta suka patrzyła jego oczami, nabrałaby podejrzeń. Musiałem zrobić coś mniej podejrzanego. No dobrze, niech będzie środek pokoju. Ślimak upadł na podłogę z soczystym klapnięciem. Byczek kiwnął łebkiem jak wąż, zaczął węszyć, a potem ruszył w stronę kąska, ostrożnie stawiając kroki. Kiedy na niego patrzyłem, nagle coś się w nim zmieniło i przystanął. Spojrzał na mnie. Dostrzegłem znak, na który czekałem – skrytobójczyni nim kierowała. Gdybym odwrócił wzrok i udał, że zajmuję się czymś innym, wyglądałbym zbyt podejrzanie. Ale gdybym przyglądał mu się spokojnie, może nieco zamyślony, nie wzbudzałbym większych podejrzeń, więc tak zrobiłem. Norrigal dalej leżała na łóżku, jakby za chwilę miała stracić przytomność.

Byczek obejrzał się na ślimaka i zamiast po omacku się do niego podkraść, szybko go porwał i wszedł pod łóżko. Nasłuchiwałem odgłosów krztuszenia się, ale ich nie usłyszałem. Skrytobójczyni niczego nie podejrzewała; pozwalała kotu zjeść zdobycz. Marynarze, którzy wyrzucili Byczka za burtę Suepki Buryey, pokazali nam, że zwierzaka da się schwytać, więc Norrigal, która sprawiała wrażenie zaspanej, nagle zerwała się z posłania i złapała go za ogon.

Moi drodzy przyjaciele, cóż to była za walka. Nie będę opisywał tej furii zębów i pazurów, zaznaczę tylko, że przodowała w niej Norrigal. Ostatecznie rozciągnęła biednego Byczka na łóżku i przygniotła biodrami, jakby próbowała go złamać, i udało jej się oszołomić zwierzaka oraz zamieszkującą go wredną istotę, dzięki czemu mogłem założyć kotu kaptur. Środki usypiające, które do niego wsypała, wkrótce zaczęły działać i Byczek zachrapał w swoim skórzano-żelaznym kapturze. Norrigal broczyła krwią i ciężko dyszała. Miała potargane włosy.

– Myślisz, że skręciłaś mu kark? – spytałem, podnosząc jedną z łap Byczka.

– Myślisz, że mnie to obchodzi?

– Umówiliśmy się, że nie zrobimy mu krzywdy – przypomniałem.

Otarła krew z podrapanego policzka.

– Zagramy teraz w pewną grę. Ja udam, że tego nie powiedziałaś, a ty udasz, że jesteś wdzięczny za to, że nie masz nowego guza na głowie.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wpadła Galva z tarczą i opartym na niej spadnię.

– *Quei chodaderias bain elchi?* – Jej holtyjski zawsze kulał, gdy była pijana lub pobudzona, tak jak teraz.

„Co to za kurestwo?”

– Nieważne – odparłem.

Popatrzyła na kota w kapturze, a potem na krwawiącą i zdyszana Norrigal. Zobaczyła jej najeżone loki. Wiedźma zauważyła, na co patrzy Spanthianka, splunęła na dłoń i przygładziła fryzurę. Galva pokręciła głową i wyszła. Na korytarzu spotkała Malka, który spytał ją, co się dzieje.

– Oddają się jakimś czynnościom z kotem w masce. To nie moja sprawa. Idę do łóżka.

Stukanie igły do tatuaży to charakterystyczny dźwięk, którego nie da się zapomnieć, zwłaszcza jeśli każdego dnia trzeba patrzeć na efekty. Kot znalazł się na mojej lewej ręce, pomiędzy łokciem a pachą, gdzie mogłem go ukryć albo oglądać, wedle potrzeby. Gdyby coś poszło nie tak, a wiele rzeczy mogło pójść nie tak, lepiej, aby znajdował się na kończynie, którą mogłem stracić, niż obok serca albo innych ważnych organów. Oczywiście nie podobała mi się myśl o byciu żebrakiem, a tylko tego może się spodziewać jednoręki złodziej, ale póki życia, póty bólu. Albo nadziei. Nie znam się na powiedzeniach.

Norrigal wystukała kota na mojej skórze w ciągu pół dnia, zalewając się potem, pomimo chłodu. Zmieszała tusz z popiołem ze spalonego futra i obciętych pazurów, a także innymi składnikami, które kupiła w dzielnicy magii. Nieco ichoru gąsienicy (nie wiem, czy naprawdę nazywa się go ichorem – sama użyła nazwy „maż”, ale to brzmi mało magicznie, prawda?), atramentu krakena, który miał zapewnić miksturze moc, oraz żelaznych plomb, które ją związały. Wypowiadała swoje zaklęcia w języku dawnych Galtów, nieco odmiennym od naszej ojczystej mowy, ale to najlepszy dialekt do czarów przemieniających.

Kiedy zaczęła nakładać tusz za pomocą ciernia, poczułem w powietrzu silną magię i zobaczyłem coś cudownego. Miałem wrażenie, że pochwyciła nitkę wystającą ze śpiącego kota, nawlekła ją na cierni, a kiedy tworzyła wizerunek, prawdziwy kot pruć się jak wełna. Działo się to na moich oczach. Nie zaczęła od konturu, który następnie wypełniała, ale narysowała cały wizerunek od ogona do czubka nosa, a kiedy była w połowie, na stole chrapała ubrana w kaptur połówka kota. Gdy do wytatuowania została tylko głowa, kaptur spadł, ale wiedźma pozostawiła usypiające zioła obok noska zwierzaka. Byczek oddychał, widziałem i czułem falowanie jego piersi na moim bicepsie, a jednak powietrze wlatywało i wylatywało ze spoczywającej na stole głowy, która poruszała wąsikami i zamkniętymi powiekami, pod którymi drgały oczy. Magia to fantastyczna sprawa – nic dziwnego, że doprowadza niektórych do obłądu.

Norrigal wszystko wyjaśniła, gdy kot już zmienił się w tatuaż.

– Nie zabiłeś zabójczyni. To, co znajduje się w kocie, nadal istnieje, tylko unieruchomione i uciszone. Twoje żyjące serce powinno zasilać tę runę, która będzie sprawiała wrażenie żywej dla wszystkich patrzących. Ale uważaj – możesz zbudzić śpiącego, jeśli wypowiesz prawdziwe imię kota albo zabójczyni.

– Nie znam żadnego z nich.

– Więc miejmy nadzieję, że nie są zbyt pospolite i nie wypowiesz ich przypadkiem.

– Jak jeszcze mogę rozwiązać zaklęcie?

– Wiedźma może zedrzyć z ciebie tatuaż i go obudzić. Taki sam efekt może mieć burza. Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje, poza teorią, że błyskawice pochodzą bezpośrednio z rąk bogów, którzy pojawiają się przy nas podczas wyładowań. Jeśli umrzesz, kot może umrzeć razem z tobą albo zeskoczyć z twojego ciała, nikt tego nie wie. Uważaj na swoje sny. Spanthianka spokojnie śpi ze swoim ptakiem, ponieważ nie ma on ludzkiego umysłu, a poza tym ją kocha. Ty masz w sobie wrogi intelekt, który może spróbować przedostać się do twojego umysłu. Najłatwiejszą drogą będą sny, ponieważ wtedy najmniej się pilnujemy. Jeżeli przyśni ci się koszmar, w którym tatuaż będzie schodził z twojej skóry, a zwłaszcza jeśli będziesz przy tym krwawił, obudź się, ponieważ możliwe, że on naprawdę będzie próbował się od ciebie oderwać, by wrzucić tę morderczą sukę do twojego łóżka. Ale na razie ona nie powinna mieć pojęcia, gdzie się znalazła. Dwukrotnie ukryłeś zabójczynię. Najpierw w kocie, a potem w sobie. Zniknęła ze świata. Kiedy będziesz gotowy ją zabić, możesz spróbować. Nie miej wątpliwości; pewnego dnia będziesz musiał to zrobić. Ona jest w twojej krwi, a ty w jej. Jeśli się wydostanie, będzie mogła wszędzie cię odnaleźć. Wystarczy, że zaśnie.

Tamtej nocy leżałem w zimnym łóżku i rozważałem swoje możliwości. Wciąż musiałem zdać sprawę przed Gildią, a pierwszy dzień Winnic szybko się zbliżał.

„Postaraj się dotrzeć do Hrawy przed pierwszym dniem Winnic, czyli za dwa jasne księżycy”.

Poprzedniej nocy był nów.

Do końca miesiąca pozostały niecałe dwa tygodnie.

Siedemnaście dni.

Za mało, żeby dotrzeć tak daleko.

Jak bardzo się spóźnię?

Tydzień?

Dwa?

Słowa „postaraj się” brzmiały zachęcająco i sugerowały, że Gildia zrozumie nieprzewidziane komplikacje. Na przykład atak krakena na statek wielorybiczny. Ale jak dużą wyrozumiałością się wykażą, kiedy zniknie ich skrytobójczyni? Jak często się z nimi komunikowała, jeśli w ogóle to robiła?

I którego dnia nadejdzie moja kara, której nie zobaczę ani nie usłyszę, ale którą z pewnością poczuję?

Najgorsze było to, że nie mogłem się tego dowiedzieć.

Każdy dzień, poczynając od początku następnego miesiąca, będzie jak gra w kości, w której będę miał coraz mniejsze szanse, a stawką będzie wszystko, co kocham.

Uwięzienie skrytobójczyni w moim ciele na razie uratowało Norrigal przed śmiercią, ponieważ wiedziałem, że takie zamiary miała Sesta. Gdybym pozwolił Galvie, Malkowi i Norrigal wcielić w życie ich plan, a sam poszedł własną drogą, kolejny wysłannik Gildii zapewne wpadłby na ich trop. Gildia kazała mi dołączyć do Galvy, ponieważ chciała, by ich zabójczyni znalazła się blisko królowej Mireyi, prawdopodobnie po to, by ją usunąć, ale być może po to, by ją schwytać. Pokrzyżowałem te plany, ale potrzebowali nieco czasu, by się o tym dowiedzieć.

Moją największą szansą było udzielenie pomocy Galvie w wypełnieniu jej planu, ponieważ Norrigal otrzymała od Martwych Nóg polecenie, by pomóc Spanthiance. Potem wezmę tyle pieniędzy, ile zdołam, by ułatwić sobie ucieczkę. Nie mogłem się łudzić. Miałem całkowicie przejebane. Tak czy inaczej, Gildia dowie się, co zrobiłem, i przykładowo mnie ukarze. Chyba że zniknę. Gdyby dowiedzieli się, że ich zdradziłem, moja rodzina wpadłaby w tarapaty. Ale gdybym po prostu zniknął razem ze skrytobójczynią? Przecież mogło nas spotkać mnóstwo różnych nieszczęść, a Gildia nie traciłaby czasu na krzywdzenie moich bliskich, skoro winą nie musiała leżeć po mojej stronie.

Moje szanse na zniknięcie rosły z każdym krokiem na zachód. Poborczy byli najpotężniejsi na wschodzie, w Ispanthii, Gallardii i Holcie. Mieli spore wpływy także w środkowych krainach, takich jak Śródmorze, Istrea, Sadunther czy Unther, ale w Molrovie, Wostrze i Beltii mieli tylko nie-liczne placówki.

Brayce, położone na północy pomiędzy Holtem a Śródmorzem, było kolejną możliwością, ponieważ niemal w całości porastały je lasy. Gildia nie miała ochoty zmagać się z tamtejszymi dzikimi klanami ani mieszać w handel jelenimi skórami i drewnem. Czego miał szukać złodziej w tym królestwie myśliwych, leśników i watażków, w którego dziwacznej drewnianej stolicy, Wrotach, mieszkało mniej ludzi niż w trzecim co do wielkości mieście Holtu? Jeśli nie zamierzałem chwycić topora i łuku i przeprowadzić się do pieprzonego domu na drzewie, zdobionego porożem i odrąbanymi rękami moich wrogów, powinienem powędrować na zachód.

Wszyscy wiedzieli, że królestwo Rubieży, dokąd się kierowaliśmy, zdelegalizowało Gildię i wpędziło ją do podziemia. Powiedziałbym, że zostali wygnani, ale Poborców nie da się pozbyć. Mimo wszystko pozostawali w ukryciu, a chociaż w tym nie mają sobie równych, ich obecność na Rubieżach była znacznie mniej zauważalna, więc ostrożny człowiek, zwłaszcza taki, któremu pomaga wiedźma, może umknąć ich uwadze.

Problem z podróżą na zachód polegał na tym, że na Rubieżach podobno rojło się od olbrzymów, a w Molrovie od Molrovian. Ale żeby zniknąć z powierzchni ziemi, potrzeba szczęścia i pieniędzy, a im więcej ma się jednego, tym mniej trzeba drugiego. Dlatego powinienem trzymać się Galvy, która oddalała się od cywilizacji, a zbliżała do potencjalnego bogactwa.

Poza tym pozostawała sprawa mojego beznadziejnego zakochania w Norrigal Na Galbraeth.

Wszystkie znaki wskazywały na zachód.

Ispanthiańska armia

Wyjechaliśmy z Edth na osiołkach, które kupiliśmy za duże pieniądze. Cztery jako wierzchowce, jeden na bagaż i szósty dla tajemniczej Spanthianki, którą mieliśmy nadzieję dołączyć do naszej drużyny, kiedy spotkamy wojsko. Nawet z pomocą zwierząt dotarcie na zachodni skraj Śródmorza wiązało się z trudną i zimną podróżą. Pozostaliśmy na Białej Drodze zbudowanej przez Kesh, przemierzając ostatnią płaską część kraju, gdzie woły, osły albo, w najbiedniejszych gospodarstwach, grupki ubłoconych dzieci z trudem ciągnęły pługi, by zasadzić ostatnie w tym roku korzenie i cebule. Kiedy teren stał się skalisty, byliśmy wdzięczni losowi za osły, które stąpały pewnie, choć czasem kaprysiły. Mój wredny wierzchowiec ugryzł mnie w rękę, gdy nie zrozumieliśmy się w sprawie rzepy, ale nikt nie chciał się ze mną zamienić.

Wkrótce znaleźliśmy się na Strzyżonych Wzgórzach, które przecinała rzeka Vornd w kolorze cyny. Na tych wzgórzach zjedliśmy najlepszy posiłek podczas tej podróży – wesołego koziołka, który był na tyle miły, że pozwolił przestrzelić sobie oba płuca obok kępy dzikiej mięty. Najgorszy posiłek składał się z zielonych jabłek, które wykrzywiały nam usta, ale, dzięki niech będą Cassie, nie przyprawiły nas o biegunkę. Zachowaliśmy kilka na później.

Szóstego dnia po opuszczeniu Edth zobaczyliśmy dym i sztandary nad rzeką, niedaleko Pokonanego, skalistego szczytu, który podobno został przeklęty. Na pewno sprawiał takie wrażenie. Wyglądał odpowiednio do swojej nazwy – miał zgarbione ramiona, a rozsypane kamienie kojarzyły się ze łzami. Galva rozpromieniła się, gdy zobaczyła dym, a potem jeszcze bardziej, kiedy przekonała się, że na sztandarach widnieje byk Ispanthii, a nie ośmioramienna gwiazda Holtu.

Na brzegach stały szkarłatne i srebrne namioty, a na szczycie wzgórza, pod największym sztandarem, pyszniły się namioty w kolorze złota. Zbliżał się zmierzch i światło obniżającego się słońca efektownie odbijało się w rzece, choć nie robiło takiego wrażenia jak zapach czosnku i oliwy z oliwek dochodzący od strony ognisk, przy których ispanthiańska armia gotowała posiłki. Grupka zwiadowców pobiegła nam na spotkanie w dół zbocza. Byli to dwaj chłopcy i dziewczyna o czarnych włosach i surowo uniesionych brwiach, zupełnie jak u Galvy, z pogromcami byków przy pasach i tarczami na plecach.

Wystarczyło jedno spojrzenie na pieczęć Galvy i zgięli się w ukłonie, a wyzywająca postawa ustąpiła miejsca serdeczności, gdy poprowadzili nas w stronę namiotu dowódcy. Ktoś grał na ispanthiańskich dudach o wysokim i słodkim brzmieniu, a jedna z kobiet śpiewała, ale za cicho, żebym ją słyszał, nawet gdybym znał słowa, a nie znałem.

Zadowolone twarze zwracały się w stronę Galvy, a liczne przyjazne uściski spowalniały ją, choć jej zwłoka nie mogła obrazić generała. Nawet naszej trójce cudzoziemców pozwolono dojść do stanowiska straży. Po krótkich negocjacjach wspięliśmy się do namiotu z otwartą klapą, zza której biły światło świec oraz woń pieczonego mięsa. Wejścia pilnował kwartet kobiet, które nieco przypominały Galwę, choć były znacznie wyższe, szersze w barkach i silniej opancerzone. Dwie z nich weszły za nami do namiotu. Nie musieliśmy oddać broni. Spanthianie byli zbyt dumni, by zwracać sobie głowę takimi formalnościami – znali Galwę, która z kolei odpowiadała za nas, chociaż po dziewięciu dniach w drodze wyglądaliśmy na bardzo sfatygowanych.

A zatem po krótkiej zapowiedzi zostałem wpuszczony do bogato przystrojonego namiotu ze złotej tkaniny, w którym siedział bogato przystrojony mężczyzna, hrabia Marevan da Codorezh en Nadan, generał Czwartego Skrzydła, dowódca sześciotysięcznej lekkiej piechoty i ośmiuset łuczników. Po wejściu moim głównym zmartwieniem było dyskretne pozbycie się upartego owczego łajna, które przyczepiło się do mojego buta, i chyba mi się udało, gdy wytarłem je o drugi but i wdeptałem w trawę. Jeśli nawet coś zauważyli, byli zbyt uprzejmi, by dać to po sobie poznać.

Miałem już okazję spotkać generała, ale nigdy ispanthiańskiego. Hrabia był mężczyzną drobnej postury i miał miążdzące spojrzenie, a gdy na kogoś patrzył, często pochylał się do przodu. Był także stary, na tyle, że mógł walczyć w Wojnie Rycerzy, czyli pierwszej z Gobliskich Wojen. Byliśmy niezwykle dumni z tego, że ją wygraliśmy, nie wiedząc, o ile gorszy będzie kolejny atak. Tak czy inaczej, staruch na pewno wciąż zalewał się łzami, gdy wspominał, jakie to uczucie siedzieć na koniu, a także z pogardą patrzył na młodziaków, którzy oddali wrogom prawie pół kontynentu. Nie wiedziałem, ile bitew wygrał, ale na pewno nie można było mieć zastrzeżeń do jego krawca i zbrojmistrza. Miał stalowy napierśnik z wytrawionym wizerunkiem lwów stojących na tylnych łapach i szykujących się do walki, oraz szary aksamitny kubrak z wysokim kołnierzem i rękawami wysadzany guzikami, które wykonano na zmianę z miedzi i złota.

Chociaż traktował nas uprzejmie, rozmawiał z Galwą po ispanthiańsku, tak szybko i oficjalnie, że wychyciłem tylko pół tuzina słów. „Olbrzymy”, „góry”, „wojna”, „honor”, „przepiórka” i „wino”. Jedliśmy przepiórki i piliśmy wino. Olbrzymy, wojna i góry stały im na drodze. Gdyby

honor postanowił wziąć udział w naszej przygodzie, miałem nadzieję, że zdołam go rozpoznać. Kilka razy mi go pokazywano, ale nigdy się nie zaprzyjaźniliśmy.

Drugi namiot, do którego wszedłem w ślad za Galwą, był wykonany z surowych konopnych włókien, a nie jedwabiu czy złotej tkaniny. Na kolację spożywano tam nie przepiórki, ale baraninę, a zza otwartej klapy bił nie zapach kadzideł, tylko smród tytoniu, paskudnej, ale pobudzającej rośliny, którą palono na południu i wschodzie. Namiotu nie pilnowała straż, a w środku znajdowała się tylko jedna osoba.

Mistrzynie szermiercza Calar Saram była znacznie ciekawszą osobą od hrabiego. Miałem wrażenie, że hrabia i Galva, oboje spętani uprzejmością, w najlepszym wypadku zachowywali się wobec siebie neutralnie. W końcu ojciec Galvy wielokrotnie rywalizował z Marevanem o rozmaite stanowiska. Zupełnie inaczej było z instruktorką szermierki, pękata pięćdziesięciolatka z przerwami w uzębieniu i skórą pokrytą bliznami, niczym ostatnia tykwa pozostała na targu. Paliła tytoń nie w fajce, ale w krótkim skręcie, który rozżarzał się na końcu, gdy się zaciągała.

– *Corme seu dalgatha* – powiedziała, gdy zobaczyła Galwę.

Klepnęła ją po twarzy mięsistą dłonią i wydmuchnęła dym kącikiem ust. Popatrzyła na naszą trójkę stojącą za plecami Galvy i szybko zmierzyła nas wzrokiem.

– *Holteshi?*

– *Galtesi* – odpowiedziałem, ale sposób, w jaki to powiedziałem, sprawił, że się skrzywiła i przeszła na holtyjski. Częściowo.

– Też jesteście chudzi. Głodujecie z moją Galwą? Hej? *Vosu cravit nourid?* Chcecie jeść?

– Już jedliśmy – odrzekłem.

– Więc sobie zapalcie – powiedziała i wetknęła mi w usta wilgotny skręt z tytoniem.

Już kiedyś go próbowałem i mi się nie podobało, ale zaciągnąłem się i chociaż o mało nie dostałem torsji, zdołałem powstrzymać kaszel.

– Dobrze! – rzekła. – Kto kaszle, jest słabe jądra.

– Ma – poprawiła ją Galva.

– *Ai, os*, kto kaszle, jest małe jądra. A teraz oddaj. To nie twoje kończenie.

Spodobała mi się.

Żałowałem, że nie znam ispanthiańskiego, ponieważ wtedy nie musiałbym słuchać, jak kaleczy holtyjski, ale i tak mi się spodobała.

Rozmawialiśmy po przyjacielsku przez pół godziny. Nadalle Seri-Orbez, nazywana Yorbez, mistrzyni szermiercza, paliła, śmiała się i płynnie przechodziła między ispanthiańskim a holtyjskim, czasami je ze sobą mieszając. Podała nam pękata butlę gruszkowego trunku z Brayce, który był bardziej palący niż słodki, i zachęcała, żebyśmy o sobie opowiadali. Wydawało się, że z uwagą słucha odpowiedzi. Nic w jej wyglądzie nie wskazywało na to, że jest wojowniczką, może poza węzłami mięśni na przedramionach i oszczędnymi ruchami. Na pierwszy rzut oka każdy, kto nie wiedział, że Galva nazywała tę kobietę mistrzynią, wziąłby ją za kucharkę albo karczmarkę. Jej pas z mieczem wisiał na drewnianym stojaku, a kiedy zobaczyła, że na niego patrzę, spytała:

– Umiesz się nim posługiwać?

– Lepiej sobie radzę z nożem – odrzekłem.

– Musisz radzić sobie znacznie lepiej, jeśli twój przeciwnik ma miecz.

– Wolę pokojowe negocjacje.

Roześmiała się i serdecznie zdzieliła mnie otwartą dłonią w szczękę, co mnie zabolalo.

– *Os?* To działa na gobliny? Takie rozmawianie?

– Rozmawiałem z jednym.

– Dobrze poszło?

– Przeżyłem.

– Ponieważ dźgnąłeś go podczas rozmowy?

– Prawdę mówiąc przeszyłem go strzałą. – Po chwili się zreflektowałem. – Dwoma strzałami.

– Dobrze. Tak najlepiej z nimi gadać.

Wymieniły z Galwą kilka zdań po ispanthiańsku, spoglądając na mnie i pozostałych w taki sposób, jakby naradzały się, czy nas stracić. W końcu kobieta zatrzymała spojrzenie na Malku.

– Nie obraż się, ale ona chciałaby, żebyś na chwilę stąd wyszedł – oznajmiła Galva.

– No to spieprzam – odrzekł pogodnym głosem i wstał. – Poszukam partyjki Wież i przegram swoją nową koszulę.

Wyszedł z namiotu, pogwizdując głośno, żebyśmy wiedzieli, że się oddalił.

Kobieta popatrzyła na mnie i na Norrigal.

Potem znów na mnie.

- No tak – powiedziałem i wstałem.
- Nie – zaprotestowała Galva, a ja ponownie usiadłem.
- Dlaczego? – zdziwiłem się.
- Właśnie jej wyjaśniłam, że jesteście z wiedźmą małżeństwem.
- Tylko na miesiąc.
- Zostały jeszcze trzy tygodnie – wtrąciła się Norrigal.
- A ona i tak by mu powiedziała.
- To zależy o czym – odrzekłem.
- Właśnie – zgodziła się Norrigal. – Potrafię dotrzymywać tajemnic przed takimi jak on.
- To prawda – potwierdziłem. – O niczym mi nie mówi. Mam sobie pójść?
- To prawda, że jesteś z Zaborcami? – spytała Yorbez.
- Poborcami.
- Tak, widzę na twojej twarzy dłoń do uderzania.
- Ja zazwyczaj ją czuję.

Przez chwilę rozważała moje słowa, a potem zakrzyknęła radośnie i ponownie zdzieliła mnie w policzek. Musiałem ograniczyć żarty w jej towarzystwie.

- Nie, zostań – powiedziała. – Zostań, żeby posłuchać. Wkrótce pojedziemy do Grevitsy spotkać się z inną złodziejką, także jedną z twoich Odbiorców. Ona ma mapę, której potrzebujemy.

- Potem spotkamy się z magiczką w Trzmielowych Górach – dodała Galva. – Magicy trzymają z nami i królową, nie z twoją Gildią.

A potem zamierzały zdradzić króla Kalitha.

Dowiedziałem się wielu nowych rzeczy o tym wąsatym draniu.

Na przykład, że nikt nie mógł wejść do jego osobistych komnat we własnych ubraniach i biżuterii. Wszyscy dostawali piękne, ale cienkie Iniane suknie albo koszule i eskortowali ich *gailus du cuth*, chłopcy-nożownicy. To były dwunastoletnie sieroty bezgranicznie lojalne wobec króla, do czego zdolne są tylko dzieci, szkolone od kołyski w tajnikach walki nożem. Kiedy chcecie spotkać się z władcą, jeden z małych nożowników prowadzi was do niego, trzymając was za pasek i idąc w waszym martwym punkcie. Wystarczy jedno spojrzenie Kalitha, szybkie jak klaśnięcie, a stojący za wami malec przetnie wam ścięgna pod kolanami albo wbije ostrze w nerkę.

Galva powiedziała, że słyszała o rzadkim miedzianym czerwiu z Axy, którego król trzyma w labiryncie pod pałacem, dokąd trafiają służący źle wypełniający swoje obowiązki, a Kalith patrzy z góry, jak potwór parzy ich i pożera. Kalith był ulubieńcem Gildii i mógł wedle uznania korzystać ze skrytobójców i magików. Miał czterdziestoletnią klacz, którą czarownicy wielkim kosztem utrzymywali przy życiu, i jeździł na niej podczas państwowych uroczystości, mimo że sprawiało jej to wyraźny ból i ledwie była w stanie go unieść.

Ostatni spiszek przeciwko królowi odkryto w sposób, który pozostawał tajemnicą. Powiadano, że kości spiskowców zostały zamienione w płyn i zamknięto ich w szklanych amforach, w których Kalith czasem ich odwiedzał, by czytać im wiersze.

Kiedy wysłuchałem tych wszystkich opowieści, praktycznie stałem się ispanthiańskim buntownikiem, choć bez dodatkowych korzyści płynących z bycia pieprzonym Spanthianinem.

Pomyślałem o Mireyi, która dorastała w towarzystwie tego złoczyńcy i musiała rozmawiać z małpkami i krzyczeć na niebo, by pozostać przy życiu.

Co za dom rodzinny.

Po takiej rozmowie oczywiście miałem mroczne sny.

Kość w gardle

Byłem w domu. Matka właśnie podała pieczoną kurę oraz zupę z groszku i jęczmienia, która na wierzchu lśniła od tłuszczu. Jedzenie drobiu było luksusem. Rozsmarowaliśmy zupę na drewnianych tackach i kolejno jedliśmy mięso małymi kęsami. Było nas ośmioro: ojciec, matka, trzech braci, ja, dwie siostry oraz osierocony chłopiec, którego przyjęliśmy pod dach, ale uciekł zaledwie po roku. Miał na imię Geals.

Tata poruszał się powoli przez chore stawy, ale za to szybko pił piwo, więc wiedzieliśmy, że zanim posiłek dobiegnie końca, będzie musiał wyjść i hałaśliwie odlać się na ścianę, a potem zacznie nam opowiadać, że to jego dom i powinniśmy okazywać mu szacunek. Osierocony malec pokazywał nam swoje jedzenie, a matka go za to strofowała. Miała kręcone włosy, które nigdy jej nie słuchały. Próbowwała je związywać, żeby nie opadały na twarz, ale jakiś kosmyk zawsze się uwalniał i musiała odrzucać go dmuchnięciem. Moja młodsza siostra skarżyła się, że kozioł ciągle ją dręczy, pytała, czy chmury są zrobione z wełny i zapewniała, że nie chce męża, chyba że będzie miał jasne włosy, ponieważ uwielbiała blondynów.

Potem moja siostra przestała trajkotać i przemówiła do mnie bardzo poważnym tonem:

– Uważaj na kości, Kinch. Matka powiedziała, że ta kura ma paskudne kości.

– Co ty pleciesz? – odpowiedziałem. – Wszystkie kury mają takie same kości, na tym polega ich piękno. Można pojechać dokądkolwiek na świecie i rozkroić kurę, a ona będzie miała kości w tych samych miejscach, co ta w domu.

– Matka powiedziała, że ta ma osobliwe kości.

– Osobliwe kości – powtórzyłem, żeby zrozumiała, jak to brzmi, po czym odgryzłem solidny kęs skrzydełka.

No i wyobraźcie sobie, że natychmiast poczułem ostre łaskotanie w gardle. Chciałem powiedzieć: „Psiakrew, kość uwięzła mi w gardle”, ale najbardziej upokarzające w zakrztuszeniu się jest to, że nie możemy mówić. Zacząłem kaszleć, co oznaczało, że nie zakrztusiłem się na poważnie.

Kaszlałem straszliwie i boleśnie, plując krwią, a wszyscy mi się przyglądali, oprócz taty, który nie przerywał jedzenia, ponieważ cały dzień harował w kopalni srebra, więc ktoś inny mógł się zająć tym plującym krwią niewdzięcznikiem. Miałem wrażenie, że kość przebija mi gardło, więc wytrzeszczyłem oczy i zacząłem rozpaczliwie drapać palcami szyję, a kość wbiła mi się w dłoń.

– Widzisz, matko, mówiłam mu o tej kurze – odezwała się moja siostra, Shavoen.

– Ma osobliwe kości – zgodziła się matka i dmuchnięciem odrzuciła kosmyk włosów z oczu.

– Ale on nie słucha.

Nagle zdałem sobie sprawę, że to nie kość mnie kłuje, ale nóż. Z mojego gardła wystawało ostrze, a ja próbowałem sobie przypomnieć gest oznaczający „Ktoś rozcina moje gardło od środka”, ale nigdy wcześniej nie musiałem z niego korzystać.

– Teraz wpadniesz po uszy w gówno, bo narobiłeś bałaganu – odezwała się Shavoen, a ja próbowałem jej powiedzieć, żeby nie przeklinała, zwłaszcza przy stole, ale mogłem tylko pluć krwią na kurę.

– Co?! – spytał mój martwy, głuchy przyrodni brat. Miał na sobie koszulę gminnego urzędnika, którą ukradł.

Z mojej krtani wydobył się głos: „Zabierz mnie do lustra”, więc podszedłem do kawałka wypolerowanego mosiądzu wiszącego na ścianie obok kufra z ubraniami matki i popatrzyłem na swoje odbicie. Wyglądałem dobrze, nie licząc krwi, która zalała mi koszulę, rozcięcia na szyi, sterczącego z niej noża i widocznej za nim pary oczu. Nagle w rozcięciu pojawiły się usta.

– No widzisz – przemówił kobiecy głos, ponieważ oczywiście to była skrytobójczyni. – Teraz mnie wypuścisz, albo sama wytnę sobie drogę wyjścia i pozabijam te pizdy przy stole.

– Jeśli cię uwolnię, zabijesz moją księżycową żonę – odparłem i prawie się wygadałem, że mam odnaleźć Mireyę, żeby posadzić ją na tronie Ispanthii i wyruchać Gildię, ale przypomniałem sobie, że to nie byłby najlepszy pomysł.

– Zamierzałeś coś powiedzieć? – spytała.

– Nie.

– Na pewno?

– Tak.

– O czym mówiliśmy?

– Zapowiadałaś, że zabijesz moją rodzinę.

– Właśnie – zgodziła się. – Wolisz, bym zabiła tę małą wiedźmę czy twoich bliskich?

– Nie zrobisz ani jednego, ani drugiego – odparłem, co ją rozzłościło, więc rozplatała mnie jak rybę, od gardła do pępka.

Potem wysunęła obutą stopę z mojego brzucha, jakby chciała wyjść na podłogę, a ja przypomniałem sobie, jak mnie złościło, że zazwyczaj chodziła wszędzie boso i nago, ale dziś założyła ciężkie buciory, tylko po to, żeby dla zabawy podeptać moje wnętrzności. Ból odebrał mi oddech i zacząłem krztusić się, kaszleć i pluć, aż nagle obudziłem się, czując w ustach smak gorącej krwi.

Tylko że to nie była krew, ale paskudny posmak pozostały po gruszkowym trunku Yorbez.

Malk stęknął, rozdrażniony, że go obudziłem, i zdzielił mnie butem. Jak się pewnie domyślicie, nie miałem ochoty patrzeć na buty, więc zabrałem skórzany kaftan, na którym spałem, i wyszedłem z dziwaczego namiotu, żeby popatrzeć na zachód, na gwiazdy nad Molrową, które nie wydawały się ani lepsze, ani gorsze od gwiazd nad Śródmorzem.

Planowaliśmy wyruszyć wczesnym rankiem i pojechać na osłach w stronę krainy pięknych kłamstw.

Krew ponad mleko

Jeśli miałem jakiegokolwiek obawy, że osoba w wieku Yorbez może nas spowalniać, to pozbyłem się ich, gdy zobaczyłem, z jaką pilnością wykonuje poranną gimnastykę tuż przed świtem. Najpierw pobiegła na szczyt wzgórza i z powrotem, żeby trochę się rozruszać. Potem zawiązała linę między dwoma drzewami i zaczęła tańczyć wokół niej i pod nią, na zmianę robiąc uniki i zadając ciosy mieczem i tarczą. Zmęczyłem się samym patrzeniem.

Następnie ona i Galva urządziły sparingi z kilkoma uczniami, z Malkiem włącznie, używając do tego drewnianych mieczy, co wyglądało bardzo brutalnie. Malk nieźle sobie radził przeciwko innym adeptom, ale Galva i jej mistrzyni go deklasowały. Ciekawe, czy czuł lodowate dreszcze, gdy przypominał sobie, że prawie pojedynkował się z Galwą. Na podstawie sparingów można było się domyślać, że nie skończyłoby się to dla niego dobrze.

Przyznaję się, że nie miałem zbyt wielkiego mniemania o Yorbez, kiedy na nią patrzyłem, ale jeśli chodzi o walkę, nie zawsze wygrywa ten, kto wygląda na najsprawniejszego. Yorbez była szybka tylko wtedy, gdy było to konieczne, a wtedy poruszała się jak błyskawica. Kiedy walczyła z Malkiem i młodszymi Spanthianami, robiła uniki, zmieniała kierunki, kopała w kolana i przedostawała się za plecy przeciwników, a wszystko to pozornie bez żadnego wysiłku. Nie dało się dokładnie wskazać, dlaczego dane starcie kończyło się porażką drugiej strony. Miało się wrażenie, że kobiecie stale dopisuje szczęście, ale oczywiście tak nie było. Po prostu umiała zawsze znaleźć się w odpowiednim miejscu i zadać cios mieczem, piętą albo łokciem.

Jedną z dziewczyn tak mocno zdzieliła drewnianym pogromcą byków w pierś, że ta zazgrzytała zębami i upuściła broń, za co została ukarana ciosem pod kolano, który powalił ją na ziemię. Yorbez, rozgrzana walką, zdjęła koszulę. Stałem wtedy obok Galvy i nie potrafiłem powstrzymać się od tego pytania.

– Dlaczego obie nie macie cycków?

Galva spojrzała na mnie spode łba, a potem wróciła do obserwowania obszaru ćwiczeń. Malk przygotowywał się do kolejnej rundy przeciwko Yorbez.

– Przyjęłyśmy cięcie Dalgathy.

– Czyli...

Pokiwała głową i wykonała dłonią podwójny gest cięcia nad swoją klatką piersiową.

– Na krzywe goblinie kutasy. Myślałem, że zostaliście ranne podczas wojny albo coś w tym rodzaju.

Galva pokręciła głową.

– Przyjęłam cięcie, kiedy miałam dwadzieścia lat, zanim pomaszerowałam do Gallardii. Chuderlaczka kocha kobiety, które cenią krew ponad mleko.

Zupełnie jakby chciała mi pokazać, jak bardzo Dalgatha ją kocha, Yorbez podcięła Malka kopnięciem i ciężko usiadła mu okrakiem na piersi, uśmiechając się i łaskocząc go po szyi czubkiem drewnianego miecza.

Pozwoliła Malkowi wstać i przywołała Galwę, mówiąc coś po ispanthiańsku, co wszystkich rozbawiło.

Oczywiście wszystkich poza Malkiem, który otrzepał się z kurzu i pokuśtykał w moją stronę.

– Chcesz spróbować szczęścia ze starą? – spytał.

– Ni chuja – odrzekłem.

– Ja też nie powinienem był tego robić. To na pewno czary.

– Nie widziałem żadnych czarów – odparłem.

– To jedyne wytłumaczenie – upierał się.

– Czyżby? Widziałem, jak w porze śniadania wbiegła na wzgórze, podczas gdy ty leżałeś w wyrze, zastanawiając się, czy powinieneś podłubać sobie w dupię, czy raczej podrapać się po jajach.

– Czary – powtórzył, po czym splunął i się oddalił.

Przegapił nie lada pokaz.

Galva i Yorbez walczyły tak ślicznie, wykorzystując typowe dla Calar Bajat skoki, obroty, wypadki i błyskawiczne podcięcia, które mogłyby powalić żołnierzy każdej armii świata, że nawet nie byłem pewien, która z nich wygrała.

Wkrótce potem zwinęliśmy obóz i przekroczyliśmy granicę Molrovy.

Miasto koronek

Na wsi natrafiliśmy na kapłanów mrocznych bogów, łowców nagród, skórników oprawiających króliki, członkinie plemienia Angrani, które stawiają swoje rozczochrane włosy za pomocą suszonego błota, hodowców korzeni, rybaków, wytwórców cydru, którzy pili za dużo swojego produktu, oraz podejrzanie przyjaznych drwali, którzy chciwie zerkali na nasze osły.

Nie mogę mówić w imieniu pozostałych, ale wycieczka po wiejskich terenach Molrovy sprawiła, że zapragnąłem znaleźć łóżko i ciepły posiłek w mieście.

Szkoda, że tym miastem była pieprzona Grevitsa.

Planowaliśmy spotkać się ze złodziejką, która miała sprzedać nam mapę zajętej przez olbrzymy stolicy Rubieży, Hrawy. Ale to nie była zwykła mapa, tylko plan labiryntu miejskich kanałów.

A skoro w Hravie panoszyły się olbrzymy, wiedza o tym, jak przemykać pod ulicami, mogła nam uratować życie. Szczegółowa mapa była warta tyle, co nasza waga w złocie.

Może nawet była warta zapuszczenia się do tej zgniłej dziury.

Grevitsa znajdowała się na wyspie na rzece Spine. Z jednym brzegiem łączyło ją pięć mostów, z drugim tylko dwa. Wyspa stanowiła tak dobrą naturalną fortecę, że miasto podobno istniało od dwóch tysięcy lat. Dobrze, że większość ludzi dożywa tylko sześćdziesiątki, ponieważ nikt nie chciałby spędzić dwóch tysięcy lat z tymi palantami.

Całe miasto miało kolor wesołego błota – szarość i brąz przetykane odrobiną czerwieni i pojedynczymi kwiatami w donicach. Najstaranniej wykonane i najdelikatniejsze koronki we wszystkich Ludzkich Krainach leżały niczym sieci boskich pajaków na wystawach sklepów przy ulicach patrolowanych przez żywiące się odpadkami świnie, które gryzły każdego, kto podszedł za blisko.

Świnie nosiły na sobie kolczyki lub piętna swoich właścicieli, a jeśli wycięliście z którejś kawałek boczku, musieliście odpowiadać przed świnio-pasem. Większość z nich była wojskowymi weteranami, którzy otrzymali świnie, gdy przeszli na emeryturę po dwudziestu latach służby. Molrova nie angażowała się w Goblinskie Wojny, ale chociaż ci mężczyźni nie znali się na zabijaniu goblinów tak dobrze jak Spanthianie czy Gallardianie, uczestniczyli w tylu konfliktach feudalnych, że nie było im obce zabijanie ludzi.

Molrova słynęła także z bursztynu, którego wykwintne fasetowane krople wisały na szyjach dam, a nieobrobione bryłki zdobiły pasy praczek i dziewczek w tawernach.

Ale największym utrapieniem związanym z Grevitsą był fakt, że mieszkali tam kąsacze. Te nikczemne zębate i pazurzaste straszdyła, które wyrznęły nas oraz nasze konie i zmieniły ostatnie czterdzieści lat w piekło na ziemi dla wszystkich ludzi, mogły tam kupować domy.

Goblińska Dzielnica znajdowała się obok zatoki.

Jej granice znaczyły łańcuchy i znaki ostrzegawcze w trzech językach. Żadne prawo, ani królewskie, ani goblinskie, nie chroniło tych, którzy opuszczali własną dzielnicę. Gobliny, które zabijały ludzi w granicach swojej domeny, odpowiadały wyłącznie przed kodeksem Hordy. Gobliny, które wędrowały po Ludzkich Krainach, robiły to na własną zgubę. Ale czasami zysk jest wart ryzyka, a handel z wrogiem bywa zyskowny.

Nawet bardzo.

Znaleźliśmy tawernę, zostawiliśmy osły w stajni i zabraliśmy się do pracy.

Złodziejka, z którą mieliśmy się spotkać, była ispanthiańską emigrantką, która teraz mieszkała z goblinami w ich dzielnicy i była specjalistką od ich chrapliwej, piskliwej mowy. Spotkała się z nami w molrovskiej tawernie zwanej Barana Morzhaxh, co oznaczało „baran z ludzką twarzą”, ponieważ taki wizerunek znajdował się na szyldzie wiszącym nad obitymi żelazem drzwiami, w których znajdowało się także mniejsze wejście dla

goblinów. Okna zabezpieczono żelaznymi kratami, a na ścianie za barem wisały czaszki ludzi i goblinów obok zardzewiałego molrowskiego topora. Rozbite czaszki. Komentarz był zbyteczny, ale jeśli nalegacie, to morał zapewne brzmiał: „Wszyscy przestępcy będą zabijani jednakowo”.

W tawernie moją uwagę zwróciła przede wszystkim ogromna liczba ludzi. Nie tylko młokosów poniżej dwudziestego drugiego roku życia – budowniczy statków, żołnierze i kowale razem pili i grali w kości z mokrymi od piwa brodami, a ściany drżały od ich niskich głosów i wojowniczego śmiechu. To nie byli weterani, przynajmniej nie Goblińskich Wojen. Molrova nie odpowiedziała na drugi ani trzeci pobór, więc ci żołnierze nie zostali pogryzieni, zatruci, przebici, rozpruci przez dziki, rozplątani na pół przez ślepe ghalle, a ich gołe kości nie spoczęły w pyłe Gallardii i Ispanthii ani nie zostały naszyte na goblińskie sztandary. Miałem dwadzieścia trzy lata i komplet palców, więc nie wyróżniałem się na ich tle.

Cały ten kraj wymigał się od służby.

Molrovianie byli bandą samolubnych kerków, takich jak ja.

Ispanthiańska złodziejka przedstawiła się jako Chedadra albo Ched, co oznaczało „twardą skurwielkę”. Twarda Skurwielka miała kości policzkowe, którymi mogła kroić szkło, bojowy topór przy pasie, końskie zęby wszyte w dredy i koślawo pomalowane sztuczne oko. Brakowało jej także czubka nosa, co oznaczało, że jacyś Spanthianie przyłapali ją na kradzieży.

Jej uliczny ispanthiański dialekt był tak urywany i szybki, że nawet Galva z trudem za nią nadążała, ale dała Ched sporą sakwę srebra, którą ta z uznaniem zważyła w dłoni, a także sześcienny bursztyn z zatopionym mrówkolwem. Złodziejka przycisnęła go do policzka i szyi z taką wdzięcznością, jakby za chwilę miała zerznąć Galwę, która najwyraźniej też tak pomyślała, ponieważ założyła nogę na nogę i odrzuciła włosy.

Ale zamiast pokazać, w jaki sposób niepiśmienne zabójczynie okazują sorniańską miłość kruczym wojowniczkom, Ched przekazała nam obiecaną mapę stolicy Rubieży, Hrawy, na której rzeczywiście widniała siatka kanałów, a także, jako dodatek, imię niezrzeszonego w Gildii złodzieja, który mógł nam pomóc na miejscu, pod warunkiem że jeszcze nie został zmiżdżony przez olbrzymy.

Ürmehen.

Wyprostowany Człowiek albo król złodziei.

Na chwilę zbłądziłem wzrokiem poza zakratowane okno Barana z Ludzką Twarzą w stronę goblińskiej dzielnicy. Zbliżała się noc, a kęsać nie zapalały latarni, ponieważ widziały w ciemnościach, ale wciąż dostrzegałem kształty ich powykrzywianych, nieregularnych budynków. Zauważyłem kilku z tych brzydali, zajętych swoimi sprawami. Przemieszczali się w arytmiczny, ale dziwnie elegancki sposób. Od samego patrzenia można było dostać bólu głowy. Podejrzywałem, że połowa goblińskiej dzielnicy znajduje się pod ziemią, ponieważ kęsać lubili tunele, i mogłem sobie tylko wyobrazić, jak oszałamiające jest to miejsce. Byłem rozdarty między ciekawością złodzieja a ludzkim pragnieniem uniknięcia zjedzenia.

Nic dziwnego, że Ched była szalona. Nie wiedziałem, czy to szaleństwo pozwalało jej mieszkać z Hordą, czy wpadła w obłąd na skutek takiego życia, ale nikt normalny nie żyje u boku istot, które przez połowę czasu zastanawiają się, jak smaczne byłoby wasze udo podane na surowo z miseczką trujących grzybów.

Odwrociłem wzrok od chaosu goblińskiej dzielnicy i spojrzałem na barmana, rosnącego jegomościa z zatłuszczonym koronkowym kołnierzykiem. Jego twarz wyglądała, jakby ktoś odlał ją z metalu, a dłoń pokrywał czarny tatuaż. A więc on także mieszkał pośród kęsać, na Ziemiach Hordy. Popatrzył na mnie, a ja skinąłem głową. Wciąż mi się przyglądał i miałem ochotę puścić mu oko, ale rozczarowałem boga intryg, odwracając wzrok. Tutaj rządzą inni bogowie. Tutaj czczono mord, ubrany w delikatne koronki.

Kiedy już omówiliśmy pozostałe sprawy, Ched zaskoczyła nas propozycją sprzedaży magicznego pierścienia. Galva początkowo ją zbyła, ale Ched nalegała, by Spanthianka przetłumaczyła nam jej słowa.

– Do czego on służy? – spyaliśmy Norrigal i ja jednym głosem.

Ched odpowiedziała, a Galva wyjaśniła:

– Mówi, że wystrzeliwuje błyskawicę. Tylko jedną, ale zabójczą.

Dokładnie przyjrzałem się pierścieniowi. Był wykonany z białego złota z żelaznym paskiem na środku. Prawdopodobnie było to niebiańskie żelazo z upadłego kamienia. Runy rodem z Wysp Gunnickich obiecywały pomstę Wolthana.

– Dlaczego się go pozbywa? – spytała Norrigal. – Taki przedmiot, jeśli rzeczywiście działa, może uratować życie.

Ale Norrigal patrzyła na pierścień w taki sam sposób jak ja. Oboje nie mieliśmy wątpliwości, że kryje on w sobie jakąś moc. Jego bliskość podnosiła nam włoski na karku.

– Mówi, że bardziej niż ratunku potrzebuje pieniędzy. Ma dług u goblińskiego kapłana. Jedna błyskawica jej przed tym nie ocali.

Cena, jakiej zażądała, wydawała się niska jak za magię takiego formatu.

Norrigal i ja wymieniliśmy spojrzenia.

Pomyślałem, że być może Twarda Skurwielka nie jest wyczulona na magię i nie jest pewna, czy pierścień działa. Ale nie chciała, żebyśmy my zdali sobie sprawę z jej niepewności, więc zaproponowała najwyższą cenę, jaką według niej można było uzyskać podczas negocjacji w tawernie. Czyli i tak bardzo niską jak za taki przedmiot.

– Skąd go masz? – spytała Norrigal, ale zanim Galva zdążyła przetłumaczyć, chwyciłem ją za rękę i pokręciłem głową. O takie rzeczy nie pyta się złodzieja.

Norrigal wręczyła kobiecie złotą królowkę i dwóch srebrnych rycerzy w śródziemskich monetach, które były takie same jak te używane w Holcie.

Twarda Skurwielka posmakowała pieniądze i sprawiła, że zniknęły.

Przekazała pierścień Norrigal, dla której okazał się za duży, tak że musiała go założyć na kciuk.

Wyszliśmy z baru, zadowoleni z tego, jak się układa ten wieczór. Norrigal od czasu do czasu ukradkowo zerkała z podziwem na swój zakup. Ja od czasu do czasu ukradkowo zerkałem z podziwem na Norrigal. Galva miała oczy szeroko otwarte i nie odsuwała dłoni za daleko od rękojeści swojego zabójczego miecza. Yorbez paliła skręta z tytoniu. Malk kroczył w sposób typowy dla młodych zbirów, który do perfekcji opanowano w Galtii. Czarne języki czasami chodzą w taki sposób, że każdy ich krok jest lekkim kopnięciem, dzięki czemu tułów delikatnie się kołysze. Można

nazwać taki chód „zawadiackim”, ale to słowo nie oddaje elementu znudzenia, intrygi i nadziei na to, że wydarzy się coś niezwykłego, niezależnie jakim kosztem.

To coś w rodzaju mrocznej cielesnej modlitwy.

Takie modlitwy zwykle zostają wysłuchane.

Szarpanina

Szliśmy wzdłuż łańcucha oddzielającego gobliniską dzielnicę od pozostałej części Grevitsy nie dlatego, że chcieliśmy znaleźć się blisko kęsaczy, ale ponieważ to był najłatwiejszy sposób na znalezienie naszego domu gościnnego położonego obok piekarni.

Wciąż nie mogliśmy się rozkoszować aromatem ciastek z baraniną.

Na razie podążaliśmy za łańcuchem i wdychaliśmy zupełnie inną woń. Jeśli nie znacie smrodu goblinów, to nie potrafię wam go opisać, ponieważ nie przypomina żadnego innego zapachu w naszym świecie. Powiedzmy po prostu, że podczas pierwszych kilku kontaktów będziecie się krztusić i nigdy tego nie zapomnicie.

Jedną z charakterystycznych cech Malka jest to, że wygląda, jakby walczył w Gobliniskich Wojnach. Nie chodzi tylko o jego palce i wiek. Widać to w jego oczach i sposobie poruszania. Ludzie to rozpoznają. Podobnie jak gobliny. Kiedy szliśmy wzdłuż łańcucha, otoczeni smrodem kęsaczy, który niewątpliwie przywoływał u Malka i Galvy liczne wspomnienia, jeden z goblinów zaczął maszerować obok nas po drugiej stronie granicy, dotrzymując nam kroku. Był to większy osobnik, mierzący ponad cztery stopy, a jego szaro-brązową skórę pokrywały blizny i zmarszczki, jakby od poparzeń. Początkowo wydawało się, że zajmuje się swoimi sprawami, a przynajmniej chciał, żebyśmy tak myśleli.

Jakiś Molrovianin zawołał coś z okna i przywołał nas gestem. Wyraźnie ostrzegwał nas, żebyśmy się odsunęli. Miałem wrażenie, że to dobry pomysł.

– Może powinniśmy odsunąć się od łańcucha – zaproponowałem.

– Przez niego? – spytał Malk. – Pieprzyć go.

Jeszcze bardziej zbliżył się do granicy.

Kęsacz zrobił to samo.

– Odsuń się od tego stwora, idioto – odezwała się Norrigal.

– Nikt ci nie mówi, którędy masz chodzić – odparł Malk.

– Masz rację – powiedziała i przeszła przez błoto na środku ulicy, żeby iść po jej suchszej stronie.

Miałem ochotę pójść za nią, ale nie chciałem, aby wyglądało na to, że idę na jej smyczy, więc wciąż trzymałem się blisko Malka, ale odezwałem się do Galvy:

– Uważasz, że to dobry pomysł?

Pokręciła głową, ale dalej szła obok łańcucha. Zauważyłem, że po gobliniskiej stronie pojawiły się kolejne sylwetki, z których dwie albo trzy dotrzymywały nam kroku, choć w pewnym oddaleniu.

Nagle goblin przemówił, nie patrząc na nas:

– *Molroviniy?*

Czy jesteśmy z Molrovy.

Kiedy nie odpowiedzieliśmy, spytał:

– *Untheriy?*

Czy jesteśmy z Untheru.

– Jestem z „pierdol się, kęsaczu”. A ty skąd jesteś?

– Holt. Jesteś z Holtu, blondasie – powiedział goblin.

– Nie rozmawiaj z nim – ostrzegła Norrigal.

– Z Galtii. Co cię to obchodzi?

- Znam cię. Z wojny.
- Wątpię.
- Dosyć tego – odezwała się Yorbez, ciągnąc Malka za łokieć, ale on ją odtrącił.

Wzruszyła ramionami i przeszła na drugą stronę ulicy do Norrigal.

Kilkoro Molrovian zebrało się po naszej stronie. Coś do nas mówili, wyraźnie nas przyzywając, a jeden ze śmiechem wskazywał łańcuch. Miałem ochotę przejść przez ulicę, ale wiedziałem, że Malk tego nie zrobi.

- Co oni mówią? – spytałem go.
- Ostrzegają mnie, że wdam się w szarpaninę.
- Co to takiego? I czy mógłbyś, proszę, przejść razem ze mną na mniej głupią stronę ulicy?
- Niech ten jebany kłacz nie myśli, że przejdę przez ulicę z jego powodu – odparł i wbił wzrok w goblina, który wciąż na niego nie patrzył.

Gdyby miał kieszenie, pewnie trzymałby w nich dłonie, tak bardzo silił się na nonszalancję.

- Tak – zachrypiał. – Ty. Przyjacielu. Zjem. Zjem cię, przyjacielu, blondasie. – Pokazał mu zęby.

Malk sięgnął po miecz, ale wtedy dwie postacie po goblinńskiej stronie zbliżyły się do łańcucha z niewielkimi paskudnymi kuszami w dłoniach. Pojawiły się błyskawicznie. Galva dobyła spadina. Yorbez już wracała na naszą stronę ulicy.

Ale goblin najwyraźniej się tym nie przejmował.

- Bez broni – rzekł. – Bez gryzienia. Jeśli chcesz, szarp.

Wciąż nie patrząc na nas, wyciągnął rękę ponad łańcuchem.

Malk schował miecz.

- Nie rób tego, kretynie – zawołała Norrigal, chociaż wiedziała, że jej nie posłucha.
- Szarp. Tchórze. Zabiję cię jak przyjaciela – mówił stwór. – Chyba będziesz krzyczał. Krzyżący przyjaciel. Szarp! Ciągnij!

Malk chwycił go za rękę.

Goblin złapał go za przedramię drugą ręką i wbił w ciało zakrzywiony szpon.

Malk wrzasnął i podniósł goblina jak ojciec chwytający niegrzeczne dziecko. Przeciągnął go za łańcuch, ale stwór zaplątał się w niego nogami, znajdując w nim oparcie. Trzy albo cztery gobliny podbiegły – były takie szybkie – i chwyciły swojego rodaka za nogi. Zaparły się i przeciągnęły go o połowę długości jego ciała. Malk stracił równowagę i zatoczył się w stronę granicy. Zdążyliśmy go chwycić, gdy oparł się udami o łańcuch, i szarpnęliśmy do tyłu. Ale wtedy pojawiły się kolejne gobliny. Teraz już pięć, a po chwili sześć szarpało swojego kompana, który za wszystkie grzyby Urrimadu nie zamierzał puścić ręki Malka.

Norrigal do nas dołączyła, podobnie jak jakiś Molrovianin, który cuchnął rybami i miał na sobie oblepiony łuskami fartuch. Następni gapie wychodzili z domów i licznych tawern. W oknach pojawiły się kobiety, które bębniły drewnianymi łyżkami w garnki, a sygnał alarmowy niósł się po kolejnych przecznicach. Kilku mniej rosnących mieszkańców trzymało w pogotowiu łuki, a ja natychmiast pożałowałem, że zostawiłem swój w pokoju, ale nikt nie strzelał. Później dowiedziałem się, że za oddanie niesprovokowanego strzału w goblinńskiej dzielnicy lub zaatakowanie bronią kłaczającego się po drugiej stronie łańcucha bądź sięgającego na tę stronę dowolną częścią ciała karano śmiercią przez powieszenie. Wszystko było sformalizowane. Takie sytuacje zdarzały się kilka razy w roku. Nie wszyscy byli na tyle serdeczni, by ostrzegać cudzoziemców – mieszkańcy Grevitsy lubili dobrą szarpaninę. Była znacznie ciekawsza od ich drugiego ulubionego sportu: okładania kijem martwego, zamrożonego psa.

Malk coraz bardziej cierpiał. Mógł go dotykać tylko jeden goblin, który dodatkowo nie używał zębów, ale napór na plecy i ramiona żołnierza stale rósł. Mieszkańcy starali się mu pomóc, ciągnąc go za pasek i włosy oraz obejmując go wpół. Zarówno on, jak i goblin znajdowali się teraz w pozycji poziomej. Goblinów szybciej przybywało i to one wygrywały – głowa i ramiona Malka już znajdowały się po drugiej stronie granicy, a kłacz, który trzymał go za ręce, szczyrzył ostre zęby, a nawet otworzył usta i nieelegancko wymachiwał opancerzonym językiem.

Nasz towarzysz pocił się i stękał. Nadbiegali kolejni mieszkańcy, a potężniejsi i silniejsi ludzie zajmowali miejsce słabszych. Takich jak ja. Jakiś łysy brodacz o czarnych zębach i rękach jak moje uda brutalnie mnie odepchnął. Zrobiłem tak jak pozostali i chwyciłem go za pasek, a ktoś zrobił to samo ze mną. Galva wciąż trzymała Malka za jeden but. Norrigal i Yorbez zostały odepchnięte. Malkowi krwawił nos. Jego dłonie zaciśnięte na rękach stwora pobielwały. Goblin wrzeszczał coś do kompanów w swojej mowie, ponieważ teraz to on znalazł się połową ciała za łańcuchem. Kłaczce przegrywały. Gdyby udało nam się całkowicie przeciągnąć goblina na naszą stronę, moglibyśmy z nim zrobić, co tylko zechcemy, a nic nie sprawiłoby nam większej przyjemności niż oderwanie mu głowy. Kiedy kolana stwora minęły łańcuch, mieszczanie zaczęli wiwatować.

Wtedy wszystko się popsuło. Kolejny goblin, o wyjątkowo długich rękach, prześlizgnął się pod łańcuchem, tak że tylko jego stopy pozostawały po tamtej stronie, i chwycił za rękę chłopca podtrzymującego Malka, zatapiając w niej hak. Chłopiec wrzasnął i puścił strażnika, a goblinąską Horde przeszyła fala, gdy część stworów puściła swojego kompana, który zmagał się z Malkiem, i zaczęła ciągnąć młodzieńca. Walka toczyła się teraz na dwóch frontach, co było fatalną wiadomością dla Malka. Wszyscy potężni Molrovianie, którzy ratowali go przed zgubą, zamiast tego złapali swojego młodego towarzysza wciągane pod łańcuch, a niektórzy wołali go po imieniu.

Rzuciłem się w stronę cofających się nóg Malka, ale stanęli mi na drodze ludzie śpieszący na pomoc swojemu krajanowi. Zobaczyłem, że Norrigal sięga po fiolkę z jakąś substancją, ale kobieta, która bębniła łyżką w garnek, trafiła nim Norrigal i przewróciła ją na ziemię, wrzeszcząc do niej coś w miejscowej mowie i wskazując łańcuch. Najwyraźniej magia także była zakazana w takich okolicznościach.

Malk wrzasnął, gdy jego kolana minęły łańcuch. Galva chwyciła go za kostkę, ale jeden z goblinów wyłuskał stopę mężczyzny z buta. Kiedy Malk się oddalał, jakiś potężny Molrovianin chwycił Galwę w pasie i pociągnął ją do tyłu. Spanthianka zaczęła krzyczeć i okładać go butem, aż w końcu musiał ją puścić.

Blżej mnie mieszkańcy Grevitsy zdołali odzyskać chłopca, z którego gobliny zdarty spodnie. Kłacz, który go złapał, znalazł się po naszej stronie łańcucha. Jego kompani porzucili go i skupili się na Malku.

Galva rzuciła butem w mężczyznę, który ją chwycił, dobyła miecza i skoczyła w stronę łańcucha, ale została staranowana i rozbrojona przez potężniejszych mieszczan, którzy przytrzymali ją, aż było za późno. Trzeba im przyznać, że oddali jej miecz. Ona z kolei ich nie pozabijała. Kiedy zaczęła kląć na nich po ispanthiańsku, oni odpowiedzieli po molrovsku, a potem ze śmiechem poszli rozrywać na kawałki bezradnego goblina.

To, co ludzie zrobili z goblinem, nie było lepsze od tego, co gobliny zrobiły z Malkiem. Tak naprawdę zrobili coś jeszcze gorszego. Malk był ceniony jako mięso. Goblin dla ludzi był gównem wart.

Zabrałem Norrigal, której krwawiła głowa, a Yorbez odprowadziła Galwę, która schowała do pochwy bezużyteczny miecz i wyszeptała pochwalną modlitwę ku czci Chuderlaczki. Uśmiechała się. Początkowo mnie to zdenerwowało, ale potem przypomniałem sobie, że jest prawdziwie wierząca – wierzyła, że życie jest jak dziewictwo, którego należy strzec aż do dnia ślubu, a następnie radośnie je oddać. Nasz przyjaciel Malk właśnie zawarł ślub i celebrował to razem z Dalgathą, intymnie i rozkosznie jak każda młoda para. Albo, jeśli to Galtowie mieli rację, szedł za grającym na flecie Samnyrem, Panem Zmierzchu, by biegać po Zimnym Lesie, wolny od zła i dobra jak każdy jeleni.

Albo po prostu odszedł.

Jeśli o mnie chodzi, wyglądało na to, że odszedł.

Obejrzałem się jeszcze raz na miejsce walki, które gwałtownie pustoszało. Jedną z rzeczy, których nie dowiedzie się o wielkich walkach, dopóki nie zobaczycie jakiejś na własne oczy, jest to, jak wiele śmieci po nich zostaje na ziemi. Dwie młode dziewczyny przyświecały sobie pochodnią, wypatrując na ulicy rozbłyków srebra i miedzi oraz innych przedmiotów, które ludzie upuścili lub dali sobie wyrwać. Zobaczyłem człowieka pokrytego krwią goblinów, który podniósł z rozoranej ulicy węzowy splot swojego paska i owinał nim ubłocone, zakrwawione spodnie. Mięsisty młodzieniec, którego ocalono, zmierzał do tawerny, prawdopodobnie ze swoimi wujkami, którzy czochrali mu włosy i śmiali się, że zmoczył spodnie.

Nienawidziłem Grevitsy, a jeszcze bardziej nienawidziłem goblinów, jak również lekkomyślności ludzi, którzy pozwalali, by wojny i tragedie tak nas upadły. Chciałbym donieść, że Malk poległ dzielnie, ratując infantkę, ale nie. Trzydziestego trzeciego dnia Dożynek, 1233 roku, licząc od Stuknięcia, Malk Na Brannyck zginął podczas idiotycznej krwawej rywalizacji na błotnistej molrovskiej ulicy, a jego śmierci nie opłakiwał nikt poza nami, ponieważ śmierć goblina była bardziej efektowna niż życie nieznanego. Samolubna Grevitsa, brzydka pomimo wszystkich koronek i bursztynów. Głupi, bezmyślny, kochany Malk. Przeżył zaledwie trzydzieści lat, a mógł zaliczyć kolejne trzydzieści, gdyby tylko przeszedł na drugą stronę ulicy.

Z tego, co wiedziałem, jego matka wciąż żyła; urodziła go, gdy miała czternaście lat. Jeśli kiedykolwiek wrócę do Platha Glurris, na pewno się z nią zobaczę. Czy powiem jej, że ponownie go spotkałem, wiedząc, jak kończy się ta opowieść? Nie. Zginął we wraku Suepki Buryey, o czym wiedziałem tylko ze słyszenia. Właśnie tak jej powiem. Lepiej, aby jej syn utonął, niż został pożarty przez kłaczki siedem lat po wojnach. Tak czy inaczej, spotkał go żalony i paskudny koniec.

Dopiero kiedy wróciliśmy do naszego pokoju, uświadomiłem sobie, że trzymam but Malka.

Nie pamiętałem, kiedy go podniosłem.

Następnego dnia opuściliśmy Grevitkę.

Trzmiele

Wsiedliśmy na tratwę płynącą z Grevitsy do Rastivy i całe szczęście, że Galva miała pełną sakiewkę po sprzedaży goblińskiego statku w Edth, ponieważ musieliśmy wynająć całą łódź, żeby przewieźć osły. Dzięki temu jednak zaoszczędziliśmy sporo czasu, a zarówno Galva, jak i ja mieliśmy powód, by się śpieszyć. Dotarcie do stolicy, zbudowanej przy ujściu rzeki Spine do Morza Gunnickiego, zajęło nam zaledwie dwa dni i jedną noc.

Rastiva. Przybiliśmy do nabrzeża trzydziestego szóstego, ostatniego dnia Dożynek. Następnego dnia miałem się znaleźć w Hravie, ale ze słów fałszywej dziewczyny w Domu Wisielca wnioskowałem, że był to sugerowany cel, a nie rozkaz. Przy odrobinie szczęścia Poborcy jeszcze nie będą chcieli utoczyć mi krwi.

Podobnie jak w przypadku innych stolic, nie było drugiego takiego miasta jak Rastiva, ale ci, którzy lubili duże miasta, czuli się tam jak w domu, bardziej niż w swoich ojczystych wioskach. Oficjalnym kolorem szlachty w Rastivie był niebieski, dlatego wszystkie domy na wzgórzu pomalowano na jakiś jego odcień. Nowsze budynki były ciemniejsze, ale większość dumnie wyblakła do przyjemnego błękitu kojarzącego się z jajkiem drozda.

Niebo było pełne szarych chmur, a wysokie domy olśniewająco błękitne, więc miałem wrażenie, że miasto jest odwrócone. Poziomą elegancją ludzi zamieszkujących trzy wzgórza Rastivy malał wraz z wysokością, a dolne części miasta były hałaśliwe i wielobarwne.

W niższej Rastivie spotkaliśmy oszustów karcianych i kurtyzany, zgorzkniałych klaunów i treserów niedźwiedzi, a także pokazano nam dwóch z rzekomej setki królewskich bękartów. Obaj sprawiali wrażenie starszych od monarchy, a chociaż mówienie o nienaturalnej magii, która podtrzymywała go przy życiu, było karane śmiercią, usłyszeliśmy nie mniej niż cztery różne teorie na ten temat. Spędziliśmy popołudnie na uzupełnianiu zapasów oraz naprawianiu sprzętu i ubrań. Wieczorem Yorbez sprowadziła młodą męską dziwkę o przyjemnym sztucznym uśmiechu i wyrzuciła Galwę z sypialni, więc graliśmy w kości w sąsiednim pokoju, starając się ignorować docierające do nas odgłosy.

O poranku zobaczyłem, jak dziwka zmywa makijaż przy pompie na podwórzu. Chłopak był nieco młodszy ode mnie. Zwrócił ku mnie znużoną twarz, kiedy szedłem do wychodka, a chociaż nie oświetlał go blask świec, dostrzegłem na jego policzku wytatuowaną różę. Biedny skurwiel kiedyś uważał się za złodzieja, ale teraz Gildia kupczyła jego ciałem. Kiedy wracałem do pokoju, mył się pod pachami. Rzuciłem mu miedzianą strużynę, a on złapał ją w powietrzu, nie patrząc mi w oczy.

Wyjechaliśmy tego samego dnia, pierwszego dnia Winnic, kierując się w stronę niewielkiego pasma zwanego Trzmielami. To były ostatnie prawdziwe góry przed Górąmi Niewolniczymi. Pomiędzy oboma pasmami leżało wąskie królestwo Rubieży, porośnięte gęstymi sosnowymi lasami i złote od nieśmiertelnej pszenicy, która pomagała karmić Molrovę i Śródmorze, kiedy w tych krainach nie dopisywały plony. Teraz oczywiście panoszyły się tam olbrzymy. Powietrze stawało się coraz zimniejsze, gdyż rozpoczął się drugi miesiąc jesieni, a na skałach pojawiły się ślady śniegu, które obiecywały lodowate noce przy pilnie podsycanych ogniskach.

Podczas wędrówki myślałem o gigantach, których widziałem w monecie świadka, o tym, jacy byli barczyści i wysocy. Moje stopy stawały się coraz cięższe i musiałem się zmuszać do wędrówki na zachód. Zupełnie, jakby moje nogi były mądrzejsze ode mnie i mówiły mi: „Posłuchaj, kerku, każesz nam iść w stronę brutalnych, człekokształtnych stworów o rozmiarach domu, zamiast się od nich oddalać, a my nie chcemy o tym słyszeć”. Pozostali członkowie naszej drużyny nie zwalniali ani nie pocili się ze strachu w swoich skórzanych kapotach, ale oni ich nie widzieli. Brakowało mi Malka. Jako marynarz był z nas najbardziej obyty w świecie i mógłbym z nim porozmawiać. Dlatego wyobraziłem sobie, że jest obok mnie i krokiem znużonego kogucika idzie w stronę granicy. Zapytałem go w myślach: „Hej, Zimna Stopo, widziałeś kiedyś olbrzyma?”. A on odpowiedział: „Za każdym razem, kiedy rozpinam spodnie” i razem się z tego pośmiałyśmy. No cóż, przynajmniej ja się pośmiałem, a Yorbez popatrzyła na mnie, jakbym nie miał piątej klepki. Ale poczułem się lepiej.

„Dzięki, Malk, ty kutasie. Dzięki za humor”.

„Nie ma za co, Kinch, ty kutasie. Uważaj na olbrzymy!”.

Wymyślony Malk dwukrotnie pchnął w moją stronę biodrami, a ja ponownie parsknąłem śmiechem, wpatrując się w pustkę.

Yorbez pokręciła głową i zapaliła skręta z tytoniem.

Norrigal i ja przestaliśmy się ze sobą kochać, bez wyraźnego powodu, gdyż z pewnością nie mogło to pomóc kościom Malka, które spoczywały gdzieś w błocie w goblinńskiej dzielnicy. Ale tamtej pierwszej nocy Winnic, w dzień księżyca, gdy jak zwykle była pełnia, zatrzymaliśmy się w starej ceglanej stajni porośniętej bluszczem, który właśnie zaczynał się czerwienić. Przyszła do mnie ubrana w poroże jelenia wplecione w girlandę z bluszczu i nawłoci. Odgrywała rolę Maraël, córki Harosa i Cael Ilenny, jasnego księżyca. Powiadano, że Maraël wędruje po lasach podczas pełni w postaci ludzkiej kobiety wielkiej urody, ale rogatej, jak jej ojciec. Trzeba mieć się na baczności w dzień księżyca, w przeciwnym razie można spotkać przyrodnią siostrę Maraël, Solgrę, pierwszą córkę Cael Ilenny, poczętą z bogiem wojny o wilczej głowie.

Solgra była równie piękna jak jej siostra i czasami zakładała fałszywe poroże, by zwodzić śmiertelników. Po miłosnym akcie zmieniała się w wilka i ich pożerała. Można było ją rozpoznać, ponieważ miała wilczy ogon, więc starała się go ukrywać pod spódnicą i nigdy nie odwracała się tyłem. Dlatego Norrigal od razu się rozebrała i pokazała mi się od tyłu, co byłoby bardzo miłym widokiem, nawet gdyby znajdował się tam wilczy ogon, którego oczywiście nie miała. Zatem wziąłem ją tak, jak jelen bierze łanię, starając się, by Haros był ze mnie dumny. Kiedy byłem blisko końca, zawyla jak wilk, a jej głos był tak chrapliwy i płodny, że nie wytrzymałem. Skończyłem wcześniej, niż zamierzałem i nie tam, gdzie powinienem.

– Przepraszam – powiedziałem, opadając na ziemię obok niej.

Zamknęła mi usta łapczywym pocałunkiem.

– To naturalne, że próbujemy stworzyć życie po tym, jak doświadczyliśmy śmierci. Zresztą mam na to zioła, więc tym razem ominie cię kara.

– Jeszcze przez dwa tygodnie będziesz moją żoną – zauważyłem.

Pokiwiała głową, a blask księżyca posrebrzył jej poroże.

– Osiemnaście słodkich dni i jeszcze słodszych nocy. A co potem? – spytałem.

– Potem? – zdziwiła się. – Skąd mam wiedzieć? Spytaj mnie wtedy, głuptasie.

Kiedy księżyc się zmniejszył, a my zbliżyliśmy się do Trzmielowych Gór, Galva oznajmiła, że musimy zrobić jeszcze jeden postój, zanim przekroczymy granicę Rubieży i ruszymy do zrujnowanej stolicy.

– Takie ptaki jak mój – powiedziała, wskazując miejsce na swojej piersi, w którym tatuaż krył się pod kolczugą – zostały stworzone przez magików.

Mówiła jeszcze bardziej uroczystym tonem niż zazwyczaj, o sprawach, które wydawały mi się niemożliwe.

– Podczas wojny były dwa kruki. Dalgatha i Bellu. Były wspaniałe. Rozrywały kłasy jak ryby. Wielokrotnie ocaliły mi życie. Ale Bellu już nie żyje, a jego tatuaż, ponad moim sercem, jest jego mogiłą. – Położyła dłoń na lewej piersi. – Jego imię oznacza „przystojny” i taki był w istocie. Pod wpływem światła jego czarne pióra stawały się niebieskie i tak piękne, że wspominam go z bólem serca. Oba ptaki, które na sobie noszę, stworzył magik o rzadko spotykanym talencie, który, co jest jeszcze rzadziej spotykane, nie ślubował wierności ani koronie, ani Gildii.

– Znasz go? – spytałem, podejrzewając, że właśnie do tego zmierza ta opowieść. Galva rzadko mówiła o swoich ptakach, wojnie albo, co jest najtrudniejsze dla wszystkich Spanthian, o swoich pieprzonych uczuciach.

– Znałam go w Ispanthii – odrzekła.

To mnie zaskoczyło. Wybitny magik z Molrovy, który mieszkał i pracował w Ispanthii? Galva mówiła o Fulvirze.

Fulvirze Rozpuszczającym.

Fulvirze Wiążącym Błyskawice.

Fulvirze, który potrafi skłonić martwych do mówienia.

– Chwileczkę. Fulvir... Znasz pieprzonego Fulvira? To z nim mamy się spotkać w Trzmielach?

– A myślałeś, że kto przeniósł Dalgathę na moją skórę? Kto inny mógł sprawić, abym leczyła ją w swojej skórze, nawet gdy jest bliska śmierci?

Galva nie tylko była córką księcia, ale nosiła na sobie tatuaż wykonany przez magika równie potężnego jak Martwe Nogi, której sympatia dla Galvy miała teraz jeszcze więcej sensu. Miałem dreszcze z podniecenia. Fulvir był mieszczem kości, tak jak wielki Stukwark Galt, z którym niegdyś współpracował, a potem poróżnił się w kwestii mieszania kości ludzi i zwierząt. Stukwark to robił, czego dowodem był Rogogłowy, ale w końcu doszedł do wniosku, że takie praktyki obrażają bogów i ich zaprzestał.

Powiadano, że Fulvir nie był taki delikatny.

Określano go także imieniem Ojciec Wynaturzeń.

Ispanthiańskie matki straszyły nim swoje dzieci, mówiąc, że przyjdzie i podmieni im głowy na łebki kruków albo stopy na kurcze nóżki. Podobno dysponował magiczną biblioteką, która nie miała sobie równych we wszystkich Ludzkich Krainach i której zazdrościły mu wiedźmy od Goltay po Pigdenay. Galva postanowiła, że powinniśmy spotkać się z tym niesławnym magikiem i ukraść mu książkę.

Trzmielowe Góry nie były tak wysokie jak Góry Niewolnicze dalej na zachodzie, ale to, czego brakowało im w wysokości i głębi, z nawiązką nadrabiała podstępnością. Osły miały dosyć i my również. Zwłaszcza Norrigal co chwila przysypiała na grzbiecie swojego wierzchowca, co mogło być śmiertelnie niebezpieczne na wąskich górskich ścieżkach.

Żeby utrzymać się w siodle, żuła roślinę zwaną rychłoliściem, która dodawała jej energii, ale jednocześnie sprawiała, że zbyt łatwo przejmowała się przyziemnymi sprawami i bez przerwy mówiła, co nie było w jej stylu. Ta górską ścieżką, choć znacznie trudniejszą od głównej drogi na południu i niemożliwą do pokonania jakimkolwiek pojazdem na kołach, podobno zapewniała bardziej bezpośredni dostęp do Rubieży. Innymi słowy, niech bogowie mają nas w opiece, była skrótem. Poza tym pozwalała nam przejechać obok kościanego ogrodu Fulvira.

Po południu zbliżyliśmy się do wieży czarownika, a ja zacząłem się zastanawiać, jakie księgi zaklęć ten stary dziwak kryje w swojej górskiej twierdzy. Księgi o lataniu? Metamorfozie? Nekromancji? Pewnie wszystkie. Podczas gdy tak fantazjowałem, Norrigal, pobudzona rychłoliściem, opowiadała o tym, jak kiedyś się skurczyła, by móc jeździć na grzbiecie wilka.

– A on nie miał na to ochoty, więc musiałam użyć proszku uspokajającego, który zmieszałam z własną śliną i krwią owieczki, zawsze trzeba mieć przy sobie nieco krwi owieczki, używa się jej do każdego zaklęcia, przynajmniej w Galtii, a do tego warto mieć srebrną wodę, która zachowa krew w płynnym stanie, nie zaburzając jej właściwości, szczerze polecam. O czym to ja mówiłam? No tak, wilk, stary osobnik z siwizną na pysku. Posmarowałam dłoń proszkiem i krwią i dałam mu do polizania, a on miał ogromną ochotę odgryźć mi rękę, ale chyba uznał, że jestem jego przyjaciółką, więc zabrał się za lizanie i po chwili przewrócił się na grzbiet, a ja podrapałam go po brzuchu, ale już się zmniejszałam, więc moja dłoń zniknęła pośród futra i...

W tym miejscu jej przerwałam.

– Gdybym to ja przewrócił się na plecy, podrapałabyś mnie po brzuchu?

– Już ci wystarczy. Jeszcze raz, a staniesz się oswojony i nie będziesz mi do niczego potrzebny. O czym mówiłam? No tak, więc podrapałam go po brzuchu, a kiedy wstał, usiadłam okrakiem...

Opowieść trwała dalej. Kusilo mnie, żeby rzucić nieprzyzwoity komentarz o siadaniu okrakiem, ale się powstrzymałem. Fascynowała mnie historia wysokiej na cztery stopy dziewczyny jeżdżącej tam i z powrotem na wilku, chociaż kiedy Norrigal żuła tę roślinę, trudno było za nią nadać.

Zeszła mgła i zrobiło się nienaturalnie ciemno, choć zostały jeszcze co najmniej dwie godziny do zmierzchu. Podążałem za głosem Norrigal i czułem się dziwnie spokojny pomimo surowego otoczenia i jej karkołomnej mowy. Rozglądałem się na boki, gdzie rosły chwasty i zielona trawa, jakbym spodziewał się, że znajdę jakieś monety. Nagle rzeczywiście wypatrzyłem monetę, zeskoczyłem z osła, chwyciłem ją i wytarłem z piasku. Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście, ponieważ była to moja ulubiona moneta na świecie – sówka z Gallardii.

– Proszę bardzo – odezwałem się i wyciągnąłem znalezisko w stronę, z której dobiegał głos Norrigal wciąż snujący opowieść.

– Znalezliśmy się przy potoku, który wyglądał na zbyt szeroki, by wilk mógł go przeskoczyć, a jednak to zrobił, a ja czułam jego uwodzicielski piżmowy zapach i nagle zaczęłam tak chichotać, że bałam się, że spadnę, ale wbiłam palce jeszcze głębiej w futro na jego karku, a jemu to nie przeszkadzało, tylko jeszcze bardziej go zachęciło, więc przyspieszył, co wydawało mi się niemożliwe...

Zostałem nieco z tyłu, lecz wciąż widziałem cienie pozostałych we mgle.

– Hej, Norrigal! – zawołałem i przyspieszyłem, w jednej dłoni trzymając monetę, a w drugiej wodze.

Starłem się podążać za jej monologiem, ale nie mogłem jej dogonić. Nagle uświadomiłem sobie, że padłem ofiarą czaru. Czy to była jej sprawa? Raczej nie. Kiedy dobrze kogoś znacie, zauważacie, że jego magia ma swój własny charakter, a nawet zapach. Czary Norrigal były ciepłe i pachniały jak dobre, świeże błoto oraz plaster miodu, a może futro szczeniaka. Ta druga magia również miała w sobie coś zwierzęcego, ale była stara, sucha i twarda.

– Norrigal? – odezwałem się i pociągnąłem osła w stronę jej cienia w gęstej mgle, ale miałem wrażenie, że ten swobodnie utrzymuje wciąż taki sam dystans, nie przestając mówić.

Zostawiłem osła i rzuciłem się naprzód, a po chwili w końcu zdołałem zbliżyć się do tego, co zajęło jej miejsce.

Golem

Tam, gdzie znajdowała się Norrigal, zobaczyłem gładką, ale prymitywnie wykonaną figurę, jakby posąg ulepiony z gliny, tylko że wielkości człowieka, a dokładniej mojego wzrostu. Postać odwróciła się w moją stronę. Zamiast oczu miała dwa otwory jakby wykonane kciukami i miałem wrażenie, że dostrzegam w nich spirale linii papilarnych. Usta miały postać okrągłego otworu przypominającego pępek. Otwierały się i zamykały, a wydobywał się z nich głos Norrigal.

– Potem dotarliśmy do kolczastych zarośli, a wilk się w nie zaplątał, więc zsiadłam i cała się pokaleczyłam, wrywając kolce z jego skóry...

Postać zabrała mi monetę z ręki, co było bardzo niegrzeczne, ale sytuacja szybko się pogorszyła. Stwór złapał mnie za ręce dłońmi jak gliniane rękawice, które, choć miękkie i elastyczne, były zaskakująco silne.

– Ejże! – zawołałem i kopnąłem postać w pierś, żeby ją odtrącić, ale mój but się ześlizgnął, a istota się zbliżyła.

Zanim zdążyłem coś wymyślić, przyparła mnie do skalnej ściany obok ścieżki i zakryła mi nos i usta, przez co nie mogłem oddychać. Próbowałem odwrócić twarz i dwa razy mi się udało, ale w końcu stwór mnie przygwoździł i poczułem, że coraz bardziej wytrzeszczam oczy.

Zobaczyłem, że dogonił nas mój osioł, który zaryczał, widząc nasze zmagania, choć nie potrafiłem ocenić, komu kibicuje.

Gliniana istota zbliżyła okrągłe usta do mojego oka i dalej przemawiała do mnie głosem Norrigal:

– A potem złapał w zęby królika i ścisnął, a ja usiadłam na leśnym poszyciu i dzieliliśmy się świeżą zdobyczą, a krew spływała po moich policzkach tak samo jak po jego pysku i wtedy zrozumiałam, że wcale nie jesteśmy tak bardzo różni, ale już nie byłam mała i uświadomiłam sobie, że przejażdżka dobiegła końca, choć postanowiłam sobie, że znów przejadę się na wilku...

Wsunąłem dłoń między ręce istoty, zaparłem się lewym kciukiem o jej pachę, a prawą dłonią uderzyłem ku górze. Człowiek w tej chwili zwolniłby uchwyt i zatoczył się w prawo, odsłaniając żebra i umożliwiając cios łokciem albo nożem, ale ten stwór? Ręka oderwała się z wilgotnym odgłosem, lecz przynajmniej mnie puściła i złapałem oddech.

– Galva! – zawołałem. – Norrigal! Zostaliśmy zaatakowani!

Gdzie one są?

Czy ten bulwiasty dupek skrzywdził moje wiedźmiątko?

Istota podniosła swoją oderwaną rękę i przytwierdziła ją do tułowia, nie przestając mówić.

– Musisz kiedyś przejechać się na wilku, Kinch, po prostu musisz, obiecaj mi, że to zrobisz...

– Możesz się zamknąć? – odparłem, a potem ponownie zawołałem swoją księżycową żonę i ptaszniczkę. – Nie jesteś Norrigal, kurwa – dodałem i kopnąłem stwora w nogę, chcąc go podciąć, ale noga również odpadła.

No jasne. Dlaczego by nie? Istota znów miała obie ręce i skakała na jednej nodze. Zdołała chwycić mnie za szyję i obrócić, tak że uderzyłem głową o skałę i zobaczyłem te małe światełka, które pojawiają się, gdy solidnie grzmotniemy się w czaszkę.

Stwór upadł razem ze mną, przetoczył się na mnie i przycisnął moją twarz do swojej miękkiej glinianej piersi, co nie wyglądało najlepiej. Zdołałem się trochę odepchnąć, ale chwycił mnie za tył głowy i chociaż miotałem się z całych sił, nie mogłem się uwolnić i złapać oddechu. Korzystając z tego, że miał ręce zajęte moją głową, dobyłem noża i zacząłem go dźgać. Czasami automat ma w sobie serce owcy albo jelenia, które go napędza, chociaż nigdy wcześniej nie widziałem takiej istoty i nie miałem pojęcia, jak ona działa. Jej ciało sprawiało wrażenie ulepionego z gęstej, ciężkiej gliny. Byłem o krok od śmierci i poczułem szalony przypływ siły, jakiego doznaje tonący człowiek. Ale zamiast rozpaczliwie się miotać, jedną ręką chwyciłem stwora za głowę, a drugą przeciąłem jego glinianą szyję razem z korzeniem, który pełnił funkcję kręgosłupa, i oderwałem głowę.

Później dowiedziałem się wystarczająco dużo o magii, by wiedzieć, że istota zapewne miała w głowie korzeń mandragory, ponieważ robi się z nich doskonałe mózgi i serca dla ożywionych figur, więc kiedy go przeciąłem, jej ręce opadły z sił. Odepchnąłem glinianego stwora i zacząłem chrapliwie chwytać powietrze. Homunkulus po omacku szukał swojej głowy, licząc na to, że się odbuduje. Nie mogłem na to pozwolić.

– Nic z tego! – zawołałem i kopnąłem głowę, która zawirowała na ziemi.

Z okrągłych ust stwora wydobył się piskliwy głos Norrigal:

– Ooo, brudna sztuczka! Walczysz nieczysto, Kinch!

– Żebyś wiedział – odparłem i kopniakiem stoczyłem głowę ze ścieżki.

Usłyszałem przeciągły pisk i głucho uderzenia o górskie zbocze. Nic chciałem, żeby istota dalej sprawiała mi kłopoty, więc zrzuciłem z urwiska także jej oderwaną nogę.

Stwór próbował się bronić przed odcięciem rąk, ale bez głowy nie mógł niczego zdziałać. Kiedy próbował powstrzymać moje ręce, zobaczyłem, że odcisk mojej twarzy, który pozostał na jego piersi, wybrzuszył się, tak że patrzyłem na coś w rodzaju własnej pośmiertnej maski. Ta gliniana twarz nagle przemówiła moim głosem.

– W porządku, w porządku – powiedziała, kiedy odrąbałem istocie jedną rękę, którą kurczowo zacisnęła na moim rękawie, tak że trudno ją było odczepić.

W końcu zrzuciłem rękę ze ścieżki i sięgnąłem po drugą, którą próbowała mnie unikać, podczas gdy moja gliniana twarz ani na chwilę nie mil-
kła.

– W porządku – odezwała się grubszym głosem z cudzoziemskim akcentem. – Ale nie dostaniesz moich książek.

– Co takiego? – spytałem.

Twarz w glinie się zmieniała. Już mnie nie przypominała. Należała do starszego mężczyzny z głębokimi zmarszczkami wokół ust i lekko skośnymi oczami, jakie widuje się u jasnoskórych gunnickich mężczyzn i ciemniejszych mieszkańców Molrovy. Ponownie przemówiła, tym razem dźwięcznym, melodyjnym barytonem z silnym molrovskim akcentem:

– Powiedziałem, ty mały galtyjski szelmo, że nie dostaniesz moich książek. Słyszałem, jak myślisz o ich kradzieży, ale tego nie zrobisz, prawda?

– Nie! – odpowiedziałem. – Nie!

– Dobrze! – rzekła twarz, ale jej oczy płonęły i dymiły jak dwa rozgrzane węgle. – Nie wierzę ci. – Istota stanęła na jednej nodze i z trudem utrzymała równowagę, wyciągając jedną rękę w bok. – Boisz się, chłopcze? Galtyjski chłopczyku?

Prawie przytaknąłem, ale zanim zdążyłem to zrobić, brutalnie warknąłem: „Nie!”.

– Nie obrażaj mnie prawdą! – odezwała się twarz.

– Więc się pierdol – odparłem. – Nie boję się ciebie.

– Jesteś zmęczony? – spytał głos, a ja zbadałem swoje obolałe, ociężałe mięśnie.

– Nie, mógłbym biegać przez cały dzień – odrzekłem.

– Dobrze! Jesteś głodny?

Uświadomiłem sobie, że walka tak mnie pobudziła, że nie czuję głodu, więc przytaknąłem, ponieważ byliśmy w Molrovie, a tutaj wszyscy kłamią.

Twarz uśmiechnęła się drapieżnie i otworzyła usta, z których wystrzelił w moją stronę potężny strumień. Początkowo sądziłem, że to ogień, ponieważ był gorący, ale po chwili zalał mi twarz i wypełnił nozdrza. Ledwie zdążyłem zamknąć oczy, ale odrobina dostała mi się do ust, tak że zacząłem kaszleć i pluć. To była zupa. Gorąca, słona, pieprzna, ugotowana z jakiegoś ptaka. Może gołąbka? Zupa z gołąbka i pieprzu?

– Akk! – zacharczałem. – Po prostu kocham to miejsce!

– Tak! – odpowiedziała twarz. – Ja też cieszę się, że tutaj jesteś.

Kaszlałem i krztusiłem się, wciąż nie otwierając oczu zalewanych strumieniem gorącej zupy, aż nagle uświadomiłem sobie, że siedzę. Ktoś podał mi szmatę, a ja starłem zupę z oczu i twarzy. Słyszałem rozmawiających ludzi. Kiedy udało mi się otworzyć oczy, doznałem szoku, ponieważ wcale nie siedziałem na kamienistej górskiej ścieżce, tylko przy stole w wielkiej sali. Obok mnie znajdowała się Galva, Norrigal siedziała po mojej prawej stronie, a Yorbez paliła skręta z tytoniem.

– Słuchałeś mnie w ogóle? – spytała Norrigal. – Opowiadałam ci historię, a ty zasnąłeś i upadłeś twarzą w zupę.

– Czy to była opowieść o tym, jak jeździłaś na wilku?

– A niby o czym?

Wydmuchałem z nosa nieco zupy.

– Słuchałem cię.

Potem przypomniałem sobie lodowate dreszcze, które poczułem, gdy pomyślałem, że odeszła i być może zabił ją gliniany człowiek. Nie mogłem się powstrzymać i pocałowałem ją w policzek, chociaż tak naprawdę w ostatniej chwili obróciła głowę i niezdarnie musnąłem ustami kącik jej oka.

– Ty słodki palancie – powiedziała i odepchnęła mnie z uśmiechem.

Zauważyłem jakiegoś starszego mężczyznę o wydatnym czole i krytycznie wyдутych ustach spoczywających między nawiasami głębokich zmarszczek. Mierzył mnie wzrokiem.

– Kinchu Na Shannacku, uczniu Gildii Poborców, trzeci rok nauk fizycznych, drugi rok nauk magicznych, oraz Norrigal Na Galbraeth, służko Odwróconej Wieży, czy chcielibyście obejrzeć bibliotekę?

– Ani trochę – odpowiedziałem i wstałem z miejsca, żeby za nim podążyć.

Ojciec kłamstwa

Przez ostatnie kilka lat opowiadałem sobie cudowną historię o tym, jak pewnego dnia, pomimo swojego lenistwa i miłości do przebywania na świeżym powietrzu, przysiadę do ezoterycznych ksiąg, by studiować głęboką magię. Wmawiałem sobie, że bycie złodziejem to tylko tymczasowa przygoda na drodze do mojego prawdziwego powołania, a dzięki właściwym nauczycielom i szkoleniu pewnego dnia mogę zostać potężnym czarownikiem.

Ale kiedy zobaczyłem bibliotekę Fulvira, wcale tego nie poczułem. Odniosłem raczej wrażenie, że jestem uzurpatorem, być może niezłym złodziejem, ale przeciętnym magikiem, który może na coś się przydać, gdy ma dobry dzień, ale poza tym stanowi tylko zagrożenie dla innych. Owszem, potrafiłem złagodzić upadek, uśpić jakiegoś starucha, wstrzymywać powietrze pod wodą trzykrotnie dłużej od was, ale tak naprawdę przy ludziach, którzy zapisali i rzucali zaklęcia z ksiąg zebranych przez Fulvira, byłem jak bosy, ubrany w krótkie spodenki wsiowy bękart, który tłucze kłosa pszenicy patykiem i uważa się za rycerza.

Biblioteka zajmowała dwa piętra wewnątrz domu zbudowanego w całości z białych końskich kości zespolonych ciemnym błotem. Domu nie było widać z drogi i trzeba było pokonać kilka wąskich przesmyków, żeby dotrzeć do polany, na której stał. Na tej samej polanie znajdowały się potężne sterty szkieletów, z których połowa należała do stworzeń, które już dawno nie chodziły po świecie lub nigdy nie powinny się na nim pojawić. Sam dom nie przypominał żadnego innego budynku w Ludzkich Krainach, ale miał kształt gniazda szerszeni albo cebuli, a biblioteka zajmowała środkową i górną kondygnację. Drewno, z którego zbudowano półki, pochodziło z wraków statków, chyba że to kłamstwo, co jest całkiem możliwe, ale co do ich zawartości trudno było o przesadę.

Fulvir miał sto siedemdziesiąt ksiąg, a to brzmiałoby imponująco, nawet gdybyśmy mówili o zwyczajnych tekstach zapisanych przez skrybów-niewolników z Gallardii albo kopistów z Holtu. Ale księgi magiczne to zupełnie inna sprawa. Pokazał Norrigal i mnie książki dotyczące sztuki rozmawiania z niedźwiedziami, psami i końmi, przywoływania błyskawic z ziemi, przywracania martwych do czegoś, co przypominało życie, a także powodów, dla których nie należy tego robić. Jedna z ksiąg otwierała się, dopiero gdy utoczyło się na nią nieco krwi, a zamykała się, dopiero gdy zaśpiewało się piosenkę, o którą poprosiła. Gdyby zaś pozostała otwarta, następna osoba, która by do niej zajrzała, mogła wyczytać w niej wasze myśli.

– Po co nam to pokazujesz? – spytałem.

– Nie wiesz? – odrzekł. – Jesteś moim synem.

Tylko zamrugałem oczami.

On i Norrigal wymienili spojrzenia, jakby wspólnie żartowali sobie moim kosztem.

– Słyszałeś. Kiedy odwiedzam miasteczka, co miałem w zwyczaju podczas swoich podróży, znajduję znudzone żony i daję im synów. To nic takiego.

– Nic takiego? Wręcz przeciwnie. Ale i tak kłamiesz.

– Sram do garnka, opróżniam go do dziury. Nie mam sentymentów, jeśli chodzi o funkcje mojego ciała. Ale masz rację, nie jesteś moim synem, ponieważ skłamałem.

Mimo wszystko to, co powiedział, dało mi do myślenia. Mój tata był zgarbionym górnikiem, który nie miał pojęcia o miłosnych sztukach, podczas gdy moja matka była piękną kobietą, która zaszła w ciążę jeszcze przed ślubem.

– Moja mama była piękną kobietą – wymknęło mi się.

– Owszem. Kręcone włosy jak miedziana przędza. Drobna, ale urocza.

– Powiadają, że w tamtych czasach przechodziłeś przez Galtię.

– Nakłaniałem mewy do śpiewu. Twoja matka potrafiła ocenić ich talent.

– Wyspa Kruków. To była moja matka? Ale mówiłeś, że podróżowałeś w towarzystwie innego magika.

– W tamtych czasach byłem na tyle nieroztropny, by wędrować u boku pewnego Galta, który dziś jest obłąkany jak ispanthiańska księżniczka.

– Stukwarka – zgadłem.

Z jego twarzy zniknął wyraz kpiącego rozbawienia i wyższości.

– To imię często wypowiada się w tym domu. Możesz to robić, kiedy tylko zechcesz.

Przez chwilę rozmyślałem nad imieniem Stukwark. Zawsze uważałem je za zabawne, może nieco prostackie, ale teraz zrozumiałem, że „wark” może się odnosić do sposobu mówienia, a „Stuk” do Stuknięcia, kataklizmu, który zatopił świat. Nazywanie tego starego Galta Stukwarkiem było równoznaczne z nazywaniem go głosem zagłady.

Przeniosłem wzrok na otwartą książkę leżącą na małym stoliku, omawiającą magiczne właściwości krwi rozmaitych zwierząt. Okazuje się, że w dziedzinie zakłęb krew lwa jest jedyną substancją bardziej cenioną od krwi owcy, choć, jak można się domyślić, nieco trudniejszą do zdobycia.

- Chyba zrozumiałeś wszystkie książki, na które zwróciłeś oczy – rzekł Fulvir.
- Nic z tych rzeczy – odparłem. – A twój holtyjski jest... niedoskonały.
- Znam sześćdziesiąt jeden języków. Iloma ty się posługujesz?
- Liczy się język gestów?
- Oczywiście.
- Dwoma biegle. Trzema nieźle.
- Hmm. Być może się myliłem. Mój rodzony syn znałby przynajmniej sześć języków. Jakim językiem poza holtyjskim posługujesz się biegle?
- Oczywiście galtyjskim.
- Kto cię nauczył?
- Moja matka. Ty też go znasz?
- Nie – przyznał.
- Myślałem, że może moja matka też cię nauczyła, przynajmniej w rzeczywistości kłamstwa, które postanowiłeś mi powiedzieć.
- Nie byłem z nią na tyle długo, by nauczyć się choćby jednego żartu – odrzekł ze śmiechem.
- Nie musisz być niegrzeczny.
- Nie znałem galtyjskiego, jeszcze zanim mnie go nie nauczyła.
- Cóż, powinienes się go nauczyć. To piękny język.
- Tak sądzisz?
- Piękniejszy od molrovskiego.
- Ciekawe. Proszę, mów dalej.
- Molrovski brzmi, jakby ktoś był katowany na śmierć z ustami pełnymi gorącego rosółu. To wilgotny, zapluty język dla skurwionych ludzi o skurwionych ustach. Galtyjski z kolei to język poetów.
- Macie trudną mowę. Zbyt wiele sposobów na powiedzenie tego samego. Dlaczego „my” w ustach dwóch osób brzmi inaczej niż w ustach trzech?
- Mówisz jak ktoś, kto nie ma pojęcia o poezji. Jeśli powiem: „Moje dzieci są dziećmi samego księżycy, a my cię nie potrzebujemy”, gdzie „my” oznacza księżyc i mnie, to sugeruję, że jesteśmy kochankami. To zupełnie coś innego niż „my” oznaczające mnie i moje dzieci.
- Nagle do rozmowy włączyła się Norrigal.
- Jako twoja żona, jeszcze przez tydzień, muszę ci powiedzieć, że się ośmieszasz. – Zaczęła się śmiać, co skojarzyło mi się z garnkiem, z którego zaraz wykipi zupa.
- Co? Dlaczego?
- Przecież teraz mówisz, kurwa, po galtyjsku, prawda? Tak samo jak on.
- Miała rację. Ona również mówiła do mnie w tym języku.
- Kiedy przeszliśmy na galtyjski?
- Śmiała się już na całe gardło.
- Kiedy spytałeś, czy zna tę mowę, a on zaprzeczył!
- Czułem, jak moja twarz się czerwieni, a zazwyczaj mi się to nie zdarza.
- Sprawnie sobie poradziłeś z glinianym człowiekiem – rzekł Fulvir. – Jesteś dobrym wojownikiem. Jak na swój rozmiar.
- Ale nigdy nie będę czarownikiem.
- Nie.
- To prawdziwe „nie” czy molrovskie?
- Tak.
- Zaraza, nienawidzę tego miejsca.
- Więc odejdz – odparł, oddalając się. – I zabierz ze sobą swoją tymczasową żonę z pierścieniem błyskawic na kciuku.
- Czy tak naprawdę chcesz, żebyśmy zostali na kolejną noc?
- Jak sobie życzysz.
- Drzwi do pokoju, w którym mieliśmy nocować, otworzyły się na oścież, a na łóżku czekały na nas dwie książki. Po lewej stronie, gdzie zawsze sypiała Norrigal, leżała galtyjska książka zatytułowana *Zaklinanie roślin i oswajanie trucizn*, a po prawej stronie traktat dla początkujących o magicznych tatuażach. Napisany po gallardiańsku. Fulvir doskonale wiedział, że potrafię czytać w tym języku.

Ojciec Wynaturzeń

Ciekawość dręczyła mnie w najciemniejszej części nocy. Czy ten obłąkany drań był moim tatą? Obracałem tę myśl w głowie i skłaniałem się ku odpowiedzi przeczącej. Wyglądało mi to na historię, jaką babcia opowiada zimowym wieczorem w blasku ognia, gdy jesteście mali.

Oczywiście moja babcia nie opowiadała żadnych historii. Mieszkała samotnie w sypiącej się chatce, a pod koniec życia klęła na myszy i goniła je nago z butem w dłoni. Ale większość babć pewnie zna takie opowieści.

Ojciec magik, i to tak potężny? Wątpliwe w przypadku Kincha Na Shannacka z Platha Glurris, Kpiarza Gildii i dłużnika. Bardziej przypominałem swojego biednego tatę o czarnym języku niż tę małpę z różowym jęzorem. Ale jednak wystarczająco się od niego różniłem, by zasiało to we mnie ziarno niepewności. Tak właśnie jest z niemowlakami, czyż nie? Wszystkie wyglądają podobnie i nie przypominają swojego prawdziwego ojca aż tak bardzo, by go pograć – nie licząc koloru skóry czy języka.

No i skąd wiedział, że moja mama miała kręcone włosy?

Przez pół nocy wierciłem się w łóżku, rozmyślając o tych sprawach, aż w końcu zapaliłem świecę i spróbowałem poczytać książkę o magicznych tatuażach, ale wtedy mój tatuaż kota zaczął śwędzić i piec – skrytobójczyni chyba się nie spodobała moja lektura – a zresztą byłem zbyt niespokojny, by spać albo czytać. Norrigal spała jak zabita, tak zagrzebana w pościeli, że nie widziałem ani cała jej skóry. Postanowiłem rozejrzeć się po włościach tego starego oszusta.

Widziałem już sporą część domu, więc zdecydowałem się zakraść do budynków stojących na jego tyłach. Fulvir ostrzegał nas, żebyśmy tam nie zaglądali, ale w Molrovie łatwo było pomylić zakaz z zaproszeniem, a przynajmniej utrzymywać, że tak się stało. Zszedłem po ścianie z końskich kości i zaprawy i prawie spadłem, gdy nagle odniosłem wrażenie, że dom chce wyrwać się z gruntu i stanąć dęba jak rumak. Niczego takiego nie zrobił, ale dawał mi znać, że mógłby, gdyby tylko zechciał, więc czym prędzej zszedłem na ziemię. Zrozumiałem, że dom może się poruszać, a nawet odejść. Zrozumiałem także, że kości, z których jest zbudowany, połączono krwią, nie tylko końską.

Przekradłem się obok pierwszego budynku i bardzo cicho, trzymając się księżycowych cieni, ponieważ na niebie wciąż wisi pół księżyca, zająłem na tylne podwórze, gdzie zobaczyłem coś, co wyglądało jak olbrzymi czarny żywopłot. Miałem wrażenie, że lekko porusza się na wietrze, a potem część żywopłotu oddzieliła się i ruszyła w moją stronę. Oczywiście to wcale nie był żywopłot, ale całe stado bojowych kruków, takich samych jak ten, który spał wytatuowany na piersi Galvy. Jeden z morderczych ptaków, który odłączył się od reszty, coraz bardziej się zbliżał. Czy mnie zobaczył? Ale jak? Otoczyłem kolana rękami i ukryłem twarz. Nie wydawałem żadnych dźwięków i miałem nadzieję, że nie wydziela także zbyt silnego zapachu.

Zerkałem jednym przymrużonym okiem na potężną, czarną zabójczą istotę, która przeszła obok mnie na wyposażonych w pazury nogach. Kiedy mnie mijala, jej skrzydło zadrżało, być może przypadkiem, a być może chciała przez to pokazać: „Wiem, że tu jesteś, ale masz na to zgodę”. Miałem nadzieję, że tak nie jest. To nic złego kręcić się po miejscach, w których jesteście mile widziani. Kruk mnie ominął, a potem podbiegł i chwycił coś z ziemi. Mysz? Myślę, że to była mysz, ale nigdy się tego nie dowiem, ponieważ ptak natychmiast połknął zdobycz, a potem zaskrzeczał z zadowolenia.

No cóż, albo trudniej mnie zobaczyć, albo jestem mniej smakowity, pomyślałem. Pozostałe ptaki zakrakały do swojego kompana, a on pokonał podwórze i do nich wrócił. Stały pograżone w półśnie i powoli się obracały, jak koło na wietrze.

Teraz przekradłem się do przedniej części budynku, za którym się czailem, i znalazłem drzwi. Dach pokryto skorupami żółwi, ściany zbudowano z cegieł o kolorze ochry i nie było żadnych okien. Nad drzwiami z utwardzonego ogniem dębu zauważyłem słowo *bollisi*, które w języku molrowskim oznacza „bogowie”. To samo słowo widniało nad świątynią Wszechboga w Grevitsie, niech to miejsce będzie przeklęte na wieki. Więc mój

fałszywy molroviski ojciec miał kościół na swoim podwórzu? Spróbowałem otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Rzuciłem proste zaklęcie otwierające, które, rzecz jasna, nie podziałało – magia była tutaj wyjątkowo silna.

Znałem pewne zaklęcie – nauczono mnie go podczas ostatniego miesiąca w szkole – które mogło poradzić sobie nawet z najsilniejszym zamkiem. Powoli skradałem się w kuckach, żeby nie zaalarmować kruków, aż dotarłem do kilku drzew i znalazłem w trawie uschniętą gałązkę. Podszedłem z nią do drzwi, po drodze szepcząc nad nią pewne słowa. Wcisnąłem gałązkę obok zamka, wypowiedziałem jeszcze kilka słów i poczułem, jak w mojej dłoni zmienia się w klucz. Wsunąłem go do zamka i powoli przekręciłem, czując, jak zapadki ustępują. Drzwi otworzyły się, kiedy je popchnąłem, i mogłem wślizgnąć się w ciemność. Zamknąłem je za sobą na klucz. Być może moja ciekawość mnie zabije, ale przynajmniej umrę, wiedząc, jaki kościół utrzymuje ktoś taki jak Fulvir. Z pewnością taka intryga zadowoli Fothannona.

„Dlaczego po prostu go nie spytasz?“, odezwał się głos w mojej głowie. „A co to znaczy?“, odpowiedziałem w myślach. Moje oczy potrzebowały chwili, by przywyknąć do ciemności, a kiedy czekałem, aż tak się stanie, usłyszałem odgłosy oddychania i snu. Byłem w czymś w rodzaju lochu; żelazne kraty oddzielały mnie od tuzina zamkniętych cel. Nad ich drzwiami znajdowały się słowa. Malmrana. Sava'av. Bolr. To były imiona molroviskich bogów, byłem tego pewien, ale niezbyt dobrze się na nich znałem. *Bolr* po molrovisku oznacza „niedźwiedź“, a takie imię nosi ich bóg odwagi. Zajrzałem do jaskini i dostrzegłem ciemną sylwetkę pogrążoną we śnie. Słyszałem, jak chrapie, ale niczego więcej nie byłem w stanie zobaczyć. Sava'av z kolei był jakimś dużym ptakiem, mniejszym od bojowego kruka, ale większym od orła, a pióra na jego skrzydle, którym się owinął, miały kolor niebieski, choć równie dobrze mogły być zielone bądź brązowe.

Całkiem dobrze widzę w ciemności, wyszkoliłem do tego swoje oczy i wspomogłem je magią, ale w tym miejscu było naprawdę ciemno. Nie byłem w stanie nic powiedzieć o Malmranie, poza tym, że chował się za stertą kamieni i patyków. Jego celę przecinały belki, a pręty krat znajdowały się bliżej siebie niż u pozostałych. Imię nad następną celą zwróciło moją uwagę.

Fothannon.

Mój własny bóg, bóg intryg.

Jak to o mnie świadczy, że słowo „świętokradztwo“ przyszło mi do głowy, dopiero kiedy zobaczyłem parodię swojego ulubionego bóstwa? Pomyślałem, że może nie powinienem zaglądać do tej celi, i żałuję, że to zrobiłem, ale jak mógłbym się powstrzymać? Jestem człowiekiem, który zawsze wybiera wiedzę.

Podkradłem się do miejsca, z którego miałem lepszy widok. Zobaczyłem coś, co wyglądało jak duży śpiący lis, zwinięty w kłębek niczym futrzana czapka, z ładną rudą kitą zakrywającą nos. Naraz przypomniały mi się wszystkie chwile, gdy widywałem lisy, uderzyło mnie ich piękno oraz spryt, zobaczyłem, jak się bawią i przeskakują nad sobą nawzajem. Wiedziałem, że i tak zadurzyłbym się w Fothannonie, nawet gdyby nie był jednym z bóstw zatwierdzonych przez Gildię Poborców. Pokochałem go od chwili, gdy spotkałem pewnego staruszka, który go czcił i opowiedział mi historię o niegrzecznym lisie, sennym pijaku i zakochanym koźle. Ogarnął mnie wtedy dziecięcy zachwyt i zapomniałem, że jestem złodziejem. Na jedną krótką chwilę znów stałem się małym chłopcem i zobaczyłem półboga, któremu pragnąłem poświęcić życie, i to nie w niepoważny sposób, jaki zwykle jest domeną Fothannona. Byłem pełen zachwytu.

– Fothannonie – odezwałem się.

Lis podniósł głowę, a jego nos zadrżał. Popatrzył prosto na mnie. Moje serce na chwilę stanęło. Mój bóg wstał, a ja byłem pełen nabożnego lęku. Lisi łeb spoczywał na ramionach pięcio- albo sześciolatniego chłopca, ubranego w skórzane spodnie z wyciętą dziurą, z której sterczał puszysty ogon.

– Fothannonie? – powtórzyłem, całkowicie oszołomiony.

Wiedziałem, że jest mieszańcem, ale właśnie takim opisywały go legendy. Zapiszczał jak lis, opadł na czworaki i zaczął biegać w kółko.

Inni bogowie się budzili. Zerknąłem na Bolra i zobaczyłem, że niewielki niedźwiedź – albo spory niedźwiadek – którego wcześniej widziałem, ogląda się przez ramię, ale ma ludzką twarz starca z brwiami jak gąsienice i zaskoczonym spojrzeniem. Usłyszałem ruch w celi Malmrany i ujrzałem węża, który chodził na kilkunastu parach rąk i wyciągał ku mnie język pomiędzy prętami. Fothannon zapiszczał. Sava'av poruszył się i zaczął bić skrzydłami, a ja nie miałem ochoty zobaczyć, co utrzymują w powietrzu.

– *Braathe! Braathe ne byar!* – powiedział Bolr.

– Co? – spytałem.

Podniósł zębami cynowy talerz i zbliżył się do krat. Postawił naczynie obok szpary w ziemi i pchnął je nosem.

– *Braathe ne byar!* – zawołał z obłąkanym spojrzeniem i nic dziwnego, bo czy nie stracilibyście zmysłów, gdybyście byli niedźwiadkiem z twarzą starca w menażerii szalonego czarownika?

Cały ten hałas oczywiście zaalarmował kruki i usłyszałem ich głośnie, złowrogie krakanie tuż za drzwiami, które były jedyną drogą wyjścia z tego kerku. Tkwiłem po uszy w gównie, ale w Gildii uczyli mnie, abym nigdy się nie poddawał. Przykucnąłem w hałaśliwej ciemności, zastanawiając się, co to właściwie może oznaczać w tej paskudnej sytuacji, gdy nagle usłyszałem głos Norrigal.

– Ty pieprzony idioto.

Chwyliła mnie boleśnie za włosy przy skroniach, postawiła na nogi i potrząsnęła jak psem. Stała za moimi plecami, gdzie nie mogłem jej zobaczyć. Kruki przestały wrzeszczeć i usłyszałem, jak otwiera się zamek w drzwiach. Na progu stanął gliniany człowiek, z którym walczyłem na górskiej ścieżce. Trzymał przed sobą lampę, która wyglądała jak płonąca żaba w słoiku.

Zobaczył mnie i szybko się zbliżył, a kruki podążyły za nim. Potem odwrócił się, pochylił i zaczął iść tyłem, a ja zobaczyłem twarz Fulvira na jego tyłku. Twarz wyduła usta, jakby zamierzała zagwizdać, a potem dmuchnęła ogniem. Usiłowałem uciec, ale byłem przytrzymywany za włosy. Nagle ręce Norrigal – jeśli to rzeczywiście ona wplotła palce w moje włosy – odwróciły mnie do góry nogami, jakby w tańcu, i mogłem się obejrzeć, ale jej nie zobaczyłem. Była niewidzialna! Świetna sztuczka! A ja się paliłem. Potem gwałtownie znalazłem się w łóżku, a Norrigal była obok mnie. Puściła moje włosy i zaczęła okładać mnie po tyłku. Sprawiała wrażenie wściekłej.

– Dzięki bogom, że to był tylko sen – powiedziałem.

– Akurat – odparła, a ja poczułem dym i uświadomiłem sobie, że nie tłucze mnie po tyłku, tylko go gasi.

Być może gliniany człowiek rzeczywiście dmuchnął na mnie ogniem z dupska w więzieniu pełnym mieszkańców stworzonych jako bluźnierstwo przeciwko bogom.

– Musiałam zużyć ostatnią senną wędrówkę, a to nie jest tanie zakłęcie. Mam nadzieję, że było warto. – Sposób, w jaki powiedziała: „Mam nadzieję, że było warto”, jasno dawał do zrozumienia, że tak nie uważała.

– Naprawdę mnie kochasz, prawda? – odrzekłem.

– Tak sądzę, ale spytaj mnie ponownie, kiedy nie będę miała ochoty poderżnąć ci gardła.

Zobaczyłem za oknem pierwsze światło dnia.

To już ranek? Jak długo się włączyłem?

Norrigal mocno mnie spoliczkowała. Zapewne dlatego, że nie zwracałem na nią uwagi, chociaż wyszła z ciała, żeby mnie sprowadzić, a potem ugasiła mój płonący tyłek gołymi rękami. Zastąpiłem sobie.

– Przepraszam – powiedziałem.

Ponownie mnie spoliczkowała, tym razem słabiej, żeby upewnić się, że zrozumiałem.

Potem mocno mnie objęła i przytuliła.

– Strasznie mieszasz mi w głowie – stwierdziła.

A potem oboje prawie wyskoczyliśmy ze skóry, gdy ktoś mocno zapukał do drzwi.

Chleb z masłem

Zaproszono nas na dół na śniadanie, a zrobił to służący, który miał zbyt długi język, zaostrome zęby i skłonność do dyszenia, kiedy był zgrzany lub zmęczony. Wyglądało na to, że jest tutaj drugą najważniejszą osobą, ponieważ widziałem, jak rozkazuje muskularnym ludziom-bykom wzorowanym na Rogogłowym. Kiedy zeszliśmy, Galva i Yorbez już opychały się jajkami, których żółtka sprawiały wrażenie zbyt dużych. Kiedy Fulvir nas zobaczył ze swojego miejsca u szczytu stołu, wskazał nam dwa puste krzesła. Poczuliśmy ciepły zapach dobiegający z kuchni, która była żelaznym sercem tego kościano-drewnianego domu, a po chwili w ślad za zapachem pojawiła się krępa Molrovianka.

– *Braathe ne byar* – powiedziała, umieszczając na stole drewnianą deskę ze stertami kromek chleba oraz kamienny dzbanek z masłem.

Nie czułem się dobrze z tym, że mam przyjąć jedzenie z ręki człowieka, który miesza ludzi ze zwierzętami i trzyma wyniki tych eksperymentów w klatkach. Kiedy tylko o tym pomyślałem, Fulvir na mnie popatrzył.

– Może zjesz trochę chleba z masłem? – spytał, a ja próbowałem coś odpowiedzieć, nawet nie wiem co, ale nie mogłem się odezwać.

Sięgnąłem po chleb i podniosłem go drżącą dłonią. Krępa kobieta to zobaczyła i posmarowała dla mnie kromkę masłem. Moja dłoń sama przysunęła chleb do ust, które się otworzyły. Odgryzłem kęs, przeżułem i połknąłem. Byłem oburzony, ale nie aż tak, by nie zauważyć, że posiłek był pyszny.

– Jedząc chleb, podziękuj kotu – odezwał się Fulvir po holtyjsku, żeby wszyscy go zrozumieli, chociaż to było molrowskie powiedzenie. Oznaczało, że aby zboże przetrwało, myszy muszą umrzeć. Oznaczało: nie bądź dzieckiem. Oznaczało, że bez eksperymentów prowadzonych przez niego i Stukwarka nie mielibyśmy bojowych kruków, a gdyby nie one, gobliny mogłyby nas zepchnąć aż pod Morze Gunnickie.

Zjadłem kolejny kęs z własnej woli, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Mniemam, że dobrze spaliście? – odezwał się Fulvir.

Spanthianki przytaknęły. Norrigal wzruszyła ramionami.

– Jak niemowlę – odrzekłem, a wszyscy wiemy, jak sypiają niemowlęta.

– To dobrze. Mamy dużo do zrobienia i niewiele czasu. Dotarły do mnie wieści, że armia olbrzymów oddaliła się od Hrawy i wędruje równinami Rubieży, a szanse na to, że będą tędy przechodziły, wzrosły z minimalnych do sporych. Wyruszam na południe. Dzisiaj. Ale najpierw pozostawię wam pewne... dary... które pomogą wam w wypełnieniu waszej ważnej misji. – Machnął ręką i drzwi biblioteki się otworzyły.

Zupełnie jakby czekali za drzwiami, do pomieszczenia weszło troje muzyków i zaczęło grać. Jeden z mężczyzn bił w bęben zawieszony na biodrze, kobieta dmuchała w piszczałkę, a drugi mężczyzna nadymał czerwone policzki i ścisnął gallardiańskie dudy, wydobywając z nich piskliwe zawodzenie. Nie byli zbyt dobrymi muzykami. Patrzyliśmy na drzwi, przez które weszli, wypatrując obiecanych darów, ale kiedy skończyli grać, ukłonili się i podali swoje imiona.

– Bizh – powiedział bębniarz.

– Nazh – przedstawiła się kobieta z piszczałką. Teraz zwróciłem uwagę na jej duży nos.

– Gorbol – rzekł dudziarz i cały się zakichał, po czym zaczął wycierać zasmarkane wąsy i brodę chustką.

Galva najwyraźniej też liczyła na coś innego.

– Spodziewaliście się konia i powozu? Zabierzcie ze sobą tę trójkę i uważajcie, żeby nie zginęli, chociaż będą się starali to zrobić.

– To niesprawiedliwe – odezwał się Bizh nosowym głosem z akcentem, którego nie rozpoznawałem.

– Właśnie – zgodziła się Nazh, jeszcze bardziej nosowo. – Zawsze staramy się przeżyć.

– Zresztą całkiem dobrze nam idzie – dodał Gorbol, który często mrugał.

Bizh uderzył trzykrotnie w bęben, by podkreślić słowa Gorbola.

Ich imiona brzmiały po molrowsku, ale akcenty pozostawały tajemnicą. Nie sprawiali wrażenia zbyt sprawnych, a w tym pozbawionym koni świecie oznaczało to, że będą nas spowalniać. Naprawdę musieliśmy zabrać ze sobą tych drani?

– Naprawdę musicie zabrać ze sobą tych drani i będziecie żałować, jeśli tego nie zrobicie – rzekł Fulvir i to nie było kłamstwo, więc sprawa została przypieczętowana.

Po otrzymaniu „daru” byliśmy ignorowani. Fulvira czekało mnóstwo przygotowań do przenosin domostwa. Podobny do psa służący nadzorował pracę trzech ludzi-byków, którzy powiązali ze sobą i powynosili przed dom mnóstwo mebli. Krępa kobieta wyjęła z kredensu wszystkie talerze i ustawiła je przy drodze.

Fulvir nawet nas nie pożegnał.

Chciałem sprawdzić, czy uda mi się wydobyć z niego jeszcze coś na temat Galtii, żeby ostatecznie upewnić się, że nie jest moim ojcem, ale wiedziałem, że to próżne nadzieje. Po pierwsze, zapewne nie był ze mną spokrewniony bardziej niż kolba kukurydzy. Jedną z najlepszych taktyk nauczanych w Niskiej Szkole jest przekonanie celu, że jest kimś więcej niż w istocie. Wielu głupców oddało srebro życzliwym oszustom, którzy snuli opowieści o prawdziwych ojcach i czekających spadkach. Nawet jeśli byłem bękartem, to moim prawdziwym ojcem raczej był jakiś miejscowy pochlebca, który w wieku dwudziestu pięciu lat na jeden miesiąc stał się przystojny, albo jakiś fartowny rybak bądź rozwoziciel gnoju, który w odpowiedni sposób mrugnął okiem albo ładnie zatańczył z moją mamą, gdy opita się cydru na potańcówce.

Po drugie, Fulvir był na tyle przytomny, by wiedzieć, jakie informacje powinien zachować dla siebie, i na tyle obłąkany, by przewidzieć każde pytanie. Niezależnie od tego, czy był moim ojcem, nie był mi nic winien, nawet pożegnania, a niezależnie od tego, jak bardzo prawdopodobna była śmierć z rąk goblinów wszystkich mieszkańców Ludzkich Krain bez jego zabójczych ptaków, ja również czułem, że nie mam wobec niego żadnego długu wdzięczności.

Zwłaszcza kiedy ujrzałem, do czego jeszcze zdolne są bojowe kruki.

Kiedy podeszliśmy do drzewa, do którego przywiązaliśmy osły, zobaczyliśmy scenę potwornej rzezi. Trzy z kruków, które widziałem poprzedniej nocy, patroszyły oślicę, którą nazwałem Annie. Tę, na której jechała Norrigal. Swojemu wierzchowcowi nie nadałem imienia, ponieważ go nie lubiłem. Ale oto była słodka Annie, martwa jak lato, a potężne czarne ptaki chciwie połykały kawałki jej mięsa, pokrakując między kęsami. Na ziemi leżały nogi i inne części ciała oślicy.

– Nie. O kurwa, nie – zaszlochała Norrigal.

– *Dalgatha maia! Jilnaedus corvistus chodadus! Merdu!* – syknęła Galva.

Gdzieś w oddali zaryczał osioł.

– Pierdolone ptaki! – powiedziałem i założyłem strzałę na cięciwę.

– Nie! – zawołała Galva i opuściła mój łuk, a w jej oczach po raz pierwszy pojawiło się coś, co przypominało strach.

Wycofaliśmy się.

Wyruszyliśmy pieszo.

Kiedy zbliżyliśmy się do skalnego przesmyku prowadzącego z polany Fulvira, dom oderwał się od ziemi i ruszył chwiejnym krokiem na czterech wielkich jak drzewa korzeniach, które kryły się w skalistej glebie. Sypiąc wokół ziemią, przypominający ul budynek zachwiał się w powietrzu, a następnie ruszył tą samą drogą, którą my przyszliśmy, jakimś cudem utrzymując równowagę na ścieżce, która wydawała się dla niego za wąska. Odwróciliśmy się i trzymaliśmy swojego kursu. Minęliśmy glinianego człowieka, nieruchomo spoczywającego w błocie, teraz już naprawdę martwego. Cienka strużka krwi wypływała z niego i łączyła się z deszczówką, która zwracała ziemi jego duszę.

Ostatni ślad władzy Fulvira był najsmutniejszy ze wszystkich, chociaż chodziło o bóstwo. Bolr, molroviski bóg odwagi, zgotował nam pożegnanie, którym nie kłopotał się Fulvir. Niewielki niedźwiedź o ludzkiej twarzy zbliżył się do nas i odprowadził nas wzrokiem. Byłem pewien, że za tym ludzkim obliczem kryje się prosty umysł niedźwiedzia, a Bolr potrafi najwyżej podawać talerz i prosić o chleb z masłem, ale tuż przed tym, jak odwróciłem wzrok, pomachał mi. Odwzajemniłem ten gest. Zauważyłem, że ma zaczerwienione oczy, i wiedziałem, że jego policzki są mokre nie tylko od drobnego deszczu, który zaczął padać, gdy wyruszyliśmy w drogę. Rozumiał, że został porzucony. Fulvir wypuścił go z klatki, jakby Bolr był kolejnym niepotrzebnym meblem pozostawionym na deszczu. Zastanawiałem się, czy nie uśmiercić go z litości, ale skoro czarownik uznał, że mieszaniec zdoła poradzić sobie w tych lasach, to nie miałem prawa pozbawiać go tej szansy. Wszyscy chcemy żyć, prawda? Nigdy nie dowiedziałem się, co spotkało Sava'av i Malmanę, a także czy Fulvir w swojej niezmierzonej szkodrości zabrał ze sobą Fothannona, czy może rozkazał jednemu ze swoich ludzi-byków, by go udusił. Kiedy już myślałem, że nie mogę bardziej znienawidzić tego starego manipulanta, nawet jeśli ocalił Ludzkie Krainy, muzycy zaczęli grać paskudną, niemelodyjną piosenkę i zrozumiałem, że się myliłem.

Znienawidziłem go jeszcze bardziej.

– Przestańcie grać, zanim obetnę wam dłonie – powiedziała Galva, a oni posłuchali.

Mimo że pakowaliśmy się prosto w ręce armii olbrzymów, a nasze dni były policzone, wiedziałem, że podążam za właściwą kobietą.

Wołowe Mury

Następnego dnia dotarliśmy do murów, które odgradzały i chroniły Molrovę, tak zwanych Wołowych Murów, ponieważ były zbudowane z kamienia białego jak wołowa kość, który odznaczał się na tle ciemnych gór. Widok zapierał dech w piersiach, więc wstrzymałem oddech. Kamienie były ogromne, co wskazywało na zastosowanie magii przez inżynierów ze Starego Keshu – trudno było wyobrazić sobie mieszkańców Molrovy dokonujących takiego dzieła. Byliśmy bliżej olbrzymów niż kiedykolwiek, tak blisko, że czułem słony zapach niesiony wiatrem, który mógł być tylko wonią ich potu, choć może był to raczej zapach żelaza, czyli ich krwi.

Naszej krwi, pomyślałem. Skały za tymi murami są zbryzgane naszą krwią.

„Nie zapomnij o gównie. Kiedy jeden z nich na tobie staje, jednym końcem wyciska gówno, a drugim kolację”, odezwał się Malk w mojej głowie.

„Ile masz lat? Chyba dwanaście, skoro cały czas gadasz o olbrzymach w swoich spodniach i gównie”, spytałem.

„Nie, to ty o nich gadasz”, odparł. „Sam to wszystko wymyślasz. Ja, kurwa, nie żyję, zapomniałeś? Ty biedny zakerkany bękarcie”.

Zaśmiałem się do siebie, patrząc w dal.

Przekupiliśmy trzech ponurych fiutów pilnujących niewielkiej bramy z brązu, uzbrojonych w brązowe noże i ubranych w wyprawione focze skóry. Każdy z nich miał na szyi klejnoty, niewątpliwie zabrane uchodźcom kierującym się na wschód.

Jeden z mężczyzn miał czarną dłoń i blizny na wargach, które wyglądały, jakby kiedyś zaszyto mu usta. Mury były tak grube, że brama wyglądała jak tunel, ciemny jak śmierć, a kiedy przedostaliśmy się na drugą stronę, gdzie z naszych ust z każdym oddechem wydobywały się kłęby pary, zobaczyliśmy, że góry, które właśnie przekroczyliśmy, były tylko pierwszym i największym z całego ciągu pasm, ciasno ściśniętych, smukłych, twardych i okrytych śniegiem, obiecujących zablokowane drogi i lawiny kamieni. Każde z nas zakląło na swój własny sposób, a potem pomaszrowaliśmy dalej, podczas gdy mosiężna brama zatrzasnęła się za nami.

Idąc przez Trzmielowe Góry, kilkakrotnie byliśmy zmuszeni do zejścia z drogi, by przepuścić strumienie uchodźców, z których każdy dziękował swoim najdroższym bogom za uciezkę z krainy, do której tak dzielnie zmierzaliśmy. Mieszkańcy Rubieży byli groźnymi wojownikami, jasnowłosym i szarookim nasieniem gunnickich najeźdźców, którzy pożeglowali do Hrawy i dalej rzekami Rubieży w latach Popiołu, tuż po tym, jak Stuknięcie wywołało trzęsienia ziemi oraz niszczące całe miasta fale, które doprowadziły do upadku Starego Keshu.

Chociaż Gunnijczycy nauczyli się korzystać z pługa, nigdy nie zapomnieli, gdzie odwiesili miecze, i czym prędzej powrócili do oddawania czci Wolthanowi, Tuurowi i Hraelowi, wojskowym bogom ich żeglujących przodków. Czułem wielki smutek, patrząc, jak wędrują z opuszczonymi głowami, by prosić Molrovę o wątpliwą gościnę.

Żadne z nas nie znało na tyle dobrze ich języka, by wymienić najnowsze wieści, ale na czele jednej z grup szedł wódz klanu z holtyjską żoną. Galva spytała ją, czy wiedzą coś nowego o Hrawie, stolicy Rubieży.

– Miasto jest rozbite. Ludzie je opuścili, a dla nich jest za małe – wyjaśniła żona. – Mówią, że pozostały tylko kości i chwasty, ludzie uciekli na wzgórze albo do kanałów. Olbrzymy ruszyły w głąb doliny, niszcząc gospodarstwa i pożerając nasze woły. Zamierzają zburzyć wszystkie budynki i ścigać nas po całych Trzmielach. Jesteś Spanthianką, prawda?

Galva energicznie skinęła głową, jak jej rodacy mają w zwyczaju.

– W takim razie pewnie interesuje cię, co się stało z królową. Podobno żyje, chociaż nie rozmawiałam z nikim, kto by ją widział na własne oczy, odkąd upadła Hrawa. Mam nadzieję, że nie zginęła. Kiedyś ją spotkałam. Jest lepsza od króla Hagliego. – Zerknęła na kancianostogłowego, kancianostobrodego mężczyznę, który patrzył na nią spode łba. – Król był głupcem, a mogę to powiedzieć, ponieważ mój pan i obrońca nie kłopotał się nauczeniem mojej mowy. Chociaż zna takie słowa jak „odważny” – dodała, przeciągając to słowo i uśmiechając się ciepło, na co jej mąż odpowie-

dział uśmiechem – oraz „silny”; też je lubi. – Mężczyzna nieco uniósł brodę. – Ale uciekał tak samo jak reszta, kiedy olbrzym zburzył dom. Widzieliście już któregoś z nich?

Galva pokręciła głową.

– No tak, dlatego kierujecie się w ich stronę, zamiast się oddalać. Niedługo za nami podążycie. Albo zginiecie. Macie piwo?

– Nie – odrzekła Galva.

– Szkoda, chętnie byśmy pohandlowali. Jeśli macie whiskey, to nic nie mówcie, on ma paskudny charakter, kiedy się jej napije, ale za to jęczy jak nienaoliwiony zawias, gdy skończy się piwo. No nic, powodzenia.

Na jej sygnał uchodźcy ruszyli z miejsca, ale Norrigal uniosła dłoń.

– Chwileczkę. Mówiłaś, że widziałaś królową.

– Tak, królową Mireyę. Oczywiście przed tym wszystkim.

– Dlaczego uważasz, że jest lepsza od swojego męża?

– Króla nie obchodzili mieszkańcy wsi. Chciał tylko siedzieć w stolicy, gdzie wszyscy go podziwiali. Ona kochała ten kraj, mimo że z niego nie pochodziła. Trzy lata temu, kiedy w lecie panowała susza, przyjechała do naszego miasteczka w miesiącu Popiołów i złożyła gołębie w ofierze dla Aevri, deszczowej pani. Aevri musiało się to spodobać, ponieważ pożyczyła wodę od swojej matki Haelvy-w-Jeziorze i spadł deszcz, jeszcze zanim procesja z królową zniknęła nam z oczu. To nie są moi bogowie, a przynajmniej nie byli, ale teraz także szlachtuję gołębie dla Aevri. W deszczowe lata jesteśmy bogaci, w suche cierpimy biedę. Byliśmy bogaci. Potem biedni. Teraz jeszcze bardziej zbiednieliśmy. Chyba powinniśmy klęczeć przed Tuurem, jeśli zależy nam na zabijaniu olbrzymów, a nikt się na tym nie zna. Czy wy jesteście w tym dobrzy?

Galva otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała.

– Miłość do waszej królowej przysparza ci chwały – odezwała się Norrigal.

Kancjastobrody mężczyzna mruknął coś do swojej żony, a ona syknęła do niego po gunnicku.

– Wiedziałaś, że będzie chciał piwa – powiedziała. – Miło było porozmawiać z wami po holtyjsku. Niech szczęście wypełni wasze spiżarnie.

– I twoje także – odpowiedziała Norrigal.

Zniknęli nam z oczu.

Jeszcze nie pokonaliśmy gór, ale już byliśmy na Rubieżach.

Tym, co na pewno zapamiętacie z Rubieży, jeśli kiedykolwiek się tam wybierzeć, jest światło. Z jakiegoś powodu jest bardziej złociste i nie tylko dlatego, że właśnie zaczęły się Winnice. Drzewa powoli pokrywały się żółcią; nie wszystkie, głównie jeden gatunek, którego nigdy wcześniej nie widziałem, a którego liście grzechotały i migotały na wietrze. Nie były to brzozy, ale je przypominały; ich kora łatwo odchodziła od pnia, jak kosztowny papier lub stare płótno.

Kiedy schodząc z ostatniej góry, rozbiliśmy obóz niedaleko jednej z kęp tych drzew, Yorbez niemal zabiła jednego z muzyków.

Była siódma noc Winnic, a ja stałem na warcie, starając się ze wszystkich sił nie zasnąć, co jakiś czas spacerując, machając rękami albo biegając w miejscu, żeby pobudzić krążenie. Było zimno i wydawało się, że zanim przejdziemy przez góry, może spaść śnieg, ale noce wciąż pozostawały bezchmurne. Gwiazdy były niezwykle jasne, a ja zabawiałem się rozpoznawaniem gwiazdozbiorów. Namierzyłem już rogi Byka i zauważyłem Topór-i-Baranka, ale one były najprostsze do wyśledzenia. Właśnie odnajdywałem udo Letniej Panny, która tylko na krótko miała wyłonić się zza góry, by ponownie się skryć i oddać zimowemu spółkowaniu ze Szczęściarzem, którego ręce wznosiły się w geście radości albo, jak twierdzili niektórzy cynicy, kapitulacji.

– Zabierz swoją *chodadu* rękę z mojej torby, *bercaou!* – odezwała się Yorbez, a ja zobaczyłem, że gwałtownie wstaje i dobywa pogromcy byków.

Pobiegłem w jej stronę, zawstydzony, że przyłapano mnie na patrzeniu w gwiazdy, ale było po wszystkim, zanim dotarłem na miejsce. Porużyła się tak szybko, że nie zauważyłem ostrza, dopóki nie znieruchomioło. Bizh pisnął i zatańczył z bólu, a jego ręce uniosły się do nosa. Cofnął je i popatrzył z niedowierzaniem na plamę krwi na dłoni. Zobaczyłem, że brakuje mu samego czubka nosa. Ponownie uniósł rękę i namalował na dłoni kolejną plamę.

– To słuszna kara! – powiedziała do mnie Yorbez. – To słuszna kara dla złodzieja, aby wszyscy z daleka widzieli jego złodziejstwo. Kradł mi chleb.

Bizh nie próbował zaprzeczać, tylko zajęczał żałośnie. Nazh i Gorbol podeszli i stanęli pomiędzy nim a wściekłą Spanthianką, która sprawiała wrażenie gotowej wypatroszyć bębniarza, gdyby chociaż na nią popatrzył, czego roztropnie nie robił. Pozostała dwójka muzyków poruszała się powoli i trzymała ręce na widoku.

– Czy to prawda? – spytałem. – Okradłeś jedną ze swoich towarzyszek podróży?

Galva stanęła obok Yorbez, swojej Calar Saram, a Norrigal znalazła się za moimi plecami. Nie musieliśmy długo czekać, aż pojawią się podziały ze względu na pochodzenie, choć nadal nie miałem pojęcia, skąd pochodzą muzycy, ponieważ nie rozpoznawałem ich akcentu, a rozmawiali wyłącznie po holtyjsku.

Nazh mówiła w imieniu Bizha, który tylko pojękiwał.

– Zapewne dokonał kradzieży, ale to nie jego wina. Ona zostawiła otwartą torbę z chlebem na wierzchu, a Bizh nie może się powstrzymać, kiedy widzi chleb, Żadne z nas tego nie potrafi. Uwielbiamy go.

– Któż go nie uwielbia – odparłem, przypominając sobie, jak człowiek-niedźwiedź mówił: „*Braathe ne byar!*”, i zastanawiając się, czy już zginął albo trafił do klatki.

– Bardzo przepraaaaaszam – odezwał się Bizh zza poły koszuli, którą trzymał przy krwawiącym nosie.

Jego biały, chudy brzuch lśnił w blasku gwiazd. Kiedy na chwilę opuścił koszulę, żeby znaleźć kolejny czysty kawałek materiału, zauważyłem okruchy na jego rzadkiej brodzie. Wyglądał na trzydzieści lat, ale miał brodę jak czternastoletni chłopiec.

– Czy zrobisz to ponownie? – zapytałem.

Żałośnie pokiwał głową.

– T-t-aaaak. Chyba że ona zamknie toooooorbę – zaszlochał.

Nazh i Gorbol objęli go i zasłonili. Galva zdała się w tej sprawie na Yorbez. Stara mistrzyni szermiercza popatrzyła na Bizha i byłem pewien, że zaraz wbije mu ostrze w wątrobę, ale tylko z pogardą strząsnęła kroplę krwi ze spadina, po czym wytarła i schowała broń. Nie miałem nic do dodania.

W końcu nie mogę powiedzieć, że nigdy niczego nie ukradłem.

– Pierdolony – odezwała się do płaczącego bębniarza. – Tym razem zamknę torbę.

Następnego dnia, kiedy zatrzymaliśmy się obok strumienia, który przecinał podnóże wzgórz na zachód od Trzmieli, w czwórkę oddaliliśmy się nieco od naszych nowych kompanów, którzy wcale nie wyglądali na muzyków. Dwukrotnie coś zagrali i brzmieli tak okropnie, że za pierwszym razem zagroziliśmy im ukamienowaniem, a za drugim dekapitacją. Wciąż nie mieliśmy pojęcia, dlaczego musimy znosić ich towarzystwo. Spieraliśmy się o to, czy powinniśmy coś w tej kwestii zmienić, i okazało się, że im bardziej ktoś polegał na magii, tym bardziej tolerancyjnie podchodził do naszego tria.

– Myślę, że stary zrobił nam żart. Dobrze wiedział, że oni do niczego się nie nadają. Śmiał się z tego, że ich zabieramy. Dzięki temu nie musiał sam ich wieszać – stwierdziła Yorbez.

Galva była podobnego zdania.

– Nie rozumiem, w czym mogą nam pomóc. Tylko zjadają nasze zapasy i nas spowalniają.

Norrigal skrzyżowała ręce na piersiach.

– Gdybyście były wyczulone na magię, wiedziałybyście, że w obecności tych ludzi włoski na rękach stają dęba. Coś w nich jest. Myślę, że źle na tym wyjdziemy, jeśli ich zostawimy lub skrzywdzimy, więc jestem temu przeciwna. Proponuję ich zabrać.

– Poza tym ich gra odstrasza padlinożerców – dodałem.

Nawet Galva się z tego zaśmiała.

A zatem muzycy szli z nami.

Na razie.

Psy Hrawy

Tren dla Hrawy, Miasta Długich Zim.

Żeglarze skarżą się na skały w Twojej zdradzieckiej zatoce i zabójcze węgorze w Twoim słonym jeziorze; kiepscy poeci rymują o trędowatych, którzy umierają w szafranowych szatach na Łysej Wyspie, nazywanej tak dlatego, że wycięto tam wszystkie drzewa na opał, albo dlatego, że trędowaci mają ogolone głowy, poeci nie są zgodni.

Wypijmy za Twoje wspomnienie, Hravo, do połowy otoczona górami, z dwukolorową wieżą pochyloną od czasu trzęsienia ziemi przed trzydziestu laty.

Dumna Hravo z królewskim drewnianym pałacem zwanym Salą Tarcz, ponieważ to wojownicy byli Twoimi najsilniejszymi murami, a przynajmniej tak się przechwalałaś, dopóki nie polegli. Pielgrzymi z Wysp Gunnickich na północy, którzy spłodzili Twoich silnych jasnowłosych dziedziców, przybywali, by zostawić kości swych ojców w ossuariach w Twojej świątyni Tuura. Wrót świątyni strzegł kamienny posąg Tuura ze złotymi wąsami i wysoką jak drzewo drewnianą włócznią. Jego poobijany miedziany hełm pozieleniał, a spiralny tatuaż na kamiennej piersi inkrustowano złotem. Tuur, zabójca olbrzymów, wysoki na pięćdziesiąt stóp, na dziesięciostopowym piedestale z wulkanicznej skały.

Nawet pamiętam jedną z piosenek o Tobie, najdalej na zachód położonej stolicy Ludzkich Krain:

*W Hravie lato słońcem pieści
Przez owieczki dni czterdzieści.
Jesień zimna, gorzka, sucha,
Jakby zmierzch do drzwi już pukał.*

*A gdy zimą mróz świat ściśnie,
Dasz za opał skarby wszystkie,
Więc gdy wiosną kwiatów w bród,
Ty po zimie cierpisz głód.*

*Hrava, skała, drewna bale,
Ponadto niewiele zalet,
Prócz żelaza, skór i ciała
Hrava, drewna bale, skała.*

Kiedy w tym roku olbrzymy przybyły do Hrawy, zastały dumne, bogate miasto, które zaczęło mięknąć jak stary wojownik, który za bardzo lubi piwo i siedzenie na ławie, a jego niegdyś budzący postrach miecz pokryły pierwsze pajęczyny. Zastały piękne miasto poprzecinane kanałami, wysokie nowe domy ze skośnymi dachami i ogrody pełne dziwnych zimowych roślin. Coś zupełnie innego czekało na mnie w Hravie w dziesiątym dniu Winnic, tydzień i jeden dzień później, niż powinienem tam dotrzeć według Gildii.

Zastałem cmentarzysko gruzów i rozrzuconych głazów.

Zastałem plac zabaw wolnych złodziei.

Zastałem tak wiele krwi na bruku, że nie zmyłoby jej trzydzieści deszczów.

Wkrótce miałem znaleźć posąg boga, zabójcy olbrzymów, leżący na ziemi w trzech potężnych kawałkach. Zerwano z niego złoto i miedź, jak biżuterię z ciała ofiary. Miasto Hrava zostało zamordowane.

Pozostała część drużyny została u podnóża wzgórz, a ja udałem się do martwego miasta, żeby sprawdzić, czego uda mi się dowiedzieć. Galva przekazała mi mapę Hrawy, którą dała jej Twarda Skurwielka. Po raz pierwszy miałem okazję dokładnie się jej przyjrzeć. Wręczyła mi mapę i wskazała głową ruiny, a potem odwróciła się do mnie plecami, zanim zdążyłem się odezwać. Choć tak naprawdę nie miałem nic do powiedzenia.

Byłem złodziejem, a złodzieje nie tylko kradną, ale także robią zwiad, prawda?

Nie miałem mocy Norrigal ani mieczy Spanthianek, ale mogłem liczyć na swoje szczęście i wyszkolenie. To była moja chwila.

A gdyby udało mi się znaleźć tę marnotrawną królową wiedźm, być może tak bym się obłowił, że mógłbym kupić własny pochylony dom na wietrznym galtyjskim urwisku, gdzie nie musiałbym przed nikim odpowiadać, tylko czytałbym stare opowieści i liczył swoje brudne srebro.

Poza tym chciałem zrobić wrażenie nie tylko na Norrigal, ale także na ptaszniczce. Wydało mi się dziwne, że zależy mi na jej opinii, ale tak właśnie było. Nie wiem, czy działo się tak za sprawą jej szlachetnego urodzenia czy ispanthiańskiej krwi, ale ostatnia córka Bragi potrafiła wzbudzić w ludziach poczucie, że brakuje im tylko jednego idiotycznie odważnego czynu, by wreszcie zasłużyli na jej szacunek.

Być może wejście do miasta zmiażdżonego przez olbrzymy było bardziej idiotyczne niż odważne, ale nie miałem innego wyjścia, jak obrócić się w stronę ruin i wprawić nogi w ruch.

Szedłem wzdłuż zimnego, spokojnego jeziora, niosąc naciągnięty łuk i tuzin strzał w kołczanie. Miałem naoliwiony sztylet i balansowałem na kłębach stóp, gotowy do natychmiastowego ruchu. Światło słońca lśniło na powierzchni wody jak monety, a ja przypominałem sobie Platha Glurris i Lśniącą Rzekę. Woda wszędzie wygląda mniej więcej tak samo, a przynajmniej wszędzie, gdzie byłem. Poeci rozpisywali się o zielonych płyciżnach Morza Tygrysów i turkusowych zatokach Istrei i Beltii, a oceany być może wypełniała woda innej kategorii, ale ja miałem wrażenie, że rzeka to rzeka, a jezioro to jezioro. To po prostu znajdowało się bardzo daleko na północy i zachodzie.

Co ja tu, kurwa, robię?

No tak. Zdradzam swoją Gildię z powodu miłości do kobiety, sympatii do Spanthianki i nienawiści do Poborców.

Naprzód!

Kiedy dotarli do mnie urywki mowy, której nigdy wcześniej nie słyszałem, szybko się ukryłem. Nisko przykucnięty, zobaczyłem grupę rabusiów, przysadzistych brązowowłosych twardych chłopaków i ostrych dziewcząt, elegancko ubranych i uzbrojonych we włócznie oraz tasaki. Ciągnęli wóz wyładowany łupami. Znajdowali się na drodze, a ja trzymałem się z dala od niej, kryjąc się w wysokiej trawie, która zaczynała żółknąć wraz z początkiem Winnic.

Przycupnąłem jak przepiórka i czekałem, aż złodziejska szajka mnie minie – nie miałem ochoty walczyć ani uciekać przed całą szóstką, gdyby zapragnęli dodać mój skromny dobytek do swoich łupów. Zastanawiałem się, jak długo uda im się je zachować. Drogami wokół zniszczonej stolicy wędrowały większe i groźniejsze grupy rabusiów, a jeśli ta szóstka nie była sprzymierzona z którąś z nich, zapewne nie miała zbyt długo cieszyć się swoimi zdobyczami.

Minąłem coś, co dawniej było miejskim rynkiem, gdzie na ziemi leżały połamane jodły, niegdyś dumne i rosłe, a wszędzie walały się dziesiątki głazów wielkości człowieka oraz gruzy roztrzaskanej fontanny poświęconej Aevri, gunnickiej bogini deszczu. Jej piękna biała ręka – podobna do ręki Norrigal, gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją w Odwróconej Wieży – najwyraźniej przyzywała właśnie mnie, skoro nie uzyskała pomocy od Wolthana, Niebiańskiego Ojca, ku któremu się wznosiła.

Znalazłem kanał o brzegach splamionych krwią, podziurawiony uderzeniami potężnych skał lub ostrzy toporów. Zburzony miejski mur po drugiej stronie wskazywał na to, że nad kanałem rozegrało się drugie starcie z najeźdźcami, ponieważ był on zbyt szeroki, by olbrzymy mogły go przeskoczyć. Kanał był też za szeroki dla ludzi, a nawet dla mnie, gdybym nie skorzystał z zaklęcia.

Jedna z ulic, przy której znajdowały się zakłady rękawiczników i garbarzy, poradziła sobie nieco lepiej, gdyż większość tamtejszych budynków wciąż stała, choć ich wnętrza zostały splądrowane. Wyglądało to tak, jakby wszystkie okna i drzwi zwymiotowały na zewnątrz gruzami. Początkowo widywałem ludzi tylko z daleka; mroczne sylwetki wędrujące dwójkami i trójkami, które starały się mnie unikać, tak jak ja ich unikałem. Wiedziałem jednak, że w końcu będę musiał z kimś porozmawiać, jeśli mam znaleźć Ürmehena, niezrzeszonego w Gildii złodzieja, który miał nam pomóc.

Bezpańskie psy zaczęły za mną podążać niedaleko zrujnowanej świątyni Tuura. Początkowo były tylko dwa, ale potem dołączyło kolejne pół tuzina i podeszły bliżej.

– Tylko tego mi trzeba – mruknąłem.

Przygotowałem łuk. Naprawdę nie miałem ochoty strzelać do psów. Szedłem pośród śmieci zalegających na ulicy, aż dotarłem do trzech fragmentów powalonego posągu Tuura, niezbyt udanego bóstwa, którego zadaniem było trzymanie olbrzymów w ryzach. Psy, chude, chore i zdesperowane, zaczęły mnie okręzać; ich przywódca szedł przodem z opuszczonym łbem, a jego podwładni trzymali się nieco z tyłu. Gdybym go zastrzelił, reszta prawdopodobnie by się rozbiegła, ale postanowiłem sprawdzić, czy uda mi się je zgubić. Użyłem pasa i pochwy Tuura jako oparcia dla stóp, wspiąłem się i stanąłem na jego tyłku, który, co teraz zobaczyłem, został zbezczeszczony przez ludzi i olbrzymy – jakiś utalentowany wandal użył smoły albo czarnej farby, by narysować krąg fallusów wskazujących miejsce, w którym powinien się znajdować otwór w dupie upoko-

zonego boga. Nie ma się co dziwić. Facet miał tylko jedno zadanie, prawda? Ludzie, którzy wkładali kości swoich ojców do wielkiej kamiennej skrzyni i modlili się o ochronę przed olbrzymami, mieli prawo poczuć się rozczarowani, gdy cała ich armia zburzyła stolicę.

Olbrzymy także sobie nie żałowały. Ktoś musiał powiedzieć wielkoludom, czym zajmował się Tuur, ponieważ pozbawioną hełmu głowę biednego boga ozdobił zwój odchodów, który mógł pozostawić tylko olbrzym. Postanowiłem, że jeśli uda mi się zejść na ziemię, znajdę coś do pisania i dodam podpis „zew naTuury” oraz strzałkę wskazującą śmierdzącą materię. Na samą myśl o tym zachichotałem. Przywódca stada psów krążył z frustracją, widząc, że jestem poza jego zasięgiem. Zaszczekał nisko, a ja mu odszczeknąłem. Nie wiem, co powiedziałem, ale być może coś o jego matce, bo zaczął warczeć.

– Nie bierz tego do siebie – rzekłem, pokonując skokiem sześć stóp oddzielające tyłek Tuura od jego pleców i ramion. – Jestem pewien, że twoje siostry też mają pchły w piczkach.

Ponownie zaszczekał.

Odpowiedziałem szczeknięciem. Nasza rozmowa mogłaby trwać aż do zmroku, gdyby nie pojawiły się dzieci.

Z jednej z bocznych uliczek, które łączyły się z placem jak szprychy z piastą, usłyszałem gwizd. Psy podniosły głowy. Nagle pojawił się tłumek dzieci, nieco mniej wychudzonych i zdesperowanych, które zaczęły pokrzykiwać i ciskać w psy kawałkami gruzu z ulicy. Małe dranie potrafiły rzucać. Po kilku niemrawych atakach na nowo przybyłych psy postanowiły poszukać szczęścia gdzieś indziej i odbiegły z godnością wzdłuż jednej ze szprych ulicznego koła. Ta scena była tak zabawna, że na chwilę zapomniałem, że jestem kimś więcej niż widzem. Powiniennem być odbiec jedną z pozostałych uliczek, by dzieci mnie nie otoczyły, ale zanim na to wpadłem, były już zbyt blisko.

Stały pod miejscem, w którym przycupnąłem, i podniosły ręce, wypowiadając gunnickie słowa oznaczające „pieniądze” i „jedzenie”. Pokazałem im miedzianą strużynę, a one zawołały: „*Je! Je!*”, więc rzuciłem im pół tuzina monet, ale dzieci natychmiast je schowały i wciąż powtarzały: „*Igeldi! Esnok!*”. Pomyślałem, żeby postraszyć je strzałą, ale byłoby mi niemal tak samo szkoda postrzelić dzieciaka jak psa. Poza tym perspektywa bycia obrzuconym kawałkami cegieł wydawała się mało kusząca.

Nagle doznałem olśnienia i zawołałem: „*Ürmehen!*”, co je powstrzymało. Zmieniłem to słowo w pytanie: „*Ürmehen?*” i wskazałem kilka różnych uliczek. Dzieci zaczęły między sobą rozmawiać. Wyglądało na to, że dowodzi nimi rudzielec z podbitym okiem i paskudną krótką włócznią. Powiedział: „*Coś tam, coś tam, coś tam, Ürmehen?*”, a ja wywnioskowałem, że spytał: „*Dlaczego interesuje cię Ürmehen?*” albo: „*Co mi dasz, jeśli pokażę ci, gdzie jest Ürmehen?*”, więc podniosłem srebrną sówkę i powiedziałem *je*, co brzmiało na tyle podobnie do norholtyjskiego *yae*, że musiało znaczyć „tak”.

Przywódca zaczął się wspinać, ale nie wiem, co by się stało, gdyby dotarł na górę, ponieważ nagle zabrzmiał dźwięk rogu. To był naprawdę potężny dźwięk, od którego kurczyły się jądra i grzechotały zęby. Mniejsze dzieci uciekły, ale najbliżsi pomocnicy rudzielca zostali przy swoim przywódcy, który przestał się wspinać i tylko natarczywie wyciągał rękę. Róg ponownie się odezwał, a ja poczułem to w mostku. Coś ogromnego nadchodziło ulicą, stawiając wielkie kroki. Rudzielec i ja popatrzyliśmy wytrzeszczonymi oczami w ciemność, a potem chłopak przeniósł wzrok na mnie i skierował w moim kierunku pustą dłoń. Był nieco bardziej chciwy niż wystraszony, co doskonale rozumiałem.

Jego kompani szarpali go za rękawy, ale nie zamierzał odejść, dopóki nie zapłacę mu myta za bezpieczne opuszczenie placu. Musiałem przyznać, że mały kłak miał jaja. Rzuciłem mu sówkę. Chwycił ją i uciekł w ślad za pozostałymi. Kiedy róg znów się odezwał, wpadło mi do głowy, żeby przestrzelić dzieciakowi udo i zabrać upuszczoną monetę. Byłem pewien, że jego towarzysze by mu nie pomogli, skoro olbrzym był tak blisko, a pewnie nawet nie zauważyliby, co się stało, ale ostatecznie nie strzeliłem. Prawie mi się spodobał. Później ucieszyłem się ze swojej szczodrości. Prawie. Ale na razie zszedłem z posągu i schowałem się za dupskiem Tuura, wypatrując tego, co nadchodziło ulicą.

Ulice prowadzące na plac ze świątynią Tuura, który jakiś geniusz nazwał Placem Świątynnym, jeśli wierzyć tabliczkom, były ulicami handlowymi, tak gęsto zabudowanymi, że mieszkania znajdujące się ponad sklepami po przeciwległych stronach niemal stykały się ze sobą, rzucając cień na bruk. Na ulicy zwanej Aleją Męczennika zobaczyłem pokrytą pyłem ciemną postać, wysoką na piętnaście stóp, która schyliła się pod jednym z balkonów. Ale to nie olbrzym pierwszy wyszedł na plac. Poprzedziło go sześciu ludzi z obrożami na szyjach, którzy wypadli na słońce rozświetlające ich bladą, północną skórę. Po nich pojawiła się ogromna pięść zaciśnięta na linach przymocowanych do obroży, kierująca ludźmi, tak jak dłoń myśliwego kieruje stadem ogarów na smyczy. Następnie na plac wkroczył sam olbrzym. Po raz pierwszy zobaczyłem jakiegoś na własne oczy, nie licząc rozmazanych obrazów, które pokazała mi moneta świadka.

– Fothannonie, rozwesel moje usta – poprosiłem bezgłośnie, czując, jak wzbiera we mnie panika.

Kolejne dwa olbrzymy szły za pierwszym; jeden niósł róg pochodzący od jakiejś bestii o niewiarygodnych rozmiarach – zapewne górskiego wołu mieszkającego na ziemiach olbrzymów za Górami Niewolniczymi.

Olbrzymy nosiły nagolenniki z kości i skór, które chroniły ich łydki, oraz spódniczki do kolan obwieszane paskami z brązu. Potężne skórzane pasy grube na dwa cale, również wzmocnione kością, sięgały im niemal do piersi i wybrzuszały się na środku, by osłaniać kałdun. Nie miały na sobie koszul ani kolczug. Z przekłutych sutków przywódcy zwisały brązowe pierścienie, niczym kołatki na domach bogaczy, a powyżej widniały tatuaże w kształcie oczu. Niewyraźne, niebieskie wzory pokrywały ich muskularne ręce, a z głów zwisały splecione loki. Później dowiedziałem się, że wskazywało to na ich przynależność do niższej kasty; tylko elity posiadały grzebienie z kości górskiego wołu, a olbrzymy, które widziałem przed sobą, nie miały prawa się czesać.

Chociaż byłem przerażony, zachowałem na tyle przytomności umysłu, by zauważyć, że pancerze chroniły olbrzymy w miejscach, których z łatwością mogła osiągnąć ludzka broń – nie mogłem sobie wyobrazić przebicia włócznią lub mieczem tych nagolenników albo pasów. Później

miałem zobaczyć ogromne wiklinowe tarcze, którymi osłaniali się przed strzałami, uplecione przez ludzkich niewolników, ale ta grupa nie była wyposażona do walki. Wędrowała po ulicach w poszukiwaniu rozrywki. Co gorsze, olbrzymy były pijane. Prowadziły ludzi jak psy na smyczy i właśnie w taki sposób plądrowały miasto. Same były za duże, żeby wchodzić do wciąż stojących budynków, więc posyłały do środka jeńców, którzy szukali złota, srebra lub innych ludzi.

Psiakrew, znów to zrobiłem. Za długo się gapilem. Puściłem się biegiem. Olbrzym mnie zobaczył i warknął chrapliwie coś, co brzmiało jak: „Goń!”. Ale nie znałem mowy olbrzymów, a przynajmniej tak sądziłem. Wielkolud spuścił dwoje ludzi ze smyczy. Jego pijany kompan ponownie zadał w róg, a drugi się roześmiał. Wpadłem w jedną z uliczek, a potem odwróciłem się z łukiem w gotowości. Biegący ludzie zobaczyli, że naciągam cięciwę, ale i tak mknęli w moją stronę z przymkniętymi oczami, przestraszeni tym, co mogę im zrobić, ale jeszcze bardziej przerażeni tym, co znajdowało się za nimi. Trafiłem pierwszego w pachwinę, a on upadł i podciął drugiego. Olbrzymy spuściły ze smyczy kolejnych dwóch niewolników, ogłuszająco przy tym wrzeszcząc, zapewne wściekłe, że zabiłem jednego z ich tresowanych pupili.

Uświadomiłem sobie, że pobiegłem tą samą uliczką co dzieci. Czy to było zaledwie przed chwilą? Miałem wrażenie, że minęło pół dnia. Uliczka była za wąska dla olbrzymów i zbyt zaśmiecona, by ludzie mogli nią swobodnie biec. Schylałem się, skakałem i ślizgałem, trzymając w jednej ręce łuk ze strzałą między palcami. Kolejne ludzkie ogary pobiegły uliczką – były szybkie, niewątpliwie wybrane ze względu na talent do biegania. Jeden coś do mnie zawołał, a ja miałem wrażenie, że powiedział „stój” po galtyjsku, ale to było mało prawdopodobne. Odkrzyknąłem: „Wybacz, kolego” i strzeliłem mu w oko.

Znalazłem się na ulicy, przy której zawałiła się większość budynków, przez co byłem za słabo osłonięty. Dostrzegłem pęknięcie w ulicy, a potem przyjrzałem mu się z bliska.

Kanały!

Pobiegłem w ich stronę, zatrzymując się na chwilę, by dźgnąć nożem ludzkiego ogara, który próbował mnie przewrócić. Zrobiłem to sprytnie, ukrywając Palthrę przed sobą, gdzie jej nie wiedział. Potem usunąłem się w lewo i uderzyłem ostrzem w dół i w prawo. To bardzo popularna technika w Gildii, jedna z pierwszych, jakich uczą w Niskiej Szkole, ponieważ jest skuteczna. Mężczyzna stęknął, ale nóż ugrzązł w jego ciele. Zgiął się w pół i upadł na bok, już nie przejmując się mną ani swoimi olbrzymimi panami, z których jeden wyłonił się pijackim krokiem zza rogu i niechlujnie zadał w róg. Nie miałem zamiaru wejść do kanałów w obcym mieście bez tego sztyletu. Dźgnąłem faceta kciukiem w oko, a kiedy uniósł zakrwawione dłonie do twarzy, wyrwałem Palthrę z jego brzucha i bez wycierania ostrza schowałem ją do pochwy. Tak, wiem, jestem draniem, ale ciekawe, czy wy bylibyście mili, gdyby wasz najlepszy nóż tkwił po rękojeść w jakimś skurwielu i deptały wam po piętach trzy olbrzymy oraz ich niewolnicy.

Chwyliłem żelazne kółko i szarpnąłem kamienną pokrywę kanału. Z trudem zdołałem ją przesunąć. Olbrzymia dzieliła ode mnie niecałe czterdzieści jardów, a niewolnicy byli jeszcze bliżej. Wskoczyłem do otworu, trzymając nad głową łuk, nie wiedząc, jak głęboko spadnę i na czym wyląduję. Okazało się, że dno znajdowało się zaledwie dziesięć stóp niżej. Upadłem na suchy, cuchnący kamień; coś w rodzaju podestu, z którego prowadziły w dół ledwie widoczne schody. Pokonałem pierwsze dziesięć stopni i dotarłem na kolejny podest. Podniosłem wzrok na prostokąt nieba i zobaczyłem trzech niewolników, którzy mnie sobie pokazywali. Robili to tylko przez chwilę, ponieważ potem zostali brutalnie szarpnięci do tyłu, a potężna głowa i ramiona przesłoniły słońce. Popatrzyłem w dół, ale już nie widziałem, gdzie zaczynają się kolejne schody, więc wypuściłem strzałę w miejsce, w którym przed chwilą znajdowało się słońce, i usłyszałem wrzask olbrzymia. Prostokąt słonecznego blasku znów się pojawił, jak za sprawą czarów. Pośpiesznie zbiegłem po schodach w tej samej chwili, w której olbrzym cisnął we mnie martwym ludzkim ogarem. Jedna z nóg trupa trafiła mnie w ramię i prawie przewróciła, ale jestem zwinny, dzięki Fothannonowi.

Nic nie zakłóciło mojego zejścia do piekła.

Wyprostowany Człowiek

Widywałem gorsze kanały niż te pod Hravą. Wolałbym zjeść stopę nieboszczyka, niż ponownie zejść pod ziemię w Pigdenay, co musieliśmy robić kilkakrotnie podczas nauki w Niskiej Szkole. A jak było w Hravie? Zimno, tak samo jak w Pigdenay, co jest pożądane w przypadku kanałów, lecz Pigdenay wybudowano pięćset lat wcześniej. Nie licząc faktu, że kanały znacznie dłużej zbierały brudy i zdążyły popaść w ruinę, sztuka budowy tuneli dla gówna znacznie się rozwinęła od czasu, gdy dzicy gunniccy wodzowie postanowili, że oni też chcą mieć miasta, w górach pomiędzy rzeką a jeziorem.

Te kanały były dosyć szerokie i, dzięki gwałtownej depopulacji, mniej zasrane. Przynajmniej nie było w nich aż tyle świeżego gówna, a to zawsze coś. Oczywiście nie zamierzałem rozbić tutaj namiotu i odbierać poczty, ale po prostu nie było tragicznie. Z tego powodu kanały cieszyły się sporą popularnością. Wielu mieszkańców miasta zginęło podczas ataku olbrzymów, a jeszcze liczniejsza grupa uciekła na pustkowia, ale teraz uświadomiłem sobie, że dziesiąta część miasta zeszła pod ziemię.

Zresztą kto mógłby mieć im to za złe? Olbrzymy to nie przelewki. Jakim cudem armie ludzi miały się im przeciwstawić? Przydałyby się nam piki o długości piętnastu stóp, ale założę się, że deszcz dwudziestofuntowych kamieni szybko rozbiłby każdą falangę. Dziesięć tysięcy łuków strzelających zatrutymi strzałami mogłoby coś zdziałać, ale skoro ludzie potrafili ustawić ścianę tarcz, to olbrzymy również mogły to zrobić. Poza tym jak długo łucznicy byliby w stanie mocno stać na nogach i zachować suche obuwie, widząc zbliżającą się ku nim wysoką na dziesięć stóp ścianę tarcz? Te stwory potrafiły się ruszać; pod warstwą tłuszczu miały mnóstwo mięśni, a chociaż ich kroki wyglądały na ociężałe, wszystko było kwestią skali – wystarczyło kilka susów i były po drugiej stronie pola. Teraz lepiej rozumiałem Galwę i jej niespokojne sny o goblinach – również spodziewałem się koszmarów z goblinami, które spotkaliśmy na wyspie, ale wiedziałem, że tym bardziej będę słyszał we śnie grzmot kroków i dźwięk myśliwskiego rogu oraz widział ludzi trzymanyh na smyczach jak psy i ich panów rzucających długie cienie.

Hrava zmieniła się w miasto długich cieni.

W odległości stu kroków od wejścia napotkałem zwykłych ludzi, którzy próbowali radzić sobie najlepiej jak mogli bez słońca i świeżego powietrza. Zobaczyłem matkę karmiącą niemowlę na podeście z kawałków drewna oraz dwóch przygnębionych brodatych mężczyzn podpierających się włóczniami. Dwudziestka smutnych drani kuliła się wokół dymiącej łojowej lampy, a jeden z nich czytał na głos gunnicką sagę o innej wojnie z olbrzymami, którą ludzie wygrali siedemset lat wcześniej i przepędzili swoich wrogów za Góry Niewolnicze. Widziałem na ich oświetlanych blaskiem ognia twarzach, że uważali te opowieści za bajki – olbrzymy, które ostatnio spotkali, były gorsze niż te w księgach. Minąłem kilka grup, które porozwieszały futra i płachty płótna żaglowego, by oddzielić swoje postania i wychodki od sąsiadów, ale większość ludzi żyła na otwartej przestrzeni. Niewiele osób choćby zerknęło na mnie z ukosa, gdy przechodziłem. Starąłem się wyglądać na nieszkodliwego.

Na skrzyżowaniu kilku tuneli natrafiłem na dużą kamienną komnatę, która pełniła rolę rynku. Nieliczne pochodnie na ścianach i starannie osłaniane świece rzucały słaby, migoczący pomarańczowy blask. Na środku pomieszczenia, gdzie było sucho, ludzie rozłożyli szmaty, a nawet rozstawili chwiejne stoliki, przy których sprzedawali sprzączki od pasków i kawałki skóry, opał i przemoczone tkaniny. Handlarka świecami uzbrojona w topór i bardzo chudego psa na smyczy rozłożyła przed sobą kilka tuzinów woskowych świec, za które trzeba było zapłacić srebrem.

Największy tłum przyciągnął stolik grupki myśliwych, którzy właśnie wrócili z polowania z kilkoma kaczkami, jeleniem, królikami oraz skrzyneczką pełną słomy i jajek. Myśliwymi były kobiety o wyglądzie królewskich lenniczek, surowych gunnickich szlachcianek, które przez swój lud były traktowane jak rycerze w Holcie. Przejście przez głodujące miasto ze świeżą zdobyczą wymagało dobrego miecza i nie lada reputacji.

Widziałem, że klienci otaczający ich stolik mieli na sobie ubrania z brudnego aksamitu i dobrej jakości skóry, a nie wełny i konopnych włókien. Ludzie zaczęli wykrzykiwać ceny, próbując przelicytować się nawzajem. Wybuchła drobna szamotanina, którą szybko zażegnano, i po chwili dostrzegłem błysk złota, które trafiło do ręki łowczyni w zamian za kaczkę. Zobaczyłem, jak miecz rodem z legend, wykuty jakieś dwieście lat temu, pokryty runami i delikatnie brzęczący od wypełniającej go magii trafił do myśliwych, a płaczący mężczyzna otoczony hordą dzieci i kilkoma kobietami otrzymał w zamian jelenia. W ciągu kwadransa zniknęło ostatnie jajko, za które zapłacono tyle, ile za noc w najlepszej tawernie. Myśliwe napiły się z bukłaka wypełnionego jakimś owocowym trunkiem i ponownie ruszyły w drogę, by unikać wielkoludów i tropić kolejnego bezcennego jelenia.

Zobaczyłem wiadro ze strzałami na sprzedaż; miały różne rozmiary i niektóre zapewne idealnie nadawały się do mojego łuku. Właśnie miałem spytać naznaczonego znamieniem syna wytwórcy o cenę, gdy poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciłem się i cofnąłem o krok, na wypadek

gdyby nieznajomy w drugiej ręce trzymał sztylet, i wpadłem na kolejną osobę, która chwyciła mnie za pas. Zakryłem swój nóż, żeby nikt nie wyszarpnął mi go z pochwy, a potem ich zobaczyłem. Rudzielec i ciemnowłosy chłopak, który towarzyszył mu przy powalonym posągu Tuura. Podniósł otwartą dłoń, dając znak: „Spokojnie, nie chcemy się bić”, a ja rozluźniłem dłoń na nożu, ale jej nie odsunąłem.

Zerknąłem na chłopaka, który trzymał mnie za pas, a on zwolnił uchwyt, ale kolejnych dwóch małych uliczników stanęło za jego plecami. Popatrzyłem na rudzielca. Powiedział: „Ürmehen” i skinął głową w głąb tunelu, który przypominał ziewające usta wypełnione czernią. „Ürmehen, je”, odpowiedziałem. Wchodząc do tunelu razem z chłopcami, sprawdziłem swój zapas szczęścia, które było na normalnym poziomie. Nie czekała mnie natychmiastowa tragedia, a jeśli nawet, to miałem niezłe szanse, by jej uniknąć.

Ürmehen był pierwszym Wyprostowanym Człowiekiem, z jakim miałem do czynienia, głową przestępczej grupy, która nie służyła Gildii. Pod tym względem był reliktem dawnych czasów – eksponatem muzealnym, który pokazywał, jak wyglądała przestępczość, zanim Gildia zbudowała we wszystkich miastach Domy Wisielca i obsadziła każdy z nich Problemem, podlegającymi mu trzema Troskami, a także licznymi Kpiarzami, Faunami, Posłańcami oraz armią Strachów na Wróble, a czasem także Głodującymi. Nie wspominając o skrytobójcach.

Ale wszystko się zmieniło, gdy król Hagli oraz jego nowa ispanthiańska żona Mireya dziesięć lat temu wyrzucili Gildię z Rubieży. Jakim cudem uszło im to na sucho? Dlaczego żaden skrytobójca ich nie otrął ani nie wypatroszył? To było pytanie na inną okazję. Teraz wkroczyłem do omszałego korytarza, który zmieniono w coś w rodzaju tawerny połączonej z browarem. Zobaczyłem szyld, na którym widniał napis po gunnicku: „Krypta Robaków”.

Uprawiano tutaj wiedźmech, rzadko spotykane fosforyzujące porosty, które rosną niemal wyłącznie w jaskiniach na dalekiej północy. Pokrywały ściany sali nierównymi smugami przypominającymi rozpalone węgle. W jednym z kątów po przeciwnej stronie zobaczyłem chłopców i dziewczęta, którzy podsycali ogień pod kipiącym kotłem. Zobaczyłem bar z desek ułożonych na głowach rozbitych posągów oraz świece migoczące w ich pustych ustach i oczodołach. Za barem świeciły prawdziwe lampy tranowe, a dawni bogacze pili prawdziwe piwo nalewane przez surowego, przypominającego świnię dwudziestolatka z nieładną bródką opasującą podbródek. Ktoś, kto nosi taki zarost, mówi wprost: „Nie mam nadziei, że uda mi się zaliczyć, ale nie spodoba ci się to, co się stanie, jeśli mnie uderzysz”.

Lampy świeciły także za czymś w rodzaju tronu zbudowanego z beczek, na którym siedział trzydziestoletni mężczyzna w pasiastym południowym stroju z kocich skórek. Mniej więcej dwunastoletnia dziewczynka masowała mu bosc stopy i nacierała je drogim olejkiem. Na niewielkim stole po jego lewej stronie znajdowały się imponująca sterta monet, butelka gallardiańskiego wina, kilka książek oraz, jeśli się nie myliłem, talia do gry w Wieże. Dwójka silnych nastolatków w kolczugach stała w pobliżu z bojowymi kuszami i krótkimi włóczniami. Dzieci, które mnie przyprowadziły, padły na kolana i pociągnęły mnie za rękaw, abym zrobił to samo.

– *Tou esc Gallard?* – spytał mężczyzna na prowizorycznym tronie.

– *Nou, mesc iei lei paurel am puel* – odpowiedziałem.

Wziął mnie za Gallardianina! Chociaż miało to sens, ponieważ dałem chłopakowi sówkę. Odpędził dziewczynkę masującą mu stopy i nachylił się w moją stronę.

– Jesteś Holtyjczykiem? – odezwał się ze śpiewnym gunnickim akcentem, ale tak naprawdę chciał tylko, żebym ponownie otworzył usta.

– Technicznie rzecz biorąc – odpowiedziałem, a on natychmiast dostrzegł mój czarny język.

– Galt! – syknął.

– Owszem, to ja – przyznałem.

– Jesteś bardzo daleko od domu.

– Prawda.

Pomasował się po brodzie i uśmiechnął radośnie.

– Jeszcze nigdy nie zerznąłem Galta.

To nieco zbiło mnie z tropu, ale starałem się tego nie okazać.

– No cóż, jeśli moja kuzynka-dziwka nie podążyła tutaj za mną, raczej prędko się to nie stanie – odrzekłem. – Chyba że lubisz zimne mięso – dodałem, przesuwając kciukiem po swojej szyi i zamykając oczy, odgrywając poderżnięcie gardła.

Przez chwilę zastanawiał się nad znaczeniem moich słów, a potem głośno się roześmiał, ukazując zdrowe zęby. Kilku lizusów stojących w pobliżu także parsknęło śmiechem, chociaż wątpię, by mieli choćby blade pojęcie, co powiedziałem.

– Chyba mi się podobasz – rzekł mężczyzna. – Dobrze strzelasz z łuku. Bardzo dobrze. Zabiłeś dwóch *Jetenhunden*. Może trzech? *Je?*

– Trzech, ale jednego nożem.

– Nawet lepiej – ucieszył się i zerknął na Palthre tkwiącą w pochwie ozdobionej symbolem róży. – Mogę zobaczyć to ostrze? – spytał, a ja wysunąłem nóż, ale tylko częściowo, aby nie zobaczył wzoru metalu popiołów.

– Dobry nóż – rzekł. – Magiczny?

– Nie, ale nie chciałbyś zobaczyć, jak się nim posługuję.

To mu się spodobało.

– Ha! *Je*, dobry wojownik. Ale może nieco gorszy złodziej? Jesteś winny pieniądze Gildii? – spytał, wskazując na mój policzek. Zamierzał dać mi po twarzy? Dobrać się do tyłka? Tak czy inaczej, pieprzyć go, byłem całkiem niezłym złodziejem.

– Jestem dobrym złodziejem – odparłem. – Dostyc dobrym.

– Być może – odrzekł. – I być może ja też. Więc czego ode mnie chcesz, skoro rozpytujesz o mnie na Placu Świątynnym? Janliff powiedział, że dałeś mu cenną monetę, żeby się ze mną zobaczyć.

– Możemy o tym porozmawiać na osobności?

– Nie. Wszyscy tutaj są mi wierni.

– W porządku. Słyszałem, że król nie żyje.

– Wszyscy o tym wiedzą. Naraził się waszej Gildii, a ona wywołała wojnę z olbrzymami, wysyłając do nich ludzi ubranych jak mieszkańcy Rubieży.

Opadła mi szczęka.

– Ach, nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Wiele osób spoza Hrawy tego nie wie, ale to prawda. Król Hagli odesłał Gildię, to powszechnie znany fakt. Nie mogli go zabić, więc czy to dziwne, że wysłali do niego rozwścieczone olbrzymy? Twoja Gildia tak właśnie działa. Zawsze grają po to, by wygrać.

– Dlaczego nie mogli zabić króla?

– Ponieważ chroni go królowa.

– Jak to?

– Ona jest jak Królowa w Wieżach – odrzekł, wskazując talię. – Znajduje zdrajców. Przynajmniej większość z nich.

– Ale jak?

Uśmiechnął się i pokręcił głową, jakbym wolno kojarzył fakty. Może miał rację.

– Mówiłem o królu Haglim. Poprowadził swoich najlepszych żołnierzy do walki nad kanałem i tam poległ. Jak w jakiejś sadze, tylko ze smutnym zakończeniem. Dla niego, ale nie dla nas. Teraz mamy monopol na piwo. Jacyś browarnicy próbowali warzyć tutaj piwo, zmusiliśmy ich, żeby nas tego nauczyli, i odebraliśmy im to miejsce. Każdy poza nami, kto próbuje warzyć piwo, kończy w płomieniach. To najlepszy interes w mieście, nie licząc polowań, lepszy niż plądrowanie domów, w których już nic nie zostało.

– A królowa? Gdzie ona jest?

– Tego nikt nie wie.

– Nikt?

– A przynajmniej nikt nie chce powiedzieć. – Uśmiechnął się szelmowsko.

– Ile będzie mnie kosztowała ta wiedza?

Popatrzył na stertę złota obok siebie.

– Mam więcej złota, niż mogę tutaj wydać.

Zerknąłem na jego stół.

– Umiesz czarować? – spytał.

Popatrzyłem na pierścień na jego palcu, wykonany z białego złota, który niemal pulsował od jakiegoś potężnego zaklęcia, które w niego wtłoczono.

– Trochę, ale nie mam broni ani pierścieni.

– Szkoda.

– Mogę ci przynieść pierścień, który wystrzeliwuje błyskawice.

– Ile błyskawic?

– Jedną.

– Pfff.

– A czego być chciał?

– Już powiedziałem.

– Kiedy.

– Wczeeeśniej – odrzekł, przeciągając to słowo, a jego oczy niecierpliwie rozbłyły.

O zaraza.

– Myślałem, że żartujesz.

– Tak i nie. Musisz wiedzieć, że zawsze dotrzymuję słowa. Janliff dostał monetę za możliwość spotkania, więc się spotkaliśmy. Nie musiałem tego robić. Jeśli się ze mną prześpisz, powiem ci w zaufaniu, co się stało z ispanthiańską królową. Chyba że przyjdzie twoja kuzynka. Jeśli jest ładna i ma czarny język, mogę ją zerznąć zamiast ciebie. Dla mnie to bez różnicy. Wszyscy, których tu widziałeś, byli moimi kochankami. Nie licząc barmana. Straszny brzydał. Ale dobrze walczy. Może pewnego dnia wypiję na tyle dużo, żeby jego też przelecieć. *Hä, Keln? Je?*

Keln odpowiedział „*Je*”, a potem siorbnął nieco piany z piwa ponad swoją bródką.

– Nie mówi po holtyjsku – rzekł Ürmehen.

Takie już mam szczęście. Jedyne człowiek w Hravie, który może mi powiedzieć, co się stało z królową Mireyą, jest zbyt bogaty, żebym mógł go przekupić, ale za to różnie się ze wszystkim, co się rusza, a szczególnie upodobał sobie Galtów. Przyznam, że brałem to pod uwagę. Nie gustuję w facetach, ale w Niskiej Szkole każdy musiał pójść do łóżka z jednym albo dwoma nauczycielami – chcieli, żebyśmy byli gotowi na wszystko, by zdobyć zaliczenie. Na wszystko. A jeśli jedynym wyjściem był kutas w dupie, to trudno. Niech wam się nie wydaje, że życie złodzieja to same przyjemności.

Czekał na odpowiedź. Uśmiechnąłem się wstydliwie, jakbym się zastanawiał, ale zamiast tego myślałem: „Fothannonie, dodaj mi sprytu”. W mojej głowie pojawił się mężczyzna z głową lisa i odpowiedział: „Dobrze, ale pod warunkiem, że mnie przelecisz”, po czym roześmiał się i oddalił tanecznym krokiem, trzymając kity w zębach. Oto mój bóg. Ürmehen właśnie miał się odezwać i zapewne wyrazić swoje niezadowolenie

ze zwłoki, gdy nagle popatrzyłem na jego stolik i doznałem olśnienia. Moje serce rozgrzała przepowiednia szczęścia. Uśmiechnąłem się szelmowsko.

– Mam propozycję. Może zamiast wymiany zdecydujemy się na mały zakład?

– Tak?

– Zagram z tobą w Wieże.

Przez chwilę siedział nieruchomo jak kamień.

Potem popatrzył na swoją talię kart i znów przeniósł wzrok na mnie.

– Ha! Mówiłem, że mi się podobasz! Umowa stoi... ale *varatt!* – rzekł. – Uważaj! Prawie nigdy nie przegrywam w Wieże.

Oto prawdziwa historia tego, jak dziesiątego dnia Winnic zagrałem w karty o swoją dupę w kanałach pod armią zabójczych olbrzymów na samym szczycie popapranego świata.

Wieże

Wieże to bezwzględna gra. Niektórzy nazywają ją Złodziejami i Wieżami, inni Wieżami Zdrajcy. W talii jest sześćdziesiąt kart, w tym Łucznicy, Saperzy i Złodziej (Służący), Żołnierze, Królowe i Królowie oraz, oczywiście, Wieże (Mistrzowie). Najsilniejszymi kartami są Losy – jedna Śmierć, zwana także Plagą, oraz jeden Zdrajca. Niektóre talie, nazywane taliami Mouray, od jednego z miast w Gallardii, zawierają także kartę Lekarza, który może powstrzymać Śmierć, ale purystom to się nie podoba. Uważają to za mało realistyczne. W końcu Śmierć zawsze wygrywa, prawda? Na dworach spotyka się ładniejsze talie Mouray. W tawernie lepiej mieć przy sobie talię Lamnur z Holtu. Rysunki nie są aż tak udane – Złodziej jest tylko naszkicowany, do kurwy nędzy! – ale rozgrywka jest brutalniejsza. Mniej Monet, więcej Pszczół i Łuczników. Pszczoły i Monety to karty Zaso-bów – potrzebne do karmienia Mistrzów. Nie będę was zanudzał dokładnymi zasadami; zapamiętajcie tylko, że Wieże to wojna toczona na stole, która wysysa pieniądze z sakiewki szybciej niż ladacznica z dwiema piczkami. Przez tę grę wybucha więcej konfliktów niż przez religię i politykę razem wzięte. Poza tym bardzo uzależnia.

Postanowiliśmy zacząć z równą pulą, a zwycięzcą miał zostać ten, kto będzie miał więcej pieniędzy na końcu Gry, składającej się z trzech rund zwanych Turniejami – podczas których walczy się o pozycję i zachowuje karty na finał – oraz rundy Wojny, kiedy rozpoczyna się prawdziwa walka.

Ürmehen kazał przynieść specjalny stół zrobiony z pnia potężnego drzewa, które jakimś cudem wyrosło wokół ludzkiego szkieletu. Ścięto je tuż ponad zagłębieniem, w którym martwy człowiek leżał w pozycji płodowej, co upodobiło stół do przekroju łona olbrzymki. Błat wykonano z grubego zielonkawego szkła z Pigdenay, w którym widać było pęcherzyki powietrza.

Używaliśmy mosiężnego kubka do wplacania stawek i miedzianej miski jako Skrzyni Wojennej. Charakterystycznym odgłosem gry w Wieże, który rozbrzmiewa w tawernach, burdelach i klasztorach od Ispanthii po Hravę, jest podwójny brzęk. Kiedy stawiacie pieniądze w Turnieju, taka sama stawka trafia do Skrzyni Wojennej – tam zbiera się pula. Brzęk-brzęk. Strużyna dla ciebie, brzęk-brzęk. Idę do łóżka, do zobaczenia podczas Wojny. Wchodzę za dziesięć, brzęk-brzęk, i jeszcze dziesięć, brzęk-brzęk. Szczęśliwy albo bystry gracz mógł wygrać Turnieje dzięki silnym kartom lub blefowi i zdobyć tyle samo pieniędzy, co zwycięzca Wojny, ale jeśli wygraliście Turnieje, zapewne udało wam się odłożyć dobre karty także na ostatnią rundę. Właśnie dlatego często musiałem uciekać z tawern, by ratować życie. Dzięki swojemu szczęściu zawsze dostaję dobre karty.

Chociaż niekoniecznie te najbardziej oczywiste.

Ürmehen rozdawał jako pierwszy, uśmiechnięty w swoich futrach dzikich kotów, z potarganą kruczoczarną czupryną i uniesionymi brwiami libertyna. Kiedy siedział bliżej, czułem magię bijącą od jego srebrzystego pierścienia w kształcie kota gryzącego własny ogon. Miałem wrażenie, że coś mi on przypomina, ale byłem zbyt skupiony na grze, żeby skojarzyć fakty.

Oto moje pierwsze sześć kart! Dostałem Monetę, dwie Pszczoły, dwóch Złodziei i Saperę. Ürmehen wygrał pokaźną sumkę, a ja mu na to pozwoliłem, ponieważ pasując, tracimy karty.

Miał cztery Pszczoły i dwie Wieże. Mógłbym rozbić Wieżę Saperem i ukraść mu dwie Pszczoły, ale wtedy pozostałaby mu jedna Wieża, a ja nie miałbym Mistrza, by ją pokonać, i zużyłbym wszystkie silne karty. Monety i Pszczoły są nietrwałe, nie można ich zachować. Ale zatrzymałem sobie Złodziei oraz uzbrojonego w łopatę, niszczącego Wieżę Saperę. Mój przeciwnik zachował Wieżę, ponieważ mógł je nakarmić Pszczołami. Służący nie wymagają karmienia. Można powiedzieć, że niższe klasy są specjalistami od przetrwania. Złodziej kradną jedzenie, Saperzy hodują rośliny w ogrodach, Łucznicy polują. A wojska, zamki i monarchowie? To maszyny do jedzenia i wydawania, które na nic się nie dadzą bez złota i miodu.

Podczas drugiego Turnieju wyszedłem w Żołnierza i Saperę, a potem dorzuciłem kolejnego Żołnierza i jedną Wieżę. Nie miałem żadnych Zaso-bów. Ürmehen podejrzewał, że trafiło mi się tak zwane „głodujące rozdanie”. Bezużyteczne, do niczego. Wyszedł w Pszczoły i Żołnierzy, czyli nic imponującego, ale jego karty były nakarmione i gotowe. Potem się wstrzymał, więc wiedziałem, że zachowuje jakąś potężną kartę. Miałem nadzieję, że to nie Zdrajca, ale podejrzewałem, że poczułbym chłód odpływającego szczęścia, gdyby tak było. Intuicja podpowiadała mi, że ma Królową.

Jako przedostatnią kartę rzuciłem Króla i ostro zalicytowałem. Ürmehen jeszcze ostrzej przebił, licząc na to, że wyciągnąłem kartę Śmierci i zdoła zblefować. Jeśli trafi wam się Śmierć, wasza najsilniejsza karta choruje i umiera. Mając Śmierć na ręku, nie można też spasować, dopóki

się jej nie wyłoży. Jeśli zdradzicie się, że ją macie, przeciwnik was ogołoci. Ale jeśli uda wam się skłonić go do spasowania, będziecie mogli zachować Śmierć na Wojnę, a wtedy stanie się ona waszym przyjacielem. Można posłać ją jak strzałę w serce dowolnej karty przeciwnika. A najlepsze w tym ataku jest to, że nie da się go przewidzieć. Wieże to gra polegająca na liczeniu kart, ale zarazem na tyle losowa, że nie można wszystkiego zaplanować.

A zatem odważny Ürmehen, który jednak bał się Śmierci, ostro zaliczył, a kiedy go przebiłem, rzucił Królową. Kiedy pokazałem mu Monetę, która ożywiła mojego Króla oraz Wieżę i dała mi zwycięstwo w tym rozdaniu, wstał i odszedł od stołu, wyrzucając z siebie potok gunnickich klątw, od których zaczerwieniłyby się sam Wolthan. W końcu opanował się i usiadł, a nawet poczęstował mnie piwem. Udało mu się zachować Królową na czas Wojny. Wciąż obaj mieliśmy szanse. Tak zazwyczaj jest, dopóki na stole nie wyląduje ostatnia karta.

Trzeci Turniej padł jego łupem. Srogo zaliczył, a ja mu pozwoliłem, ponieważ miałem dwóch Łuczników i dwóch Saperów i musiałem nimi zagrać, aby ich zachować. Niemal pozbawił mnie pieniędzy, a potem zgarnął Króla – dotychczas tylko ja jednego zachowałem – drugą Królową i trzecią Wieżę. Przystępował do Wojny bogaty jak Stary Kesh, ale ja wciąż czułem, że dopisuje mi szczęście.

Nadszedł czas na rundę Wojny. Ale Ürmehen najpierw poprosił o przerwę. Weszła skrzypaczka, staruszka z długim, cienkim warkoczem owiniętym wokół pasa, i zagrała słodką melodię. Kiedy skończyła, a ja rzuciłem jej miedzianą strużynę, poprosiłem, żeby pozwoliła mi zagrać na jej skrzypcach, podrapanym, ciepłym gunnickim instrumencie, a ona mi je podała.

– Ta piosenka z mojej ojczystej Galtii nosi tytuł „Przegrałem dupę w Wieże i boli mnie, kiedy siedzę w siodle, ale skoro nie mam konia, ty możesz ujeżdżać mój tyłek” – zapowiedziałem, a ci, którzy znali holtyjski, się roześmiali.

Ürmehen przetłumaczył moje słowa i pozostali również zareagowali śmiechem. Zagrałem wesoły utwór. Wtedy gospodarz postanowił przynieść coś mocniejszego i dopiliśmy jego wódkę. Drań zaczynał mi się podobać. Znow zasiedliśmy do gry.

W Wieżach niezwykle ważne jest to, w jaki sposób ukształtujemy swoją talię Wojny. Dysponujemy dziesięcioma kartami, ale nie można zachowywać Monet ani Pszczół, więc trzeba liczyć na to, że się je dobierze. Jeśli zachowacie zbyt wielu Mistrzów, możecie nie zdobyć dla nich wystarczających Zasobów, zwłaszcza jeśli przeciwnik ma Złodziei, a Ürmehen dobrze wiedział, że ich mam. Miał przytłaczającą przewagę, ale nie śmiał jej w pełni wykorzystać. Dlatego, jak się później domyśliłem, poświęcił swoich Żołnierzy, licząc na to, że dobierze Zasoby i mnie pokona. Okazało się, że miał szczęście przy dobieraniu.

Ja również musiałem coś poświęcić. Wiedziałem, że on również ma Króla, i nie mogę pokonać go samymi Mistrzami, a moja pojedyncza Wieża to za mało. Ale zachowałem licznych Służących i to na nich oparłem swoje nadzieje. Odrzuciłem potężnego Króla i Wieżę, czyli „obniżyłem wartość”, co stanowi bardzo ryzykowny ruch.

Przyszła moja kolej na rozdanie, co zapewniało mi przewagę. Bogowie wiedzą, że nie zapewniały mi jej karty. Miałem samych Służących, niemal wszystkich z talii; czterech Złodziei, trzech Saperów i trzech Łuczników – całe szczęście, że nie dobrałem żadnych Pszczół ani Monet, które byłyby dla mnie bezużyteczne. Dupę zaczął od dwóch Królowych i Króla, dwóch Wież, dwóch Pszczół i Monety. Jakby to nie było wystarczająco imponujące, dobrał jeszcze Zdrajcę i Śmierć.

Mógłby mnie pokonać z takimi kartami, gdyby wiedział, co trzymam w ręku, ale w tym cały szkopuł. Ürmehen wyszedł w dwie Pszczoły, a ja zabrałem je Złodziejami. Potem zagrał Królową, którą błyskawicznie zabiłem za pomocą Łuczniaka. Spróbował wyjść w dwie Wieże i sapnął z irytacją, kiedy moi Saperzy je zburzyli, a jednak wciąż miał nadzieję, że mnie zamęczy.

Wyszedł w kolejną Królową, którą zabiłem następnym Łuczniakiem, ale wtedy rzucił kartę Śmierci, która przyniosła Łucznikowi pecha i ocaliła szlachetną damę. Miał teraz na stole Królową, a mnie zostały tylko dwie skradzione Pszczoły. Zagrał Królem. Posłałem do boju kolejnego Łuczniaka, a on niechętnie wykorzystał potężnego Zdrajcę, by mi go odebrać i dołączyć do swojej talii – jestem pewien, że chciał zachować Zdrajcę na Króla, którego według niego posiadałem.

Następnie wyszedł w Monetę, żeby nakarmić swoją Królową, ale wtedy do akcji wkroczył mój podstępny Złodziej, którego on natychmiast uśmiercił odebrany mi Łuczniakiem. Nie można zabić Złodzieja pieprzonym Łuczniakiem, chyba że to jakaś dziwaczna gunnicka zasada, co było bardzo możliwe, ponieważ nikt się nie zdziwił. Zamknąłem usta, jeszcze zanim je otworzyłem, jak mówimy w Galtii, i wziąłem głęboki oddech.

A potem się uśmiechnąłem.

On i tak musiał przegrać.

Miał na stole Króla i Królową oraz Monetę, żeby ich nakarmić. Ale skończyły mu się karty, prawda? Wtedy do ataku ruszył ostatni pierdolony Złodziej w talii, mój Złodziej, ja, żeby podwędzić tę Monetę. A skoro Ürmehen nadal nie miał kart, zagrałem swoim trzecim Saperem, górnikiem pokrytym gównem i piachem. Pszczoły zapewniały mu wiadra miodu, których nie potrzebował, podczas gdy Król i Królowa umierali z głodu na polu bitwy. Gdyby wiedział, że miałem wszystkich czterech Złodziei, mógłby użyć przeciwko nim Śmierci i Zdrajcy i zachować Monetę. Ale zbierał siły na mojego Króla, którego odrzuciłem.

Gra była niezwykle ekscytująca i prawie zapomniałem, że nie byłem bezpieczny, tylko zdany na łaskę człowieka, któremu właśnie spuściłem łomot. Mógłbym mieć nadzieję, że okaże się honorowym przegrany, ale wiedziałem, że ludzie potrafiący godzić się z porażkami nie utrzymują się długo na przywódczych stanowiskach. Pchnąłem w moją stronę miedzianą miskę pełną wojennych łupów, bardziej okazałych niż to, co wygrał podczas Turniejów.

Wszyscy jego ludzie wbijali w niego wzrok, a ja pociłem się w zimnej jaskini.

– A teraz zagramy jeszcze raz – powiedział. – Podwójna stawka albo nic.

Kiedy popatrzyłem na kilkudziesięciu bezwzględnych młodzieńców, którzy bacznie mu się przyglądali, wypatrując choćby najmniejszej oznaki słabości, nawet nie miałem mu tego za złe.

– Tak będzie ucziwie! – odrzekłem z udawanym entuzjazmem i potasowałem karty.

Rozdawałem jako pierwszy.

Oczywiście, że oddałem drugą grę.

Ürmehen spał w naturalnej jaskini przylegającej do kanałów, niewielkiej, ale niemal wolnej od smrodu, chyba że po prostu się przyzwyczailem. Znajdowało się tam prawdziwe łóżko z drewnianą ramą, słomianym materacem i niedźwiedzią skórą. Czaszka niedźwiedzia naznaczona wiedźmchem lśniła w szklanej gablocie. Na środku stały uginający się regał z książkami oraz stojak pełen osobliwych broni. Błękitny gobelin przedstawiał bogatego grubasa w białej szacie udekorowanego złotymi półksiężycami, który trzymał klatkę z pięknym białym ptakiem, prawdopodobnie molro-vską śnieżną kurą. Ürmehen żył w niezdrowym luksusie.

Kiedy wszedłem przez zamykane na rygiel drzwi, a strażnicy z włócznieami zostali na zewnątrz, gotowi na każde zawołanie, zachęcił mnie, abym usiadł na łóżku.

– Miejmy to już za sobą – powiedziałem. – Wiesz, że mi się to nie podoba.

– To ja ci powiem, co ci się podoba! – wrzasnął, ale zaraz przeszedł do szeptu. – Zamknij się, Galcie. Mówiłem, że zawsze dotrzymuję słowa. – Odczekał chwilę, bacznie mi się przyglądając, a potem popatrzył na drzwi. – Teraz wydawaj z siebie takie odgłosy, jakbym cię pieprzył.

Stęknąłem.

– Dobrze, prawie ci uwierzyłem. Jeszcze raz.

Wydałem z siebie długi jęk zakończony okrzykiem.

– Tak! Urodzony aktor! – syknął. – Mógłbyś zarabiać na życie w trupie aktorskiej albo wesołym miasteczku!

Chwycił ramę łóżka i nią potrząsnął.

– Mph! – westchnąłem.

Odczekał jedno uderzenie serca i zrobił to ponownie.

Wypuściłem wstrzymywane powietrze.

– Dobrze! Zupełnie jakbyśmy naprawdę się pieprzyli! – wyszeptał mi prosto w twarz, ziejąc piwem i wódką.

– Nie podniecaj się – odpowiedziałem.

Zobaczyłem, że spod koszuli wysunął mu się wisiorek z lisem.

– Fothannon?

– Tak. Tutaj nazywamy go Reffrą, ale to on. Wódz złodziei. Mój prawdziwy bóg, nie jakiś jebany Wolthan albo, co gorsza, to pośmiewisko Tuur, który nas zawiódł. Może widziałeś fiuty, które na nim narysowałem.

– Tak. Dobra robota. Jak prawdziwe.

Roześmiał się, zadowolony z siebie. Brzmiało to jak pisk lisa.

– Jesteś gotowy? – spytał.

– Eee... na co?

– Mieliśmy tutaj królową. Trzymaliśmy ją prawie przez miesiąc. Porwaliśmy ją po śmierci króla, licząc na okup od Ispanthii. Wysłali po nią wojsko. Gdyby udało nam się na nich zaczekać, zapłaciliby złotem. Ale nie było łatwo ją tu utrzymać, choć myślę, że bóg intryg wolałby, abym nie mówił ci dlaczego. Twoja Gildia też nie wiedziała, że ją miałem, nawet ich kupiec i tłusty czarownik ani zabójcy na Łysej Wyspie. Ale w końcu się dowiedzieli. Nie jestem aż tak potężny, żeby obronić się przed ich skrytobójcami, więc zgodziłem się im ją sprzedać. Pełnemu Cieniowi. Dał mi pieniądze, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. Dał mi pierścień, który pozwala mi spadać jak kot. Skok z trzeciego piętra jest igraszką.

Pierścień Kocięgo Upadku.

A kiedy powiedział mi już wszystko, co zamierzał, pocałował mnie niewinnie w czoło. Potem wyprowadził mnie z komnaty, zachowując się tak, jakby solidnie przeczyścił mi komin.

Ale tego nie zrobił.

Dotrzymał danego słowa.

Nie ośmielił się.

Pewnie bał się, że go zabiję.

Więc tego nie zrobił.

Ani trochę.

A jeśli w to wierzycie, zazdrozczę wam życia, które do tej pory wiedliście.

Dopiero kiedy oddaliłem się od leża współwyznawcy lisa, wyplułem na dłoń jego pierścień Kocięgo Upadku i schowałem go do sakiewki.

Za fałszywą ścianą

Gwiazdy migotały nad moją głową. Mrużyłem oczy jak kret, mając nadzieję, że nie otworzę kamiennej pokrywy tuż obok pięty wielkoluda, który nadeptnie na mnie, gdy będę wychodził. Kiedy wyślizgnąłem się na ulicę, moje ciało się napięło, spodziewając się zmiżdżenia. Ale nie czekał na mnie żaden olbrzym, więc przemknąłem z ciemności kanału do ciemności domu i nie zobaczył mnie nikt poza gwiazdami.

Ürmehen powiedział, że właśnie do tego domu Pełny Cień zabrał królową po tym, jak ją kupił. Perspektywa spotkania z Pełnym Cieniem przerażała mnie bardziej niż zdeptanie przez olbrzyma. To drugie przynajmniej byłoby szybkie. Nie potrafiłem ani nie chciałem wyobrazić sobie okrucieństw, jakie by mnie spotkały, gdybym dał się tutaj złapać.

Ale szczęście mi dopisywało i dom okazał się pusty. To był wąski, trzypiętrowy budynek z białawej cegły z łukowato sklepionymi przejściami i ścianami pełnymi gwoździ pozostałych po kunsztownych gobelinach, które sprzedawał handlarz. W domu brakowało jednej ściany i wydawało się, że może go przewrócić byle podmuch. Trzymał się kurczowo sąsiednich budynków, które były w nieco lepszym stanie. Drewnianą posadzkę na parterze pokrywał dziwny cuchnący smar. Później dowiedziałem się, że to był ludzki tłuszcz.

Przeszukałem otwartą piwnicę. Wyczułem, w którym miejscu stały worki z herbatą z Urrimadu, oraz znalazłem charakterystyczne włoski pochodzące z futer południowych bestii, podobnych do tego, które zdołało ramiona Ürmehena. Wkrótce odkryłem ukryte drzwi za ruchomym panelem udającym kamienie. Były zamknięte, ale po chwili ustąpiły przed moim wytrychem. Domyślałem się, że drzwi zabezpieczono pułapką, i nieco się odprężyłem, gdy udało mi się uniknąć pierwszej żelaznej igły z kroplą trucizny. Druga igła prawie mnie trafiła.

Za fałszywą ścianą czekał ciąg cel i drzwi zabezpieczonych przez Gildię; prawdziwy loch. Ktokolwiek zajmował te wilgotne, lodowate pomieszczenia już dawno stąd odszedł, niech mu się wiedzie jak najlepiej.

Królowa. Królowa Mireya, infantka Ispanthii.

Znalazłem cztery małe i jedną większą celę, wyposażone w ławki i żelazne pierścienie, do których można było przymocować łańcuchy lub liny. Wszystkie były naznaczone bladymi śladami krwi. W jednej z szaf znajdowały się szczypce i skalpele, na których widok zadrżałem, chociaż nie mam płochliwego serca.

To były pokoje przesłuchań.

Nie znalazłem żadnych więcej fałszywych drzwi, więc wróciłem na górę.

Na parterze znalazłem tunel, którego wlot zmyślnie ukryto w palenisku pod rusztem. Udało mi się go odkryć, ponieważ zauważyłem, że popiół przesypał się na tył paleniska.

Powoli wszedłem do tunelu, badając pogrzebaczem stopnie przed sobą, spodziewając się, że z jednego z nich wystrzelą w górę zatrute kolce, ale tak się nie stało. Szedłem tunelem, który okazał się zaskakująco szeroki – prawdziwy cud inżynierii. Starałem się wykorzystywać wszystkie zmysły: dźgałem pogrzebaczem, czekałem na mrowienie skóry wywołane magią, badałem poziom szczęścia, gotów stanąć w miejscu, gdy tylko chłód nadciągającego pecha ogarnie moje serce.

Szedłem tak bez żadnych przeszkód przez jakieś sto jardów.

Potem zobaczyłem martwego chłopca.

Przebił go od góry żelazny kolec, który wniknął w ciało za obojczykiem i wyszedł tyłkiem, po czym przedziurawił kamienną posadzkę. Kolec prawdopodobnie był obciążony potężnym głazem, który przepchnął go przez cylindryczną komorę. Szkoda, że nie trafił w głowę – pełna bólu twarz chłopaka wskazywała na to, że nie umarł od razu. Jego towarzysze go zostawili, ponieważ nie mogli nic dla niego zrobić, poza odcięciem go od kolca, co byłoby trudne do zniesienia nawet dla rzeźnika. Zostawili mu na nogach dobre buty. Albo za bardzo go lubili, żeby go okraść, albo za bardzo się bali, żeby zatrzymać się na dłużej, albo nie chcieli zarazić się jego pechem. Nie zrobił niczego złego, po prostu nie zszedł na lewą stronę w miejscu, gdzie tunel się rozszerzał, i uruchomił pułpkę.

– Niech Samnyr zaprowadzi cię w lepsze miejsce – powiedziałem i ruszyłem dalej.

Po drodze rozmyślałem o wszystkim, co powiedział Ürmehen. O tym, że Gildia sprowokowała olbrzymy, udając mieszkańców Rubieży, i zaplanowała zniszczenie królestwa w zemście za wydalenie. Wiedziałem, że moja Gildia to banda brutalnych drani, którzy wszędzie mają wpływy – między innymi tym imponowali kandydatom na złodziei – ale wcielić w życie plan o takiej skali? Nawet ich o coś takiego nie podejrzewałem.

Ürmehen powiedział także, że królowa Mireya była jak Królowa w Wieżach i polowała na zdrajców. To wydawało się prawdą, ponieważ ona i jej mąż udaremnili trzy zamachy na ich życie, co rzadko się udaje komuś, kogo chce uśmiercić Gildia. Przypomniałem sobie przedstawienie komediantów w Cadoth i małpkę, która prorokowała infantce Mireyi, ostrzegając ją przed podłym wujkiem, który zamierzał zabić jej ojca i podstępem zasiąść na tronie. Czy właśnie tak się stało? Czy Mireya potrafiła używać zwierzęcego nosa, by wywąchać kłamstwa i poznać serca stojących przed nią ludzi?

W tym tunelu nie było odpowiedzi na te pytania. Na przestrzeni kolejnych kilku mil unikałem kolejnych trzech pułapek uruchamianych linką, jednego dołu na niedźwiedzie i jednej fałszywej drabiny, która zapewne skróciłaby mnie o głowę, gdybym się na nią wspiął. Aż w końcu dotarłem do prawdziwej drabiny i wkrótce poczułem na twarzy chłodne powietrze i zobaczyłem niemal błękitne niebo.

Był ranek.

Wyszedłem na powierzchnię na Wzgórzach Gapiów.

Zobaczyłem ślady prowadzące ścieżką dla kóz – ktoś prowadził tędy osła, a wędrowcy, czyli zapewne Pełny Cień i jego królewskiej krwi jeniec, wspięli się na wzgórze. To było ponad dzień wcześniej. Kusiło mnie, żeby ruszyć dalej, zanim ślady całkowicie znikną, ale potrzebowałem pozostałych. Norrigal była lepszą tropicielką i miała wykrywacz magii, a ta dwójka aż nią promieniowała.

Uroczą Norrigal. Myśl o tym, że ponownie zobaczę jej twarz, bardzo mnie radowała. Włożyłem do ust rozszczepiony kamień, ukryłem się za krzakiem, położyłem się na boku, ponieważ było to znacznie wygodniejsze od leżenia na plecach, i od razu zasnąłem.

Nadchodzą olbrzymy

– Wyglądasz... jakbyś wiele przeszedł – powiedziała Galva.

– Jak gównu – stwierdziła Norrigal. – Mogłaś powiedzieć, że wygląda jak gównu, ponieważ tak właśnie jest. – A potem zwróciła się tylko do mnie, bardziej czule: – Tak właśnie jest. – Po czym delikatnie pocałowała moją dolną wargę.

– Powiedz – odezwała się Yorbez. – Powiedz nam, gdzie jest nasza Mireya.

Podążaliśmy za tropem całymi godzinami. Norrigal założyła sztuczny nos, a ja szukałem śladów osłów. Wspinaliśmy się na łagodne wzgórza ukoronowane starymi kopcami kamieni i schodziliśmy w głąb skalnych przełęczy; minęliśmy starą studnię ze steryjskimi napisami obiecującymi zimną wodę ze stopionego śniegu, ale w środku znaleźliśmy tylko odrobinę błota; minęliśmy olbrzymi wizerunek słonia wyrzeźbiony w stylu keshyckim na białym kamieniu zielonego wzgórza, co zapewne stanowiło hołd dla minionej chwały przodków miejscowych górali.

Dotarliśmy na skalisty szczyt z kolistym drewnianym kręgiem, który prawdopodobnie pełnił rolę kalendarza. Wspiąłem się na niego, żeby się rozejrzeć, starając się unikać owczego łajna pokrywającego szczyt. Owce pewnie też lubią ładne widoki. Okolica rzeczywiście była piękna; patrzyliśmy na kępy pożółkłych drzew liściastych i niebieskich jodeł, odległe jeziora oraz martwą Hravę za nami, ale kiedy spoglądałem na wschód i południe, dokąd prowadziła ścieżka, nie widziałem ani śladu ludzi, których ścigaliśmy.

Kiedy wróciliśmy na szlak, dokładnie przyjrzałem się upierdliwym muzykom i zauważyłem, że Gorbol ma podbite oczy, które idealnie pasowały do skróconego nosa Bizha. Wyglądało na to, że próbował dobrać się do czyjejś torby albo oddawał się jakimś innym niecnym czynom. Muzycy nie próbowali niczego grać, za co dziękowaliśmy losowi, ale nasza czwórka zgodnie postanowiła przyspieszyć kroku. Gorbol, Nazh i Bizh zostali w tyle i wyraźnie nie mogli za nami nadążyć. Byli bezyteczni, bezradni i skazani na śmierć bez naszej pomocy. Prawie było mi ich szkoda. No dobrze, rzeczywiście było mi ich szkoda, ale Galva musiała złapać królową, a nie wiedzieliśmy, czy kwadrans albo połowa dnia, które mogliśmy przez nich stracić, nie zaważą na życiu Mireyi.

Już niemal zniknęli nam z oczu, gdy natrafiliśmy na osła z roztrzaskaną głową. Obok leżały dwa martwe olbrzymy o poczeriałych twarzach, co wskazywało na to, że nie żyły od dłuższego czasu, a także nieświeże zwłoki mężczyzny w szafranowej szacie trędowatego, rozplaszczony jak żaba w koleinie.

– Psiakrew – mruknąłem.

Galva i Yorbez stały z szeroko otwartymi ustami. Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie widziały olbrzyma, nie licząc starych rycin, a ich rozmiary za pierwszym razem zapierają dech w piersi. Zresztą nie tylko za pierwszym razem.

Przyjrzałem się dokładniej jegomościowi w szafranowej szacie, rozgniecionemu na miazgę, z jednym okiem przerażająco wpatrującym się w nas ze zmasakrowanej głowy. Na północy ubierano w takie szaty trędowatych, by ostrzegać przed nimi innych ludzi. Ale ten człowiek, choć owinięty brudnymi bandażami, nie był trędowaty. W miejscach, w których bandaże opadły na skutek brutalnego zgonu (zapewne został zmiażdżony pięćdziesięciofuntowym toporem, którego zakrwawione ostrze z brązu tkwiło w piasku obok drogi), skórę pokrywały nie rany, ale tatuaże w rozmaitych językach, podobne do tych, jakie nosiła Sesta. To nie był chory człowiek, ale skrytobójca, jeden z elitarnych zabójców Gildii podróżujący w przebraniu trędowatego. A więc w ten sposób zamierzali się wydostać z Rubieży i przedostać do Molrovy, gdzie Gildia działała swobodnie, by ukryć się razem z królową.

Ale gdzie ona jest?

W powietrzu krążyły roje much – to wszystko wydarzyło się najwyżej dzień albo dwa wcześniej.

Kiedy zauważyliśmy lecący ku nam bal drewna, było już za późno.

Olbrzymka musiała go rzucić z odległości stu jardów, a dla niej to wcale nie był bal drewna, tylko myśliwska pałka. Rzut był celny. W sam środek tarczy. Bal podciął Norrigal, łamiąc jej obie nogi, a jeśli bogowie będą łaskawi, kiedyś zapomnę, jak to brzmiało, chociaż na razie nie mam na to wielkich nadziei. W końcu wiemy o bogach zbyt wiele, by liczyć na ich łaskawość.

Norrigal leżała na plecach, na szczęście nieprzytomna, chociaż wtedy nie wiedziałem, czy żyje. Bal drewna, długi na sześć stóp i zbyt gruby, by nawet rosty człowiek mógł go objąć dłońmi, zatrzymał się w obłoku pyłu, a ja obejrzałem się w stronę, z której nadleciał. Wielkoludy szybko zmniejszyły dystans, a ziemia drżała pod ich stopami.

– Tam! Jaskinia! – wrzasnęła Galva, wskazując coś w rodzaju wykrzywionych ust w skalnym zboczu.

Nie wiedzieliśmy, czy człowiek się przez nie przecisnie. Nie wiedzieliśmy także, czy powstrzymają olbrzymia, ale uznaliśmy, że to mniej ryzykowne niż pozostanie na drodze. Jeszcze miesiąc wcześniej bez wahania wbiegłbym na wzgórze i zostawił opłakiwanie Norrigal na później, ale tamten człowiek umarł, gdy złożyłem śluby pod ciemnym niebem. Błyskawicznie jak wąż nachyliłem się, zdjąłem sztuczny nos z jej twarzy i ścisnąłem prawdziwy, żeby ją obudzić – zajęczała, ale się nie ocknęła.

Nie miałem czasu delikatnie jej podnieść, a gdybym pochwyił ją bez należytej ostrożności, mogłaby umrzeć.

– Nie zostawimy Norrigal! – zawołałem.

Zobaczyłem, że Galva zastanawia się, czy jej królowa może być w tej jaskini, i rozważa, czy warto dla niej zostawić towarzyszkę na pewną śmierć. Pokiwała głową, a następnie zbudziła swoją laskę do życia i dosiadła sztucznego wierzchowca.

Zdjąłem łuk z ramienia i przygotowałem strzałę. Yorbez odetchnęła i dobyła miecza; zamierzała zrobić użytek z tych wszystkich porannych przebieżek po wzgórzach. Nie wierzę, że to mówię, ale zaszarżowaliśmy na pieprzone olbrzymy.

Spośród trójki wielkoludów dwa były płci męskiej. Pierwszy nosił jeszcze bardziej niebieskie i rozmazane tatuaże, niż widziałem w Hravie, jego ciemnoczerwone dredy, mniej więcej tego samego koloru co moje włosy, podskakiwały, kiedy biegł, a brązowy topór lśnił w słabym słońcu. Kobieta, która zapewne cisnęła balem drewna, ponieważ teraz nie miała żadnej broni, nosiła taki sam wysoki pas jak mężczyźni. Jej obnażone cycki dyndały, a muskularne ramiona sprawiały wrażenie równie silnych jak u jej towarzyszy. Ostatni z olbrzymów miał groźnie wyglądający cep o trzech bijakach, a mnie nagle przysłała do głowy myśl, której wtedy nie miałem czasu rozważyć, ale której później poświęciłem sporo uwagi: dla nich byliśmy goblinami. Małymi, szybkimi skurwielami, które nieczysto walczą i które można okładać cepami i pałkami. Tylko że nie gryźliśmy i proporcjonalnie byliśmy jeszcze mniejsi. Prawdopodobnie byśmy zginęli, gdyby nie dźwięk dud.

Ten mniejszy kuzyn norholtyjskiej kozy cieszy się popularnością od Ispanthii aż po Molrovę. Niektórzy ludzie uwielbiają cienkie wycie jego piszczałek, podczas gdy inni twierdzą, że przypomina jazgot duszonego kota. Dotychczas zaliczałem się do tego drugiego obozu, ale teraz? Kocham ten dźwięk. Brzmi jak miłosierdzie i szczęście. Jak głos samej Cassy, bogini drugich szans, która ogłasza, że tego dnia jeszcze nie zginiecie.

Muzyka dud przybrała na sile, gdy Gorbol ścisnął worek pod pachą. Muzycy, którzy zaczęli chwiejnie biec w naszą stronę, gdy zobaczyli olbrzymy schodzące we wzgórze, byli już na tyle blisko, że mogliśmy ich usłyszeć. Wytatuowany gigant zamachnął się na mnie, ale jego topór zwolnił. Tylko trochę, ale to wystarczyło, żeby brązowe ostrze przecięło powietrze, gdy uchyliłem się przed jego niemal poziomym ruchem.

Zanurkowałem między nogi olbrzymia, ocierając się głową o jego skórzaną spódniczkę i, niestety, zaciągając się jego wonią. Olbrzymka ryknęła, gdy Galva na swoim koniu z kamienia i drewna również zdołała uniknąć jej ciosu otwartą dłonią, a następnie skaleczyła ją w rękę pogromcą byków. Olbrzym z cepem próbował trafić Yorbez, ale ruszał się za wolno i tylko wyrzucał w powietrze fontanny pyłu. Starsza Spanthianka jeszcze nie była na tyle blisko, by go dosięgnąć – pogromca byków ma ostrze o długości dwóch stóp, co czyni go bronią niezbyt skuteczną przeciwko olbrzymom – ale zdołała się przedostać za jego plecy. Wszyscy znaleźliśmy się za olbrzymami. Puściliśmy się biegiem, chcąc odciągnąć je od Norrigal.

Kiedy się obejrzelśmy, zobaczyliśmy, że olbrzymy zbiegły ze ścieżki i rozdzieliły się, by nas okrążyć, ale ich ruchy wyglądały dziwnie. Bębniarz Bizh zaczął bić w bęben na biodrze, a ja zauważyłem coś ciekawego – rytm jego bębnienia dokładnie pokrywał się z krokami przywódcy olbrzymów, a kiedy stał się wolniejszy, zwolniły także nogi wielkoluda. Nazh grała na piszczałce w takim samym usypiającym tempie. To była staranna i potężna magia. Zaczęli grać w rytmie ruchów olbrzymów, a potem stopniowo je spowolnili.

– Ha! – zakrzyknąłem i wypuściłem strzałę, którą Cep z trudem zablokował skórzanym naręczakiem.

Wtedy jeszcze go nie skaleczyłem, ale kolejne dwie strzały wykuły mu oczy. Galva i Yorbez podbiegły do niego i przecięły mu nogi ponad butami, powalając go na kolana.

Yorbez dźgnęła olbrzymia w szyję, gdy ten ściągnął Galwę z grzbietu konia, który natychmiast zmienił się w laskę. Wielkolud próbował rzucić Spanthianką; gdyby użył całej siły, mógłby posłać ją na wysokość trzech pięter, ale tylko ją popchnął, a potem popatrzył na swoją brodę i brzuch zalane krwią. Topór ponownie spróbował mnie trafić, ale poruszał się, jakby znajdował się pod wodą. Zgrzytał zębami, a w jego oczach pojawiły się łzy frustracji. Rozumiałem, co czuje. Jedną z podstawowych zasad magii jest to, że próżno w niej szukać sprawiedliwości. Chociaż z drugiej strony ja nie miałem dwunastu stóp wzrostu.

Ruszyłem w stronę olbrzymia, odrzucając łuk i dobywając Palthry. Użyłem jego buta, a następnie pasa jako oparcia dla stóp i poderżnąłem mu gardło, nie bez trudu, wywołując fontannę krwi. Podobnie jak w przypadku wielkoluda powalonego przez Spanthianki, krew trysnęła błyskawicznie. Pierwszy rubinowy strumień zalśnił na tle błękitnego nieba, a spora część drugiego obryzgała mi rękę i twarz. Zostałem oślepiiony i spadłem. Zgodnie z logiką zaklęcia, a każde zaklęcie ma swoją logikę, krew, która już opuściła ciało, nie podlega czarowi. Uderzyłem o ziemię, otarłem krew z oczu rękawem, a następnie odturlałem się na bok, w ostatniej chwili unikając wgniecenia w grunt przez powoli upadającego drania.

Wtedy drzewo trafiło w muzyków.

Olbrzymka wyrwała z ziemi uschnięte, pochylone drzewo, a chociaż brak szybkości nie pozwalał jej nim rzucić, mogła pchnąć je w stronę wrogów. Muzycy byli pochłonięci graniem, a żadne z nich nie chciało uciec jako pierwsze i przerwać zaklęcia, więc zostali na miejscu, a czar i tak przysł, gdy zmiążdżył ich pień drzewa.

Usłyszeliśmy wrzaski Gorbola i Bizha, zaskoczony skowyt Nazh, przerażający trzask suchego drewna trafiającego w ciało, ziemię i kości. Krzyk rannych muzyków zmienił się w popiskiwanie. Ubrania Gorbola i Bizha rozpląszczyły się na ziemi, a z rękawa tego pierwszego wybiegła mysz. Mysz, która była Bizhem, została zbyt poważnie ranna, by uciec, więc tylko zatoczyła kółko, przewróciła się na grzbiet i zdechła.

Olbrzymka, która odzyskała szybkość, kopnęła piachem i kamieniami w stronę biegnących ku niej Galvy i Yorbez, które musiały się pochylić i schować przed deszczem odłamków. Podniosłem łuk z ziemi i strzeliłem olbrzymce w twarz, trafiając ją w oko, a ona zawyła z wściekłości i bólu. Zdołałem odwrócić jej uwagę, dzięki czemu Spanthianki ponownie zaszarżowały i ciosami ostrzy powaliły ją na ziemię, podczas gdy ja nie przestawałem dziurawić jej strzałami.

Umarła w tej samej chwili, gdy obłok zakrył słońce.

Zobaczyłem cień przetaczający się po skalistym gruncie, a potem słońce powróciło.

Być może oszalałem, ale miałem wrażenie, że dostrzegłem między drzewami sylwetkę oddalającego się wilka. Oczywiście nie wierzyłem, że bogowie istnieją fizycznie, ale w tej chwili nie byłem przekonany, że tak nie jest.

– Dziękuję, Solgrannonie, boże wojny, za dodanie nam sił przeciwko naszym wrogom – powiedziałem. – Wypiję też za ciebie, Fothannonie, gdy będę miał okazję, w podziękę za podstęp naszych muzyków.

Gdybym tylko wiedział, do kogo się pomodlić za Norrigal.

W jaskini

Jaskinia była ciemna, początkowo oświetlały ją tylko promienie słońca wpadające przez otwór, którym weszliśmy. Podtrzymałem ramiona Norrigal, a Galva niosła jej połamane nogi owinięte koszulą. Moja księżycowa żona niestety już się ocknęła. Dyszała z bólu i odrzucała dmuchnięciami kosmyki włosów. Cierpiała tak bardzo, że nawet nie zażartowała z tego, jak nieudolnie ją niosę. Yorbez szła z tyłu, upewniając się, że nic ani nikt nie podąża za nami.

Obejrzałem się w stronę skalnej przełęczy.

Ostatni martwy olbrzym leżał niedaleko wlotu jaskini. Początkowo go nie widzieliśmy zza kępy zarośli, ale ukazał się naszym oczom, gdy zbliżyliśmy się do jaskini. Krążył wokół niego rój much godny końca świata. Jego poczerniała twarz wyglądała, jakby został zaskoczony w trakcie kichnięcia, włochata, wytatuowana ręka wskazywała wejście do jaskini, a nogi jak pnie drzew leżały splątane, wyciągnięte w stronę przełęczy. Cokolwiek zabiło jego oraz jego towarzyszy, mogło być z nami w tej jaskini. Norrigal najlepiej widziała w ciemności, dzięki symbolom kocich oczu na powiekach, ale w tej chwili była zbyt rozproszona. Galva i ja położyliśmy ją na najbardziej płaskim fragmencie podłoża, jaki znaleźliśmy. Yorbez do nas dołączyła.

Z ciemności nieco ponad nami rozległ się kobiecy głos, tylko trochę głośniejszy od szeptu.

– *Varatt!* – powiedział. – *Datt eer Jeten.*

Gunnicki z wyraźnym akcentem.

„Uważajcie. Tu jest olbrzym”.

Moje oczy przyzwyczajały się do ciemności, w czym pomagały im plamy lśniącego jak stygnące węgle wiedźmchu na ścianach i podłożu. Rzeczywiście, był tutaj olbrzym. A dokładniej olbrzymka. Leżała pod ścianą w głębi jaskini, owinięta brezentem, a jej potężne, pokryte zaschniętą krwią dłonie zaciskały się na czymś, czego najwyraźniej nie chciała oddać. Wyglądała na chorą. Wyglądała na poturbowaną. Stara krew brązowiła jej przedramiona i nogi, przynajmniej te części, które widziałem. Pokrywały ją tatuaże, których nie potrafiłem odczytać. Obserwowała nas spod przymkniętych powiek, a jej twarz pomimo zimna lśniła od potu.

Jak się tutaj dostała? Wlot jaskini był dla niej zbyt wąski.

Galva ruszyła naprzód jak w transie – rozpoznała ten głos. Nawet przemawiający w innym języku. Nawet na najdalszym skraju Ludzkich Krain.

– *Infanta Mireya?* – spytała łamiącym się głosem.

– *Non* – odrzekł głos z góry, tym razem po ispanthiańsku. Brzmiał bardzo słabo. – *Raena Mireya.*

„Nie. Królowa Mireya”.

– Święte knapy, ale wielka – wykrztusiła Norrigal po galtyjsku. Nieco doszła do siebie i zauważyła olbrzymkę pod ścianą.

Nagle olbrzymka przemówiła:

– Jestem najmniejsza ze swojej rodziny.

Zrozumiałem ją, bo choć nie mówiła czystym galtyjskim, jej mowa była do niego bardzo zbliżona. A księżniczka-królowa Galvy kryła się gdzieś w tej jaskini. Zbyt wiele rzeczy działo się na raz.

Spanthianka ruszyła w stronę głosu Mireyi.

– Widzisz to, prawda? – odezwałem się do niej po holtyjsku, mając na myśli olbrzymkę, ale wiedziałem, że jej to nie obchodzi.

Wziąłem do ręki łuk i przygotowałem strzałę. Zostały mi tylko trzy. Nie miałem pojęcia, co moja strzała może zdziałać, jeśli olbrzymka postanowi ciskać w nas głazami. Chociaż wyglądała, jakby nie miała siły czymkolwiek rzucać. Pokrywały ją paskudne skaleczenia, jakby jej skóra gdzieś popękła.

– Nie zrobimy ci krzywdy – powiedziałem, nie wiedząc, czy to prawda.

– Dobrze – odparła. – Jestem już wystarczająco pokierszowana.

Co ona trzymała?

Uzmysłowiłem sobie, że wciąż słyszę muchy, chociaż zostawiliśmy wielkoluda na zewnątrz.

Kiedy moje oczy jeszcze bardziej przywykły do ciemności, zauważyłem martwych ludzi w jaskini. Jeden bardzo gruby mężczyzna w szacie koloru szaławii wbijał wzrok w sufit. Wyglądał, jakby nie żył od około dnia. Dwa kolejne trupy leżały w głębi, tak rozgniecione, że nie dałoby się ich oddzielić od szafranowych szat.

Galva zaczynała rozumieć, że nie zdoła wspiąć się na półkę, z której dobiegał głos infantki – skały były strome, ostre i bezlitosne. Mógłby się tam dostać tylko ptak.

Zadała jakieś pytanie po ispanthiańsku, prawdopodobnie: „Jak się tam dostałaś?”.

– *Voilei*.

„Pofrunęłam”.

– Więc sfruń na dół.

– Nie mogę – odrzekła Mireya po ispanthiańsku.

– Dlaczego?

– Już nie jestem ptakiem.

Widzicie? Rzeczywiście mógł się tam dostać tylko ptak.

– Galvo?

– Tak – odrzekła Galva. *Os*.

– Wiedziałam, że to będziesz ty – powiedziała Mireya, a po tonie jej głosu domyśliłem się, że były kochankami.

Nie jestem wyjątkowo przenikliwy. Po prostu tak poczułem i wy również doszlibyście do takiego wniosku, gdybyście ją usłyszeli. Galva była kochanką infantki Mireyi, królowej Rubieży.

Ponownie popatrzyłem na spoconą olbrzymkę i martwych mężczyzn.

Na rozmaite kufry i torby podróżne.

Na pozostałości małej malowanej klatki.

Pogłaskałem Norrigal po włosach.

– Co tu się wydarzyło, na prawy cycek bogini? – wykrztusiła po galtyjsku, boleśnie dysząc.

– Powiem wam – odezwała się olbrzymka. – Jeśli wysłuchacie tego jako mojej pieśni śmierci.

– Twojej pieśni śmierci? – spytałem.

– Tak. Umarli nie mogą mówić, póki nie otrzymają z powrotem swoich języków. Ale tylko prawdomówni mogą przemawiać, a robią to za pośrednictwem pieśni w dolinach pełnych owoców i kwiatów. Ci, którzy kłamią, schodzą pozbawieni języków w głąb doliny dymiących wzgórz i błotnistej wody, gdzie pomrukują i jęczą jak rozdierane bestie. Jeśli przekażę ci swoją pieśń śmierci, Ojciec Gwiazd nawiedzi cię w snach i spyta, co ci powiedziałam. Jeżeli okaże się, że powiedziałam prawdę, wyrośnie mi język ze złota.

– Czyli olbrzymom nie wolno kłamać?

– Niektóre to robią. Ale nie moje plemię.

Wszystko jasne. Akurat olbrzymy postanowiły nade wszystko cenić prawdę. Tylko największe i najbardziej tępe kutasy zawsze powtarzają: „Nie kłam”, czyż nie?

Tylko silni, bogaci i umierający uważają prawdę za konieczność; pozostali wiedzą, że jest ona luksusem.

– Wysłucham twojej pieśni i przemówię w twoim imieniu we śnie – obiecałem, uważając, żeby nie dostrzegła mojego czarnego języka.

Jej pieśń śmierci

Mam na imię Misfa. Jestem córką wodza, chociaż nie jest on wielkim wodzem – rządzi tylko trzema rodzinami. Dorastałam w dolinie po drugiej stronie Gór Niewolniczych, gdzie mieszkają moi ludzie. Nie miałam dzieci, więc przydzielono mi drugiego męża, ale nadal pozostawałam bezdzietna, więc moje łono uznano za jałowe i posłano mnie, bym uczyła się rzemiosła wojennego i doglądania bydła. Wszyscy wiedzieliśmy, że zbliża się wojna z małymi królestwami, mimo że od pięciu pokoleń panował pokój. Ale teraz oni nas krzywdzili. Dwóch moich braci zginęło z rąk mieszkańców Rubieży niosących sztandary Hrawy. Od ponad roku zza gór przychodziły bandy, które zabijały bądź porywały olbrzymy.

Zostałam uprowadzona. Zobaczyłam jasne światło na wzgórzu niedaleko zamku, którym się opiekowałam, i wiedziałam, że nie powinnam do niego iść, ale coś w nim mnie przyzywało i nie mogłam się powstrzymać. Ocknęłam się w mrocznej kamiennej sali. Byłam przykuta, a usta zakneblowano mi kawałkami żelaza. Kłuto mnie igłami, a rozmaite głosy rozmawiały nade mną. Obok mnie leżeli martwi mali ludzie. Odmawiałam jedzenia, ale wyciskano mi wodę do ust, które stale pozostawały uchylone. Ciągle mnie kłuli, zdejmowali obrazy ze skór martwych ludzi i umieszczali je na mnie. Tatuowali mnie przez co najmniej pół miesiąca, a potem Grubas, którego widzisz w tej jaskini, wypowiedział słowa, które mnie zmniejszyły. Nie przyszło mu to łatwo – rozchorował się.

Zostałam zabrana do miasta i ukryta w piwnicy pod domem Bogacza. Mieszkałam tam wiele lat. Grubas, którego nazywali Bavotte, palił kadzidło, od którego chciało mi się jeść, więc jadłam. Bavotte grał dla mnie muzykę na fletach, od której robiłam się senna i spokojna. W końcu zaczęłam pragnąć tej muzyki. Pragnęłam głosu Grubasa, który wypowiadał nade mną słowa, dzięki którym pozostawałam mała.

Pewnego dnia zatrzęsa się ziemia, a pył z kamieni nad moją głową opadł mi na twarz. Wiedziałam, że mój lud powstał przeciwko małym ludziom z Rubieży i ogłosił Dźwiganie Kamieni. Miały do niego dołączyć także inne plemiona z dalszego zachodu, między innymi Wiążący Drewno, którzy potrafili budować maszyny do burzenia ścian oraz Lud Jasnego Obłoku, który wyrabiał przedmioty z brązu i sprzedawał innym topory oraz zbroje. Powiadano, że także mieszkańcy miasta, które znajduje się jeszcze dalej na zachodzie, mogą dołączyć do wojny. Ale oni są podli i wyznają boga ognia.

Leżałam w ciemności i nasłuchiwałam odgłosów nowej wojny, żałując, że nie mogę walczyć, i zastanawiając się, czy mój ojciec, bracia albo mężowie poznaliby mnie w tym malutkim, okaleczonym ciele pokrytym tatuażami. Skoro nie mogłam walczyć, chciałam, aby dom zawalił się i mnie zmiażdżył, a ziemia przyjęła mnie w objęcia Ciepła-Pod-Powierzchnią. Ale dom się nie zawalił. Zamiast tego zaprowadzono mnie, wciąż skutą łańcuchami, do budynku pełnego umarłych, przed oblicze trzech mężczyzn w żółtych szatach, jakie nosili ludzie ze strupami. Ci mężczyźni zabili służących Bogacza, a sam Bogacz miał teraz na sobie żółte szaty i był chudszy niż wcześniej. Bavotte, tłusty mikrus, też tam był, ale on nie schudł. Za to miał ślicznego białego ptaka w klatce.

Zabrali mnie, ptaka w klatce oraz cały swój dobytek do tuneli, które prowadziły z miasta na te wzgórza, gdzie czekał na nich przywiązany osioł. Mali ludzie ze wzgórz próbowali ich obrabować, ale mężczyźni w żółtych szatach pokazali im księgę, która zabiła złodziei, gdy do niej zajrzeli. Tuż przed wejściem do tej jaskini pojawiła się piątka olbrzymów z klanu moich sąsiadów, która zobaczyła nas pomimo magii Grubasa, i próbowała zabić żółte szaty. Udało im się uśmiercić jednego z małych ludzi, ale pozostali użyli trucizny oraz magii i pozabijali olbrzymów, a potem uciekli ze mną do jaskini.

Grubas zużywał zbyt wiele magii, żeby utrzymać mnie w zmniejszonej postaci, żeby utrzymać ptaka w ptasiej postaci, żeby ich osłaniać, żeby walczyć. Jego serce w końcu umarło w jego piersi i upadł. Poczułam, jak zmniejszające czary umarły razem z nim, i moje kończyny zaczęły się powiększać. Dusił mnie żelazna obroża, ale moja szyja okazała się silniejsza i ją rozerwała, a moje nadgarstki i kostki rozsadziły kajdany. Byłam wściekła z powodu śmierci moich sąsiadów i wszystkiego, co mi uczyniono. Tak szybki wzrost sprawiał mi ból, ale zaczęłam walczyć, gdy tylko się uwolniłam.

Zabiłam Bogacza pięściami, a ostatni z mężczyzn w żółtej szacie zranił mnie ostrzem, ale oderwałam mu rękę i głowę, a potem zmiażdżyłam kamieniem. Klatka pękła podczas walki i ptak poleciał na skalną półkę. Tam zmienił się w kobietę. Nie byłam pewna, czy powinnam ją zabić, jeśli zejdzie na dół, ale tego nie zrobiła. Byłam teraz zbyt duża, by wydostać się z jaskini, a w środku nie było wody, więc wiedziałam, że muszę umrzeć. Pójdę do Ojca Gwiazd z zakrwawioną twarzą, a ponieważ wyrządzone nam krzywdy domagają się pomsty, krew na moim obliczu jest słuszną. Dlatego on uśmiechnie się do mnie i pozna po mojej pieśni śmierci, że powinnam otrzymać złoty język.

Zanim umarłam, zobaczyłam, jak coś przemieszcza się w stronę wejścia do jaskini. Myślałam, że to jakieś zwierzę. Chwyciłam to i stwierdziłam, że to księga, ta sama, która zabiła małych ludzi złymi runami. Ugryzła mnie. Chciała uciec. Wiedziałam, że jest niegodziwa i nie powinna móc robić tego, czego pragnie, więc ją zatrzymałam i wciąż ją trzymam. Zatrzyma mnie, ale jej nie puszcę i będę z wami walczyła, jeśli spróbujecie mi ją odebrać. Chociaż wątpię, abym wygrała. Jestem słaba.

– Zaraza – stęknęła Norrigal.

Oprócz mnie tylko ona zrozumiała opowieść olbrzymki. Wszystko nabrało sensu. Gildia ukrywała się w domu kupca, gdzie odkryłem pokoje przesłuchań, oraz na Łysej Wyspie, w kolonii trędowatych. To oni wystali małych ludzi na drugą stronę Gór Niewolniczych, żeby bez powodu zaatakować olbrzymy i je sprowokować, licząc na to, że Rubieże upadną. Ich plan zadziałał. Pełny Cień Rubieży oraz podlegające mu Cienie zapewne nie mogli uwierzyć w swoje szczęście. Jest takie galtyjskie powiedzenie *cnulth toudáh*, które oznacza z grubsza „szczęście w walce” albo niespodziewaną szansę, która pojawia się podczas potyczki. Kiedy rozpaczliwie siłujecie się z jakimś gościem na ulicy i nagle dostrzegacie, że wasz łokieć dosięgnie jego głowy, zaczynacie nim uderzać, tłukąc jego czaszką o bruk. Wkrótce on zasypia, a wy wstajecie. Oto *cnulth toudáh* – gdy próbujecie czegoś, a to coś działa lepiej, niż mogliście sobie wymarzyć. Niewątpliwie właśnie tak było w przypadku tej prowokacji. Gildia doprowadziła do upadku całe zakerkane królestwo. Następnie zdołali porwać królową, która ich wygnała, i zmienili ją w ptaka, by ją ukryć.

Nie rozumiałem tylko ich zainteresowania olbrzymką Misfą.

Po co ją tatuowali?

Po co takim ogromnym kosztem zmniejszyli ją i próbowali wywieźć?

Zbliżyłem się do niej, gotowy rzucić się do ucieczki, gdyby wykonała jakiś groźny gest. Nie sądziłem, by to zrobiła. Chciałem przyjrzeć się jej tatuazom. Miałem wrażenie, że są ich całe setki, jeśli ukryte części ciała były nimi równie szczelnie pokryte jak te, które widziałem.

– Bogowie i ich bękarty – powiedziałem, stając tak blisko, że widziałem refleksy wiedźmchu na skórze olbrzymki.

– Co to jest? – spytała Norrigal, zaciskając zęby. – Co przedstawiają tatuaże?

– To śpiący – odrzekłem, patrząc na prymitywnie narysowane, ale zarazem piękne i niepowtarzalne zwierzęta, na ich grzywy, pyski i pęciny, na słodkie, cierpliwie ślepia. – Konie. Ta olbrzymka jest skarbcem prawdziwych pieprzonych koni.

– To dobrze – odpowiedziała Norrigal.

Potem zasnęła.

Królowa wiedźma

Królowa była zbyt słaba, żeby chociaż spróbować zejść po wysokiej na trzydzieści stóp stromej, kruszącej się skale prowadzącej na półkę. Ale ja mogłem się na nią wspierać, dzięki wyszkoleniu i szczęściu, a także pierścieniowi Kocięgo Upadku, który (miejmy nadzieję) uratowałby mnie przed połamaniem nóg, gdybym spadł. A zatem wszedłem na górę i zaniósłem królowej wodę. Zanim się napiła, zapytała, czy mam jej więcej. Kiedy zaprzeczyłem, wypła tylko mały łyk, ale zatrzymała bukłak. Wręczyłem jej także zapasową suknię Norrigal, aby okryła swoją nagość.

Nigdy wcześniej nie widziałem z bliska królowej; kiedy Conmarr z Holtu maszerował przez galtyjskie ziemie, nie interesowały go tak małe miejsca jak Platha Glurris. Kiedy przechodził przez Pigdenay, co zdarzyło się dwukrotnie, gdy się tam uczyłem, specjalnie nie zabrał ze sobą swojej gunnickiej żony, Birgitty – Pigdenay słynęło z najlepszych kurtyzan w Holcie, a przecież nie nosi się piwa do tawerny. Mireya była wszystkim, czego oczekiwałem po królowej, i nie sprawiała wrażenia ani odrobinę obłąkanej. Była serdeczna, pełna mocy i szczodra. Kiedy się do niej zwróciłem, spuściłem wzrok, czego chyba wymagał ispanthiański protokół, ale ona ujęła mnie za podbródek i go uniosła, tak że nasze spojrzenia się skrzyżowały. Ludzie patrzyli królowi w oczy na Rubieżach i we wszystkich pełnych szczerości północnych gunnickich krainach.

Mireya była piękna; miała zmęczoną twarz, ale wspaniałe rysy. Odrobina siwizny, która przyprószyła jej włosy, tylko podkreśliła ich czerni. Oczy, w które kazała mi popatrzeć, były piwne jak u kotki, ani nie brązowe, ani nie niebieskie bądź zielone, lecz łączyły w sobie wszystkie te kolory. Nie mówiła po holtyjsku ani galtyjsku, a ja znałem tylko podstawy ispanthiańskiej mowy, więc Galva musiała tłumaczyć.

– Rozmawiasz z olbrzymką? – spytała.

– Mówimy prawie takim samym językiem.

– Co już ci powiedziała?

Przekazałem słowa Misfy.

– Mój mąż król zabronił swoim poddanym przekraczać Góry Niewolnicze. Nie zabijał ani nie porywał olbrzymów. To zrobili Poborcy, aby ukarać nas za zamknięcie domów Gildii.

Kiedy Galva skończyła tłumaczyć moją relację, królowa popatrzyła na mnie i rzuciła coś po ispanthiańsku do Galvy. Galva odpowiedziała, a Mireya ponownie na mnie popatrzyła, tym razem łagodniej.

– Co się stało? – spytałem ptaszniczki.

– Chciała wiedzieć, czy należysz do Gildii. Powiedziałam, że kiedyś tak, ale teraz jesteś przeciwko nim. Mam rację, prawda?

– Tak – zapewniłem.

– To dobrze. Ponieważ przysięgłam na swoją śmierć.

Królowa wypowiedziała kilka słów do bukłaka, który jej dałem, a włoski stanęły mi dęba na karku, gdy poczułem ukłucie magii. Następnie poprosiła, żebym poczęstował wodą umierającą olbrzymkę. Wyczytała z moich oczu, że istota tych rozmiarów opróżni bukłak jednym łykiem.

– Nalej wody z góry do jej ust. Nie bój się, wystarczy.

Zrobiłem tak, jak mi kazała. Olbrzymka nie chciała wypuścić z rąk książki, ale pozwoliła, żebym stanął na pobliskiej skale i wlał jej wodę do ust. Miałem nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy zrobić ze mną tego samego co z Pełnym Cieniem i drugim trupem w żółtych szatach – byłem za blisko niej, żeby uciec, gdyby któraś z jej potężnych dłoni spróbowała mnie chwycić i rozgnieść.

Misfa poruszała językiem w otwartych ustach i połykała wodę, która, ku mojemu zdziwieniu, wciąż wylatywała z bukłaka. Nie musiałem go przechylać, ponieważ płynu nie ubywało. Królowa Rubieży, infantka Mireya z Ispanthii, była prawdziwą wiedźmą!

„Nie było łatwo ją tu utrzymać, choć myślę, że bóg intryg wolałby, abym nie mówił ci dlaczego”.

Teraz już rozumiałem, dlaczego Martwe Nogi i Norrigal, a na swój sposób nawet Fulvir, tak angażowali się w naszą wyprawę – gdyby Mireya odzyskała tron Ispanthii, byłaby pierwszą królową wiedźmą od czasów poprzedzających Goblińskie Wojny. Mogłaby wypędzić Gildię z Ispanthii, tak samo jak z Rubieży. Po raz pierwszy w życiu oczami wyobraźni ujrzałem przyszłość, w której Gildia nie kontroluje wszystkiego pod słońcem i księżycem.

Nie mogli na to pozwolić.

Mireya wymknęła im się z rąk, więc musiała umrzeć.

Morderczy Alfabet

Podaliśmy wodę Norrigal, która na zmianę budziła się i zasypiała, a potem pomogłem jej przeżuć korzeń pochodzący z jej torby, który tłumił ból, ale nie powodował senności. Następnie, używając kolców jako kotwic, spuściłem linę, po której Galva mogła się wspiąć, by pomóc osłabionej królowej zejść z wysokiej półki. Nie rozumiałem wszystkiego, co do siebie mówiły, ale uchwyciłem jedną rozmowę.

– Jesteś ranna? Dlaczego jesteś taka słaba? – spytała Galva.

– Spróbuj być ptakiem przez dziesięć dni.

Z jakiegoś powodu tak bardzo rozśmieszyło to Yorbez, że niemal wciągnęła do płuc tytoń, który paliła. Galva stanęła obok królowej po jednej stronie jaskini. Przeszedłem na jej środek, żeby przeszukać sakiewki martwego magika imieniem Bavotte, który zmniejszył olbrzymkę i zmienił królową w ptaka. Znalazłem przy nim małą fortunę w złocie i srebrze, ale, niestety, żadnych sówek. Wyświadczyłem mu przysługę i zamknąłem jego zapadnięte oczy oraz zakryłem jego twarz szalem, by osłonić ją przed krążącymi wokół muchami. Naszyjnik na jego szyi pulsował magią, więc go zabrałem, chociaż nie miałem pojęcia, jakie jest jego działanie. Czy to był naszyjnik Twardego Kamienia, o którym słyszałem w Domu Wisielca w Cadoth? Nie miałem jak tego sprawdzić.

Popatrzyłem na olbrzymkę, a ona na mnie.

Coś przyszło mi do głowy, kiedy spoglądałem na księgę, którą trzymała – powiedziała, że księga zabiła ludzi, którzy próbowali ją czytać. Najwyraźniej została zapisana w Morderczym Alfabcie, który był przykładem najmroczniejszej magii, jaką znała Gildia. Ale olbrzymka powiedziała, że złapała tom, gdy ten próbował uciec. To przywołało pewne wspomnienie dotyczące najwyższych władz Gildii. Sięgnąłem do jednej z sakiewek i założyłem zabezpieczone rękawice z koziej skóry.

– Mogę rzucić okiem na książkę, którą trzymasz?

– Ona cię zabije – ostrzegła.

– Mnie nie. Ale ciebie zatruwa.

Jeszcze przez chwilę ją trzymała, patrząc na mnie oczami wielkimi jak okazałe jabłka, a jednak drobnymi jak paciorki w porównaniu z jej ogromną głową. Zapowiedziała, że będzie broniła przed nami księgi, ale to było, zanim dałem jej wodę. Jeszcze trzy razy głęboko odetchnęła, uważnie mi się przyglądając, a potem podała mi księgę. Jeśli chcecie sobie wyobrazić, że trzęsły mi się ręce, to nie będę was przekonywał, że było inaczej.

Na okładce widniał duży napis po gallardiańsku wykonany ozdobną złotą czcionką:

*Lj Livēre dil Ouchure Comblēct.
Księga Pełnego Cienia.*

Na dole utłuszczonej skórzanej okładki zapisano mniejszą złotą czcionką:

*Louray chē bulay echēre mirdēct.
Przeczytaj, jeśli chcesz zostać ugryziony.*

Może zauważyliście, że te teksty się rymują. Bardzo sprytnie. Nikt nie powie, że ci dranie nie mają głowy na karku. Na przedzie kanciastej obwoluty w skórę wprawiono rzędy ostrych zębów, które sterczały, ale nie wystawały poza krawędź. Wszystkie były małe, ale różnych rozmiarów.

Pochodziły od kotów, kun, lisów i innych piszczących, przemykających ukradkiem stworzeń. Okładkę w niektórych miejscach wzmocniono lakierowaną skorupą kraba.

Kiedy obracałem księgę w dłoniach, zauważyłem, że robi się coraz bardziej tłusta. Znałem ten połysk. Złodziejska rosa. Trucizna przenikająca przez skórę, która wywołuje nudności w małych dawkach, a w dużych zabija. W Niskiej Szkole spędziliśmy wiele nieprzyjemnych wieczorów, gdy umieszczano ten specyfik na naszych klamkach i dodawano go do piwa. Kiedy skończyliśmy pierwszy rok nauki, byliśmy już praktycznie odporni na truciznę. Mimo wszystko cieszyłem się, że założyłem rękawice – jeśli w tej księdze znajdowały się tajemnice Pełnego Cienia zachodu, zwykły Kpiarz taki jak ja nie powinien jej dotykać, a trucizna mogła być silniejsza.

Księga była ciężka.

Wiedziałem, że jest pełna Morderczego Alfabetu, ale nie wiedziałem, czy ten zabija kogoś, kto jest Szyfrem, tak jak ja. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o tym alfabcie w szkole, skłaniałem się ku teorii, że nie. Z tego, co udało mi się zrozumieć, osoby znające Morderczy Alfabet na pamięć, nie odczuwały jego wpływu, ale trzeba było go znać, zanim spróbowało się odczytać poszczególne słowa czy zdania. Problem polegał na tym, że alfabet składał się z setek znaków, a nikt się go nie uczył, nie licząc najwyżej sytuowanych członków Gildii. Zaczynaliście go poznawać, gdy zostawaliście Cieniami i stawaliście się odpowiedzialni za całe miasta. Dało się przyswoić alfabet, ponieważ pojedyncze litery nie zabijały, ale jeśli czytaliście jakieś słowo bądź frazę i przerwaliście, ponieważ natrafiliście na coś niezrozumiałego, to wahanie powodowało śmierć. Być może właśnie dlatego Gildia była tak potężna – nie rządził nią żaden tępak.

Monarchia jest złym ustrojem, ponieważ niezależnie od tego, jak jesteście bystrzy, wciąż możecie spółdzić krety. Może dopisze wam szczęście i wasz syn albo córka będą w połowie tak mądrzy jak wy, ale co z waszymi wnukami? Pewnie będą kołkami, a kiedy odziedziczą tron, wszystko, co zbudowaliście, obróci się w gówno. W Gildii jest inaczej. Jeśli jesteście głupi, nigdy nie pójdziecie do Prawdziwej Szkoły. Jeśli nie jesteście genialni, nie awansujecie w hierarchii, a nawet jeśli wam się uda, Morderczy Alfabet będzie czekał na wasz pierwszy błąd.

– Przeczytasz tę książkę czy będziesz się na nią ślinił? – odezwała się Norrigal bełkotliwie z powodu krążących w niej leków.

– Tak – odrzekłem. – Wciąż się zastanawiam.

Bardzo chciałem otworzyć księgę i sprawdzić, co się w niej znajduje i czy jestem w stanie ją przeczytać. Moje serce rozgrzewało się, gdy o tym myślałem – dopisywało mi szczęście. Gdyby Morderczy Alfabet miał mnie uśmiercić, lodowate dreszcze przeszywałyby mnie od stóp do głów na samą myśl o podjęciu tego ryzyka. Czy byłem gotów zaryzykować życiem i zaufać temu przeczuciu? Bogowie wiedzą, że robiłem to w przeszłości.

Tak się bałem, że o mało nie zsiąłem się w spodnie, ale różnica między siłą a słabością nie polega na tym, że silni nie sikają w spodnie, tylko na tym, że kiedy jest po wszystkim, podciągają zaszczane spodnie i biorą się do roboty. Gwałtownie otworzyłem księgę na losowej stronie blisko końca i skupiłem się, wiedząc, że albo zrozumie to, co zobaczę, albo umrę.

Słowa początkowo wydawały się rozmazane, ale zanim zdążyłem pomyśleć: „To już koniec, jestem martwy”, nagle się wyostrzyły.

Magicy są mniej potężni w Hravie niż w Molrovie albo Holcie, Gunnijczycy są zbyt tępi, by posługiwać się magią. To znakomici szermierze i włócznicy, ale przeciwko olbrzymom radzą sobie nie lepiej niż koty przeciwko niedźwiedziom. Królowa pokrzyżowała nam plany, ale teraz, gdy jej królestwo upada, wreszcie wpadła nam w ręce. Lepiej, aby Hrava i całe Rubieże upadły, a Gildia straciła ułamek swoich zysków, niż żeby inne krainy zobaczyły, co się dzieje, gdy wyrzuci się Gildię Poborców. Tak samo jak przekształciliśmy świat na swoją korzyść, gdy zachwiały się wszystkie konie, z radością służąc Zakazanemu, niech śmiech da nam młodość, a zła wola przyniesie nam bogactwo.

Czytałem dalej. Znalazłem potwierdzenie tego, co Martwe Nogi mówiła w Bezśnieżnym Lesie – Poborcy mieli Gildię Magików w garści i zmienili ich w słomianą szkołę. Chcieli, aby na świecie nie było żadnej magii, która znajdowałaby się poza ich kontrolą.

Ale to nie wszystko.

Wyglądało na to, że kontrolowali także gildie Furmanów, Gońców, Budowniczych i Żeglarzy. To dobry biznes w świecie, który nagle musi sobie poradzić bez koni.

Odwołanie do końskiej zarazy było wyjątkowo niepokojące. Byłem pewien, że Gildia wiele zyskała na pladze chwiejnicy, za którą obwinialiśmy gobliny, ale czy z książki wynikało, że Gildia sama doprowadziła do tej katastrofy? Odpowiedź na to pytanie była niezwykle istotna, prawda?

Ponownie popatrzyłem na kanciaste litery, żeby przeczytać coś więcej, i zauważyłem małe oczy narysowane w górnych rogach stron. Nagle księga drgnęła w moich rękach niczym żywa istota. Oczy także się poruszyły.

Teraz wiem, że uświadamiała sobie moją obecność i czytała we mnie tak, jak ja w niej. Widziała wszystkich w pomieszczeniu i badała ich silne strony, magiczne zdolności, znaczenie dla Gildii. Otworzyła się w moich dłoniach na jednej z pierwszych stron, gdzie zobaczyłem rysunek kraba. Zanim zdążyłem zamknąć księgę, krab skoczył z kartki na ścianę.

Księga Pełnego Cienia żyła.

Błyskawica w ciemności

Krab, czarny i kolczasty, trudny do zauważenia w mroku jaskini, chociaż urósł już do rozmiarów psa, dźgnął mnie w twarz szczypcami, tuż obok oka, a potem zbiegł ze ściany na podłogę. Odskokczyłem do tyłu i dobyłem Angny, swojego sztyletu tarczowego, zamierzając przebić to paskudztwo, ale krab błyskawicznie popętlł w stronę Norrigal.

W zrozumiałym sposobie zaniepokojona widokiem kolczastego stwora z wieloma nogami, moja okaleczona wiedźma wyciągnęła w jego stronę kciuk z pierścieniem i wypuściła gorącą błyskawicę, która trafiła kraba i spaliła go na popiół. Chwilowo oślepiony przez błysk, podbiegłem do Norrigal i stanąłem przed nią, podczas gdy Spanthianki osłaniały swoją królową pod przeciwległą ścianą.

Jasna cholera, co za pierścień. Norrigal pisnęła, kiedy lśniący metal ją oparzył, ściągnęła go z kciuka i rzuciła na ziemię, gdzie rozpuścił się w kłębach dymu. Powoli odzyskiwałem wzrok.

– Na świętą piczkę Cassy – odezwałem się, próbując zrozumieć, co się stało.

Norrigal zamrugała oczami, również próbując odzyskać wzrok.

– Wszystko w porządku, Kinch? – spytała głosem niewiele donośniejszym od szeptu, przerywając oszołomioną i niepewną ciszę panującą w jaskini.

– Tak – odpowiedziałem. – Au! – jęknąłem, czując gorący ból ręki.

Podwinąłem rękaw zaplamiony krwią.

– O nie – powiedziałem, zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Mój tatuaż zniknął.

– Mrau – odezwał się ślepy, szarobury Byczek, który kreślił ósemki na ziemi.

Oczywiście nie był sam.

Najpierw zobaczyłem jej oczy. Moja skrytobójczyni. Sesta. Jej ręce, pokryte czarnymi tatuażami od ramion aż po koniuszki palców, błyskawicznie się poruszyły, a jedna z nich trafiła mnie w głowę i odrzuciła na bok jak kawałek drewna. Poczułem oślepiający ból. Cios był mocniejszy, niż można się było spodziewać po uderzeniu ręką. Zauważyłem na jednym z jej czarnych ramion ogniście lśniący symbol oznaczający „żelazo” i zrozumiałem. Ręce z Żelaza. Nie mogła zbyt długo podtrzymywać tego zaklęcia, ale dopóki działało, jej ręce i dłonie były twarde i mocne jak żelazne sztaby. Schowałem sztylet do pochwy, sięgnąłem po łuk i nałożyłem strzałę na cięciwę.

Spanthianki natychmiast pokonały dzielącą nas odległość.

Skrytobójczyni zablokowała ręką cięcie Yorbez, której miecz skrzesał iskry. Potem jej czarna dolna warga załśniła i Sesta splunęła Galvie w oczy, które zaczęły dymić. Niczym plująca kobra z gorących wzgórz Urrimadu, zabójczyni ją oślepiła!

Następnie kopnięciem podcięła Yorbez, a ja zobaczyłem na jej nodze symbol oznaczający „W Górę”. Zanim zdążyłem się nad tym zastanowić, strzeliłem z łuku ponad jej głową, a moje serce rozgrzała iskra nadchodzącego szczęścia. Mogłem na nie liczyć. Skrytobójczyni skoczyła w stronę ściany, tak szybko, że niemal jej nie widziałem. Zapewne zamierzała zabić królową rękami z twardego żelaza.

Nie zdążyła.

Moja strzała trafiła tę sukę, jakby była przepiórką.

W nerkę i wątrobę.

Wzdrygnęła się w powietrzu, co zaburzyło jej trajektorię, tak że uderzyła o ścianę i upadła. Muszę jej przyznać, że nie pozwoliła sobie na stęknięcie z bólu. Yorbez od razu znalazła się przy niej i wbiła ostrze w jej serce. Krew trysnęła z ust Sesty, która się uśmiechnęła. Uniosła dłoń do piersi. Miałem wrażenie, że wskazówki wytatuowanego zegara wystają z jej ciała. Sięgnęła w ich stronę. Dostrzegłem symbol, który był niewidzialny, dopóki się nie rozjarzył. „Wróc”.

– *Moch!* – wrzasnąłem.

– Zaraza! – zawołała Norrigal po holtyjsku, jakby tłumaczyła moje słowa. – Nie pozwól jej!

Yorbez szybko wyszarpnęła miecz, obryzgując się krwią, a następnie cięła skrytobójczynię w rękę, by powstrzymać ją przed dotknięciem tatuazu. Miecz złamał się po uderzeniu w żelazną skórę. Zabójczyni wypluła kolejną porcję krwi i szarpnęła wskazówkę zegara.

Królik i wilk

– Au!

Ból przeszył moją rękę. Podwinąłem rękaw i zobaczyłem, że jest poplamiony krwią.

– O nie – powiedziałem, czując, że już wcześniej to mówiłem.

Mój tatuaż krwawił.

Ponownie?

Czy dopiero teraz?

– Mrau – odezwał się Byczek, na ślepo kreśląc ósemki na ziemi.

Sesta! Uwalnia się!

Najpierw zobaczyłem oczy skrytobójczyni. Potem jej ręce, pokryte czarnymi tatuażami od ramion aż po opuszki palców. Ręce na chwilę rozja-
rzyły się jak gorące węgle.

Czy to się już nie wydarzyło? – pomyślałem, a kiedy stałem oszołomiony, uderzyła mnie w głowę, tak mocno, że oderwała kawałek mojego
ucha.

Zaraza, to bolało.

Dostrzegłem na jednym z jej ramion lśniący symbol oznaczający „żelazo”. Ale skądś już wiedziałem, że używa potężnego zaklęcia zwanego
Rękami z Żelaza. Ten czar pochłaniał olbrzymią ilość magii, więc nie mogła zbyt długo z niego korzystać. Jej ręce i dłonie stały się twarde jak
zamkowe bramy.

Schowałem Angnę, sięgnąłem po łuk i założyłem strzałę na cięciwę.

Wydawało mi się oczywiste, że ją przeszyję.

Tak!

Nadbiegły Galva i Yorbez, które pokazywały królowej, by została na miejscu.

Właśnie tak powinno być.

Tak powiedziała moja głowa, ale mój zmysł szczęścia podpowiadał mi coś zupełnie innego.

Trysnęły iskry, gdy skrytobójczyni żelaznym przedramieniem odbiła kilka ciosów Yorbez, a potem wykręciła przeciwnicze rękę i niemal ode-
brała jej miecz. Galva pośpieszyła na pomoc i sparowała cios. Sesta plunęła jej w oczy, ale trafiła tylko w jedno, które zaczęło dymić, a Span-
thianka stęknęła z bólu.

Nie. To nie tak. Wszystko idzie nie tak.

Zobaczyłem z tyłu nogi Sesty rozjarzony symbol oznaczający „W górę”, ale zanim zdążyłem się zastanowić, co robię, i dlaczego moje działania
wydają mi się zarazem znajome i skazane na niepowodzenie, czując przeszywający mnie od cycków po kolana chłód pecha, wypuściłem strzałę
ponad głowę skrytobójczyni.

Ale ona nie skoczyła w górę.

A przynajmniej nie prosto.

Poleciała w lewo, odbiła się stopą od stalaktytu i pomknęła w stronę Mireyi, która znajdowała się po drugiej stronie jaskini. Usłyszałem, jak
moja strzała uderza o kamień w ciemności.

Wiedźma królowa wstała, ale była bezbronna. Galva, szybka jak kot, wskoczyła przed nią i pchnęła mieczem w środek ciała zabójczyni, naj-
pierw wykonując pozorowany atak, dzięki czemu żelazna ręka nie zdołała sparować ciosu. Skrytobójczyni przetoczyła się po ziemi, więc ostrze
tylko ją drasnęło, udała, że rusza w lewo, a zaraz potem skoczyła w prawo, uderzając dłonią jak łopata prosto w gardło Yorbez, jednocześnie
osłaniając własną szyję, tak że miecz trenerki tylko skrzesał iskry na żelaznej ręce.

Yorbez wydała z siebie ostatnie rżące, krwawe tchnienie. Wciąż stała, ale miała zmiażdżoną krtań i skręcony kark. Chyba nawet nie wie-
działa, co się stało. Moja kolejna strzała minimalnie minęła kark skrytobójczyni i skaleczyła Yorbez w policzek, a ta runęła jak wór kamieni, jakby
mój strzał przeciął podtrzymujące ją sznurki. Dobyłem noża. Wszyscy spodziewaliśmy się kolejnego ataku na Mireyę, więc rzuciłem się w tamtym

kierunku, ale skrytobójcy nigdy nie robią tego, czego się po nich oczekuje. Sesta skoczyła do tyłu i zaatakowała Norrigal. Kątem oka zauważyłem, że olbrzymka próbuje wstać, ale ponownie opada na posadzkę.

Serce wybuchło mi w piersi, kiedy zobaczyłem Norrigal z małym rytualnym sztyletem w dłoni, bezbronną jak dziecko, ale uśmiechniętą.

Skrytobójczyni kopnęła ją w głowę, a następnie zdzieliła pięścią w klatkę piersiową, tak mocno, że strzaskała żebra i naczynia krwionośne wokół serca. Potem mordercza suka skoczyła w stronę Galvy i Mireyi.

– Nie! – wrzasnąłem, biegnąc do Norrigal, mojej ukochanej, mojej żony aż do następnego nowiu.

Zakrzuszyła się i popatrzyła na mnie gasnącymi, uciekającymi źrenicami.

Podążyła mi nóż, rękojeścią do przodu. Usłyszałem, jak Galva jęczy z bólu, a z gardła skrytobójczyni wydobył się skowyt.

Olbrzymka coś krzyknęła.

Norrigal nie mogła mówić, tylko wskazywała nożem.

Ogród w Bezśnieżnym Lesie.

Królik i wilk.

Zrozumiałem, a przynajmniej tak mi się wydawało. To miało sens, a zarazem wzbudzało we mnie obrzydzenie, co się zawsze dzieje, gdy na chwilę ujrzysz prawdziwą naturę świata, kości kryjące się pod ciałem stworzenia. Nagle przypomniałem sobie dotyk uszu królika oraz opór, jaki stawiało twarde gardło Rogogłowego, strumień jego gorącej krwi, od której długo lepiły mi się ręce, zwłaszcza w zgięciach łokci, jego szorstkie włosy, a także piżmową, duszną woń, którą nagle zagłuszył intymny zapach gorącego mosiądzu. Przypomniałem sobie, że nie chciałem tego robić nawet wrogowi. To znacznie gorsze od dźgnięcia nożem albo przeszycia strzałą. Na razie miałem czas pomyśleć tylko o tych kilku rzeczach, ale później jeszcze wielokrotnie do tego wracałem. Do jej białej i gładkiej szyi oblepionej spoconymi włosami, na której widać było bicie serca, a którą miałem rozplatać, zanim umrze, i to bezpowrotnie.

Nie będzie odwrotu.

Wiedziałem, co się stanie.

Musiałem tylko uwierzyć.

Uszy królika w mojej garści.

Miejsce, w którym rodził się jej głos, tuż pod moim ostrzem.

Jej śmierć oddalona o jedną chwilę, a wszystko na próżno.

Dlaczego miałbym się wahać?

To tylko szyja.

Rusz się, ręko.

Rusz się, kurwa.

Poruszyła się.

Zrobiłem to.

Przeciąłem słodkie gardło Norrigal.

W ciągu dwóch uderzeń serca Norrigal zniknęła, a na jej miejscu znalazła się stara wiedźma zwana Martwymi Nogami, która, wierna swemu imieniu, chwiała się na trupich nogach, z których pozostały niemal same kości, i podierała się laską.

Tak jak królik, któremu dawno temu poderżnąłem gardło w ogrodzie, zamienił się miejscami z wilkiem z Odwróconej Wieży, tak teraz to samo spotkało dwie wiedźmy. Ale czy na pewno to były dwie wiedźmy? Chociaż nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, przez chwilę ujrzałem w myślach dwie bardzo podobne twarze, jedną młodą i piękną, a drugą starszą i beczkowatą.

W oczach wiedźmy płonęła furia. Upuściłem nożyk i dobytek Palthry, a następnie zerwałem się na nogi i zaszarżowałem na skrytobójczynię, która klęczała na jednym kolanie i trzymała się za biodro, które krwawiło po głębokim cięciu Galvy. Spanthianka leżała na brzuchu z rozrzuconymi rękami i nieruchomymi nogami. Suka złamała jej kręgosłup! Kiedy Sesta wstała, skaleczona w kilku miejscach, Galva przetoczyła się na plecy i spróbowała zdjąć kolczugę, by uwolnić bojowego kruka, ale brakowało jej siły.

Skrytobójczyni ruszyła w stronę królowej, która znalazła miecz Yorbez. Skoczyłem na Sestę od tyłu i zamachnąłem się sztyletem, celując w jej kark, ale zdążyła się obrócić i zadać mi potężny cios łokciem w bok. Poczułem, że pęka mi żebro, i runąłem na ziemię.

Kiedy padałem, odebrała mi nóż. Olbrzymka zatoczyła się i upadła – nie wiem, czy za sprawą słabości czy trucizny – ale wciąż próbowała się podnieść, na razie bez powodzenia. Królowa przyjęła fachową postawę bojową, ale zanim skrytobójczyni zdążyła ją zabić, co z pewnością by zrobiła, jaskinia za Mireyą zaczęła drżeć, a na ziemię posypały się pył i żwir. Magia w powietrzu była tak silna, że wszystkim na chwilę włosy stanęły dęba.

Martwy Pełny Cień, martwy skrytobójca w szatach trędowatego oraz martwy gruby magik powstali i, na tyle szybko, na ile pozwalały im zmiażdżone kończyny, wbiegli w ściany jaskini, które zaczęły dymić w miejscu ich przejścia. Jaskinia zadrżała i trzy postaci zbudowane z piachu i skał, z kępkami lśniącego wiedźmchu zamiast oczu, wyskoczyły ze ściany obok Sesty, niczym bojowi kuzyni służących, którzy napełniali nasze kielichy w Odwróconej Wieży. Stanęli murem pomiędzy zabójczynią a królową, ale to nie zniechęciło Sesty. Jeszcze nie. Użyła żelaznych rąk, by rozbić pierwszą kamienną istotę na kawałki. Ale zaklęcie kosztowało ją wiele sił. Zaczynała zwalniać. Królowa, która odsunęła się od ściany, spróbowała

dźgnąć skrytobójczynię, ale Martwe Nogi, która również zbliżyła się do miejsca walki, odciągnęła ją do tyłu za włosy – właśnie tak, odciągnęła królową za włosy – i powiedziała:

– Nie ty, dziewczyno. Sami załatwimy tę kurwę.

Skrytobójczyni zbierała straszliwe cięgi. Nie chciałem pakować się w środek burzy kamienia, żelaza i ciała, w którą zmieniała się walka między Sestą a stworami, więc podniosłem łuk i ostatnią strzałę. Poczulem ciepły blask w sercu i strzeliłem tej morderczej suce tuż powyżej pępka. Sesta straciła głowę z ramion drugiego stwora, który rozpadł się na kawałki. Nagle jej ręce zbieleły. Zakłęcie się wypaliło. Z nieobecnym wzrokiem podniosła rękę do tatuażu z zegarem, ale on także został zużyty, więc dotknęła tylko gołego bladego ciała. Ostatni i największy stwór kopnął ją w bok głowy, a ona runęła na ziemię. Ale stwór również był uszkodzony i miał trudności ze wstaniem. Jęczał przy tym niepokojąco – być może jakaś cząstka Bavotte'a pozostała świadoma w jego wnętrzu i opłakiwała swoją służbę oraz zbliżającą się powtórną śmierć. Sesta dźwignęła się na kolana, obficie krwawiąc z przebitego brzucha. Podniosłem pogromcę byków Galvy i podszedłem bliżej.

– Tylko popatrz na siebie, ty pełzająca pizdo – powiedziała. – Jestem w takim stanie, a ty skradasz się jak wykastrowany niewolnik, licząc na to, że kamienny człowiek cię wyręczy. Liczyłeś, ile razy uratowałam twoje bezużyteczne życie? Przed bandytami. Przed goblinami. Ty słabeuszu. Zabiłam twoją kochankę i sprawiło mi to przyjemność. Odpłacisz mi za to, ty pieprzony kurdupłu, czy pozwolisz, żeby ktoś inny zgarnął całą chwałę?

Martwe Nogi szepnęła coś w starej galtyjskiej mowie, a następnie zawołała:

– Przynajmniej walcz z nim w swojej własnej skórze, chuda diablico. – Machnęła dłonią z pazurem, jakby coś odrzucała, a wtedy reszta magicznych tatuaży Sesty opadła z niej i zmieniła się w czarne kałuże na ziemi. Wszystkie bez wyjątku.

Skrytobójczyni próbowała wstać z kolan, ale nie mogła. Skalny człowiek zmienił się w kupę gruzu, a jego oczy z wiedźmchu zgasły. Chwyciłem pogromcę byków i chwiejnym krokiem zbliżyłem się do Sesty. Uniosłem ostrze nad głowę, chcąc rozplatać jej czaszkę na dwoje. Nawet nie drgnęła. Po raz pierwszy zobaczyłem, że się boi, gdy tak klęczała, ranna i naga, odarta z magii, zbyt słaba, by skorzystać ze swoich umiejętności. Miała otwarte usta i łapczywie chwytiała powietrze, z trudem powstrzymując się przed upadkiem. Opuściłem miecz.

– Wynoś się – powiedziałem.

Zanim zdążyła wstać, jeśli w ogóle by jej się to udało, królowa Mireya z Rubieży i prawowita władczyni Ispanthii, ścięła jej głowę.

Ucieczka na zachód

Po skończonej walce znalazłem Byczka, który cicho miauczał w kącie, wystraszony jak nigdy. Dopiero kiedy położyłem go sobie na ramionach jak stulę, zaczął mrużyć. Chyba czuł się na mnie bezpiecznie, mały ślepy głupek. Zniosłem go do miejsca, w którym Martwe Nogi i Mireya opatrywały Galwę.

Nie wiedziałem, że istnieje magia tak silna, by naprawić złamany kręgosłup, ale właśnie to stara wiedźma robiła dla poturbowanej Spanthianki. Zdjąłem Galvie kolczugę i odłożyłem ją na bok, żeby nie osłabiła zaklęcia. Po zabiegach Martwych Nóg Spanthianka była jak nowa, może nawet sprawniejsza. Wiedźma kazała mi przynieść laskę Galvy, leżącą na trawie przy drodze, gdzie walczyliśmy z olbrzymami. Chwyła ją i poleciała, abym złamał ją za pomocą kamienia. Należało to zrobić w taki sposób, by dało się ją naprawić, dlatego wiedźma najpierw użyła słabszego czaru i posypała laskę solą, by ta stała się krucha. Następnie zanurzyła złamane końce w mieszance krwi i śliny Galvy, śpiewała nad nią przez prawie godzinę, aż wreszcie złączyła oba kawałki. Potem starła sól i użyła wina oraz odrobiny mojej krwi, by wzmocnić laskę. Chętnie poniosłem taką ofiarę. Galva krzyknęła, a kiedy Martwe Nogi podniosła laskę z ziemi, ona również wstała, jak marionetka, którą szarpnięto za sznurki. Sprawiała wrażenie pełnej wigoru i krzepkiej. Stara wiedźma następnie położyła dłoń na oślepionym oku Spanthianki i wyciągnęła truciznę, którą plunęła Sesta. Strzepnęła ją na ziemię, zupełnie jakby trucizna nigdy nie trafiła w cel.

To oko już zawsze miało być nieco jaśniejsze od drugiego.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła ptaszniczka, było podejście do ciała Yorbez. Galva z uśmiechem popatrzyła na swoją nauczycielkę.

– Znalazłaś ją – powiedziała po ispanthiańsku, a potem pocałowała ją w oba policzki. – Dziękuję, Pani. Wkrótce zobaczę was obie.

Uświadomiłem sobie, że nie wiem, czy mówi do Yorbez, czy do Dalgathy, Chuderlaczki. Zawsze uważałem, że ludzie zakochani w śmierci być może tylko udają i robią dobrą minę do złej gry, ale ta kobieta naprawdę sprawiała wrażenie zadowolonej, widząc ciało swojej instruktorki i przyjaciółki, która leżała z siną twarzą i zmiażdżoną krtanią, ponieważ to oznaczało, że jej duch dokazuje gdzieś z ich wesołą skrzydlatą kościstą panią.

Nigdy nie zrozumieję Spanthian.

Popatrzyłem na Martwe Nogi i zobaczyłem, że jej włosy, które wciąż były częściowo brązowe, gdy się pojawiła, zmieniły się w burzę bieli. Jedno z jej oczu było wytrzeszczone i sprawiała wrażenie chorej. Nawet tak potężna wiedźma miała swoje ograniczenia. Zaklęcie podmiany, stworzenie kamiennych ludzi i uzdrowienie Galvy niemal kosztowały ją życie, a podejrzewałem, że wydostanie nas stąd jeszcze bardziej uszczupli jej siły.

Olbrzymka stęknęła boleśnie, a wiedźma również pośpieszyła jej z pomocą. Posypała ją proszkiem, który zabrała z torby Norrigal, co dodało Misfie energii i zagoiło rany powstałe na skutek zbyt szybkiego wzrostu. Być może młodsza wiedźma zachowywała ten proszek dla siebie, skoro miała zmiażdżone nogi. Być może nie chciała, aby olbrzymka wymordowała nas wszystkich, tak jak uczyniła z wyczerpanymi złodziejami. Być może sama nie miała dość sił i była zbyt obolała, by rzucić zaklęcie. Martwe Nogi w pewnym sensie zaspokoili moją ciekawość.

– To uchroni ją przed śmiercią – powiedziała. – Ale nie uczyni jej na tyle silną, by mogła nas zabić.

– Co się stało z twoją... prasiostrzenicą? – spytałem. – Czy ona nie żyje?

Martwe Nogi uśmiechnęła się do mnie.

– Nie może być martwa, póki ja żyję. A kiedy umrę, co zapewne się stanie, zanim ponownie ujrzę Bezśnieżny Las, stworzy kolejną, młodszą, a sama zostanie starą.

– Czy ona...

– Wróciła tam, gdzie ją znalazłeś. Dojdzie do siebie, ale nieprędko znów ją zobaczysz, a może nigdy.

– Wrócę do niej, tak czy inaczej – zapewniłem.

– „Ziemią, wodą, ogniem” – zaczęła Martwe Nogi.

– „Lub na skrzydłach wrony” – dokończyłem.

– Musisz się ukrywać przed Poborcami. Zabierz księgę i znajdź sposób na jej przetłumaczenie. Jej treść rozerwie Gildię na strzępy. Jeśli to zrobisz, odpokutujesz za całą przelaną krew. Jeśli to zrobisz, będziesz godzien swojego ojca.

Nie miałem czasu zastanawiać się nad możliwym znaczeniem tego ostatniego zdania, ponieważ księga, jakby zdając sobie sprawę, że o niej rozmawiamy, drgnęła i ponownie zaczęła przesuwac się w kierunku wylotu jaskini. Uderzyłem ją kamieniem i znieruchomiła.

Galva przekazała Mireyi słowa wiedźmy, a królowa coś jej powiedziała.

Spanthianka zaczęła protestować, ale królowa stanowczo ją uciszyła. Wojowniczką podeszła do mnie, wyraźnie niezadowolona z obrotu spraw.

– Moja władczyni, Mireya, poleciła, abym poszła z tobą, Galcie, i zadbała o twoje bezpieczeństwo, żebyś mógł zrobić to, co trzeba, z tą księgą.

– Jakże miła perspektywa dla nas obojga.

– A teraz pomóż mi z czymś jeszcze – odezwała się Martwe Nogi, wręczając mi nóż z piłką i wskazując martwą skrytobójczynię.

Usiadła ciężko na ziemi i oderwała swoje przegniłe nogi, po czym odrzuciła je jak wilgotne drewno. Popatrzyła na mnie z wyczekiwaniem.

– Na co czekasz?

Zerknąłem na bezgłowe ciało Sesty.

Dzięki bogom, że jej głowa na mnie nie patrzyła.

Nie byłem stworzony do odcinania nóg. Owszem, byłem „brudnym bohaterem”, jak Galtowie nazywają ludzi gotowych uwalać sobie ręce gównem, byle tylko wykonać zadanie, ale nigdy nie byłem „krwawym bohaterem”.

– Nie zmuszaj mnie do tego – poprosiłem.

– Dlaczego? – spytała Martwe Nogi i wskazała głową trupa zabójczyni. – Zamierzałeś zabrać ją ze sobą do domu?

Sposób, w jaki to powiedziała, skojarzył mi się z Norrigal; był tak galtyjski i pełen ohydnej swobody.

Wtedy tak bardzo tęskniłem za swoją księżycową żoną, jakbym znał ją przez całe życie, a nie od sześciu tygodni. Poznałem ją niecałe sześćdziesiąt dni wcześniej, a jednak nie wyobrażałem sobie spędzenia godziny bez jej towarzystwa.

Jeśli nigdy nikogo nie kochaliście i nie straciliście wybranki swojego serca, możecie mnie wyśmiać. Ale jeśli tak było, wypijcie moje zdrowie i otrzyście oczy.

Postanowiłem, że zrobię, co trzeba z tą zabójczą księgą, a potem odnajdę Norrigal, niezależnie od tego, czy jest w jakiejś odwróconej wieży, czy w zwyczajnym grobie. A jeśli bogowie będą na tyle łaskawi, abym znów zobaczył ją żywą, będę jej ślubował na tyle księżyców, na ile mnie zechce.

Martwe Nogi zapewne czytała mi w myślach, podobnie jak w Bezśnieżnym Lesie, ponieważ powiedziała:

– Akurat Norrigal Na Galbraeth zechce ponownie spojrzeć na kogoś takiego jak ty. Prędzej zerzniesz elfa.

Jej słowa ponownie zabrzmiały jak coś, co powiedziałaaby Norrigal.

Przyjrzałem się jej.

– Niemożliwe – powiedziałem. – Po prostu, kurwa, niemożliwe.

Stara wiedźma się wyszczerzyła.

W jaki sposób straciła nogi?

Norrigal nie była jej prasiostrzenicą.

Olbrzymka rzuciła w nie drzewem.

Norrigal była Martwymi Nogami.

Dawno temu, a także teraz.

W jakiś sposób.

– Muszę to przemyśleć – powiedziałem. – Po prostu...

– Przyniesiesz nogi.

– Przyniosę nogi.

Ale zanim zdążyłem to zrobić, ugryzła mnie.

W rękę.

Mocno.

A potem uśmiechnęła się zakrwawionymi ustami.

– Kurwa, dlaczego to zrobiłaś?

– Żebyś mnie nie zapomniał.

Wkrótce potem pojawiły się olbrzymy.

Był ich tuzin albo więcej, a jeden z nich był kuzynem Misfy. Wsunęli do jaskini swoje ręce, długie jak woły, oraz głowy, wielkie jak świnie, a Galva chciała z nimi walczyć, ale Mireya jej nie pozwoliła. To mnie ucieszyło. Ledwie udało nam się pokonać trójkę, w czym pomogło nam potężne zaklęcie Fulvira. Misfa niepewnie wstała i podeszła do otworu, przez który ani ona, ani jej krewniacy nie mogli się precyzyjnie przemieszczać. Chwyła jednego z olbrzymów za rękę, a on pochwalił jej siłę i powiedział, że wojna toczy się po ich myśli, ale zbliża się armia małych ludzi.

– To Spanthianie albo Holtyjczycy – stwierdziłem. – Wojsko ze Śródmorza. Jak się stąd wydostaniemy, do diabła? Musimy się bić z tymi wielkoludami?

– Nic z tego – odparła Martwe Nogi. – Zgniotą nas jak rzepy. Mam dosyć sił na jeszcze jedno duże zaklęcie, zanim zasną na tydzień, a jeśli wielkoludy mają darować nam życie, to musimy jakoś wydostać ich krewniaczkę z tej jaskini. Ale najpierw, Kinch, musisz uwolnić z niej konia.

– Co takiego? Jednego ze śpiących? Nie potrafię.

– Lepiej się naucz. Twoja przyszłość nie zależy od gadania, tylko od działania.

Zaproponowaliśmy Misfie układ, a ona na niego przystała.

Martwe Nogi pomogła mi rzucić zaklęcie, które rozpruło tatuaż ze śpiącym. Jeszcze nigdy nie posługiwałem się tak silną magią ani nawet o tym nie śniłem i nie miałem pojęcia, co robię. Ale kiedy skończyłem, ze skóry olbrzymki wysunęło się kopyto. Po nim pojawiła się grzywa i wystraszone końskie oczy. Wkrótce całe zwierzę zastukało kopytami o podłogę w jaskini.

Koń był pokryty krwią Misfy, jakby narodził się z jej uda.

Ogier. Młody, silny ogier.

Czegoś takiego nie widziano w Ludzkich Krainach od dwudziestu lat. Zaraza zabiła wszystkie ogiery i większość klaczy, a reszta zestarzała się i w większości też już pozdychała. To stworzenie – brązowe i urocze, pachnące i ciepłe, ten ciężki, kochający trawę samiec, pozbawiony siodła wierzchowiec – było prawdziwym cudem.

Galva zadrżała, gdy usłyszała stukot kopyt na kamieniu, a kiedy rzenie odbiło się echem od ścian jaskini, zaszlochała i pewnie padłaby na kolana, zdjęta zachwytem, gdyby nie przyszedł jej do głowy lepszy pomysł. Podeszła do zwierzęcia i dała mu jabłko. Nawet jeśli będę żył tysiąc lat, nie zobaczę niczego tak pięknego jak Spanthianka karmiąca ostatniego, pierwszego albo jedyne go rumaka w Ludzkich Krainach. Nawet olbrzymy były jak zahipnotyzowane i leżały na brzuchach, zaglądając do wnętrza jaskini.

Przyszła kolej na naszą część umowy.

Martwe Nogi specjalizowała się w magii minerałów – dlatego jej kamienni ludzie i pyłowe istoty byli tak udani, a ona zdołała zatopić odwróconą wieżę w ziemi. A zatem przemówiła do kamieni i poprosiła, by nieco się rozciągnęły. Czyż to nie byłoby przyjemne? Jaskinia zaczęła się trząść i posypały się na nas żwir i pył, bieląc nasze ciała.

– Na Fothannona, czy jaskinia się na nas zawali?

– Możliwe – odrzekła, najwyraźniej niewzruszona.

Ale tak się nie stało.

Zamiast tego otwór wejściowy powiększył się trzykrotnie, tak że dwie kobiety mogły przez niego wyjechać konno, a olbrzym także mógł się wydostać, kiedy się schylił.

Wyjechaliśmy pokryci pyłem, niczym procesja duchów. Okazało się, że olbrzymy są bardzo honorowe, a przynajmniej ta grupa taka była. Misfa pokuśtykała do nich i przywitały ją gromkie uściski i śmiech bardzo podobny do ludzkiego. Cofnęli się, kiedy Martwe Nogi i Mireya wyjechały z jaskini na koniu. Królowa spytała o jego imię i dowiedziała się, że brzmi ono Ęsclaer, co po gallardiańsku oznacza „błyskawica”. Nie wiem, w jakim stopniu na szlachetne zachowanie olbrzymów wpłynęła wdzięczność za powrót ich krewniaczki, w jakim ich skłonność do dotrzymywania słowa, w jakim uznanie dla nas za to, że tak ufnie stanęliśmy między nimi, a w jakim strach przed Martwymi Nogami, która sprawiła, że góra szerzej otworzyła usta. Tym ostatnim nie musieli się przejmować, gdyż wiedźma zużyła już prawie wszystkie siły i bez solidnego snu, posiłku i kąpieli byłaby w stanie najwyżej cisnąć kamieniem w pełną mysz.

Oparła się sennie o plecy Mireyi.

– Dokąd jedziecie? – spytałem.

– Znajdziemy ispanthiańską armię i sprawdzimy, czy ich królowa wiedźma podoba im się tak samo jak wujek uzurpator – odrzekła, bełkocząc z wycieńczenia.

– Ryzykowny plan – stwierdziłem. – Co ich powstrzyma przed dobytciem pogromców byków i posiekaniem się nawzajem z tego powodu? Albo któregoś z nich przed zabiciem królowej we śnie?

Zmęczone oczy wiedźmy błędziły, próbując się na mnie skupić.

– Masz lepszy pomysł?

– Obawiam się, że nie.

Przynajmniej dostrzegałem w tym jakąś szansę. Mireya wyglądała jak królowa i nią była, rządziła królestwem i utrzymywała swojego męża przy życiu – do czasu – choć dybał na nich najbardziej śmiertelny legion drani w Ludzkich Krainach. Jeśli nie zdoła zauroczyć i nakłonić do lojalności ispanthiańskiej armii, siedząc na grzbiecie jedyne go ogiera na świecie, to nigdy jej się to nie uda.

– Poza tym to nie my musimy jechać na zachód, przez niebezpieczne góry, aż do krain olbrzymów, ukrywając się przed Gildią Poborców, dysponując tylko odrobiną magii, jednym dobrym mieczem oraz wredną kęsającą księgą – dodała sennym głosem.

– Racja – przyznałem. – A moja rodzina? Zrobisz to? Jesteś w stanie?

Powoli pokiwała głową za plecami królowej.

– Zapewnię im schronienie i ochronę. Ale niczego nie obiecuję. Poza tym, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

To może być sporo. Gdyby udało jej się przekazać wieści na wschód, moja rodzina mogłaby się wyprowadzić z Platha Glurris i Brith Minnon. Wiedziałem, że Gildia nie będzie szczydziła środków, by odnaleźć mnie i księgę, ale ile poświęcą sił na odnalezienie mojej zmęczonej, starej matki, garstki rodzeństwa i jękającej się siostrzenicy?

Gdybym zdołał wydobyć z księgi jej tajemnice i znalazł sposób na ich ujawnienie, mógłbym utrudnić życie Poborcom. Gdyby wyszło na jaw, że to oni zabili nasze konie dla własnego zysku, nie mieliby gdzie się schować. Równie dobrze każdy z tych skurwieli mógłby sobie wytatuować pętlę na szyi. Kolejka na koszt lokalu dla każdego, kto ich złapie.

– A teraz, na Samnyra i wszystkich innych bogów, zamknij się... i pozwól mi... spać – dodała wiedźma.

Po czym odpłynęła.

Mireya, która właśnie skończyła rozmawiać szeptem z Galwą i wymieniać z nią zażawione spojrzenia, energicznie skinęła głową i zawróciła konia.

Konia.

Prawdziwego konia, którego własnymi rękami sprowadziłem na świat. Gdybym miał jutro umrzeć, co wcale nie jest wykluczone, miałbym świadomość, że dokonałem czegoś wielkiego, czyż nie?

Galva i ja uciekliśmy na zachód. Niosłem kota na ramieniu, torbę na plecach i zatrutą księgę w drugiej torbie pod pachą – sztormowej torbie Pełnego Cienia, która zapewne właśnie do tego służyła. Na palcu miałem pierścień Kocięgo Upadku, a na szyi naszyjnik, którego przeznaczenia nie znałem. Niebo ciemniało na zachodzie i wiedziałem, że przed zmrokiem zmoczy nas deszcz, ale teraz padały na nas ostatnie ciepłe promienie słońca.

– Trochę cię ponoszę, ale jeśli na mnie nasrasz, to się rozstaniemy – powiedziałem Byczkowi.

Nie odpowiedział.

– A więc, Byczku – zagadnąłem. – Myślisz, że zginiemy na ziemiach olbrzymów?

Nie odpowiedział.

– Chciałbyś kiedyś zobaczyć Galtię?

Wciąż milczał.

No cóż, kiepska z niego wyrocznia, ale i tak cieszyły mnie jego ciepło i dobra wola. Czekają mi wiele zimnych nocy, a za towarzyszkę miałem Spanthiankę, która wolała ostrzyć miecz, niż rozmawiać. Tęskniłem za Norrigal jak za jakąś częścią siebie, z której istnienia nie zdawałem sobie sprawy. Podejrzywałem, że wróciła do Bezśnieżnego Lasu i będzie miała strzaskane nogi, dopóki nie stworzy z siebie młodej dziewczyny, jakkolwiek to się robi.

Galva i ja uciekaliśmy przez podnóża wzgórz Rubieży. Mijaliśmy zagajniki wspaniałych drzew o żółtych liściach, które syczały na wietrze, domy zburzone przez olbrzymy oraz strumienie, które bulgotały, jakby na świecie nie było żadnych trosk. Postanowiłem, że kiedy będziemy mieli okazję odpocząć, postaram się ponownie umieścić Byczka na swojej skórze.

Ale na razie byłem zadowolony, że zwierzak siedzi mi na ramieniu. Cieszył się słońcem ogrzewającym mu pyszczek i wiatrem poruszającym wąsikami. Ślepy kot ma w życiu niewiele przyjemności.

Niech przez jakiś czas pozostanie świadomy.

Niech czuje zapachy wiosny, dym ognisk oraz nornice, myszy i ptaki, których nigdy nie upoluje, by przygotować się do zimy.

– Mrau – odezwał się.

Chcę wierzyć, że to było podziękowanie.

Podziękowania

Spośród wielu osób, którym zawdzięczam powstanie tej opowieści, pierwszą jest redaktorka Lindsey Hall. Nie mam pojęcia, jakim cudem nauczyła się tak wiele w tak młodym wieku, ale jest jak ostry nóż, który wycina z książki to, co zbędne, a zarazem broni jej serca.

Ta powieść nie powstałaby także bez mojej upartej, utalentowanej i przenikliwej agentki, Michelle Brower, która kilka lat temu zapytała mnie, w jakim gatunku poza horrorem chciałbym tworzyć.

Chcę podziękować Kyle'owi i Maricie Beth Caruthersom, których Dice Cup Lounge była dla mnie chłodną i gościnną przystanią w wiele upalnych dni podczas targów Scarborough w Teksasie, i którzy zawsze chętnie słuchali świeżo napisanych fragmentów. Na podziękowania zasługują także Marc, Maggie, Hunter i Teri, Sarah i Cyrus, John, Rhonda, Bob, Stefan i inni, którzy, świadomie bądź nie, byli moją widownią we wspomnianym miejscu.

Jestem wdzięczny osobom, które przeczytały i skomentowały wczesną wersję maszynopisu. Byli to: Allison Williams, Ian MacDonald, Kate Polak, Skip Leeds, Kelly Cochrane, Jamie Haeuser, Andrew Pyper i Kelly Robson. Macie u mnie drinka w tawernie Pod Poćwiartowanym Słońcem, kiedy znów zawitamy do Edth.

Nie mogę też zapomnieć o Michaelu i Stephanie, Byronie i Aaronie, Liamie, Chrisie K. i innych ochoczach graczach w Wieże, którzy pomogli mi zmienić pisarską fantazję w brutalną i uzależniającą grę hazardową. Najbardziej zagorzałą zawodniczką z tego grona jest moja żona Jennifer: moja towarzyszka, pocieszycielka i opoka.

Chciałbym także wymienić tych, którzy oświecali mi drogę: oczywiście J.R.R. Tolkien, który jest przodkiem wszystkich współczesnych pisarzy fantasy, ale także Tom Doherty, który pomógł zapoznać z jego dziełami amerykańskich czytelników i prowadzi firmę, która wydała tę książkę. George R.R. Martin odziedziczył po Tolkienie nie tylko środkowe inicjały, ale także jego genialny talent do tworzenia światów, i niebywale wysoko zawiesił nam wszystkim poprzeczkę – audiobooki *Pieśni Lodu i Ognia*, cudownie czytane przez świętej pamięci Roya Dotrice'a, znacznie ułatwiły mi tę podróż i pozostają dla mnie złotym standardem fabularnej doskonałości. Dzieła współczesnych mistrzów, takich jak Joe Abercrombie i Patrick Rothfuss również na mnie wpłynęły. W świecie, w którym mamy tak wiele dobrych książek i tak mało czasu, zawsze chętnie wracam do ich opowieści.

Na końcu dziękuję Lutherowi. Pojawił się na moim progu latem 2015 roku i głośnym mrauknięciem zażądał, abym go wpuścił. Był ładnym kocurkiem, ale chorowitym i czekało go tylko kilka lat życia. Chociaż jego oczy nie działały, to ja byłem ślepy, ponieważ nigdy wcześniej nie pokałałem kota.

Nauczył mnie co nieco w tej materii.

